PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNY

MIESIĘCZNIK POD REDAKCJĄ
DRA STANISŁAWA WĘDKIEWICZA
PROF. UNIW. JAGIELL.

ROK IX — TOM XXXIV
(LIPIEC — WRZESIEŃ 1930)

WYDAWCY:
DR STAN. BADENI i KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA
KRAKÓW 1930



ODBITO W DRUKARNI «CZASU» W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM LEOPOLDA WÓJCIKA

WŁADYSŁAW LEOPOLD JAWORSKI

REFORMA ROLNA A HIPOTEKA I KATASTER

I

POTRZEBA REFORMY

W rozważaniach swych wychodzimy z założenia, że nie potrzeba udowadniać konieczności ksiąg gruntowych i katastru i konieczności zgodności ich z rzeczywistością. Wychodzimy dalej z założenia, że te instytucje powinny być jednakowo urządzone w całem państwie i że unifikacja powinna przezwyciężyć wszystkie partykularne interesy, zamiłowania i przyzwyczajenia.

Kto z tych założeń wychodzi i ogarnia stan istniejący dzisiaj w Państwie Polskiem, ten stwierdzić musi ponad wszelką wątpliwość, że o zgodności hipoteki i katastru z rzeczywistością, z małemi wyjątkami, nie może być mowy i że unifikacja jest postulatem, zajmującym pierwsze miejsce w programach, ale nie w czynach.

Ilekroć podniesie się głos, nawołujący do niej, przygłusza się go uwagą, że zaprowadzenie jednolitej hipoteki i katastru wymaga długiego czasu i znacznych kosztów, na które nas nie stać. Uwagi te są trafne, ale wysnuć z nich należy odwrotne wnioski. Im dłuższego na tę pracę potrzeba czasu, tem wcześniej należy ją zacząć, jeżeli się uznaje konieczność jej pokonania.

Ze sprawą kosztów zaś ma się rzecz tutaj tak, jak ze sprawą odżywiania człowieka. Pociąga ono za sobą koszta, ale bez pokarmu człowiek umiera. Dla państwa pokarmem takim jest prawo, bo państwo jest właśnie porządkiem prawnym.

Bez hipoteki i katastru niema na wsi prawa, a więc niema tam i państwa.

Kto ten wniosek uważa za skrajny, ten nie rozumie doniosłości kwestji, którą poruszamy. Pragniemy go właśnie prze-

konać, a do pomocy wzywamy wszystkich, którzy własnemi doświadczeniami mogą stwierdzić, że istniejący stan rzeczy jest ciężki, szkodliwy, pełen strat i niepewności. Niechaj przemówią!

Ale co więcej! Niedomagania, o których mówimy, mnożą się i muszą się mnożyć. Nieporządek, t. zn. stan nierządzony prawem, musi (powtarzamy: musi) się zwiększać. Do tych wszystkich zmian bowiem, które zwyczajne życie na wsi niosło, przyłączyła się nowa potężna siła, mająca na celu reformę rolną, a więc planową, systematyczną zmianę. Parcelacja, ale przedewszystkiem komasacja spotykają się na swej drodze, wiodącej do realizacji z przeszkodami, których nie są w stanie pokonać, bo usunięcie ich nie leży w kompetencji organów, które ją przeprowadzają.

Można sobie wyobrazić, z czem najsumienniejszy, najlepszą wolą ożywiony Urząd Ziemski musi walczyć, gdy chce stworzyć jednostkę nietylko gospodarczo zdrową, ale i prawnie uporządkowaną. Co ma robić, gdy ksiąg gruntowych niema lub są wadliwe? Co ma robić, gdy mapy są mitem, lub indywidualnym utworem? Wejrzenie w zagadnienia, które powinny być tutaj rozwiązane, jest koniecznem, ale także pilnem. Tempo parcelacji i komasacji jest szybkie, im później przeto nastąpi sanacja, tem szersze objąć będzie musiała przestrzenie, a więc będzie tem trudniejszą.

Jaki jest stan obecny?

Mamy przedewszystkiem pięć ustawodawstw, obowiązujących: w b. Królestwie Polskiem, na ziemiach wschodnich, w b. Galicji, pod b. zaborem pruskim, na Spiszu i Orawie. Prawo materjalne na nieruchomościach wykazuje głębokie różnice w tych ustawodawstwach. Wystarczy przypatrzeć się prawu niemieckiemu w tej dziedzinie i porównać je z innemi. Urządzenie ksiąg gruntowych jest też różne. W b. Królestwie Polskiem nie obowiązuje przepis, że prawo na nieruchomościach nabywa się tylko przez wpis, ale zasada ta przełamaną została i w b. Galicji bądź dlatego, że księgi uległy zniszczeniu, bądź z powodu takiego ich stanu, że zasada była niewykonalną. W b. Królestwie Polskiem nie możemy też na serjo mówić o księgach dla drobnej własności. Ale co więcej! Nie udało się tam prawnikom znaleźć definicji, odróżniającej ściśle, bez reszty,

wielką od małej własności. W b. Królestwie Polskiem niema katastru. Dzieje się też, że grunty znikają poprostu.

Wyobraźmy sobie teraz wszystkie troski, które w takim stanie rzeczy spadają na Urząd Ziemski przy parcelacji, komasacji, dzieleniu wspólnot, regulowaniu służebności. Wyobraźmy sobie trudność zadań, które wykonać ma Ministerstwo Reform Rolnych, gdy przychodzi mu wydać instrukcje w tych kwestjach.

Rozbierzmy nastręczające się tutaj ewentualności:

1) Gdyby księgi gruntowe wszędzie istniały i były prowadzone dobrze, stosownie do obowiązujących je przepisów, i gdyby tak samo miała się rzecz z katastrem, to zadanie Ministerstwa Reform Rolnych polegałoby na dostosowaniu prawa agrarnego do obowiązującego prawa hipotecznego, prawa o katastrze i materjalnego prawa na nieruchomościach. Już to zadanie jest bardzo trudne, zważywszy, że obowiązuje pięć różnych ustawodawstw.

2) Ale powiedzieliśmy wyżej, że taki stan nie istnieje, że w całych połaciach ksiąg niema lub są wadliwe, że kataster nie jest powszechnem dobrem państwowem. Jak wówczas wybrnąć z tej sytuacji, aby nie zwiększać chaosu, a nie wejść w dziedziny, które przekraczają kompetencję władzy agrarnej?

3) Gdyby się okazało, że w ramach prawa agrarnego, a więc drogą rozporządzeń, porządek nie może być zaprowadzony, a mamy narazie na myśli tylko ten porządek, któryby nastał, gdyby prawo agrarne dało się dostosować do obowiązującego prawa w dziedzinach, będących w związku z akcją agrarną — to wyłoniłoby się pytanie, co i jak zmienić bądź w prawie agrarnem, bądź w tych innych prawach, aby dostosowanie było możliwem.

4) Powyższe ewentualności oparte są na założeniu, że w tych innych prawach nie nastąpiła reforma, a zjawił się tylko nowy czynnik, reforma rolna, który w zbudowanym już domu szuka dla siebie pomieszczenia, a pragnie przytem postępować legalnie. Ale stan ten dzisiejszy ksiąg gruntowych i katastru nie może nie być poddanym rewizji. Zjawi się wówczas pytanie, jak tę rewizję przeprowadzić, aby zaspokojone zostały wszystkie potrzeby, tak te, które znajdowały swe zaspokojenie w księgach gruntowych, jak te, dla których stworzonym został kataster, jak wreszcie te, które wysunęła i uczyniła szczególnie

pilnemi reforma rolna. I tutaj dopiero staje przed nami cały las pytań. Od czego zacząć? Kto ma tę reformę przeprowadzić, aby z jednej strony podołać jej, a z drugiej nie stracić ani na chwilę z oczu celu, do którego ta reforma ma zdążać, a którym jest z jednej strony utrzymanie w zgodności wszystkich tych akcyj i operacyj, a z drugiej strony zunifikowanie prawa w całem państwie?

Jakże łatwem było uchwalić reformę rolną bez tych przygotowań. Już obecne pokolenie czuje skutki tego pośpiechu, ale jakże staną się dotkliwemi, gdy nadpłynie pierwsza, wielka fala przewodów spadkowych. I nie będziemy się nawet mogli pocieszać tem, że i w innych państwach, które zreformowały się agrarnie, jest tak samo, i jakoś idzie. Nie możemy mieć tej pociechy, bo te inne państwa nie miały pięciu ustawodawstw, a miały lepsze księgi gruntowe i kataster.

Pragnę przedstawić me zdanie co do porządku prac, które należy podjąć, aby wieś polska mogła być uznaną za organizowaną nietylko gospodarczo, ale prawnie.

II

PROGRAM REFORMY

Prawnicy zajmujący się życiem prawnem na wsi, sędziowie, notarjusze, adwokaci, wiedzą o co tu idzie i z wyjątkiem ziem, gdzie obowiązuje prawo niemieckie, załamują ręce. A jednak mają do czynienia z niedomaganiami tylko jednej dzielnicy. Cóż powiedzieć o ustawodawcy, który widzi, że przyczyny złego są w każdym b. zaborze inne i że przy usunięciu ich napotka na opór najnieprzychylniejszych dla każdej zmiany: konserwatyzmu wiejskiego i urzędniczej rutyny.

Wiedzą o tem prawnicy, ale ogół zainteresowanych potrafi tylko cierpieć i znosić szkody, jak gdyby były zrządzone jednym z tych elementarnych żywiołów, które wieś uważają za swoją domenę. Należy przeto ogół uświadomić i nauczyć go, że ważniejszą dla niego jest rzeczą gospodarcze i prawne zorganizowanie wsi, niż wszystkie „pociągnięcia“ parlamentarne.

Parcelacja postępuje szybko, a z nią mnoży się ciągle ilość zainteresowanych. Nikt trwale nie zbuduje gmachu, jeżeli go nie osadzi na silnych, solidnych fundamentach. Fundamentem

Państwa Polskiego, w którem dwie trzecie części ludności należy do zawodu rolniczego, jest wieś. Na nią więc główną należy zwrócić uwagę. Zaczęliśmy też od reformy rolnej, ale zaczęliśmy, jeżeli nie zechcemy powiedzieć, że bez należytego przygotowania, bo to wyglądałoby na chęć odłożenia jej *ad calendas graecas* — to z pewnością bez należytego przemyślenia. Dzisiaj starajmy się błędy naprawiać. Rzecz jest pilna.

Pracę nad prawnem zorganizowaniem wsi rozpatrzeć możemy w trzech grupach.

Pierwszą stanowi wypracowanie tego działu kodeksu cywilnego, który mówi o prawie rzeczowem, i wypracowanie ustawy o urządzeniu ksiąg gruntowych. Jest to zadanie Komisji Kodyfikacyjnej.

Drugą grupę stanowi pomiar kraju. Jest on potrzebnym i ciągle się dokonywa dla różnych celów. Przeprowadza go wojsko i szereg przedsięwzięć technicznych, nas jednak ze stanowiska prawnego obchodzi pomiar dla podatku gruntowego i dla ksiąg gruntowych. Aby go wykonać (względnie poprawić i uzupełnić), należy zdecydować, czy pomiar ma być jeden dla obu tych celów, a gdyby tak było, w czyjem ręku ma być scentralizowany.

Założeniem takiego jednego pomiaru musiałoby być zaprowadzenie jednolitego dla całego państwa podatku gruntowego. Nie jest to jednak koniec norm, które musiałyby być wydane. Gdyby dokonanym został tylko jeden pomiar dla obydwóch celów, należałoby wydać przepisy o utrzymywaniu w zgodności katastru podatku gruntowego z hipoteką, a więc rozstrzygnąć kwestję jednej czy dwóch map.

Trzecią wreszcie grupę prac reformatorskich w dziedzinie, którą omawiamy, stanowi założenie jednolitych dla całego państwa ksiąg, jednak przy uwzględnieniu tego stanu, który już istnieje, przy unikaniu wszelkiego radykalizmu, wywołującego wstrząsy, a więc szkody.

Akcja pierwszej i drugiej grupy powinna być równocześnie prowadzona. Akcja, którą zamieściliśmy w trzeciej grupie, winna być wykonywaną po ukończeniu prac pierwszej grupy w miarę postępu prac drugiej grupy.

Akcja drugiej i trzeciej grupy wymaga znacznych kosztów, wymaga przedewszystkiem wykształcenia odpowiedniego perso-

nelu. Trzeba o tem myśleć i do realizacji przystąpić odrazu, a nie czekać, aż chaos wzrośnie do takich rozmiarów, że dostrzegą go najbardziej krótkowzroczni.

III

PRAWO HIPOTECZNE

W pierwszej z wyżej określonych grup idzie o materjalne i formalne prawo hipoteczne. Odnośny problem opiewa: jakie prawa należy wpisywać do ksiąg i z jakim skutkiem. Zdawałoby się, że decyzja w tym względzie nie powinna być trudna. A jednak powierzchowna nawet znajomość pięciu ustawodawstw, obowiązujących w niepodległej Polsce, dowodzi czego innego.

Przedewszystkiem jakie prawa mają być wpisywane?

Jeżeli powiemy, że prawa rzeczowe, i jeżeli zgodzimy się, że do nich należą: prawo własności, służebności, zabudowy, wieczystej dzierżawy, powierzchni i wieczystego czynszu, to pozostanie jeszcze kwestja co do praw zastawniczych, prawa zatrzymania, prawa pierwokupu, i ciężarów realnych, wobec których ustawodawstwa różnie się zachowują, bądź to nie zaliczając ich do praw rzeczowych, ale każąc wpisywać do ksiąg, bądź to nie kwalifikując ich jako prawa rzeczowe i nie polecając wpisu. Pierwsze stanowisko zajmuje np. kodeks austrjacki co do prawa zastawu, uważając je tylko za prawo bezwzględne, podczas gdy ustawa z r. 1871 zalicza je do praw rzeczowych i każe wpisywać do ksiąg.

Ale to dopiero początek trudności. Zgódźmy się, że wszystkie wymienione prawa mają być wpisywane do ksiąg, pozostawiając teoretykom do rozstrzygnięcia spór, czy wszystkie są prawami rzeczowemi. Nie może się jednak ustawodawca zachować biernie wobec kwestji, jakie znaczenie ma wpis do ksiąg, innemi słowy, czy prawa na nieruchomościach nabywa się i traci tylko przez wpis do ksiąg, czy też można je nabyć względnie utracić także bez wpisu. Z ubolewaniem stwierdzić należy, że w tej kwestji nietylko różnie się zachowują różne ustawodawstwa, ale że nawet w łonie jednego i tego samego ustawodawstwa ważne są obie zasady.

Gdybyśmy się jednak zgodzili, że wpis jest koniecznym dla nabycia i utraty praw na nieruchomościach, to cóż zrobić

wszędzie tam, gdzie ksiąg niema, bo zostały zniszczone, bo ich nigdy nie zaprowadzono lub zaprowadzono je, ale życie uczyniło je bezużytecznemi?

Uwzględniając te wszystkie momenty, prof. Zoll oświadczył się na ostatnim zjeździe prawników[1] za dwoistym systemem i skodyfikował swój pogląd, polegający na uznaniu rzeczowości praw tak opartej na wpisie do ksiąg, jak i na prawnem posiadaniu.

To pewne, że gdyby polski kodeks cywilny i polska ustawa o księgach gruntowych były już gotowe, to sam fakt ich ogłoszenia nie stworzy jeszcze ksiąg gruntowych.

Potrzeba do tego przeprowadzenia akcyj, któreśmy wyżej oznaczyli, jako drugą i trzecią grupę. Do tego więc czasu obowiązywać muszą przepisy przejściowe, polegające na tem, że tam, gdzie ksiąg gruntowych niema, wpis do nich nie jest koniecznym do nabycia lub utraty prawa na nieruchomościach, przymus wpisu jednak zostaje zasadą i celem, do którego wieś musi dążyć, jeżeli ma być prawnie zorganizowaną.

IV

POMIAR KRAJU

Drugą grupą czynności dążących do prawnego uporządkowania wsi stanowi pomiar kraju.

Pierwszym problemem, które Państwo winno tu rozstrzygnąć, jest sprawa jednolitego podatku gruntowego. Od jej załatwienia zależy sporządzenie katastru, a więc pomiaru gruntów. Zwlekanie z tą sprawą względnie takie urządzenie podatku gruntowego, któreby nie wymagało katastru, wysunęłoby kwestję katastru odrębnego, niezależnego od jego fiskalnego zużytkowania.

Odpowiedź na to pytanie wpłynie na rozwiązanie zagadnienia, czy pomiar ma być scentralizowany w jednym urzędzie, czy też wskazaną jest decentralizacja, a wówczas jak ma być unormowany stosunek między dokonywującemi pomiar urzędami nietylko co do osiągniętych już wyników pomiaru, ale

---

[1] F. Zoll, *O koncepcji podstawowej dla kodyfikacji praw rzeczowych na nieruchomościach.* Warszawa 1927, odbitka z *Themis.*

i co do zasad, wedle których dokonywa się pomiaru. Innemi słowy: czy nawet w razie, gdyby się nie zdecydowano na ustanowienie centralnego organu, powinna być wydana jedna instrukcja.

Nie wchodząc w kwestje techniczne, należy jednak zdać sobie sprawę, czy konieczną jest, jako wstępna praca, triangulacja, czy też może się bez niej obejść.

Jakkolwiek wypadnie odpowiedź na powyższe pytania, rozstrzygnąć należy pytanie, czy mają istnieć dwie odrębne mapy, katastralna i hipoteczna, czy też jedna, a wówczas jak unormować stosunek między hipoteką a katastrem, aby utrzymać zgodność między niemi i zgodność ich ze stanem faktycznym.

Odpowiedź na te kwestje nie byłaby realną, gdyby się nie liczyła z obowiązującem różnorakiem ustawodawstwem i z wytworzonemi na jego podstawie faktycznemi stosunkami, tak silnie różniącemi się na ziemiach polskich. Wszelki postęp musi się z niemi liczyć. Reforma nie może uczynić najpierw *tabulam rasam,* ale odpowiednio zużytkować to, co już jest.

W książce: *Działalność władz ziemskich a hipoteka i kataster* proponuje p. Franciszek Szafran [1] następujące załatwienie wymienionych tutaj spraw:

„Należy przystąpić do wypracowania ustawy o podatku gruntowym w tym celu, ażeby według zasad tej ustawy można było przystąpić do pracy nad zaprowadzeniem w b. zaborze rosyjskim katastru podatku gruntowego, a w b. zaborze pruskim i austrjackim do pracy nad rewizją katastru. Jeżeli nawet zapadnie decyzja, że podatek gruntowy nie będzie pobierany wedle czystego średniego przychodu, to w każdym razie trzeba będzie wydać ustawę o katastrze gruntowym, jako spisie gruntów na obszarze całego Państwa, które obejmie zasady założenia katastru i utrzymania go w zgodności z rzeczywistością".

„Po wyjściu tej ustawy Minister Skarbu w porozumieniu z Ministrem Robót Publicznych wyda zasady założenia katastru i przeprowadzenia szacunku względnie rewizji w b. zaborze pruskim i austrjackim, a Ministerstwo Robót Publicznych wyda instrukcję o sporządzeniu tymczasowych map katastralnych na

---

[1] Korzystam z łaskawie udzielonego mi skryptu Książka wyjdzie w bieżącym roku w Warszawie.

obszarze całego Państwa z tem, że będzie to jedyna instrukcja pomiarowa dla przeprowadzenia pomiarów szczegółowych, która uchyli obecnie obowiązującą instrukcję z r. 1928, oraz wszystkie inne przepisy w tej materji na obszarze Państwa obowiązujące".

Wnioski te uważam za uzasadnione. P. Szafran oświadcza się przeciwko tworzeniu centralnego urzędu mierniczego oderwanego od ministerstwa, a koncentrując sprawy miernicze w ministerstwie, oddaje je zupełnie trafnie Ministerstwu Robót Publicznych. I tutaj jednak doświadczenie poucza go, że ta koncentracja polegać winna tylko na wydaniu instrukcji ogólnie obowiązującej, do której stosować się winny i inne władze państwowe, jeżeli dokonywują pomiaru.

P. Szafran rozstrzyga dalej bardzo trafnie i przekonywująco sprawę przyśpieszenia pomiaru. Powołując się na przykład Prus, nie uważa triangulacji za konieczny warunek pomiarów, o ile idzie o cele katastru, a pośrednio hipoteki. Takie postawienie kwestji pozwoli na wykorzystanie istniejących pomiarów i planów, sporządzonych przez b. władze rosyjskie, Tow. Kredytowe Ziemskie, osoby prywatne i przez Ministerstwa: Rolnictwa, Reform Rolnych i Robót Publicznych.

Wreszcie godzę się z autorem cytowanej książki, że osobna mapa hipoteczna nie jest dla ksiąg gruntowych potrzebną, ale — jak tego dowodzą stosunki w b. zaborze austrjackim — nawet szkodliwą. Powiązanie księgi gruntowej z katastrem powinno nastąpić na tej zasadzie, że urząd hipoteczny nie może przeprowadzić podziału nieruchomości bez oznaczenia nowych części przez urząd katastralny i odwrotnie urząd katastralny nie może przeprowadzić zmiany definitywnej w osobie właściciela bez wpisu zmiany w księdze gruntowej.

V

KSIĘGI GRUNTOWE

Najtrudniejsze do przeprowadzenia będą te zadania, które (wedle naszego podziału) stanowią trzecią grupę. Założenie jednolitych w całem Państwie ksiąg gruntowych napotka na przeszkody płynące nietylko z samej sprawy, a więc rzeczowe, ale i na przeszkody, które wypływają z przyzwyczajenia, wygody, z prowincjonalnego, że się tak wyrazimy, patrjotyzmu.

A jednak trzeba je będzie wszystkie pokonać, jeżeli wieś ma odczuć, że jest organiczną częścią państwa, to jest jeżeli ma być prawnie uporządkowaną.

Obecny stan wysuwa trzy kwestje: 1) niejednolitość materjalnego i formalnego prawa hipotecznego, 2) brak ksiąg gruntowych dla drobnej własności w b. Królestwie Kongresowem, a wreszcie 3) sprawa wewnętrznego urządzenia ksiąg gruntowych.

Ad 1) i 3). Wypracowanie materjalnego i formalnego prawa hipotecznego jest zadaniem Komisji Kodyfikacyjnej. Rozstrzygnie ona o związku ustawy hipotecznej z kodeksem cywilnym z jednej strony, a z ustawą o postępowaniu niespornem i ustawą notarjalną z drugiej strony. Odróżniać należy prawo formalne hipoteczne od prawa, którego przedmiotem jest wewnętrzne urządzenie ksiąg. Prawo formalne obejmuje przepisy normujące postępowanie, gdy księgi już istnieją. Prawo o wewnętrznem urządzeniu ksiąg obejmuje przepisy o budowie ksiąg, gdy się je zakłada, a więc przepisy, ile i jakie mają być księgi, z jakich kart czy części składa się wykaz hipoteczny i t. p. Z takiego pojmowania wychodząc, nie wyobrażam sobie, aby można było zakładać nowe księgi przed wypracowaniem materjalnego, ale i formalnego prawa hipotecznego. Natomiast wewnętrzne urządzenie ksiąg może być rozłożone, że się tak wyrazimy, na raty, to zn. istniejące księgi mogą być wypełniane nową treścią, czyli jeszcze innemi słowy: z wprowadzeniem w życie nowego jednolitego prawa hipotecznego nie należy czekać, aż założone zostaną nowe księgi. Oczywiście nie da się to przeprowadzić bez reszty i okaże się potrzeba wydania szczegółowych przepisów wykonawczych.

Stawiam na równi materjalne i formalne prawo hipoteczne, bo pewne instytucje albo zazębiają się o siebie tak silnie, że jednej nie można unormować bez drugiej albo też okazać się może spornem, czy pewna kwestja należy do prawa materjalnego czy do formalnego prawa hipotecznego.

Ad 2). Kwestja założenia ksiąg gruntowych dla drobnej własności w b. Królestwie Kongresowem wymaga zasadniczego rozstrzygnięcia, co należy rozumieć przez drobną własność. Własność drobna w znaczeniu własności włościańskiej, rustykalnej, ukazowej i t. p. jest pojęciem opierającem się na mo-

mentach historycznych. Jest z niemi, jak z genealogją rodzin. Im starsze, tem trudniej o potrzebne metryki. Gdyby się jednak przez drobną własność rozumiało co innego, a nie własność mającą takie a takie pochodzenie historyczne, to podać należy to inne kryterjum. Dla celów prawniczych, a więc dla ustawy, nie może to być kryterjum ekonomiczne, a więc np. nieruchomość, na której nie prowadzi się gospodarstwa folwarcznego lub coś podobnego. Nie można takiego ekonomicznego kryterjum tembardziej wprowadzać do ustawy, że gdyby się nawet pozostawiło ekonomji określenie, czem jest gospodarstwo folwarczne, nie znalazłoby się tam ścisłej definicji, bo jej wogóle dać nie można.

Jest z tem określeniem drobnej własności, jak z określeniem, co to jest parcelacja. Jeżeli raz zajmie się stanowisko, że parcelacją nie jest każdy podział, ale że jest to podział, mający takie a takie znamiona, to z konieczności wpadnie się w dziedzinę ekonomji, a przez to pozbawia się prawnika tego, co jest jego istotą.

Księgi gruntowe powinny być jedne dla wszystkich nieruchomości; wskutek tego odpadnie różnica w kompetencji sądów.

Rozstrzygnięcie powyższych trzech kwestyj daje założenia, na których oprze się cała sprawa ksiąg gruntowych. Są to jednak tylko założenia, a nie przesądzają, jaką ma być treść materjalnego i formalnego prawa hipotecznego i prawa o wewnętrznem urządzeniu ksiąg. Mają być te prawa jednolite dla całego państwa, ale tu postawią nam z pewnością pytanie, które z obowiązujących obecnie praw ma służyć za wzór owemu jednolitemu polskiemu prawu hipotecznemu. Mojem zdaniem nie należy przyjmować żadnego wzoru w całości, ale tylko rzeczy najlepsze, bez względu na to, skąd pochodzą, nie wyrzekając się polskich oryginalnych pomysłów.

VI.

PRZED UNIFIKACJĄ

Przedstawiliśmy obraz tych wszystkich prac, które winne być dokonane w celu ujednostajnienia hipoteki i katastru. Co jednak robić przed tą unifikacją, jak uzgodnić działalność władz

ziemskich z przepisami katastralnemi i hipotecznemi, obowiązującemi obecnie, ale różnemi w poszczególnych b. zaborach? Uzgodnienie to, jeżeli stać się ma rzeczywistością, jeżeli nie ma napotykać na trudności, z któremi obecnie walczą wszystkie współdziałające tu czynniki, wymaga zmian w przepisach hipotecznych i katastralnych, a także w przepisach agrarnych w tych rozmiarach, które są konieczne ze względu właśnie na to uzgodnienie. Sprawa jest niełatwą do przeprowadzenia wobec tego, że, jak to ma miejsce w Małopolsce, nie dość jest mówić o uzgodnieniu wyników prac agrarnych z hipoteką i o uzgodnieniu wyników prac agrarnych z katastrem, ale trzeba uwzględnić, że między katastrem a hipoteką zachodzą różnice. Przy uzgadnianiu prac agrarnych z hipoteką należy osobno traktować parcelację, serwituty, zamianę gruntów i komasację, a wszędzie uwzględniać odmienne ustawodawstwa obowiązujące w b. zaborach.

Pracę tę powinna wykonać powołana do życia przez p. Ministra Reform Rolnych komisja dla uporządkowania ustawodawstwa agrarnego. Ufajmy, że zadanie to spełni rychło.

WACŁAW BOROWY

KOCHANOWSKI — ŻYWY

Karolowi Zawodzińskiemu poświęcam

W pismach Kochanowskiego nie wszystko jest poetycko żywe. Pisał on nietylko rzeczy, których wymagała jego poetycka natura, ale także różne rzeczy, których wymagał duch zwyczajów i teoryj jego epoki. W konsekwencji tego dużo jest w jego utworach wierszy artystycznie obojętnych, dużo stronic jałowych. Ilościowe proporcje występujących w tych utworach motywów tematycznych nie odpowiadają proporcjom ich siły ekspresyjnej. Niemało miejsca zajmuje tu sucha dydaktyka i sztywna frazeologja obowiązujących ceremonjałów. Łatwo też o pomyłki w ocenie jego twórczości. Tem bardziej, że nie znajdujemy wielu wskazówek pomocniczych w chronologji. Chronologja twórczości Kochanowskiego jest bardzo szczupła, wiadomości zaś, które nam daje, zwiększają czasem, zamiast zmniejszać, osobliwość zjawisk. Wiadomo, że naczelne arcydzieło poety, *Treny*, powstało w ostatniem pięcioleciu jego życia. Ale w tymże okresie powstały najnudniejsze rzeczy, jakie napisał: na urząd ciągnione *Epitalamjum na wesele Krzysztofa Radziwiłła* (1578) i protokolarna *Jezda do Moskwy* (1583). Czemś szczególnie żałosnem jest autoplagjatowe powtórzenie w drugim z tych wersyfikacyjnych elaboratów kilkunastu wierszy z pierwszego (*Jezda* w. 161—176, *Epitalamjum* w. 54—60 i 71—78). A nie można powiedzieć, że słabość wynikła tu z samych gatunków literackich, bo przecie w analogicznych gatunkach Kochanowski pisał dawniej rzeczy dużo lepsze (np. *O śmierci Jana Tarnowskiego*, 1561). Wszelkim też próbom wykreślania „linji rozwojowej" artyzmu poety poważnie stoi na przeszkodzie fakt, że jeden z najtęższych jego liryków, pieśń *Czego chcesz od nas, Panie*, był wydrukowany już w r. 1562. Skoro zaś Kochanowski, mając 32 lata mógł go wydrukować,

nic nie przeszkadza przyjęciu tradycyjnej wersji, że napisał go w r. 1559, t. j. mając lat 29. Z drugiej strony, o obniżaniu się twórczości też niepodobna mówić, choćby wobec *Trenów* (1580) i wobec chórów *Odprawy* (1578). Pozostaje nam tedy z rozważań chronologicznych jedna tylko rzecz pewna: że we wszystkich okresach tej twórczości są jakieś fluktuacje siły poetyckiej. Potwierdzają to spostrzeżenia, które możemy poczynić przy wczytywaniu się w same utwory. Jakże często w bardzo wysokich nawet artystycznie i stosunkowo jednolitych poematach Kochanowskiego spotykamy się z wierszami i ustępami, które robią wrażenie tylko jakiegoś kitu czy kleju pisarskiego a nie prawdziwej ekspresji poetyckiej. Z drugiej wszelako strony w najsłabszych nawet, najbardziej szarych jego kartach znajdujem nieraz „łaty purpurowe" (żeby się posłużyć wyrażeniem, zastosowanem przez jednego z krytyków angielskich do słabszych dzieł Szekspira), miejsca tęgie, które dowodzą, że nie ze szkolarzem, publicystą, literackim mistrzem ceremonij tylko, ale z prawdziwym poetą mamy do czynienia. Owe zaś „purpurowe łaty" przez pokrewieństwo swojej materji poetyckiej z najwybitniejszemi całościami artystycznemi Kochanowskiego ukazują nam, co w jego twórczości było najistotniejsze. Oczywiście bowiem najistotniejsze są te motywy (uczuciowe i tematyczne), które powracają, a wyrażają się z największą siłą.

Są zaś rzeczy, w których Kochanowski jest niezawodny. Należą do nich przedewszystkiem „boskie widowiska mistrzyni natury" *(naturae artificis spectacula diua)*, jak wyraża się jego łacińska elegja do Firleja. Kolejność dnia i nocy, gaśnienie gwiazd i zorza poranna, zachód słońca i zmierzch wieczorny: to sprawy, które przez cały ciąg tej twórczości roztaczały nad nią swój urok; to tematy, które nigdy nie wyrażają się u Kochanowskiego w wierszach słabych. A powracają w jego pismach wiele razy, i przytem — dodać należy — zazwyczaj ujmowane są bardzo zwięźle, ile że Kochanowski nie jest właściwie poetą opisowym.

> W swą miarę przedsię zeszła noc, a potem
> Świat się rozświecił wszytek słońcem złotem.

Najczęściej tak krótko jak tu (w *Szachach*) jest przedstawiona cała sprawa, a przecież jakże żywa jest wymowa tego przed-

stawienia. I tak jest już w utworach, o których wiemy, że są bardzo wczesne. Oto np. obraz nadejścia nocy w czternastozgłoskowcach *Zuzanny* (1562):

A wtem dzień zszedł, noc na jego miejsce nastąpiła,
Swemi skrzydły wszytkę ziemię i niebo zaćmiła.

I niema w tych obrazach u Kochanowskiego monotonnej schematyzacji. Porównajmy ze zmierzchem *Zuzanny* inny zmierzch (z *Pieśni* II 2):

Kwap się, póki jasne zorze
Nie zapadną w bystre morze;
Po chwili ćmy czarne wstaną,
Co noc niosą nienaspaną.

Taka sama napozór informacja, a jakże naprawdę zupełnie inna. Czasem obraz tego rodzaju zamyka się w granicach jednego wiersza, a przecież poetycko przekonywa. Tak jest np. w pieśni I 17:

Słońce już padło, ciemna noc nadchodzi,

albo w trenie na śmierć Jana Tarnowskiego, gdzie „jasna ciemnej nocy ustępuje zorza". — I tak jest zawsze przy podobnych sprawach: „kiedy się rane zapalają zorza, a dzień z wielkiego występuje morza" (*Fragm.* p. VIII), „gdy poczyna świtać i Tytan swoje konie w łąkach każe chwytać" (*Fraszki* II 101), kiedy przed zorzą poranną „gwiazdy drobniejsze po jednej znikają — i tak już przyszłej nocy nieznacznie czekają" (*Pieśni* I 7), i t. d. Tak jest zawsze: jakby można określić słowami Kochanowskiego samego (*Treny* XVII):

Lubo, wstając, gore jaśnie,
Lubo, padnąc, słońce gaśnie...

A jak pory dnia, tak i pory roku i ich zmienność są zawsze szlachetnie przez Kochanowskiego traktowanemi motywami poetyckiemi. Najwspanialszy, najwymowniejszy wyraz nadał im poeta w czterowierszu pieśni *Czego chcesz od nas, Panie*, przedstawiającym jak gdyby pochód pór roku przed Bogiem. Sugestjonujące obrazy upałów letnich i ustępowania zimy przed wiosną pamięta każdy, kto choć trochę zetknął się z jego *Pieśniami*. Wyrażają się w nich jak gdyby stałe kategorje myślenia poetyckiego Kochanowskiego.

Obok pory dnia i pory roku także typ pogody należy do tego nieodstępnego calendarium jego poezji. „Chmury czarne,

gradu pełne i trzaskawice"; „przeciwne chmury słońce nam zakryły"; „chmury czarne wiatr wojuje": Kochanowski nigdy nie przechodzi obok takich zjawisk z poetycką obojętnością. Kiedy we fraszce *Do snu* przedstawia wędrówkę duszy we śnie poprzez różne dziedziny świata, mówi o położeniu geograficznem i o pogodzie tych dziedzin. Kiedy w pieśni *Kto mi dał skrzydła* przedstawia widzenie nieba, zaznacza przedewszystkiem, że pogoda jest tam piękna i nie ulega zmianom. Nawet wielkość i wszechmoc Boga przedstawia Kochanowski w obrazowem zestawieniu przeciwieństw pogody (we *Fragm.* p. IV):

Jedenże to Bóg, co i chmury zbiera,
I co rozświeca niebo słońcem złotem.

Albo gdzieindziej, gdzie już pogoda jest traktowana alegorycznie:

Raz chmury panują i grom srogi, a potem
Bóg obdarza świat pogodą i słońcem złotem.

Przemawia w tem u niego najczęściej natura rolnika, który osobiście i bezpośrednio zainteresowany jest „pożytkami" ziemi, jako warsztatem swej pracy i podstawą ekonomicznej egzystencji. Stąd też silne uczuciowe akcenty ma jego poezja zawsze, gdy mówi o żniwach, orce, siewie, wypędzaniu bydła na pastwisko, i wszelkich wogóle odwiecznych zajęciach rolniczych. W uczuciowem przejęciu się gospodarką ziemiańską ma źródło jeden z najpiękniejszych drobnych liryków Kochanowskiego *Modlitwa o deszcz.* Z niego wywodzi się ciepło sławnych pieśni sobótkowych: *Gorące dni nastawają* i *Wsi spokojna, wsi wesoła.* Ten „utylitaryzm" Kochanowskiego, który musiał być traktowany jako minus jego poezji w okresie panowania poglądów romantycznych, dziś może nas, owszem, ujmować, a przytem może wydawać się rysem bardzo współczesnym. Jak prace, tak zresztą i „wczasy" wiejskie zawsze u niego znajdują żywą ekspresję. Cień „chłodnika chróścianego", ćwierkanie świerszcza, „cichy szept" lipy, „narzekanie" słowików: o wszystkich tych i tym podobnych rzeczach mówi Kochanowski zawsze słowami artystycznie niechybnemi. Mówi zaś o nich często. Motywy też „wczasów", w *Pieśniach* jego zwłaszcza, należą do najbardziej znanych i słusznie są cenione.

„Widowiska natury" jednak otwierają poecie często inne jeszcze perspektywy: perspektywy na wielkość i wspaniałość

świata. Tak jest np. w pieśni *Czego chcesz od nas, Panie*, tak jest w pieśni VI z *Fragmentów*:

...Kto sklepowi temu,
Nadobnemi gwiazdami ślicznie sadzonemu,
Nadziwować się może? Kto nocoświetnego
Miesiąca, albo słońca niespracowanego
Napatrzył się do wolej?...

Kochanowski naogół nie opisuje krajobrazów (nawet rudymentarny sześciowierszowy opis zalesionej góry, łąki i zdroju, z fraszki *O Hannie*, jest u niego czemś wyjątkowem); jego zachwyt dla natury wyraża się w krótkich ustępach, o treści obrazowej ograniczonej do ogólniejszych rysów geograficznych, meteorologicznych, czy nawet kosmograficznych. Nic znamienniejszego dla Kochanowskiego, jak wyliczenie piękności, któremi Bóg „oszlachcił" ziemię (w cytowanej już tylko co pieśni VI z *Fragmentów*):

To górami, to lasy, to kryształowemi
Rzekami, to łąkami pięknie kwitnącemi,
A wpoły ją przepasał morzem urownanym
Prosto, jakoby pasem srebrem okowanym.

Czasem cały „obraz" wyraża się w wielkiej metaforze, jak np. w tych dwóch wierszach z *Pieśni o potopie*:

Ziemia ku słońcu pełne ciężkiej rosy
Rozwiła włosy.

W obrazach tej skali ujawnia się wielkość Boga i miara losu człowieka.

Kto miał rozumu, kto tak wiele mocy,
Że świat postawił krom żadnej pomocy?
Kto władnie niebem? Kto gwiazdami rządzi,
Że się z nich żadna nigdy nie obłądzi?

Taka jest wielkość i moc boża. I zawsze Kochanowski tak na nią patrzył, jak to w tych wierszach (z p. III *Fragmentów*) wyraził: bez względu na koleje życia, bez względu na wahania i kryzysy, przez jakie przechodził jego umysł. Czy to jako czytelnik Lukrecjusza (jakim okazuje się w łacińskiej elegji do Firleja), czy jako tłumacz psalmów; czyto jako początkujący pisarz, czy jako dojrzały poeta: będzie on zawsze wielbił potęgę Boga, będzie nawracał do „Wiecznej Myśli, która jest da-

lej niż od wieka", do „Wodza prawdziwego i wiecznej światłości"; a słowa, w których się to będzie wyrażać, będą sprawiały wrażenie głębokiego poetyckiego przekonania i ze swej strony będą przekonanie budzić.

Przy tej wielkości Boga jakże nikle wygląda człowiek: człowiek, który śmiesznie wyobraża sobie, że jest środkiem świata, a naprawdę jest czemś, co da się porównać do marjonetek, na krótkie przedstawienie z worka wydobytych, albo do „polnej trawy"... „Jaki liścia, taki jest rodzaj i człowieczy". W świecie ludzkim nic trwałego, nic pewnego. — Wiadomo, że Kochanowski szuka oparcia w filozofji horacjańskiej: w jej pocieszającej nauce o przeplataniu się złego z dobrem, o równowadze ducha, bezcelowości trosk i korzystaniu ze szczęścia chwili. Odnośne wersety Kochanowskiego do dziś się powtarza jako zwięzłe formuły pewnych zasad mądrości życiowej, zwłaszcza że uroku dodaje im dawność i poczucie, że wiele pokoleń je w tej samej postaci powtarzało. Pod względem poetyckim jednak nie zawsze wznoszą się one wysoko. „Ty nie miej za stracone, co może być wrócone", „Ten pan, zdaniem mojem, kto przestał na swojem", „Siła posiadł włości, kto ujął chciwości": w tych i tym podobnych dictach trudno się dopatrzyć tchnienia prawdziwej poezji. Horacy wywarł na Kochanowskiego wpływ ogromny, ale filozofja horacjańska w pewnych tylko momentach bywała dla niego czynnikiem lirycznie pobudzającym. Twórczą okazała się przez to, że sankcjonowała żarty i wesołość towarzyską, utwierdzała więc naszego poetę w upodobaniach fraszkopisarskich, którym zresztą różne wzory świeciły. Zawdzięczamy im humorystykę Kochanowskiego, która wprawdzie w pewnej mierze stała się już zabytkiem historycznym, której część wszelako do dziś jest zajmująca i świeża: przez gładkopłynność konwersacyjnego języka w wierszu, wdzięk zwięzłej narracji i trafność w uwydatnianiu *point* (aczkolwiek tematowo nie jest ta humorystyka ani bardzo bogata ani bardzo subtelna). Pomiędzy jednak humorystycznym a lirycznym stylem Kochanowskiego związki są małe, co tem bardziej uderza, że w zbiorze *Fraszek* obydwa odnośne typy utworów są pomieszane. W liryce Kochanowski rzadko miewa tony humoru (aczkolwiek bywa pogodny i wesoły), horacjuszowskie też uśmiechy i półuśmiechy nie wychodzą w jego transpozycjach

bardzo dobrze. O wiele wymowniejszy bywa Kochanowski, kiedy się burzy przeciwko łatwej filozofji pogodnego życia. Wydobywa wtedy ze swojej poezji tony, o których dziś moglibyśmy powiedzieć, że są... conradowskie:

Niegodzien tego ten świat zawikłany,
Aby miał na nim rozumem nadany
Człowiek polegać, a swe szczęśliwości
Sadzić na jego płochej odmienności.
(*Pieśni* II 17).

Z większą jeszcze mocą odzywają się te tony w *Trenach*, odtwarzających moment największej rozpaczy i największego zniechęcenia. Nawet *abstracta*, tak nieraz w utworach Kochanowskiego suche, nabierają tu wielkiej poetyckiej energji.

Jedyną busolą w tym oceanie niepewności jest spokojne sumienie; co do tego Kochanowski daje najwymowniejszy wtór Horacemu.

Nikłość człowieka wobec ogromu świata jest dla niego czemś takiem, jak znikomość statku na przestworzach morza. W poezji jego też obrazy morskie, zwłaszcza w funkcji porównania lub metafory losów człowieka na świecie, są bardzo częste. „Jako na błędnem morzu, nie tam gdzie chcemy, ale gdzie nas wiatry niosą płynąć musiemy". „Albo w okręcie całym doniesiony, — albo na desce biednej przypławiony, — będę jednak u brzegu, — gdzie dalej niemasz biegu". „Morze nie stoi nigdy, zawżdy płynie; — teraz kędzierze nastrzępi, w godzinie — dnem wzgórę stanie, a ogromne wały — wysokich będą obłoków sięgały". Takich obrazów jest u Kochanowskiego wiele. Urokowi, jaki miało morze dla jego wyobraźni poetyckiej, zawdzięczamy jedną z przedziwności języka i wiersza polskiego, zawsze zachwycające dzieło artystyczne, chór *Odprawy*, zwrócony do „białoskrzydłej morskiej pławaczki".

Jak morze, tak również dziedziną rozległej poetyckiej symboliki dla spraw bytu ludzkiego jest sen. Z tej dziedziny zaczerpnie Kochanowski treść obrazową dla szeregu swoich wierszy z pośród najpiękniejszych, w *Trenach* zwłaszcza: „omyliłaś mię jako nocny sen znikomy", „żyw-em? czy mię sen obłudny frasuje?", „sen leniwy obłapił skrzydły czarniawemi". Poetyckiemu spojrzeniu na świat snu zawdzięcza swoje istnienie

jeden z najdoskonalszych artystycznie drobnych liryków Kochanowskiego (*Fraszki* II 37), zaczynający się od słów:

Śnie, który uczysz umierać człowieka.

Poeta wielkich igrzysk natury i wielkości Boga, poeta znojnych prac i słodkich odpoczynków, poeta rozterki i sumienia, poeta morza i snu, — jest też Kochanowski prawdziwym poetą miłości. „Serce mi zbiegło", „moje serce mdleje", „wszytka moja dobra myśl z tobą precz odchodzi", „serce mi zakwitnie prawie": słowa te nietylko były pierwszemi na te tematy słowami w poezji polskiej, ale zachowały do dziś pełnię swojej siły ekspresyjnej. A czyż nie przekonywa nas do dziś opis rachowania godzin w oczekiwaniu na kochankę (we fraszce *Do Anny*) i przedstawienie stanu „myśli utrapionej" w tych godzinach (*Fraszki* II 75):

Chciałem-li czytać, tom nic nie rozumiał,
Chciałem-li zagrać, tom począć nie umiał.

Albo ów opis zapatrzenia miłosnego (w drugiej fraszce *Do Anny*, II 88):

Słowa nie mogę domacać się w sobie;
Język mi zmilknie, płomień się w mię kradnie...

Albo, żeby wspomnieć utwory o typie epickim, opowieść o zakochaniu się Arjadny w Tezeuszu (w *Pamiątce Janowi na Tęczynie*):

Nie drzewiej oka z niego chciwego spuściła,
Aż ognia nieobacznem sercem zachwyciła,
Który w niej wszytkich członków zmacał aż do kości
I rozpalił niebogę w okrutnej miłości.

Kiedy się w rozważaniach nad Kochanowskim dochodzi do jego liryki miłosnej, wtedy najczęściej wysuwa się zagadnienie oryginalności jego poezji. Wiadomo, że w zbiorach liryki Kochanowskiego własne jego utwory pomieszane są z przekładami. Wiadomo, że w tych własnych jego utworach jest wiele zależności, przedewszystkiem od poezji starożytnej, w pewnej zaś mierze od Petrarki i późniejszych humanistów. Zawdzięcza on wiele tym mistrzom zarówno w formach gatunkowych, jak w tematach, zarówno w pojęciach, jak w stylistyce poetyckiej. Zależności te były szeroko i subtelnie roztrząsane. Niewątpliwa też rzecz dziś, że, gdyby nie Horacy, Katullus, Propercjusz

i Petrarka, liryka Kochanowskiego nie byłaby taką, jaką jest. Od nich to *durus Sauromata* nauczył się sposobów wyrażania się. Ponieważ jednak istnieje bardzo ścisły związek między zdolnością wyrażania się a zdolnością odczuwania, możemy przypuścić, że nauczył się od tych mistrzów także niejedno odczuwać. O nastawieniu psychiki poety mówi już sam wybór elementów do naśladowania. Bo przecież bierze on z wzoru pewnę motywy, a inne pomija. Następnie: jedne z tych motywów występują w jego pismach raz jeden, inne powtarzają się w różnych odmianach wiele razy. Już to są pewne wskaźniki indywidualności. A dodać należy, że Kochanowski nawet w najwyraźniejszych parafrazach nigdy nie bywa niewolniczy. Porównajmy *Pieśń o potopie* ze znaną podobnej treści odą Horacego (I 2), a zobaczymy, jak poeta przerabia obrazy swego pierwowzoru. Zestawmy pieśń *Rozumie mój, próżno masz się frasować* z wierszem Katulla *Miser Catulle, desinas ineptire* (*Carm.* 8), a zobaczymy, jak z cudzych motywów topicznych tworzy on całości odmienne.

W jakiej mierze utwory jego można brać jako wyraz przeżyć osobistych? Jaki jest w nich udział pierwiastka konfesyjnego? Krytyka w traktowaniu tej sprawy przechodziła różne stadja. Był czas, że wszystko, cokolwiek Kochanowski napisał w *Pieśniach*, *Fraszkach*, łacińskich odach czy elegjach, uważano za rzeczy pozostające w ścisłej relacji do rzeczywistości, za liryczny pamiętnik. Rekonstruowano na podstawie tych utworów nieznane skądinąd części jego biografji, dzieje jego miłości przedewszystkiem. Nie baczono na przestrogę Kochanowskiego, zawartą we *Fraszkach*, że postępowanie takie prowadzi do labiryntu bez wyjścia. Przyszedł potem drugi okres — z postępem badań filologicznych nad źródłami utworów poety. Tych źródeł odkryto tak wiele, udział elementu świadomej pracy literackiej, szkolenia się na wzorach okazał się w nich tak obfity, że bladła wobec tego samodzielność poety. Wszystkie jego uczucia wydawały się wątpliwe, wszystko co o nich pisma poety mówią zdawało się być tylko serją ćwiczeń artystycznych. Zwątpiono nietylko o Lidji i o Hannie, ale bezmała i o Urszulce. Zapomniano znowu o innej wskazówce samego Kochanowskiego: zapomniano, że w jednej z *Fraszek* (III 17) powiedział, że „inaczej nie pisze, jeno jako żyje". Między skrajnościami poglądów

słuszną tedy rzeczą będzie zająć stanowisko pośrednie. Na poezję tę nie można patrzeć tak, jak na poezję pisarza romantycznego czy poromantycznego. Jak poezja wielkiej części renesansu, posługuje się ona nietylko stylistyką, ale i „topiką" tradycyjną. Jej motywy fabularne mogą się więc z rzeczywistym przebiegiem dziejów uczuciowych poety zupełnie nie pokrywać. Nie mamy jednak powodu, aby podejrzewać autentyczność motywów uczuciowych. Czy istniała Lidja, taka jaką ukazują elegje padewskie, czy Hanna i Dorota były tą samą osobą, ile razy Kochanowski się kochał i w jakich okolicznościach, — tego się nie dowiemy; wszelako chyba prawdopodobnem będzie przypuszczenie, że znał miłość nietylko z książek i ze słyszenia, podobnie jak nietylko z książek i ze słyszenia znał ból ojcowskiej straty. Czy jednak nam trzeba ścisłej poręki biograficznej autentyczności, aby uznać, że np. wiersz *Gdzie teraz ono jabłko i on klejnot drogi* jest skończenie pięknem dziełem poetyckiem? Przydatna może będzie analogja z zakresu innej sztuki. Otóż malarską transpozycją tego samego motywu, który stanowi punkt wyjścia tej fraszki, jest obraz Guido Reniego „Atalanta i Hippomenes", jedno z uznanych arcydzieł włoskiego malarstwa barokowego. A czyż, patrząc na ten obraz, zastanawiamy się nad tem, co podobnego do przedstawionej na nim sytuacji przeżyć mógł Guido Reni? Czy pytamy o jego biografję? Czyż nie wystarcza nam to, co sam obraz — przez swój wysoki artyzm rysunkowy i kompozycyjny — mówi nam o jego zmyśle dla plastycznego piękna? Dlaczegóżby nie można było tak samo patrzeć na fraszkę Kochanowskiego, która w swoim zakresie jest tak samo doskonałem i charakterystycznem dziełem sztuki?

Podobnych zaś utworów kilka zawdzięcza Kochanowski motywom miłosnym. Wystarczy wymienić fraszki *Matko skrzydlatych miłości* i *Do Magdaleny* i pieśń *Trudna rada w tej mierze.*

Jego liryka erotyczna nie jest obfita, nie jest przecież jednostajna. Wiadoma jej jest nietylko słodycz i uniesienie pasji, ale także jej cierpkości, rozczarowania i cierpienia. Skala wzruszeń z tego zakresu, które Kochanowski zna i z sugestją poetycką umie przedstawić, jest wcale znaczna. Potrafi mówić o nich szumnie i błyszcząco: „serce mi... ...żarły troski nieuśpione"; „zginąłem, a łzy moje dokonać mię mają"; „mnie podobno już prózno szukać inszej rady, jeno smutnego serca podpierać

nadzieją". Potrafi mówić także z prostotą i jakgdyby z zakłopotaniem zupełnej bezpośredniości: „nigdybych był nie wierzył, bych tak miał żałować"; „cierpiałem ja tak wiele, że mię wstyd powiadać"; „nie wiesz, jako niewdzięczna miłość w sercu boli". Czasem w obrębie jednego utworu łączą się obydwie te odmiany stylu. — Czasem uczucie wyraża się w jednem tylko słowie: „smutek", albo „smutny", ale wprowadzonem tak, że staje się ono silnem i poetycko wymownem słowem. „Mnie smutnego ten dowcip nie ratuje" — powie Kochanowski na przytoczoną przez siebie samego pocieszającą refleksję. „Panie", modlić się będzie kiedyindziej: „wejrzy na mię smutnego".

Takie same dwie odmiany stylu uczuciowego: głośno-retoryczną i cicho-bezpośrednią spotkamy i w *Trenach*, i w takich samych nieraz ścisłych zaplotach.

O *Trenach* można powiedzieć, że mają one wielkie znaczenie zarówno przez to, w czem są wyjątkowe, jak przez to, w czem są typowe dla twórczości Kochanowskiego. Pierwiastki zaś typowe przejawiają się w nich nietylko w samym stylu. Większość rdzennych motywów liryki Kochanowskiego, o których była mowa, znajduje w tym niezwykłym cyklu swój odzew, niektóre zaś znajdują nietylko odzew, ale i pogłębienie największe, i wyraz najsilniejszy. Tu mieści się najkorniejsza modlitwa poety *My, nieposłuszne, Panie, dzieci Twoje*. Tu najdramatyczniej wypowiedziały się wielokrotnie i gdzieindziej roztrząsane pytania o różnicę pomiędzy sprawiedliwością w planie bożym a sprawiedliwością w pojęciu ludzkiem. Najpełniej też tutaj wyraziło się poczucie nikłości i niepewności człowieka w ogromie świata. Z rolniczej i ogrodniczej przyrody wywodzą się przejmujące upodobnienia zmarłego dziecka do „kwiatów podsieczonych, albo deszczem gwałtownym na ziemię złożonych", do niedojrzałego kłosu, do „wdzięcznej jutrzenki". Motyw snu przewija się kilkakrotnie, a odegrał rolę nawet w kompozycji cyklu. Nie zbrakło i motywu morza: z niego przecież wypływa alegoryczna pociecha końcowa: ów obraz żeglarza, który „na morze nowo się puściwszy, — a tam niebezpieczeństwo wielkie obaczywszy, — woli nazad do brzegu" (podczas gdy inni żeglarze ulegają okropnym przygodom).

Wyjątkowość *Trenów* polega nietylko na głębokiem przedstawieniu ojcowskiego cierpienia, ale (jak uwydatnił niedawno

Stanisław Windakiewicz) na oddaniu całej uczuciowej atmosfery życia rodzinnego, o której pozostała poezja Kochanowskiego niewiele tylko nam mówi. Przyczem z liryzmem w stop poetycki łączy się tu plastyczny realizm. Realizm ten rzadko u Kochanowskiego przejawia się tak subtelnie i z taką celowością artystyczną, wszelako i fragmenty innych utworów świadczą, że był on właściwy naturze poety. Za dowód mógłby wystarczyć choćby ten urywek (z wiersza *Do J. M. Ks. Arcybiskupa Gnieźnieńskiego*), przedstawiający:

W jakiej tesknicy doma pozostały
Wygląda ojca miłego syn mały,
Który mu kupić jarmark obiecował,
Gdy się do miasta rano wyprawował:
Więc się kłopoce, co tam ojca trzyma,
Mniemając, że on inszej sprawy nie ma,
Jeno pas kupić, albo czapkę nową,
Albo nakoniec kuklę szelągową...

Powszedniejszą dziedziną realizmu jest epika i dramat. Jakoż najlepsze realistyczne obrazy Kochanowskiego znajdziemy w *Pamiątce Janowi na Tęczynie*, w nowelistycznej oprawie *Szachów*, w satyrycznym obrazku biesiady staropolskiej *Czołem za cześć, łaskawy mój panie sąsiedzie*, i w opowiadaniu *Odprawy*. Liryce Kochanowskiego jego gust realistyczny czasem oddaje wątpliwe usługi, podsuwając mu wyrażenia jaskrawo dosadne, co do których można się czasem zastanawiać, czy zostały wzięte z intencją komiczną czy bez niej (tak np. w *Pieśni* I 21 Orfeusz obejrzał się za Eurydyką, „ali — czarci panią zaś porwali"; niebardzo wiadomo, czy to rozumieć w sensie Glucka, czy Offenbacha). Często zresztą takie dosadne, szorstkie słowa są użyte w liryce jako niewątpliwie świadoma kontrastowa *pointa*.

Kochanowski miał świadomość granic swojej twórczości. Przygotowując w późnych latach ostateczną redakcję *Pieśni o potopie*, wpisał do niej znamienne słowa: „Pomni się, lutni! nie twojej to głowy — wspominać Boga żywego rozmowy". Wyraziło się też to we fraszce (III 39), porównywającej różne utwory w zbiorze poety do różnej wartości towarów w kramie kupieckim i w słowach innej fraszki (II 74) „Serdecznego żalu tu nie ruszę, bo ten w twardym diamencie ryto". Wyraziło się wreszcie w „wizji" z listu do Fogelwedra, w której Kocha-

nowski jako stałe towarzyszki swojej pracy pisarskiej przedstawia z jednej strony twardą i bezwzględną konieczność, z drugiej — „poetykę tchnącą jakimś pieściwym czarem". Pisma jego świadczą, że niejednokrotnie ulegał pierwszej z nich, ale motywem tematycznym jego liryki stała się tylko druga, owa *Poëtica nescio quid blandum spirans*. Jej urok, pociecha i szczęście, które z sobą niesie, należą do rzeczy z najżywiej udzielającym się zapałem artystycznym przedstawianych przez Kochanowskiego: czy nadaje im miano „lutni", czy „złotych gęśli", czy „rymów", czy „pieśni". I wśród dodatnich tonów uczuciowych — od górnego patosu aż do intymnego ciepła — niema takiego tonu, któryby się z tym motywem „wdzięcznych strón", „ochłody myśli tesznych" nie łączył. Kochanowski jest prawdziwym poetą radości tworzenia. Jak o Bogu i o kosmicznych perspektywach natury, jak o niepewnej żegludze życia i o skarbie czystego sumienia, jak o miłości i o cierpieniu, — tak i o twórczem szczęściu artysty mówi bez subtylizacji, ale słowami zawsze żywemi i jak klucz otwierającemi do dziś nieomylnie naszą wrażliwość.

Bywa, że i poza temi dziedzinami tematycznemi Kochanowski zdobywa się na słowa o sile poetyckiej (zwłaszcza kiedy jest ożywiony uczuciem patrjotyczno-obywatelskiem), siła to już jednak najczęściej tylko chwilowa, szybko ustępująca prozaizmom publicystyki czy dydaktyki.

*

Kochanowskiego podziwiano przez cztery wieki. W dobie rozkwitu krytyki literackiej zainteresowanie jego twórczością nie osłabło, ale podziw przesunął się niejako na stronę historyczną. Największą przeszkodą dla właściwej oceny jego artyzmu stały się porównania. W zestawieniu z Mickiewiczem, w zestawieniu z rozlewną liryką XIX wieku Kochanowski nie wydawał się ani dość mocny, ani dość serdeczny. Najwięksi też jego miłośnicy mówili o nim z wielorakiemi zastrzeżeniami, a jeśli wyrażali upodobanie w jego utworach, to zawsze z rezerwą. Jeden z najlepszych znawców jego twórczości powiedział przed paru laty wręcz, że „nie poezja, lecz proza to stroficzna i rymowna", że wiersze to „poważne, lecz nie powabne". Inny badacz, piszący o nim z równie wielką miłością, uważał wszelako za konieczne przyciemnić charakte-

rystykę jego sztuki uwagą, że do wysokości mickiewiczowskiej improwizacji nigdy się nie wzniósł. Oczywiście, jeśli chodzi o wielkość tematyczną natchnienia, uwaga słuszna. Uzasadnione wszelako jest i inne mierzenie dzieł sztuki: mianowicie miarą ambicyj powziętych w odniesieniu do nich przez artystów. Jeśli w tym duchu będziemy mówić łącznie o *Improwizacji* z *Dziadów* i np. o fraszce *Do snu*, to raczej wypadnie nam zapytać, czy w *Improwizaeji*, tak samo jak w tym drobnym utworze Kochanowskiego, wszystkie wiersze stoją na jednej wysokości poetyckiej, czy niema w ich szeregach zniżeń i zachwiań poziomu. I wtedy *Improwizacja*, mimo całej swojej niezaprzeczonej mocy, może jednak ujawni pewne słabości i nie będzie tak cyklopicznie przygniatać czarnoleskiej fraszki. Liryka Kochanowskiego to jakby *Das wohltemperierte Klavier* Bacha. A czyż, słuchając fugi Bacha, będziemy żałować, że nie jest ona symfonją Beethovena? Nie porównywajmyż Kochanowskiego nieustannie z poetami o odmiennych celach literackich. Zbliżmy się do niego z samą tylko bezstronną wrażliwością, przeczytajmy wiersz *Do gór i lasów* lub *Do paniej*, *Modlitwę o deszcz* lub pieśń *Czego chcesz od nas, Panie*, *tren I* lub *tren XVIII*, zmierzmy je miarą wewnętrznej konsekwencji estetycznej, a ujrzymy, że te utwory, acz drobne, są artystycznie bardzo wysokie.

W liryce Kochanowskiego bywają prozaizmy, ale nic mylniejszego jak uważać ją całą za wierszowaną prozę. Jeśli probierzem poezji jest owo *enchantement obscur*, o którem mówi Bremond, to stosunkowo nawet niewiele będzie utworów lirycznych naszego autora, którymbyśmy poetyczności przyznać nie mogli: jeśli nie jako całościom (tych, istotnie, liczba nie jest wielka), to jako fragmentom.

Kochanowski celuje zwłaszcza w sztuce, którąby można nazwać sztuką wyrywania czytelnika z atmosfery prozy i nastrajania na słuchanie poetyckie. Prawie w każdym z jego wierszy lirycznych mamy jakieś wezwanie, jakieś zaklęcie, czy apel. Poeta kogoś przywołuje i zwraca się do niego bezpośrednio, jakgdyby był żywcem obecny:

Tu różą, tu fijołki, tu mieńcie leliją.
(*Fraszki* III 66).

Daj się, Hanno, napatrzyć wdzięcznej krasy swojej.
(*Fragm.* p. VI).

Zakładaj korab, cieśla nauczony!
(*Pieśni* II 1).

Precz, krasomowce! wywody na stronę!
(*Pieśni* II 8).

Zetrzy sen z oczu, a czuj wczas o sobie,
Cny Lachu...
(*Pieśni* II 5).

Najczęściej takie wezwanie pojawia się na samym początku utworu. Odrazu więc zostajemy poruszeni silnym akcentem i nagle jakby przeniesieni na inną wysokość, w atmosferę odmiennej reakcji na słowo.

Wróć mi serce, Jadwigo, wróć mi, prze Boga.
(*Fraszki* II 2).

Gdzieśkolwiek jest, Boże-ć pośli dobrą godzinę.
(*Pieśni* I 8).

Kto mi wiary dać nie chce, daj ją oku swemu.
(*Fragm.* p. IX).

Bodaj ci złe dni! — Nie chcesz mię miłować.
(*Fragm.* p. VII).

Próżna twa chluba, nie kochaj się w sobie.
(*Fragm.* p. XI).

Czasem jest w takiem wywołaniu ostry imperatyw, czasem westchnienie tęsknoty, czasem prośba lub pogróżka. Czasem jest namaszczenie wzruszonego i przejętego podniosłością chwili mówcy. Czasem — tylko zaproszenie do współkontemplacji:

Patrzaj, jako śnieg po górach się bieli.
(*Pieśni* I 14).

Wezwania te kieruje Kochanowski nietylko do osób. Zwraca się także z apelem lirycznym do „gęstych lasów i wysokich skał", wzywa „nocne cienie i nieumowne kamienie", przemawia do „pięknej nocy" i do snu. Zwraca się do karty, która będzie czytana przez Reinę, i do poduszki, na której spała ukochana, do bramy i do „dzbana pisanego". Nada jakgdyby osobną istność swojej miłości, swojej melancholji, swojemu rozumowi, aby móc się do nich odezwać apostrofą poetycką. Będzie mówił do bóstw i do bohaterów antycznych:

Matko skrzydlatych miłości!
(*Fraszki* III 12).

Juno, porzuć gniew swój długi!
(*Fragm.* p. X).

Ratuj, mężny Herkules, ratuj, Perseu sławny!
(*Fraszki* III 12).

Szczególnie obfitą serję stanowią wezwania do muz i do lutni, dwojakich personifikacyj poezji:

Panny, które na wielkim Parnasie mieszkacie
(*Fraszki* II 1).

Panny, którym lotnego konia zdrój smakuje
(*Muzy*).

Królewno lutni złotej i rymów pociesznych
(*Pieśni* II 6).

Erato złotowłosa i ty, wdzięczna lutni
(*Treny* XV).

A ty mię nie zostawiaj, wdzięczna lutni moja
(*Treny* XIV).

Oczywiście, Kochanowski tego środka artystycznego nie wymyślił: przejął go od poetów antycznych. Ale w jego zastosowaniu sam stał się prawdziwym mistrzem. Najwyższy artyzm techniki apostroficznej ujawnił się w *Trenach*. Wystarczyłoby przypomnieć tren VII, rozpoczęty od zwrócenia się do „żałosnych ubiorów" Urszulki, i tren I, patetycznie, ze wspaniałą wielosłownością wzywający łzy, skargi, troski, żale i rozpacze do żałobnego domu poety. A to przecie tylko dwa (coprawda, najświetniejsze) przykłady. Całe *Treny* są wielką serją apostrof. Poeta naprzemiany zwraca się to do cienia zmarłego dziecka, to do Boga, to do „niepobożnej śmierci", to do lutni, to do mądrości, to do „złej Persefony", to do murarzy cmentarnych, to do wymownego „Arpina", to do „Czasu, pożądnej ojca niepamięci". Typowemi wyrażeniami pojawiającemi się w momentach kulminacji uczucia są tu wyrażenia wykrzyknikowe:

O prawo krzywdy pełne, o znikomych cieni
Sroga, nieubłagana, nieużyta ksieni!
(II).

O słowa, o zabawo, o wdzięczne ukłony!
(III).

O błędzie ludzki, o szalone dumy!
(XVI).

Styl apostroficzny stał się czemś tak naturalnem i nieodzownem dla Kochanowskiego, że stosował go (i stosował świetnie) nawet w utworach epickich. Tak np. w *Pamiątce Janowi na Tęczynie*, opowiadając o odjeździe bohatera z Szwecji, przerywa relację, by zwrócić się do królewny:

Teraz się napatrz, panno, kogo widzieć żądasz,
Kto wie, jeśli go potem na wieki oglądasz?

Za klasyczny wprost przykład rozległego zastosowania tego stylu można uważać *Sobótkę*. Każda ze śpiewających w niej panien do kogoś lub do czegoś się zwraca: pierwsza — do „sióstr"-towarzyszek i do pięknej nocy; druga — do sąsiadek i do „nadobnego bębennicy"; trzecia — do całego „pięknego koła" i do chłopca, który ciągnął kota; czwarta — do swego „miłego"; piąta — znowu do całej „gromady", ale także do Szymka; szósta — do gospodarza i do gościa; siódma — do myśliwca; ósma — do „pracowitych wołów"; dziewiąta — do „niewiernego pohańca"; dziesiąta — do „miłego"-żołnierza; jedenasta — do skrzypka i „nieprzepłaconej Doroty"; dwunasta — do „wsi spokojnej"...

Niezwykłość wezwań powiększa się jeszcze w wielu wypadkach przez to, że łączy się z niemi zapytanie:

Długoż masz, o miłości, frasować me lata?
(*Fraszki* III 10).

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?

I ta stylistyka zapytań także swój szczyt artystyczny osiąga w *Trenach*. Dość przypomnieć tren X:

Orszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziała?

— cały złożony z serji pytań, i zakończony tylko apelem o postaci zdania w trybie rozkazującym. A ileż jeszcze tam jest innych zwrotów pytających, zarówno z apostrofami retorycznemi, jak bez nich.

Cóż, prze Bóg żywy, nie jest próżno na świecie?
(I).

Tak-li moja Orszula, jeszcze żyć na świecie
Nie umiawszy, musiała w ranem umrzeć lecie?
(II).

...O zła Persefono
Mogłażeś tak wielu łzom dać upłynąć płono?
(V).

Kogo kiedy pobożność jego ratowała?
Kogo dobroć przypadku złego uchowała?
(XI).

Gdzie te wrota nieszczęsne, któremi przed laty
Puszczał się w ziemię Orfeus, szukając swej straty?
(XIV).

W którą nadzieję żywiesz? Czego czekasz więcej?
Czemu śmierci żałością nie zbywasz co prędzej?
(XV).

I w innych utworach Kochanowskiego zdania pytające tego rodzaju, bądź z apostrofami, bądź bez nich, często się pojawiają i tworzą jeden ze znamiennych rysów stylistycznych jego poezji.

Gdzie dziś bogata Troja? Gdzie mocne Myceny?
Gdzie Kartago i Korynt? Gdzie sławne Ateny?
Gdzie się ona gwałtowna rzymska moc podziała?
Wszytko śmierć niecierpliwa z ziemią porównała.
(*O śmierci Jana Tarnowskiego*).

Kto mi dał skrzydła? Kto mię odział pióry?
(*Pieśni* I 10).

W co poszły działa i nasze turnieje?
(*Pieśni* II 8).

Te tak często pojawiające się zapytania jakgdyby uprzytomniały, że świat poezji to świat, w którym przy pomocy słowa usiłujemy zbliżyć się do tajemnic.

Nie z tego jednak tylko względu warto zwrócić uwagę na interrogacyjną retorykę Kochanowskiego. Zdanie pytające ma inną melodję, niż zdanie oznajmujące czy rozkazujące. Uszeregowanie też zdań pytających z oznajmującemi i rozkazującemi tworzy specyficzną linję melodyjną utworu. Są poeci, dla których nie ma to żadnego znaczenia; kwestja melodji w ich utworach jest czemś estetycznie obojętnem. U Kochanowskiego, dzięki obfitości zdań pytających, dzięki roli, jaka im nieraz jest wyznaczona w kompozycji utworów, można mówić o melodyce jako o istotnym czynniku artystycznym (który daje się odczuwać niekoniecznie tylko przy głośnem czytaniu).

Apel i pytanie to najbardziej stałe środki stylistyczne liryki Kochanowskiego. Najłatwiej je też zaobserwować, bo przejawiają się najczęściej bądź w ekspozycji, bądź w kulminacji motywu.

Kompozycja utworów lirycznych Kochanowskiego najczęściej wynika z dążności do uwydatnienia, jak jakaś treść jest złożona, lub też jakie ujawnia przeciwieństwa. Jedne więc utwory będą oparte na zasadzie wyliczania, inne na zasadzie kontrastowania. Przykładem kompozycyjnego zastosowania tej drugiej może być pieśń *Serce roście patrząc na te czasy*, przeciwstawiająca wiosnę zimie, a potem — w równoległej jakby linji — czyste sumienie nieczystemu. Podobnie podwójne kontrasty mamy w pieśni *Ty śpisz, a ja sam na dworze*: jeden ujawnia się w zestawieniu niepowodzenia serenad poety z cudami wywoływanemi przez muzykę Amfiona i Orfeusza; drugi wynika z porównania bezsennej nocy poety z porannemi nabożnemi czynnościami klasztoru. Pieśń *Nie za staraniem, ani przez mą sprawę* przeciwstawia zawód miłosny niezmiennej życzliwości dla kochanki. W pieśni *Rozumie mój, prózno się masz frasować* ukazane jest przeciwieństwo między racjonalnemi pociechami refleksji a nie dającem się pocieszyć sercem. Inna pieśń: *Nieźle czasem zamilczeć, co człowieka boli* prowadzi do przekleństwa, jaskrawo zaprzeczającego myśli, wyrażonej w jej pierwszym wierszu. Pieśń *Zegar, słyszę, wybija* aż trzy równoległe kontrasty przedstawia: jeden — to melancholja i „dobra myśl", drugi — ambicje ludzkie i błazeństwo człowieka wobec Boga, trzeci — chciwość i rozrzutność. W pieśni *Przeciwne chmury słońce nam zakryły* po obrazie strasznej klęski potopu następuje przeciwny mu nastrojowo radosny obraz odnowienia życia ziemi. Pieśń *Wieczna sromota* z obrazem zawstydzającego tatarskiego pogromu łączy kontrastowo wezwanie do rycerskiego czynu. Pierwsza część pieśni *Wy, którzy pospolitą rzeczą władacie* mówi o władzy rządców, druga — o ich odpowiedzialności. I t. d.

A ileż kontrastów w *Trenach*. Już zakończenie pierwszego z nich ukazuje pierwiastek zasadniczej sprzeczności, która cały cykl przenika:

> Nie wiem, co lżej: czy w smutku jawnie żałować,
> Czyli się z przyrodzeniem gwałtem mocować?

A potem mamy kontrast pieśni dziecinnych i grobu (II), młodej dziedziczki i opuszczonej ojcowizny (III), śmierci właściwej starym i dziecka zmarłego w małych latach (IV), troskliwej hodowli oliwki i nagłego jej zniszczenia (V), wielkich nadziei i okrutnego zawodu (VI), wyprawy ślubnej i wyprawy trumiennej (VII), mnogości domowników i pustki domu (VIII), powagi mądrości i jej zupełnej bezsiły (IX). I t. d. I w całości kompozycyjnej cyklu jest kontrast pomiędzy pierwszemi piętnastu trenami, wystawiającemi obraz nieposkromionego bólu, a ostatniemi trenami konsolacyjnemi.

I w szczegółach spotykamy się nieraz u Kochanowskiego z kontrastem jako środkiem poetyckim:

Ma to twarz twoja, panno wszech piękniejsza, w sobie,
Że człowiek rad i nierad musi służyć tobie
(*Pieśni* I 4).

Miecz przed nim srogi, ale złemu tylko srogi
(*Proporzec*).

Co tedy prawem inszy, co nas przysięgami
Wiązali, ty nas sercem zepnij i myślami
(*Proporzec*).

Takem bojaźni prózen, jako i nadzieje
(*Fragm.*).

Niektóre z tych wyrażeń należą nawet do *lieux communs* Kochanowskiego. Ostatnie np. z przytoczonych (z fragmentu *Śmierci się nie bać, cnoty naśladować*) w mało odmiennej postaci spotykamy w poemacie *O śmierci Jana Tarnowskiego* (1561):

Prózenem i bojaźni, i wszelkiej nadzieje.

W tym samym zaś wczesnym utworze znajdujemy i inne często w różnych warjantach powracające u Kochanowskiego kontrastowe zestawienie:

Po niepogodnej zimie piękna wiosna chodzi.

Częściej od zasady kontrastowej spotkamy zasadą wyliczeniową. Za przykład kompozycji na niej opartej może służyć *Modlitwa o deszcz*: przed wezwaniem do Boga wylicza poeta twory natury, czekające łaski deszczowej, a potem znowu wylicza przejawy szczodrobliwości i potęgi bożej. Podobnież wiersz *Gdzie teraz ono jabłko* przed zwróceniem się błagalnem do miłości, przelicza dowody jej wszechwładzy. W wierszu *Do*

snu wyliczone są znowu różne możliwości marzenia. Sławna ostatnia pieśń *Sobótki* jest długiem wyliczeniem powabów wsi. *Tren I* przelicza (we wstępnej apostrofie) formy wyrazu cierpienia. *Tren X* to nic innego jak wyliczanie możliwości bytu pozagrobowego. Pieśń *Kto mi dał skrzydła* wylicza wielkie postaci historji Polski. Pieśń *Czego chcesz od nas, Panie,* wylicza wielkie dzieła boże.

Nawet szczegóły kompozycyjnie drugorzędne wyposaża Kochanowski w siłę ekspresyjną przez uwydatnienie ich wielolitości. Tak np. w *trenie* XIX daje wyobrażenie o życiu niebiańskiem, przeliczając jego niepodobieństwa do życia na ziemi:

Tu troski nie panują, tu pracej nie znają,
Tu nieszczęście, tu miejsca przygody nie mają,
Tu choroby nie najdzie, tu niemasz starości.
Tu śmierć łzami karmiona nie ma już wolności.

Bywają tak szeregowane czasem same tylko przymiotniki:

Owa Bóg nieśmiertelny, wieczny, władogromy
(*Epitalamjum*).

Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany
(*Treny*, VII).

I nietylko w liryce, ale i poza nią wyliczenie jest u Kochanowskiego jednym ze stałych i skutecznych środków poetyckiego ożywiania obrazów. Oto *Zgoda*:

Ja, Zgoda, która sporne planety sprawuję,
Ziemię, wodę, wiatr, ogień w żywiołach miarkuję.

Oto zamek Tarsesa w *Szachach:*

Pełen dwór zawżdy bywał cudzoziemców,
Czechów, Polaków, Francuzów i Niemców.

Oto *Proporzec:*

Okazały się na nim rozliczne narody,
Króle, wojska, hetmani, rzeki, miasta, grody.

Nawet „ilustracyjne" wstawki mitologiczne nabierają wymownego wyrazu dzięki przeliczeniom. Tak np. jest w *Muzach,* gdzie Kochanowski wymienia pokolei sześciu tytanów podejmujących bunt przeciwko bogom. Z „poezją mnogości" łączy się tu poezja antycznego kolorytu imion — zupełnie tak samo,

jak w głośnym dwuwierszu ze *Sztuki poetyckiej* Boila, albo jak w *Orfeuszu i Argonautach* Briusowa:

Jako skrzętny Encelad, Mimas niezmierzony,
Zuchwalec Porfiryjon, Roteus nieskrócony,
Dziewięsił Briareus i Tyfon storęki
Chcieli z drugiemi braty do nieba przezdzięki.

Wyliczenia Kochanowskiego obejmują nietylko przedmioty i zjawiska równoczesne. Spotykamy je także w zastosowaniu do zjawisk, łączących się z sobą w kolejności następczej. Uwydatniają one wtedy serje zmiennych momentów. Za przykład może służyć opis nieszczęść Midasa w *Dziewosłębie*, albo (jeśli chodzi o przykład krótszy) opis żegnania przez królewnę szwedzką odpływającego okrętu Tęczyńskiego (w *Pamiątce*):

Póki go widzieć mogła, oczy w nim trzymała,
Potem na same tylko już żagle patrzała;
Nakoniec, kiedy i on, i żagle zniknęli,
Ledwe napoły żywą słudzy z brzegu wzięli.

Wyliczenia bywają w poezji Kochanowskiego dobitnie uwydatniane przez dwa środki: przez zamykanie ich członów w granicach wierszy i przez powtórzenia słowne.

Prózno morzem nie pływamy,
Prózno w bitwach nie bywamy
(*Treny*, XVII).

Fortuna nawy na morzu sprawuje,
Fortuna w bitwach zwycięstwa szafuje
(*Pieśni* II 8).

Jak dalece to jest przyrodzony Kochanowskiemu środek techniczno-artystyczny, o tem przekonywamy się w tych utworach, które są parafrazami rzeczy klasycznych. Tak jest np. w lamencie Penelopy, wzorowanym na *Heroidach* Owidjusza:

Troszczą mię, smutną, srogie morskie wody,
Troszczą mię wiatry i złe niepogody,
Troszcze mię wszystko, cokolwiek być może.

W oryginale jest wprawdzie podobna symetryczność budowy składniowej i wierszowej, ale powtórzenie jest tylko jedno i mniejszej rozległości:

Quaecumque aequor habet, quaecumque pericula tellus,
Tam longae causas suspicor esse morae.

U Kochanowskiego jest możliwy nawet i podwójny paralelizm składniowo-rytmiczny i podwójne powtórzenia:

Miło patrzeć na łąki, kiedy się odzieją,
Miło patrzeć na zdroje, kiedy wodę leją.
(*Fraszki* II 62).

Czasem, przy paralelizmie składni i wiersza i przy zastosowaniu powtórzenia, symetrja wewnętrzna bywa odwrócona:

Jego śmierci północne boginie płakały,
Płakały ciemne lasy i wyniosłe skały.
(*Pamiątka*).

Równoległość składniowo-rytmiczna w wyliczeniach przejawia się często nietylko w granicach wiersza, ale i w granicach jego części, które wyodrębnia średniówka. I ten rodzaj paralelizmu bywa również często wzmacniany przez powtórzenia słowne.

Lubeż moje wesele, lubeż me biesiady
(*Pieśni* I 7).

Myśli ważne na ziemi, myśli ważne w niebie
(*Pieśni* II 19).

A nasze troski wniwecz, wniwecz i staranie
(*Fraszki* II 69).

Nikt nie poradzi, nikt nie pożałuje
(*Fraszki* II 46).

Nie słyszysz prawdy, nie słyszysz przestrogi
(*Fraszki* II 46).

Równoległość składniowo-rytmiczna mogłaby być źródłem monotonji. Nie jest niem jednak tutaj wobec tego, że uwypukla wyliczenia, a wyliczenia mają znaczenie w kompozycji. Powtórzenia zaś słowne wprowadzają jeszcze uzupełniający odcień ekspresyjny.

Te powtórzenia odświeżają wogóle i darzą wigorem poetyckim wyrażenia, które bez nich byłyby słabe. Powiedzieć: Prawdziwa miłość nigdy nie umiera — nie byłoby czemś szczególnie poetycznem. Czem innem jednak jest wiersz Kochanowskiego (*Fraszki* II 100):

Nigdy, nigdy prawdziwa miłość nie umiera.

Podobnież nie byłoby wymowną poezją zdanie: Hanno, twój

mąż cię mianuje (wzywa). Inaczej jednak mówi Kochanowski (*Fraszki* III 71):

Hanno, o Hanno moja, twój cię mąż mianuje.

W ten sposób ożywiają się różne schematyczne formuły:

Mężu mój, o mój mężu, śmierć nielutościwa
Mnie smutną z tobą dzieli...
(*Fraszki* III 67).

Bardziej też uczuciowo naświetlają się enumeracje:

Gdzie teraz ona stateczność? Gdzie sądy? Gdzie prawa?
(Zuzanna).

Od pracej, od frasunków, od łez, od żałości
(*Treny*, XIX).

Przez gęste wozy, przez wały, przez płoty
(Szachy).

I znowu wzory (w wypadkach parafraz) mogą przekonać, jak dalece własna to sztuka Kochanowskiego. Zacytowany wiersz z *Szachów* ma źródło u Vidy, ale u Vidy niema powtórzeń: jest tylko: *penetrat cuneos, aperitque viam vi.*

Niedostrzeżenie jedynie czy niedocenienie tych elementów artyzmu Kochanowskiego prowadzić może do orzeczenia, iż pisma jego wszystkie są prozą tylko „stroficzną i rymowną". Zresztą orzeczenie to uderza już formalną niedostatecznością. Nie jest w niem uwydatniony czynnik rytmu. Z pojawieniem się zaś rytmu najbardziej notoryczna proza często zupełnie nagle i niepostrzeżenie przestaje być prozą. Czyż ostatecznie nie mógłby się w zwykłej prozie znaleźć wiersz Racine'a:

La fille de Minos et de Pasiphaé?

A przecież jest to jeden z najsławniejszych wierszy tego poety — przez zwartość, przez szczególny zespół dźwięków, przez owe dwa tak swoiście nastrajające imiona, przez zamknięcie najściślejsze w kleszczach wiersza. Podobnie możnaby mówić i o niejednym wierszu Kochanowskiego.

Tarses, król duński, miał dziewkę nadobną.

Ten wiersz *Szachów* czyż nie mógłby się równać z rasynowskim? Jest tak samo zamknięty, tak samo szczególny dźwiękowo, tak samo otwiera rozległą perspektywę epicką.

Mówi się, że w wierszach Kochanowskiego (słowa tego samego znakomitego historyka literatury) „za mało... błysku,

barwy i polotu". Zapewne, obrazy Kochanowskiego nie są szczególnie barwne, ani lśniące, ale też ambicja poezji jego nie w tym kierunku idzie: ona nie pragnie naogół zdumiewać nowościami, ale raczej wydobywać poetycką wielkość i poetyckie ciepło z powszedniości. Jego porównania będą raczej zbliżającemi, aniżeli unoszącemi w oddal:

Sam się prawie położył, jako kłos dojrzały
(*O śmierci Jana Tarnowskiego*).

Wszytko tu jako trawa czasu swego minie
(*Fragm.*).

Wszytko insze jako dym albo mgła przeminie
(*Fragm.*).

Twoje nadobne lice jest podobne zarzy
(*Pieśni* I 7).

I tak dalej. Wiatr, śnieg, słońce, księżyc, gwiazdy, piorun, dym, sen, ptak, zwierzęta domowe, pszczoły, knot w lampie, człowiek w gorączce: oto typowe tematy porównań Kochanowskiego. Klasyczne oliwki i winnice będą wyjątkami tylko. Do częstszych, a od potocznego życia polskiego bardziej oddalonych należy jedno morze.

Jak z porównaniami, tak jest i z (rzadszemi) metaforami:

Dziś inne wiatry przeciwko mnie wieją
(*Pieśni* I 15).

Doszedłem portu, już więc z innych szydzi
(*Na XII tablic*).

Również i epitety Kochanowskiego, jak powszechnie wiadomo, o blask czy barwę ani się kuszą: one zazwyczaj tylko wskazują miarę i siłę. Określnikami miary i siły przecież tylko mają być epitety w wyrażeniach: „nieubłagana Wisła", „strumień niewściągniony", „grzbiet nieujeżdżony", „tarcz nieprzełomiona", „korab niezmierzony", „śmierć wszytkokrotna", „śmierć nieużyta", „obietnica nieobłędliwa", „stróż nieokrócony", „troski nieuśpione", „niepochybna miłość", i t. p. Takich zaś epitetów u Kochanowskiego najwięcej. Któż jednak powie, że są one poetycko bezcelowe, że zamierzonego przez poetę wrażenia nie dają? Nietylko zaś barwa, blask i polot są uprawnionemi kategorjami wrażeniowemi w sztuce. Spokojna tężyzna może obok nich stanąć. A jej właśnie wyrazem jest powściągliwa, bynajmniej jednak nie bezuczuciowa poezja Kochanowskiego.

„Krok ich zbyt ciężki,... forma ich zbyt prosta“: pisze o wierszach Kochanowskiego ten sam ciągle badacz literatury, prawdopodobnie mając na myśli przedewszystkiem omówioną tu już częściowo a częstą w tej poezji równoległość między członami składniowemi (zdaniami lub ich rozwiniętemi częściami) a członami rytmicznemi (wierszami lub ich częściami wyodrębnionemi przez średniówkę). Widzieliśmy już, że te paralelizmy bywają przez Kochanowskiego wyzyskiwane kompozycyjnie (gdy zasadą kompozycji jest wyliczenie). Dodać można, że wogóle ta sprawa nie może być traktowana ryczałtowo. Paralelizm paralelizmowi nierówny. Są wypadki, że treść jest sztucznie rozciągana, by mogła się ułożyć syntaktycznie wedle wytycznych wiersza; w innych wypadkach mamy pozbawione sztuczności a ścisłe dostosowanie, i wtedy nie możemy doznawać wrażenia nieartystycznego. Ileż takich dodatnich przykładów, w różnych typach wierszy, dałoby się z Kochanowskiego cytować:

11-zgł. (5+6): Miejsce na zamku, ‖ czas we dwie niedzieli ‖ (*Szachy*).

11-zgł. (4+7): W czem się kochasz, ‖ to cię daleko mija ‖ (*Pieśni* I 22).

13-zgł. (7+6): W nadzieję ludzie orzą ‖ i w nadzieję sieją ‖ (*Pieśni* I 7).

13-zgł. (8+5): Jaciem twój był jako żywo ‖ i twoim zginę ‖ (*Pieśni* I 8).

14-zgł. (7+7): Uciekaj co nadalej, ‖ jako ptak prędkopióry ‖ (*Psalm* 11).

14-zgł. (8+6): Serce, czekając, ustawa, ‖ nadzieja nie stanie ‖ (*Psalm* 119).

Uzasadnieniem tych paralel składniowo-rytmicznych jest zwięzłość stylu Kochanowskiego. Pełniejsze zaś jeszcze ich znaczenie artystyczne ujawnia się, gdy się łączą z sobą wiersze o odmiennych typach paralelizmu. Np. w pieśni II 1:

A trupy wkoło straszliwe leżały, ‖
Ludzie i bydło, ‖ wielki zwierz i mały, ‖
Pełne ich morza, ‖ pełne brzegi były, ‖
Boga ruszyły. ‖

Wiersze 2 i 3 w tym przykładzie stanowią szeregi różne, ale analogiczne; wiersz 1 jest odmienny w typie (średniówce nie odpowiada żaden przedział składniowy).

Kochanowski zna zresztą i przejścia składniowe z wiersza do wiersza *(enjambements)*;

Trawie podobien człowiek, || którą ostremi
Leda w dzień kosa przytnie zębami swemi; ||
Podobien kwiatu, który, || gdy się rozwinął
Nalepiej, dusznym wiatrem zmorzony, zginął. |
(*Psalm* 103).

(Oznaczyłem, jak i w poprzednich przykładach, momenty zgodności pomiędzy przedziałami wersyfikacyjnemi a syntaktycznemi).

Łączenie wierszy, w których jest zgodność przedziałowa składni i rytmu (bądź w obrębie wierszy, bądź ich części), z wierszami (czy częściami wierszy) bez takiej zgodności wprowadza nowe drgnienia do ogólnego toku utworu:

Ktokolwiek mocnie ufa Panu swemu, |
Nieporuszony stoi, syjońskiemu
Wierzchowi równien, || którego nie mogą
Gwałtowne wiatry pożyć żadną trwogą. ||
(*Psalm* 125).

Z tak rozmaitych ustosunkowań składni do wiersza wynika, że i rymy gramatyczne, częste u Kochanowskiego, niezawsze rażą: bo wyrazy rymujące różni nieraz siła przycisku, co — przy kondensacji tego stylu — dość je od siebie oddziela. A dodać można, że różnorakie ukształtowania składniowo-rytmiczne stają się także w pewnej mierze czynnikiem melodycznym.

Przez takie to czynniki osiąga Kochanowski swoiste nastrojenie uczuciowe, które inny poeta osiągałby może przez subtylizację materji poetyckiej, lub bogate obrazowanie. Nie nazywajmyż zbyt pochopnie jego poezji ciężką. Kiedy przychodzimy z uszami pełnemi Chopina, może nam być trudno słuchać *Das wohltemperierte Klavier*, ale nikt nie powie, że w jego fugach „krok... zbyt ciężki". Wśród wierszy Kochanowskiego, zapewne, są wiersze ciężkie, ale nie osądzajmy ryczałtem całości. Bo jest wśród nich wiele takich, w których słyszy się szept owej alegorycznej patronki poety, *Poëtica nescio quid blandum spirans*: dziś tak samo, jak półczwarta wieku temu.

ZYGMUNT ŁEMPICKI

POLSKA I POLSKOŚĆ W NAUCZANIU POLSKIEGO

ODCZYT WYGŁOSZONY NA INAUGURACYJNEM POSIEDZENIU II-GO OGÓLNOPOLSKIEGO ZJAZDU POLONISTÓW W AULI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO DNIA 6-GO CZERWCA 1930 ROKU

Jeśli jako niefachowiec, t. zn. nie nauczyciel i nie polonista, śmiem dziś zabrać głos przed zebraniem, wśród którego nie brak poważnych, gruntownych i wytrawnych znawców przedmiotu, o którym mam zamiar mówić, to sądzę, że usprawiedliwienie mojej śmiałości będzie zarazem umotywowaniem tego wystąpienia. Dowodzi ono bowiem pośrednio, że sprawy, o których mam zamiar mówić, nie są i nie mogą być tylko przedmiotem zajęcia ścisłego grona specjalistów, ale budzą zainteresowanie w kołach szerszych.

Jest to rzecz zrozumiała, albowiem chodzi tu przecież nie wyłącznie o zagadnienie dydaktyczne, ale o podstawowy problem nietylko nauczania w Polsce, ale kultury narodowej wogóle. Problem ten przedstawi się jednak może nieco jaśniej, jeżeli nietylko ujmie go się od wewnątrz naszej polskiej rzeczywistości, t. zn. z punktu widzenia potrzeb polskiego życia, ale rzuci na tło pewnych ogólnych prądów duchowych, które do nas w tej lub innej formie przecież docierają, i to zarówno w swoich ideowych podstawach, jako też i w praktycznych — w tym wypadku dydaktycznych — konsekwencjach. Te konsekwencje stanowiłyby punkt drugi tych rozstrząsań, potrzeby specjalne polskiej rzeczywistości punkt trzeci, poczem jako punkt czwarty zostałby rozwinięty sam program w rysach najogólniejszych; na końcu wreszcie wypadłoby rozważyć pewne — będące znowu wynikiem ogólnych prądów ideowych doby dzisiejszej — zastrzeżenia i wątpliwości, jakie program taki mógłby obudzić.

I

OGÓLNE PODSTAWY IDEOWE

Gdyby chcieć przedstawić w najogólniejszych rysach podstawy duchowe nauk humanistycznych w dobie dzisiejszej, trzebaby powiedzieć, że w fazie pokonywania pozytywizmu, zmagania się z nim, doznały i one bardzo silnego wstrząsu przez wielkie i ogólnoludzkie, choć do kilku państw tylko faktycznie ograniczone przeżycie wielkiej wojny. Fale tego zmagania dotknęły i Polski choć tylko swojemi ostatniemi kręgami, wstrząs zaś ten objął oczywiście i Polskę.

Pozytywizm, którego istotny rozkwit przypada na przełom w. XIX i XX, stawiał sobie za zadanie gruntowne i na ściśle naukowych podstawach oparte zbadanie rzeczywistości duchowej i jej objaśnienie na podstawie zasady przyczynowości. Pozytywizm dał naukom humanistycznym równie wiele w okresie swego rozkwitu w wieku XIX, jak poprzednio w w. XVIII — analogje są przecież widoczne i rażące. W konsekwencjach swoich doprowadził on jednak do pewnego wyjałowienia nauki i wiedzy, do odcięcia jej soków żywotnych, do ciasnej specjalizacji w zakresie badania i do oschłego schematyzmu w metodzie badania. Jedną z jego konsekwencyj było zupełne niemal zatracenie kontaktu pomiędzy nauką a życiem. Z trzech stron, trzech źródeł wypłynęły nowe ożywcze prądy, zwalczające pozytywizm i podmywające jego podstawy. We Francji dał Bergson nowe ujęcie życia wogóle a duchowego w szczególności, socjologja francuska zaś rzuciła snop światła na zjawiska kultury. W Niemczech długo zapoznany Dilthey dał nowe ujęcie zagadnienia życia historycznego, filozofja transcendentalna i fenomenologja otworzyły nowe perspektywy zarówno w samem ujęciu istoty zjawisk, jak i w ich traktowaniu. W Ameryce pragmatyzm konsekwentnie postawił i uzasadnił postulat prymatu życia. Te prądy miały znaczenie nietylko dla rozbudowy myśli filozoficznej, ale i dla kultury wogóle. Wojna przyśpieszyła proces dojrzewania wielkiej przemiany i budowy, udostępniła te prądy szerszym masom tak, że powstała z nich pewna nowa całość, powstało to, co nazywamy kulturą.

Chcąc w kilku zdaniach ująć charakterystyczne rysy tej przemiany, wypadałoby podnieść następujące punkty:

1. Miejsce genetycznego ujęcia zjawisk, a więc stawiającego sobie za najwyższy punkt ambicji badawczej dojście do przyczyn, zajęło ujęcie systematyczne, morfologiczne, t. zn. dążenie do wniknięcia w istotę zjawiska i uchwycenia jego zasadniczych rysów na drodze t. zw. indywidualizacji, z wyraźnem dążeniem do typologji, jako pewnej przeciwwagi. Zamiast badaniem i dociekaniem zajęto się raczej rozpatrywaniem zjawisk.

2. Miejsce ujęcia zjawisk indywidualistyczno-psychologicznego zajęło ujęcie kolektywno-duchoznawcze. Znaczy to, że zainteresowanie badaczy idzie nie w kierunku docierania do indywidualnych podniet działania jednostkowego, jako punktu wyjścia ogólnych prądów, lecz koncentruje się raczej na pewnych tworach i objawach natury ponadindywidualnej, takich jak duch czasu, styl epoki, charakter narodów, z większem u jednych, z mniejszem u drugich uwzględnieniem czynnika społecznego, głównie po stronie odbiorców.

3. Miejsce analitycznego dążenia specjalistów każdego w swoim zakresie, nie troszczącego się wcale, lub tylko mało o to, co robią obok niego, zajmuje skłonność do syntezy, wzajemnego przenikania się różnych dziedzin wiedzy i systemów kultury na jednolitej podstawie duchoznawczej, a więc pewien uniwersalizm w przeciwieństwie do wykoszlawiającej nieraz rzeczywistość specjalizacji u ludzi wielkiej nieraz nauki, lecz o ciasnym horyzoncie; jednem słowem występuje traktowanie zjawiska jednostkowego łącznie z całością objawów kultury.

4. Miejsce pewnej dostojnej izolacji nauki od życia, w której niektórzy wybitni jej przedstawiciele widzieli istotną gwarancję jej rozwoju i rozkwitu, zajęło przekonanie o potrzebie wzajemnego przenikania nauki i życia, tak, żeby nauka twórczo ustosunkowała się do wielkich zagadnień, jakie nasuwa życie, a życie czerpało z nauki podniety pełne i płodne.

5. W te wymienione wyżej momenty wprowadziła wojna nowy czynnik pewnego podniecenia i wzmożenia poczucia narodowego, dążność samopoznania narodowego i poznania narodów obcych, wniknięcia w siebie i chęć zgłębienia psychiki innych. Postawiła społeczeństwa przed nowemi zagadnieniami, a narody przed nowemi zadaniami. Przyspieszyła proces ogólnej przemiany duchowej i nadała nauce i nauczaniu nowe pię-

tno. Ujawniła i wyjaskrawiła pewne tendencje, dotychczas kiełkujące tylko lub niewyraźnie się ujawniające.

Z ducha tych uwydatnionych przez nas zmian nastąpił w dziedzinie bliżej nas tu obchodzącej fakt, który określićby można mianem odrodzenia filologji. Odrodzenie to można było dotychczas obserwować w dwóch okresach dziejów duchowych nowoczesnej ludzkości, w tych mianowicie, w których logicznemu pojmowaniu i wyjaśnieniu zjawisk przeciwstawiono wyraźnie intuicyjne rozumienie i ujmowanie, a więc w okresie renesansu i romantyzmu. Z tych okresów wychodzą najsławniejsze twory prawdziwego ducha filologicznego, choć nie brak ich oczywiście i w okresach innych jako objawów indywidualnych. Z ducha romantyzmu poczęła się nowa filologja — której cechą jest umiłowanie przeszłości, chęć ogarnięcia jej najszerszego kręgu i najgłębszego wniknięcia w jej ducha. Uniwersalistyczna tendencja i dążność do zgłębienia ducha czasu i charakteru narodu są tej filologji znamionami najistotniejszemi. Za jej objaw w Polsce można uważać mickiewiczowskie prelekcje paryskie, które czekają jeszcze na należyte oświetlenie naukowe. Przedstawicielem tak pojętej filologji był u nas poniekąd A. Małecki, a jest A. Brückner. Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że zmaganie z pozytywizmem rozpoczęło się właśnie od zagadnień lingwistycznych, na tym terenie zaczęła się rozwijać tak zwana filologja idealistyczna, za której twórców uważać trzeba B. Crocego i K. Vosslera, a rozszerzyła się i poza teren językowy na inne objawy kultury duchowej, przedewszystkiem literaturę. Celem zaś, jaki sobie ta filologja, jak wszelka filologja w wielkim stylu, stawiała, było wniknięcie poprzez literę do ducha, nie ograniczenie się do skrupulatnego objaśnienia litery, ale dążenie do ogarnięcia ducha. Drugą zaś cechą bardzo znamienną, obok programowej i faktycznej intensyfikacji filologicznego wyczucia, była także jego ekstensyfikacja, rozszerzenie tych dążności na cały zakres kultury duchowej przedewszystkiem dawnej, poza język i literaturę, a więc na religję, obyczaj, stosunki pierwotne. Ideałowi tak pojętej filologji hołdował w okresie zarania pozytywizmu wielki germanista W. Scherer, który w przedmowie do swej klasycznej książki o historji języka niemieckiego podkreślił, że oczywistą konsekwencją tak pojętej filologji musi być system etyki narodowej, podniósł zatem jej

walory nietylko specyficznie naukowe, ale i ogólno kulturalne i wychowawcze. I tak jest rzeczywiście. Bo trzeba sobie to uprzytomnić, że nauka polskiego w Polsce, niemieckiego w Niemczech, czy francuskiego we Francji nie jest przecież w gruncie rzeczy niczem innem, jak tylko filologją stosowaną i to nietylko do celów nauczania, ale i kształcenia w tem szerszem i głębszem słowa znaczeniu, do celów wychowania narodowego.

Ten więc fakt, który określić można ogólnikowo jako odrodzenie filologji, a więc wzrost tendencji duchoznawczej wraz z tendencją kształcącą i równoczesnem rozszerzeniem zakresu zainteresowania na cały obszar kultury duchowej, jest tą cechą, która winna i musi wpłynąć także na zasadniczą przebudowę naszej polonistyki.

II

ZAŁOŻENIA PEDAGOGICZNE I DYDAKTYCZNE

Konsekwencje pedagogiczne i dydaktyczne tej wielkiej i znamiennej przemiany są tak widoczne i oczywiście fachowcom tak dobrze znane, że zbytecznem byłoby bliżej się tu nad niemi rozwodzić. Wystarczy więc uwydatnić kilka rysów zasadniczych.

Pierwszym bodaj charakterystycznym rysem, jaki w tym związku wypadnie podnieść to to, coby, popularnie rzecz określając, nazwać można wzrostem tendencji pedagogicznej w nauczaniu nad ściśle dydaktyczną. Wynikiem dydaktyki, będącej typowym objawem ducha pozytywizmu, opartej, jak wogóle wszystkie nauki wówczas, na psychologji, było wydoskonalenie aktu nauczania. W laboratorjach psychologicznych, przy eksperymentach dydaktycznych w szkole, ginął powoli duch i ideał samego nauczania, a wydoskonaliła się najniewątpliwiej jego technika, rzemiosło dydaktyczne, co jest także zdobyczą niezmiernie cenną. Weszliśmy wszelako obecnie w pedagogji znowu w okres, któryby nazwać można idealistycznym, a którego wyrazem jest przekonanie, że szkoła musi dostarczać nietylko wiadomości pożytecznych i zajmować się rozwojem umysłowym i duchowym dziecka, ale jego kształceniem w dosłownem tego słowa znaczeniu. Problem kształcenia stał się dziś znowu aktualnym, jak w okresie humanizmu, neohumanizmu i romantyzmu. A kształcić to znaczy co innego, niż uczyć, i co innego, niż wychowywać. Kształcić, to znaczy wychowywać przez uczenie,

nadawać przez nie dany kształt, formować ją według pewnego ideału, dać jej pewien styl a zarazem budzić ją i dać jej pewną wewnętrzną siłę do samokształtowania się. Coraz więcej nauczanie z celu samego w sobie staje się środkiem kształcenia. Jest przytem dalej znamiennem, że zainteresowania dzisiejszej pedagogiki idą znów bardziej w kierunku młodzieży dorastającej. Wyszliśmy ze stulecia dziecka, wchodzimy może w stulecie młodzieży.

W tak pojętem kształceniu kulturze ojczystej przypada dziś rola decydująca. O tyle wyszliśmy przecież poza wieki ubiegłe, że, nie zaniedbując bynajmniej kultury starożytnej, nie uważamy jej za klasyczną i nie uważamy jej też za punkt wyjścia nowoczesnego kształcenia. Z tego to powodu nauczaniu polskiego u nas, niemieckiego w Niemczech, francuskiego we Francji i t. p., przypada zupełnie inne znaczenie, niż każdemu innemu przedmiotowi nauczania, który ma swoją metodykę i technikę nauczania ujętą w pewien system, wyrażający się przeważnie w ideale podzielonych na jednostki metodyczne godziny. Inaczej musi się z natury rzeczy przedstawiać sprawa w nauce kultury rodzimej, albowiem nauka ta nie jest przecież niczem innem, jak nauką życia a w konsekwencji przedmiot ten zająć musi w nauczaniu szkolnem stanowisko nie obok innych przedmiotów spółrzędne, ale wyraźnie nadrzędne.

Jeśli chodzi o dalsze konsekwencje tej przemiany duchowej w dziedzinie kształcenia, to poza celem, poza ideałem pedagogicznym, trzeba wziąć tu w rachubę także środki i drogi. Jeśli cel ten czy ideał da się określić jako uczenie życia i to głównie na materjale kultury ojczystej, to ważnym środkiem do tego prowadzącym musi być pewna aktywizacja nauki szkolnej w tym zakresie. Zadaniem szkoły musi więc być młodzież pobudzić, poruszyć, wstrząsnąć nią, zachęcić do samoistnego działania i postępowania, prowadzić do samoistnego stosunku wobec życia i świata, ze spektatorów uczynić ludzi czynu, zdobyć ją dla tego, co twórcze, otworzyć jej oczy na to, co wartościowe i nowe, a uodpornić na to, co szkodliwe i złe. Jak powiada W. Schönbrun, jeden z głównych propagatorów skrajnego pedagogicznego aktywizmu, nauka rodzimego języka i kultury jest wielkiem budzeniem, jest nietylko pośredniczeniem w podawaniu wiedzy, lecz walką a mianowicie walką w obronie

bezwzględnej przewagi ducha i jej wyrazu duchowego, od którego teraz młodzież naogół ucieka. Aby młodzież zrobić czynną i samodzielną, musi się ją uczyć nietylko wyrazu, ale dawać jej pewną treść i to nietylko przejętą, ale uczyć tę treść samoistnie wytwarzać, tak, żeby, czerpiąc w przeszłości i umiejąc patrzeć na teraźniejszość, miała nietylko wiarę w przyszłość, ale i chęć czynnego współdziałania w budowie tej przyszłości. O ważności tego zadania z punktu widzenia narodowego zbytecznem byłoby szeroko się rozwodzić. Wystarczy jednak wskazać, że to budzenie musi iść — nie wyłącznie — ale w bardzo poważnej mierze w duchu narodowym, a ten aktywizm zmierzać musi do wytworzenia nowego typu Polaka na podstawach tradycji narodowej, krytycznie ujętej.

Czy i o ile drogą prowadzącą do tego celu jest t. zw. szkoła pracy, o tem, nie mając własnego doświadczenia, sądu wydać nie śmiem. Jest rzeczą pewną natomiast, że modna dziś i słusznie wysuwana, chociaż przez niektórych nauczycieli nierzadko nadużywana, zasada koncentracji ma tutaj wielkie znaczenie. Nie należy jej wszelako rozumieć jedynie czysto materjalnie, t. zn. jako współdziałanie przy nauczaniu rozmaitych przedmiotów, względnie okazjonalne współdziałanie z racji przerabiania tych czy owych partyj w różnych przedmiotach. Bo głębszy sens koncentracji odnosić się musi nietylko do korrelacji w traktowaniu poszczególnych przedmiotów, ale wyrażać we wspólnem realizowaniu na drodze tej samej metody tego samego ideału kształcenia. W sensie, o jakim tu mowa, zasadę tę doskonale sformułował Karol Libelt w swojej rozprawie *O miłości ojczyzny* (Rozdz. VI ku końcowi): „Wszystkie nauki z ojczystości, jako punktu środkowego wychodzić, a rozbiegając się, choćby w najodleglejsze promienie nazad do tego środka zmierzać powinny". Prowadzi to do trzeciego punktu tych rozważań, a więc do potrzeb, wynikających ze specyficznej rzeczywistości polskiej.

III

POSTULATY NARODOWE I PAŃSTWOWE

Kształcenie musi odpowiadać nietylko ogólnej sytuacji duchowej, t. zn. być wyrazem poglądu na świat i życie — inaczej wyradza się w jakąś bezduszną technikę — ale odpowiadać też

musi konkretnym potrzebom danego państwa i narodu. Z tego punktu widzenia otwierają się właśnie przed nauczaniem polskiego zadania bardzo trudne i poważne, a to zarówno jeśli weźmiemy pod uwagę zewnętrzną jak i wewnętrzną sytuację naszego państwa. Zadaniem nauki polskiego musi być bowiem kształcenie; aktywizacja nietylko tych wszystkich ogólno ludzkich cennych sił i pierwiastków, ale specjalny nacisk musi być położony na wytworzenie narodowego wyczucia, współczucia, poczucia solidarności i jedności narodowej. Kult polskości i poznanie jej wszechstronne we wszystkich objawach jest do tego celu środkiem ważnym i cennym. Należy sobie przecież uprzytomnić, że proces wewnętrznej integracji narodowej został u nas dotkliwie przerwany przez rozbiory, a rozwój naszej kultury duchowej w całości i jedności zahamowany i że przed pokoleniem obecnem stoi wielkie i poważne zadanie, ażeby ten proces właśnie wewnętrznej integracji pielęgnować. Jeśli w innych krajach rozbrzmiewa dziś hasło regjonalizmu, to nie kwestjonując niezmiernie cennych walorów tego ruchu, który zarówno w nauczaniu literatury, jak kultury wogóle, winien być uwzględniony, stwierdzić wypada, że u nas właśnie w kierunku przeciwnym, to jest w kierunku duchowej i kulturalnej koncentracji jest niezmiernie wiele do zrobienia i że z tego właśnie punktu widzenia naszej polityki kulturalnej ma polonistyka przed sobą zadania niezmiernie doniosłe, z których zdać sobie musi sprawę. Polonistyka musi być narzędziem budzenia poczucia duchowej jedności narodowej, albowiem, dając obraz polskości w całej mnogości jej objawów i dążąc do uchwycenia jej istoty, stawia poniekąd idealne cele rozwoju, prowadząc ponad jedność polityczną i gospodarczą do jedności wewnętrznej, duchowej, która w państwie niedawno odrodzonem jest tem większą koniecznością. Chodzi tu nietylko o poczucie jedności współczesnej, ale i o poczucie jedności kulturalnej z przeszłością, poczucie pewnej zależności kulturalnej od niej. Pod tym względem polonistyka, jako nauka o Polsce wogóle, znaleźć musi uzupełnienie z jednej strony w nauce historji, z drugiej zaś w nauce o Polsce współczesnej, w której granicach otwiera się szerokie pole do wychowania obywatelskiego i państwowego. Nauka polskiego stanowić musi pod nie pewną podbudowę idealną, konieczną i potrzebną, bo bez niej wychowanie państwowe

ograniczyłoby się do wpojenia szeregu norm i zasad w formie obowiązującej, gdy nauka polskiego winna tu budzić konieczny pierwiastek zapału, bez którego poczucie państwowości pozostanie tylko uświadomieniem sobie pewnej normy.

Należy przytem zwrócić uwagę na jeden jeszcze czynnik, na ten mianowicie, że uczucie narodowe w najszerszem tego słowa znaczeniu, które rozwijało się u nas w okresie zaborów na drodze naturalnej reakcji przeciw ciemiężcom, znaleźć musi wśród nowych i zmienionych warunków życia narodowego zupełnie inne podniety. Osiągnięcie niezależnego bytu państwowego wpłynęło na rozwój uczuć patrjotycznych raczej tamująco, budząc podświadomie przeświadczenie o osiągnięciu wszystkich postulatów narodowych. Kultura tych uczuć wśród nowych warunków bytu państwowego jest jednem z najważniejszych zagadnień kształcenia narodowego. Nie należy przytem zapominać o jednym znanym naogół z ogólnych dziejów kultury fakcie, o tym mianowicie, że powodzenie polityczne, czy zaspokojenie żądań narodowych nie zawsze bywa przyczyną rozkwitu kultury, czasem wprost przeciwnie, przyczyną jej upadku. Wystarczy wskazać na ogromny upadek kultury niemieckiej po utworzeniu Rzeszy i na zanik poczucia narodowego, które się tam objawiało wyłącznie niemal tylko w formie ekspansywnego szowinizmu. To są momenty, z któremi liczyć się musi poważnie szkoła, bacząc na to, że sytuacja nasza duchowo-kulturalna jest niebezpieczna i wymaga ciągłego czuwania nad stanem dusz, by nie popadły w wygodną bezczynność.

Postulat zaś ten staje się tem bardziej przemawiającym do sumienia, jeśli sobie uprzytomnimy naszą sytuację zewnętrzną, i to niekoniecznie pod względem polityczno-militarnym, ale poprostu pod względem kulturalnym. Polityka kulturalna i szkolna naszych dwóch wielkich głównych sąsiadów, t. j. Rosji i Niemiec, ma wyraz bardzo zdecydowany i jednolity. Jakie cele i zadania ma do spełniania szkoła w państwie sowieckiem, to wiadomo. Ma ona wychowywać i kształcić komunistów, nietylko do użytku wewnętrznego, t. j. do podtrzymywania bolszewizmu w państwie sowieckiem, ale i na eksport. Że to właśnie polityczne zadanie szkoła ta spełnia nieźle, że jest do jego wykonania przygotowana zupełnie i znakomicie, to nie ulega chyba wątpliwości i to państwowo-twórczej organizacji sowieckiej ujmy

nie przynosi. Niemcy już przed wojną przejrzeli, że kultura ich zaczyna się chylić ku upadkowi (z ducha niemieckiego samopoznania powstało dzieło Spenglera), ale ocknęli się rychło, kładąc przedewszystkiem dzięki podnietom znakomitego germanisty R. Hildebranda nacisk na naukę niemieckiego, jako podstawę odrodzenia kulturalnego. Wojna doprowadziła ten proces do zupełnego dojrzewania, a z *Deutscher Unterricht* powstała nowa nauka *Deutschkunde,* nauka o niemieckości, jako ośrodek i ostoja całego nauczania, opartego o całość kultury niemieckiej dawnej, historycznej i współczesnej, jako źródło duchowego odrodzenia narodu po klęsce. Trzeba istotnie uchylić czoła przed tym wysiłkiem, z którego skutkami w formie mobilizacji duchowej sąsiadującego z nami narodu liczyć się nam wypada.

Niemcy ześrodkowali całe szkolnictwo około realizacji idei *Deutschkunde,* która ma dziś już bardzo poważną literaturę teoretyczną, a zaprzegnęła do swojego rydwanu nietylko wszystkich nauczycieli, ale i wybitnych uczonych, filologów germańskich. Patrząc w r. 1868 na wielki rozkwit nauk filologicznych i historycznych, dał znakomity niemiecki germanista W. Scherer wyraz radości, że w miejsce chrześcijaństwa i antyku niemieckość zaczyna stawać się coraz bardziej przedmiotem zainteresowań. Pisał on pod adresem K. Müllenhoffa we wstępie do swego dzieła o historji języka niemieckiego: „czemuż nie miałaby powstać nauka, któraby sens tych usiłowań, to, co stanowi najbardziej wewnętrzne jądro naszej najnowszej historji, wybrała za swój przedmiot, która, zarazem uniwersalna i momentalna, ogólnie teoretyczna a zarazem całkiem praktyczna, podjęłaby śmiałe przedsięwzięcie, tworząc system etyki narodowej, któryby zamykał w sobie wszystkie ideały teraźniejszości, a przez to, żeby je oczyszczał, badał ich uprawnienie i możliwości, zaszczepiał podniosły obraz przyszłości wraz z pociechą z powodu pewnych niedomagań teraźniejszości i niektórych ciążących na nas szkód przeszłości, jako nieomylną wskazówkę najszlachetniejszego chcenia w nasze dusze". Ten niewątpliwie wspaniały program filologji stosowanej został dzisiaj w okresie powojennym w Niemczech w formie *Deutschkunde* zrealizowany. A do realizacji tejprzyłożyli rękę najwybitniejsi germaniści zasiadający na katedrach, rozumiejąc, że wielki program ich znakomitego poprzednika trzeba wypełnić. Tak powstała *Deutschkunde,* mając

do swej dyspozycji wielkie organizacje nauczycielskie, czasopisma, wydawnictwa, a nawet i katedry uniwersyteckie. Jeśli tu o tem mowa, to nie dlatego, żeby wzór ten, mający niewątpliwie pewne jednostronności, naśladować jako doskonały ideał, ale z tej prostej przyczyny, że tak jak w dziedzinie wojskowej, czy gospodarczej, należy pozna ćzamierzenia sąsiadów, względnie przeciwników i umiejętnie je do swych potrzeb przystosować, tak też i w dziedzinie duchowej konieczne jest odpowiednie uzbrojenie się, bo inaczej w walce duchowej, równie groźnej jak orężna, łatwo ulec można.

Jest więc z tego punktu widzenia oglądana nauka polskiego w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu polityczną i wśród warunków naszego obecnego bytu stać się nią musi. Niema tu oczywiście mowy o jakiemś wprowadzaniu polityki do szkoły, ale to chyba nie ulega wątpliwości, że szkoła, a to głównie przez należycie rozumianą i pojętą naukę polskiego, musi nas umocnić wewnętrznie i uzbroić przed naporem z zewnątrz, i dlatego to także i z tego względu nauce polskiego przypada stanowisko wyjątkowe i nadrzędne.

IV

ROZBUDOWA NAUKI POLSKIEGO

Biorąc pod uwagę wyżej wymienione okoliczności, można podjąć próbę rozwinięcia szkicowego planu nauczania polskiego w tym właśnie duchu, narazie głównie z uwzględnieniem stopnia nauczania średniego i wyższego. Nauka polskiego, czyli jak oficjalnie brzmi nazwa przedmiotu „języka polskiego", obejmuje na stopniu wyższym literaturę, czyli w gruncie rzeczy lekturę, a także, już jednak w formie tylko bardzo ograniczonej, i język. Mowa tu o gimnazjum wyższem, głównie z tego powodu, ponieważ na tym stopniu właśnie program nauczania polskiego zdaje się wymagać dość zasadniczej reformy. Należy nadto uczynić jeszcze jedno zastrzeżenie, czy też odróżnienie. W wywodach niniejszych uwaga nie jest zwrócona na to, co zwykło się zwać techniczną stroną nauczania, t. j. kulturę wyrazu w mowie i piśmie, czyli mówiąc poprostu, naukę poprawnego mówienia i pisania. Stanowi to odrębną część nauczania. Od tej strony t. zw. technicznej wyróżnić przecież trzeba stronę

czysto kulturalną. Techniczna strona nauczania jest poczęści celem sama sobie, musi być jednak podporządkowana pewnemu ogólnemu ujęciu, o jakie tu właśnie chodzi. Bo — by z całym naciskiem to podnieść — sprawa dotyczy nietyle, względnie nietylko, pewnego rozszerzenia pola zainteresowania, czyli przedmiotu, poza literaturę na cały obszar kultury w pierwszym rzędzie duchowej, ale związana jest z pewną specyficzną podstawą całej szkoły. Chodzi poprostu o pewien nowy i inny rodzaj „nastawienia".

W czem wyrażać się ma ta nowa postawa?

Głównym celem nauczania polskiego musi być zrozumienie dzisiejszego życia narodu i przygotowanie do niego. Do tego zmierzać musi nauka polskiego, nauka o Polsce i polskości, w najszerszem tego słowa znaczeniu. To musi decydować o jej zakresie i nadawać ton całemu nauczaniu w szkole wogóle. Nauka o Polsce i polskości nie może być — by raz to jeszcze z całym naciskiem podnieść — jeszcze jednym przedmiotem nauczania obok innych, lecz musi być ośrodkiem kształcenia, jak nią była w szkole humanistycznej starego typu t. zw. filologja klasyczna, której utrzymanie w programie nauczania jako przedmiotu nauczania z ogólno kulturalnych względów jest postulatem wagi pierwszorzędnej. Z chwilą pokonania idealizacji starożytności i wobec powolnego rozwiania się legendy o jej klasyczności ten ideał humanistyczny musiał naturalnie miejsca ustąpić poglądowi innemu, dla którego kultura rodzima nie jest coprawda ideałem kształcenia, ale jego istotnem jądrem. I to ośrodkowe stanowisko nauki polskiego musi być osią polskiej szkoły i ogólną podstawą kształcenia. Zrozumienie zaś teraźniejszości, do którego szkoła prowadzić musi, da się osiągnąć tylko drogą nawiązania do przeszłości. Doza tej przeszłości w nauczaniu szkolnem jest dziś bodaj jednym z najważniejszych i najaktualniejszych problemów. Albowiem jasnem jest, że w szkole poznanie tej przeszłości nie może być celem samo w sobie, lecz tylko środkiem. Wszelako życie polskie odsłania się nam dopiero wtedy, gdy się pozna wszystkie jego obszary, a więc objąć ono musi obok tradycyjnego języka i literatury, czyli lektury, także kulturę ludową (obyczaj, zwyczaj, wierzenie), sztukę, krajobraz, ogólne prądy duchowe i umysłowe, by tak bez porządku najważniejsze elementy tylko wyliczyć. Nauka

polskiego nie w tem się jednak wyraża i nie do tego ma dążyć, aby objąć tę zwiększoną ilość działów czy systemów kultury, ale to jest dla niej znamiennem, że ujmuje to wszystko *sub specie* dojścia do zrozumienia życia polskiego, kultury duchowej polskiej, jako pewnej jedności, z myślą o tem, jakie ma to znaczenie dla młodzieży dla zrozumienia naszego życia współczesnego, przygotowania przyszłego oraz podniesienia uczucia jedności narodowej. Pielęgnowania tego uczucia jedności i podporządkowania się tej jedności duchowej przy całem uwzględnieniu indywidualnych rysów jednostki stanowi jeden z celów tak pojętej nauki polskiego, jej ideału. Tu tkwią zalążki owej etyki narodowej, o której programie wyżej była mowa.

Przeżywamy dziś w filologji okres, któryby można nazwać jej odliteraryzowaniem; nie oznacza to oczywiście usunięcia literatury z zakresu jej zainteresowań, bo byłoby to niemożliwe oraz sprzeczne z jej celem i sensem. Ale oznacza to rozszerzenie jej dążności poza zakres języka i literatury. Celem nauki polskiego musi być właśnie wyjście poza ten cel ciasny, tradycyjny i schematycznie skostniały zakres języka i literatury i rozszerzenie go programowe i czynne na cały obszar kultury polskiej. Wiadomo, że w praktyce szkolnej robi się to, ale tylko tu i ówdzie przygodnie i okolicznościowo. Zamykanie tego postulatu w ramach jakiegoś systemu czy programu nie byłoby może wskazane, w każdym razie nie byłoby najlepszą drogą do celu. Ale ciasnota tradycyjnego programu musi być pokonana w tym sensie, żeby nauka polskiego dawała uczniom możliwie pełny obraz rzeczywistości polskiej, oczywiście z bardzo szerokiem ale nie wyłącznem uwzględnieniem literatury i to przy odpowiedniem ograniczeniu i nie jednostronnem historycznem lub estetycznem jej traktowaniu.

Język jest bezsprzecznie najważniejszem i najdokładniejszem zwierciadłem kultury. Nauka języka ogranicza się do nauczania polskiego *de facto* niemal wyłącznie do strony czysto technicznej. Budząca się dzisiaj coraz bardziej do życia historja języka, przedmiot dla umysłu niezmiernie pobudzający, a dla ducha kształcący, znajduje się w zupełnem niemal zaniedbaniu. Uczeń musi mieć nietylko przygodnie, z lektury Reja czy Kochanowskiego zdobyte wiadomości o dawnym polskim języku, ale winien mieć pogląd na jego przedhistoryczne i historyczne

źródła, na główne fazy jego rozwoju oraz jego indywidualny charakter, a to w duchu dążeń nowoczesnej lingwistyki. Problem genezy i rozwoju języka literackiego winien wejść także w zakres nauczania. Wreszcie dziedzina tak zupełnie niemal w szkole zaniedbana — narzecza! To przecież język żywy i najżywszy. A zatem język polski w całej bujności wymowy i doboru słów w narzeczach, nie jako przedmiot kpin i docinków, lecz zrozumienia i wniknięcia w istotę jego życia. Zagadnienie to zarówno ciekawe dla umysłu, jak ważne z punktu widzenia kształcącego, budzące zrozumienie tego, co bezpośrednie, proste i szczere. Że życie słów i ich pochodzenie ma dla poznania dziejów kultury znaczenie najpierwszorzędniejsze, to rozumie się samo przez się. Składnia i stylistyka na wyższym nieco poziomie traktowana daje właśnie możność wniknięcia w ducha i charakter języka na tle porównawczem, np. przy omawianiu tak znamiennego zjawiska, jak porządek wyrazów. Do historji języka, któraby wskazywała źródła jego rozwoju, z uwzględnieniem tak aktualnego w dzisiejszej nauce stosunku do siebie poszczególnych warstw, dołączyć się musi estetyka języka, jako konieczne uzupełnienie technicznej strony wprawiania w poprawność.

Jeśli język z tego punktu widzenia rozpatrywany znajduje w szkole okolicznościowo jakie takie uwzględnienie, to zupełnie prawie pominięty jest w szkole pierwiastek ludowy, czynnik etnologiczny i etnograficzny oraz prehistoryczny, z największą szkodą, albowiem na tej drodze dochodzimy do najczystszych względnie śladów polskości, czy polskiego.

Skoro jednym z celów nauczania polskiego jest samopoznanie, to otwierają się właśnie w tej dziedzinie wyrazu, względnie najbardziej bezpośredniego, drogi bardzo ważne. Poezja i sztuka ludowa bywały zawsze środkiem bardzo ważnym i cennym narodowego odrodzenia i odbudowy. Nie chodzi zaś tutaj o czytanie zbiorów pieśni, względnie oglądanie zbiorów szat, ale możliwie o bezpośredni kontakt z rzeczywistością. Książka jest już przecież tylko drogą pośrednią, podobnie jak i ilustracja. Tu też zachodzi konieczność odbywania wycieczek krajoznawczych i ludoznawczych, bezpośredniego kontaktu z ludem, jego zwyczajem i obyczajem, oglądania kształtów wsi i domów, nazw wsi i rzek, które dają, jak wszelka wogóle onomastyka, nie-

zmiernie cenny materjał. Wszędzie bezpośrednie zetknięcie się musi iść przed czerpaniem materjałów z książek. T. zw. poezja ludowa, a więc pieśń, baśń, podanie, a dalej także poniekąd przysłowie, zagadka i legenda, winny znaleźć obszerne uwzględnienie. Rozwój pieśni ludowej, jej rozprzestrzenienie, rozśpiewanie, stosunek do poezji artystycznej, z której przecież zasadniczo się wywodzi, jest polem do niezmiernie ciekawych obserwacyj i kształcących spostrzeżeń. Lud jako całość i chłop jako jednostka, element w strukturze społeczeństwa polskiego tak ważny, nie może być poznawany wyłącznie przez pryzmat literackich stylizacyj, względnie tylko jako doczepek do nich w formie „realij". To jest właśnie najnieodpowiedniejsze, że cały szereg objawów kultury duchowej, a także i ludowej traktuje się u nas wyłącznie *sub specie* komentarza do literatury, okazyjnie przy lekturze, np. mit, wierzenie przy Słowackim, folklor przy Reymoncie, przysłowie przy *Jowialskim*. Niezależnie od dążenia do zupełnie słusznej koncentracji, sprawy te uzyskać muszą w szkole przy nauczaniu polskiego pewną jednak choćby najskromniejszą autonomję. Koncentracja raczej ujawnić się musi w rozszerzeniu tego polonistycznego punktu widzenia na inne przedmioty, a więc np. na geografję, która prócz opisu i analizy krajobrazu Polski, zająć się musi także takim problemem, jak tajemnica stepu polskiego lub charakter lasu polskiego, rozszerzyć się winna też i na nauki przyrodnicze, przy których rodzime nazwy zwierząt i roślin, kultura zwierząt domowych w świetle cywilizacji, nie mogą być sprawą obojętną.

Wracając jednak do zakresu etnografji, należy tu przecież wziąć w rachubę także i pierwotne wierzenia, t. j. krytycznie oświetloną t. zw. mitologję polską i t. zw. religję rodową. Zagadnienia plemienia, szczepu i rodu, pierwotnego ustroju społecznego i wogóle rozwoju społecznego, winno być także i przy traktowaniu literatury uwzględnione (Chlebowski). Zasadnicza kwestja u kolebki wszelkiej kultury europejskiej: stosunek pierwiastków rodzimych (słowiańskich i lechickich w Polsce) do obcych, a więc chrześcijańskich, klasycznych, już w zaraniu kultury musi być uwzględniona, a rola pierwotnego elementu tradycyjnego poważniej brana w rachubę. A dalej stare mury i ruiny z uwzględnieniem lokalnego kolorytu, typu domów ozdób, urządzenia wewnętrzne, t. zw. starożytności domowe

nie z ilustracyj tylko i zbiorów znane, ale w bezpośrednim kontakcie obejrzane. Oczywiście autopsja możliwą jest tylko w dziedzinie folkloru lokalnego, który musi być pielęgnowany indywidualnie. Polskę poznawać trzeba przy pomocy wędrówek i wycieczek, czynnika u nas w nauczaniu ciągle jeszcze izbowo-podręcznikowem zbyt mało uwzględnianego. Nauka nasza w zakresie prehistorji i etnologji weszła ostatnio w okres takiego rozkwitu, iż byłoby smutne, żeby nauczanie polskiego w szerszej niż dotąd mierze nie miało z niej korzystać.

Jeśli od stopni pierwotnych i pierwotniejszych wzniesiemy się do wyższych, to i tu w nauczaniu polskiego ujawnią się pewne braki. Rzuca się przedewszystkiem w oczy zbyt jednostronne, choć skądinąd zrozumiałe wysuwanie na plan pierwszy a niemal jedyny poezji, czasem autorów bez znaczenia, przy zaniedbaniu innych sztuk, a więc plastycznych i muzyki. Bardzo ważnym postulatem jest wciągnięcie ich w szerszem niż dotąd zakresie do nauczania polskiego, nie w sensie prowadzenia jako osobnego przedmiotu — uczeń musi przecież wiedzieć, że poza Grottgerem i Matejką, ewentualnie Wyspiańskim, ilustratorem Homera, była jednak jakaś sztuka w Polsce. Dlaczego uczeń filologji klasycznej poznawał zabytki sztuki starożytnej, a uczący się polskiego tak mało o sztuce polskiej się dowiaduje? Nietylko o sprawy estetycznego wychowania tu chodzi, ale o poznanie ważnych elementów wyrazu polskiego, stylu polskiego, polskiego patrzenia na rzeczywistość, meliki polskiej, pieśni polskiej, rytmu polskiego. Do uwzględnienia w szerszej mierze muzyki w szkole nawoływał z innego punktu widzenia Lesław Jaworski. Zbyt mało wie o niej nasz uczeń.

Literatura zajmuje w nauczaniu polskiego miejsce dominujące. To jest słuszne i zrozumiałe, ale nieusprawiedliwione w tej mierze, jak się to dzieje u nas, gdzie nauka „języka polskiego" po rychłem stosunkowo uporaniu się z językiem staje się poza technicznem szkoleniem wyrazu naprawdę tylko nauką literatury, co się w przeważnej mierze sprowadza do analizy estetycznej utworu literackiego w szkole. T. zw. odliteraryzowanie filologji jest dziś w pewnym sensie objawem symptomatycznym. Nie o detronizację literatury w szkole chodzi, ale o podkreślenie, że nauka literatury to jeszcze przecież nie nauka polskiego, która winna obejmować cały zakres kultury

polskiej, a dalej że i ta nauka literatury, czyli poprostu lektura nie może się ograniczać — jak to przeważnie bywa — do analizy estetycznej utworu literackiego, ale musi uwzględnić w szerszej mierze i inne momenty, a mianowicie zawartość i to nietylko w dziełach, którym charakter t. zw. ideowy nadaje wybitne piętno. Literatura musi być traktowana nietylko jako sztuka i nietylko jako artystyczny wyraz indywidualnych przeżyć, czy poglądów jednostek, ale także jako źródło poznania przejawów duchowego życia narodu w związku z ogólną jego ewolucją społeczną, gospodarczą, polityczną, zmianami poglądów na świat i życie. Na drodze zestawienia z innemi objawami w sztuce i w porównaniu z kształtowaniem u innych narodów nadarza się do tego doskonała okazja przy studjowaniu literatury w szkole. Tu objawia się właśnie owa duchoznawcza funkcja nauk humanistycznych. Metody takiego traktowania literatury, szkole naszej oczywiście nie obce, dziś znacznie wysubtelnione, mogą być rozmaite, albo bardziej w stylu dawnej psychologji narodów, jak to czyni np. Brüggemann w swojem psychogenetycznem traktowaniu literatury (*Zs. f. Dkde.* 1925), lub też R. Unger w swojem traktowaniu duchoznawczem *(geistesgeschichtlich)*, o czem można się dowiedzieć z jego właśnie wydanych *Aufsätze zur Literatur- und Geistesgeschichte* (Berlin 1929) lub z punktu widzenia dzielnic i szczepów, jak tego żądał Chlebowski a w Niemczech uczyni Nadler, lub wreszcie socjologicznego, jak to czyni Francuz Cazamian, Anglik Courthope lub Niemiec Lewin-Schücking.

Jak odbija się polskość w literaturze? Jakie mieli na nią poglądy różni ludzie różnych czasów? Polska w świetle opinji Polaków od Reja do Żeromskiego — to niewątpliwie bardzo kształcące i pouczające. Tak pojmowana historja literatury, przestaje nią być w ścisłem tego słowa znaczeniu, a staje się oczywiście historją kultury duchowej, historją myśli lub samopoznania narodowego, przyczem przy rozpatrywaniu w jej świetle takich czy innych zagadnień i idej należy dążyć do uchwycenia jej swoistej dynamiki, a nietylko porządkować obok siebie zjawiska, lecz organicznie je niejako wyprowadzać z siebie. To jest jeden tylko sposób ujęcia, który winien być rozszerzony na dzieła literatury z punktu widzenia wydobywania zagadnień Polaka interesujących oraz krytycznego oświetlenia ich na tle

pewnej całości. To nie wyklucza naturalnie uchwycenia i rozpatrywania zjawiska literackiego w oświetleniu estetycznem. Ten sam utwór literacki może a nawet powinien być rozpatrywany w szkole z różnych punktów widzenia, na różnych stopniach nauki, albo i na jednym. Jest to bardzo kształcące. Piękny przykład takiego traktowania elegji Höltyego dał P. Merker w *Zeitschrift für Deutschkunde*, 1926, str. 260.

Ostatecznym celem i właściwem założeniem takiego nauczania musi być nauka o polskim rozwoju duchowym w jego głównych i zasadniczych rysach z uwzględnieniem środków wyrazu artystycznego. Przeciwwagą genetycznego ujęcia, do którego prowadzeni mądrze przez nauczyciela uczniowie winni dochodzić sami, wsłuchując się niejako w rytmikę rozwoju polskiej duchowości, musi być ujęcie systematyczne Polski i polskości w jej charakterystycznych rysach i objawach, niby najwyższa synteza i korona nauki polskiego. Jest to przedsięwzięcie zarówno śmiałe w nauce jak i trudne do realizacji w nauczaniu. Jest to raczej ideał, do którego zmierzać należy w nauczaniu krokami bardzo ostrożnemi i rozważnemi, ale którego z oczu spuszczać nie należy. Polonistyka musi być nauką o polskości, o psychologji polskiego człowieka, o polskiem patrzeniu, myśleniu, czuciu i kształtowaniu. Już M. Mochnacki pisał, że „dla nas potrzeba także żywej życiem naszem umiejętności, takiej, jaką nas obdarzyć może filozofja naszego jestestwa, filozofja języka polskiego, wreszcie, że tak powiem, temperamentu i konstytucji narodowego genjuszu i narodowego ducha". Do niego poniekąd nawiązując, zastanawiał się J. Ujejski nad „Polską, jako przedmiotem nauk humanistycznych" w III tomie *Nauki Polskiej*, gdzie (str. 155) czytamy: „wszystkie nauki o duchowej kulturze polskiej powinny szczególniejszą uwagę kierować ku temu, co jest w każdej dziedzinie tej kultury swoiście polskiego, na jej zarówno umysłowe, jak i uczuciowe i twórcze znamiona oryginalne a w każdym razie charakterystyczne". Słusznie żąda Ujejski, ażeby do ustalenia tak rodzimych źródeł i znamion wszelkiego zjawiska duchowego, jak i rodzimych form jego objektywizacji, dochodzić jedynie na gruncie jak najszerzej stosowanej metody porównawczej, biorąc zwłaszcza pod uwagę naszą oryginalność przetwarzania. Że

postulat tak pojętej nauki jest nawiązaniem do romantyzmu — jak twierdzi J. Ujejski — to widoczne.

Nauka polskiego jako nauka o polskości jest w gruncie rzeczy realizacją programu romantycznego, który w dzisiejszym t. zw. idealiźmie w różnych krajach i ośrodkach się odradza. Z innego, zgoła nie romantycznego punktu widzenia ujął to zagadnienie A. Sujkowski w *Nauce Polskiej*, t. II, str. 77, próbując ustalić pojęcie kultury polskiej, kładąc przytem nacisk na zbadanie żywiołu antropologicznego i na momenty społeczne. Zwraca on uwagę na pisma Szczepanowskiego, A. Chołoniewskiego, A. Górskiego, jako wyraz pokrewnych dążeń. Z punktu widzenia znowu bardziej socjologicznego oświetla zagadnienie J. K. Kochanowski w tymże tomie *Nauki Polskiej*, żądając, by naukę stać było nietylko na trafiający wszędzie i do wszystkich objektywizm kosmopolityczny, ale i na subjektywizm narodowy. Usiłowań i dążeń zmierzających do uchwycenia stylu i charakteru Polaka i polskości nie brak i u nas, by wspomnieć np. rozprawę J. Kleinera w *Dzienniku Lwowskim* z 25. XII. 1929.

Jest rzeczą zrozumiałą, że takie postawienie zadań polonistyki w szkołach średnich, zarówno co do nastawienia ogólnego, jakoteż co do tendencji i zakresu, wymaga specjalnego przygotowania nauczyciela. Zapewne nie zabraknie wśród nauczycieli-polonistów jednostek, które takim a nawet znacznie wyższym żądaniom podołałyby w sposób znakomity. Ale szkoła przecież nie może opierać się na wyjątkach. Trzeba stwierdzić, że, o ile chodzi o studja uniwersyteckie, to nie dają one w tym sensie nauczycielowi polskiego dostatecznego przygotowania. Mamy na uniwersytetach naszych katedry języka polskiego i katedry literatury polskiej, a ten podział przedmiotów odpowiada najzupełniej potrzebom nauki. Nie mamy natomiast katedr filologji polskiej, czyli polonistyki, w tym bardziej uniwersalnym sensie. Z punktu widzenia naukowego jest to zupełnie usprawiedliwione, a jako wyraz epoki pozytywistycznej, w traktowaniu zjawisk naukowych najzupełniej zrozumiałe. Byłyby może do pomyślenia katedry polonistyki, czy filologji polskiej w tem szerszem tego słowa znaczeniu o charakterze raczej syntetyczno-encyklopedycznym w starym stylu romantycznym, katedry, któreby dawały pewien pogląd na całość i wgląd w głębię życia polskiego. Nie należy wątpić, że przeciw temu podniosą

słuszne obawy przedstawiciele nauki czystej. W Niemczech pozwolono sobie jednak na utworzenie specjalnych katedr dla *Deutschkunde* ze specjalnem uwzględnieniem kształcenia nauczycieli niemieckiego. Ale to zresztą tylko luźny i bardzo nieśmiało rzucony projekt. Jeśli bowiem chodzi o ten tak ważny przy ogólnej postawie w nauczaniu polskiego moment syntezy, to znajdzie go przyszły polonista najniewątpliwiej w wykładach ogarniającego szersze horyzonty profesora historji literatury polskiej. Nie wyczerpuje to jednak kwestji przygotowania fachowego polonistów do zawodu nauczycielskiego. Podstawa rzeczowo-fachowa tego wykształcenia musi być programowo i faktycznie znacznie rozszerzona i obejmować obowiązkowo wykłady, ćwiczenia i egzaminy nietylko z języka i literatury, jak dotąd, ale także historji, prehistorji, historji ustroju, etnografji, historji sztuki, historji kultury a nawet geografji. Jedynie tak wykształcony polonista dać może gwarancje, że będzie istotnie nauczycielem polskiego. Przygotowanie nauczyciela, w którego rękach spoczywa przecież faktyczne wykształcenie młodzieży, musi być gruntowne i wszechstronne, a ograniczenie go tylko do studjów języka i literatury wydaje się anomalją. Nie brak różnych pomocniczych wydawnictw, by wspomnieć dawniejsze Glogiera, Macierzy Szkolnej i różne inne nowsze, które ułatwiaja nauczycielowi spełnienie tego zadania. Mimo to rzeczywiście ważnym postulajem wydaje się podjęcie specjalnych wydawnictw, mających na celu realizację programu nauczania polskiego wedle naszkicowanego tu programu. Palącą zwłaszcza wydaje się potrzeba fachowego zrzeszenia polonistów i specjalnego czasopisma dla polonistów. Bez takiego czasopisma, któreby informowało nauczycieli o głównych problemach naukowych we wszystkich dziedzinach polonistyki poza językiem i literaturą ze szczególnem uwzględnieniem potrzeb szkoły, nie może być mowy o spełnieniu tego trudnego zadania. Kwestja reformy podręczników w tym duchu, to sprawa, której nie dotykam, wydaje mi się jednak, że podręcznik Maykowskiego i Balickiego *Będziem Polakami* jest tak pojętej nauki polskiego pięknym zadatkiem.

V

TRZY ANTYNOMJE NAUCZANIA POLSKIEGO

Dochodząc do kresu tych wywodów, uważam za wskazane rozprawić się z pewnemi zarzutami, które przeciw rozwiniętemu tu programowi się nasuwają. Jest ich z pewnością znacznie więcej, niż te, które zostaną tu poruszone. Z każdego z wyżej, w trzech pierwszych rozdziałach, wyłożonego stanowiska, t. j. ogólno-duchowego, pedagogicznego a także kulturalno-politycznego, dadzą się takie wątpliwości wysunąć.

Co do punktu pierwszego, wypada zwrócić przedewszystkiem uwagę na fakt bardzo dziś w dyskusji aktualny, t. j. na problem historyzmu. Wiadomo, że w drugiej połowie XIX w. wytworzył się dość silny prąd zmierzający do ożywiania przeszłości i wypełnienia jej treścią, traktowaną przeważnie bardzo eklektycznie, życia. Działo się to głównie z braku własnego jednolitego poglądu na świat i życie. Rychło odezwały się przeciw temu bardzo silne protesty, z których najsilniejszym bodaj było wystąpienie Nietzschego. Poruszył on też i zagadnienie kształcenia w swej sławnej broszurze *O pożytku i szkodliwości historji*, wystąpił przeciw temu, że głowy młodzieży wypełniane są olbrzymią ilością pojęć, branych z bardzo pośredniej znajomości przeszłości, a nie bezpośredniego patrzenia na życie. Potępił tę metodę, nazywając ją szkodliwem złudzeniem, jakoby w ciągu lat kilku można było największe i najbardziej znamienne doświadczenia największych czasów w sobie zsumować. Ten apel Nietzschego nie pozostał bez echa i w pedagogice, a to na tle ogólnego poglądu na życie, który w przewadze doznania czysto literackiego i historycznego nie bez racji upatrywał wpływ na rozwój życia duchowego szkodliwy i tamujący. Z innych pobudek, bardziej narodowych przeciwstawił się przerostowi historyzmu Ibsen w Norwegji a Wyspiański w Polsce, protestując przeciw przeżuwaniu przeszłości narodowej.

W sprawie nauczania kwestja to dosyć zawiła. Nie brak jest dzisiaj skrajnych radykałów, którzy wołają: precz z balastem historycznym w nauczaniu kultury ojczystej. Wychodzą oni z założenia, że w dziedzinie literackiej cały np. romantyzm nie mówi już niczego dzisiejszej młodzieży w epoce kina, sportu i zawodów. Głoszą oni śmierć klasyków. Takie stanowisko zajmuje

np. W. Schönbrun w swojej sensacyjnej książce *Weckung der Jugend,* twierdząc, że na arcydzieła literatury niemieckiej przychodzi zmierzch bogów (str. 207) i konstatując, że młodzież dzisiejsza staje się coraz bardziej beztradycyjna. Co do Niemiec, to zauważono, że w takiem pojmowaniu kwestji jest gruba przesada. Ale jeśliby nawet i tak nie było, to zadaniem szkoły musiałoby wszędzie być przeciwstawić się stanowczo takiemu zbyt daleko posuniętemu realizmowi i radykalizmowi.

Inaczej przedstawia się sprawa, jeśli inni pedagogowie twierdzą, że nie mają nic przeciw wciąganiu przeszłości w zakres szkolnego nauczania, że zadaniem szkoły jednak nie jest historyczne objaśnianie zjawisk, ale raczej krytyczne ich oświetlanie, żądają więc — a czyni to poniekąd i Schönbrun (169) —, aby utwór literacki w szkole traktować z tego właśnie punktu widzenia, co dać on nam dzisiaj może z uwzględnieniem dzisiejszych potrzeb i zagadnień. Byłoby to odnoszenie się do utworu literackiego takie jak krytyka, a nie jak historyka. Jest w takiem ujęciu sprawy zapewne część racji, ale i pewna jednostronność zbyt daleko posunięta. Niewątpliwie nauczanie polskiego jako w głównej mierze kształcące, a nie będące tylko zwykłym przedmiotem nauczania, winno wprowadzać nas w przeszłość nie dla niej samej ale dlatego, by z niej czerpać wskazania dla ujmowania życia teraźniejszego. Decydującem przy wyborze przedmiotów z przeszłości nie może być to, co się młodzieży w danej chwili podoba i na co ona ma ochotę, ale to, co jest dla niej potrzebne z punktu widzenia ogólno-ludzkiego, a zwłaszcza narodowego, i z tego względu zwłaszcza ma styczne z daną epoką (Hofstaetter, str. 20 i 29). To jest punkt oparcia przy dokonywaniu niezmiernie trudnej selekcji materjału czerpanego z przeszłości, to jest jedyna postawa, by zyskać należytą równowagę między martwym historyzmem a radykalnym aktualizmem. Sam punkt widzenia historyczny nie może być nigdy miarodajny przy doborze materjału. Z przeszłości należy wybrać elementy płodne, budzące i kształcące. Trudno tu ustalić jakiś kanon. Że zapychanie głowy obojętnym materjałem zjawisk historycznych musi ustać, to jest zrozumiałe, ale ze względów natury kształcącej na jeden zwłaszcza moment należy zwrócić uwagę, by nie wylewać, jak to się mówi, dziecka z kąpielą: zadaniem nauczania polskiego

musi być pod względem treści utrzymywanie łączności naszej epoki z gruntem duchowym, z któregośmy wyszli, a pod względem form budzenie czci i szacunku dla pewnych niewątpliwie wartościowych arcydzieł kształtu, a przez to danie młodzieży norm osądu, jakie się dadzą wyciągnąć z oglądania wielkich tworów ducha i wyobraźni. To byłby punkt wyjścia z tej sytuacji, przed jaką staje nauka polskiego wogóle, a zwłaszcza wobec postulatu rozszerzenia jej podstaw poza język i literaturę. W takiem bowiem tylko ograniczeniu materjału, któreby było zarazem jego rozszerzeniem na cały obszar polskości wraz z jej pogłębieniem, pokaże się prawdziwa zdolność nauczyciela polonistyki.

Inna wątpliwość nasuwa się z punktu widzenia pedagogicznego, a mianowicie, że nadanie nauczaniu polskiego wyżej wykreślonego kierunku mogłoby stać się kulturą nacjonalizmu i to w czasach, które głoszą bardziej niż kiedykolwiek hasło solidarności międzynarodowej, zarówno w dziedzinie politycznej jak i kulturalnej, a nawet gospodarczej.

Mamy tu do czynienia z podobną antynomją, jak wyżej pomiędzy historyzmem a aktualizmem. Jest to antynomja pomiędzy nacjonalizmem a kosmopolityzmem. Zadaniem szkoły nie może być pielęgnowanie ani jednego ani drugiego. Biorąc za podstawę i punkt wyjścia kulturę własną, otwierać musi szkoła oczy na wszelkie wartości, które dają kultury inne, czy to starożytne czy nowożytne. Odpowiednikiem i przeciwwagą filologji polskiej nauki o Polsce i polskości musi być filologja starożytna i nowożytna. Nauka francuskiego czy niemieckiego nie jest dziś przecież i nie może być tylko nauką języka, ale bywa i stara się być nauką kultury z uwzględnieniem wartości kształcących danych zakresów kulturalnych. (Por. moją rozprawę p. t. *Nauka o zagranicy*, *Przegląd Współczesny* 1924, Nr 29). I do tych kultur musi być też pewne podejście od strony nauki polskiego, albowiem należy uwzględnić zawsze związki i stosunki, jakie łączą daną kulturę z Polską, i wedle tego także materjał kulturalny dobierać. Ale ważniejszym celem i zadaniem tej nauki będzie podnoszenie wielkich i istotnych wartości w kulturze narodów obcych. W zwierciedle kultury obcej oglądać należy własną i wykazać jej związki z ogólno-ludzką kulturą najżywszych ideałów. Zbrojenie du-

chowe na wszelkie ewentualności jest jednem z zadań nauki polskiego. Ale z drugiej strony pielęgnowanie uczuć ogólnoludzkich i sympatyj międzynarodowych odpowiada tradycjom kultury polskiej, nacechowanej zawsze ideą tolerancji. Szkoła polska nie może być rozsadnikiem szowinizmu, lecz ostoją uczciwie zrozumiałej miłości kraju i narodu.

Pozostaje wreszcie trzecia antynomja, również bardzo niebezpieczna. Chodzi o to, ażeby miłość ojczyzny, pielęgnowana przy nauce polskiego, nie była miłością ślepą, coby się mijało z celem i zadaniem nauki polskiego. Tu należy baczyć, żeby znaleźć odpowiednie wyjście między entuzjazmem czy sarmatyzmem a hiperkrytycyzmem. Czyniąc polskość ostoją wykształcenia i przyznając jej w kształceniu szkolnem to miejsce, jakie dawniej miała filologja starożytna, nie chcemy bynajmniej przenosić na kulturę polską dogmatu klasyczności. Zadaniem nauki polskiego nie ma być bezkrytyczne otaczanie nimbem naszej przeszłości i idealizowanie wszystkiego, co polskie, dlatego, że polskie. To nauczanie polskiego ma nas przecie wprowadzić w życie bieżące i teraźniejsze, nawiązać łączność z naszą przeszłością i utrwalić związek z realnemi i naturalnemi podstawami naszej kultury. Ale wartość tych podstaw trzeba umieć należycie ocenić, na tle porównawczem, jak tego już żądał M. Mochnacki. Nasze dzieje duchowe, nasza przeszłość zarówno historyczna, jak i kulturalna, daje sporo tematów do kształcącego krytycyzmu. Cały szereg takich wybitnych krytyków ma przecież sama kultura polska od zarania jej rozwoju, by wymienić Reja, Orzechowskiego, Kochanowskiego, Skargę, Krasickiego, Słowackiego, Wyspiańskiego, Żeromskiego i Brzozowskiego. Krytyka kultury polskiej musi wchodzić także w skład nauczania polskiego. Młodzież musi być zresztą i poza lekturą polskich pism krytycznych do pewnych objawów naszej kultury usposobiona krytycznie, co oczywiście nie oznacza bezmyślnego potępiania wedle zgóry podjętych założeń, lecz budzenie czujności. Niema to być też jakieś programowe pomniejszanie olbrzymów i podniecanie złośliwego hiperkrytycyzmu. Z drugiej strony nauka polskiego nie może schodzić na manowce ciasnej parafiańszczyzny, owianej jakiemś kołtuństwem, nie może być schlebianiem instynktom fałszywego i taniego patrjotyzmu, wyrażającego się w płytkich frazesach, a nade-

wszystko chronić się musi od fałszywego, owianego duchem pewnego sztucznego dostojeństwa patosu polskości. Ma ona otworzyć młodzieży prostą drogę do wnętrza duszy polskiej i ducha polskiego, nauczyć tę Polskę kochać i miłować, a miłość tę objawiać nie w formie bezkrytycznego kultu, lecz pracą o rozwój i poziom polskiej kultury.

Między temi trzema antynomjami (historyzm i aktualizm, szowinizm i kosmopolityzm, entuzjazm i hiperkrytycyzm), musi dążyć nauka polskiego drogą, której celem ma być wykształcenie Polaka, rozbudowa i umocnienie Polski. [1]

---

[1] Ważniejsze książki uwzględnione przy opracowywaniu tego artykułu: W. Peper, *Deutschkunde als Bildungsgesetz und Bildungsstoff* (Leipzig u. Berlin 1919); Fr. Panzer, *Deutschkunde als Mittelpunkt deutscher Erziehung* (Frankfurt a. Main 1922); W. Hofstaetter, *Der neue Deutschunterricht* (Leipzig und Berlin 1926); Helene Lingelbach, *Deutschkunde als gestaltende Lehre* (Weimar 1927, Dissert, Jena); W. Schellberg und J. G Sprengel, *Handbuch der Deutschkunde* (Frankfurt a. M.); W. Schönbrun, *Weckung der Jugend* (Frankfurt a. M. 1930).

MIECZYSŁAWA BIEGAŃSKA

KILKA UWAG O KŁAMSTWIE[1]

„...Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie..."

Mickiewicz: *Dziady*, część III.

I

Kłamstwo należy do zjawisk powszechnych i pospolitych. Z nurtu życia wyrosłe, jego falami jest mącone, spychane w głąb lub wyrzucane na powierzchnię. Toteż występuje wszędzie i zawsze, bez względu na wiek, płeć, rasę, zajęcia człowieka; ujawnia się w rzeczach ważnych i błahych, w czynach cnotliwych i występnych, celowych i bezcelowych. Krótko mówiąc, z kłamstwem tego czy innego rodzaju zetknąć się musimy w sposób nieunikniony zarówno na szerokim gościńcu życia zbiorowego, jak na wąskiej ścieżce spraw jednostkowych i nawet przy samotnem obcowaniu z sobą.

A jednak — pomimo swej powszechności i pospolitości — to sędziwe i tak nieskończenie doniosłe zagadnienie pozostaje dotychczas nierozstrzygnięte w teorji i nieracjonalnie postawione w praktyce. W nauce sprawa kłamstwa jest otwarta i sporna; formalny zaś stosunek do kłamstwa tak się ułożył, że wbrew istotnemu stanowi rzeczy, wbrew elementarnej oczywistości, traktujemy je tylko

---

[1] J. J. Rousseau: *Emile ou de l'éducation*; — M. Nordau: *Die konventionellen Lügen der Kulturmenschheit*; — Ant. Menger: *Nowa nauka o moralności*. Tłum. pol. Lwów 1907; — Fr. Paulhan: *Les mensonges du caractère*, 1905; — H. Vaihinger: *Die Philosophie des Als Ob mit einem Anhang über Kant und Nietzsche*. Berlin 1911; — Oskar Wilde: *Dialogi o sztuce*. Tłum. M. Feldmanowa, 1906. *Życie i sztuka*. Zebrał i przełożył M. Wierzbiński, 1922. *Dusza człowieka w epoce socjalizmu*. Tłum. Ł. B., 1908; — Fr. Nietzsche: *Über Wahrheit und Lüge im aussermoralischen Sinne. Die Geburt der Tragödie*; — Ks. W. Cathrein S. J.: *Filozofja moralna. Bibljoteka dzieł chrześcijańskich* 1904; — G. Kerschensteiner: *Charakterbegriff und Charaktererziehung*; — G. Compayré: *L'éducation intellectuelle et morale*.

pod kątem widzenia moralu, jako zamkniętą w sobie ujemną całość, szkodliwą, uwłaczającą ludzkiej naturze, którą należałoby za wszelką cenę z życia rugować i t. d.

W literaturze naukowej prace, poświęcone wyłącznie kłamstwu, są naogół rzadkie. Zaznaczają to zgodnie uczeni, którzy się tem zagadnieniem bliżej zajmują, tłumacząc ten fakt z jednej strony trudnością przedmiotu, z drugiej — niewdzięcznością zadania.

Jako zjawisko wielce skomplikowane w swej budowie, złożone z licznych i różnorodnych pierwiastków, stanowi kłamstwo samo przez się przedmiot do badania trudny. Tem trudniejszy, że przy rozpatrywaniu go trzeba głównie poprzestawać na samoobserwacji i samoanalizie, wnioskowanie zaś opierać na analogjach. A na tej drodze wszelkiego rodzaju uprzedzenia, dowolności i błędy są w rozumowaniu prawie nieuniknione. Niewdzięczność zaś zadania płynie stąd, że kłamstwo tak potężnie rozpanoszyło się na świecie, tak przesyciło wszystkie pokłady życia, od nizin do szczytów, że nie można za niem śledzić w sposób jawny i szczery. Najczęściej wielkie jego obszary, t. zw. „kłamstwa publiczne", poruszane bywają z rewerencją, ostrożnie, albo pomijane zupełnem milczeniem. Na straży naszych sądów stoją tu i trzymają je w karbach, jak z humorem zauważył Nietzsche: „sumienie, opinja, piekło, czasem nawet policja".

W każdym razie poglądy autorów, którzy mówią nam o genezie, rozwoju i trwałości kłamstwa, dają się ująć w dwie grupy zasadnicze. Jedni — np. Rousseau, Nordau, Menger — sprowadzają kłamstwo na grunt socjologji: w oddziaływaniu kultury, w wadliwym układzie wartości społecznych widzą jego źródło. Druga grupa — Paulhan, Vaihinger, Wilde, Nietzsche — wychodzi z założeń biologiczno-psychologicznych i odnajduje konieczność kłamstwa w organizacji człowieka.

Poglądy Rousseau'a na walory życia zbiorowego, na zdobycze kultury są aż nadto znane. Mówi on krótko i węzłowato, że to wszystko razem wzięte jest jednem wielkiem kłamstwem. Przecież „cała nasza mądrość polega na niewolniczych przesądach („préjugés serviles"); wszystkie obyczaje nie są niczem innem, jeno ujarzmieniem, skrępowaniem, przymusem. Człowiek cywilizowany rodzi się i umiera w niewoli: zaraz po urodzeniu biorą go w powijaki; po śmierci zagważdżają w trumnie; dopóki zaś posiada ludzkie oblicze, skuty jest w łańcuchy przeróżnych instytucyj".

Podobne sądy wygłasza Nordau, autor bardzo swego czasu głośnej i bynajmniej nie przestarzałej książki: *Konwencjonalne kłamstwo ludzkości kulturalnej.* Z właściwą swemu temperamentowi i talentowi werwą pisarską napada tam na wszystkie urządzenia i formy życia kulturalnego. Poddaje szczegółowej analizie i zjadliwej chłoście zarazem całą budowę społeczną: ustrój prawno-polityczny i gospodarczy; obyczajowość i moralność; małżeństwo, rodzinę, wychowanie; pracę i opinję publiczną. Nie oszczędza niczego i dochodzi do sumarycznego wniosku, że to wszystko nie odpowiada ani potrzebom ludzkości, ani duchowi czasu. Cały gmach socjalny wznosi się na fałszywych zgoła podstawach i stąd staje się siłą rzeczy rozsadnikiem wszelkich odmian i gatunków kłamstwa.

Według Nordaua człowiek współczesny — ze swym zmienionym poglądem na świat, opartym na potężniejącej z dniem każdym wiedzy przyrodniczej, ze swym niepohamowanym pędem do wolności i swobody — musi nieuchronnie spostrzec przepaść bezdenną między tem, co za prawdę uznaje, a tem, co za prawdę uchodzi. Dusi się w ciasnym obrębie niezliczonych przepisów, formuł, paragrafów; ugina się pod brzemieniem równie drobiazgowych jak bezużytecznych nakazów i zakazów; nie może dać rzetelnego wyrazu właściwej swej naturze, swym uzdolnieniom i upodobaniom. Bez względu na własną wiedzę i wartość musi wciąż przed kimś usuwać się i płaszczyć, do czegoś się przymuszać lub zniżać. Słowem żyje w pętach konwencjonalnego porządku, który uczy go wiecznie coś ukrywać, coś udawać, który czyni go kłamcą.

Menger, stojąc na tem samem stanowisku, uznaje również istniejący porządek społeczny za zły i obłudny. Stosunki socjalne nie odpowiadają potrzebom; biorą w opiekę interesy klasowe; wytwarzają warstwy ludzi pokrzywdzonych i uprzywilejowanych. To sprzyja i sprzyjać musi mnożeniu się kłamstwa na świecie. Tu trzeba zauważyć, że Menger nie uzależnia kłamstwa tylko od kultury, lecz wiąże je nierozdzielnie z każdą siłą, z każdą władzą, bez względu na formę, w jaką ta siła i ta władza jest przyobleczona. Głosi on z najszczerszem przekonaniem, że w cywilizowanych i niecywilizowanych gromadach ludzkich znaczna część stosunków wzajemnych opiera się na kłamstwie. Najszersza, najbardziej wszechstronna demokratyzacja kłamstwa nie wygubi, może — co najwyżej — jego ilość zmniejszyć.

Kultura oczywiście stosunki społeczne komplikuje, ponieważ tworzy coraz więcej czynników siły, które rządzą ludźmi w sposób przemożny i stały. Wylicza tu Menger: państwo i kościół, stany i zawody, stowarzyszenia, opinję publiczną, i dowodzi, że każdy z tych czynników kładzie swą ciężką dłoń na poszczególnych jednostkach. Kieruje ich czynami wedle zgóry zamierzonych planów do zgóry zamierzonych celów, oplata je niewidzialną siecią, w której każdy musi zatracić swobodę ruchów. Wszakże to, co się pospolicie „wolną wolą" nazywa, jest nietylko parodją, lecz zupełnem zaprzeczeniem tego pojęcia. Najmniej uważna obserwacja poucza na każdym kroku, że siły socjalne poruszają ludźmi niby marjonetkami w szopce.

Istniejące czynniki siły stworzyły tedy kłamstwo — jeden z najdonioślejszych przejawów życia zbiorowego: kłamstwo publiczne, pozostające na usługach tych właśnie czynników siły, i kłamstwo prywatne, które ma niby służyć interesom jednostki, ale w gruncie rzeczy jest również wytworem siły w stosunkach prywatnych.

Analiza tych dwóch postaci kłamstwa prowadzi Mengera do słusznego niewątpliwie wniosku, że w miarę podnoszenia się wzwyż na drabinie społecznej ilość i natężenie kłamstwa wzrastają. Nie znaczy to bynajmniej, iżby ci, którzy stoją najwyżej, najwięcej kłamali. Ale oni są przecież uosobieniem siły, więc dokoła nich wytwarza się szczególna atmosfera, nawskróś przesiąknięta kłamstwem. Wszakże w budowie takich zjawisk, jak „dworność", „dworactwo", znanych tylko na szczytach społecznych, przeważający udział przypada różnym odmianom kłamstwa.

*

Przenosząc kłamstwo na grunt bio-psychologiczny, zaznaczymy przedewszystkiem, że ani jeden z autorów, którzy z tego punktu widzenia rozpatrują to zagadnienie, nie odrzuca i nie pomniejsza znaczenia czynników socjalnych w rozwoju i mnożeniu się kłamstwa. Nie może tego uczynić choćby z tego względu, że niepodobna wyobrazić sobie świadomego przejawu życia psychicznego, który byłby całkiem wolny od oddziaływań socjalnych. To, co nam się w człowieku wydaje najbardziej oryginalne i niezależne, nosi na sobie w każdym przypadku piętno zbiorowości. Ale poza sferą kłamstwa o charakterze społecznym, poza t. zw. „kłamstwem dla innych", istnieje druga odmiana, która nie ma uzasadnienia ani

w interesie, ani w przymusie socjalnym. Jest to „kłamstwo dla siebie", ściśle związane z organizacją człowieka i od niej zależne.

Obie te odmiany: kłamstwo dla siebie i kłamstwo dla innych rozpatrzymy najpierw w oświetleniu teorji Paulhana, który traktuje swój przedmiot dość wszechstronnie i przekonywująco.

Otóż Paulhan, oddający się z wyraźną predylekcją badaniu charakterów i dobry wskutek tego znawca duszy ludzkiej, twierdzi, że człowiek nie zna siebie tak samo, jak nie zna innych ludzi, że we we właściwościach swej duszy, w uczuciach i myślach własnych orjentuje się równie źle i niedostatecznie, jak w myślach i uczuciach cudzych. Tłumaczy to wielkiem bogactwem i różnorodnością pierwiastków, jakie się na duszę składają, oraz ciągłym tych pierwiastków ruchem, rozwojem, zmiennością. Niezliczone nasze popędy, uczucia, myśli — nie znają właściwie spoczynku, lecz w dążeniu wrodzonem do równowagi i harmonji wciąż wibrują: albo dopełniają się i potęgują wzajemnie, albo zwalczają się i hamują. Nieprzerwany dopływ nowych wrażeń, nowe doświadczenia i przeżycia powiększają ten zamęt wewnętrzny: wywołują nowe porządki psychiczne, nowe kojarzenia myślowe, zmieniają uczuciowe nastroje, wskrzeszają zdarzenia minione, paraliżują jedne momenty, pobudzają inne, słowem dają rezultaty często dla nas samych niespodziewane i niezrozumiałe, powodują akty woli, do których nie sądziliśmy się zdolni. Ta praca wewnętrzna, stała, mozolna, zawiła, utrudnia sama przez się wierność samoobserwacji, dokładność samoanalizy. A wchodzi tu w grę jeszcze jeden wzgląd, który zaciemnia nam do reszty własny obraz duchowy, ten mianowicie, że na siebie patrzymy zawsze przez szkła przychylności i pobłażania. Nabieramy więc ostatecznie zgoła fałszywego o sobie mniemania, snujemy wnioski z materjału, w którym wyjątki mają nad regułą przewagę.

Czyż w takich warunkach nie narzuca się poprostu nietylko możliwość, lecz konieczność wszelkiego rodzaju błędów, omyłek, fałszywych interpretacyj, wątpliwości, iluzyj wobec siebie? A każda z tych czynności psychicznych czyż nie zawiera w swej treści obok elementów prawdziwych, wrodzonych, przymieszki mniej lub więcej wyraźnej fałszu, złudzenia?

Zaznaczę tu odrazu, że wyraz „złudzenie" jest dla Paulhana jednoznaczny z „kłamstwem"; że pojęciu temu, odrzucając z niego wszelkie czynniki patologiczne, przypisuje ten autor doniosłą rolę w kształtowaniu się i przebiegu procesów psychicznych: nietylko

tych, których prawdziwość wydaje nam się podejrzana, lecz i tych, które przywykliśmy poczytywać za prawdę, za rzetelny wyraz naszej natury. Utworzył nawet wyraz złożony: k ł a m s t w o - z ł u d z e n i e, którym się chętnie i często posługuje.

To kłamstwo-złudzenie odnajduje w każdym obrazie pamięciowym, w każdej powstającej myśli i poczynającem się uczuciu, w każdym akcie woli, o ile poprzedza go namysł, a towarzyszy mu wyobrażenie celu. Każda nowa myśl, każdy zamiar, postanowienie — to fakt nierealny, nie istniejący, który wprowadza do umysłu nowe pierwiastki, nie zawsze wiążące się w harmonijną całość z nagromadzonym tam poprzednio materjałem. Najczęściej te nowe pierwiastki burzą równowagę duchową, tworzą nowe związki, wyrównują przeciwieństwa, usuwają przeszkody na drodze swej realizacji.

Tu właśnie rozpoczyna się rola kłamstwa-złudzenia. „Właściwe kłamstwo woli" — mówi Paulhan — „to fakt usuwania i zaprzeczania tych myśli i uczuć, które mogłyby nas skłaniać do niechcenia, to fakt takiego postępowania naszego, jak gdyby te myśli i uczucia nie istniały Każdy akt woli narzuca nam kłamstwa tego rodzaju, albowiem niema takiego zamiaru, któryby — urzeczywistniając się — nie napotykał pewnych zapór wewnętrznych. Ażeby chcieć, musimy zawsze odrzucać pewne myśli, które mogłyby oddziałać na nasz umysł, zagłuszać pewne uczucia, które mogłyby zaważyć na naszem sercu. Musimy je traktować jako nieistniejące, choć one istnieją i my o tem wiemy". Człowiek tedy, „urzeczywistniający swą wolę, zaprzecza w pewnej mierze własnym uczuciom; jego czyn jest jakby stwierdzeniem ich niebytu. Ale ich przez to nie unicestwia, i prędzej lub później wydobywają się one znowu na powierzchnię świadomości".

Brak harmonji pomiędzy czynem i uczuciem stanowi dla Paulhana najistotniejszy pierwiastek tego, co nazywamy hipokryzją. Widzi on tę hipokryzję w każdym, nawet elementarnym akcie woli. Im bardziej zaś akty woli są złożone, tem więcej pobudek czynu do siebie nie pasuje, z sobą się kłóci; tem więcej odnajdujemy w nich pierwiastków kłamliwych, udanych; tem dobitniej ujawnia się hipokryzja. „Jeżeli człowiek sądzi" — mówi Paulhan — iż „postępuje uczciwie, nie czyni tego wyłącznie pod wpływem idej moralnych i towarzyszących im uczuć. Miłość własna, obawa kary, interes pod najrozmaitszemi postaciami uczestniczą również w jego

postanowieniu... Gdybyśmy chcieli w każdym przypadku wejrzeć szczerze w siebie lub w innych, przekonalibyśmy się snadnie, że niema czynu pięknego, uczucia wzniosłego lub choćby sympatycznego, które nie byłoby zepsute, zbrukane, spaczone jakąś skazą. Niema dobroci, która nie zawierałaby w sobie przymieszki egoizmu, słabości, niekiedy próżności i dumy, niekiedy podłości nawet. Często miesza się tu i złość: czyż nie bywamy dobrzy dla jednych z ukrytem pragnieniem szkodzenia innym... Nasze uczucia najlepsze osłabłyby mocno, gdyby nie były zasilane równocześnie przez uczucia złe, pospolite. Ale naodwrót wiele uczuć złych, które — wstydem przejęci — kryjemy w ciemnych zakamarkach duszy, zawiera też w sobie cząstki dobra. To wszystko jest nieuniknione, zważywszy, jak dalece złożona jest natura ludzka, jak zawiłe są kojarzenia myśli, uczuć, popędów, jak względna nakoniec wartość tego, co nazywamy złem i dobrem. Ale mało kto zastanawia się nad tem! I tu właśnie tkwi jedna z najczętszych przyczyn złudzeń naszej świadomości".

Wszędzie tedy, gdzie Paulhan widzi w działaniu ludzkiem udział woli, udział inteligencji, czy będzie tu w grę wchodziło działanie - czyn czy działanie - myśl, odnajduje zarazem ślady hipokryzji, udawania, kłamstwa dla siebie. To kłamstwo jest z jednej strony naturalnym współczynnikiem w powstawaniu i przebiegu procesów psychicznych, a z drugiej strony naturalnym wynikiem trudności orjentacyjnych w zawiłym splocie naszego życia wewnętrznego.

Że jednak kłamstwo dla siebie obok strony wewnętrznej posiada i stronę praktyczną: daje pewne realne skutki, służy pewnym celom nieraz wielce doniosłym, więc człowiek pielęgnuje je w sobie świadomie, rozwija, modyfikuje; czyni z kłamstwa coś w rodzaju sztucznego popędu, zaczepionego na wielkim pniu instynktu samozachowawczego, tworzy zjawisko, które w sferze życia duchowego odpowiada mimetyzmowi w życiu przyrody.

Wyliczając skutki praktyczne, z kłamstwa dla siebie płynące, Paulhan mówi między innemi, że potęguje ono zdolność przystosowawczą człowieka; staje się w wielu razach środkiem obrony, zabezpieczenia bytu; że zwiększa sumę szczęścia na świecie, stanowi ucieczkę od niedoli i pospolitości życia; pozwala tworzyć sobie wymarzony świat wewnętrzny, świat snów i rojeń, gdzie człowiek chroni się w chwilach złych. Nakoniec, co jest bardzo ważne, kłam-

stwo dla siebie ratuje nas od niebezpieczeństwa, jakie nam ze strony własnego umysłu zagraża. Gdyby człowiek nie tłumił w sobie trzeźwego krytycyzmu, oceniał słusznie swą wartość, stopień uzdolnienia, skalę przygotowania, gdyby zdawał sobie jasno sprawę z nietrwałości i znikomości swych zamierzeń, zakres jego wysiłków, jego pracy twórczej zmniejszyłby się znakomicie. Tylko rozmyślne zamykanie oczu na prawdę, wmawianie sobie rzeczy nieistniejących, udawanie przed sobą sił i możliwości, jakich się nie posiada, popozwala człowiekowi zakładać sobie odległe cele, podejmować ciężkie zadania.

Kłamstwo dla siebie jest punktem wyjścia i szkołą kłamstwa dla innych. Analizując tę postać kłamstwa, Paulhan podporządkowuje ją — rzecz prosta — wpływom socjalnym, nie wdaje się jednak w szersze uwagi o ustroju społecznym, a zagadnień moralnych dotyka o tyle, o ile nie może tego uniknąć. Zaznacza krótko, że cały ustrój społeczny zmusza nas nietylko do powściągania pewnych uczuć, lecz do manifestowania takich, jakich zgoła nie posiadamy. Cała budowa obyczajowo-moralna żąda, aby nasze czyny odpowiadały nie temu, czem jesteśmy, ale temu, czem ze względu na jej potrzeby być powinniśmy, narzuca nam zgodność czynu z ustanowionym porządkiem. Kłamstwo więc i udawanie zalicza się w rezultacie w poczet obowiązków.

Z takiego stanu rzeczy rodzi się konwencjonalizm, mający rozległy obieg w życiu zbiorowem. Starannie uprawiany i przekazywany zwyczajowo przez jedne pokolenia drugim ten konwencjonalizm wrasta głęboko w naturę ludzką i rozdwaja ją poniekąd. Obok przyrodzonej, prawdziwej jej części stawia drugą, wyprodukowaną sztucznie. Każdy człowiek już od dziecka wie raz na zawsze, jak mu wypada w danych okolicznościach postąpić, co powiedzieć, jakie uczucia zamanifestować. Stosujemy się do tego szablonu gorliwie i choć wiemy, co on wart w rzeczy samej, przyjmujemy go i obdarzamy nim innych niby najlepszą monetą.

Typowym przykładem kłamstwa konwencjonalnego jest grzeczność, oddająca nam w życiu cenne usługi i poczytywana powszechnie za przymiot dużej miary, jakkolwiek w swej zasadniczej treści stanowi ona tylko stek ciągłego kłamstwa, zapomocą którego mnożymy dokoła złudzenia i sami złudzeniom ulegamy. To samo mówi Paulhan o cnocie, z tą tylko różnicą, że nazywa ją kłamstwem o zabarwieniu wyraźnie altruistycznem.

Kłamstwo dla innych powstaje więc i rozwija się w niezliczonych odmianach wskutek potrzeb i wymogów socjalnych. Bez niego życie stałoby się stokroć cięższe, straciłoby wiele na swym uroku, byłoby źródłem niewyczerpanych udręczeń i katuszy, może ustawiczną walką na pięści i noże. Toteż Paulhan kłamstwo ceni i żywi niezachwiane przekonanie, że dopóki życie zachowa dla ludzi swą wartość, kłamstwo nie przestanie istnieć.

Teraz zbliżamy się do ostatniego i dość ciekawego punktu w Paulhanowskiej teorji. Autor ten głosi mianowicie, że pewne gatunki kłamstwa, np. ukrywanie, udawanie, przybieranie fałszywych pozorów, mogą stanowić drogę, wiodącą do udoskonalenia moralnego. Kłamstwo tego rodzaju to niby szczudła, na których się wspiera nasza słabość i nieporadność duchowa dopóty, dopóki przez ćwiczenie się, przez wprawę nie wzmocni się, nie stanie zdolną do samoistnego czynu. Przytem wybór, jaki tu czynimy, posiada też pierwszędne znaczenie. Uczucia udane nigdy nie mogą pozostawać w zupełnej sprzeczności z naszą treścią wewnętrzną, muszą odpowiadać pewnym jej elementom. Drobny choćby zalążek tego, co udajemy, już w nas żyje. Inaczej trudnoby było udawać i jeszcze trudniej zrozumieć, dlaczego te właśnie uczucia, a nie inne, udajemy.

Paulhan dobitnie zaznacza, że w tym ostatnim, paradoksalnie brzmiącym, poglądzie nie jest odosobniony, że idzie śladem nauki Pascala i Jamesa-Langego o związku uczuć z ich wyrazem zewnętrznym. Przytacza nawet znany przykład, że człowiek, który przybiera korną postawę, składa ręce, wznosi oczy w niebo i powtarza te ruchy systematycznie a wytrwale, może obudzić w sobie uczucie pobożności. Jeżeli przyjmiemy — mówi Paulhan — że pewne uczucia wywołują pewne ruchy i czyny zewnętrzne, to wolno nam też wnosić, że pewne ruchy i czyny zewnętrzne wywołują samo uczucie. Wchodzi tu zawsze w grę pożyteczna autosuggestja, prawo zaś systematycznego kojarzenia przybywa jej z sukursem i sprawia, że stan duszy udany dąży do przeistoczenia się w rzeczywisty. Na tem właśnie opiera się waga, jaką Paulhan przypisuje kłamstwu nawet i pod względem moralnym.

Przechodząc do teorji Vaihingera, powiemy odrazu, że autor ten widzi również w kłamstwie doniosły czynnik życia. W obszernem swem dziele, noszącem osobliwy tytuł: *Die Philosophie des Als Ob* („Filozofja fikcji"), zajmuje się on głównie rolą pierwiastków fantazyjnych w nauce i tę sprawę szczegółowo rozstrząsa. Że

jednak podstawy myślenia oraz środki pomocnicze, do jakich się umysł z instynktu ucieka przy wymijaniu nastręczających mu się trudności, są zawsze i wszędzie jednakie, więc Vaihinger stosuje swe uwagi do czynności myślenia wogóle. Próbuje nawet chwycić na gorącym uczynku mechanizm twórczości, zjawisko, które stawiane bywa zwykle poza granicami wszelkich reguł jako wyraz intuicji.

Dla Vaihingera czynność myślenia, od elementarnych form poczynając, a kończąc na najwyższych, stanowi cząstkę „kosmicznego stawania sie" (*des kosmischen Geschehens*), jest funkcją celową, która zmierza do utrzymania i wzbogacenia życia. „Organizm" — mówi Vaihinger — „nękany od wewnątrz pełnią sprzecznych wrażeń, od zewnątrz wystawiony na działanie wrogich czynników, musi w sobie szukać środków pomocniczych dla zabezpieczenia swego bytu, musi je tworzyć... Psyche jest pełna wynalazczości, leżą w niej skarby ukryte, które sama odkrywa, znaglona koniecznością, pobudzona podnietą. Dopiero potrzeba i cierpienie rozniecają płomień duchowego rozwoju; przeciwieństwa i opór budzą świadomość, rozpalają wyobraźnię. Człowiek w kształtowaniu się swego Ducha więcej zawdzięcza wrogom, aniżeli przyjaciołom... I logiczna czynność myśli umie też z instynktowną, podstępną wprost mądrością wymijać swe trudności zapomocą czerpanych z fantazji środków pomocniczych, zapomocą zmyślenia, fikcji. Temi specjalnemi metodami myślenia, drogami wykrętnemi, bocznemi ścieżkami posługuje się umysł skwapliwie, choć wie, że ich czystość i nieskazitelność logiczna wiele pozostawia do życzenia. W dodatku ta fikcyjna czynność umysłu, to myślenie „na niby" (*als ob*), zaczynając od niewinnego, zaledwie dostrzegalnego punktu wyjścia, dochodzi poprzez coraz wymyślniejsze „sztuczne zwroty i chwyty" (*Kunstgriffe*) do metod najtrudniejszych, najbardziej złożonych".

Z potrzeby więc, która stopniowo rozwijała intelekt, dodawała mocy wyobraźni, urodziła się fikcja: teoretyczna, praktyczna, religijna; i fikcji tej przypadł w udziale regularny, dominujący wpływ na doskonalenie się bytu

Fikcje, które są uzewnętrznieniem zasadniczej władzy duszy-fantazji (—tłumaczy Vaihinger —) tworzymy rozmyślnie dla osiągnięcia pewnych celów praktycznych, mając przytem pełną świadomość, że ta szczególna manifestacja czynności myślenia nie ma swego odpowiednika w rzeczywistości, jest wytworem sztucznym, złożonym

z pierwiastków fantazyjnych. Gdybyśmy sądzili, że fikcja nie jest zmyśleniem, że odzwierciedla rzeczywistość, nie byłaby fikcją; stałaby się dogmatem. Fikcja jest więc najściślej spokrewniona, a nawet jednoznaczna z kłamstwem, gdyż to w postaci takiej czy owakiej powstaje również w sferze wyobraźni i jest wytworem celowym. Różni się zaś także zasadniczo od błędu i hipotezy, jakkolwiek te trzy pojęcia nawet w nauce bywają z sobą mieszane. Błąd musi być przecież mimowolny i nieświadomy; hipoteza zaś nie zmyśla, nie fantazjuje, lecz na zasadzie prawd znanych odgaduje prawdę nieznaną i dąży do jej udowodnienia.

Fikcja, a zatem to, co jest wymyślone, „wyimaginowane" (*das Imaginäre*), bez względu na swą nieprawdziwość, na niemożność jej uzasadnienia, ze względu natomiast na swą pożyteczność, zyskuje pełne uprawnienie w obrębie logicznego myślenia, posiada obfite zastosowanie i szeroki zakres rozpiętości. Bez fikcji nie byłoby nauki, sztuki, poezji; nie byłoby ideału, wielkości, bohaterstwa; nie byłoby życia w wyższych jego formach. „Na tem właśnie tragedja życia polega" — mówi Vaihinger — „że realnie rzecz biorąc, pojęcia najbardziej wartościowe wartości nie mają".

Fikcji zakreśla Vaihinger granice olbrzymie. Fikcją są według niego pojęcia ogólne i abstrakcyjne, odgrywające doniosłą rolę w poznaniu praktycznem; fikcją są zasadnicze pojęcia naukowe, takie jak atom, materja, eter, siła; fikcją są aprioryczne pierwiastki poznania, zwane kategorjami: przyczyna i skutek, rzecz i własność, część i całość; fikcją są mity, poetyczne symbole i przenośnie: syrena, faun, pegaz, djabeł. Posługujemy się fikcją na każdym kroku i sztuczna ta metoda myślenia tem bujniej się rozrasta, im bardziej komplikują się warunki bytu, wikłają zjawiska otoczenia. W chaosie zagadnień narodowych i socjalnych, w szerokim wymiarze problemów moralnych i prawnych trudnoby było dać sobie bez fikcji radę. Nawet w dziedzinie nauki czystej staje się fikcja nietylko potrzebnem i dozwolonem, lecz najcenniejszem narzędziem pomocniczem, które pomaga człowiekowi w orjentacji, ułatwia badanie, umożliwia przewidywanie — właściwy cel nauki.

Najściślejsza z nauk, matematyka, opiera się całkowicie na „wyimaginowanych" podstawach. Zasadnicze pojęcia matematyczne: przestrzeń, czas, punkt, linja, powierzchnia, pojęcia w dodatku bezwymiarowe lub jednowymiarowe, są to typowe fikcje, nietylko sprzeczne z rzeczywistością, lecz pełne w swej treści sprzeczności

wewnętrznych. Liczne założenia matematyczne, liczby urojone, wielkości ujemne — to wszystko są fikcje, pojęcia zmyślone, które jednak w praktyce, w rozwiązywaniu zadań dają wyniki trafne. Całe ważne działy matematyki mają nieraz fikcję za punkt wyjścia, np. rachunek różniczkowy, który powstał z pojęcia „wielkości nieskończenie małej", pojęcia zgoła niezgodnego z rzeczywistością, gdzie wszelkie „coś" musi być skończone. A cóż mówić o naukach prawnych, dla których fikcja stanowi od wieków cenny „kapitał zakładowy"? Całe prawodawstwo rzymskie poczęło się z pojęcia „fictio juris", gdzie coś nieistniejącego przyjmowano za istniejące lub gdzie zdarzenie wyjątkowe podprowadzano pod regułę ogólną, całkowicie z niem sprzeczną. Taki stan rzeczy trwa do dnia dzisiejszego. Jeden z najważniejszych działów nauki prawa — prawo karne — pozwala się uzasadnić jedynie wtedy, gdy się je opiera na fikcyjnem założeniu wolności woli, którą każdy rzekomo posiada.

Nie mówiąc już o dziedzinie poezji i sztuki, Vaihinger wylicza bez końca przykłady, świadczące o stałej i prawidłowej przydatności fikcji w sferze twórczego myślenia. Uwagi swe zamyka wnioskiem, że i praktyczna działalność ludzka, która posługuje się obficie wszelkiego rodzaju uogólnieniami, korzysta tem samem z metod i pojęć fikcyjnych.

Pytanie, jakim sposobem fikcja — twór fantazyjny, wymysł pełen sprzeczności wewnętrznych i zewnętrznych — prowadzi do wyników prawdziwych, do trafnego przewidywania zdarzeń — rozważa Vaihinger długo i pracowicie, w słusznem przeświadczeniu, że od odpowiedzi na to pytanie zależy cała wartość jego teorji. Argumentuje niestrudzenie, przytacza bogatą liczbę cytat, aż wkońcu ucieka się do porównania, które ma, jego zdaniem, rzecz dosadnie przedstawić. Przeprowadza mianowicie analogję pomiędzy czynnością chodzenia i czynnością myślenia. „Fizjologja uczy" — mówi — „że chodzenie jest właściwie uregulowanem upadaniem. Przy każdym kroku, wskutek zmienionej równowagi ciała, grozi człowiekowi upadek na jedną stronę, stara się więc przez wysunięcie drugiej nogi temu upadkowi zapobiec. Na takiem antagonistycznem działaniu funkcyj polega nietylko chodzenie, lecz i wszystkie inne ruchy organiczne. Logiczny ruch wyobrażeń odbywa się w tym samym porządku: myślenie jest uregulowanem błądzeniem... Cały postęp myślowy zasadza się na zmianie logicznej równowagi (na owych sprzecznościach, powodowanych przez fikcję, która przez przeciw-

stawną operację myślową bywa dopiero wyrównywana. Człowiek, nie znający fizjologii, nie wie, że — chodząc — ciągle upada; i nie wie również, że — myśląc — wciąż się chwieje, błądzi. A jednak zarówno w jednym jak w drugim przypadku idzie naprzód".

*

Jeżeli uczeni wskazują nam wymownie głębie, jakich sięga korzeniami swemi kłamstwo zarówno indywidualne jak socjalne, jeżeli przedstawiają rozmaitość jego odmian, ogrom jego wpływów, to poeci idą dalej. W sposób namiętny, z porywającą plastyką nietylko malują doniosłość kłamstwa w życiu, lecz biorąc je głównie z punktu widzenia twórczości estetycznej, wręcz podejmują gloryfikację tego zjawiska.

I Wilde, i Nietzsche są — jak wiadomo — wyznawcami skrajnego indywidualizmu, obaj widzą w nim jedynie warunek konieczny pełnego rozwoju życia, jego pochodu ku doskonałości. Stąd też patrzą obaj wrogo na ustalony na świecie porządek. Wstrętem ich przejmuje „rojne, zgiełkliwe targowisko życia, gdzie najdonioślej rozlegają się głosy krzykliwych polityków, lamentujących apostołów i ciasnogłowych kaznodziejów..., gdzie ociężałe, uprzykrzone, ślepe, mechaniczne siły społeczne odnoszą triumf nad indywidualnością, nad dynamiczną siłą Człowieka".

Tymczasem Człowiek jeno ze swą duszą tajemniczą, ze swą niepojętą władzą fantazji, godzien jest uwagi i podziwu, coś znaczy, coś może. „Choćby — mówi Wilde swą fascynującą paradoksalno-aforystyczną manierą — „na szali wag położyć słońce, wymierzyć drogi księżyca, odszukać na karcie wszystkie gwiazdy siedmiu nieb, któż zdoła obliczyć drogi ludzkiej duszy" z jej cudownym, irracjonalnym pierwiastkiem — fantazją? Z fantazji wszystko się rodzi; w fantazji wszystko się mieści, nawet iskra genjalności. Ona jest światłością światów, zwiastunem miłości, objawieniem wszystkiego, co wielkie i piękne; z jej pomocą zdobywa człowiek cały świat „Niewysłowionego". W sferze fantazji powstaje ułuda, kłamstwo: rodzi się sztuka, ta „moc przedziwna i niepokojąca, co to zapobiega monotonności typu, niewolnictwu zwyczaju, tyranji nałogu, sprowadzeniu człowieka do poziomu maszyny", co to „odrzuca brzemię wszystkiego, co rzeczywiste, co za prawdziwe lub prawdopodobne uchodzi". Bo cóż to jest prawda? — pyta Wilde. I odpowiada: „W kwestjach religji poprostu opinja, przekazana

przez tradycję; w kwestjach wiedzy ostatnie odkrycie, poruszające umysły; w kwestjach sztuki ostatni nasz nastrój".

Sztuka — powtarza Wilde z naciskiem — zajmuje się tylko tem, co nieprawdziwe, nieistniejące — fantazjuje, marzy. Bierze życie jako część surowego materjału, którym się posługuje dowolnie, nie licząc się absolutnie z faktami; przetwarza sferę życia realnego, wzbogaca ją pierwiastkami nowemi, nieznanemi. We wszystkich nieśmiertelnych pomnikach Ducha ludzkiego..., „w starych kronikach, w Żywotach Świętych, w opisach podróży Marka Polo, w autobiografji Celliniego, w Pamiętnikach Casanovy, Defoëgo i Carlyle'a fakty zajmują należne im podrzędne stanowisko albo całkowicie są pominięte... Wcześniej czy później wszędzie następuje powrót do subtelnego i olśniewającego kłamstwa".

Żaden twórca, artysta, poeta, nie widzi i nie pokazuje rzeczy takiemi, jakiemi są istotnie. Gdyby to czynił, nie byłby artystą: „zrównałby się z degeneratami dziennikarzami, z politykami, którzy nigdy nie umieją wznieść się nad poziom marnego przekręcania lub, co najwyżej, z prawnikami, najzręczniejszymi w sztuce kłamania, niestety, mistrzami jednak tylko w sofisterji i retoryce". Artysta to twórca pięknych fałszów, to kłamca, który nas zachwyca i czaruje, który wnosi do życia pierwiastek cudu, stwarza wzory godne naśladowania. Przecież nie życie daje sztuce, lecz sztuka daje życiu bądź niezwykły typ, wymyślony przez malarza lub rzeźbiarza, bądź godne urzeczywistnienia marzenie poety. Artysta tworzy wzory, które „życie chwyta i pokornie przerabia, mozoląc się w pocie czoła nad zrealizowaniem choćby cząstki tego, o czem sztuka opowiada". To, co nazywam fałszem, nieszczerością, kłamstwem, niesie radość, sieje słoneczne blaski, leczy ślepych i głuchych, służy do „z w i e l o k r o t n i e n i a" naszej indywidualności. Takie kłamstwo powinno istnieć zawsze; gdyby mu groził zanik, wskrzesić je byłoby naszym obowiązkiem. „Na mapę świata, nie obejmującą Utopji" — kończy Wilde swe gorące uwagi o kłamstwie — „nie wartoby patrzeć, gdyż pomijałaby kraj, do którego brzegów zawsze ludzkość przybija... Bo cóż to jest postęp? To urzeczywistnienie Utopji".

Nietzsche traktuje sprawę kłamstwa szeroko, dużo szerzej, aniżeli Wilde, ale i on czyni to raczej jako poeta, aniżeli jako myśliciel, aczkolwiek po wiele razy zbiega się w poglądach z Paulhanem i z Vaihingerem.

Po swojemu, jędrnie i dobitnie, nie owijając rzeczy w bawełnę, nie bacząc na osłupienie, w jakie raz po raz wprawia czytelnika, głosi on swą paradoksalną, na antynomjach opartą teorję, której tonem zasadniczym jest namiętne ukochanie życia. Nietzsche apostołuje w niej walkę ze wszystkiem, co życie „pomniejsza, osłabia, podkopuje"; wynosi natomiast pod niebiosa wszystko, co życie „wzbogaca, potęguje, uświetnia; co mu dodaje mocy, pędu, rozmachu". W tej akcji podnoszenia, potęgowania życia, torowania dla niego nowych szlaków, fantazji musi oczywiście przypaść w udziale rola pierwszorzędna, więc Nietzsche ma w wielkiej cenie fantazję oraz to, co się z niej rodzi: funkcję fałszowania, poetyzowania, fałszującego, poetyzującego tworzenia.

Niekiedy cierpi z tego powodu; wstydzi się w swej godności proroka, zwiastującego nowe formy życia, nowy typ człowieka syntetycznego, „nadczłowieka", że w tej idealnej pracy dla przyszłości takie znaczenie przypisuje kłamstwu. Poczytuje to, podobnie jak Vaihinger, za tragedję życia. Ale stopniowo godzi się ze stanem rzeczy, na który nie widzi rady. Godzi się z faktem, że fantazja zarówno w interesie czynności poznawczej, jak estetycznej rozkoszy, przeciwstawia „chwiejnemu, płynnemu" bytowi realnemu świat wyśniony innego porządku, gdzie „wszystko jest lepsze, doskonalsze, wyrównane, zaokrąglone". Godzi się z faktem, że na najwyższych stopniach duchowego rozwoju fantazja rozpala się do czerwoności, ogniem bucha, sięga granic „bezwstydu"; że tam najbujniej się rozrasta żądza pozoru (*Wille zum Schein*); że tam kłamstwo świadome (*bewusst gewollter Schein*) pod wszelkiemi postaciami: zmyślenia, udawania, rojenia, iluzji, zatacza szerokie kręgi, opanowuje wszystko. W rezultacie dochodzi nawet Nietzsche do wniosku, że tak, jak jest, jest dobrze i nie trzeba temu przeciwdziałać. W fantazji biorą przecież początek „największe, najbardziej wartościowe, choć naukowo nieuzasadnione myśli i prawdy"; z fantazji płyną marzenia i iluzje, posiadające dla życia „najwyższą dóniosłość, dla Ducha będącego w pełni rozwoju równie niezbędne, jak dla dziecka konieczna jest bajka i zabawa". Z tej władzy tryska najwyższa, nad wszystkiem górująca wartość życia — sztuka, która w istocie swej jest wszakże „artystyczną grą", „tworzeniem artystycznych pozorów", „welonem artystycznych złudzeń", rozwieszanym nad marną, pospolitą rzeczywistością. A jednak, choć sztuka

jest kłamstwem (*Lüge*), choć artysta jest oszustem (*Betrüger*), jedynie w sztuce leży nasza wielkość; jedynie sztuka, unosząc nas w idealny świat rzeczy nierealnych, wymarzonych, godzi nas z życiem, zapobiega samobójstwu, które stałoby się bez niej nieuchronnem wyjściem człowieka. „Maszyna człowiek" — syntetyzuje Nietzsche — „musi być... złudzeniami opalana". Świadomie popełniane omyłki, myślenie „n a n i b y", rozmyślne udawanie, że to, co człowiek snuje sam z siebie, odzwierciedla rzeczywisty stan rzeczy, wszelkiego rodzaju i stopnia iluzje, były zawsze i są najszczodrzejszemi w pociechę mocami: one napawają człowieka pewnością siebie i ufnością, z e s t o k r a t n i a j ą rzeczywistą sumę fizycznej siły, dają przeczucie zwycięskiej walki z próżnym trudem, próżnem cierpieniem, dają wiarę w szczęście. Człowiek wie, że to... „może błąd, zaślepienie, gdy czemuś, co nie istnieje, co sam wymarzył, nadaje wartość, przypisuje nieledwie znamiona boskie, ale życie tego żąda, życie na kłamstwie polega". „Nawet narządy nasze są do tego przystosowane i wespół z instynktami dają zgoła nieoczekiwane owoce w ogrodzie obłudy..." „Nasz intelekt nie umie się wydobyć poza obręb świadomie przyjętych obrazów, symboli, figur retorycznych, zgruba ciosanych abstrakcyj..." „Nasza mowa, cały język, od którego wszakże czynność myślenia zawisła, roi się od fantastycznych przypuszczeń i fałszywych założeń; kryje w sobie filozoficzną mitologję, która się co chwila ujawnia".

Wywodząc funkcję „fałszującego, poetyzującego tworzenia" z podstaw organicznych, traktując ją jako jedną z zasadniczych władz życia, Nietzsche przedstawia — podobnie jak Vaihinger — bogactwo i różnorodność jej wyrazu. Mówi o prastarym popędzie mitotwórczym (*mythenbildender Trieb*); o nieprzerwanym łańcuchu mrzonek i fikcyj, które mnożą się w miarę dojrzewania człowieka i regulują życie; mówi o rzekomych prawach przyrody, o postulatach naukowych, o normach obyczajowych i moralnych. Walory moralne kłamstwa akcentuje dobitnie, narówni z Paulhanem, głosząc, że „długotrwałe ćwiczenie się w jakowemś udaniu przedzierzga się wkońcu w naturę: udawanie unicestwia ostatecznie siebie"... Czy do rozwoju dobroci — pyta — nie przyczyniło się najwięcej udawanie, które pragnęło za dobroć uchodzić? Kłamstwo jest jeżeli nie macierzą, to przynajmniej mamką dobroci. A na wyrobienie innych cnót, np. uczciwości, rzetelności, czyż nie miało przemożnego wpływu wymaganie pozorów rzetelności i uczciwości zwłasz-

cza wśród arystokracji dziedzicznej? Na polu moralnego działania człowiek postępuje również tak, j a k g d y b y szczerą prawdą były twory jego własnej wyobraźni, j a k g d y b y rzeczywistość im odpowiadała.

Są chwile, kiedy Nietzsche wogóle wątpi, czy możnaby kłamstwu zakreślić granice, czy można je nawet zdefinjować. Przecież kłamstwo — mówi — nie jest przeciwieństwem jakiejś rzeczywistości: „bo cóż ja mogę o rzeczywistości powiedzieć? Czyż to nie jest martwa maska, którą na niewiadome x dowolnie nakładam i zdejmuję?... Czemże są właściwie nasze doświadczenia życiowe? Raczej tem, co w nie wkładamy, aniżeli tem, co się w nich mieści. A może należałoby powiedzieć: w istocie nic w nich niema. Doznawać jest to marzyć..."

W całej doktrynie socjalno-moralnej Nietzschego kłamstwo jest, jak widzimy, poważnie uwzględnione; występuje nietylko jako zjawisko naturalne i celowe, lecz jako jedno z cennych narzędzi, jako niezbędny środek pomocniczy w gromadzeniu siły, w potęgowaniu indywidualności, w podnoszeniu życia na wyższy poziom. Spełnia ono rolę wręcz odwrotną do prawdy, która — zdaniem Nietzschego — najczęściej prąd życia wysusza i hamuje.

II

„Zamieć każdy przed swym progiem,
A pan burmistrz pójdzie z Bogiem".

Brodziński: *Fraszki*

Rozpatrzyliśmy kłamstwo w sposób oczywiście dość ogólnikowy z punktu widzenia kilku uczonych i poetów. Możemy się z głoszonemi przez nich teorjami zgadzać lub nie zgadzać, odrzucać je w całości, przyjmować częściowo, stawiać kłamstwo na gruncie psychologji lub socjologji.

Możemy wnosić, jak się to najczęściej w stosunku do poetów dzieje, że grzesząc artystyczną przesadą, apoteozując sztukę, przeceniają tem samem rolę fantazji w zespole zjawisk życiowych. Możemy wnosić, że z podobłocznych sfer, w których się stale na skrzydłach wyobraźni unoszą, nie mogą dojrzeć należycie rzeczywistości, ocenić jej przyrodzonych kształtów: są więc siłą rzeczy skazani na popełnianie omyłek optycznych, na sycenie się złudze-

niami, błądzenie po drogach nieznanych, dla przeciętnego śmiertelnika niedostępnych.

Uczonym wolno nam zarzucać, że są jednostronni i tendencyjni; że dążąc za wszelką cenę do udowodnienia pewnej tezy, pewnego zgóry powziętego założenia, dopasowują do niego sztucznie cały materjał dowodowy, cały tok rozumowania.

Wolno nam kwestjonować, czy Paulhan miał słuszność za sobą, podnosząc kłamstwo do naturalnego prawa życiowego i upatrując przymieszkę fałszu, objawy hipokryzji w każdym procesie psychicznym, w każdem nieokreślonem dążeniu człowieka, w każdem zmaganiu się z sobą. Słowem, wolno nam wątpić, czy słusznie poczytywał za kłamstwo zjawiska, które są niem może w swej istocie, lecz bez udziału w tem naszej świadomości, naszej woli. Tymczasem wiemy, że z właściwem kłamstwem mamy do czynienia z tą chwilą dopiero, gdy popełniamy je świadomie, z wyraźną chęcią wprowadzenia kogoś w błąd, oszukania kogoś.

W stosunku do filozofji fikcji Vaihingera mamy też prawo pytać, czy uczony ten — podobnie jak Nietzsche — nie był więcej poetą, aniżeli myślicielem. Czy nie stał się krzewicielem skrajnego sceptycyzmu naukowego; czy wbrew swemu zamiarowi nie zachwiał podstaw wszelkiej wiedzy, nadając fikcji zakres wprost nieograniczony i przyjmując za warunek konieczny tego pojęcia absolutny brak w niem śladu pierwiastków realnych. A już najżywszy sprzeciw może, nawet musi wywołać fakt, że Vaihinger wprowadził również w granice fikcji takie produkty myślowe, jak pojęcia ogólne, które nie odpowiadają wprawdzie każdemu konkretnemu naszemu doświadczeniu, lecz w treści swej nie składają się bynajmniej z pierwiastków fantazyjnych, albowiem odpowiadają sumie naszych doświadczeń, sumie naszych sądów, dotyczących pewnej grupy przedmiotów czy zdarzeń.

Czy tak, czy owak ustosunkujemy się wszakże do poglądów na kłamstwo, z jakiemi się tu zapoznaliśmy, wypadnie nam zgodzić się na jedno: na to mianowicie, że w ich oświetleniu kłamstwo przestaje nam się wydawać tem, za co w życiu codziennem pospolicie jest brane: z jednej strony tylko wyrazem sprytu, humoru, pomysłowości, żartem, fortelem *à la* Zagłoba; z drugiej strony tylko obrazą moralności, cięższem lub lżejszem przewinieniem, przestępstwem. Teraz rozumiemy doskonale, że kłamstwo może być i żartem i występkiem, ale ani jednem, ani drugiem nie jest wyłącznie.

W gruncie rzeczy jest zawiłym splotem czynników biologicznej i socjalnej natury; jest zjawiskiem celowem, z którem zarówno w warunkach życia indywidualnego, jak zbiorowego, musimy się liczyć; jest reakcją uczuciową ustroju i może, jak każda inna reakcja, jak każdy popęd, przybierać rozmaitą postać i rozmaity stopień natężenia, może rozrastać się ponad potrzebę, przechodzić w nałóg, wyrodnieć. Dlatego spotykamy obok siebie w bezpośredniem sąsiedztwie kłamstwa wielkie i małe, mądre i głupie, podniosłe i nikczemne, mistrzowskie i nieudolne, potrzebne i niepotrzebne.

Niezależnie od tego, co nam mówi literatura, doszlibyśmy do tych samych mniejwięcej wyników na zasadzie własnego doświadczenia, gdybyśmy tylko spróbowali rozejrzeć się uważnie w tem, co nas otacza i ocenić to krytycznie. Przekonalibyśmy się wówczas, że kłamstwo, z którem tak często mamy do czynienia, nie jest jakąś jednolitą całością, możliwą do usunięcia z życia bez reszty; że posiada bogatą skalę wyrazu i wymiaru; że dzieli się dobitnie na odrębne kategorje: dodatnie i ujemne, szkodliwe i pożyteczne. Przekonalibyśmy się, że niezliczone kłamstwa złe, szpetne, małe, że tak dobrze nam znane pospolite, nędzne kłamstewka mają przeciwwagę, niekiedy może przewagę w kłamstwie pięknem i szlachetnem.

Nie mówiąc już o sztuce, poezji, literaturze pięknej, gdzie kłamstwo bywa istotnie źródłem najdoskonalszych pomysłów, najśmielszych porywów twórczych, trzeba przyznać, że cenne właściwości charakteru, które wszyscy podziwiają i pragnęliby posiąść, a więc: panowanie nad sobą, wyrozumiałość, uprzejmość, grzeczność, takt towarzyski i zawodowy, są tylko w pewnej mierze odbiciem prawdziwej natury człowieka, w rozwoju zaś swym i wykształceniu mają dużo do zawdzięczenia fałszowi, hipokryzji, udawaniu. Kłamstwa, popełniane dla ocalenia kogoś, pocieszenia w nieszczęściu, dodania odwagi; kłamstwa lekarza, kryjącego przed chorym grozę jego stanu; kłamstwa dowódcy, prowadzącego żołnierza na śmierć niechybną; kłamstwa pedagogiczne w postaci zmyślonych przykładów, opowieści, suggestyjnych pytań i odpowiedzi, i wiele innych kłamstw zapewne, które mi w danej chwili na myśl nie przychodzą, to są wszystko kłamstwa dodatnie, potrzebne. Bez nich życie stoczyłoby się z punktu na poziom o wiele niższy od dzisiejszego, choć i ten pozostawia tyle do życzenia. Chyba

pamiętamy wszyscy siostrę Symplicję z *Nędzników*. Świątobliwa ta zakonnica popełnia w naszych oczach trzykrotne notoryczne kłamstwo, w dodatku postawą kłamie modlitwę, a jednak postępowaniem swem najgłębszą cześć w nas budzi. Z pewnością poczulibyśmy do niej odrazę, gdyby w tych samych okolicznościach była powiedziała czystą prawdę.

Nie chciałabym zostać źle zrozumianą i narazić się na zarzut, że na własną rękę podejmuję znowu apologję kłamstwa. Nie mam bynajmniej tego zamiaru. Przeciwnie, szczerość uczuć, siłę przekonań, niezależność sądu, odwagę czynu, naturalnie zawarte w granicach ludzkich możliwości, nietylko stawiam wysoko, lecz zaliczam do cennych dóbr moralnych. Ale mam zarazem głębokie przeświadczenie, że głoszony tak często fanatyzm prawdy jest ideałem dobrym tylko w teorji, że osiągnięty w praktyce sprowadziłby rezultaty opłakane, straszne: rozluźniłby do ostatecznego stopnia węzły społeczne i rodzinne, wywołałby potworny rozrost popędów egoistycznych, bezwzględności, brutalności, okrucieństwa.

Fanatyczni zwolennicy prawdy, gwałtowni przeciwnicy wszelkiego fałszu — rzecz prosta w teorji tylko — istnieli zawsze. Zaliczamy do nich wielu ludzi niepospolitych, nawet genjalnych, np. Kanta, Fichtego, Montaigne'a. Montaigne nazywał kłamstwo „ohydną wadą, którą należałoby ogniem piętnować". Fichte głosił, że gdyby miał tem świat zbawić, nie mógłby złamać raz danego słowa. Nieprzejednany zaś stosunek Kanta do kłamstwa jest ogólnie znany. W specjalnej rozprawie, poświęconej temu przedmiotowi, filozof ten wyraził pogląd, że kłamstwo obniża i niweczy godność ludzką, nie może więc znaleźć usprawiedliwienia nawet w wielkiem poczuciu miłości bliźniego. Okłamanie złoczyńcy, — mówił Kant — któryby godził na życie najdroższego nam przyjaciela, byłoby występkiem.

Poglądy takie, bez względu na autorytet ich twórców, nietylko nie oddziałały w najlżejszej mierze na życie, lecz spotkały się z ostrą i również nie bylejaką krytyką. Schopenhauer nazwał stanowisko Kanta „biurkowem", pozbawionem wszelkiego znaczenia dla wskazań praktycznych, i twierdził, że zawsze „łatwiej jest deklamować, aniżeli czynić; moralizować, aniżeli być uczciwym". Menger zaś powiedział poprostu, że miłość prawdy Kanta zakrawa na karykaturę. Nietylko nie dowiódł jej czynami w życiu, ale nie dochował jej wierności nawet piórem, gdyż on — wolnomyślny

z przekonań — potrafił stawać w obronie absolutyzmu i głosić wielce lojalne poglądy w razie potrzeby.

Znamienny i godny uwagi jest tu fakt, że etyka chrześcijańska, która w imię swych założeń musi podnosić sztandar prawdy jak najwyżej, zajmuje jednak w stosunku do kłamstwa stanowisko ostrożne, bezwzględnego zakazu kłamstwa nie podtrzymuje. Ks. Cathrein (T. J.) poucza, że w zasadzie kłamać nie wolno nigdy. Ale zasada ta nastręcza w życiu praktycznem wiele trudności, którym trzeba zaradzić. Zachowanie tajemnicy np. może być dla dobra jednostki lub dobra ogółu konieczne. Samo milczenie może w tym celu nie wystarczać, może budzić podejrzenia, a ten, „kto okazuje, że ukrywa tajemnicę, już ją tem samem zdradza". Trzeba się więc uciekać do innych środków zaradczych: mowy dwuznacznej i zastrzeżeń myślowych (*restrictio mentalis*). Wprawdzie ks. Cathrein obu tych środków za właściwe kłamstwo nie poczytuje, ale nie przeczy, że w ich intencji tkwi chęć ukrycia prawdy, są więc z kłamstwem spokrewnione i łatwo w kłamstwo zamienić się mogą. Choćbyśmy nie wdawali się w głębszą analizę takiego ujęcia sprawy, uderza nas w niej jedno: że nawet etyka chrześcijańska przyznaje w pewnych okolicznościach pewnym postaciom kłamstwa rację istnienia.

Dokładne zdanie sobie z tego wszystkiego sprawy, zrozumienie, czem jest kłamstwo, na jakim gruncie wyrasta, jak daleko sięga swemi korzeniami, w jakich granicach może wahać się w swych objawach — to rzecz ważna nietylko ze względów teoretycznych. To nietylko zaspokojenie pewnej ciekawości poznawczej, rozwiązanie interesującego zagadnienia. Sądzę, że jedynie wyraźne rozumowe postawienie tej sprawy pociągnęłoby również za sobą pożądane wyniki praktyczne: uregulowałoby raz wreszcie stosunek do kłamstwa w sposób racjonalny, zmiejszyłoby przepaść, jaka dziś na tym punkcie słowo od czynu dzieli, przyniosłoby nieznaczne może, ale istotne odkłamanie życia i człowieka. To „odkłamanie", tak dziś modne, lecz praktykowane, niestety, wyłącznie w krytyce literackiej i w związku z przeszłością, aczkolwiek odkłamanie tego, co bezpowrotnie minęło i nastręcza pole do bezkarnej dowolności wniosków, jest może jeszcze trudniejsze!

Dopiero po zrozumieniu, jak bardzo kłamstwo zrasta się z życiem, z naszej woli i wbrew naszej woli, przestalibyśmy traktować je z patosem wszędzie, gdzie je spostrzegamy; zaniechalibyśmy

rzewnej deklamacji, górnego morału; zaniechalibyśmy gołosłownych przeciw kłamstwu krucjat, urzeczywistniając je równocześnie z całą skwapliwością z lada przyczyny. Natomiast wtedy dopiero moglibyśmy zwrócić baczną uwagę na gatunek kłamstwa najgorszy, na kłamstwo niepotrzebne, i spróbować temu kłamstwu niepotrzebnemu się przeciwstawić. Wiemy przecież aż nadto dobrze i z doświadczenia i z historji, że najtrudniej jest zawsze człowiekowi pogodzić się ze złem niepotrzebnem, dla którego nie można znaleźć uzasadnienia. Można na upartego usprawiedliwić mord, ale nikt nigdy nie usprawiedliwi towarzyszącego mu bezpotrzebnego okrucieństwa; można wytłumaczyć rabunek, podjęty w imię naglącej potrzeby, ale nikt nie wytłumaczy związanego z nim bezcelowego wandalizmu. To samo dotyczy kłamstwa: z kłamstwem celowem człowiek, czy chce czy nie chce, musi się pogodzić; kłamstwo bezcelowe budzi tylko wstręt, pogardę, lekceważenie, uwłacza istotnie, jak mówił Kant, ludzkiej godności.

Tutaj nasuwa się mimowoli uwaga, że to zadanie wcale niełatwe odróżnić kłamstwo potrzebne od niepotrzebnego, znaleźć w każdym przypadku jakiś probierz, jakieś kryterjum, które pozwoliłoby wyrokować o rzeczy w sposób niezawodny. Uwaga taka będzie niewątpliwie słuszna zwłaszcza tam, gdzie chodzi o kłamstwo cudze. Bo co się tyczy kłamstwa własnego, każdy z nas wiedziałby, gdyby się trochę nad tem zastanowił, dlaczego kłamstwo popełnia: czy czyni to z perwersji moralnej, z interesu, ze strachu, wygodnictwa, nałogu, czy uprawia kłamstwo z amatorstwa, jako sztukę dla sztuki. Przytem nasuwa się tu i kontruwaga, że miary, pod którą dałoby się kłamstwo podprowadzić, nigdy nie znajdziemy, jeżeli nie zaczniemy jej szukać. Człowiek jest bardzo pomysłowy i potrafił sobie poradzić w okolicznościach nieraz jeszcze trudniejszych.

Zresztą nie szukając nawet takiej miary, dałoby się odrazu wskazać niejedną odmianę kłamstwa, którą wolno nam uznać bezwarunkowo za niepotrzebną, albowiem niepodobna związać ją z pojęciem potrzeby lub pożytku. Dość wymienić tu takie rodzaje kłamstwa, jak rzucanie słów na wiatr, niesłowność, przekręcanie faktów, kłamstwo dla sensacji, samochwalstwo, bezmyślne plotkarstwo, puste komplemenciarstwo, podszytą wiatrem frazeologję patrjotyczną, którą się szermuje na prawo i lewo aż do znudzenia, bijące w oczy kłamstwa okolicznościowe i t. d.

Oczywiście odkłamując życie z kłamstwa niepotrzebnego, poszlibyśmy po tej drodze, jaką wyszydzał Menger. Wielkie obszary kłamstw publicznych pozostałyby znowu nietknięte. Zwrócilibyśmy się tylko do t. zw. kłamstw prywatnych, drobniejszych, pozbawionych niekiedy wybitnych znamion szkodliwości lub szpetoty. Ale na to niema rady. Od wieków przedmiotem pilnych rozważań filozoficznych, etycznych, prawnych, oraz bolesnych refleksyj osobistych był ten smutny fakt, że prawda, sprawiedliwość, słuszność etyczna to są pojęcia mgliste, płynne, niezmierne trudne w zastosowaniu praktycznem. Od wieków wina i kara, zasługa i uznanie, wartość i powodzenie chodziły rozbieżnemi, najczęściej nie mogącemi się zetknąć drogami. Ten smutny fakt był też zawsze i dotąd pozostał skałą Tarpejską, z której w strzępy się rozbija niejeden ideał, niejedna cnota. Wszakże nawet stary nasz Krasicki, który bezmiar obojętnej pobłażliwości dla ludzi i zdarzeń krył w swej duszy, bolał nad tem i srodze się gorszył, że „mały złodziej wart chłosty! Lecz ten, co kraj zdradza, lubo tyle za sobą hańb, sromot sprowadza, że owe sławne sosny z nadbrzeża Pilicy jeszcze małe do składu jego szubienicy, przecie filut, wisielec, na co patrzeć zgroza, wstęgi nosi na szyi, co warta powroza".

Powtarzam: tak było, jest i może długo jeszcze będzie. Kto wie jednak, czy i na tym punkcie nie osiągnęlibyśmy pewnej zmiany na lepsze, gdyby nam się udało ograniczyć sumę kłamstwa niepotrzebnego na świecie, wykreślić z życia nędzne kłamstewka, czasami istotnie niewinne, ale czasami obrzydliwe, poniżające ludzką naturę. Byłby to rezultat stanowczo nie do pogardzenia, albowiem kłamstwa prywatne są niezliczone i dla swej mnogości stanowią także potęgę. Otaczają nas zewsząd ciasnym pierścieniem, wciskają się wszędzie, przenikają wszystkie stosunki ludzkie, przesycają całość życia do tego stopnie, że na swój sposób też zatruwają atmosferę, którą oddychamy. Gdyby ich zabrakło, poziom moralny człowieka podniósłby się niechybnie, a to siłą rzeczy musiałoby się odbić na układzie życia zbiorowego.

Oprócz tych kłamstw niepotrzebnych, jakie wyliczyliśmy, widzę jeszcze przed sobą dwa obszerne, suto chwastem bezcelowego fałszu porosłe tereny, które dałoby się pomału wykarczować bez stosowania w tym celu jakich środków heroicznych.

Pierwszy — to bardzo rozpowszechnione kłamstwo, jakie bezustannie popełniamy, kiedy — pytani i niepytani — kłamiemy, że

nie kłamiemy. Czyż wbrew faktycznemu stanowi rzeczy nie rozlega się dokoła huczny frazes o naszej prawdomówności, kulcie dla prawdy, awersji do fałszu? Czy frazes ten nie brzmi tem donośniej, im dalsi jesteśmy od treści w nim zawartej? Czy zdecydowany kłamca, który kłamie jak z nut i pławi się z lubością w atmosferze ordynarnego fałszu, obmierzłego pochlebstwa, nie krzyczy najgłośniej o swej szczerości, uczciwości, o swem zamiłowaniu do prawdy? Na co to jemu samemu lub innym potrzebne, skoro temu człowiekowi i tak nikt nie wierzy. A takie postępowanie rodzi tylko podejrzliwość, podkopuje do reszty wiarę w ludzi, wywołuje beznadziejnie smutne przeświadczenie, że wszystko to, co się na świecie widzi i słyszy, czyta i głosi — to tylko słowa, słowa..., w których — jak drwi Mefistofel w *Fauście* — tkwi „ta własność pożyteczna, że niemi myśli dadzą się zastąpić..., że byle ich nie skąpić, łatwo piękne teorje budować.., łatwo dzielnie dysputować..., i wierzyć w nie łatwo snadnie: od słowa ani jota nie odpadnie".

Dla powściągnięcia obfitych kłamstw tego rodzaju nie potrzeba przecież ślubować sobie romantycznej cnoty, wyrzekać się dóbr tego świata, skazywać na poświęcenie i ofiary. Wystarczyłoby tylko milczenie, powstrzymanie się od pustych słów tam, gdzie je dziś bez liku, bez zastanowienia się, a często i bez sensu rzucamy.

Również tylko drogą rozumnej wstrzemięźliwości w posługiwaniu się morałem, w nadużywaniu frazesu osiągnęlibyśmy pewne odkłamania dziedziny wychowania, uzdrowilibyśmy zobopólne stosunki, jakie dorosłych z młodzieżą łączą.

Każdy podręcznik pedagogiczny, każdy artykuł o wychowaniu stawia na miejscu naczelnem i zalicza do obowiązków najważniejszych wychowywanie dzieci w czci dla prawdy, wdrażanie do prawdomówności, budzenia wstrętu do fałszu i udawania. W pracach starszych i nowszych autorów: u Spencera, Compayré'go, Förstera roi się pod tym względem od misternie skonstruowanego dydaktyzmu, roi się od równie pomysłowych, jak mało skutecznych wskazówek. Nawet trzeźwy Kerschensteiner ustrzec się od nich nie może, jakkolwiek twierdzi równocześnie z naciskiem, że w wielkiem dziele wychowania prawdziwą wagę posiada nie drobiazgowy przepis, nie najkonsekwentniej wyprowadzona formuła, lecz osoba samego wychowawcy. Istotnie, w jaki sposób możnaby te obficie udzielane nam rady pedagogiczne urzeczywistniać, tym mądrym

przestrogom czynić zadość, kiedy życie samo, kiedy żywy przykład na każdym kroku im przeczy, uczy i żąda czegoś wręcz odwrotnego.

Młodzież dobrze obserwuje i trafniej, niż nam się zdaje, sądzi. Nie może też zgoła pojąć, dlaczego jej tylko stawia się wymagania, narzuca obowiązki, z których ludzie dorośli szydzą, wyłamują się i rozgrzeszają. Młodzież doskonale przenika całą obłudę frazeologji pedagogicznej i — co gorsza — rozumie, że naganka na kłamstwo przeważnie skierowana jest nie przeciw kłamstwu samemu jako złu, lecz przeciw niepowodzeniu w kłamstwie. Na kłamstwo, które nie zostało chwycone za kołnierz, osiągnęło swój cel, udało się, patrzy się nietylko przez palce, lecz w wielu razach z podziwem dla sprytu i zręczności jego twórcy. Ten nasz nieopatrzny stosunek do kłamstwa staje się w wychowaniu jednym z czynników, wytrącającym młodzieży punkt oparcia z pod stóp, odbierającym wiarę w starszych. Dlatego młodzież odrzuca często z nieufnością nawet to, co jest w naszych intencjach szczere i czyste. Jak dalece próżne, powiem więcej, niebezpieczne bywają najwymowniejsze morały, najstaranniej dobrane porównania — dam dwa charakterystyczne przykłady z mego własnego doświadczenia. Pięcioletnią moją córeczkę karciłam za jakieś przewinienie. Chcąc należycie spotęgować efekt nauki moralnej, zaczęłam jej opowiadać, jaka to ja byłam w jej wieku i jak w podobnych okolicznościach postępowałam. Opowiadanie było w tym wypadku ściśle zgodne z prawdą. Dziecko słuchało moich słów ze skupioną uwagą, a gdy skończyłam — patrząc na mnie z miną pełną nieopisanego porozumienia — powiedziała: „Niech się Mamusia nic nie boi! Ja będę opowiadała moim dzieciom, że byłam jeszcze lepsza". Ośmioletnia zaś moja siostrzenica, dziewczynka inteligentna i skryta z natury, łajana często za kłamstwo, przyjmowała zwykle uwagi milczeniem i drwiącym uśmiechem. Raz jednak, zniecierpliwiona do ostateczności, powiedziała do mnie z wybuchem: „Oni (rodzina) złoszczą się, że ja kłamię. Ależ ja mogłabym powiedzieć sto razy więcej o ich kłamstwach, niż oni o moich!" Moje przykłady nie są z pewnością ani odosobnione, ani wyjątkowe. A im starsza jest młodzież, z którą mamy do czynienia, tem liczba ich wzrasta!

Nikt chyba nie zaprzeczy, że nasza własna szczerość, prawdomówność, a choćby tylko unikanie dosadnych przeciwieństw pomiędzy głoszoną teorją a wykonywaną praktyką byłoby stokroć

cenniejszem i pożyteczniejszem narzędziem w szerzeniu kultu prawdy od wszelkiego rodzaju krasomówstwa. Mieliśmy już czas przekonać się o jego małej skuteczności; dojść do wniosku, że podtrzymujemy tylko tym sposobem sprawę starych i młodych w stanie wieczystego zaognienia

Sprawą wychowania moralnego zaczynają się żywo interesować praktyczni Amerykanie i wołają coraz donośniej, że „systemem lekcyjnym" wartości duchowych się nie przymnoży, na charakter nie oddziała: że trzeba tu „kontaktu z uczuciami moralnemi w czynie". W świecie duchowym — mówią — tak samo jak w świecie organicznym, tylko życie płodzi życie. Siła moralna osobnika wzrasta, gdy doświadcza on osobiście cudzej siły moralnej, gdy żyje pośród ludzi, ożywionych witalnością moralną. Otóż to! Właśnie o tę witalność moralną rzecz idzie: o jej wytwarzanie w sobie przedewszystkiem i wzmacnianie tam, gdzie chcemy poprawiać, ulepszać, nauczać, podejmować walkę z tem, co za złe poczytujemy.

Stosuje się to całkowicie i do kłamstwa.

Tępienie kłamstwa, nawet wyraźnie niepotrzebnego, bez pewnego oporu nie obeszłoby się. Człowiek, prawdę rzekłszy, prawdy się boi, chce być oszukiwany. *Mundus decipi vult*... Pośród tysiąca innych za dowód może tu służyć wybitnie ujemne znaczenie, jakie nadajemy terminom: weredyk i *enfant terrible*. Weredyk to człowiek bezwzględnie prawdomówny; definicja zaś *enfant terrible* obejmuje nietylko „swawolnych Dyziów", zatruwających życie swemu otoczeniu, lecz tych wszystkich, dzieci i dorosłych, którzy kłamstwa nie uznają i nie praktykują. Przyklejenie jednak komuś jednej z tych dwóch etykiet jest równoznaczne z ostrzeżeniem, z sygnalizowaniem zbliżającego się niebezpieczeństwa, któremu lepiej zejść z drogi.

Gdyby wszakże znaleźli się ludzie, pożądający naprawdę pewnych istotnych zmian w naszem ustosunkowaniu się do kłamstwa, dążący szczerze do pewnego odkłamania życia, musieliby oni wybrać jedną jedyną drogę, jaka mogłaby nas do tego celu zbliżyć. Musieliby stanąć twardo na gruncie nieśmiertelnej nauki Mickiewiczowskiej, głoszącej, że wszelką skuteczną pracę na świecie, zarówno nad „odzieraniem z globu ziemskiego spleśniałej kory" jak nad wyprowadzaniem „z zamętu świata Ducha", trzeba zaczynać od rzeczy najbliższych, od siebie, od pracy nad własną duszą.

MICHAŁ JANIK

TOWIAŃCZYCY NA SYBERJI

Towianizm odegrał znaczącą rolę w życiu religijnem, umysłowem i politycznem naszej emigracji po powstaniu listopadowem. Wielkiej wagi jest już przecież sam fakt, że zwolennikami mistrza Andrzeja stali się ludzie tak znakomici, jak Adam Mickiewicz i Juljusz Słowacki, ks. Edward Duński, belwederczycy Seweryn Goszczyński i Ludwik Nabielak, jenerałowie Jan Skrzynecki i Karol Różycki. A nie są to wszyscy. Było nadto wielu innych, wprawdzie nie tak czołowych mężów, w każdym razie wcale wybitnych i w życiu emigracji wpływowych. Wpływ towianizmu trwał także w latach późniejszych i nie ustał nawet ze zgonem Andrzeja Towiańskiego.

Temat ten czeka jeszcze na nowe opracowanie. Wydanie turyńskie pism Towiańskiego z r. 1882 domaga się wszechstronnego komentarza, aby mogło być należycie wyzyskane. Książka Tankreda Canonico jest już dzisiaj niewystarczająca dla dokładnego poznania i oceny znaczenia towianizmu i uwydatnienia jego istotnego wpływu na rozwój życia religijno-umysłowego w Polsce od czasu, gdy ruch ten wystąpił na widownię. Nowa monografja powinna sięgnąć do czasów możliwie nam najbliższych. Nieznanych narazie materjałów trzeba się jeszcze ciągle spodziewać i należy ich poszukiwać.

Szczęśliwym przypadkiem spotkałem się niedawno z cząstką tego rodzaju materjału, w szczególności ze śladami wpływów towianizmu na wygnaństwo syberyjskie po powstaniu styczniowem. Ponieważ mogą one obudzić interes ogólniejszy, poświęcam im niniejsze opowiadanie.

O ile mi wiadomo, pierwszą wzmiankę o pobycie towiańczyka na Syberji podał Stanisław Brzozowski w *Płomieniach*, wydanych na niedługo przed ostatnią wojną światową. Są to mistyfikowane pamiętniki Mikołaja Kaniowskiego, Polaka, rewolucjonisty rosyjskiego. Między rozlicznemi przygodami swo-

jego życia rewolucyjnego opowiada Mikołaj o odwiedzeniu na Syberji krewniaka swego i imiennika, Seweryna Kaniowskiego, który jako jeden z najgorliwszych wyznawców Towiańskiego wybrał się w r. 1848 z misją osobistą do cara Mikołaja I. Aresztowany na granicy, wysłał z więzienia do cesarza list, za który naprzód zamknięto go w twierdzy, potem przeniesiono do szpitala obłąkanych, wreszcie zesłano do gubernji orenburskiej, stamtąd zaś w okolice Wilujska w Syberji wschodniej, gdzie właśnie odwiedził go Mikołaj Kaniowski.

Wygnaniec polski, Korytko, mówił o nim do Mikołaja: „Mickiewicza to przyjaciel i uczeń. Za świętego Sybiracy go uważają, modlą się niemal do niego. W wielkiem poważaniu on. Czerń nawet prosta go czci, w chorobie albo co przybiega. Chorych noszą. Święty on u nas — mówiły kobiety. Odwiedzali go i zesłańcy. Opowiadano, że jakiś zbiegły katorżnik w drodze przychodził się pokłonić zachodniemu starcowi. Tak nazywała go tutejsza ludność". Seweryn nie odepchnął Mikołaja, iż był rewolucjonistą rosyjskim, okazał mu nawet dużo zrozumienia i sympatji. Nie omieszkał też udzielić mu nauk w duchu Towiańskiego: „Nie duchem, lecz człowiekiem stworzył cię Bóg; nie duchem, ale ciałem masz kołatać w jego pierś. Człowiek nie pracujący obcym jest Bogu, chociażby się modlił i pościł. Myśl nieprzeparta przez ciało, nieznana ciału, nie jest myślą. Snem jest i sennem urojeniem".

Mistyfikowany pamiętnik Mikołaja Kaniowskiego nie jest dziełem samej tylko fantazji. Brzozowski korzystał z literatury i tradycji. Barwne opowiadania z życia rewolucjonistów rosyjskich oparł w znacznym stopniu na książce rosyjskiej S. M. Stiepniaka (Krawczyńskiego). Historję Seweryna Kaniowskiego przedstawił częściowo na podstawie pism towiańczyków, częściowo oparł się zapewne na zasłyszanej gdzieś tradycji o towiańczyku na Sybirze, do której dorobił nazwisko i szczegóły. Może zresztą miał w ręku nieznany do owego czasu rękopis jakiegoś pamiętnikarza syberyjskiego, a w nim znalazł wiadomość o towiańczyku zesłańcy. W drukowanych bowiem za jego życia polskich pamiętnikach syberyjskich wzmianki takiej nie było.

Pierwsza pojawiła się dopiero w r. 1928 już po wydrukowaniu moich *Dziejów Polaków na Syberji*. Znajduje się ona

w wydanych wtedy pamiętnikach zesłanego za powstanie styczniowe Augusta Iwańskiego w słowach następujących: „Osobną grupę na emigracji we Francji tworzyli towiańczycy pod przewodnictwem jenerała Karola Różyckiego. Credo towianizmu, że „miłością podbić wroga należy", zasada do bezwzględnej zagłady prowadząca, znalazła zaprzeczenie w życiu na początku r. 1863, gdy pan Andrzej zebranych w Zurychu gorętszych wyznawców swoich błogosławił i na pole walki do kraju wyprawiał. Poczucie narodowe okazało się głębszem od doktryny. Szczegóły, dotyczące powyższego faktu, były mi dostarczone przez towarzysza wygnania w Usolju, Niedzińskiego, zacnego i skromnego, jak wszyscy towiańczycy".

O tym to właśnie Niedzińskim znalazłem dość obfite szczegóły w nieprzedrukowanym dotąd rękopisie pamiętników syberyjskich Artemjusza Weryhy, Polaka z Białorusi, zesłanego za powstanie styczniowe, które znajdowały się w przechowaniu ś. p. Marjana Dubieckiego, a niewyzyskane przez niego zostały złożone po jego śmierci w Bibljotece Czartoryskich.

Rodzina Niedzińskich herbu Prus I mieszkała na Litwie i na Mazowszu. Z niej to prawdopodobnie wywodził się wspomniany Józef Niedziński, towiańczyk i krzewiciel towianizmu na Syberji. Nie powiodło mi się stwierdzić napewno, w jakich okolicznościach Niedziński dostał się na Syberję. Prawdopodobnie popadł w niewolę rosyjską w bitwie pod Moskalówką na Wołyniu, gdzie walczył w formacji jen. Edmunda Różyckiego. Przypuszczenie opieram na fakcie, że pod Moskalówką dostał się do niewoli Adam Pląskowski, towarzysz wygnania Niedzińskiego w Usolju; zdarzało się zaś niejednokrotnie, że zabranych w tej samej bitwie skazywano na to samo miejsce wygnania. W tym wypadku nieobojętnem jest także nazwisko jen. Edmunda Różyckiego, jednego z wodzów w powstaniu wołyńskiem, wiadomo bowiem, jakiem poważaniem cieszyło się to nazwisko wśród towiańczyków.

Nawrócony przez Niedzińskiego na towianizm Artemjusz Weryha więcej opowiedział o treści i charakterze nauki, którą przyjął, a także o okolicznościach i pobudkach swego nawrócenia, był nawet w tym względzie dość wymowny, natomiast nie zajął się zupełnie rodowodem swojego apostoła; przecież i od niego dowiadujemy się kilku ważnych szczegółów o Nie-

dzińskim. Weryha ujął opowiadanie w formę listów do rodziny w kraju. Może nawet jest ono odpisem rzeczywiście wysłanych listów, na co wskazywałby propagandowy charakter wszystkich wiadomości, podanych o towianizmie, czegoby nie potrzebował czynić w tym stopniu w pamiętniku z wygnania.

Pierwsza wzmianka pamiętników Weryhy o towianizmie zaczyna od osoby Niedzińskiego. Oddajemy tu głos samemu ich autorowi, zwracając jedynie uwagę, że przedstawienie nauki Towiańskiego i jej apologję trzeba uważać za dosłowny prawie odgłos rozmów propagandowych Niedzińskiego, prowadzonych z wybranymi towarzyszami wygnania.

„Od tygodnia zamieszkał z nami (t. j. z Weryhą i Józefem Łozińskim z Wołynia, także nawróconym na towianizm) trzeci kolega, Józef Niedziński. Emigrant z Kongresówki w r. 1848 po 15 latach tułaczki stanął na ojczystej ziemi do wspólnej narodowej walki. Stąd jak inni zesłany do ciężkich robót. W tułactwie po Francji i innych krajach Zachodu oddawał się pracy tak duchowej dla wzbogacenia się moralnego, jak i innej dla kawałka chleba, choć od rządu francuskiego miesięcznej zapomogi 25 franków pobierał. Dobra głowa i niezepsute serce łatwo trafiło do swoich w emigracji. Zapoznał się z głośnym i niesprawiedliwie w kraju przez nieznajomość rzeczy pokrzywdzonym Andrzejem Towiańskim i jego zwolennikami: Adamem, generałami Skrzyneckim i Karolem Różyckim, ks. Duńskim, Stefanem Zanem, bratem Tomasza i wielu innymi. Siłą chrześcijańskich uczuć i jasnością prawdy pociągnięty stał się ich zwolennikiem i obecnie wśród nas znany jest jako towiańczyk".

„Ile dla mnie interesu taki człowiek mieć może, łatwo pojmujecie, bo wiecie, że chwytałem się z zapałem wszystkiego, co się w naszej emigracji za moich czasów uwydatniło. O towiańszczyźnie słyszałem bardzo wiele. Czytałem *Biesiadę* za pracę Towiańskiego do kraju wpuszczoną, czytałem *Mickiewicz odsłoniony i towiańszczyzna* i inne potępiające towianizm broszurki. Całkowitego pojęcia o tem wszystkiem zbudować naturalnie nie mogłem, aż tu obecnie na Syberji z radością mogę w sobie dokończyć to, od czego powstrzymany serdeczną oględnością Tomasza Zana byłem tak jeszcze daleko. Dziś z radością poczułem, żem z objęć drogiej matki wyszedł z nauką Towiańskiego, która cała zależy na przejęciu się do

gruntu nauką Chrystusa i wprowadzeniem jej w życie".

„Bredzą ci, co chcą dowodzić, że towianizm czynu broni. Owszem, bez czynu niema u niego nic zgoła. Najpiękniejsze słowa, najwznioślejsze chwilowe uczucie w czyn niewcielone, są według niego nawet Boga obrazą. Fakt tego, że pominę zagraniczne, widzimy w ostatniem powstaniu, w szeregach którego stają towiańczycy. Księża Jełowicki i Semeneńko, jako jedni z duchowieństwa czasów przedostatnich do czynu niepochopnego, wszelką Towiańskiego naukę parodjowali. Sama *Biesiada,* która właściwie jest tylko zbiorem notat Skrzyneckiego, spisanym z myśli, zdań i idej Towiańskiego, w pogadankach poufnych wypowiedzianych, dla czego właśnie i *Biesiadą* nazwana, przez nich jako wydawców pokaleczona do niepoznania; do tego stopnia nie skrupulizowali z cudzą pracą, iż nawet znaki ortograficzne dla zaćmienia i skrzywienia myśli przestawiali i przeinaczali. Prawda, że i tem nie mogli Towiańskiemu szkodzić, bo on sam nic a nic nigdy nie pisze, a tylko szukającym rady w rozmaitych troskach i w rozmaitych duszy uciskach pociechy daje z całą szczerością, braterstwem i pokorą. Nie dziw, że duchowieństwo, a nawet i trony przed prostakiem się zatrwożyły, czuwszy się słabszemi przed siłą jego o tyle, o ile fałszem przesiąkły".

„Od trwogi najczęściej lub zdziwienia zaczyna się reakcja w człowieku i rewolucja w narodzie. Miotanie się na prawdy przez Towiańskiego wypowiadane nie miało cechy tego spokoju, którym tchnie gruntowne przekonanie; zarozumiali i dumni upatrywali w cichym i pokornym zarozumiałość i dumę. Np. wyrzucali mu, że ludzi nazywa dziećmi Bożemi. Na co bezstronny ks. Duński, nie należący jeszcze do towarzystwa Towiańskiego, wskazał im na pierwsze dwa wyrazy modlitwy Pańskiej „Ojcze nasz". A ileż to fałszywych dodatków przyrosło w owem opowiadaniu o bytności Towiańskiego u Ludwika Filipa, o zbliżeniu się jego z Adamem i wyleczeniu mu żony! We wszystkiem widać złość zatrwożonych i zazdrość, i czuć kołatanie się poruszonego sumienia".

„Rzecz dziwna, że pewna liczba osób, w spokoju, cichości i pokorze kształcąca się w chrześcijaństwie i chętliwym ochoczo uszczęśliwiających zasad swych udzielająca, tylu oburzyli

na siebie wtenczas, kiedy każdy kto się ich dotknął, uczuł rzetelną swobodę i najsłodsze wzruszenia. Seweryn Goszczyński, wiadomy z dzielności charakteru poeta najczystszych obyczajów i szlachetny człowiek, czyżby się dotknął do fałszu i brudu? Czyżby czystej duszy Karola Różyckiego nie stało przeczucia, że się do bezeceństw nakłania? Sam towarzysz mój Niedziński każdego z rozsądnych chrześcijan z nauką Towiańskiego łatwo pogodzi, byle tylko z nim pożyć, byle do duszy jego głębiej zajrzeć".

„Wszyscy czystoziemscy mędrkowie zarzucają Towiańskiemu zarozumiałość i dumę w tem największą, że nazywa siebie prorokiem. Pytamy, gdzie się nim mieni? Kiedy się nawet i gdzie wdaje w proroctwa? A jeśli radzącym się z ufnością wskazuje w prostocie ducha następstwa ich postępowania i przedwidzi je, na co dość czystego rozumu i czystochrześcijańskiego serca, toć jeszcze nie prorokuje, jeszcze nie zarozumiały i nie dumny. Wszak to, co w sobie mamy, w taki lub inny sposób jako żywi musimy i powinniśmy objawić. Od ducha tylko, w jakim się objawiamy, moc naszej ofiary i świętość jej zależy".

„Co do mnie, za zbawienną uważam naukę, co zarówno uczonego jak i prostaka na drogę możliwego spokoju szczęścia skierować może, co ludzi zbliża, łączy węzłem duchowym jedności idei, nadziei i wiary, co w jedną rodzinę ich garnie i ogniem braterskiej miłości zapala. O cóż innego nam idzie? W czem byśmy innem mieli ujrzeć owo Królestwo Boże na ziemi? Wiem Towiańskiego domowe, rodzinne życie, i z całą ufnością jego nauce się poddaję. Przez takich to szczęśliwszych zbliża się i oczekiwane Boże Królestwo i nasza Ojczyzna. Rycerz na polu walki w sprawie świętej musi być pierwej pogromcą samego siebie. Inaczej zejdą marnie nasze przyszłe wysiłki, jak zeszły przeszłe. A nauka Towiańskiego właśnie do znalezienia samego siebie prowadzi. Zgłębiajmy ją, a nie sarkajmy na dar czysty brata; będą to bowiem perły miotane przed wieprze, a my jeszcze długo i długo temi ostatniemi".

Wieczór Nowego Roku 1867 trzej towarzysze wygnania i współwyznawcy spędzili razem na rozmowie i skromnej wieczerzy wygnańczej. Dzień ten miał dla nich jeszcze drugie znaczenie, bo był dniem urodzin Andrzeja Towiańskiego. Prowa-

dzili pogadanki przeróżnej treści, osładzając sobie wzajemnie wspólne troski, przerywali je nieraz słowami „źle nam, trudno...“ Józef Łoziński opowiadał śmieszne zdarzenia z życia butnych Ukraińców, do czego wiele miał daru. Mówili naturalnie niemało o Towiańskim i brataniu się chrześcijańskiem towiańczyków. Najwięcej do mówienia miał tu niezawodnie Niedziński i jego to głos słyszymy zapewne w odnośnym liście Weryhy, który wieczór ten opisał.

„Żadnej tam sekty, żadnych ziemskich celów — pouczał Niedziński współbiesiadników. Żadna nawet, jak mnie się zdaje, doktryna, z religji przez dumę i zarozumiałość sztucznie wysnuta, by olśniewać prostaczków i z nich ciągnąć materjalną czy moralną korzyść, pożywę dla sobkostwa. Myślę i dotąd, że on Andrzej Towiański jako głęboki myśliciel-chrześcijanin, nie splamiony niczem w życiu, czy kiedy pełnił obowiązki obywatela, czy inne przeróżne, przez Łaskę Bożą, jak się my wyrażamy, lub przez rozum, jak mówią mędrce, zagłębił się w prawdę rzetelną, odwieczną, z lepszym skutkiem niż masy teologów i każdemu żyjącemu, t. j. szukającemu światła tej prawdy, bojującemu ze sobą, odkrywa ją łatwo i jasno, trafnie stosując się do rozwinięcia każdego, bo też ku wszystkim ma miłość i przez myślenie nad życiem doskonałą, głęboką jego znajomość“.

„Dlatego odchodzący pocieszeni robią go mistrzem, a ze siebie kółko braci, co nabrawszy mocy w duchu, bo gruntownie przekonani, jak owi apostołowie bez instrukcji, bez zgodzenia się na jakiś pierwej ułożony kodeks, poczuwają obowiązek gorliwiej ucieleśniać naukę Chrystusa i sami zaznawszy szczęścia usiłują bliźnich tego szczęścia nauczyć. Stąd naturalnem następstwem i wspieranie się wzajemne i interesowanie się i utrzymywanie ciągłych stosunków, jako między tymi, co się zrozumieli i połączyli w duchu. Cóż tu dziwnego, co szkodliwego społeczeństwu, że się tak oburzają i księża i inni kasty podtrzymujący, wyzwolenia człowieka rzetelnego, najzupełniejszego, bojący się. Czy to samo oburzenie aż do kaleczenia szczerych i jasnych słów Andrzeja, dla wielu tak zrozumiałych, nie dowodzi zatrwożenia się i niepokoju istoty pokalanej wobec czystego sumienia“.

„Towiański, lubo nieuznany za wyraźniejszego Sługę Bożego przez cały swój naród, wielu jednak znakomitszych w swem braterstwie liczący, jak Karola Różyckiego, Seweryna Goszczyńskiego, Adama i wielu innych, prócz przejść w życiu uwagi godnych i zadziwiającego naturalnego rozwoju ma osobliwości w stronie swej materjalnej, dla zwolenników jego interesujące: wypukłość naprzykład na głowie, na którą gdy raz ciekawy i głęboki frenolog niemiecki spojrzał, z podziwienia osłupiał. Wiecie już, że guzy podobne zapowiadają te lub owe zdolności. Owóż badacz Niemiec, a był to jakiś znakomity uczony, w wypukłości tej na głowie Andrzeja niesłychanej moralnej potęgi dośledził i pożegnał go zamyślony głęboko. Oko, że się wyrażę, psychicznie przenikliwe, żywe i serca sięgające".

„A toż wyjście na świat z epoką? Niezbadane są Boże sądy. A cóż jeśli tłumaczone przez niego posłannictwo naszego narodu i wskazywane dla spełnienia onego drogi w przyszłości prawdziwemi się okażą? Jeśli dopuszczenie na nas Boże tłumaczy rzetelnie jako pełen Bożej Łaski podług nas prostaczków, a głęboki myśliciel podług mądrych, komu będzie wstyd za odrzucenie prawdziwej chrześcijańskiej mądrości? Nigdy mię nie łudziły żadne sekty, stowarzyszenia się, kupki, bo chorągiew Zbawiciela ludzkość całą jako rodzinę sprząc i zgromadzić powinna i musi jedynie. Nie łudzę się i towiańszczyzną jako towarzystwem podług wielu, czego sam nie upatruję. Lecz widzę w Towiańskim jakąś moc i siłę wyższą, a bardziej czuję ją. Mnie się zdaje, że on jest jednym z tych, co właśnie szczęśliwiej i sami bliżej tej chorągwi stanęli i innych ku niej nęcą, przeświadczeni, że tu bezpieczeństwo i spokój i przyszły ład społeczny. Nie wdaję się w zaciekania, a tylko powiem: „pomagaj Boże temu, w kim prawda i pragnienie dobra ludzkości"...

„Na wieczorku" — kończy opowiadanie Weryha — „nie skrzywdziliśmy i ciała. Herbatka z cukrem, mlekiem i chlebem, do niej wędlinka i słonina, suto pieczonych kartofli z solą — to zdaje się ledwo nie obżarstwo na żołądki wygnańcze".

Niedziński propagował zasady Towiańskiego nietylko w rozmowach z chętnymi i wybranymi, przemawiał także słowem pisanem do ogółu wygnańców, powołując się wyraźnie na misję, zwierzoną mu przez mistrza, a czynił to najczęściej w formie

wierszowanej. Przytaczamy tu nakreślone w tym duchu życzenia na rok 1869, napisane 31 grudnia 1868 r. w Usolju:

W roku zaprzeszłym braciom winszowałem,
Zostając jeszcze pod wpływem uroku:
Dzisiaj gdy bliżej tułaczy poznałem,
Już nie winszuję im nowego roku,
A tylko składam serdeczne życzenia,
By się wyzuli z wszelkiej ułomności,
Aby dociski, biedy i cierpienia
Były owocne. By przez brak miłości,
Pracy wewnętrznej, która kształci duszę,
Daje widzenie jasne i prawdziwe,
Nie zasłużyli na nowe katusze,
Lecz wiedli życie prawe i uczciwe.
Niech zginie pycha, czcze rezonowania
I to mniemanie, że o wszystkiem wiedzą,
Zarozumiałość, pewność swego zdania,
Lecz niech istoty szukają i śledzą
We wszelkiej prawdzie — a w pełnej miłości
Oną badając w braterskiej rozmowie
Niech jawią bratu w pokorze, czystości.
I uczczą prawdę i w czynie i w słowie.
A precz lenistwo, kieliszki, rozpusta,
Karty, przy których dnie i noce trawią;
Niech święta prawda rozwiąże im usta,
Zginą niesnaski, które ich tak bawią.
Praca niech daje sposób utrzymania,
A pęd do zysków na zawsze przepadnie;
Niech zwrócą wszelkie swe usiłowania,
By obowiązki wypełniać przykładnie.
Niech jawią wszędzie charakter narodu,
Co żąda prawdy i sprawiedliwości,
Że jego dzieci wśród cierpień i głodu
Nie stracą wiary, nadziei, miłości,
Że się nie puszczą na żadne bezdroże,
Co kala dusze, serca i sumienia,
Że cech Polaka pozbawić nie może
Odarcie z prawa, ojczyzny i mienia.
Wielebym życzył braciom ukochanym,
Którzy wydarci z łona swej ojczyzny
Są jakby członkiem w narodzie wybranym,
By leczyć rany i goić jej blizny.
Ale gdy wspomnę, że niejeden z braci
Kala swe imię, swoje powołanie,
Cnoty ojczyste i charakter traci,

Przybiera wsteczny charakter i zdanie;
Gdy wspomnę o tych, którzy życie pędzą
W zimnej martwości, wzdychają do mienia,
Krwawego grosza na zbytki nie szczędzą,
Zziębili dusze, serca i sumienia,
Pióro martwieje... a kamień na duszy...
I uczuć moich wysłowić nie mogę.
Któż ową martwość braci mych poruszy?
Która przejmuje boleścią i trwogą!
Ty jeden Panie! i Stwórco wszechświata!
Możesz zapalić serca i umysły
Miłością prawdy, — a uczci brat brata,
Czyniąc z nim w prawdzie Twojej związek ścisły!...
Przeto do Ciebie! nędzny sługa wznosi
Pokorne modły za braci tułaczy!
O miłosierdzie! o Twą Łaskę prosi!
Niech Twoja litość grzechy im przebaczy,
Niechaj rok nowy da im życie nowe
W prawdzie Twej świętej, a pokorne, czyste,
A będą dusze, serca, myśli zdrowe,
Ożyją wiara i cnoty ojczyste.
Daj im, o Panie! czyste myśli, chęci,
By Twoją wolę ochotnie przyjęli.
Sucha doktryna niechaj serc nie nęci,
By do pokuty szczerze się już wzięli.
Niechaj rugują z dusz wszelkie skalanie,
A niech ojczyzna synów swych nie traci;
Niech krzyż Twój, Panie! ich krzyżem się stanie
Twoja ofiara ofiarą mych braci!...
A ja, co prośbę do Ciebie, o Panie!
Wznoszę, czuję się grzesznym i mizernym.
Mąż Twój wykazał moje powołanie,
A jam Ci nieraz stawał się niewiernym;
Lecz jeszcze czuję, żeś mię nie opuścił,
Przeto ze skruchą i schylonem czołem
Śmiem błagać, Panie! byś Twą Łaskę spuścił
Na nas grzeszników, a my wszyscy społem
Jękiem pokuty mogli się oczyścić
I stać się Polski wiernymi sługami,
By jej nadzieje mogły się już ziścić,
A Łaska Twoja była zawsze z nami!

Gdy Niedziński sądził, że nauki jego propagandowe trafiły do przekonania chętnym i szukającym, używał jeszcze jednego środka, ażeby ich jak najbardziej wtajemniczyć i całkowicie zniewolić. Dawał im do przeczytania i nawet do przepisania

notaty z nauk Towiańskiego, które w jakiś sposób udało mu się zabrać ze sobą na Syberję. Dzięki temu notaty te, nigdy do owej pory nie drukowane, ocalały w dokładnym (choć może niezupełnym) odpisie w pamiętnikach Artemjusza Weryhy, który zaczął je przepisywać dnia 31 października r. 1866. Znajdujemy je tam nie bez wzruszenia na myśl, że wygnańcy w Usolju znali już w tym czasie takie notaty z nauk Towiańskiego, jakie w druku pojawiły się dopiero w r. 1882 w Turynie, a niektóre i tam nawet nie zostały jeszcze pomieszczone.

Notaty Niedzińskiego stanowią zwięzłą całość najważniejszych nauk Towiańskiego dla początkujących i dzielą się na czternaście rozdziałów:

„1) Cel ogólny, dla którego człowiek stworzony jest, co jest w tym względzie dla człowieka miłość i ofiara chrześcijańska;

2) Skutki rozdzielania ofiary, spełniania jednej jej części z zaniedbaniem całości;

3) O miłości i ofierze chrześcijańskiej;

4) O Sprawie Bożej; następstwa, które Sprawa Boża może przynieść dla człowieka; Sprawa nic nowego nie podaje;

5) O ważności ofiary chrześcijańskiej; ofiara przedstawiona w porównaniu;

6) O ofierze chrześcijańskiej pełnej, która w duchu, w ciele i w czynach człowieka spełnia się;

7) O wyzwalaniu ducha prawdziwem i fałszywem;

8) O krzyżu Chrystusa Pana;

9) Sprawa oczyszczenia i podniesienia Kościoła;

10) O epokach chrześcijańskich; o sługach Chrystusa w epokach chrześcijańskich; o epoce teraźniejszej;

11) O przeznaczeniu, które człowiekowi zakreśla się przez Boga;

12) O modlitwie; przed czynem ofiara;

13) Ważność każdego czynu chrześcijańskiego;

14) O Polsce".

Przez porównanie notat Niedzińskiego z wydaniem turyńskiem okazuje się, że przeważna ich część została ogłoszona w tem wydaniu jako *Noty zebrane przez Adama Towiańskiego* z kilku rozmów jego z ojcem i *Treść rozmowy z Józefem i Aleksandrą C.* Tekst notat i wydania jest prawie identyczny,

w wydaniu wszakże obszerniejszy. Dość znaczna część notat zawiera myśli, pomieszczone w różnych pismach wydania turyńskiego, posiada jednak swój własny tekst nigdzie drukiem w całości nie powtórzony. Odnosi się to również do najbardziej nas interesującego rozdziału *O Polsce*, który dlatego podajemy w całości, jakkolwiek myśli jego były już znane z książeczki *Do Rodaków*, drukowanej w Paryżu r. 1863 i z uszczypliwym komentarzem polemicznym w Poznaniu r. 1863, powtórzonej potem w wydaniu turyńskiem zgodnie z tekstem paryskim.

Oto tekst tego rozdziału:

„1° Wszystko to, co dziś dzieje się z Polską, jest zasłużoną karą Bożą za grzechy Polaków, a w szczególności za grzech odrzucenia Sprawy Bożej. Sprawa Boża od lat 20 głosić nie przestaje: że niema dla Polski ratunku w siłach i sposobach ziemskich, że jedynym warunkiem zbawienia Polski jest poznanie i spełnienie Misji Chrześcijańskiej, którą Bóg złożył na Polskę, a którą Sprawa Boża wyjaśnia. Dotknięcie Ducha Świętego podawało nić tę Polsce w dniach lutowych, a w ciągu ostatnich ruchów taż nić podawaną była w książeczce *Do Rodaków* i w osobistych usługach Sług Sprawy Bożej; ale Polacy, głusi na miłosierdzie i na groźbę Bożą, liczą tylko na siebie i na środki ziemskie, a o spełnienie wezwania Bożego, o spełnienie naznaczonej im Misji Chrześcijańskiej, nie dbają wcale, mają to za nic; przez to obrażają Boga, zdradzają Ojczyznę, za to cierpią i jeszcze więcej cierpieć mogą — w tem jest sprawiedliwość Boża".

„2° Dziś więc Polak przedewszystkiem musi uznać tę Sprawiedliwość Bożą i w duchu prawdziwej pokuty poddać się zasłużonej karze, ofiarowywać Bogu i obecne klęski Ojczyzny i swoje własne cierpienia na zadośćuczynienie Sprawiedliwości Bożej za grzechy Polski i swoje, a mianowicie za ten grzech odrzucania tego wszystkiego, co jest wyższe, co jest niezieмskie, niematerjalne, a w czem mieści się odrzucenie woli Bożej, Sprawy Bożej; w tym duchu prawdziwej pokuty gładzić te grzechy w sobie i pomagać rodakom do gładzenia ich, przez to zarabiać na przebaczenie i zlitowanie Boże nad sobą i nad Ojczyzną".

„3° W tym duchu pracować wewnętrznie dla nabycia i dla wytrwania niezłomnie w tej wierze, że żadna na świecie moc

ludzka niezdolna jest odwrócić od nas karę Bożą i wybawić nas, że to sprawić dla nas może sama tylko wysilona i czynna pokuta, jednająca nam przebaczenie i zlitowanie Boże, że zatem jedno pobożne westchnienie Polaka do Ojca Niebieskiego z głębi skruszonej duszy wydane, i życie, wszelka czynność jego choćby najmniejsza, ale z takiego westchnienia płynąca, stokroć są skuteczniejsze dla zbawienia Polski, niż zbrojne interwencje wszystkich mocarstw Europy bez błogosławieństwa Bożego".

„4⁰. Ustaleni w tem czuciu, wytępiwszy w duszach naszych wszystkie nadzieje ziemskie, powinniśmy mocno wierzyć i ufać, że po zadośćuczynieniu przez nas Sprawiedliwości Bożej skończy się dla nas kara, a nastąpi zmiłowanie Boże, że po walce i zwycięstwie odniesionem nad złem, jarzmiącem dusze polskie, otworzy Bóg pole walki i zwycięstwa nad jarzmicielami ziemi polskiej; że nakoniec kiedy lekceważona i odrzucana dotąd przez Polaków Sprawa Boża znajdzie w ich duszach należną sobie cześć i powolność, natenczas zakreśli się dla Polski kierunek na wieki postępu jej po drodze chrześcijańskiej i szczęśliwego na tej drodze bytu jej".

„5⁰ Ta jest wedle czucia naszego jedyna skuteczna usługa, którą dziś każdy Polak Ojczyźnie swojej nieść może i powinien, na jakimkolwiek punkcie ziemi i w jakiemkolwiek położeniu Wola Boża stawi jego. A do spełnienia tej powinności wiele usłużyć może bogobojne rozpamiętywanie prawd, zawartych w książeczce *Do Rodaków.*"

Niedziński, Weryha i Łoziński tworzyli ściślejsze koło współmyślących. Inni wygnańcy w Usolju byli do nich mniej albo więcej zbliżeni. Do więcej zbliżonych należeli prawie na pewno: Jakób Gieysztor, Wacław Nowakowski, Józef Kalinowski i Juljan Kędrzycki. Artemjusz Weryha pisze bowiem o nich w swoim pamiętniku z wielką sympatją i pochwałami. Wszyscy oni pracowali nad wytworzeniem w Usolju tej podniosłej i wzruszającej atmosfery moralnej, o której wspominają różni pamiętnikarze. Budujący przykład szedł od nich na swoich i obcych. Czytamy, że nietylko kleryk kapucyński Wacław Nowakowski, ale i ludzie świeccy, Gieysztor i Kalinowski, przyklękali zawsze do modlitwy wieczornej w kazamacie sypialnej katorżników. Dobroć, pobożność i życie ascetyczne Kalinow-

skiego wzruszały tak silnie towarzyszy katorgi, że do litanji wygnańczej wstawili prośbę: „Przez modły Kalinowskiego wybaw nas, Panie!“ Nie dziw, że Kalinowski, były kapitan inżynierji przy rosyjskim sztabie generalnym, w trzy lata po powrocie do kraju wstąpił w r. 1877 do zakonu karmelitów bosych pod imieniem O. Rafała, dał się wyświęcić na księdza w r. 1882 i przeżywszy najprzykładniej 25 lat w zakonie umarł *in odore sanctitatis*. Na cztery lata przed zgonem dysponował na śmierć przyjaciela swego z wygnania Nowakowskiego, który jako zakonnik kapucyński pod imieniem O. Wacława dokonał bogobojnego żywota w Krakowie.

Jakób Gieysztor, po powrocie do kraju ceniony antykwarjusz-wydawca w Warszawie, w pismach swoich, kreślonych na wygnaniu w latach 1865 i 1869, złożył wyraźne dowody bliskości myślenia z towiańczykami. Dla przykładu cytuję niektóre jego powiedzenia: „...A z drugiej strony czy moja głęboka wiara w świętość religji objawionej, moje bezwarunkowe posłuszeństwo w sprawach religji głowie kościoła, czy to jednak okupi i uwolni mnie od wściekłej nienawiści i ciemnego fanatyzmu tych, co przywiązują się więcej do formy niż do rzeczy, służą raczej starym zwyczajom, doczesnym interesom, niż duchowi kościoła Bożego. Czy wybaczyć mi mogą, gdy chcąc, aby mą wiarę uszanowano, szanuję też każde, choćby najbłędniejsze obce przekonanie i pragnę, by prawda chrześcijańska tylko własną potęgą podbijała umysły i co rychlej otrząsnęła się z pieluch pomocy niedołężnej środków doczesnych. Gdy mówię, że namiestnik Boga pokoju nie powinien razem być władcą świata, ...że dla tego, który powinien być naśladowcą Boskiego nauczyciela, urodzonego w ubóstwie, nie mającego na ziemi stałego schronienia, niepotrzebna dla powagi — szychowa purpura. Śmieszny pretendent do drobnego tronu, gmatwający się w dyplomatycznych przebiegach, podkopuje powagę nieomylnego pasterza dusz. Nie gotowiż ogłosić te słowa za herezję — bluźnierstwo?“... „Jak niegdyś kościół służył za ostatnią ucieczkę osądzonym i od ołtarza sprawiedliwość nie mogła wziąć przestępcy, tak dziś powagą kościoła okrywa się wszystko, co jest anachronizmem, tamuje rozwój i postęp nawet ducha chrześcijaństwa“... „Wolą Boga Polska, nasza ojczyzna, dziś w więzach; skruszyć je może tylko cnota nasza, prawda nasza, bo wówczas

prawica Najwyższego nam dopomoże"... „Słowo Sybirak dla Polaków powinno mieć znaczenie takie, jak w świecie chrześcijańskim męczennicy. To nie wyznawca, nie apostoł, ale cierpiący prześladowanie za prawdę... Wygnańcy Sybiru powinni być jakby zakonem, poddając swą wolę pod konieczność stania się przykładem dla tłumu. Na cześć, nie litość zasługiwać u obcych, swoich ile można zatrzymywać na drodze obowiązku... Życiem naszem pokażmy obcym na każdym kroku, jak wysoko szanujemy prawa zapisane w sumieniu każdego człowieka, czującego własną swą godność. Tak życie w nas zachowamy i narodowość naszą bez zmazy"... — Cytaty podobne i jeszcze wyraźniejsze możnaby znacznie pomnożyć.

Wpływ towiańczyków przekroczył granice Usolja, ponieważ wygnańcy, zwolnieni z katorgi na posielenie w dalsze lub bliższe strony, przenosili ze sobą nauki Towiańskiego w inne koła wygnańcze. Może naprzód dotarł on do Irkucka, gdzie w r. 1869 znaleźli się zaprzyjaźnieni w Usolju: Niedziński, Weryha i Józef Łoziński, którzy wciągnęli do swego grona najbliższych: Weryha brata swego Edmunda, Łoziński brata swego Bolesława, zięcia J. I. Kraszewskiego. Już następnego roku śmierć okryła to grono żałobą. Dnia 23 lutego 1870 r. zmarł Józef Łoziński w 53 roku życia. Przed śmiercią pożegnał się z przyjaciółmi i powiedział do nich: „Ojczyzna będzie. Jak do niej przyjdzie, to rzecz nie moja, lecz że będzie, twierdzę z najsumienniejszą pewnością. Smutno tylko, że wśród nas na wygnaniu źle się dzieje"... Brat Bolesław przeżył go tylko o 3 lata. Niejeden z pozyskanych dla towiańszczyzny wrócił do kraju i może propagował tutaj poznane na Syberji poglądy. Prawie na pewno można to powiedzieć o Gieysztorze. Mimo poszukiwań nie udało mi się narazie dowiedzieć, jakie były dalsze koleje Józefa Niedzińskiego, jakkolwiek jego osobistość jako propagatora towianizmu zarysowała się tak wyraźnie w Usolju i Irkucku.

Czy rozszerzanie towianizmu na Syberji było dobroczynne w skutkach dla wygnańców? O ile chodzi o środowiska wygnańcze w Usolju i Irkucku, trzeba odpowiedzieć twierdząco na to pytanie. Pomijam tu wzgląd dalszy, że do pewnego stopnia mogło ono uchronić wygnańców od wzięcia udziału w t. zw. powstaniu zabajkalskiem z r. 1866, a przez to od ciężkich ofiar, niejednego nawet od śmierci, gdyż zdania mogą być w tej

sprawie podzielone. I niewątpliwie potomni patrzylibyśmy na nich z niemniejszym szacunkiem, gdyby między rozstrzelanymi w Irkucku znaleźli się byli także towiańczycy. Istotnym pożytkiem propagandy wśród wygnańców było podtrzymanie w nich energicznego życia religijnego, a w związku z niem wzruszająco etycznego postępowania w życiu codziennem zarówno w stosunkach osobistych i wzajemnych jak i w stosunku do przedstawicieli narodu panującego. Tylko w tak podniosłej atmosferze mogły dojrzeć w pełni mocne charaktery Kalinowskiego, Nowakowskiego, Gieysztora i innych. Można powiedzieć bez przesady, że jak na emigracji we Francji towiańczycy przyczynili się dzielnie do urobienia tak niezłomnych charakterów, jak Słowacki i Goszczyński, podobnie i na Syberji, usiłując urabiać Anhellich, dobrze się zasłużyli około rozwoju życia wewnętrznego w pokoleniu wygnańców za powstanie styczniowe.

KAZIMIERZ JARECKI

„TARTUFFE" A POBOŻNOŚĆ MOLIÈRE'A

Jak starałem się udowodnić w mojej pracy „Geneza i znaczenie Moljerowskiego *Tartuffe*'a,[1] komedja ta (której trzy pierwsze akty odegrane były w d. 12 maja 1664 w Wersalu, a cała sztuka w pięciu aktach w d. 29 listopada tegoż roku w zamku Le Raincy pod Paryżem) wyrosła na podłożu zatargu króla z papieżem Aleksandrem VII, zatargu tak ostrego, że dobra papieskie we Francji: Avignon i Comtat-Venaissin zostają skonfiskowane i wcielone do korony, a kilkutysięczna armja francuska wyrusza w kierunku Włoch, równocześnie zaś na podłożu walki króla z tajnem towarzystwem *Compagnie du Saint Sacrement*, które odważyło się atakować osobę Ludwika XIV za jego politykę wobec dworu rzymskiego, oraz z powodu głośnego stosunku żonatego już króla z Ludwiką de La Vallière.

Tartuffe, główna osoba komedji, jest to, w intencji Molière'a, człowiek świecki, najwidoczniej członek tajnego Towarzystwa Świętego Sakramentu, który, imitując i parodjując strój, poglądy, uczucia i zachowanie się duchownego, nietylko osłania w ten sposób nikczemność swoich czynów, ale zyskuje nawet poważanie i bezwzględny posłuch u swego otoczenia. Tej smutnej postaci przeciwstawia Molière osobę samego Ludwika XIV, który stoi na straży zasad honoru i uczciwości. Jest to właśnie zasadnicza myśl utworu, że obłuda mogłaby stać się władczynią społeczeństwa ludzkiego (tak wielka jest głupota i bierność ludzi), gdyby nad biegiem spraw ludzkich nie czuwała mądra, opiekuńcza władza króla.

Ileż w tem założeniu sztuki subtelnych odcieni, jakie umiarkowanie intencyj, jakie ciekawe ujęcie stosunków, które tylko na tle zdarzeń i sytuacyj z roku 1664 i lat bezpośrednio poprzednich stają się zrozumiałe!

---

[1] *Przegląd Warszawski*, 1923.

Tymczasem warunki ułożyły się w ten sposób, że komedja, wykończona prawdopodobnie już w początku maja 1664 (Molière nie miał zwyczaju grania sztuk jeszcze nie ukończonych), a z całą pewnością w listopadzie tegoż roku, została wystawiona publicznie dopiero w lutym 1669, t. j. w pięć lat później. W ten sposób sztuka wybitnie okolicznościowa, napisana na uświetnienie zabawy *Plaisirs de l' Ile enchantée,* urządzonej przez króla w Wersalu na cześć Ludwiki de La Vallière, została oderwana od tła, na którem powstała, i od stosunków, które są jej wytłumaczeniem.

W roku 1669 nietylko Rzym dawno już ugiął się przed energją i podstępną zręcznością Ludwika, nietylko przeciwnik Ludwika, dumny a nieszczęśliwy papież Aleksander VII jest już w krainie cieniów, podczas gdy jego następca papież Klemens IX zawarł właśnie z królem t. zw. pokój kościelny, ale tak samo tajne towarzystwo *Compagnie du Saint Sacrement* już nie istnieje, jego protokoły urywają się na dniu 8 kwietnia 1666, wreszcie sama urocza La Vallière jest już usunięta na plan drugi, jej miejsce zajmuje pani de Montespan.

Ze sztuką Molière'a stało się to, co dzieje się z niejednym pomnikiem architektury, z chwilą gdy dookoła niego zburzymy budowle, które tworzyły dla pomnika jego właściwe otoczenie. Wówczas pomnik ten zaczyna rzucać cień niepomiernie wielki, przybiera jakiś charakter niepokojący i groźny, traci cechy spokoju, rozumu, równowagi i umiarkowania, które były warunkami jego wielkości. *Tartuffe,* wystawiony w roku 1669, przestał być sztuką okolicznościową, a natomiast nabrał znaczenia ogólnego, które do dziś zachował; stał się, w formie ataku na hipokryzję, niepokojącem wystąpieniem przeciw pobożności i przeciw religji wogóle.

Tego znaczenia pierwotny *Tartuffe* nigdy nie miał. Był to atak, niewątpliwie, atak wymierzony w obóz pobożnych, ale była to równocześnie obrona króla! Gdy w osobie Tartuffe'a stawia nam poeta jaskrawy przykład przed oczy na to, że serce obłudnego pobożnisia pełne jest niskiej pożądliwości cielesnej, to tkwiła w tem ukryta, a dla współczesnych z roku 1664 zrozumiała myśl, że pod względem moralnym „pobożnisie" stoją jeszcze niżej od króla, który, ulegając słabości natury ludzkiej,

ma przynajmniej odwagę czynić to szczerze i otwarcie i nie wdziewa na siebie wstrętnej maski hipokryty.

Te wszystkie subtelne odcienia myśli Molière'a zaginęły, gdy sztuka jego dostała się przed szerokie forum publiczności. Pozostało w tej sztuce tylko jedno: walka z obozem pobożnych, w których jedni dopatrywali się jezuitów (tego zdania jest jeszcze Sainte-Beuve w swojem *Port-Royal* t. III), drudzy jansenistów. W tej uproszczonej i przejaskrawionej formie, *Tartuffe* zyskał aplauz mas szerokich, z natury usposobionych niechętnie do przedstawicieli surowszej dyscypliny moralnej.

Wydaje się dziełem szczególniejszej niesprawiedliwości dziejowej to, że, podczas gdy Ludwik XIV, właściwy inicjator komedji, mimo przeprowadzonej walki z papieżem Aleksandrem VII, mimo zgniecenia towarzystwa Świętego Sakramentu i mimo swego trybu życia nad wszelki wyraz rozpustnego, zachował u potomnych charakter władcy bardzo chrześcijańskiego, starszego syna Kościoła *(le roi très chrétien, fils aîné de l'Eglise)*, Molière, jako twórca *Tartuffe'a*, zyskał opinję pisarza, który, czując się skrępowany przez Kościół, czyni wszystko, by podkopać jego fundamenty, a tem samem obalić fundamenty ładu i porządku moralnego w świecie. Komedja *Tartuffe* stała się źródłem tragedji w życiu Molière'a; w niej leży powód podejrzeń i niechęci, z jakiemi pisarz ten musiał walczyć za życia, wytłumaczenie sądów ujemnych, jakie do dziś w pewnych kołach są przeciw niemu podnoszone.

Według opinji tych kół, których wymownym przedstawicielem stał się Ferdynand Brunetière (*Etudes critiques* IV), Molière, uczeń Rabelais'go, Montaigne'a i jeżeli nie Gassendi'ego, to przynajmniej Gassendystów, jest przedstawicielem filozofji Natury. Skutkiem tego jest on do gruntu wrogo usposobiony dla religji. W *Tartuffie* śmiało i z całą świadomością występuje do walki z samą religją i prawdziwą pobożnością.

Nie idźmy tak daleko! Nie podsuwajmy Molière'owi intencyj, które były mu zupełnie obce! Niema żadnego racjonalnego powodu, by posądzać Molière'a o chęć walki z religją. Nigdy takiego zamiaru w życiu jego nie było.

Gdy mamy ocenić znaczenie komedji takiej, jak *Tartuffe*, należy nam zgóry odrzucić hasła i formułki ogólne, t. j. takie, przy których ulega zatracie dokładność i subtelność odcieni;

należy nam uwzględnić w jak najszerszej mierze podłoże psychologiczne i tło historyczne utworu, a w sądzie o nim stosować tę jedynie miarę, jaką daje sam człowiek i w pełni rozwinięta, prawdziwa natura ludzka. Gdy w ten sposób bez uprzedzeń, biorąc rzeczy czysto po ludzku, po odrzuceniu na bok formułek, a przytem z należytem wniknięciem w ducha epoki, zechcemy przeczytać komedję *Tartuffe* i poddać się jej urokowi, będziemy mogli przyjąć ją tak, jak ją przyjęli w r. 1664 na zamku królewskim w Fontainebleau, ks. kardynał legat papieski i księża prałaci rzymscy. Ubawili się oni i uśmiali serdecznie, gdy Molière odczytywał im swą sztukę i nie odmówili jej swego wysokiego uznania.

Jakże daleko jesteśmy od atmosfery podejrzeń, niechęci i potępień, jakie ta komedja obudziła we Francji. I wszystko zdaje się wskazywać na to, że monsignorzy byli w zgodzie z prawdą, gdy tak poprostu i prawdziwie po ludzku osądzili tę komedję.

Tartuffe jest w zakresie spraw moralno-religijnych obroną tych samych zasad, które Molière głosił w innych swoich utworach, zasad prawdziwej natury, rozsądku i właściwych granic. Nie wpadajcie w przesadę pobożności, nie oddalajcie się od tego, co serce i zdrowy rozsądek nakazują, a przedewszystkiem bądźcie szczerzy, nie bądźcie obłudnikami, nie używajcie religji jako parawanu, dla osłonięcia waszych żądz, ambicyj i niskich postępków! — oto, co zdaje się mówić do nas w tej sztuce ten mistrzowski znawca serc ludzkich, Molière.

W tych poglądach brzmi jakaś nuta tak dobrze nam znana i tak poufała. Nic dziwnego. Wszak jest to tylko, zastosowana do uczuć religijnych, owa odwieczna maksyma, którą przekazała nam dawna mądrość helleńska: *meden agan — ne quid nimis.*

JAN LACHS

LEKARZE-PRZYJACIELE JANA KOCHANOWSKIEGO

III

Drugim lekarzem-przyjacielem, któremu Kochanowski swoją muzę poświęcił i który w jego życiu pewną odegrał rolę, jest Stanisław Fogelweder, potomek szlacheckiej rodziny, pochodzącej ze Szwajcarji, która z St. Gallen przeniosła się do Krakowa. Równocześnie z Fogelwederami przybyli do Polski, także z St. Gallen pochodzący a pewnemi węzłami pokrewieństwa z nimi złączeni Wattowie, którzy, podobnie jak tamci, uzyskali z czasem w Krakowie *ius civile* i wybitniejszą tu odegrali rolę. Potomkiem tych Fogelwederów czyli Fogelfederów — jak się oni właściwie nazywali — był Stanisław Fogelweder, który się urodził w r. 1525 w Bobolicach jako syn Andrzeja Fogelwedera i żony jego Anny, córki znanego mieszczanina krakowskiego Jodoka Glacza i jego żony Katarzyny,[1] córki kupca krakowskiego i ławnika najwyższego prawa magdeburskiego na zamku krakowskim, Jana Gliwicza, brata Brygidy, macochy kardynała Hozjusza.

Małżeństwo Fogelwederów miało jeszcze, prócz Stanisława, dwóch synów, t. j. Andrzeja, ławnika na zamku krakowskim, i Piotra, rajcę krakowskiego, tudzież córki Agnieszkę, żonę rajcy krakowskiego Walerjana Pernusza, Zofję żonę lekarza doktora Anselma Eforyna (tego samego, który dedykował teściowi swoje wydanie Erazma *Praecatio dominica ad virginis filium Jesum*), Annę żonę Jana Cezaryna, wójta najwyższego prawa magdeburskiego, Elżbietę żonę rajcy krakowskiego Jerzego Szyllinga, i Helenę.[2] Z braci umarł

---

[1] Fr. Hipler et V. Zakrzewski, *Stanislai Hosii epistolae*. T. II. Praefatio.

[2] *Cons. crac.* Nr. 443 ab a. 1552 ad a. 1556, fol. 454 et Nr. 444 ab a. 1556 ad a. 1561, fol. 972—974.

Piotr (jak się zdaje — zabity) bezdzietnie.[1] Andrzej zaś został ojcem trzech synów i trzech córek, a mianowicie Stanisława, łożnego królewskiego *(cubicularis)*, Andrzeja i Josta. Z córek wyszła Małgorzata zamąż za Jana Wierusz Kowalskiego, Katarzyna za Marcina Trepkę, a Anna za Kaspra Guttetera.[2]

Gdzie Stanisław Fogelweder odbył początkowe studja, tego nie wiemy. Do szkół krakowskich średnich ani wyższych nie uczęszczał. Wotschke podaje, że się już wcześnie kształcił u słynnego humanisty Illisinusa, a w zakresie nauk szkół średnich u Jana Sturma, w Strassburgu, poczem wyjechał do Paryża.[3] Gdzie uzyskał stopień doktora, jakoteż gdzie i kiedy się po raz pierwszy zetknął z Kochanowskim, tego też z pewnością nie wiemy. Wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za Padwą, a potwierdza je najdawniejsza biografja Kochanowskiego nieznanego autora z r. 1612,[4] czemu się żaden zresztą z autorów prócz Przyborowskiego[5] nie sprzeciwia. Wiemy, że Fogelweder przed połową r. 1558 był już w Padwie, gdyż stamtąd przysłał bratu swemu Andrzejowi pełnomocnictwo datowane z 2-go maja tego roku, które mu było potrzebne, gdy bracia i siostry zamierzali sprzedać Erazmowi Czeczotce wspólny grunt przy ulicy św. Anny w Krakowie.[6] W Padwie zastał już prawdopodobnie Kochanowskiego, po raz trzeci tam przebywającego, a ponad wszelką wątpliwość pewne jest, że znalazł od roku już w Padwie przebywającego Andrzeja Patrycego Nideckiego, późniejszego biskupa wendeńskiego, który tam właśnie odbywał swoje studja prawnicze, tudzież Andrzeja Dudycza, późniejszego biskupa w Tina w Dalmacji, następnie w Pięciokościołach na Węgrzech, a ostatecznie — po ożenieniu się z damą dworu królowej Katarzyny, Reginą Straszówną — jednego z głównych propagatorów Arjanizmu,

[1] Ludovicus Boratyński, *J. A. Caligarii nuntii apostolici in Polonia epistolae et acta.* Cracoviae 1915. Nr. 262. (*Monumenta Poloniae vaticana* T. IV).

[2] *Scab. crac.* ab a. 1588 ad a. 1591 fol. 1594, ab a. 1594 ad a. 1596 fol. 170, 360, 361.

[3] Kurdybach Ł.: *Stanisław Fogelweder humanista i dyplomata polski XVI wieku. (Prace historyczne wydane ku uczczeniu 50-lecia akademickiego Koła historyków Uniw. J. K. we Lwowie,* Lwów 1929), str. 178—179.

[4] „.....Atque ibi (w Padwie) prima illi (Kochanowski, Robortellus i Manucjusz) cum Joanne Samoscio, Andrea Patrico, *Stanislao Fogelwedrio*, Luca Gornicio, viris eruditis contracta amicitia..."

[5] *Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego.* Poznań, 1857.

[6] *Cons. crac.* Nr. 444 ab a. 1556 ad a. 1561 fol. 972—974.

wreszcie Jana Januszowskiego, przyjaciela Kochanowskiego i wydawcę jego pism pośmiertnych. Koło to powiększyło się zczasem, gdy do niego przystąpili: filolog Karol Sygonjusz, profesor naprzód w Wenecji a później w Padwie, i znany wydawca Paweł Manucjusz, syn Aldusa, z którym Fogelweder jeszcze i po wyjeździe z Padwy utrzymywał stosunki. Stosunek z Manucjuszem stał się z czasem bardzo ścisły i serdeczny, a przyczyną jego były zalety Fogelwedera, które Manucjusz wysoko cenił, a w liście do przyjaciela otwarcie im dał wyraz. Zaletami temi były „elegantia ingenii ...in iudicio", tudzież „humanitas", zamiłowanie Fogelwedera i zrozumienie, z jakiemi się on oddawał naukom. Miłym mu był Fogelweder jeszcze i z tego powodu, że mu swojemi cennemi zaletami przypominał drugiego im wspólnego przyjaciela, t. j. Nideckiego („...quod in uno te nonnullam Patricii, ...etiam imaginem videor agnoscere...") [1]

Czy Fogelweder pojechał do Padwy z zamiarem studjowania tam medycyny? Jeżeli tak, to wybrał wcale nieźle. Wszak tam przed zaledwie piętnastu laty poczynił Wezal swe wielkie odkrycia, które zebrał w swoich *De corporis humani fabrica libri septem.* Wszak tam nowe prądy w medycynie zdobywały już supremację nad galenizmem i stamtąd rozchodziły się całe snopy światła, które padając na inne wydziały lekarskie, zmuszały je do rewizji dawnych pojęć o naukach lekarskich. Wcześnie odczuto i zrozumiano znaczenie Padwy pod tym względem w Polsce, skąd wkrótce całe rzesze młodzieży podążyły, łącząc się tam w jedną narodowość, która szybko liczebnie i na powadze urosła, i Padwie kilku rektorów dostarczyła. Tam więc podążył i Fogelweder, gdzie przebywał mniejwięcej aż do połowy roku 1559. Jakich wykładów słuchał i czy tu rzeczywiście uzyskał doktorat medycyny, nie wiemy. We wspomnianym roku opuszcza Padwę — którą już poprzednio Kochanowski opuścił, udając się do Francji — lecz już z tytułem doktora filozofji i medycyny,[2] i wybiera się w drogę powrotną do Polski. Podróż tę odbył — jak to Nidecki wspomina [3] — w jego

[1] *Epistolarum Pauli Manutii libri XII.* Coloniae *MDCVI.* p. 259—260

[2] St. Windakiewicz powołując się na księgi ławnicze krakowskie twierdzi, że Fogelweder studjował w Padwie prawo, skąd wrócił doktorem praw (*Życie dworskie Kochanowskiego,* Kraków, 1866, str. 36).

[3] M. Tullii Ciceronis, *Fragmentorum tomi IV. cum Andreae Patricii Striceconis adnotationibus.* Venetiis *MDLXV.* Adnot. praefatio.

i Dudycza towarzystwie, zaczepiając o Wenecję, gdzie chciał odwiedzić Karola Sigonjusza, naonczas już profesora w mieście Św. Marka. Przed ostatecznym wyjazdem Fogelwedera z Padwy miała go spotkać wielka przykrość, która spowodowała Kochanowskiego do napisania pięknego i bardzo wzruszającego łacińskiego *Epitaphium* na śmierć młodego, pełnego życia i uroku dziewczęcia, nazwanego przez poetę Doraliką, a zmarłego w czasie nieobecności jego kochanka, a może i narzeczonego. Tym narzeczonym, nazwanym przez Kochanowskiego Avipratem, miał być nie kto inny, jak Fogelweder,[1] którego Kochanowski, współczując z nim, opłakuje między innemi i z tego powodu, że błąkając się po świecie, nie przeczuwa, jak wielkie nieszczęście go spotkało w czasie jego nieobecności („Et tu quo lentus in orbe erres, incertum est, nec dum tua vulnera infelix"). Kochanowski życzyłby sobie w tej chwili obecności przyjaciela w kraju, lecz napróżno błaga o to nie dających posłuchu jego modłom bogów („Qui si nunc adsis, sed ego Diis supplico surdis").

Na tem pełnem uczucia *epitaphium* polegając, możemy twierdzić, że stosunek między poetą a lekarzem, prawdopodobnie w Padwie zadzierżgnięty, musiał się już tam rozwinąć i stać się już tam bardzo serdecznym.[2]

Po powrocie do kraju obsypywano Fogelwedera rozmaitemi godnościami i beneficjami kościelnemi. Już w r. 1564 dostał się do kancelarji królewskiej, w której piastował godność sekretarza, poświęcając od tej chwili większą część swojego życia polityce i dyplomacji. Z kościelnych godności przypadło mu najwcześniej probostwo ostrowskie w dekanacie parczowskim, skąd już w r. 1564 informuje listownie kanonika krakowskiego Marcina Kromera o konwencie parczowskim, o senatorach, którzy tam przybyli, o działalności, podstępach i zbrodniach („furta sceleraque") Warszewickiego,

---

[1] Uwagi Józefa Przyborowskiego do *Epitaphium Doralices* w pomnikowem wydaniu dzieł Kochanowskiego, sporządzonem przez Józefa Plenkiewicza. Warszawa, 1884.— St. Tarnowski, *Jan Kochanowski,* Kraków, 1888, str. 424. — St. Windakiewicz, *Jan Kochanowski,* Kraków 1930, str. 89.

[2] St. Windakiewicz twierdzi raz, że „zą drugiego pobytu w Padwie kolegował Kochanowski z Fogelwederem" (*Pobyt Kochanowskiego zagranicą.* Kraków, 1886, str. 71), a innym razem, że się Fogelweder zetknął w Krakowie w r. 1563 „prawdopodobnie pierwszy raz z naszym poetą" (*Życie dworskie Kochanowskiego.* Kraków, 1886, str. 36).

który przemawiając tam raczej „vomit ac deblaterat", jakoteż o wtargnięciu Tatarów do Podola i o okrucieństwach, których się oni tam dopuścili.[1]

Probostwo ostrowskie stanowiło tylko skromny początek, po którym przyszła kolej na niezwykle liczne kanonje: kanonikaty poznański, wileński i płocki, archidiakonat warszawski — (opróżniony w r. 1572 przez podkanclerzego Franciszka Krasińskiego, który wtedy właśnie został biskupem krakowskim), — probostwo w Surażu, w r. 1588 kanonikat katedralny krakowski, (opróżniony przez rezygnację z kanonji i prebendy dojazdowskiej kanonika Adama Pieczychowskiego),[2] wreszcie w r. 1600 probostwo miechowskie po kardynale Batorym.[3] Kanonję dojazdowską uzyskał jednak Fogelweder nie jako lekarz, gdyż ona była przeznaczona jedynie dla szlachty. To też musiał zapewnić naprzód gremjum kanoników o swojem szlacheckiem pochodzeniu, co mu nie przyszło wcale trudno, bo Fogelwederzy to stara szlachta, których przodkom, Janowi i Andrzejowi, nadał dziedziczne szlachectwo niemieckie jeszcze w r. 1430 cesarz Zygmunt, potwierdził później w r. 1574 cesarz Maksymiljan, a z królów polskich Zygmunt August i Zygmunt Waza w latach 1564 i 1589.[4] Stanisławowi Fogelwederowi należało się także szlachectwo po kądzieli, gdyż matka jego, Glacówna z domu, była pochodzenia szlacheckiego. Stosownie do zwyczaju, miał Fogelweder mimo to obowiązek dostarczenia świadków, którzyby mogli potwierdzić prawdziwość jego zeznań.

Instrument nadania kanonji katedralnej nie dodaje mu jednak wcale tytułu doktora medycyny *(physicus)*, jak wogóle w aktach kapitulnych nigdy tego tytułu obok nazwiska Fogelwedera nie napotykamy. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie korzystał sam Fogelweder z tego tytułu, kładąc podpis swój na aktach lub listach. I rzeczywiście nie mają go za lekarza współcześni mu Stanisław Reszka,[5] ani nuncjusz papieski w Polsce Caligarius,[6] ani późniejsi,

---

[1] Ms. Bibljoteki Jagiellońskiej Nr 28. I.

[2] *Acta actorum* ab a. 1587 ad a. 1600, vol. VIII, p. 33—39.

[3] *Acta actorum* ab a. 1600, ad a. 1605, vol. IX, p. 18 i. v.

[4] *Relationes castrenses,* vol. 30, a. 1603, p. 286—296 (Archiwum Ziemskie w Krakowie).

[5] J. Czubek, *Stanislai Rescii diarium* (1583—1589), Kraków, 1915 (*Archiwum do dziejów lit. i ośw. w Polsce.* T. XV, cz. I).

[6] L. Boratyński, *J. A. Caligarii epistolae et acta.*

jak Siarczyński,[1] Łętowski,[2] Klementyna z Tańskich Hoffmanowa,[3] lub Kośmiński.[4] Na tych badaczach i na aktach kapitulnych krakowskich polegając, bylibyśmy pochopni uwierzyć, że Fogelweder nie był lekarzem, gdybyśmy nie mieli współczesnych mu kilku świadków. Klasycznego dla tej sprawy świadka znajdujemy w osobie jego serdecznego i zasługującego na pełne zaufanie przyjaciela, Andrzeja Patrycego Nideckiego,[5] który go ma nietylko za filozofa i lekarza, lecz widzi w nim nawet lekarza znakomitego *(philosophus ac medicus excellens)*. Lekarzem jest także Fogelweder wedle relacji Filipa Padniewskiego,[6] i wedle pamiętników marszałka sejmowego Świętosława Orzelskiego,[7] gdzie się dowiadujemy, że Fogelweder korzystał ze swoich wiadomości lekarskich w czasie ostatniej choroby Zygmunta Augusta. Także i z aktów poznańskiej kapituły katedralnej wynika, że Fogelweder był lekarzem, skoro go ma za takiego Gąsiorowski,[8] który w tych aktach czynił swoje poszukiwania.

Obok godności kościelnych Fogelweder — jak to powyżej wspomnieliśmy — piastował także i świeckie. Dostawszy się do kancelarji królewskiej, pełnił godność rzeczywistego sekretarza królewskiego *(intimus secretarius)*. Na dworze znalazła się wkrótce dawna trójka padewska w komplecie, gdyż obok Fogelwedera i Nideckiego powołał król do swojej kancelarji jeszcze i Kochanowskiego, który z końcem roku 1563 porzucił służbę na dworze wojewody wileńskiego Jana Firleja. Najdłużej jednak w służbie dworskiej wytrzymał dyplomata Fogelweder, a najkrócej nie umiejący karku uginać Kochanowski, gdyż wolał „dochody szczuplejsze", byle tylko była „myśl bezpieczniejsza i serce wolniejsze". Jako sekretarz królewski wyjeżdżał często Fogelweder w rozmaitych misjach politycznych do Niemiec, — dokąd go obok Nideckiego

[1] *Obraz wieku panowania Zygmunta III.* Lwów, 1828.

[2] *Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich.* T. II. Kraków, 1852.

[3] *Jan Kochanowski.*

[4] *Słownik lekarzów polskich.* Warszawa, 1883.

[5] M. Tulli i Ciceronis, *Fragmenta.* Adnot. praefatio.

[6] X. J. Bukowski, *Dzieje reformacji w Polsce.* T. I. Kraków, 1883, str. 589.

[7] *Bezkrólewia ksiąg ośmioro.* Kraków, 1917.

[8] Rozprawa wyświecająca historję zaprowadzenia kanonikatu doktora medycyny (*Rocznik Tow. Przyj. N. Poznańskiego.* T. I. Poznań, 1860).

wysyłał czasem podkanclerzy Myszkowski,[1] jak np. w r. 1566 i 1592, — i do Hiszpanji. Tam załatwiał między innemi także sprawy królowej *(internuntio della regina di Polonia)*[2] i stamtąd utrzymywał dosyć żywą korespondencję ze Stanisławem Reszką,[3] porozumiewając się za jego pośrednictwem ze swoim mocodawcą.

Po ucieczce Henryka Walezego Fogelweder, — którym kierował Myszkowski — występuje (obok Dudycza) w obronie habsburskiej kandydatury na tron polski. Sądzono, że tron będzie można kupić przedewszystkiem pieniądzmi; podjął się tej przykrej misji Dudycz, pracując nad zrealizowaniem swojego planu przy pomocy Fogelwedera.[4]

Kasy na dworze były puste. Anna Jagiellonka nie zapomniała o spadku po królowej Bonie, lecz sum jej należnych nie mogła wydostać. Najodpowiedniejszym wydawał się jej dla tej sprawy Fogelweder, którego przecie tak dobrze poznała w kancelarji dworskiej. Jego też wysłała do Hiszpanji w r. 1576 na dwór Filipa II, który miał ze swej strony poprzeć w Neapolu pretensje królewnej.

Od Fogelwedera za pośrednictwem Reszki przychodziły dobre wiadomości do kraju. Zdaje się jednak, że to były tylko nic nie znaczące obietnice, a interwencja Filipa II, która rokowała tak świetne widoki, spełzła na niczem. Wtedy zaczął Fogelweder na własną rękę działać i udał się w Neapolu na drogę sądową. Hozjusz dowiedziawszy się o tym kroku, wobec królowej i w liście do Fogelwedera dał wyraz swojemu niezadowoleniu z kroku posła polskiego w Madrycie.[5] W r. 1581 przerywa Fogelweder chwilowo swój pobyt w Hiszpanji, i wyjeżdża znowu w misji dyplomatycznej wysłany przez Batorego zdaje się do Turcji,[6] skąd ponownie wraca

---

[1] List Myszkowskiego do Stanisława Hozjusza z 28-go kwietnia r. 1566 (Archiwum XX. Czartoryskich. Ms. Nr. 1607). W liście tym, w którym Myszkowski narzeka na brak zdolnych ludzi, między innemi pisze: „Prussica negotia Patricio et interdum Fogelvedrio committo sed iis quoque alia committo: vt credibile sit eos singulis fungendis sufficere ita non posse, vti ipsi etiam fortassis cuperent"...

[2] L. Boratyński, *l. c.*

[3] J. Czubek, *l. c.*

[4] Zakrzewski W., *Po ucieczce Henryka.* Kraków, 1878.

[5] Grabowski Ambroży, *Starożytności historyczne polskie.* T. II. Kraków, 1840. Listy Hozjusza do Anny Jagiellonki z 14/IV r. 1576 do królowej z 4/IV r. 1579 i do Fogelwedera z 12/III r. 1579.

[6] Kurdybach, *op. cit.*, str. 195.

do Hiszpanji, której król w r. 1584 nadał mu szlachectwo hiszpańskie.

Po śmierci Batorego pozostawał Fogelweder nadal w służbie jego następcy i został także sekretarzem królowej Anny. W r. 1594 towarzyszy Zygmuntowi III, gdy się ten wraz z dworem udał do Szwecji, celem odbycia koronacji na króla szwedzkiego. Fogelweder brał udział w uroczystościach koronacyjnych, po których towarzyszył królowi w drodze powrotnej do kraju.[1] Kiedy znowu w r. 1598 Zygmunt III, po śmierci swojej żony wyjechał do Szwecji, poruczył opiekę nad małym królewiczem Władysławem Fogelwederowi.[2]

Tak częsty i długi pobyt Fogelwedera zagranicą i wogóle poza Krakowem był przyczyną, że rzadko kiedy brał udział w posiedzeniach kapituły katedralnej. Nie chcąc zaś zaniedbywać spraw kanonji krakowskiej, ustanowił dla nich swoim zastępcą (prokuratorem) Alberta Szydłowskiego.[3] Trudniej było z innemi obowiązkami kościelnemi, które wziął na siebie, a którym z natury rzeczy wobec tylu i od nich tak dalekich zajęć podołać nie mógł. To też narzeka na niego Filip Padniewski już w sprawozdaniu z wizytacji swojej w diecezji krakowskiej w r. 1569 w następujący sposób: „W Ostrowie, miasteczku królewskiem w dekanacie parczowskim jest plebanem Stanisław. Fogelweder, doktór fizyk, który nie rezyduje. Wszystko w największem zaniedbaniu. W chrzcielnicy znalazły się robaki".[4]

Wspomnieliśmy wyżej, że z trzech przyjaciół najdłużej w kancelarji dworskiej utrzymał się Fogelweder, a najkrócej z nich pełnił godność sekretarza królewskiego Kochanowski, który opuścił dwór królewski jeszcze przed 6 października 1571 roku. Takby należało przypuszczać z jedynego zachowanego do dzisiejszego dnia listu poety, wystosowanego pod powyższą datą do Fogelwedera. W liście tym, napisanym po polsku, a wysłanym z Czarnolasu, zwraca się poeta do swojego przyjaciela z prośbą o pośrednictwo w pewnej sprawie, o którą, jak się zdaje, nie ma odwagi sam króla prosić; nie podaje jednak bliżej, o co mu chodziło.

Z treści listu wynika, że już poprzednio poeta zwracał się w tej samej sprawie do Fogelwedera, donosząc mu równocześnie, że jest

---

[1] Zbylitowscy A. i P., *Niektóre poezje.* Kraków, 1860. *Droga do Szwecji,* str. 32 i 57.

[2] Kurdybach, *op. cit.*, str. 199.

[3] *Acta actorum* ab a. 1587 ad a. 1600, vol. VIII, f. 391.

[4] X. J. Bukowski, *op. cit.*

zajęty tłumaczeniem psalmów Dawidowych, jakoteż że Fogelweder w odpowiedzi swojej pozwolił sobie udzielić pewnych rad tłumaczowi, odnoszących się do samego tłumaczenia. Rad tych w grzecznej formie — jak to zwykle proszący o coś czynią — Kochanowski nie przyjął, wymawiając się swojem natchnieniem poetyckiem przy pracy i pouczając równocześnie swego przyjaciela, że poeta tłumaczący z obcego języka ma dwojakiego rodzaju trudności do zwalczenia, stojące przed jego oczyma jakby dwie boginie: jedna z nich żąda od niego możliwie dokładnego a równocześnie i wiernego oddania ducha oryginału, gdy druga, t. j. fantazja twórcza, narzuca się prawdziwemu poecie nawet i przy tłumaczeniu obcych utworów. Przechodząc zaś do swojej sprawy, przyznaje Fogelwederowi rację, gdy mu radzi, by sam w swojej sprawie pomówił z królem i postanawia to uczynić w Warszawie, zwłaszcza, „że i sejm podobno nie daleko“ i jego „rzecz snadniejby tam poszła, kiedy będą w kupie“, przyczem liczy na obecność i pomoc Fogelwedera i to tem bardziej, że „Król Jego M. już pozwolić raczył“. List ten jest prawdopodobnie komentarzem do jedenastej elegji księgi trzeciej, poświęconej Fogelwederowi (Stencesilaus) przez znakomitego przyjaciela, w której z tą samą bliżej i tutaj nieokreśloną sprawą do niego się udaje, tłumacząc swoją natarczywość ważnością sprawy, której rozwiązania oczekuje, bo

„Jak młodzian gorejący, gdy zwodnica miła,
Z osłonną przybyć nocą tajnie się zmówiła,
Upornie świecącemu słońcu wciąż złorzeczy,
Sądzi, że ono samo szczęściu jego przeczy,
I już snami się łudzi, gdy południe grzeje
. . . . . .
Już się i słońce stacza...
A zdrajczyni nie przyszła..
. . . . . .
Sen na czołach znużonych swe skrzydła roztoczył,
On sam czuwa, nadzieja wierna sny odgania,
Lecz i ona z obawy już bliska skonania“.

Tak samo i on niszczeje, i z tego powodu prosi Fogelwedera, by wybadał króla w jego sprawie:

„Bo nic nie ofiaruje, kto wcześnie odmówi“.[1]

Nie wiedząc, o jaką sprawę chodziło, nie wiemy także, jaki był

[1] Elegję powyższą cytujemy w tłumaczeniu Brodzińskiego.

wynik interwencji Fogelwedera. Jeżeli chodziło tu o probostwo poznańskie i zwoleńskie, jak się tego domyśla prof. Windakiewicz, to pośrednictwo Fogelwedera odniosło pełny sukces.

Tymczasem Fogelweder nie zaniedbywał drugiego przyjaciela z kancelarji królewskiej, z którym utrzymywał żywą korespondencję. W listach swoich Nidecki daje wyraz, jak bardzo cenił naszego lekarza, skoro w liście z 12 września 1579, t. j. wtedy, kiedy Fogelweder ubiegał się o probostwo w Surażu, każe mu starać się o kardynalstwo opróżnione przez śmierć Hozjusza.[1] Fogelweder nie brał tej rady na serjo, i wolał się ubiegać raczej o to, co uważał za osiągalne dla siebie przez to, że nie zaniedbywał sprawy surazkiej. I rzeczywiście został w rezultacie proboszczem w Surażu.[2]

Dnia 22 sierpnia 1584 r. spada na Fogelwedera straszny cios. Z Lublina nadchodzą wiadomości, że przyjaciel jego, który go wierszami swojemi uwiecznił, przeżywszy swoją ukochaną Urszulę i pochowawszy drugą córkę Hannę zmarł nagle w drodze do króla, od którego chciał żądać pomszczenia szwagra swojego Podlodowskiego, zamordowanego przez Turków. Fogelwederowi jednak danem było przeżyć i drugiego przyjaciela. W r. 1587 umiera bowiem biskup wendeński Nidecki, od którego doznał tak dużo dowodów pamięci i z którym go łączyła prawdziwa, bo dozgonna, przyjaźń. Dowodów tych nie brakło nawet i w testamencie Nideckiego, bo zapisuje w nim Fogelwederowi „pierszczien, który sobie obieże, a ktemu numisma Cardlis. Granuelae", i mianuje go jednym z egzekutorów swojego testamentu.[3]

Należałoby jeszcze kilku słowy wspomnieć o beneficjach kościelnych, któremi Fogelwedera jeszcze i pod koniec jego życia tak hojnie obdarzano. W roku 1590 nadała mu kapituła krakowska Wolę Zacharjaszowską i dom kanoników („in platea canonicali iuxta collegium artistarum"), który już w następnym roku zamienił na dom opróżniony przez śmierć kanonika Jana Piotrowskiego. W tym samym roku wyjechał do Warszawy, a w r. 1592 — jak to wyżej wspomniano — do Niemiec. 18-go października 1602 roku brał jeszcze czynny udział w posiedzeniu kapituły katedralnej, a już

[1] K. Morawski, *Andrzej Patrycy Nidecki*. Kraków, 1892, str. 279.

[2] 7-go stycznia 1590 r. staje Fogelweder przed sądem ziemskim w Krakowie jeszcze jako pleban surazki. (Ms. Nr. 684/4 Polskiej Akademji Umiejętności).

[3] K. Morawski, *Nidecki*, str. 371.

4 lutego następnego roku odbyli kanonicy katedralni posiedzenie, poświęcone wyborowi kanonika dla opróżnionej przez śmierć Fogelwedera kanonji dojazdowskiej. Wiedząc zaś, jak szybko po zejściu kanonika schodzili się pozostali kanonicy, by nadać osieroconą kanonję następcy, możemy twierdzić, że na początku roku 1603 przestał już także żyć i trzeci członek słynnej trójki: Kochanowski, Nidecki i Fogelweder, któremu akta kapitulne krakowskie z r. 1602 dodają obok innych tytułów jeszcze tytuł: scholastyka. Kanonję dojazdowską zdobył po nim po dłuższej dopiero walce sekretarz królewski, doktór praw Jakób Łempicki, a dom kanoników („in parte sinistra plateae canonicalis") nadano Pawłowi Dębskiemu („suffraganeo canonico vicaro").[1]

Fogelweder jako posiadacz tak wielu i znacznych prebend i bogaty już — jak się zdaje — z domu, zostawił po sobie poważny majątek ruchomy i nieruchomy, który przypadł, stosownie do jego testamentu, przeważnie jego bratankowi po Andrzeju Fogelwederze. Rozdział jednak schedy, mimo testamentu, nie był tak łatwym, gdyż pertraktacje spadkowe przewlekały się aż do marca r. 1607.[2]

O działalności i wartości lekarskiej Fogelwedera nie wiele wiemy, tem bardziej, że nie pozostawił żadnych na to dowodów. Prawdopodobnie nie była ona wielką, a może nawet i żadną. Liczne urzędy kościelne, które piastował, liczne beneficja, których musiał dozorować, godność sekretarza królewskiego a przedewszystkiem bardzo częste wyjazdy poza Kraków, a szczególnie dłuższy pobyt zagranicą pozwalały mu zapominać o zawodzie lekarskim i przeszkadzały rozwijaniu się praktyki lekarskiej. Na dobitek wszedł także do kapituły katedralnej nie przez uzyskanie kanonji lekarskiej, lecz jedynie kanonji szlacheckiej, nie miał więc bynajmniej obowiązku troszczyć się o zdrowie kanoników, tem bardziej, że obowiązek ten mogli spełniać inni współcześni lekarze katedralni, jak Jan Alantse lub Walenty Fontan. Jednego jednak pacjenta, którym się zaopiekował, znamy. Był nim sam Zygmunt August, dla którego Fogelweder nie był — jak to często na dworach bywało — tytularnym tylko, ale rzeczywistym lekarzem, nie opuszczając go w ostatniej chorobie aż do ostatniego jego tchu, a nawet, jak do-

---

[1] *Acta actorum* ab a. 1600 ad a. 1605, vol. IX f. 222 i. v. 223 et 228 i. v.

[2] *Relationes castr.* vol. 33, a. 1606, f 975—988, 1922, vol 35, a. 1607, f. 246—252.

nosi Świętosław Orzelski, „gdy król umarł nie było prawie czem ciała jego przykryć, aż biskup krakowski kupił na to pogrzebne płótno, a doktór Fogelweder pierścień z drogim kamieniem i złoty łańcuch z krzyżem włożył na króla".[1] Co więcej, widząc, jak niecne otoczenie króla — skoro tylko zamknął oczy — grabiło jego nieruchomości, obronił te resztki, które jeszcze pozostały obok klejnotów i ważnych aktów przed ich rozniesieniem, biorąc klucze od szaf do siebie, by je potem oddać królewnie Annie.[2] Anna mu tego nie zapomniała, dając mu później jako królowa dowody łaski i starając się o poprawę materjalną bytu Fogelwedera.[3]

Co łączyło Kochanowskiego z Fogelwederem? O ile rzeczywiście obydwaj poraz pierwszy w Padwie się zetknęli, to najprawdopodobniej zbliżyła ich przynależność do jednej narodowości na uniwersytecie, która tak często wytwarza szczególniej na obczyźnie bardzo ścisłe węzły. Łączyła ich także młodość, bo przecież różnica wieku obydwóch przyjaciół była nieznaczną. Wiemy także, że Kochanowski był człowiekiem towarzyskim i umiał być wesołym, nie przekraczając jednak dopuszczalnej miary, i że umiał to swoje usposobienie przelewać na swoje otoczenie Przyciągnął więc do grona swoich przyjaciół także Fogelwedera, a poznawszy bliżej jego usposobienie, animuje go łacińskim epigramatem, udzielając mu porady, by się nad tem tylko zastanawiał, jakby mógł wedle swojego upodobania ten padoł płaczu przebyć. O czarną śmierć bowiem i o sławę jego pozagrobową będzie się troszczyć jedyna Pijeryda, która nawet wbrew woli Park i z mogiły go wyrwie i w nadziemskie zaniesie przestworza.[4] Zdaje się jednak, że Fogelweder często rady Kochanowskiego bardziej sobie brał do serca, niż tego sobie poeta życzył. Kochanowski zaś, widząc tę przesadę u przyjaciela, umiał mu ją wytknąć, zawsze jednak osładzając pigułkę miłym wierszykiem, by się Fogelweder uwagą nie czuł urażonym:

Kto pija do północy, bracie Stanisławie,
Jeśli jest czas do niego, może się nieprawie

---

[1] J. U. Niemcewicz, *Zbiór pamiętników historycznych o dawnej Polsce.* Lipsk, 1838.

[2] Przezdziecki A., *Jagiellonki polskie.* T. IV. Kraków, 1868. Listy Anny Jagiellonki z 27/IX r. 1572 i z 6/VIII r. 1574.

[3] Tamże. List z 31/I r. 1582.

[4] *Foricoenia sive epigrammatum libellus.* Nr. 79. *Ad Fogelvederum.*

Człowiek pytać; bo by on swój wczas umiłował,
Pewniejby się raniej kładł, ani tak wiłował.[1]

Naturalnie, że taka uwaga ze strony poety nie poróżniła przyjaciół, bo mimo niej odszukiwali się nawzajem, wspólnie jadali i przebywali u siebie. Gdy zaś pewnego razu Kochanowski nie mógł Fogelwedera odszukać, apostrofuje go znowu po przyjacielsku następującym wierszykiem:

Powiedz mi, gdzie się chowasz, bracie Stanisławie,
Bom cię tak długo szukał, ażem ustał prawie.
Jakożeś mię był prosił na obiad do siebie,
Takżem cię ani widział i jadam bez ciebie.[2]

W wesołem tem kółku dochodziło czasem i do rozpraw nie zawsze licujących z godnością, lecz i w nich umie Kochanowski znaleźć stronę humorystyczną. Kiedy pewien opat, którym prawdopodobnie był Fogelweder, grając w karty z biskupem, schował do ust pieniądze „czyniąc tę postawę", że wszystko przegrał, czyli że nie ma już czem płacić, udziela mu nauczki, z której wynika, że niegodnie postąpił

A płaci kryć? Więc ci też dosiągł pięścią gęby,
Że z niej dudki wypadły. Dziękuj, że nie zęby.[3]

Te drobnostki jednak nie oddaliły od siebie przyjaciół, a zbliżyła ich jeszcze bardziej kancelarja królewska, w której obydwaj przyjaciele pracowali, — a gdy ją Kochanowski opuścił — i interwencja Fogelwedera u Zygmunta Augusta w bliżej nam nieznanej sprawie Kochanowskiego. Interes osobisty jednak nie był nigdy dla Kochanowskiego decydującym. Umiał przecież wystąpić z kancelarji dworskiej, gdy mu dworskie zajęcie przestało odpowiadać, umiał zrezygnować z intratnego probostwa poznańskiego i plebanji zwoleńskiej, a nawet prosząc Fogelwedera o interwencję u króla w swojej sprawie, prosi z pewną dumą; jeżeli mu król ma odmówić, to niechaj to prędko uczyni. Jeżeli więc przyjaciół łączyło coś dozgonnemi węzłami, to przedewszystkiem zbliżone do siebie charaktery, zalety ducha powyżej przez Manucjusza wymienione, jakoteż spryt i rozum Fogelwedera dyplomaty. Zalety te umiał ocenić Kochanowski. Wszakże wyśpiewał w pięknej pieśni:

[1] *Fraszki.* Ks. III. Nr. 45. *Do Stanisława.*
[2] *Fraszki.* Ks. III. Nr. 60. *Do Stanisława.*
[3] *Fraszki.* Ks. III. Nr. 15. *Do opata.*

.....chciejmy wziąć przedsię myśli godne siebie,
Myśli ważne na ziemi, myśli ważne w niebie;
Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.[1]

IV

Koło lekarzy-przyjaciół Kochanowskiego uzupełniał Liguryn, któremu poeta poświęca dziewiątą elegję księgi drugiej. Któż to był ten Liguryn? Loewenfeld,[2] rozbierając Elegje łacińskie Kochanowskiego wspomina tę elegję zaledwie kilku słowy, widząc w niej jedynie satyrę na zmienność kobiet, nie próbując zaś bynajmniej ciekawości naszej w tym kierunku zaspokoić. Wyręczył go prof. Windakiewicz,[3] i w dodatku bardzo trafnie, znalazłszy w aktach uniwersytetu padewskiego medyka Niemca szwajcarskiego, który się podpisywał „Georgius Cellarius ligurinus Helvetus", a Cellarius to nazwa humanistyczna naonczas tak modna Jerzego Kellera. O tym przyjacielu Kochanowskiego wiemy, że pochodził ze starej szlacheckiej rodziny, oddawna osiadłej w Zurychu, — i do dzisiejszego dnia jeszcze istniejącej — gdzie się urodził w r. 1533 jako syn Beltazara herbu Koziorożec.

Keller był najstarszem z dziesięciorga dzieci swoich rodziców. Po odbyciu początkowych szkół wyjechał do Lozanny, gdzie się uczył języka francuskiego, łacińskiego i greckiego, poczem (prawdopodobnie na początku roku 1551) przeniósł się do Padwy, celem zapoznania się z językiem włoskim i oddania się studjom lekarskim. W rzeczywistości jednak oddawał się tutaj przedewszystkiem studjom filozoficznym, słuchając wykładów Bernarda Tomitana i wczytując się w pisma Arystotelesa i jego komentatorów, Jana Grammaticusa i Aleksandra Afrodyzyjskiego, obok Ammoniusa i Boecjusza. Równocześnie uczęszczał na wykłady anatoma Bernarda Fallopa, a mianowicie na jego prelekcję o kośćcu. Ponieważ jego stosunki majątkowe nie pozwalały mu na dłuższy pobyt w Padwie, przeniósł się w lecie r. 1552 do Bazylei, skąd — otrzymawszy za przyczynieniem się reformatora Bullingera i znakomitego botanika i lekarza Konrada Gesnera, który jego plan nauk ułożył, stypendjum rady miasta Zurychu — wyjechał do Paryża na

[1] *Pieśni.* Ks. II. Nr. XIX.
[2] *Johann Kochanowski.* Posen, str. 108.
[3] *Pobyt Kochanowskiego zagranicą,* str. 27.

początku wiosny r. 1553, gdzie słuchał wykładów Jakóba Sylwiusa o Galena *De locis affectis*. W jesieni roku 1555 wrócił Keller ponownie do Padwy, doznał jednak na samym początku przykrego zawodu, nie mogąc się studjom oddawać z powodu panującej w Padwie zarazy, ani też należycie pracować nad tak ważnym przedmiotem, jak anatomja. Było wprawdzie naówczas dwóch równocześnie wykładających anatomów, lecz ponieważ między sobą się posprzeczali, dlatego nie wykładał żaden z nich w półroczu zimowem owego roku. Medycyny wewnętrznej uczył się u Bassiana Landusa. Około r. 1557 został doktorem medycyny. Keller był z powodu swojego wykształcenia filozoficznego i znajomości języków bardzo szanowany i ceniony przez kolegów. Oni go też wybrali w r. 1556 konsyljarzem *(consiliarius)* narodowości niemieckiej na uniwersytecie padewskim, a ostatecznie zastępcą rektora padewskiej szkoły lekarskiej *(rectoris patavini gymnasii medicorum vicarius)*. Po ukończeniu studjów lekarskich został jeszcze dłuższy czas w Padwie, oddając się tam pogłębieniu swoich wiadomości. W zimie r. 1559 wyjechał z Padwy już na stały pobyt do miasta rodzinnego.

Takim był w krótkim zarysie bieg studjów Kellera na podstawie jego własnych listów, przechowywanych w liczbie 32 w archiwum miejskiem Zurychu.[1] Listy te pisał Keller — z wyjątkiem tylko jednego — do Rudolfa Gwaltera, naonczas kaznodziei w kościele św. Piotra, powinowatego, doradcy i opiekuna swojego, zwłaszcza po śmierci ojca. Powinowactwo to zaś było tego rodzaju, że żona Gwaltera, pani Reguła Zwingli, była przyrodnią siostrą matki Jerzego Kellera a pasierbicą Ulryka Zwingliego.

W listach swoich wymienia Keller jednego tylko przyjaciela po nazwisku, t. j. Francuza Sanraviusa. Z innych osób, któreby nas dziś zająć mogły, wymienia jedynie rodaka swojego a późniejszego znanego lekarza krakowskiego Antoniego Schneebergera, zięcia doktora Jana Antonina, lekarza królów Zygmunta I i Zygmunta Augusta, a szwagra lekarzy krakowskich Erazma Lipnickiego i Jana Antonina młodszego. Zdaje się, że Keller ze Schneebergerem — (który podobnie jak i on sam studjował naprzód w Bazylei i Montpellier, a później dopiero w Padwie), — nie utrzymywał stosunków przyjacielskich. Wspominając jednak o nim, zwraca uwagę, na jakie

[1] Listy te ogłosił — lecz niestety tylko w streszczeniu Dr T. Schiess w *Neujahrsblatt der Stadtbibliothek Zürich auf das Jahr 1906*.

trudności natrafiają uczniowie szkoły w Montpellier na wydziale lekarskim padewskim, gdzie się od nich znacznie więcej żąda aniżeli we Francji, tudzież na rozwiązłe życie, jakie jego kolega z wydziału wiedzie w Padwie. Innych przyjaciół padewskich niestety nie wymienia wyraźnie, jakkolwiek o nich czasem wspomina. O Polakach nie wspomina równie ani słówkiem. Z tego też powodu, chcąc się zastanowić nad stosunkiem Kochanowskiego do jego szwajcarskiego przyjaciela, musimy znowu użyć jako źródła samego poety.

Wiemy, że Keller przyjechał po raz pierwszy do Padwy na początku r. 1551, a w lecie r. 1552 — a więc wtedy, kiedy właśnie Kochanowski zajechał do Padwy — przeniósł się na krótki czas do Bazylei. Zawarcie znajomości między nim a Kochanowskim trudno więc kłaść na ten właśnie czas, natomiast będzie bardziej podobnem do prawdy przypuszczenie, że się obydwaj poznali za czasu drugiego swojego pobytu we Włoszech. Znajomość ta później zamieniła się w przyjaźń, która przynajmniej w czasie pobytu obydwóch młodzieńców w Padwie była prawdopodobnie ściślejszą, skoro się Keller poecie zwierzał ze swoich najintymniejszych spraw, z których się zazwyczaj ludzie zwierzają jedynie osobom ich sercu bliskim. Takby wynikało z elegji łacińskiej, w której Kochanowski dopomaga przyjacielowi opłakiwać stratę ukochanej przez niego kobiety. Kochanowski, bardziej pod tym względem doświadczony aniżeli Keller, współczuł z nim, bo został przecie podobnie jak on opuszczony przez swoją Lidję, która wzgardziła jego miłością, mimo ofiar dla niej poniesionych, i jak on przypuszczał na korzyść innego a może i bogatego młodzieńca. Tą niewierną Lidją Kellera miała być Neera. Obyty w miłostkach Kochanowski, radzi przyjacielowi, by nie ufał zbytnio słodkim słowom kobiet, które natura obdarzyła usposobieniem niestałem:[1]

Instabile ingenium tribuit natura puellis,
Hic neque amor certus, certa neque ira manet.

Z tego powodu radzi mu nie ronić łez, ani nie okazywać bólu, by niewiernej nie sprawiał widoku dla niej może miłego. Pocieszając go tem, co sam z Lidją przeszedł mimo ofiar dla niej poniesionych, każe mu nie tracić nadziei, ufając, że nie darmo obydwaj przyjaciele łzy ronią, bo łaskawy Amor może się nad nimi zlitować i kiedyś jeszcze na szczęśliwą poprowadzić drogę.

[1] *Elegiarum* lib. II. El. Nr. IX.

In melius nostras vertet amor lacrimas.

Pocieszając przyjaciela, nie bardzo jednak wierzy sam poeta swoim słowom, „bo ktokolwiek ufa słowom kobiety, widząc w ich słowach prawdę, szuka iskry w wodzie a rosy w ogniu".[1] Toteż nie zaniechał mu udzielić przy tej sposobności nauczki na temat wiarołomności kobiecej, bo

.....nie darmo z piórkami bożek malowany,
Ślepo z wiatrem się błąka, wiatrem kołysany,
A każdy coś dziś panem, miejże się na względzie,
Może ta co dziś twoją, jutro moją będzie.[2]

I rzeczywiście rozgoryczony z powodu zawodów miłosnych, których sam doznał, złorzeczy kobietom oszukującym swoich kochanków, a czyni to tak, jak to tylko uczynić potrafi człowiek uniesiony obłudą kochanki z głębi zbolałego i krwią ociekającego serca. Życzy im więc, by były zmuszone spożywać na starość chleb żebraczy, by je choroby jako następstwo ich płochego życia trawiły, by jad zatruwający ich organizm, zniszczywszy ich wnętrzności, wypełzł na powierzchnię ich grzesznego ciała, urągając sztuce lekarskiej tak, by nareszcie po długich dopiero cierpieniach, powoli ginąc, z powierzchni ziemi znikły. Z tych kobiet ma być wyjętą jedna tylko, do której mimo wszystko poeta jeszcze pałał miłością, jego Lidja, jeżeli nie będzie wobec niego niewiernością grzeszyła, a gdyby nawet i grzeszyła, to niechaj jej będzie Amor łaskawy:

Ast a te, o mea lux, sint ea fata procul:
Sint procul; idque adeo, si in me nil tu quoque pecces,
Sive etiam peccas, sit tibi mitis amor.[3]

Jakżeż się potem rozwijała przyjaźń między poetą a Szwajcarem? Żaden z nich nie udziela w tym kierunku jakichkolwiek wskazówek. Prawdopodobnie została zerwana z chwilą rozjechania się przyjaciół. W każdym jednak razie przyjaźni tej zawdzięczamy powyższą elegję.

Czy jednak stosunek ten nie wywarł na poetę jeszcze i w innym kierunku wpływu? Wiemy, że Keller był wnukiem Zwingliego. Chodzi więc o to, czy jako zwolennik reformacji nie wywarł jakiegoś wpływu na zapatrywania religijne Kochanowskiego w duchu dla

[1] *Elegiarum* lib. I. El. Nr. X.
[2] Tłumaczenie Brodzińskiego.
[3] *Elegiarum* lib. III. El. Nr. XVII.

Kościoła rzymskiego nieprzychylnym? Dowodów pewnych brak. Do myślenia jednak daje w tym kierunku przyjaźń ta u poety, do którego bliskich przyjaciół należeli między innymi Dudycz i Stanisław Fogelweder, syn Andrzeja wezwanego przed sąd biskupi z powodu tajemnego wyznawania luteranizmu,[1] brat heretyków Andrzeja i Piotra a szwagier Anzelma Ephoryna, tak bardzo krytycznie zapatrującego się na sprawy Kościoła, ten sam wreszcie Fogelweder, o którym Chlebowski[2] pisze, że „jeżeli on sam nie był protestantem, to tylko zapewne dla zachowania probostwa, które chociaż świecki, otrzymał w nagrodę swych zasług na dworze".

Jakiż był dalszy los Liguryna? Po przybyciu do Zurychu został lekarzem miejskim, a później profesorem fizyki i matematyki. O jego działalności lekarskiej nic nie wiemy. Znamy jedynie jednego jego pacjenta, a tym był Bullinger, gdy zachorował w r. 1565 na zarazę, której uległ.

Działalność literacka Kellera była bardzo skromna. Zostawił jedynie dwa dzienniczki. Pierwszym z nich jest łaciński opis podróży do Paryża w r. 1575, którą przedsięwziął jako tłumacz i znawca języka francuskiego wraz z poselstwem wysłanem przez cztery ewangelickie miasta związkowe na dwór króla Henryka III z życzeniami dla króla z okazji jego wstąpienia na tron; poselstwo miało równocześnie prosić króla o przyznanie hugenotom korzystnych warunków pokoju.[3] Drugi dzienniczek to niemiecki opis wycieczki do Strasburga na zabawę ludową, urządzoną w Strasburgu w r. 1576, na którą zaproszono miasto Zurych. Zabawa polegała na strzelaniu z łuku i ze strzelby do mety, i na libacjach, a opis Kellera ma tę zasługę, że dał podnietę do powstania stosunkowo bogatej literatury, zajmującej się tą ludową zabawą *(Hirsebreifahrt)*[4]. Keller umarł w r. 1600.

V

Obok tej nielicznej garstki lekarzy-przyjaciół wymienia Kochanowski, ale tylko okolicznościowo, jednego jeszcze lekarza a zara-

[1] X. J. Bukowski, *Dzieje reformacji*. T. II, str. 168.

[2] *Jan Kochanowski w świetle własnych utworów*. Warszawa 1884, str. 138.

[3] Georgius Cellarius Tigurinus: *Itinerarium dominorum legatorum helveticorum ad Henricum III. Galliarum pro impetranda hugenotis pace (Archiv für Schweizerische Geschichte*. Bd. XIV. Zürich, 1864).

[4] *Das Glückhafte Schiff von Zürich* (*Mittheilungen der antiquarischen Geselschaft in Zürich*. Bd. XX. Zürich, 1880).

zem filozofa, mianowicie Jehudę Abarbanela (Abrabanela), znanego pod nazwą Leo Medicus, syna Izaaka. Leo nie był wprawdzie ani przyjacielem, ani znajomym Kochanowskiego, a jeżeli o nim wspominamy, to tylko w zamiarze sprostowania błędu u Loewenfelda. Loewenfeld pisząc o tym lekarzu, pomieszał go z innym autorem żyjącym później, przypisując dzieło, któremu Jehuda zawdzięczał swój rozgłos pośród współczesnych, a mianowicie owe *Dialoghi di amore* innemu Leonowi, pochodzącemu z Modeny (Leo Mutinensis). W ten sam błąd popadł także Jöcher,[1] na którego się Loewenfeld powołuje, pisząc, że Leo Medicus, Żyd z Modeny albo Mutinensis, napisał *Dialogi de amore in Vinegia 1541*, a innym razem, że Jehuda Abarbanel był młodszym synem Izaaka.

Otóż Leo Mutinensis nie był wcale lekarzem, był rabinem weneckim, poetą hebrajskim i kabalistą, urodził się rzeczywiście w Modenie około roku 1574, a umarł w r. 1654. Natomiast Leo Medicus, syn Abarbanela, urodził się około roku 1460, a w r. 1535 już nie żył. Ten, o którym Kochanowski pisze, był nie młodszym, lecz najstarszym synem Izaaka Abarbanela i rzeczywistym autorem owych *Dialogi III d'amore de maestro Leone Medico, di natione hebreo* dzieła głośnego pośród współczesnych, o którem Włosi wspominali z pewnem zadowoleniem, że ono było w ich właśnie języku napisane. Dzieło to doczekało się licznych wydań. Że je Kochanowski, za młodu tak zmysłowy i kochliwy, znał dokładnie, wynika dowodnie z jego *Wzoru pań mężnych*, w którym czytelnika do owych *Dialoghi* odsyła. Zbadanie wpływu, bezpośredniego i pośredniego, filozofji Leona Żyda na erotyk Kochanowskiego (przynajmniej w młodych jego latach) byłoby zadaniem ponętnem.

---

[1] *Ergänzungsheft zu* Ch. G. Jöchers *Gelehrten-Lexicon.* Leipzig, 1784. T. I i III.

STEFAN P. MIERZWA

FUNDACJA KOŚCIUSZKOWSKA JAKO SYMBOL ŁĄCZNOŚCI AMERYKI I POLSKI

„Sympatyzując w zupełności z celami Fundacji Kościuszkowskiej, całem sercem uczestniczę w dzisiejszych uroczystościach i przesyłam szczere życzenia, w imieniu mojem własnem oraz w imieniu narodu polskiego, aby zapoczątkowana przez Kościuszkę łączność duchowa pomiędzy naszemi dwoma krajami trwała po wieczne czasy dzięki szlachetnym wysiłkom instytucji noszącej jego imię, która to instytucja nawiązała stosunki intelektualne pomiędzy Polską a Stanami Zjednoczonemi przez zbliżenie do siebie kół naukowych i młodzieży obydwu krajów. Niechaj się dalej rozwija i obfituje w owoce współpracy na każdem polu, obejmując wielkie ideały prawdziwego demokratycznego rozwoju".

Ignacy Mościcki
Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

Wśród duchowych zaburzeń, towarzyszących powojennemu procesowi ponownych ustosunkowań czteromiljonowego Wychodźtwa Polskiego w Stanach Zjednoczonych do jego starej a nowonarodzonej Ojczyzny, Polski, i do jego nowej, przybranej Ojczyzny, Ameryki; wśród bólów pracy i znoju w krainie obcej, gdzie dawny wieśniak polski przebojem wydziera losowi nieznane ojcom jego zdobycze, budując w warunkach dla niego obcych lepszą przyszłość dla siebie i dla dzieci swoich; ofiarami półmiljona serc a miljona rąk powstała instytucja, która już dziś uważana jest za najpiękniejsze dzieło Polonji Amerykańskiej, która się staje symbolem wspólnych tradycyj i aspiracyj Wychodźtwa i Macierzy, wyrazem wspólnych ideałów Ameryki i Polski, rozsadnikiem dostojeństwa kultury polskiej w Ojczyźnie Waszyngtona — instytucja znana jako Fundacja Kościuszkowska, albo poprostu jako „Fundacja".

Założona niespełna pięć lat temu celem uczczenia 150-letniej rocznicy wstąpienia Kościuszki w szeregi Armji Amerykańskiej, Fundacja ta, jako żywy pomnik Kościuszki i wcielenie szlachetnych porywów Wychodźtwa, zdobyła poparcie w większej lub mniejszej mierze wszystkich odłamów Polonji amerykańskiej, bez względu na poglądy polityczno-społeczne lub wierzenia religijne, pozyskała moralne i materjalne poparcie przedstawicieli różnych sfer amerykań-

skich, zaskarbiła sobie poparcie i współpracę wszystkich urzędowych placówek polskich w Stanach Zjednoczonych i spotkała się ze szczerą aprobatą instytucyj naukowych i Rządu w Polsce, o czem najwymowniej świadczy przytoczone pismo Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Rektorzy uniwersytetów, mężowie stanu i gubernatorzy poszczególnych Stanów, prezesi narodowych organizacyj, wybitni przemysłowcy, redaktorzy naczelnych pism amerykańskich — wyrażają się z głębokiem uznaniem o zasługach Kościuszki i o celowości uwiecznienia pamięci tego „wielkiego i dobrego człowieka“ żywym pomnikiem, dzięki któremu młodzież polska i amerykańska będzie kształciła umysł, uszlachetniała serce, hartowała ducha, w myśl najwznioślejszych ideałów obydwu narodów.

Fundacja im. Tadeusza Kościuszki wyłoniła się z „Komitetu Stypendjalnego Polsko-Amerykańskiego“, który to Komitet został zorganizowany — względnie zaprojektowany — w styczniu 1923 r. Wówczas niżej podpisany, zauważywszy, że z wyjątkiem Polaków prawie wszystkie cywilizowane narody, względnie grupy narodowościowe, zamieszkałe w Stanach Zjednoczonych, mają swe fundacje, komitety stypendjalne i t. p. dla wymiany studentów i profesorów pomiędzy swemi krajami a Ameryką, zwrócił się do ówczesnego Posła Rzeczypospolitej Polskiej w Waszyngtonie a obecnego Prezesa Banku Polskiego, Dra Władysława Wróblewskiego, z propozycją, aby mu pomógł założyć taki Komitet Stypendjalny Polsko-Amerykański i sam stanął na czele jako czynny Prezes. Pan Minister wyraził swą zgodę, ale pod tym warunkiem, że Wychodźtwo wpierw złoży sumę dol. 5000 jako dowód dobrej woli i zainteresowania. Warunek ten sprawił, że znaleźliśmy się chwilowo w błędnem kole. Pan Minister nie chciał wziąć udziału, dopóki Wychodźtwo czynem nie wykaże zainteresowania, a do Wychodźtwa nie można było apelować o datki, dopóki na czele Komitetu nie stanęła osoba, wzbudzająca ogólne zaufanie. W owych dniach powojennego rozprzężenia i chaosu pojęć, Poseł Polski zdawał się być jedyną osobą odpowiednią. W ostateczności Minister Wróblewski zgodził się na kompromis, t. j. na przyjęcie roli tymczasowego opiekuna wpływających ofiar do chwili zebrania wspomnianej warunkowej kwoty.

Kwotę dol. 5000 zebraliśmy w przeciągu roku, od sierpnia 1923 do sierpnia 1924 r., przeważnie drobnemi datkami od Polaków amerykańskich. Wydawca tygodnika i dziennika *Ameryka Echo*, A. A. Paryski, złożył na ten cel dol. 1000. We wrześniu 1924 r. Komitet Stypendjalny Polsko-Amerykański został oficjalnie zorganizowany.

Działalność tego Komitetu ograniczyła się do udzielania wymiennych stypendjów dla studentów w Stanach Zjedn. i w Polsce. W pierwszym roku szkolnym swego istnienia, t. zn. 1924/25, Komitet udzielił dziewięć stypendjów studentom z Polski na studja

w Ameryce, każde w sumie po dol. 500 *plus* koszt karty okrętowej; a na rok następny 1925/26, ośm stypendjów dla studentów polskich (przeważnie tych samych) i jedno stypendjum dla Amerykanina, prof. Kelly, który studjował w Krakowie.

W międzyczasie stało się coś, co się zdarza, jak my tutaj w Ameryce mówimy, *once in a lifetime* — raz tylko w życiu. Już pod jesień roku 1925, Polacy zaczęli mówić o nadchodzącej 150-letniej rocznicy przybycia Tadeusza Kościuszki do Ameryki i o możliwości uczczenia tej rocznicy w jakiś konkretny sposób. Oczywiście, jak zwykle bywa na wychodźtwie amerykańskiem, posypały się jak z rogu obfitości różne projekty budowania pomników, tablic pamiątkowych i t. d. Aby uchwycić ten zapał w jakąś formę, która byłaby pomnikiem i dla Kościuszki i dla Wychodźtwa, a jednocześnie wyrazem ducha i idealizmu tego bohatera dwóch narodów, aby pozyskać do współpracy całe Wychodźtwo, Sekretarz Komitetu Stypendjalnego podał projekt, aby zbudować Kościuszce żywy pomnik w postaci fundacji naukowej — Fundacji imienia Tadeusza Kościuszki. I projekt ten przyjął się. Fundacja Kościuszkowska jest dziś dziełem dokonanem, względnie urzeczywistnienie projektów przyjętych dla zapewnienia jej rozwoju posunęło się już daleko.

Na samym wstępie powstała kwestja, czy Fundacja ma być instytucją ściśle polską, polsko-amerykańską, czy też amerykańską. Będąc wówczas młodszym i mniej doświadczonym, myślałem, że uda mi się wciągnąć do tej pracy t. zw. „liderów" (przywódców) Polonji — duchowieństwo, prezesów większych organizacyj polskich i t. d. — a za przywódcami pójdzie lud. To się nie udało. Trzeba było zacząć od Amerykanów. Przedewszystkiem udało mi się zdobyć rektora Vassar College, Dra MacCracken'a, który parę lat przedtem był w Polsce i został jej szczerym przyjacielem, oraz p. Vauclain'a, wybitnego przemysłowca amerykańskiego, prezesa dyrekcji fabryki lokomotyw Baldwina w Filadelfji. Tym dwóm Amerykanom należy się od Wychodźtwa i Polski uznanie, albowiem bez ich moralnej i finansowej pomocy sprawa albo nie udałaby się wcale albo tylko częściowo.

Z pośród celów Fundacji Kościuszkowskiej bliższych i dalszych wysuwa się na pierwszy plan sprawa zebrania miljona dolarów (dol. 1,000.000) na fundusz żelazny *(endowment fund)*, od którego tylko procent będzie po wsze czasy używany na cele właściwe, a mianowicie:

1. Udzielanie stypendjów studentom Polakom (z Polski) na studja uniwersyteckie w Stanach Zjedn.
2. Udzielanie stypendjów studentów Amerykanom, tak polskiego jak i niepolskiego pochodzenia, na studja uniwersyteckie w Polsce.
3. Wymiana profesorów pomiędzy Polską i Ameryką.
4. Umieszczanie polskich inżynierów w przedsiębiorstwach amerykańskich dla praktycznego zaznajomienia się z amerykańskiemi metodami pracy.

5. Utrzymywanie przy Fundacji biura informacyjnego — szczególnie dla turystów, studentów i uczonych. W tym celu stworzyć należy odpowiednią bibljotekę.

6. Stwarzanie — względnie pomoc w stwarzaniu katedr kultury i literatury polskiej przy uniwersytetach amerykańskich.

7. Ogłaszanie od czasu do czasu konkursów z nagrodami dla zachęcania studentów amerykańskich do studjowania przedmiotów polskich.

8. Wydanie, względnie pomoc w wydaniu, gruntownego dzieła o zasługach Kościuszki w Ameryce — ewentualnie dzieła o zasługach Polaków amerykańskich.

9 Zachęcanie studentów i turystów amerykańskich do zwiedzania Polski i zaopatrywanie ich w odpowiednią literaturę opisową.

10. Utrzymywanie biura propagandowego dla kontaktu z prasą amerykańską.

Program ten, zakreślony na dalszą metę, nie będzie mógł być wprowadzony w życie całkowicie do chwili zebrania potrzebnego funduszu. Od samego jednak początku istnienia Fundacja zrealizowała część wymienionych dezyderatów na mniejszą skalę. Przed streszczeniem dotychczasowej działalności Fundacji pozwolę sobie zwrócić jeszcze uwagę na dwie rzeczy, a mianowicie: 1) na organizację jej i 2) na źródła pokrywania kosztów jej utrzymania i funduszu żelaznego. Wedle zwyczaju, przyjętego przez analogiczne instytucje w Stanach Zjedn., Fundacja Kościuszkowska składa się z Dyrekcji czyli Rady Nadzorczej („Board of Trustees"), z której wyłoniony jest Zarząd, i z szerszego ciała reprezentacyjnego, t. zw. Rady Narodowej („National Council") z głosem doradczym.

W skład Dyrekcji wchodzą:

1. P. Willis H. Booth, wice-prezes banku Guaranty Trust Company of New York, jako skarbnik Fundacji.

2. Pułkownik Cedric E. Fauntleroy, organizator powietrznej eskadry kościuszkowskiej w Polsce.

3. Dr. John H. Finley, redaktor „New York Times".

4. P. A. L. Humhprey, prezes zakładów Westinghouse Electric and Manufacturing Co.

5. Dr. Henry Noble MacCracken, rektor Vassar College, prezes Fundacji od samego początku.

6. Prof. Stefan P. Mierzwa, b. profesor ekonomji politycznej w „Drake University" (Des Moines, stan Iowa), sekretarz i dyrektor wykonawczy od samego początku.

7. Dr. Paul Monroe, profesor pedagogiki w Uniwersytecie Columbia (N. York), wice-prezes Fundacji.

8. Mecenas C. W. Sypniewski, cenzor Związku Narodowego Polskiego w Stanach Zjedn.

9. P. Samuel M. Vauclain, prezes zakładów Baldwin Locomotive Works.

Jednym z fundatorów i członków dyrekcji był także prof. Robert Lord z Uniwersytetu Harvard, znany historyk i przyjaciel Polski, ale z powodu tego, że porzucił katedrę i wstąpił do seminarjum duchownego — usunął się on również i od innych obowiązków.

Rada Narodowa składa się z przeszło 80 osób, przedstawicieli różnych dziedzin życia, tak w Polsce, jak i w Ameryce.

Fundacja Kościuszkowska nietylko jest pierwszą i jedyną tego rodzaju instytucją, ale finansowana jest również w sposób Polonji amerykańskiej dotychczas nieznany. Postanowiliśmy zebrać jedną trzecią część miljona (w równej sumie dol. 350.000) od Wychodźtwa, a gdy kontyngent wyznaczony dla Polaków będzie zebrany, wówczas będziemy apelowali o dwie trzecie miljona (dol. 650.000) do Amerykanów. W międzyczasie grupa wybitnych i duchem społecznym owianych Amerykanów pokrywa wydatki bieżące — na utrzymanie biura, stypendja i t. d. — tak że każdy cent złożony przez Polonję amerykańską staje się częścią funduszu żelaznego. Sam p. Vauclain w przeciągu niespełna pięciu lat złożył na wydatki bieżące około dol. 25.000 i zdobył od swych przyjaciół Amerykanów prawie drugie tyle.

W chwili pisania tych słów (w kwietniu 1930 r.) Polacy amerykańscy zebrali na swój kontyngent około dol. 140.000, nadto przeszło dol. 12.000 znajduje się po różnych komitetach lokalnych i będzie niebawem przekazane do Centrali Fundacji. Największy datek, w sumie dol. 30.000, złożył Związek Narodowy Polski, w postaci 8-mio procentowych obligacyj Polskiej Pożyczki Państwowej, przynoszących dol. 2400 dochodu rocznego. Związek Narodowy Polski, który jest największą organizacją Polaków w Stanach Zjedn., złożył ogółem przez poszczególne „Grupy" i jednostki przynajmniej dwie trzecie zebranej sumy. Mimo to, wszystkie odłamy wychodźtwa polskiego w St. Zjedn. są w tem wspólnem dziele reprezentowane. Przynajmniej pół miljona osób przyczyniło się pośrednio lub bezpośrednio do zebrania wspomnianych dol. 150.000, w ofiarach od jednego centa do dol. 5.000. Największą ofiarę osobistą, w sumie dol. 5.000, złożył emigrant polski, zamieszkały w Nanticoke, Pennsylvania, p Emil Malinowski. Ośm osób i organizacyj złożyło po dol. 1.000 każda, około piętnaście po dol. 500, paręset po dol. 100, a resztę — t. zn. więcej niż połowę zebranej sumy — zebrali nasi wyrobnicy w ofiarach drobnych od jednego centa do dol. 5.

Cała akcja zbiórkowa opiera się na masach wychodźtwa, które budują to dzieło w przeświadczeniu, że nauka ludu — chociażby tylko wybrańców ludu — dokona cudu. Budują, czasem samorzutnie, samodzielnie czasem łącznie ze swymi przywódcami, a w wielu wypadkach nawet wbrew życzeniu tych ostatnich. Każda osada polska ma wyznaczony pewien umiarkowany kontyngent w proporcji jednego dolara od rodziny, względnie 20 centów od głowy. Idea Fundacji zrosła się z sercem i sumieniem wychodźcy polskiego. Rychlej lub później każda osada wyznaczony na nią kon-

tyngent zbierze. Przy lokalnych zbiórkach często można spotkać się z takiem charakterystycznem wyrażeniem: „Jak cię, bracie, podatek i śmierć nie minie, tak cię nie minie i obowiązek względem Fundacji Kościuszkowskiej".

Część planów i zamiarów na bliższą metę została już zrealizowana dzięki hojności i ofiarności wspomnianej powyższej grupy Amerykanów. Ta część działalności Fundacji obejmowała w porządku chronologicznym następujące sprawy:

1. Dnia 18-go października 1926 r. przypadła 150-letnia rocznica wstąpienia Kościuszki w szeregi armji amerykańskiej w randze pułkownika-inżyniera. W dniu tym w sali Memorial Continental Hall w Waszyngtonie, gdzie odbywają się wszystkie ważniejsze zebrania patrjotyczne w stolicy kraju, Fundacja urządziła akademję Kościuszkowską pod auspicjami Komitetu Narodowego, w skład którego weszli: gubernatorzy trzynastu pierwotnych Stanów, prezesi największych amerykańskich organizacyj patrjotycznych, oraz przedstawiciele rządu i społeczeństwa.

Przy powyższej okazji, za sprawą Fundacji, kilkunastu gubernatorów poszczególnych Stanów wydało proklamacje, wyznaczające dzień 18-go października jako „Kościuszko Recognition Day" („Dzień uznania Kościuszki"). W dzień tej uroczystości Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej raczył zaszczycić Fundację nadesłaniem telegramu, którego treść podana jest na wstępie niniejszego artykułu.

2. Również w roku 1926 Fundacja rozpisała konkurs dla studentów wyższych uczelni amerykańskich na temat: „Zasługi Kościuszki w historji Stanów Zjednoczonych". W konkursie tym wzięli udział studenci i studentki z 38 kolegjów i uniwersytetów z 19 różnych Stanów. Pierwszą nagrodę w sumie dol. 100 zdobył Amerykanin, student uniwersytetu chicagowskiego, p. Edward C. Ames. Drugą nagrodę w sumie dol. 50 zdobyła również Amerykanka, studentka kolegjum Randolph-Macon Women's College, p-na Florence L. Davies. Trzecią nagrodę w sumie dol. 25 zdobył Polak, wychowanek Kolegjum Związkowego i student uniwersytetu Stanu Ohio, p. Tadeusz Mosiejewicz.

3. W roku 1927 dnia 17 października przypadała 150-letnia rocznica zwycięstwa wojsk amerykańskich nad Anglikami pod Saratogą. Wobec tego, że Kościuszko, jako inżynier armji północnej, przyczynił się do tego zwycięstwa przez wybranie i umocnienie pozycyj, Fundacja przygotowała odpowiednio ilustrowaną broszurkę o życiu i czynach Kościuszki, ze szczególnem uwzględnieniem jego zasług pod Saratogą. Był to materjał gotowy dla nauczycieli względnie nauczycielek w szkołach publicznych. Na żądanie superintendentów (przełożonych) szkół, których się poprzednio zawiadomiło o możliwości nabycia tych broszurek bezinteresownie w ilościach żądanych, trzydzieści tysięcy (30.000) egzemplarzy zostało wysłanych do czterystu różnych miast prawie we wszystkich Stanach Unji i rozdanych nauczycielom przez ich przełożonych.

Niewątpliwie po raz pierwszy w historji Stanów Zjednoczonych setki tysięcy amerykańskich dzieci szkolnych dowiedziały się w jednym dniu od swoich nauczycieli o życiu i czynach Kościuszki.

Oprócz korzyści moralnych była i materjalna ta, że przy tej sposobności dzieci szkolne zebrały około stu tysięcy (100.000) centów jako zaczątek na ufundowanie specjalnego stypendjum im. Jerzego Waszyngtona pod egidą Fundacji Kościuszkowskiej. W formie praktycznej wyraziła się tu ich cześć dla Kościuszki i uwiecznienie przyjaźni, jaka łączyła Kościuszkę z Waszyngtonem. Pierwszym beneficjantem tego stypendjum jest student amerykański, p. Richard Wallis, abiturjent kolegjum Dartmouth, który już drugi rok studjuje w Uniwersytecie Jagiellońskim.

4. Reklama czyli „propaganda".

Wszystkie główne wiązadła życia amerykańskiego, we wszystkich jego objawach, oparte są na reklamie („publicity"). Począwszy od sprzedaży szczoteczki do zębów, a skończywszy na nabożeństwie kościelnem, Amerykanin wszystko ogłasza, a co nie jest dobrze ogłoszone — nie jest nic warte. Ameryka to wielki rynek, gdzie za pomocą żywego słowa i barwnej litery każdy wszystko zachwala Ogłasza się tutaj towar, ogłasza się „sprawy". Naród obcy, o którym w Ameryce najmniej się czyta, najniżej stoi w opinji publicznej, i odwrotnie.

Nie zaniedbała Fundacja Kościuszkowska przystosować się i do tych warunków. Przy każdej nadarzającej się sposobności zwracała uwagę w pismach i czasopismach amerykańskich na sprawę polską przez informowanie publiczności amerykańskiej o zasługach Kościuszki i o działalności Fundacji jego imienia. Dzięki tej charakterystycznie amerykańskiej akcji, w czterystu różnych dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach, w 43 różnych Stanach ukazało się przeszło tysiąc artykułów, artykulików i wzmianek o Kościuszce; cyrkulacja tych pism i czasopism sięga setek tysięcy i miljonów.

Jest to zaledwie początek tego, co należy robić na większą skalę i co Fundacja będzie z czasem robiła.

5. Wymiana studentów.

Ponieważ Fundacja odziedziczyła po Komitecie Stypendjalnym kilkunastu studentów i w związku z tem pewne zobowiązania finansowe, przeto wszyscy studenci przeszli od jesieni 1924 roku pod egidę Fundacji.

Ogółem Fundacja sprowadziła do Ameryki 29 studentów (w tem 9 studentek) z Polski i wysłała do Polski 6 studentów amerykańskich. Dwóch z tych ostatnich jest polskiego pochodzenia

Studenci polscy ukończyli lub uczęszczali do następujących wyższych uczelni w kraju:

Uniwersytet Jagielloński w Krakowie	6
Uniwersytet Warszawski	4
Uniwersytet Poznański	3
Akademja Górnicza w Krakowie	3

Uniwersytet Lwowski	2
Uniwersytet Wileński	2
Wyższa Szkoła Handlowa w Warszawie	2
Hochschule für Welthandel w Wiedniu	2
Politechnika Warszawska	1
Politechnika Lwowska	1
Mech.-Tech. Szkoła w Warszawie	1
Szkoła Pielęgniarstwa w Warszawie	1
Seminarjum Nauczycielskie w Przemyślu	1
Razem	29

Z wyjątkiem jednego, wszyscy studenci amerykańscy wybrali sobie Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Z wyjątkiem jednego „Warszawiaka", który się interesował inwestycją kapitałów amerykańskich w Polsce, wszyscy Amerykanie studjowali historję, sztukę i literaturę polską, oraz język polski.

Polacy natomiast studjowali w Stanach Zjednoczonych następujące przedmioty:

Administrację handlową	5
Administrację szkolną i pedagogję	5
Ekonomję	4
Inżynierję	4
Literaturę angielską	3
Nauki społeczne	3
Chemję	2
Bankowość	2
Pielęgniarstwo	1
Razem	29

W wielu wypadkach Fundacji udało się uzyskać od instytucyj amerykańskich stypendja, pokrywające czesne i pełne utrzymanie, zwłaszcza dla studentek, a w niektórych tylko zwolnienie od czesnego (które w Ameryce wynosi przeciętnie około dol. 300 rocznie).

Wysokość stypendjum Fundacji Kościuszkowskiej różni się i zależy od potrzeb. W najlepszym razie wynosi dol. 750 gotówką, czesne i koszt karty okrętowej w obydwie strony.

W akcji stypendjalnej Fundacja tu i ówdzie zawiodła się na pewnych studentach. Ale odsetek takich zawodów („failures") był względnie nieduży. Z wyjątkiem dwóch Polaków, o których nie mamy żadnej wiadomości, wszyscy, którzy powrócili do kraju, pracują z większem lub mniejszem powodzeniem w swych specjalnościach.

6. „Hejnalista Krakowski" w Ameryce.

Jednym z sześciu Amerykanów stypendystów Fundacji w Polsce był profesor Kelly. Przejął się on żywo nietylko tem, co naocznie widział w tej — jak często mawia — „kulturalnej stolicy Polski", ale również bogatą tradycją miasta Krakowa. Po powrocie do Ameryki napisał powieść p. t. *The Trumpeter of Krakow* („Hejnalista Krakowski"), która się spotkała z fenomenalnem powodzeniem wśród młodzieży. W roku ubiegłym Stowarzyszenie Bibljotekarzy Amery-

kańskich („American Library Association") przyznało profesorowi Kelly nagrodę, t. zw. „Newbery Medal" za „najpoczytniejszą powieść dla młodzieży z roku 1928" („for the most distinguished contribution to the literature for children in 1928"). Medal ten jest nadawany raz do roku autorowi amerykańskiemu za powieść, która nietylko jest najpoczytniejszą (nad czem głosują bibljotekarze kilku tysięcy bibljotek publicznych w Stanach Zjednoczonych), ale którą jednocześnie cechują wybitne wartości wychowawcze.

Do chwili napisania niniejszego artykułu (kwiecień 1930 r.) powieść ta doczekała się już 6-go wydania i rozeszła się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Ponieważ książkę zakupują przeważnie bibljoteki, gdzie dziesiątki a nawet setki młodzieży czyta każdy egzemplarz, przeto „Hejnalista Krakowski" z całem swem bogactwem tradycyj Krakowa i aureolą majestatu kultury polskiej, która otacza Uniwersytet Jagielloński, dociera do setek tysięcy młodzieży, do tych przyszłych obywateli i przewodników wielkiego narodu amerykańskiego.

Dzięki powodzeniu „Hejnalisty", jakoteż po części dalszej współpracy ze strony Fundacji, profesor Kelly napisał drugą książkę p. t. *The Blacksmith of Wilno* („Kowal Wileński"), która wyjdzie z pod prasy w jesieni r. b. W tej drugiej powieści autor wykazuje polskość Wilna, na stworzenie której składały się całe wieki wpływu kultury polskiej, przyczem podkreśla udatnie, że z Wilna wyszła najwspanialsza perła literatury polskiej — *Pan Tadeusz*. Z punktu widzenia wartości literackiej, zwięzłości myśli i sprężystości wyobraźni, „Kowal Wileński" winien mieć jeszcze większe powodzenie, niż „Hejnalista Krakowski". Obecnie prof. Kelly (który, nawiasem mówiąc, wprowadził studja nad literaturą polską w Dartmouth College, gdzie jest profesorem literatury angielskiej) pracuje nad trzecią powieścią, tematem której będzie Lwów i jego „orlęta".

Należy dodać, że za wspólnem staraniem profesora Kelly i Fundacji, firmy wydawnicze E. P. Dutton and Co. w Nowym Yorku i Dent Co. w Anglji, w tym roku wydały *Pana Tadeusza* w tłumaczeniu prof. Noyes'a z Uniwersytetu Kalifornijskiego, jako jedno z serji dzieł klasycznych popularnej bibljoteki t. zw. *Everyman's Library Edition*. W serji tej znajdują się dzieła klasyków angielskich i obcych, w tłumaczeniu na język angielski, lecz dla nieznanych powodów wydawcy ci nie uważali za wskazane *Pana Tadeusza* uznać za dzieło klasyczne. Wartość propagandowa dla literatury polskiej polega tutaj na tem, że dzieło włączone do tej serji, dzięki po części przystępnej cenie (80 centów zamiast dol. 2 lub dol. 3), rozchodzi się w wielkich ilościach. *Pan Tadeusz* jest pierwszem dziełem polskiem w tej serji wydanem.

7. Profesor Roman Dyboski — „pierwszy polski ambasador bez teki".

Koroną dotychczasowej działalności Fundacji Kościuszkowskiej było sprowadzenie profesora Dyboskiego na szereg odczytów o Pol-

sce w uniwersytetach amerykańskich, jako pierwszego wymiennego profesora z Polski pod egidą Fundacji. W przeciągu sześciu miesięcy od dn. 1-go października 1928 r. do 3-go kwietnia 1929 r., prof. Dyboski wygłosił przeszło dwieście wykładów, odczytów, przemówień i t. d w przeszło dwudziestu pięciu uniwersytetach i wyższych uczelniach amerykańskich, w dwóch uniwersytetach kanadyjskich, oraz na różnych zebraniach naukowych, patrjotycznych i towarzyskich. Wychodźtwo polskie, do którego również kilkakrotnie w różnych częściach kraju przemawiał, miało bodaj po raz pierwszy sposobność usłyszenia przedstawiciela kultury polskiej, „człowieka Nowej Polski", przemawiającego tak, że i serce mocniej biło i oko czasem zaperliło się, a odległość pomiędzy Chicago a Krakowem zdawała się kurczyć.

Dzięki współpracy z Fundacją grupy Związku Narodowego Polskiego zwanej „Chicago Society", prof. Dyboski wykładał przez cały trymestr zimowy w Uniwersytecie Chicagoskim, dając kurs zwyczajny literatury i historji polskiej.

W opinji profesorów i uczonych amerykańskich, którzy go mieli sposobność słyszeć, prof. Dyboski jest jednym z najbardziej popularnych prelegentów z wszystkich cudzoziemców i wymiennych profesorów, którzy odwiedzili Stany Zjednoczone w ostatnich kilkunastu latach.

Pojedyncze wykłady lub przemówienia w uniwersytetach innych miewał prof. Dyboski najczęściej na następujące tematy (ponieważ o te proszono go najczęściej): 1) „Dawna a nowa Polska", 2) „Podstawy Polski współczesnej", 3) „Problemy gospodarcze Polski współczesnej", 4) „Szkolnictwo polskie", 5) „Życie umysłowe, literatura i sztuka Polski współczesnej", 6) „Duch kultury polskiej", 7) „Wpływy polskie na Józefa Conrada-Korzeniowskiego", 8) „Piłsudski a Polska współczesna".

Prof. Dyboski był najskuteczniejszym propagatorem polskim, jakiego tylko można było sobie życzyć, a nawet wymarzyć. Jego gruntowna znajomość języka angielskiego i ducha anglo-saskiego, zdolność do przystosowania się do warunków w danej chwili, wymowa i erudycja, sposoby ujmowania tematów i zdobywania słuchaczów dla spraw polskich — były zawsze ulubionemi tematami komentarzy, gdzie tylko przemawiał. Amerykańscy profesorowie języka i literatury angielskiej zazdrościli mu jego angielszczyzny, specjaliści od różnych spraw międzynarodowych podziwiali wszechstronność jego wiedzy. „To nie chodząca encyklopedja, ale podróżujący uniwersytet", komentowali.

Zaaklimatyzowani w Stanach Zjednoczonych Polacy, przyzwyczajeni do kryterjów amerykańskich, powiadają, że: „tego, co on zrobił tutaj dla sprawy polskiej, nie kupić ani za miljon dolarów"; „jest on pierwszym polskim ambasadorem bez teki" i „tytanem propagatorów polskich". Niósł on wszędzie dostojeństwo kultury polskiej w sposób godny przedstawiciela nauki polskiej i prastarej

Wszechnicy Jagiellońskiej. Nie wychwalał swego, ani też nie ganił obcego; głosił tylko prawdę o Polsce.

Propagator w najlepszem tego słowa znaczeniu, ale nie popularyzator, nie zniżał się do tłumu — nawet do tłumu uniwersyteckiego — lecz logiką, siłą faktów i sposobem ujmowania rzeczy podnosił tłumy do swego poziomu.

Wśród Polonji amerykańskiej przyczynił się niezmiernie do zatarcia dawnych różnic partyjnych, które zamierają powoli i z trudem. Owiani jednaką myślą, wszyscy go słuchali z równem zainteresowaniem i entuzjazmem; bo mówił o Polsce całej, a nie o partjach, o posłannictwie narodu polskiego i wychodźtwa.

Polska młodzież uniwersytecka, niezbyt gorliwie afiszująca się swą polskością wobec kolegjów amerykańskich, a nawet polskich, po każdym takim wykładzie prof. Dyboskiego czuła się otoczona aureolą i, po przywitaniu się z prelegentem, z dumą mówiła, że ona również jest polską. Bardzo często studenci polscy w danej uczelni po raz pierwszy zetknęli się ze sobą na wykładzie prof. Dyboskiego — na który to odczyt poszli, ot tak z ciekawości, dla fantazji, ale usiedli w kąciku. Rezultat jest taki, że ci „Amerykanie polskiego pochodzenia" dziś skwapliwie czytają książki o Polsce — chociaż może w języku angielskim — bo się sami Polską zainteresowali, a ich koledzy Amerykanie chcą się więcej o Polsce od nich dowiedzieć.

Ceniąc wysoce pracę, jaką prof. Dyboski położył na terenie amerykańskim dla polskości, Dyrekcja Fundacji mianowała go swym oficjalnym reprezentantem na Polskę. Polscy studenci, kandydaci na stypendja Fundacji Kościuszkowskiej, winni też do niego zgłaszać się po informacje i odpowiednie wskazówki.

8. Polscy inżynierowie w przedsiębiorstwach amerykańskich.

Prócz wymiany studentów i profesorów Fundacja Kościuszkowska w roku ubiegłym rozszerzyła swój program działalności na teren bezpośrednio więcej „praktyczny", a mianowicie w kierunku umieszczania młodych inżynierów polskich w przedsiębiorstwach amerykańskich.

Ameryka jest krajem praktycznych idealistów. Tutaj jest nietylko ściślejszy i żywszy stosunek pomiędzy kulturą akademicką a światem przemysłu i handlu, lecz procesy ekonomiczne odbywają się w szybszem tempie. Stosunek człowieka do maszyny i pracownika do pracodawcy stworzył takie wyrazy, jak: „przemysłowa demokracja" albo „naukowa organizacja pracy". Cokolwiekby to oznaczało i jakikolwiekby wpływ miało na dobrobyt kraju, faktem jest, że przedsiębiorcza młodzież różnych krajów europejskich, a nawet azjatyckich, stara się zapoznać z amerykańskiemi metodami pracy. Prócz 10.000 studentów z zagranicy, studjujących w wyższych uczelniach amerykańskich, setki młodych inżynierów i przyszłych bankierów, przemysłowców i handlowców pracuje w różnych amery-

kańskich przedsiębiorstwach celem zdobycia praktyki. Zdaje się, że Niemcy mają ich najwięcej.

Dzięki współpracy Polsko-Amerykańskiej Izby Handlowej w Warszawie, która się zajęła sprawą wyboru kandydatów, oraz Ambasady Polskiej w Waszyngtonie, która pomogła Fundacji Kościuszkowskiej w uzyskaniu odpowiedniego zezwolenia od władz imigracyjnych, Fundacja uzyskała praktykę płatną dla dwunastu Polaków w takich przedsiębiorstwach, jak: General Electric Company, Guaranty Trust Company, Reading Railroad Company, Commonwealth Edison Electric Company w Chicago itp. Praktyka polega na tem, że dany praktykant ma sposobność pracować kolejno w różnych oddziałach i bezpośrednio zapoznawać się z metodami pracy.

Wobec ogólnego i żywego zainteresowania się młodych Polaków możliwościami otrzymania praktyki celem zapoznania się z amerykańskim „tayloryzmem", wskazanem jest przy tej sposobności dodanie kilku słów ostrzegawczych. Po pierwsze, Ameryka obecnie przechodzi przesilenie i o praktykę płatną jest bardzo trudno. Po drugie, nawet w najlepszych warunkach, trudno jest umieścić cudzoziemców w przedsiębiorstwach ściśle handlowych na stanowiskach kierowniczych, z braku kompletnej znajomości języka angielskiego i stosunków. Po trzecie, nawet w przedsiębiorstwach przemysłowych — gdzie o praktykę jest względnie łatwiej — praktykant nie znajdzie gotowej formułki na wydajną organizację danego przemysłu w kraju. Przedewszystkiem t. zw. „tayloryzm" (czyli naukowa organizacja pracy) jest prawdopodobnie w Polsce znacznie przeceniany Nie można również żywcem w kraju stosować amerykańskich metod produkcji na wielką skalę, gdyż w Stanach Zjednoczonych robotnik jest drogi, a maszyn poddostatkiem. A niestety, każdy prawie inżynier Polak chciałby się dostać do Forda! Każdy praktykant nie może również spodziewać się, że będzie dopuszczony tam, gdzie są robione wielkie plany, kalkulacje i kosztorysy, chociaż czasami i takie wypadki się zdarzają.

9. Liczba studentów polskiego pochodzenia w wyższych uczelniach amerykańskich.

Nikt nie mógł dotychczas liczby tej ustalić ściśle. Nasza (polsko-amerykańska) prasa albo rozpaczała, że studentów tych jest mało, albo się entuzjazmowała, że nowe pokolenia amerykańskie polskiego pochodzenia podbiją Amerykę, ale nikt nie posiadał konkretnych danych. Fundacja Kościuszkowska postanowiła je zdobyć. Ilu jest Polaków amerykańskich w uniwersytetach i uczelniach zawodowych amerykańskich? Gdzie i co studjują? Czy byli oni urodzeni w Polsce, czy w Ameryce? Czy i w jakim stopniu studenci ci utrzymują się sami? Ile jest dzieci w rodzinie danego studenta? Czy dany student jest pierwszym w rodzinie na uniwersytecie, czy go inni w rodzeństwie poprzedzili? W jakich szkołach otrzymali średnie wykształcenie? Oto ważniejsze pytania, na które Fundacja stara się znaleźć ścisłe odpowiedzi.

Nie jest to problem łatwy w warunkach amerykańskich. Brak jest centralizacji w wyższem szkolnictwie; liczba instytucyj jest znaczna (około 1000 różnych uniwersytetów, kolegjów i szkół zawodowych na poziomie rzekomo wyższym); władze szkolne nie mają albo nie chcą dać żądanych informacyj, polscy studenci w wielu wypadkach „zamerykanizowali" swe nazwiska ponad wszelką możliwość rozpoznania ich, a natomiast wiele nazwisk niepolskich brzmi po polsku i t. d.

W roku ubiegłym, 1928/29, odszukaliśmy zaledwie 339 studentów, w 52 instytucjach. W roku bieżącym, 1929/30, do m. kwietnia mamy statystyczne dane o 576 studentach, w 86 różnych instytucjach amerykańskich. W to nie są wliczeni studenci trzech kolegjów polskich, a mianowicie Kolegjum Związkowego, Jana Kantego i Orchard Lake, w których jest łącznie około 225, większość z których przygotowuje się do stanu kapłańskiego.

W uczelniach ściśle amerykańskich polscy studenci studjują lub przygotowują się do następujących zawodów:

Zawód	Liczba Studentów	Studentek	Razem
Medycyna	115	6	121
Pedagogika	46	39	85
Prawo	70	6	76
Inżynierja	72	—	72
Dentystyka	41	5	46
Farmaceutyka	24	3	27
Administracja handlowa	23	4	27
Chemja	10	3	13
Architektura	11	—	11
Rachunkowość	8	1	9
Muzyka	2	6	8
Filozofja	7	1	8
Nauki ścisłe	3	2	5
Sztuka	5	—	5
Nauki polityczne	4	1	5
Teologja	4	—	4
Psychologja	4	—	4
Bankowość	4	—	4
Leśnictwo	4	—	4
Bibljotekarstwo	—	4	4
Dziennikarstwo	3	1	4
Służba wojskowa	3	—	3
Ogrodnictwo pejzażowe	2	—	2
Handel zagraniczny	1	—	1
Organizacja rynków	1	—	1
Ekonomja	1	—	1
Gospodarstwo domowe	—	1	1
Dietetyka	—	1	1
Zawodowa nauka gry w piłkę polową (baseball)	1	—	1
Mechanika	1	—	1
Bakterjologja	1	—	1
Praca misyjna	1	—	1
Niezdecydowanych zawodów	16	4	20
Razem	488	88	576

Następujące dane mogą okazać się najbardziej interesującemi z punktu widzenia socjologicznego:

Z ogólnej liczby 576, 423 czyli 73% są pierwszymi z rodziny na uniwersytecie, 76 są drugimi, 32 trzecimi, 8 czwartymi 4 piątymi jeden szóstym, jeden siódmym, jeden ósmym i jeden dziewiątym. Dane odnośnie do miejsca urodzenia, tak samych studentów, jakoteż i ich rodziców, zasługują na uwagę. Z pośród 555 studentów (21 nie odpowiedziało na to pytanie), 488, czyli 88%, urodziło się w Ameryce, a 67, czyli 12%, w Polsce. 491 podało, że obydwoje rodzice urodzili się w Polsce (w tem 25 w innych europejskich krajach); 53: ojciec w Polsce a matka w Ameryce; 7: ojciec w Ameryce, matka w Polsce; a tylko w 15 wypadkach obydwoje rodzice urodzili się w Ameryce. Dziesięciu nie odpowiedziało na to pytanie. Ogromna większość rodziców to zwykli robotnicy; większość studentów utrzymuje się całkowicie lub częściowo własnemi siłami. Trzydziestu pięciu otrzymało stypendjum od uniwersytetu lub z innych źródeł.

Powyższe cyfry wskazują, że wychodźca polski, chociaż sam z kraju nie wywiózł nic albo bardzo mało, a w Ameryce musi ciężko pracować, to jednak dla dzieci swych pragnie wyższego wykształcenia i ocenia wartość nauki.

Powyższy obraz ma, niestety, i ciemniejszą stronę. Chociaż bowiem młodzież nasza wychodźcza spisuje się dzielnie, to jednak proporcjonalnie jest jej, niestety, mało. W Stanach Zjednoczonych, o ludności około 125,000.000, mamy w wyższych uczelniach prawie miljon młodzieży, t. j. stosunek 1 studenta na 125 mieszkańców. Wychodźtwo polskie obliczane jest maksymalnie na 4,000.000, a w uniwersytetach ma od 1000 do 2000 studentów obojga płci, czyli stosunek 1 studenta na 2000 dusz. Dla zachowania normy ogólno-amerykańskiej zamiast 2000 powinno być 32.000 studentów pochodzenia polskiego.

Kilkanaście lat temu sytuacja przedstawiała się, oczywiście, o wiele gorzej. Kroczymy więc w dobrym kierunku. Te dane, jakie biuro Fundacji zdobyło ze szkół średnich w większych centrach ludności polskiej, wskazują, że w szkołach średnich („High Schools", równające się poziomowi ewentualnie sześciu klas gimnazjum polskiego) frekwencja młodzieży polskiego pochodzenia wyraża się przynajmniej 50% w stosunku do ogółu ludności. Naprzykład w Hamtramck, Mich. (w „polskiem mieście"), gdzie na 100.000 mieszkańców jest 80.000 Polaków, na 2200 uczniów w różnych szkołach średnich jest przeszło 1700 młodzieży pochodzenia polskiego.

10. Fundacja Kościuszkowska uznana przez władze imigracyjne Stanów Zjednoczonych.

Przed rokiem 1929 procedura sprowadzenia studenta-Polaka była długa i uciążliwa. Nim otrzymał on wizę od konsula amerykańskiego na wyjazd poza t. zw. „kwotę imigracyjną", musiał wykazać się świadectwem przyjęcia od wyższej uczelni amerykańskiej,

figurującej na liście instytucyj, uznanych przez Ministerstwo Pracy. Po przybyciu do Stanów Zjednoczonych musiał zapisać się do uczelni, od której otrzymał zaświadczenie. Zaledwie kilka większych fundacyj, jak np. Rockefellera, było uznanych i miało prawo bezpośredniego wydawania certyfikatów przyjęcia studentom zagranicznym. Dzięki skutecznej współpracy jednego z Dyrektorów Fundacji, p. Vauclain'a, Fundacja Kościuszkowska w roku ubiegłym została uznana przez Ministerstwo Pracy Stanów Zjednoczonych jako instytucja naukowa uprawniona do wydawania takich certyfikatów studentom przyjeżdżającym pod jej egidą na studja do Ameryki. To ułatwia procedurę i stypendystom i Fundacji, i nie ogranicza nas w wyborze uczelni.

*

W artykule niniejszym starałem się skreślić ważniejsze czynności Fundacji oraz zwrócić uwagę na nasze projekty i zamiary, jakoteż i na pewne korzyści dla sprawy polskiej. Nie da się natomiast określić wartości Fundacji jako czynnika wychowawczego, jako szkoły społecznej w życiu wychodźtwa polskiego w Stanach Zjednoczonych. Dotychczas wychodźca nasz patrzał na Polskę jako na niewolnicę, a później na żebraczkę, którą trzeba ratować od głodu i nędzy. Jej walorów kulturalnych nie oceniał, gdyż ich nie znał. Jeżeli budował pomniki na cześć Jej wielkich synów, to budował pomniki martwe, z marmuru lub ze spiżu.

Fundacja Kościuszkowska, prócz działalności, o których mowa, przyczyniła się w niemałej mierze do tego, że wychodźca ten zaczyna myśleć o Polsce jako o tej, która może jemu i Ameryce dać coś również wartościowego. Zaczyna myśleć o innych, „żywych" już pomnikach, zaczyna wysyłać dzieci swe do Polski na dalsze studja lub przynajmniej z wizytą, zaczyna już mówić o fundowaniu katedr literatury polskiej w uczelniach amerykańskich, a nawet i działać w tym kierunku, a przedewszystkiem na cześć Kościuszki, na chlubę całego wychodźtwa — dla dzieci swoich i dzieci tych dzieci — buduje Fundację Kościuszkowską.

New York, w kwietniu 1930

KRONIKI

KRONIKA ZAGRANICZNA

Karol II. — Złoto francuskie i mowy włoskie. — Nowa taryfa Stanów Zjednoczonych A. P.

1

Eskapada lotnicza, którą podjął książę Karol rumuński, aby na tron powrócić, jak również utrzymanie pełni legalnych form, w której się przejęcie władzy odbyło, jest próbą niezwykle zręcznej reżyserji przy przeprowadzaniu zamachu stanu. Bez czynnej pomocy i współdziałania ówczesnego rządu nie byłaby ona oczywiście możliwą. To też nie wypiera się tego p. Maniu. Z punktu widzenia stronnictwa i prądów, które reprezentuje, jest jego postępowanie najzupełniej zrozumiałe. Maniu zawsze uważał za swą najważniejszą misję wyzwolenie Rumunji raz na zawsze z pod reżimu, który jej narzuciło stronnictwo liberalne i „dynastja" Bratianu. Ledwie maskowany despotyzm i poświęcenie nielicznej burżuazji interesów 13-miljonowej ludności wiejskiej były najbardziej charakterystycznemi cechami tych rządów. Trwałość miało im zapewnić usunięcie od następstwa tronu księcia Karola, który w przeciwieństwie do swego ojca nie zdradzał skłonności poddawania się bez zastrzeżeń woli wszechpotężnych doradców. Awanturniczy tryb życia, który młody książę prowadził, dostarczył jak wiadomo całej tej intrydze bardzo wygodnych pozorów.

Tymczasem równoczesna prawie śmierć króla Ferdynanda i samego Jonela Bratianu rychło przekreśliła misterne plany, które był ułożył. Jego brat i następca w urzędzie nie umiał zapobiec rewolcie chłopów, którzy na tłumnym zjeździe w Alba Julia (maj 1928) i przy następnych wyborach zgotowali rządom liberalnym niesławny koniec. Intrygi liberalnych przywódców, którzy w królowejmatce i w Radzie Regencyjnej, zawdzięczającej im swe powstanie, znajdowali podatne i skuteczne narzędzie, nie pozwalały jednak wróżyć siły i trwałości rządom narodowej partji chłopskiej, które sprawował p. Maniu. Nic dziwnego, że obawa przed wspólnym wrogiem kazała mu szukać oparcia u byłego następcy tronu.

Odzyskawszy tron dzięki takiemu układowi sił politycznych, nowy król — może nawet wbrew swej woli — stanie się eksponentem mas chłopskich wobec liberalnej burżuazji. Monarcha, któremu opinja publiczna w kraju ma tyle zapomnieć, zawsze będzie w wysokim stopniu zależny od kół, które go na tron wyniosły. Objawem tej nieuniknionej zależności jest choćby fakt, że Maniu, któremu król ponownie utworzenie rządu powierzył, wbrew jego

życzeniom nie umiał czy może nie chciał stworzyć rządu szerokiej koncentracji, zadawalniając się większością, zresztą bardzo znaczną, którą mu daje jego własne stronnictwo. Z drugiej strony niezwykły sposób, którym Karol tron odzyskał, a nawet wynikająca stąd jego niezaprzeczona popularność, czyni go bardziej od innych konstytucyjnych monarchów odpowiedzialnym wobec opinji za losy, które jego panowanie Rumunji zgotuje. Spełnienie pokładanych w nim nadziei zawisło zaś w największej mierze od tego, jak właśnie dzisiaj poprowadzi politykę zagraniczną swego kraju oraz czy zdoła skutecznie złagodzić skutki gospodarczego kryzysu, który w kraju o strukturze wybitnie rolniczej daje się podwójnie ciężko we znaki.

Trzeba zresztą stwierdzić, że w dzisiejszych warunkach te dwie dziedziny polityki są w państwach południowo-wschodniej Europy bardzo ściśle ze sobą związane. Cierpiąc jak one wszystkie na dotkliwy brak kapitałów, może Rumunja pomnożenia ich spodziewać się tylko od finansowej pomocy zagranicy, której obecnie jedynie Francja jest w stanie udzielić. Do przeprowadzenia tego rodzaju operacyj jest Francja tem więcej gotowa, że jak przed wojną tak i dziś stara się złotemi filarami podeprzeć sklepienie swych polityczno-wojskowych sojuszów. Usiłowania te prowadzi ze zdwojoną energią, odkąd coraz ostrzejszy zatarg z Włochami każe jej wysoko cenić każdego sprzymierzeńca. Przytem jest Bukareszt tym właśnie punktem, gdzie walka o wpływy między Francją a Włochami toczy się najdawniej (od r. 1927). Choć twierdzą nastrojów frankofilskich było zawsze stronnictwo liberalne, dziś zapewne na długi czas odsunięte od władzy, choć stanowisko Francji w sprawie reparacyj wschodnich wywołało w Bukareszcie — podobnie jak i w Pradze — pewne rozczarowanie, sfery rządzące, z królem na czele nie mogą w żadnym razie ryzykować wyraźnej opcji za Włochami. Przedewszystkiem w orbitę wpływów francuskich wciąga Rumunję sojusz z Polską, niezbędny z uwagi na niebezpieczeństwo rosyjskie, który w myśl wyraźnych zapowiedzi samego króla będzie i nadal utrzymany. Powtóre w rumuńskiej polityce zagranicznej niema zaiste miejsca na hasło rewizji traktatów, którem tak lubią kokietować włoscy mężowie stanu. Wreszcie, wracając do naszego punktu wyjścia, raz jeszcze stwierdzamy, że mimo wszelkich ponętnych stron, które dla Rumunji sojusz z Włochami może przedstawiać, nie dysponują one temi co Francja środkami, aby odpowiednio ozdobić jego gospodarczą stronę.

2

I w innych stolicach naddunajskich krajów, tam nawet, gdzie dotąd wpływy włoskie były wyłączne, kapitał francuski zaczyna torować drogę politycznemu zbliżeniu. W oczywistym związku z tem pozostaje podróż, którą niedawno odbył po Europie środkowej i południowo-wschodniej p Loucheur, potentat finansowy i półurzędowy rzecznik Paneuropy Brianda. Znamiennem jest niezwykle

życzliwe przyjęcie, które mu wszędzie — poza jedną Pragą — zgotowano; dowodzi to, jak bardzo Francji zależy na rozszerzeniu swych stosunków poza obręb Małej Ententy.

W Austrji już poprzednio owacyjne niemal przyjęcie, którem Paryż zaszczycił Schobera, jak również pożyczka, którą tamże uzyskał, przygotowały grunt dla zacieśnienia przyjaznych węzłów. Objawem tego jest m. i. rozbrojenie Heimwehry, które po uciążliwych debatach Rada Narodowa wreszcie uchwaliła, a także wydalenie jej szefa sztabu majora Pabsta. Cała ta bojówką pozostawała bowiem pod wyraźnym wpływem faszystów włoskich, na co wskazuje chociażby fakt, iż Pabst bez namysłu udał się do Włoch, gdzie też znalazł gościnne azylum. Wewnętrzna konsolidacja Republiki Austrjackiej i dobre stosunki z jej rządem przedstawiają dla Francji i tę również korzyść, że najskuteczniej zapobiegają szerzeniu się idei wszechniemieckiej i wszelkim wysiłkom przyłączenia do Niemiec.

Podobną zmianę można obserwować w polityce francuskiej w stosunku do Węgier. Wydaje się rzeczą niewątpliwą, że projekty przywrócenia monarchji, które przybierają tam coraz bardziej wyraźne kształty, nie spotykają się już dzisiaj w Paryżu z tak ostrym jak dawniej sprzeciwem. Tłumaczy się to zapewne nadzieją, że w zamian za uznanie jego władzy będzie można od Habsburga zażądać wyrzeczenia się — na jakiś czas przynajmniej — rewizjonistycznych zapędów.

Wobec tych licznych objawów dyplomatycznej walki Francji i Włoch, wizyta min. Grandiego w Warszawie zyskuje tem większą wagę. Tłumaczenie, że była ona tylko aktem dyplomatycznej kurtuazji, niczego nie wyjaśnia; rząd włoski miał przecież dwa lata czasu, aby oddać wizytę złożoną w Rzymie przez min. Zaleskiego i właśnie wybór obecnej chwili musi nasunąć przypuszczenie, że był celowy. Zresztą i nasz rząd miał dzięki temu okazję podkreślić, że utrzymując nadal tradycyjną linję polskiej polityki zagranicznej, która Warszawę łączy z Paryżem, nie pragnie w niczem przyczynić się do wzmocnienia któregokolwiek z obozów, które rywalizacja obu mocarstw stwarza w środkowej i wschodniej Europie. Choć trudno przypuścić, aby min. Zaleski za swym ostatnim pobytem w Paryżu był otrzymał wyraźną misję pośrednictwa, to jednak okoliczność, że najpotężniejszy sojusznik Francji utrzymuje także z Włochami przyjazne stosunki, może z czasem wpłynąć na stępienie ostrza tego konfliktu, który dzić bardziej bezpośrednio niż jakikolwiek inny zagraża pokojowi europejskiemu.

Senacka mowa Grandiego, wygłoszona przed samym jego wyjazdem do Warszawy, dowiodła wprawdzie, że i dyplomacji włoskiej nastroje pojednawcze nie są całkiem obce. Mimo to jednak poprzednie bojowe wystąpienia Mussoliniego nie mogły przejść we Francji bez wrażenia. Jak dalece było ono głębokie, dowodzą dość sensacyjne debaty, prowadzone przez komisję budżetową Izby francuskiej nad zużytkowaniem rezerw skarbowych, które z 17 miljardów

frs. z końcem zeszłego roku stopniały obecnie do 5 miljardów frs. Choć gabinet nie udzielił dotąd wyczerpujących wyjaśnień co do przeznaczenia brakujących 12 miljardów frs., zdaje się nie ulegać wątpliwości, że znajdą one — względnie już znalazły — korzystną lokatę w fortyfikacjach południowo-wschodniej granicy.

3

Kongres amerykański uchwalił niedawno nową taryfę celną, która wysokością swych stawek bije wszelkie dotychczasowe rekordy; zresztą i dotąd zdobywał je zawsze ustawodawca Stanów Zjednoczonych. Protestów i gróźb represyj ze strony największych państw europejskich nie brak; szczególnie silne są one we Francji, gdzie jeden z dzienników wystąpił z następującym apelem: „zróbmy przyjemność Amerykanom; nie kupujmy ich towarów, a pomożemy w przeprowadzeniu ich zupełnej gospodarczej izolacji, do której dążą". Tymczasem bojkot Ameryki nie może być skutecznym środkiem walki na dłuższą metę, dopóki państwa europejskie prowadzą między sobą przy pomocy wysokich ceł zażartą walkę, łagodzoną tylko w drobnym stopniu przez traktaty handlowe. Producenci europejscy, dysponując wskutek tego bardzo ograniczonemi rynkami zbytu i zużywając najlepsze siły na wzajemne zwalczanie się w ich obrębie, nie są w stanie prowadzić skutecznej walki konkurencyjnej z Amerykaninem, dostarczającym swych towarów bez cła dla 120 miljonów ludzi.

Obawiamy się jednak, że i ta ponownie występująca konieczność solidarności europejskiej nie zdoła przekonać wszechwładnych w naszych gabinetach zwolenników protekcjonizmu o niewłaściwości jego metod, które od dziesięciu lat nikomu zaiste nie przyniosły spodziewanych korzyści. Boć mimo to ciągle jeszcze odzywają się głosy dające wyraz wierze, że nawet w krajach pod względem przemysłowym tak zapóźnionych, jak Polska, uda się w cieplarnianej atmosferze protekcjonizmu rozwinąć wszelkie możliwe gałęzie przemysłu, zdolnego do życia nawet bez subwencyj. Tą wiarą tłumaczy także zapewne nasz rząd odmowę ratyfikowania konwencji antyreglamentacyjnej, która wobec tego wogóle w życie nie wejdzie. Trudno nie zapytać, pocośmy w takim razie brali udział w odnośnej konferencji, a nawet podpisywali konwencję. Tyle głosów, bardziej od naszego powołanych, krytykowało to odmowne stanowisko Polski, że nie będziemy ich treści powtarzać. Co prawda na obronę naszej czysto merkantylistycznej polityki handlowej przytacza się często względy na narodowe bezpieczeństwo. Tym argumentem można rzeczywiście wiele wytłumaczyć; gdy się nim we wszystkich siedzibach życia gospodarczego jeszcze bardziej przejmiemy, doprowadzimy nawet nasz kraj do tego stanu idealnego bezpieczeństwa, którym wobec złodziei cieszy się człowiek wyzuty z wszelkich dóbr ziemskich.

Henryk Dembiński

Kraków, 25 czerwca 1930.

KRONIKA POLITYCZNA

I

Swoisty układ sił politycznych w Polsce, jaki się w ostatnich miesiącach bardzo wyraźnie zarysował, da się określić następująco: istnieje z jednej strony silna, względnie jednolita, stosunkowo zwarta grupa opowiadająca się za obecnym reżimem, to jest Bezpartyjny Blok. Z drugiej strony zaś istnieje nieco od Bezpartyjnego Bloku liczniejsza, natomiast mniej jednolita i mniej zwarta grupa, określana nazwą „Centrolewu", a oprócz niej istnieją inne, już zupełnie luźne grupy opozycyjne, to jest Stronnictwo Narodowe oraz poszczególne grupy mniejszości narodowych.

Co w tej sytuacji jest nowego? Nie jest niczem nowem istnienie i zwartość Bezpartyjnego Bloku. Z początku jedynie wspólna lista wyborcza, przekształcił się Bezpartyjny Blok odrazu w jednolity klub parlamentarny a następnie zaczął tworzyć dla tego klubu jednolitą podbudowę organizacyjną w całym kraju. To zjawisko rozwija się stopniowo od chwili ukonstytuowania się obecnego parlamentu i w jego ewolucji nie zaszło nic nowego. Pewne niezadowolenie w ostatnich miesiącach, jakie ta ewolucja zdaje się wywoływać w radykalno-demokratycznym odłamie Bloku, wskazywałyby może, że ewolucja stała się za mało dyskretną, lub też tempo jej stało się za szybkie. Nie należy jednak tego niezadowolenia przeceniać, gdyż nie należy zapominać, że Bezpartyjny Blok nie jest kierownikiem rządów, lecz jest raczej swego rodzaju organem rządu, czemś zaś zupełnie innem byłaby opozycja w gronie przywódców, niż opozycja w gronie wykonawców, odkomenderowanych do spełnienia pewnego ściśle określonego czy też może nieściśle określonego, ale w każdym razie ograniczonego zadania.

Natomiast zaszły w ostatnich miesiącach daleko posunięte zmiany po stronie przeciwnej. Zmiany te ujawniły się przedewszystkiem w powstaniu i rozwoju „Centrolewu". Zmiany polegają na tem, że luźne dotychczas porozumienie przedstawicieli parlamentarnych stronnictw lewicy i centrum zaczęło się stawać porozumieniem coraz ściślejszem, że przedstawiciele ci zaczęli uzgadniać swoje stanowisko w pewnych kwestjach programowych. Dalej, że zaczęli ujawniać na zewnątrz to uzgodnienie swego stanowiska w pewnych wspólnych deklaracjach. Wkońcu w tem — i tu leży najważniejsza zmiana — że przestali ograniczać to uzgodnienie do swego grona, do grona przedstawicieli parlamentarnych klubów lewicy i centrum, ale że uzgodnienie to przedstawili do zatwierdzenia na wspólnem zebraniu swoim przyjaciołom politycznym w kraju, to jest swoim członkom i sympatykom. I na tem polega znaczenie Kongresu „Centrolewu". Kongres „Centrolewu" stał się manifestacją sojuszu nietylko posłów i senatorów „Centrolewu", miał być manifestacją sojuszu również wyborców tych posłów, a więc manifestacją porozumienia nietylko w parlamencie, ale także

w terenie. Tak posunięta naprzód współpraca wywołuje pewne skutki — zamierzone i niezamierzone.

Pierwszym takim skutkiem jest wyraźniejsze niż dawniej odcięcie się „Centrolewu" od innych grup opozycji. Jest to skutek zapewne niezamierzony. Ale nieuniknionem jest, że w miarę jak posłowie Korfanty i Lieberman stają się sobie bliscy — staje się im obcem to wszystko, co jest poza nimi i co nie przeszło tej samej, co oni, ewolucji. A więc stronnictwom Centrum staje się obcy ich dawny sprzymierzeniec z prawej strony: Stronnictwo Narodowe, a P. P. S. oddala się od tych grup, w których niegdyś szukała sojusznika — od demokratycznych grup mniejszości narodowych. Symptomem tego jest choćby fakt, że w chwili, gdy Druga Międzynarodówka zyskuje w Polsce nową podporę w socjalistach żydowskich Bundu — P. P. S. nie szuka kontaktu dla opozycji wobec reżimu u swoich żydowskich kolegów z Internacjonału, lecz u antysemickiej Chadecji. I skutek ten widoczny jest dla czytelnika prasy mniejszościowej, choćby w chłodnem stanowisku prasy żydowskiej wobec Kongresu „Centrolewu".

Drugim z kolei skutkiem jest to, że Stronnictwa Lewicy i Centrum tracą stopniowo prawo do przemawiania w imieniu całej jednolitej opozycji. Skoro się opozycja różnicuje, to musi się pogodzić z tem, że przestanie się ujmować sytuację w Polsce w formułę: z jednej strony Rząd, z drugiej opozycja, lecz zacznie się mówić: z jednej strony Rząd, z drugiej „Centrolew"; z jednej strony Rząd, z drugiej Stronnictwo Narodowe i t. d. Znowu prasa mniejszości narodowych, żydowska zwłaszcza, ujęła trafnie ten skutek powstania „Centrolewu", pisząc: nie jest to (Kongres „Centrolewu") protest większości parlamentarnej przeciw rządom mniejszości, lecz jest to jedynie protest mniejszości parlamentarnej przeciw innej mniejszości parlamentarnej.

Trzecim wkońcu skutkiem zdaje się być, iż decyzja zaczyna się przesuwać z rąk przywódców „Centrolewu" w ręce ich wyborców. Nie decyzja co do tego, kto będzie rządził w Polsce. Nikt, zdaje się, z przywódców „Centrolewu" nie sądzi, by ta decyzja mogła w jakimś niedługim okresie czasu przejść w ręce opozycji Ale decyzja co do tego, czy pożądanem jest tak ścisłe współdziałanie stronnictw Lewicy i Centrum. Do tej chwili współdziałanie to było ograniczone do terenu parlamentu i grupy parlamentarzystów i parlamentarzyści ci nie potrzebowali niczyjej aprobaty w sprawie tego współdziałania, w każdym razie mieli czas do czekania na tę aprobatę aż do wyborów Z chwilą, gdy zdecydowano się na zwołanie Kongresu „Centrolewu", oddano aprobatę w sprawie tego współdziałania w ręce szerokich mas. Dlatego też sądzę, że odpowiedź na pytanie: czy Kongres „Centrolewu" się udał, leży w tym punkcie. Nie w kwestji: czy rezolucje Kongresu wywołają jakieś praktyczne skutki. Nie w kwestji: czy Kongres potrafił obalić Rząd, a przynajmniej zachwiać Rządem. Takich zamiarów Kongres, zdaje

się, nie miał. Odpowiedź na to pytanie leży natomiast w kwestji: czy zebrani na Kongrésie zaaprobowali wspólną politykę stronnictw Lewicy i Centrum i czy poprą w kraju tę politykę.

Można sobie naturalnie uprościć odpowiedź na to pytanie; wszak zebrani przyjęli jednomyślnie przedłożone im rezolucje. Ale to byłoby uproszczenie. Idzie przecież nie o to, czy zebrani przyjęli to, co im do uchwalenia przedłożono, ale o to, czy zebrani znaleźli w sobie dość entuzjazmu, by w wspólnej dalszej pracy zapomnieć o dzielącej ich przeszłości i dzielących ich różnicach. Dziś byłoby może przedwczesnem szukanie odpowiedzi na to pytanie. Dwa fakty: absencja jednej z grup „Centrolewu" w wiecowej części Kongresu oraz dysproporcja między liczebnością socjalistycznych a włościańskich uczestników Kongresu wskazują może na kierunek, w jakim dadzą tę odpowiedź najbliższe miesiące.

II

Na wzrost jednolitości „Centrolewu" wpłynął z pewnością również przebieg sprawy połączenia stronnictw chłopskich. W sprawie tej zaszły ostatnio następujące trzy, ostatecznie ją na najbliższy okres czasu likwidujące wypadki: Stronnictwo Chłopskie uchwaliło apel do obu innych stronnictw włościańskich, wzywający je do połączenia się natychmiast, bez uzgodnień programowych. Na apel ten odpowiedziało szybko „Wyzwolenie", iż woli jednak wpierw uzgodnić programy, a na krakowskim Kongresie „Piasta" oświadczył, już po tej odpowiedzi „Wyzwolenia", pos. Wincenty Witos, iż stronnictwo jego połączy się natychmiast z innemi w jedno stronnictwo chłopskie, o ile inne wyrażą na to zgodę. Gdy dodamy, że równocześnie w wyborach uzupełniających do Sejmu Stronnictwo Chłopskie ostro i skutecznie zwalczało „Wyzwolenie", odbierając mu szereg mandatów poselskich, a „Wyzwolenie" w swym organie prasowym ostro i bezwzględnie atakowało pewnych przywódców Stronnictwa Chłopskiego — to można się odważyć na konkluzję: nie należy się spodziewać zjednoczenia stronnictw chłopskich, nie grozi więc ani konkurencja „Centrolewowi", ani secesja chłopskich elementów tym grupom, które posiadają wyborców chłopskich a do Bloku Chłopskiego nie weszły.

III

Jakżeż określić sytuację rządu w tym układzie sił? Rząd posiada możność paraliżowania każdej (w ramach prawa pozostającej) inicjatywy stronnictw opozycji; swoboda inicjatywy rządu (pozostającej w ramach prawa) jest niezwykle ograniczona, jak długo rząd nie posiada większości w parlamencie a równocześnie wyklucza jakiekolwiek porozumienie z którąkolwiek z grup opozycyjnych. Nie należy się spodziewać, by rząd posiadł większość w parlamencie przy najbliższych wyborach. Należy również pamiętać, że z każdym miesiącem trudniej jest mówić o możliwości kompromisu między reżimem a którąś z grup opozycyjnych. Opozycja nie jest zdolna

do objęcia rządów; reżim jest coraz mniej zdolny do swobodnego rządzenia. Jakież więc wyjście z trudnej sytuacji? Jedni przypominają, że reżim powstał nie w ramach prawa, ale z woli rewolucji. Inni oczekują wyborów do Sejmu w bliskiej już przyszłości.

Konstanty Grzybowski

NOWE WYDAWNICTWA

Z LITERATURY PODRÓŻNICZEJ

Jan Rostafiński, *Autem i arabą przez Anatolję.* Warszawa 1929

Polska literatura podróżnicza wykazuje w ostatnich latach znaczne ożywienie. Podróżowanie było u wielu autorów bezpośredniem następstwem wojny (służba wojskowa, internowanie w odległych stronach, powrót czy ucieczka z niewoli i t. p.), u innych nastąpiło jako reakcja na dokuczliwe skrępowanie swobody w latach powojennych. Szerokie koła czytającej publiczności biorą dziś chętnie do ręki książkę podróżniczą, by sobie stworzyć przynajmniej iluzję wolności, w rzeczywistości tak bardzo ograniczonej i biedą ogólną i naszym swoistym chińskim murem paszportów, wiz i przepisów celnych.

Dosyć poczesne miejsce zajmuje wśród tej literatury Wschód bliższy, muzułmański, łączący w sobie urok pewnej egzotyczności z większą zrozumiałością, niż naprzykład pojęciowo tak nieprzystępne dla nas Indje, czy też Wschód daleki. Po Azji środkowej (podróże generała Grąbczewskiego), Persji (F. Goetel, *Przez płonący Wschód*), Egipcie (m. i. tegoż autora *Egipt*), Syrji (m. i. Jan St. Bystroń, *Wspomnienia syryjskie*), przyszła ko ej na Anatolję, najbliższą nam, a jednak w tym szeregu ostatnią.

W wydawnictwie M. Arcta *Biblioteka podróży egzotycznych* pojawił się opis podróży głównie po zachodnich częściach Anatolji, pióra J. Rostafińskiego. Autor, profesor hodowli zwierząt w Szkole głównej gospodarstwa wiejskiego w Warszawie, odbył swą podróż, o ile się można domyśleć z książki, z końcem r. 1924, w misji specjalnej. Jednakowoż właściwy zawód autora zaznacza się w książce nader rzadko, przedewszystkiem zajmuje go krajobraz, ludzie, ich życie i charakter narodowy, zagadnienia społeczne i polityczne, a już najbardziej proces przeobrażania się dawnej Turcji w państwo nowoczesne pod rządami Kemala Paszy.

Autor ma żywy, choć nieco chaotyczny sposób opowiadania, szeroki zakres zainteresowań i duży dar spostrzegawczy, to też książkę jego możnaby z radością powitać — gdyby nie pewne strony, wywołujące zastrzeżenia. A że zastrzeżenia te nie samej tylko książki prof. Rostafińskiego dotyczą, ale już nieraz przedtem nasuwały mi się podczas lektury niektórych opisów podróży po bliższym Wschodzie, dlatego zatrzymam się przy nich nieco dłużej, niżby było potrzebne, gdyby o jeden tylko wypadek chodziło.

Bardzo często się zdarza, że autor podróży zwiedza opisywane przez siebie kraje po raz pierwszy w życiu i że przedtem nie wchodziły one zupełnie lub tylko w bardzo nieznacznym stopniu w zakres jego zainteresowań. Taki stan rzeczy przedstawia z jednej strony dużo zalet: pozwala spojrzeć na świat i ludzi oczyma nieuprzedzonemi, zapewnia świeżość i bezpośredniość wrażeń, usuwa niebezpieczeństwo przeciążenia opisu podróży erudycją, niekiedy nudną i ciężką, jak to zdarza się spotkać w opisach współczesnej Grecji u filologów klasycznych. Z drugiej strony jednak kryje w sobie taki stan rzeczy także poważne niebezpieczeństwa: zbyt pierwotny stosunek do otaczających faktów, pozbawiony wszelkiego śladu podejścia historycznego, niepotrzebne łamanie sobie głowy nad tłumaczeniem zjawisk dawno wyjaśnionych, a w następstwie tego albo wyważanie drzwi otwartych i odkrywanie Ameryki, albo też podawanie wyjaśnień fałszywych, wreszcie przyjmowanie za dobrą monetę bredni pierwszego lepszego krajowca, władającego obcym językiem i dzięki temu służącego podróżnikowi, nieznającemu języka krajowego, za tłumacza i informatora.

W Turcji w szczególności stanowi duże niebezpieczeństwo zadawanie się ze sferami lewantyńskiemi, łatwiej dostępnemi dla cudzoziemca, niż Turcy, ale mimo swego pozornego zaaklimatyzowania przecież obcemi Wschodowi. Przestając z niemi, podróżnik mimowoli i nieświadomie nasiąka ich poglądami i bezwzględnie pesymistycznem nastawieniem w stosunku do kierunku, panującego obecnie w Turcji.

Brak przygotowania teoretycznego w zakresie historji kultury prowadzi często do nieświadomego i mimowolnego ulegania szablonowi, jaki się utarł oddawna w opisach Wschodu, a który z siłą bezwładności narzuca się i czytającej publiczności i autorom niedość przygotowanym i samodzielnym. Zwłaszcza jeżeli podróż jest przygodna i trwa tylko niedługi czas, niebezpieczeństwa te stają się szczególnie groźne — oczywiście dla istotnej wartości książki, ale bynajmniej nie dla jej poczytności i powodzenia u nakładcy i krytyki, bo tu rzecz przedstawia się często wręcz przeciwnie.

Trzeba wielkiej rozwagi, czujnego samokrytycyzmu, sumiennego uświadamiania sobie granic własnej kompetencji, poczucia złożoności psychiki ludzkiej i zjawisk społecznych, tudzież wrodzonego sceptycyzmu w stosunku do ujęć zbyt uproszczonych, by tych wszystkich niebezpieczeństw uniknąć.

Po tych kilku uwagach ogólnych przejdę do przykładów, z natury rzeczy takich, które mi najlepiej tkwią w pamięci, a więc z świeżo przeczytanej książki.

Kto nie zna pisma arabskiego, temu trudno nawet ocenić, czy ma przed sobą napis w języku arabskim, perskim, czy tureckim, nie mówiąc już o tem, że treść napisu pozostaje dla niego niezrozumiałą. Moglibyśmy tedy zapytać, skąd autor, który nie zna pisma arabskiego, ile razy napotka niezrozumiałą dla siebie inskrypcję,

czy to na ścianie budynku, czy na grobowcu, czy wreszcie na studni, wie napewne, że są to wersety z Koranu (por. str. 8, 14, 66 i t d.)?

Odpowiedź prosta: bo tak chce uświęcony tradycją szablon, panujący w opisach Wschodu. Nie przeczę, że wśród napisów, które autor spotykał, mogły być też urywki z Koranu — to trzebaby za każdym razem z osobna stwierdzić — ale przecież Turcy umieszczają jeszcze i inne napisy.

Inny przykład: jest mowa o „wykładzie, jaki w moszei (dlaczego nie w meczecie?) miewa iman (powinno być imam)“,[1] i dalej czytamy: „chociaż się słów nie rozumie, odnosi się wrażenie, że ten człowiek, mówiący z przejęciem wersety z Koranu, wczuwa się w treść i daje jakby własne przeżycia świętej księgi“. Jakże się to jedno z drugiem godzi: autor słów nie rozumie, a wie napewne, że treścią recytacji są wersety z Koranu? Być może tak poinformował go przewodnik... Nie wiem... W każdym bądź razie przed napisaniem odnośnego ustępu dobrze byłoby się zastanowić i sięgnąć po analogję z bliższego nam świata: czy u nas ksiądz na kazaniu recytuje wyłącznie wiersze z Ewangelji? Czy nawet wtenczas, kiedy się modli po łacinie, odmawia tylko ustępy z Biblji?

Panujący wszechpotężnie i wymagany przez publiczność szablon przepisuje dla podróży po Wschodzie muzułmańskim przeżycia lub w najgorszym razie fantazje haremowe i awantury rozbójnicze. I jedno i drugie znajdujemy też w książce p Rostafińskiego, co prawda w dość umiarkowanej dawce.

Zdajmyż sobie raz wreszcie sprawę, że harem, w zwyczajnem tego słowa znaczeniu, to poprostu poświęcona wyłącznie życiu rodzinnemu część mieszkania muzułmanina, do której nie zaprasza się obcego — jak zresztą i u nas nie przyjmuje się gości normalnie w pokoju sypialnym — i gdzie rozgrywa się życie codzienne, nie przedstawiające nic osobliwego. Z pewnością niejeden autor, którego fantazję podnieca widok tureckiego „kafesu“ (zasuwanych kratek drewnianych, w rodzaju naszych żaluzyj) w oknach „haremu“, doznałby rozczarowania, gdyby go wpuszczono do wnętrza. Zamiast półnagiej odaliski, rozsiewającej woń ambry i piżma i bijącej w tamburyn w takt „zmysłowej muzyki Wschodu“, znalazłby zapracowaną kobiecinę w otoczeniu gromadki dzieci, najlepszą gospodynię i matkę, zajętą skrzętnie domowemi robotami. Trafiają się i odaliski, ale to już raczej wśród wyzwolonych z haremu.

We wszystkiem, co autor mówi o kobiecie tureckiej, jest sporo przesady. Posłuchajmy jego własnych słów (str. 7): „bo dom turecki dla obcego, dla chrześcijanina, jest zamknięty, a jeżeli go dopuszczą, wyzwolona kobieta turecka i tak mu się nie pokaże, bo ją oglądać może conajwyżej ktoś z bliskiej rodziny męża i nikt więcej. Nic się pod tym względem nie zmieniło“.

[1] *īmān* znaczy po arabsku „wiara“, *imām* „przodownik“.

Pomijam niesłuszność szczegółów i twierdzę na podstawie własnej obserwacji, że przeciwnie zmieniło się wiele i gruntownie — tylko widocznie autor jest zbyt niecierpliwy, a nie wie, jak to bywało dawniej. Zresztą jego obserwacje odnoszą się do stosunków z r. 1924 i są już dziś, wobec zawrotnej szybkości zmian, w wielu szczegółach przestarzałe. Niejedną sceptyczną uwagę o przyszłości przekreśliła już teraźniejszość, która się okazała naogół jaśniejszą, niż przewidywania autora, patrzącego na Turka bardzo często przez okulary lewantyńskie.

Osobiście razi mię w opisach Turcji wogóle, a Konstantynopola w szczególności niepotrzebna francuszczyzna. Czy z tego, że cudzoziemcowi w Konstantynopolu najłatwiej rozmówić się po francusku, wynika, że tureckie nazwy ulic czy budynków mają być podawane w tłumaczeniu lub pisowni francuskiej? A więc: „avenue Nichantache“ zamiast ulica czy aleja *Niszan-tasz* (wszak to nazwa turecka) lub „Porte Sublime (skąd nazwa Wysokiej Porty [1])“, zamiast *Bab-i-ali*.

Często stosowanym środkiem artystycznym do podmalowania tła jest wplatanie wyrazów lub zdań w języku danego kraju. Nie możnaby temu nic zarzucić, pod warunkiem jednak, że owe obce wyrazy i zdania będą napisane poprawnie i we właściwem znaczeniu. Jeżeli jednak jest inaczej, co niestety przeważnie bywa w książce p. Rostafińskiego (str. 7 *Lech karisi gibi Güsek* zamiast poprawnego *Lech karysy kadar güzel*, str. 20 *Aksamlarysz chair olsun* zamiast poprawnego *akszamłarynyz* lub lepiej *akszamynyz chajr olsun*; *jassek* lub *jadżik* zamiast *jastyk*; str. 65 *ressim o eżidir* zamiast *resim o ededżektir* i t. d.), to wrażenie jest wręcz odmienne, niż leżało w zamierzeniach autora. Przypomnijmy sobie tylko, jak na nas działa kaleczenie polszczyzny dla podmalowania tła, w rodzaju *pan dobrodschey*, *klaptzi krakawitza* i t. p. Chyba ta okoliczność, że większość czytelników nie zdoła autora skontrolować, nie jest jeszcze dla niego dostatecznem usprawiedliwieniem?

To, co powiedziałem poprzednio ogólnie o konieczności zdawania sobie sprawy z granic własnej kompetencji, mógłbym poprzeć wielu, bardzo wielu przykładami z książki p. R Miejsce pozwala tylko na kilka.

Na str. 57 czytamy: „Język ludności tureckiej nie jest jednolity. Naogół uderza, przy akcencie zawsze na ostatniej zgłosce, dźwięk ostry i gardłowy, co dowodzi, że w obecnym języku tureckim jest dużo naleciałości obcych, między innemi i węgierskich. Typowym przykładem zanieczyszczenia języka jest dźwięk *ł*, obcy językom wschodnim, a pokrewny tureckiemu; jest tez wiele naleciałości greckich, ormiańskich i perskich“.

Muszę się zdradzić, że kiedym to przeczytał, usiłowałem wymyślić podobny kalambur z dziedziny najbliższej autorowi, któryby

[1] Ach tak! Zatem wzięliśmy to określenie z francuskiego!

mu unaocznił piorunujące wrażenie, jakie musi wywrzeć ów ustęp na każdym, kto jako tako zna się na rzeczy. Okazało się jednak, że przy całej mej niewiedzy w zakresie hodowli zwierząt, do której się szczerze przyznaję, zbyt wiele mam jeszcze wiadomości, by móc coś równie zdumiewającego wykoncypować. Jest to poprostu unikat w swoim rodzaju, nie nadający się bezwzględnie do naśladowania.

O Kurdach mówi autor (str. 78), że „oni są właściwymi Turkami, a nie ogół ludności Anatolji, choć się za takich uważa". Cóżby jednak sam powiedział, gdyby przeczytał w jakiejś książce o Polsce, że „Żydzi są właściwymi Polakami, a nie ogół ludności Polski, choć się za takich uważa"? A byłaby to przecież niedorzeczność dokładnie tego samego stopnia. Kurdowie nie mają bowiem w rzeczywistości nic wspólnego z Turkami, ani rasowo, ani językowo. Tego mógł się autor dowiedzieć z pierwszej lepszej encyklopedji.

„Od ludności częściowo podbitej, a częściowo na terenach przez nią opuszczonych zagarniali Turcy ziemię. Greccy chrześcijanie uciekali gromadnie przed najeźdźcami w góry, kryjąc się po grotach, co się utrwaliło w 18 Surze Koranu, w przypowieści o siedmiu młodzieńcach z Efezu" — czytamy na str. 54.

Bardzo to ładnie i pięknie pomyślane — gdyby nie chronologja! Zajmowanie Anatolji przez Turków Seldżuków zaczęło się w wieku XI, przez Turków osmańskich dopiero w wieku XIII, a Koran pochodzi z końca wieku VI i początków VII. Gdyby więc miało być tak, jak autor twierdzi, musiałby Mohammed prorokować w Koranie o czemś, co się miało zdarzyć dopiero w blisko czterysta lub nawet sześćset lat po jego śmierci. Trzeba być zaiste bardzo pobożnym muzułmaninem, by coś podobnego podawać do wiary!

Dajmy jednak już pokój błędom rzeczowym, których wyliczenie i prostowanie zajęłoby zbyt wiele miejsca, a natomiast przypatrzmy się na jednym bodaj przykładzie, jak nie należy korzystać z informacyj krajowców.

Autor stara się udowodnić, że Turkom brak pierwiastku twórczego, a na dowód, że do sztuki nic nowego nie wnieśli — często przez lewantyńców stawiany zarzut, nb. niesłuszny — cytuje swą rozmowę z jakimś Turkiem na temat nowych budowli w Angorze (str. 38):

„Znajomy Turek stropił się na postawione wręcz pytanie: jakie są zasadnicze cechy stylu tureckiego, a potem odparł, że właściwie, to nie jest ustalone, że przy odtwarzaniu nowych budowli szuka się piękna i harmonji linij, że to, czego dokonano istotnie, nie odpowiada pragnieniom... A zatem... negacja i przyznanie, że stylu ni indywidualności w budownictwie tureckiem niema".

Przenieśmy sobie to wszystko na tło naszych stosunków. Cudzoziemiec, p. X., przyjeżdża do Polski i w rozmowie ze znajomym Polakiem, którym jest przypuśćmy bakterjolog, hodowca czy urzędnik M. S. Z., stawia obcesowe pytanie, jakie są zasadnicze cechy

stylu polskiego. Byłbym bardzo ciekaw na odpowiedź przypartego w ten sposób do muru, ale sam nie chciałbym znaleźć się w podobnej sytuacji. bo, zwłaszcza dostrzegłszy u cudzoziemca odcień wyższości i lekceważenia, wątpię, czy zdobyłbym się na odpowiedź równie grzeczną, jak ta, której udzielił Turek.

Może zbyt długo zatrzymałem się na przykładach z książki p. R., ale, jak już poprzednio zaznaczyłem, nie o nią mi tutaj chodziło, lecz o zjawisko ogólniejsze, którego ona jest tylko dość typowym przykładem.

Dla sprawiedliwości trzeba stwierdzić, że wiele obserwacyj, uwag i wyjaśnień jest trafnych, ciekawych i godnych uwagi, przynajmniej tyle, a bodaj więcej nawet, niż błędów, wymagających sprostowania. A co do tych błędów, to — mój Boże — zapewne nie jest książka p. R. gorsza pod tym względem od niejednej, którą krytyka głośno zachwala. Zatem konkluzja ogólna: książkę można polecić, czytelnikom lekkomyślnym bez żadnych zastrzeżeń, uważnym z wezwaniem, by starali się sprawdzać szczegóły. Przedewszystkiem jednak musi mieć czytelnik stale na pamięci, że dzisiejsza Turcja wygląda już dość odmiennie od tej, którą widział i opisuje autor: zaledwie dźwigającą się z ruin po wojnie światowej i greckiej.

Tadeusz Kowalski

ROCZNIKI GDAŃSKIE

Rocznik Gdański, organ Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku, tom I (rok 1927), tom II i III (lata 1928 i 1929). Stronic 152 i 298, w 8-ce. Gdańsk. Nakładem Towarzystwa

Jedną z przyczyn względnego zastoju nauki w Polsce w czasach powojennych upatrywać trzeba w tem, że ilość drugorzędnych ognisk zainteresowań się wiedzą jest u nas niebywale mała. Polska książka ściśle naukowa, nawet rzecz z dziedziny historji lub literatury, może wskutek tego liczyć na całkiem ograniczoną sferę czytelników. Nie tworzą też tu wyjątku nawet miasta większe, jak Bydgoszcz, Białystok, Brześć nad Bugiem, Równe, Częstochowa, Sosnowiec, Kielce, Toruń, Przemyśl, Radom, Włocławek, Grudziądz, Stanisławów, Tarnopol, Łuck, Kowel i inne. Bywają one niekiedy centrami przemysłu, komunikacji lub administracji, skupiają mniejszą lub większą ilość średnich zakładów naukowych, czasem szkół fachowych, i na tem koniec. Aby zaś żyjący i działający w tych środowiskach ludzie wykształceni mieli łączyć się i wiązać w towarzystwa dla pielęgnowania wiedzy i interesowania się jej postępami, o tem albo nikt nie pomyśli albo też, jeżeli ten fakt nawet gdzie się zdarzył, jak np. w Toruniu, to i tam owe towarzystwa wiodą żywot wielce anemiczny, często smutniejszy, niż przed wojną. Najwięcej wybitnych przykładów takiej bezgranicznej obojętności dla spraw naukowych dostarcza nam jednak wschód państwa, bo tu

giną obecnie nawet te drugorzędne centra zainteresowań naukowych, które przed wojną okazywały nieraz sporo żywotności (Tarnopol). Nadaremnie również na sąsiednim Wołyniu szukanoby dziś za „Atenami Wołyńskiemi". Wszystko to, niestety, już odległa przeszłość.

Tembardziej przeto cieszyć się wypada, że tam, gdzie polskość jest szczególnie wątłą i tylko nieśmiało przebijającą się z pod grubej powłoki obczyzny, zajaśniało wcale poważne ognisko polskiego zamiłowania wiedzy. Mianowicie mamy na myśli „Towarzystwo przyjaciół nauki i sztuki w Gdańsku" (Am weissen Turm 1), które, istniejąc tam od lat kilku i prowadząc zrazu cichy, choć pożyteczny żywot, poświęcony budzeniu zainteresowań, zwłaszcza dla nieprzebranych wręcz miejscowych materjałów źródłowych do dziejów stosunków polsko-gdańskich, obecnie wystąpiło z poważnemi publikacjami pod postacią *Roczników Gdańskich*. W trzech ogłoszonych dotąd tomach (1927—1929) pomieszczono razem 10 rozpraw, 3 niezmiernie ciekawe przeglądy bibljograficzne w zakresie literatury kaszubskiej, pomorskiej i bałtyckiej, oraz 12 starannych i przeważnie obszernych recenzyj dzieł, tyczących się Gdańska lub spraw z nim związanych. Kilka stronic poświęcono także sprawozdaniom z życia Towarzystwa.

Zarówno dobór rozpraw, jak i ich poziom świadczą jak najchlubniej o naukowej stronie pracy redakcyjnej, sprawowanej przez komitet, w skład którego wchodzili: prezes Towarzystwa Dr. Marcin Dragan, Dr. Władysław Pniewski i prof. Adam Czartkowski.

W tomie I (1927) prócz wstępnej rozprawy prof. uniwersytetu poznańskiego, Pawłowskiego: *O położeniu geograficznem Pomorza i terytorjum W. M. Gdańska*, zwięzłego i trafnego wywodu Romana Lutmana p. t. *Położenie prawno-polityczne Gdańska w dawnej Polsce*, oraz wyczerpującego rozbioru pióra Dr. M. Dragana kilku przeciwpolskich publikacyj niemieckich, znajdujemy dwie bardzo cenne prace Dr. Wł. Pniewskiego. Jedną z nich jest studjum p. t. *Błędy i właściwości językowe w zadaniach młodzieży polskiej w Gdańsku w świetle dialektów pomorskich i języka niemieckiego*, drugą zaś *Bibljografja kaszubsko-pomorska w zakresie języka i językoznawstwa*, która, sięgnąwszy wieku XVI, a kończąc się na r. 1927, wykazuje stale wzrastające zainteresowanie się gwarami kaszubskiemi, szczególnie wśród uczonych polskich. Poucza też ona, jak trudnemi do odszukania bywają druki kaszubskie i tyczące się Kaszubszczyzny, rozsypane po bardzo nieraz niedostępnych czasopismach polskich, rosyjskich, niemieckich, a nawet jugosłowiańskich i innych. Dr. Pniewski nie poprzestał jednak na tej tylko pracy bibljograficznej, ale w II i III tomie *Rocznika Gdańskiego* (1928 i 1929) dał nam jej uzupełnienie oraz inną jeszcze rzecz p. t. *Pomorze i Bałtyk w polskiej literaturze pięknej*, zaczynając wierszem Galla Anonima o rycerzach polskich, przebywających nad Bałtykiem, a kończąc na wydawnictwach 1929 r. Razem tych notatek bibljograficznych, bez których

dzisiaj nikt chyba piszący o Kaszubszczyźnie i Pomorzu obyć się już nie potrafi, mamy stronic 80. Poza tym osobnym i cennym przyczynkiem, wyszłym także z pod pióra Dra Pniewskiego, jest *Przegląd literatury kaszubskiej,* określający w sposób zwięzły i trafny rolę Florjana Cejnovy, Hieronima Derdowskiego, Aleksadra Majkowskiego, Wosia Budzysza, Franciszka Sędzickiego, Stanisława Czernickiego, Józefa Klebba, Bernarda Sychty, Izydora Gulgowskiego i innych pisarzy kaszubskich.

Drugi tom *Rocznika* zawiera również pracowitą, obszerną (80 stronic) i przeważnie na rękopiśmiennym materjale opartą rozprawę Dra Marji Dziamianki p. t. *Aleksy Husarzewski, komisarz generalny Stanisława Augusta w Gdańsku,* wyjaśniającą mnóstwo szczegółów, związanych z dziejami Wolnego Miasta w okresie rozbiorów Polski, wywód Alfreda Siebeneichena, omawiający *Udział Gdańska w handlu zagranicznym Polski,* krótki, ale wzorowy co do metody i opatrzony kolorową mapą szkic statystyczny Tadeusza Kijeńskiego: *Ilu jest Polaków na terenie Wolnego Miasta Gdańska* (35.755), z polotem i umiarem napisaną rzecz Dra Kazimiery Jeżowej p. t.: *Agitacja antypolska w geografji niemieckiej,* zwracającą uwagę, do jakiego stopnia nienawiść do Polski musiała znieprawić i uczynić bezwartościową całą wielką gałąź nauki niemieckiej, wreszcie cenny artykuł bezimiennego autora: *Poczta polska w Gdańsku,* który, nawiązując do początków polskiej poczty w Wolnem Mieście (r. 1654), zawiera cały szereg wskazówek co do obecnego prawnego stanu naszych pocztowych urządzeń gdańskich.

Już z tych krótkich relacyj wynika, że zważywszy niezmiernie trudne miejscowe warunki redakcyjne i inne, *Rocznik Gdański* dobrze przedstawił naukę polską nad Bałtykiem. Życzyćby sobie tylko należało, aby z tego wysokiego poziomu nie zeszedł, lecz aby dalej rozwijał swą pożyteczną działalność.

Stanisław Srokowski

O KRESACH WSCHODNICH

Wiktor Ormicki. *Życie gospodarcze Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej* z 6 ilustracjami oraz z atlasem. Kraków 1929. Nakładem Księgarni geograficznej „Orbis" w *Pracach Instytutu Geograficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego,* wydawanych przez Jerzego Smoleńskiego. Stronic 308 w 8-ce

Książka Dra Ormickiego jest wyrazem powszechnego dziś u nas dążenia do coraz to gruntowniejszego poznania polskiego terytorjum państwowego, zwłaszcza zaś pod względem gospodarczo-geograficznym. Twarde barjery kordonów podziałowych sprawiły, że w odradzającej się Ojczyźnie musimy się wręcz wzajemnie niemal odkrywać, bo tak obce, stosownie do dzielnic państwa, są nam różne jego strony. Najmniej znanym jest przecież Polski Wschód od Krzemieńca po Dzisnę, który dla jednych przedstawia się tylko jako przedpole w razie konflagracji wojennej, dla drugich jako ubogie

i ogromnie jednolite w swej monotonności terytorjum, skazane na wiekową bierność gospodarczą, dla reszty wreszcie jako ewentualny teren polskiej ekspansji wewnętrzno-kolonjalnej. O tem, że przy owej pozornej gospodarczej jednolitości polskiego Wschodu istnieje tam przecież cała skala głęboko odcinających się od siebie całości, z różnemi możliwościami gospodarczemi, dotąd u nas nie wiedziano albo jeżeli wiedziano, to bardzo tylko niedużo. Dopiero praca p. Ormickiego rzuca na te sprawy nowy snop promieni. Pokazuje się, że prócz zasadniczego podziału na takie całości fizyczno-krajobrazowe, jak: Wołyń Podolski, Małe Polesie, Wzniesienie Środkowo-Wołyńskie, Wołyń Poleski, Polesie, Nizina Bugo-Prypecka, Dolina Prypeci, Pojezierze Bracławskie, Porzecze Dzisny, Pojezierze Wileńskie, Pogórze Wileńsko-Święciańskie, Wyżyna Nowogródzko-Wileńska, Opole Słonimsko-Lidzkie — da się przecież jeszcze wyróżnić blisko aż trzy razy tyle (34) poszczególnych dziedzin czy regjonów, które pod względem gospodarczym między sobą się różnią. Wszystkie zaś te różnice oparte są na właściwościach gleby, klimatu, szaty roślinnej, wzniesienia nad poziom morza i nawodnienia, a zatem na czynnikach, których wpływ działa od człowieka zupełnie niezależnie, zwłaszcza na Kresach, gdzie jest on technicznie tak mało uzbrojony do walki z niesprzyjającemi siłami przyrody Gdy ziemia dobra lub pomyślniejsze warunki klimatyczne, tam i człowiek jawi się liczniej, gdy tylko tych warunków brak, odrazu i jego siedziby rzedniejąc albo wręcz zanikają.

Książka Dra Ormickiego, wykazująca niezbicie ową całkowitą zależność kresowca od miejscowego środowiska fizyczno-geograficznego, nie posługuje się nawet zgoła innem kryterjum podziałowem, jak tylko tem jedynem, jakie daje przyroda. I to właśnie odróżnia omawianą pracę od reszty podobnych geograficzno-gospodarczych, dla których ramami podziałowemi zawsze prawie są granice polityczne powiatów i województw, jak wiemy w Polsce poprowadzone przeważnie zupełnie dowolnie. Autor, wyzbywszy się sztucznych szranków politycznego podziału, mógł w części ogólnej, obejmującej $^2/_3$ dzieła, omówić w całokształcie wszystkie ważniejsze problemy geograficzno-gospodarcze, aby następnie dopiero przystąpić już do charakterystyki pojedynczych regjonów. Sięgnąwszy w przeszłość dalszą i bliższą, wskazuje, w jak fatalnym stanie pod względem gospodarczym objęliśmy rządy na Kresach; jaka jest tam struktura demograficzna; jak zgubny wpływ wywiera szachownica pól i pojedynczych zagonów; jak rzadkiem bywa samoistne gospodarstwo włościańskie, zatrudniające obce siły; jak bardzo na całym obszarze Kresów tkwimy jeszcze w gospodarstwie ekstensywnem; jak uprawia się nie te rośliny, które mogłyby przynieść zysk, ale te, które ludność uprawiać tradycyjnie przywykła; jak wątłym wszędzie jest przemysł, oparty tylko na obróbce drzewa, a gdy idzie o spożywczy, ograniczający się niemal całkowicie do Wołynia; jak rozwinięta uprawa lnu i konopi dała zaledwie podstawy prymitywnemu

tkactwu domowemu; jakie szkody ponosi cały obszar Kresów z powodu swej bezdrożności i t. d.

Do wyjaśnienia omawianych spraw służy specjalny atlas, któremu chyba to zarzucić można, iż powodując się ekonomją miejsca, zbyt wiele fenomenów stara się ująć naraz na niektórych, niestety, jednokolorowych mapach, przez co bywają one niedość przejrzyste. Inny zarzut, który zrobilibyśmy książce Dra Ormickiego, byłby ten, iż pominięto w niej niemal całkowicie problemy komunikacyjne, a między niemi także komunikację wodną, choć jeżeli gdzie w Polsce, to tam na Kresach drogi wodne odgrywaćby mogły pierwszorzędną rolę w uprzystępnieniu kraju. Wszak sam autor podaje, że większość rzek, toczących przez Kresy swe wody, jest spławna, a rzeki te łącznie z kanałami (140 km.) mają aż 4000 km. długości. Znając znaczną część Kresów Wschodnich, zaryzykujemy nawet pogląd, że dotąd niema mowy o podniesieniu ich na wyższy poziom kulturalno-gospodarczy, dopóki problem wodny z Prypecią na czele nie zostanie tam rozwiązany w duchu pozytywnym. Bo nie tyle kolei brak Kresom, jak szos, a nadewszystko dobrze działających dróg wodnych.

Owe nieliczne braki, które wytknęliśmy pracy Dra Ormickiego, gdyż o drobnych spotykanych tu i ówdzie niedociągnięciach mówić nie chcemy, nie zmniejszają zgoła zasług młodego uczonego krakowskiego. Dzieło jego jest wielką księgą Polskiego Wschodu i każdy, kto zajmować się będzie po nim gospodarczo-geograficznym problemem tych części Rzeczypospolitej, znajdzie w niej mnóstwo cennego i umiejętnie zgrupowanego materjału.

Stanisław Srokowski

Z PUBLIKACYJ BIBLJOFILSKICH

Jana Bukowskiego Prace Graficzne zebrał i opracował Przecław Smolik. Nakładem Tow. Bibljofilów w Łodzi. Łódź MCMXXX, 4-o, str. 47, tablic wielobarwnych 41, rycin czarno-białych 107

Nasze ruchliwe towarzystwa bibljofilskie szerzą coraz skuteczniej kult pięknej książki. Towarzystwo Bibljofilów w Łodzi wydało obecnie okazałą księgę, poświęconą pracom graficznym Jana Bukowskiego, głównego pioniera na polu podniesienia poziomu polskiego drukarstwa nowoczesnego, artysty dekoratora, który od lat młodości okazywał żywe zainteresowanie dla grafiki książkowej i jej najwięcej sił poświęcił w swej długoletniej pracy twórczej. Ważną i owocną działalność Bukowskiego uczciło łódzkie Tow. Bibjofilów, którego duszą jest znany literat i pracownik kulturalno-oświatowy p. Przecław Smolik — nie przez organizowanie zupełnie zasłużonego lecz zbanalizowanego już dziś „jubileuszu", lecz przez zestawienie i opublikowanie dorobku artysty w bogato ilustrowanej monografji.

Mamy przed sobą rodzaj rozumowanego katalogu i retrospektywny zarazem obraz poważnego odłamu dziejów polskiego drukarstwa z ostatnich lat trzydziestu, przypominający liczny szereg znanych wydawnictw, które nietylko przez swą treść, lecz i przez szatę zewnętrzną utkwiły głęboko w pamięci naszego pokolenia. Publikacja zawiera kilkanaście barwnych okładek książkowych, odbitych z klisz oryginalnych; powtórzono w niej dalej dla przykładu kilkanaście barwnych stronic z różnych książek, drukowanych w układzie J. Bukowskiego, reprodukowano w rycinach czarno-białych — w formacie oryginalnym lub w pomniejszeniu — przeszło 100 okładek, inicjałów, ekslibrisów i układów stronicowych. P. Smolik, który zebrał z dużym oczywiście trudem potrzebne materjały, i prócz omawiającego je tekstu, opracował graficzny układ wydawnictwa, stanął w tym wypadku przed nielada zadaniem: stworzenia z bardzo różnorodnych elementów ilustracyjnych graficznie pięknej i jednolitej całości. Trudności, wynikające z natury materjału, mogły zostać tylko częściowo pokonane i wydawnictwo jest nietyle piękną książką, ile raczej starannie i ozdobnie wydanym katalogiem pięknych książek, oraz idei pięknej książki celową propagandą.

Z wydawcą tej monografji możnaby się sprzeczać, czy wśród graficznych prac Bukowskiego najlepszego dokonał wyboru facsimile'ów, czy wśród utworów, oddanych w czarno-białej technice, nie dałoby się wyszukać wzorów pod względem barwnym bardziej interesujących, czy wogóle należało niejedną z barwnych okładek czy układów zniekształcać przez zmniejszenie i tworzenie z nich rycin, wyrwanych z właściwej całości, a zważywszy, że nie wszystkie prace graficzne artysty — w zależności od różnych okoliczności zewnętrznych — mogły stanąć na wysokim poziomie, czy nie należało raczej dać mniej przykładów, a wierniej je oddać i odtworzyć.

P. Smolik jako historyk twórczości graficznej Jana Bukowskiego, nie chciał jednak pominąć żadnego charakterystycznego twórczości tej przejawu, a w tekście swym prócz wstępu, omawiającego sprawę formy książki jako sprawę sztuki i krytyki artystycznej, i rozdziału o książce polskiej w ostatniem ćwierćwieczu przed wojną światową dał w ciepłym tonie utrzymany zarys działalności Bukowskiego, oraz interesującą charakterykę jego dorobku na polu grafiki, a dalej starannie zestawiony spis chronologiczny wszelkich jego prac z tej dziedziny, wreszcie bibljografję rozpraw i artykułów odnoszących się do formy i zdobnictwa książki, drukarstwa i bibljofilstwa z ostatnich 25 lat.

T. Sz.

U W A G I

OD REDAKCJI

Zeszyty sierpniowy i wrześniowy (Nr 100 i 101) pojawią się dnia 1 września, złączone w zeszyt o podwójnej objętości i poświęcone charakterystyce Włoch współczesnych.

CARLO E. BASILE
Poseł do Parlamentu, Członek Dyrektorjatu
Narodowej Partji Faszystowskiej

FASZYZM

Streścić, choćby tylko w zarysie, w zasadniczych linjach, historję faszyzmu, nie wpadając przytem w frazesy, które wywołują tyle powierzchownych sądów o faszyzmie, ferowanych nietylko zagranicą, ale i we Włoszech samych — to zadanie, które zakrawałoby poprostu na zuchwalstwo, jeśliby nam nie dodawały otuchy słowa, jakiemi Sekretarz Generalny Partji Faszystowskiej, August Turati, rozpoczął swoje wykłady w Sapienzy, właśnie na temat „Dziejów Faszyzmu".

Mówił mniejwięcej tak: „Gdyby dzisiaj nam, którzy znajdujemy się w osobliwych warunkach, że jesteśmy aktorami i świadkami rozwijającej się w pełnym biegu rewolucji, kazano przedstawić dzieje faszyzmu, musielibyśmy, dokonawszy obrachunku sumienia, odpowiedzieć, że prawdziwą historję faszyzmu będą mogli pisać dopiero nasi potomni, nasi wnukowie, bo jeszcze nawet nie nasi synowie. Bądź co bądź i nam, w jedenaście lat po powstaniu bojowych kadr faszystowskich, w ósmym roku panowania faszystowskiego systemu, wolno naszkicować coś, co — jeżeli nie w innym celu — przyda się nam samym dla wyjaśnienia naszych poglądów, a tym, którzy w dobrej wierze, bez uprzedzeń partyjnych, zechcą nas posłuchać, powie więcej od urywkowej i krótkowzrocznej kroniki".

„Jeżeli nic inuego zrobić nie możemy, mamy przynajmniej prawo już dzisiaj odnowić sobie w pamięci fazy cichego dramatu, który każdy z nas przecierpiał, od okresu przedwojennego aż po ten tak ciężko wywalczony pokój, który od r. 1919 po dzień dzisiejszy utożsamia się dla naszego kraju z faszyzmem".

Oto zupełnie wyraźne postawienie tematu. To też gdybyśmy byli upoważnieni do uzupełnienia tytułu wykładów Turatiego, poddalibyśmy mu myśl nazwania ich: „Spowiedzią syna dwu

wieków". W rzeczy samej bowiem wydaje się nam, że prawdziwa różnica, jaka zachodzi między ludzmi roku 1930 a ludźmi z przed stu lat, to jest z czasu, kiedy właśnie Musset pisał przedziwne stronice swojej „Spowiedzi dziecięcia wieku", polega na tem, że tamci, t. j. współcześni i równoletni ze śpiewakiem „Nocy", ze względu na swój wiek byli tylko widzami a nie uczestnikami epopei napoleońskiej, jako dzieci spoglądali na Napoleona, zdumieni i przerażeni blaskiem tej oślepiającej komety, a kiedy dorośli — oni politycy i poeci — po wielkiem bohaterskiem marzeniu odziedziczyli tylko znużenie i tęsknotę, zduszeni, zepchnięci do roli mieszczuchów po likwidacji wzlotu Napoleona, rozpoczętego w śniegach świętego Bernarda, i jego upadku rozegranego na skałach Świętej Heleny.

Tymczasem, wprost przeciwnie, ci z nas, którzy przekroczyli dzisiaj dantejską połowę drogi życia, to jest lat trzydzieści pięć, liczyli po lat dwadzieścia, kiedy zabrzmiała pobudka 24 maja 1915 r., przewalczyli na wojnie najlepsze lata młodości, a żyli i żyją w rozkwicie wieku męskiego za czasów faszystowskiej rewolucji, która się właśnie odbywa.

Wśród ludzi roku 1830, o ile to były dusze szlachetne, zdawały się grasować suchoty, na które zgasło Orlątko, chowane w zimnem gnieździe Schönbrunnu, w szponach dwugłowego orła; o ile to były natury grubsze, obudził się w nich duch kupiecki, duch spekulacyj, chciwość i zgubna przedsiębiorczość niektórych bohaterów Balzaca. Napoleon w mniej niż dwadzieścia lat wchłonął całą historję, którą Karolingowie i Kapetyndzy pisali przez dziesięć stuleci, i pozostawił za sobą opadnięcie fali i czczość, jakie następują po żywiołowych nawałnicach. Sławny szary szynel małego kaprala zamienił się na tużurek Ludwika Filipa, a szpada, która lśniła na stu polach bitew, na pokojowy parasol tego króla-obywatela. Rodziła się druga republika przy płomieniu lamp naftowych, i, jak to jest obyczajem spadkobierców, odpłacała niewdzięcznością temu, co przy akompanjamencie dział rozgłosił po świecie „nieśmiertelne zasady", na których ta republika odradzała się ze zwalisk burbońskiej monarchji.

*

My wracaliśmy z wielkiej wojny po okresie niepewności i przybicia. Czyste i miękkie łóżko wydawało nam się widzia-

dłem, wytworzonem przez gorączkę, przyczem łatwy triumf odnosili ci, którzy po największej części na wojnie nie walczyli, byli jej bardziej niż przeciwni, wyśmiewali ją i złorzeczyli jej w imię sprawiedliwości i braterstwa — haseł, wszytych niezręcznie w fałdy ich czerwonej płachty, sztandaru ich nienawiści i tchórzostwa. Po tym fatalnym, powiedziałbym fizjologicznym upadku zdrowych sił, pewnego pięknego dnia, kiedy jeszcze jako rekonwalescenci wspominaliśmy chwile przeżyte na froncie, gdzieś w głębi naszego ducha, w ciszy naszych domów (a prawie w każdym domu świeciło pustką przy stole miejsce, na kogoś nadarmo czekające) — usłyszeliśmy, jak się rodzi słowo suche, krótkie, ostre, słowo rozkazu: „Baczność!". Więc zerwaliśmy się znowu na nogi, weszliśmy po raz drugi w szaro-zielony mundur, który barwą upodobnił się do błota, i okręciliśmy koło pasa rzemień z bagnetem. Porywaliśmy się przeciwko hałastrze, która poważyła się zrywać z piersi ociemniałych żołnierzy błękitną oznakę waleczności, ostatnią odrobinkę nieba, jaka im jeszcze pozostała. Porywaliśmy się nietyle w obronie samych siebie, czy naszych domostw, którym groziła zatrata, ale w obronie umarłych, w obronie sześciuset tysięcy naszych poległych, którym zbuntowane tłumy mąciły spokój cmentarzy, wielkich jak całe miasta, wzdłuż Isonzo i Piave, tak samo szaro-zielonych, jak mundury żołnierzy. Ale to nie wystarczało. Trzeba było chwycić za kołnierz, jeżeli nie wprost za gardło, rząd, który, manewrując między tchórzostwem a szalbierstwem, włożył na głowę nie czapkę frygijską, ale czepek, jaki przystoi starości. I poszliśmy na Rzym, owego 28 października 1922 r., ze staremi i nowemi pieśniami na ustach, a przed nami kroczyły mary tysiącletniej historji, rozlegał się tętent rumaków Dioskurów, tych, które dwaj bracia kiełzają na progu Kwirynału, i zlewał się z galopem bojowników Garibaldiego.

*

Był to bunt, narodzony w tajemnej świadomości ludu zjednoczonego, nareszcie, przez udręki wojenne, zbratanego, nareszcie, w cieśniach okopów, od północy do południa, od Alp po Sycylję. Ale takie powstanie napewno spełzłoby, jak wiele innych ruchów, na próżnem choć szlachetnem usiłowaniu, jeżeli zważymy nasz charakter skory do zapału, ale jeszcze skorszy

do gaśnięcia, gdyby nie był się zjawił Wódz, i to odrazu, od pierwszych, jeszcze niewyraźnych, objawów tego zbawczego przebudzenia. Przez swoją przeszłość był z tych, którzy w sobie, w duchu i w ciele, w swoich odtrąceniach złudzeń i w swoich nadziejach silniejszych nad wszelkie rozczarowania, w swoich ranach i swojej odwadze, noszą głęboki jak bruzda między brwiami, nieomylny znak rozkazu. Wyszedł nie z bractwa socjalistycznych linoskoczków, którzy go wyklęli i których on napiętnował swoim wielkopańskim sarkazmem. Wyrósł na zdrowym pniu rewolucyjnym Romanji, tej najprawdziwszej odrośli Rzymu, która już od roku 1300 wydawała ze swojej bogatej w czarnoziem roli, przywódców i kondotjerów o wielkim rozgłosie, jak Alberico da Barbiano, Attendolo Sforza, i ta o męskiej duszy wojownica-białogłowa — Katarzyna Sforza. A w pierwszych latach XIX wieku, wkrótce po upadku Napoleona, ta ziemia, pierwsza z pośród krain włoskich, zerwała się z krzykiem w imię wolności, gotując się, aby wolność zdobyć i cierpieć za wolność w lochach i na szubienicach. Massimo d'Azeglio, błędny rycerz Risorgimenta, sam trochę w stylu swoich malowideł, i swoich opowiadań, ale artysta po dziś dzień żywy, z intuicją, zakrawającą dla nas poprostu na cudowną, w 1846 r. przepowiedział wspaniałe losy tej prowincji, od której, ze względu na jej męskie zalety „wiele będzie można wymagać, a której mało można wybaczyć", a w *Miei ricordi* oświadczył dosłownie: „Zdaje mi się, że Romanja jest prowincją, gdzie człowiek rodzi się bardziej zupełny, tak pod względem fizycznym jak i moralnym". I rzeczywiście, w owe lata gorące, w tej krainie, od wysokiej szlachty do biednego ludu, zrywa się nieprzerwany szereg konspiratorów, wygnańców, bojowników, całe rody patrjotów, od Farinich do Marka Minghetti, do Aurelego Saffi, od Feliksa Orsini do Rafaela Pasi, do Wincentego Caldesi, do Rasponich, do Pepolich. Mazzinianie, karbonarjusze, garybaldczycy, wielkoduszne charaktery, nie do poskromienia i nieposkromione, poeci, myśliciele, humaniści, poczynając od Montiego, wznoszą się coraz wyżej i wyżej, poprzez Carducciego, który stał się synem Romanji, do zwiastuna naszej rewolucji, Alfreda Orianiego, do łagodnego i górnego Pascolego, do Serry, który może jedyny z pomiędzy nas potrafiłby napisać naszą „spowiedź dzieci" nie „wieku", ale

„dwu epok", rozdzielonych i połączonych przez bohaterskie kretowiska, jakiemi były okopy.

A każdy z nich zdaje się wykuwać w sobie jeden albo oba pierwiastki, które wyróżniają tę rasę: najwyższy, bezinteresowny idealizm i mocne realistyczne poczucie życia. Oto dwa górujące tony w charakterze i fizjognomji Mussoliniego. Albowiem mąż stanu, którego należy odróżnić od „ludzi z rządu" (Włochy mogą wymienić wielu „ludzi z rządu", ale bardzo nielicznych „mężów stanu"), mąż stanu — powiedzieliśmy — nie może być wyłącznym idealistą, człowiekiem nie z tego świata, ani też nie może ograniczyć się do roli mechanicznego wypełniciela wymagań chwili bieżącej. Polityk, o ile nie połączy w sobie, i to w odpowiednim stosunku, tych dwu cech, które dopełniają się i równoważą na przemiany, albo kończy na utopji, jak Savonarola, jak Cola di Rienzo, albo pozostawia po sobie tylko ślad wątły, biurokratyczny i administracyjny, jak Depretis i Giolitti. Genjusz polityczny ma także swoje natchnienie mistyczne, swoje nieomylne przeczucie rzeczy i wypadków, które starożytni uosabiali w genjuszu opiekuńczym. Natchnieni byli Aleksander i Cezar. Napoleon wierzył w „swoją gwiazdę". Polityka i strategja, w odróżnieniu od rządzenia i taktyki, które stanowią ich części, nie jest nauką, ale dziełem sztuki. Rządzenie jest tylko spełnianiem wskazań tego natchnienia, które rodzi się w głębinach duszy, puszcza pędy, jeżeli tak można powiedzieć, z tajnego źródła wiary, z przeświadczenia o powołaniu, któremu genjusz się ofiarował duszą i ciałem, dla dobra umęczonej ludzkości, zwłaszcza w godzinach mętnych i drętwych, kiedy załoga widzi z pokładu, jak ciemnieją gwiazdy, jej przewodniczki do wczoraj, i słyszy, jak skrzypi ster na wzdętej fali, pozostawiony sam sobie.

Benito Mussolini — z czołem, na którem idea błyszczy jak odblask wewnętrznego światła, ze szczęką i podbródkiem o sile prawdziwie rzymskiej — jest jednym z rzadkich przykładów harmonji między ideałem a rzeczywistością, jakie historja danego ludu wyprowadza z własnego łona, w rozstrzygających godzinach, a prawie zawsze po okresie srogiego cierpienia.

To jest człowiek, który w mowie w Pesaro używa całej potęgi i sugestywnej siły swojej duszy, aby wyszydzić oklepany pogląd, że zagadnienia ekonomiczne mają swój wyłączny rodo-

wód w materji, że pierwiastek woli nie ma na nie najmniejszego wpływu. On to komentując wojny punickie z katedry w Perugji, potrafi tchnąć w ten przedmiot aktualność, która zdumiewa, poprostu jak gdyby mówił o dominjach angielskich albo o francuskim Tunisie.

Człowiek ten, który woli suche wykazy cyfr nad wszelki rozpęd retoryczny, w mowie o paktach laterańskich uderzeniem skrzydeł wzbija się chwilami na wyżyny, na których styl i treść są już historją w tej samej chwili, w której się urodziły.

Z jakiejż głównej idei płynie ten jego idealizm, który ucieleśnia się w dotykalnych konstrukcjach, czy to będą ustawy, czy akwadukty, meljoracje czy plebiscyty?

Z wiary. Z wiary, śmiem powiedzieć, religijnej, jaką żywi dla państwa, wiary nie bałwochwalczej, ale będącej dziedzictwem wieków, z idei, którą na naszym gruncie łacińskim długie wieki poddaństwa zamroczyły, wypaczyły, ale której nie zniweczyły nigdy. Pojęcie państwa, nie jako aparatu policyjnego dla obrony przeciwko wtargnięciu jednostki, w której oczach państwo jest ciężką i powolną maszynerją, funkcjonującą w gruncie dla swoich potrzeb samolubnych, jednostkowych czy klasowych — ale pojęcie państwa, rozumianego po rzymsku, jako wyraziste oblicze narodu, boski wizerunek ojczyzny, materjalna i moralna, etyczna i estetyczna ojcowizna czterdziestu dwu miljonów Włochów, najświętszy spadek, przekazany nam przez nieskończony zastęp męczenników, którzy czasu niewoli wołali słowem buntu, zawsze, nawet i wtedy, kiedy było ono rzężeniem, dławionem przez stryczek, i wtedy, kiedy było muzyką i na skrzydłach genjuszu przebywało góry i morza, płakało z Bellinim i huczało z Verdim. Ten długi i ciężki łańcuch cierpień i chwały musiał wzmocnić się o sześćkroć sto tysięcy żołnierzy poległych w ostatniej wojnie i o przeszło trzy tysiące zabitych działaczy w bojach o triumf faszyzmu.

*

Nic ponad państwem, nic przeciwko niemu, nic poza niem. Istnieje bowiem sprawiedliwość państwowa, która czuwa i wyrokuje, wyniesiona ponad interesy jednostek i grup, właśnie dlatego, że jednostki i grupy są częścią państwa, oddychają, rozkwitają i rozradzają się w państwie.

Stąd, jako logiczna konsekwencja, szacunek dla pierwiastka władzy, która wyraża się w hierarchjach. Ponieważ zaś siła i urok tych hierarchij pochodzi od państwa, spełniają one wysoki mandat, tak jednak, aby nie mógł się on przemienić w karjerę polityczną, w polityczne rzemiosło, najsmutniejsze i najszkodliwsze z rzemiosł. Agnostyczne państwo przeszłości, będące na usługach wszystkich i niczyich, ożywione tym nowym tchem, staje się budową moralną, wpierw jeszcze nim się stanie organizmem politycznym. Podejmuje ono, rozważa i doprowadza do porządku zagadnienia, które nie są wyłącznie zagadnieniami rządu, ale samem, idealnem i materjalnem przeznaczeniem narodu, a sięgają od praw o walce z gruźlicą, o obowiązkowych ubezpieczeniach robotników aż do Karty Pracy, gdzie właśnie nastawienie, struktura i dyscyplina gospodarcza narodu opierają się, jako na swojem założeniu, na zdrowiu fizycznem i moralnem wytwórcy, miljonów wytwórców, wciągniętych do Syndykatów i zjednoczonych we wspólną całość: w Korporację.

Wielcy politycy byli i będą zawsze bezlitosnymi burzycielami wszystkiego, co teraźniejszość wlecze za sobą martwego, ale będą także wskrzesicielami tej małej czy wielkiej reszty przeszłości, która zdolna jest do przetrwania, powiedziałbym nawet do odżycia, kiedy ich oskard, odbijając tynk godnych żałości epok, dotrze do znaków piękności albo dobroci, nietkniętych pod wandalską przeróbką. Ale aby politycy mogli spełnić tak tytaniczne dzieło burzenia i wskrzeszania, wstrzyknięcia, żeby tak powiedzieć, nowych soków w pień przeszłości, muszą być ludźmi wyjątkowej miary, muszą w sobie uosabiać cały naród.

Wtedy polityk nosi imię Cezara, Cromwella, Napoleona, Cavoura, Mussoliniego. Wtedy niema mowy — zastanówmy się nad tem — o despotyzmie, a nawet o dyktaturze, ale o samorzutnem, pełnem zapału wyrzeczeniu się wszystkiego, co wydaje się znikomą, czystą formalnością, małą ambicją, — wyrzeczeniu się na rzecz człowieka, który jedyny jest w stanie nadać nową treść słowom wytartym jak stary szeląg, a nawet w twardą dyscyplinę umie tchnąć piękno, wynikające stąd, że walka toczy się w imię wyższych i trwalszych wartości, aniżeli

nasze nędzne sobkostwo, nasze nikłe spory o osławioną grzędę sąsiedzką.

*

Zatem państwo suwerenne, ale nie statolatrja, jeżeli tylko zadamy sobie trud zajrzenia do Karty Pracy, choćby tylko do jej przesłanek. Kto uważa faszyzm za nawrót do martwej przeszłości, zagalwanizowanej przez przemoc jednej partji, a bronionej sztucznie i przebiegle przez las bagnetów i wsteczne kodeksy, ten jest albo człowiekiem złej woli, albo nie zna podstaw naszej rewolucji. Tymczasem Karta Pracy to *magna charta* Włoch dzisiejszych. W syndykatach tkwią kadry wytwórcze pracowników fizycznych i umysłowych. Korporacje to instytucja, która przygotowuje, systematyzuje i usprawnia stosunki między pracodawcami a pracownikami, między kapitałem a pracą, to filary budowy Mussoliniego, a Narodowa Rada Korporacyj to Sztab Główny ustroju. Bo jakkolwiek walka klas zamieniła się dla nas we współpracę kapitału z pracą, a kapitał jest już tylko pracą skonkretyzowaną w bogactwie i bogactwem zdolnem do przedzierzgnięcia się na nowo w pracę dla chluby i potęgi narodu, to przecież walka ekonomiczna jest jeszcze dla nas zawsze, jak i dla innych, bogatszych od nas narodów, twardą walką, wyrażoną, jak to dobrze określił Dino Grandi, w uporze i cierpliwości, cnotach, któremi w przeszłości naród nasz nie grzeszył.

Państwo suwerenne: znaczy, że wyrasta ponad samowolę jednostek i tłumów, jako ideał i jako chlubny proporzec na wielkim maszcie, i w imię sprawiedliwości, a więc jako starożytna *suprema lex*, jako swój obowiązek i swoje prawo podejmuje zagadnienia gospodarcze i kulturalne, higjeniczne i artystyczne całego narodu. Pojęcie imperjalistyczne, zapewne, ale ożywione na nowo i zaktualizowane, doskonale przystosowane do dzisiejszego życia dzięki postaci „wytwórcy", którą faszyzm postawił na miejsce t. zw. obywatela, chorego na wodną puchlinę syna t. zw. „Nieśmiertelnych Zasad", rozkładowego mikrokosmosu fazy historycznej, która — i to nietylko dla naszego półwyspu — należała do najbardziej złowrogich, jakie zapisała kiedykolwiek historja starego i nowego świata, ze względu na nastręczające się dzisiaj zagadnienia i na przyszły ich rozwój. A wszystko to dzieje się w atmosferze zapału i dostojeństwa,

jakich Włochy, zapatrzone w przeszłość, nigdy nie były zdolne sobie wyobrazić. Bo Włochy przedwojenne wystawiły Nathana, herszta rodzimej masonerji, chodzącej na sznurku masonerji francuskiej, żyda Nathana przeciwko papieżowi, dobrowolnemu więźniowi, a spiżowa brama, strzeżona z jednej strony przez karabiniera, z drugiej przez szwajcara, oddzielała zasmucony Rzym watykański od leniwego i zgłodniałego falansteru biurokratów, od owej mrukliwej biurokracji, która przez swoje zabiegi i machinacje miała nas zawieść od Vittorio Veneto do wiarołomstwa Nittiego i do tchórzostwa ostatnich dygnitarzy przedfaszystowskiego ustroju.

Dzisiaj Pakt Laterański i Konkordat przywróciły Włochy Bogu, a Boga Włochom.

Kult rozumu — nonsens logiczny i etyczny — nie mógł doprowadzić do niczego innego, jak tylko do tępego i płaskiego racjonalizmu, albo, w warunkach specjalnych, jak te, które nie od dzisiaj, ale zawsze ciążyły nad Rosją, wyrodzić się w obrazoburstwo i prześladowania, które z natury rzeczy bolszewizm uprawia w stosunku do Kościoła i jego sług. My, dzięki Paktowi Laterańskiemu, wychodząc z dwuznacznej sytuacji, wytworzonej przez prawa o gwarancjach, obaliliśmy głupie teorje i przez Rosminiego, Giobertiego, Manzoniego — aby wymienić największych — nawróciliśmy do naszej katolickiej, apostolskiej, rzymskiej tradycji.

Nasz konkordat nie ma nic wspólnego z pogańskiem wyznaniem wiary Maurrasów i Daudetów, którzy oświadczają, że w gruncie rzeczy wiara jest tylko doskonałem narzędziem rządzenia. Nie — my wyraźnie odróżniamy funkcje Kościoła od funkcyj Państwa, nietylko w naszych sprawach, ale także w sprawach Città Vaticana, uznając zgodnie z literą Statutu Albertyńskiego, że Kościół katolicki, jako wyraziciel prawie wszystkich Włochów, powinien, wzamian za tę swoją wysoką rolę, mieć zapewniony spokój i bezpieczeństwo. Spokój ten i bezpieczeństwo Państwa papieskiego nietylko nie godzą w powagę Państwa włoskiego ze stolicą Rzymem, ale pozwalają obu mocarstwom obcować z sobą szczerzej, aniżeli to było możliwe za rządów ministrów masonów w stosunku do papieży, zasiadających w Watykanie od Piusa IX do Benedykta XV.

Z tego pogodzenia dwu potęg, dzieła rozmysłu, bystrości i genjuszu Mussoliniego, który w tym czynie, jak w innych swoich czynach, zdaje się realizować wszystko, co Risorgimento pozostawiło tymczasowem i niedokończonem, wynika dla nas, uczestników tego faktu historycznego, a bardziej jeszcze dla naszych synów, dzisiaj „Balillów" i „awangardzistów", wyczucie pierwiastka boskiego, który odróżnia zorganizowane narody od bezkształtnych skupisk, jak Rosja.

Wiara jest czemś nieskończenie wyższem od zakrystyj, gdzie w latach przygnębienia i wstydu, w półcieniu, przesyconym pleśnią i kadzidłem, don Sturzo w sutannie próbował kierować polityką Włoch zapomocą sztuczek Tartuffe'a. Ci, którzy po drugiej stronie Alp prorokowali, że Włochy po pogodzeniu się z Watykanem staną się rodzajem Hiszpanji z czasów Torquemady, albo że katedra św. Piotra skurczy się do roli biskupstwa rzymskiego, widzą dziś najbardziej druzgocące zaprzeczenie tego w słowach *Osservatore Romano,* napisanych po wizycie Sekretarza Partji Faszystowskiej.

Zupełna swoboda dla Kościoła we wszystkiem, co dotyczy pełnienia jego zadań, ale żadnego śladu mieszania się do spraw, które stanowią pełne i nienaruszalne prawo Państwa włoskiego i wypływają z jego skomplikowanych obowiązków.

Oto idealne schematy, obejmujące życie materjalne i moralne narodu, który za dwadzieścia lat dojdzie do pięćdziesięciu miljonów mieszkańców, narodu, który nareszcie daje dowód, że wyrósł z małoletności, choć może przez to stał się mniej zabawny, mniej rozśpiewany, kolorowy i pociągający dla towarzystw turystycznych, które we Włoszech nie chciały nic dostrzec oprócz sławnych ruin, i rozsiadały się na nich jak jaszczurki, aby radować się naszem słońcem i zagryzać w jego blaskach paszteciki.

„Żyć wśród niebezpieczeństw" *(Vivere pericolosamente)* — oto hasło, rzucone nam przez Mussoliniego. To jest faszyzm, określony przez swego twórcę. To jest rolnik, który przywrócony do dawnej godności, użyźnia każdy kawałeczek półwyspu, zamieniając karczowiska na zagony zboża, bagna nadmorskie na owies, piachy Cyreneiki i Tripolisu na gaje oliwne. A robotnik, już dziś nie maszyna między maszynami, jakby pamiętny dalekiej przeszłości, czuje, jak w nim odżywa

duma z własnego trudu, i na freskach swoich ratuszów rozpoznaje oblicza swoich przodków, zebranych dokoła chorągwi cechowej, kiedy cały lud był artystą i mówił do panujących jak do współobywateli, bez chełpliwości i bez służalczej pokory. To gospodarka, z pewnością niełatwa, narodu osadzonego przez Boga na arenie wielkich materjalnych i idealnych zdobyczy, narodu, który nareszcie odrzuca od siebie smutny przywilej, że go nazywano „wielkim proletarjuszem". Nie dlatego, że zbogacił się na wygranej wojnie i na sprawiedliwym podziale jej łupów, ale że wkońcu nauczył się, iż bogactwo ludów to nietylko to, co banki gromadzą w swoich podziemiach, uroczystych jak mauzolea.

To nowy styl dyplomacji, która na kongresach międzynarodowych nie siada już na szarym końcu stołu, między sługami, jak Łazarz na uczcie u Epulonów, i nie pozwala dłużej, aby ten lub ów, opchany po gardło, wyznaczał jej wycieńczający system dietetyczny, a mówiąc bez przenośni: kazał się wyrzekać własnej obrony i własnej godności.

Zbyteczne podkreślać, że podobny wysiłek wymaga żelaznej wytrwałości, cierpliwości, poświęcenia. Napoleon powiedział, że w sprawach wojskowych, publicznych i administracyjnych potrzebna jest mocna myśl, głęboka analiza i zdolność wpatrywania się długo w przedmiot, bez poddawania się ani na chwilę zmęczeniu.

Słowa te można wprost zastosować do genjuszu Mussoliniego i do całości faszyzmu; słowa te nasz Król wziął sobie za zasadę, w dniu, kiedy w żałobie wstępował na stopnie tronu i swój ból synowski umiał przekuć na twarde poczucie obowiązku dla swego domu i dla swego narodu, tak w pokoju jak w wojnie.

Bolszewizm nad brzegami Newy systematycznie niszczy podstawy moralności, owoc tysiącleci cierpień i trudów. Faszyzm razem z Tybrem schodzi do ujścia u Ostji, i z miejsc, gdzie wylądował Eneasz, założyciel plemienia, woła ku morzu, ku trzem morzom, podnosząc hasło swego śródziemnomorskiego posłannictwa. W Rosji nienaruszalne instytucje — trójca: Bóg, ojczyzna, rodzina — walą się z głuchym łoskotem, jak bryły śniegu z dachu wielkopańskiego pałacu, zamienionego na noc-

legowy przytułek. W Italji instytucje te krzepną. Przy kim będzie zwycięstwo?

Wyniki już dzisiaj są widoczne.

Tam smutna i głodna trzoda, prowadzona przez obłędnych pasterzy, opanowanych białą gorączką niszczenia, tu na polach i po fabrykach rasa silna, zdrowa, ochocza, która zamienia na bogactwo swoją tradycyjną trzeźwość, a na miłość ojczyzny swój męski trud. Tam pod zębatemi murami Kremlu mauzoleum Lenina, ciężkie jak zmora — tu na szczycie szerokich marmurowych schodów u stóp Italji, takiej, jakąśmy ją sobie wymarzyli, poważnej i macierzyńskiej, prochy Nieznanego Żołnierza, które maj, wiosna całej rasy, nareszcie oswobodzonej z cudzej niewoli i z niewoli u samej siebie, wstrząsa i ożywia swoim tchem, jak słońce ożywia atomy nowego życia, wirujące w jego promieniu.

Nowe życie. Tak. Na białych schodach pomnika oto tysiączne roje, oto chłopcy, oto dziewczęta, oto awangardziści, przybyli ze wszystkich krain włoskich na święto Narodzin Rzymu. Wchodzą na stopnie w doskonałym porządku, wyćwiczeni i pewni jak weterani, wchodzą ku ołtarzowi Ojczyzny. I w ciszy wytryska, najpierw niepewnie, prawie nieśmiało, potem szeleści, potem szumi krystalicznie ku niebu rzymskiemu, jak woda bardziej błyszcząca od szkła, jak woda stu niewyczerpanych fontann Rzymu — rozbrzmiewa śpiew młodości: *Giovinezza, Giovinezza...*

ROBERTO FORGES-DAVANZATI
Członek Wielkiej Rady Faszystowskiej
Naczelny Redaktor rzymskiej „Tribuna"

FASZYZM JAKO CZYN, WIARA, IDEA

Żyjemy w epoce, kiedy trwa jeszcze fetyszyzm większości wyborczej, fetyszyzm rywalizacji stronnictw politycznych, fetyszyzm organizacji klasowej. Trzeba wyzwolić się z pod sugestji tych haseł, i dopiero wówczas można w całej pełni zrozumieć rewolucję faszystowską, ocenić jej wartość, zarówno narodową jak ogólno-ludzką.

*

Fetysz większości wyborczej oznacza podporządkowanie pojęcia dobra ogólnego, narodowego i społecznego temu, co kolejno i często bezładnie objawia się jako większość, jeżeli wogóle przyjmiemy, że większość może objawiać się swobodnie i potrafi zjednywać sobie ogólną wolę narodu. Tam, gdzie ustrój liberalno-demokratyczny jest nieopartą na tradycji formułą, mamy poprostu zatracenie wszelkiego pojęcia dobra ogólnego, narodowego czy społecznego, tak że za dobro poczytuje się to, co w danym momencie uchodzi za jawną wolę większości. Faszyzm natomiast to górujące pojęcie dobra ogólnego, narodowego i społecznego, wcielone w Człowieka, którego dyktatura nosi wyłącznie charakter moralny i jest symbolem tej samej władzy moralnej, jaką posiadały wszystkie wielkie postacie, założyciele państw, dowódcy, myśliciele, poeci, występujący w historji jako potężni interpretatorzy i spełniciele posłannictwa jakiegoś narodu. W rzeczywistości lud włoski przez rewolucję faszystowską uwolnił się od czczej ideologji demokratyczno-liberalnej, obcej i niebezpiecznej, aby odnaleźć po wojnie i po zwycięstwie treść własnego posłannictwa dziejowego i ogólno-ludzkiego, zgodnie z tradycją historyczną i zgodnie z genjuszem plemienia.

Mussolini, który cierpi z cierpiącym ludem, wypróbowuje fałsz socjalistycznej międzynarodówki, chce przystąpienia do

wojny, bierze w niej udział, broni zwycięstwa i ocala je w jego wartościach moralnych, dokonywa wyzwoleńczego marszu na Rzym, odnawia państwo, rozwiązuje przez Traktat laterański wiekowy zatarg — jest przedstawicielem jedności Włoch i posłannictwa włoskiego, którego Italja oczekuje od sześciu stuleci, od Dantego do Machiavella, od Vica do Manzoniego, Cavoura, Garibaldiego i który przybywa w dziejowej godzinie, będącej zarazem jego godziną.

Demokracja znosi, a nawet zgadza się, że w dniach wielkich prób należy wprowadzać dyktaturę, choćby nie było dyktatora, a podczas wojny musiała przyznać, że ustrój parlamentarny nie mógł funkcjonować, jak i nie funkcjonował, chyba tylko żeby przynosić szkody. Demokracja, która jest rządem miernot, odrzuca moralność bohaterską, ale moralność bohaterska wypełnia przecież historję narodów, kiedy nie upadają, ale są rzeźbiarzami swoich własnych dziejów. A moralność bohaterska to właśnie naczelna idea dobra powszechnego, narodowego i społecznego. Jej to jest posłuszny faszyzm i z posłuszeństwa czerpie swoją siłę rozkazywania.

Rozkładowemu fetyszowi większości wyborczej, jako suwerennej władczyni, faszyzm nie przeciwstawił bezdusznego fetysza władzy oligarchicznej i tyrańskiej, fetysza „reakcji". Faszyzm to, przeciwnie, naród włoski, który skupia się dokoła wodza. Ta jego dziejowa wartość włoska staje się wartością etyczną i wszechludzką, ponieważ w historji cywilizacji zawsze wszystko, co jest włoskie, jest zarazem wszechludzkie. Odnalezienie posłannictwa, to jest wspólnego dobra, i rozwiązanie za pomocą tego dzieła wiary zagadnień, składających się na umiejętność rządzenia i na władzę państwową, oznacza drogę zbawienia dla wszystkich narodów, które jeszcze podlegają fetyszowi większości wyborczej i niebezpieczeństwu zatracenia treści własnego posłannictwa.

*

Fetysz rywalizacyj partyjnych, uważany za nieodzowny dla alternatywy władzy w ustroju parlamentarnym, dzisiaj, w rzeczywistości, przeciwstawia się prawu większości. Nawet w Anglji odwieczny podział na dwie partje, kolejno zmieniające się przy władzy, został już przełamany skutkiem zjawienia się partji pracy, tak że istnieją już trzy stronnictwa: kon-

serwatyści, liberali i partja pracy, oraz skutkiem dążenia do stworzenia wtórnych podziałów, jakie spostrzegamy wśród konserwatystów i w samej partji pracy. Organiczna zasada większości doznała tedy ciosu przez konieczność, która każe partji pracy starać się o głosy liberałów, aby się utrzymać przy władzy.

We wszystkich innych krajach europejskich, gdzie panuje ustrój parlamentarny, liczba stronnictw i ugrupowań jest tak znaczna, że niema już mowy o większości wyborczej czy parlamentarnej jako takiej, ale o zmiennych kombinacjach i zbieraninie. W ten sposób demokratyczno-liberalny fetysz partyj stoi w sprzeciwie z demokratyczno-liberalnym fetyszem większości. Demokracja, która wmawiała sobie, że stworzyła podstawowe warunki dla rządzenia, znajduje się dziś w położeniu, które jest wszędzie ciągłym sabotażem działalności rządu. Wielość partyj na miejsce rządu stronnictwa większości postawiła rząd koalicyjny, to znaczy nie-rząd. To też tam, gdzie rząd utrzymywał się dłużej, jak to widzieliśmy naprzykład z rządem Poincarégo we Francji, tam powstał on i trwał naprzekór istotnej większości, która wyszła ze skombinowanej listy kartelu lewicy.

Faszyzm jest Partją jednolitą, partją poddaną idei powszechnego dobra, zorganizowaną jako zalążek wnoszący ład w życie narodowe. W istocie jest to negacja stronnictwa, a zwłaszcza stronnictw rozumianych wyłącznie jako podziały życia narodowego, jako organizacje nadewszystko albo wyłącznie wyborcze, jako przeciwstawienia programów częściowych i szczegółowych, często zupełnie drugorzędnych. Bo kiedy programy są wywrotowe, jak to ma miejsce z partjami socjalistycznemi i komunistycznemi, nonsensem jest mówić o partjach rządowych; są to partje, które zupełnie otwarcie, w tym samym, dniu, w którym przyszłyby do władzy, wprowadziłyby inny ustrój, jak to miało miejsce, przy zbiegu innych jeszcze okoliczności, w Rosji, gdzie bolszewizm nie jest niczem innem, jak urzeczywistnieniem marksizmu.

Faszyzm, który nie toleruje partyj, dążących do zupełnie odmiennego ustroju, który nie pozwala idei ogólnego dobra oddawać na łaskę jakiemuś kaprysowi większości, czy chwilowej kombinacji stronnictw i grup, jest tem samem partją-ustro-

jem, partją, która zamiast dzielić, jednoczy, zamiast zapatrywać się w wyborcę, to jest w obywatela w chwili, kiedy jest wzięty w pacht przez demagogów, sam kształtuje obywatela według pojęcia dobra ogólnego, i to zaczynając już od dziecka.

*

Fetysz organizacji klasowej, przyjęty, cierpiany przez państwo demokratyczno-liberalne, od kiedy rozwinął się ruch socjalistyczny, jest zaprzeczeniem zasady większości i zasady przeciwieństwa stronnictw politycznych. W rzeczy samej państwo demokratyczno-liberalne, ofiara swoich własnych zasad, zgodziło się na biegunowo sobie przeciwną zasadę marksizmu, zasadę walki klas. Sądziło, że to jest zasada ekonomiczna, a nie polityczna, jakgdyby stosunki gospodarcze nie były pierwiastkiem zasadniczym układu politycznego. Sądziło, że niewdawanie się państwa w sprawy gospodarcze narodu będzie pożytecznym środkiem, aby z samej walki ekonomicznej, z samej walki klas wykrzesać czynnik równowagi. A tymczasem znalazło się wobec organizacji klasowej, uświęconej nawet w stosunkach międzynarodowych, z chwilą, kiedy przyjęto w organizacji Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie, że poszczególne państwa będą rozkrajane na trzy oddzielne przedstawicielstwa: pracowników, pracodawców i każdorazowego rządu.

Organizacja klasowa stała się tedy dominującym czynnikiem w polityce wewnętrznej i międzynarodowej, w zupełnem przeciwstawieniu do zasad państwa liberalno-demokratycznego. Zapanował rozkład, wynikający z roboty politycznych partyj socjalistycznych i komunistycznych, uzależnionych bądź to od jakichś organizacyj ekonomicznych, bądź to od rozmaitych klasowych międzynarodówek, z samej konieczności antypaństwowych i antynarodowych.

Faszyzm, ruch z natury swej moralny, narodzony z wojny i ze zwycięstwa, wiejski i miejski, włościański i robotniczy, ogarniający oficerów i żołnierzy, uczestników wojny i wytwórców, jest jedynym ruchem, dążącym do zlania narodu, do zorganizowania społeczeństwa pod przewodem państwa, a który może się przeciwstawić organizacji klasowej i jej logicznej konsekwencji: zbolszewizowaniu. Jest to jedyny ruch, odrzucający walkę klas, ponieważ organizuje społeczeństwo narodowe w układ korporacyjny. Inaczej: jest to jedyny pozytywny ruch

twórczy pośród wszystkich, ruchów wywrotowych i reakcyjnych, jakie państwo liberalne musi przeplatać między sobą, skoro uznaje prawo do ekonomicznej walki klas, tak jak gdyby obywatele jednego państwa przestawali być takimi, z chwilą kiedy idzie o ich działalność wytwórczą. Wyszło to na jaw w przerażającym kryzysie podczas strajku górników angielskich, kiedy państwo czekało aż jedna strona ustąpi drugiej pod widmem głodu, tak jak gdyby nie szło o Anglików po jednej i po drugiej stronie.

Faszyzm to nie są rządy klasy, to nie jest czysty i prosty autorytet państwa, ale to jest społeczeństwo Włochów, ułożone w hierarchje wytwórczości, która nie jest klasowa, ale związana spójnią solidarności narodowej.

*

Tak więc rewolucja faszystowska jest faktem wiary i faktem rzeczywistości, którego biegunowość w stosunku do ustroju demokratyczno-liberalnego nie jest natury apriorycznej i programowej, lecz historycznej i etycznej. Faszyzm walczy przeciwko rozkładowi bolszewizacji i wnosi w życie wartości zrodzone z przystąpienia Włoch do wojny i ze zwycięstwa (nie należy bowiem nigdy zapominać, że Włochy przyłączyły się do wojny nie zmuszone koniecznością, ale z własnej woli, a to było czynem narodowym, zadecydowanym przez tych samych ludzi, którzy z czasem stać się mieli autorami rewolucji faszystowskiej). Faszyzm urzeczywistnia się stopniowo według własnych twórczych zarodków, pod przewodem Wodza — Mussoliniego. Tylko z jego urzeczywistniania się, to znaczy z jego doświadczenia i jego potrzeby czynu, powstaje samorzutna, naturalna, wymowna antyteza faszyzmu i ustroju demokratyczno-liberalnego w jego istotnych cechach. Tem się tłumaczy, że rewolucja faszystowska nie przyjęła form gwałtownej przemocy i nie popadła w okrucieństwa i błędy, nieuniknione w wypadkach, kiedy zagarnięcie władzy i sprawowanie rządów przychodzi w ślad doktrynerskiego fanatyzmu i oschłej programowości. Te nawskróś włoskie znamiona rewolucji faszystowskiej nie umniejszają jej ogólno-ludzkiej ceny, ponieważ dzisiaj we wszystkich krajach o ustroju demokratyczno-liberalnym zapanowało przekonanie, iż ustrój ten przeżywa głęboki kryzys. Faszyzm jest dotychczas jedynem organicznem wyjściem z tego

kryzysu, na jakie zdobyła się Europa. Doświadczenie faszystowskie jest tedy pożyteczne nawet poza granicami Włoch, i musi się z niem liczyć każdy, kto tylko zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, grożącego cywilizacji europejskiej.

*

Rewolucja faszystowska stworzyła państwo faszystowskie i społeczeństwo korporacyjne. Społeczeństwo korporacyjne umożliwia wykonywanie władzy państwowej we wszystkich dziedzinach pracy obywatela, która jest jednością i nie może być dzielona i uprzywilejowana, kimkolwiek on jest: żołnierzem czy wytwórcą, uczniem czy ojcem rodziny. Państwo faszystowskie to państwo przywrócone do ciągłości swoich funkcyj poprzez pokolenia, poza przypadkową sferą chwilowych interesów.

Dokonał się pogrom państwa demokratyczno-liberalnego, które w prawie większości gubi powagę własnej tradycji i rękojmię przyszłości, które zostawia społeczeństwo niezorganizowane, rzucone na łaskę zasady indywidualistycznej i walki klas.

Ale faszyzm nie zakłada swoich celów wyłącznie na autorytecie państwa i dobrobycie materjalnym społeczeństwa. Chce, aby spójny układ społeczeństwa i siła państwa poszły na usługi posłannictwa narodu. Faszyzm tworzy prawa, ale nie ubóstwia fetysza doskonałości praw. Prawa mają wartość o tyle, o ile są obyczajem jakiegoś narodu. A obyczaj narodu ma wartość, o ile stanowi ciągłość pokoleń w sposobie życia duchowego, który się nazywa cywilizacją. Faszyzm, właśnie kiedy najbardziej zdawał się uwikłany w walkę z wrogiemi siłami, został określony przez Duce jako s p o s ó b ż y c i a *(un modo di vita).*

Powaga państwa nie może stać tylko sama sobą, ogólnikowem pojęciem ładu i hierarchji, zgrania i podporządkowania. Powaga państwa żyje, kiedy jest wyrazicielką posłannictwa ludu. Państwo samo nie jest celem, ale narzędziem dobra.

*

Bolszewizm, przy zbiegu specjalnych okoliczności, jest urzeczywistnieniem wszystkich zasad rozkładowych, które bynajmniej nie są własnością Azji, lecz indywidualistycznej, demokratycznej, zmaterjalizowanej, bezwyznaniowej, marksowskiej Europy.

Państwo bez Boga, społeczeństwo plutokratyczne, rodzina bezdzietna, i nawet bez jedności małżeńskiej, sobkowski indywidualizm, rozkładowa międzynarodowość, apokaliptyczny przepych, dopuszczalny obok doprowadzonej do rozpaczy nędzy i zbuntowanego bezrobocia, oto ferment zżerający cywilizację europejską, oto bolszewizm. Faszyzm jest jedynym ruchem, który to ukazał w całej ohydzie, dzięki czynowi Mussoliniego. Faszyzm jest jedynym ruchem politycznym, który wspiera się na potędze ludzkiego ducha, który zbliża do tajemnic boskości wysiłek ziemski, wierzy w twórczą moc posłannictwa narodów.

Faszyzm, nawskróś włoski w swoich zasadniczych cnotach, tak jak się one objawiają w kolosalnej postaci Mussoliniego, jest zarazem głęboko ludzki i głęboko religijny. Ludzki, ale nie humanitarny na wzór XVIII stulecia. Katolicki, nie protestancki. Wszechludzki, ale nie międzynarodowy. Ludowy, ale nie demokratyczny. Hierarchiczny, ale nie despotyczny.

Nawet ci, którzy mu się sprzeciwiają, muszą go szanować i powinni go zrozumieć. Cierpiał faszyzm i pracuje nietylko dla zbawienia Włoch, lecz, zgodnie z odwiecznem posłannictwem narodu włoskiego, dla ocalenia cywilizacji europejskiej.

ALFREDO ROCCO
Minister sprawiedliwości
i wyznań religijnych

PRAWODAWSTWO FASZYSTOWSKIE

Prawodawstwo faszystowskie, nawskróś nowatorskie we wszystkich dziedzinach organizacji państwowej i życia społecznego, zasługuje na poznanie, nietyle w poszczególnych jego częściach — aczkolwiek i one same przez się posiadają wysoką wartość —, ile w jego całokształcie. Przejrzenie tego prawodawstwa w całej rozciągłości pozwala uchwycić ducha twórczego, który przenika wszelkie poczynania faszystowskie i prowadzi do całkowitego urzeczywistnienia politycznej doktryny faszyzmu, biegunowo przeciwstawnej tradycyjnej doktrynie liberalno-demokratycznej.

Reformy prawodawcze, wprowadzone przez faszyzm, świadczą o głębokiem przeobrażeniu nietylko zewnętrznej strony instytucyj prawnych, ale także ich ducha i sposobu ich funkcjonowania

Przeobrażenia tego, wcześniej jeszcze aniżeli w prawodawstwie, dokonał faszyzm w nastrojach, obyczajach i tradycjach narodu. Dopiero kiedy dzięki olbrzymiemu rozmachowi, jaki przyniósł z sobą, dokonało się dobroczynne odnowienie życia publicznego we Włoszech, można było z pożytkiem przystąpić do szeregu konkretnych reform prawodawczych, które oznaczają ostateczną likwidację państwa liberalnego, a ustanowienie państwa faszystowskiego.

Państwo liberalne było państwem bez treści, bez własnego ideału, bez własnego posłannictwa, przedewszystkiem bez własnej woli. Faktyczne siły, tkwiące w narodzie, organizowały się, żyły, kwitły poza państwem, aż wreszcie dochodziło do opanowania go przez nie.

W rzeczy samej państwo, pozbawione treści, oczekiwało jej od sił, które pozostawały poza niem, a wszystkie po kolei

były upoważnione do narzucania mu własnego ducha i woli. Stąd sparaliżowanie państwa i wewnętrzna sprzeczność, w jaką codzień popadały wszystkie jego czyny; skoro bowiem każdy miał prawo zbliżać się do niego z własnym ideałem i własnym programem, a ono samo nie posiadało żadnego, musiał się wytworzyć zamęt sprzecznych teoryj, z którego państwo wychodziło niespojne i bezwładne.

Taki stan rzeczy nie przedstawiał wielkiego niebezpieczeństwa w początkowych latach istnienia państwa włoskiego, jak wogóle nie był bardzo groźny w pierwszym okresie konstytucyjnej i politycznej historji Europy, który nastąpił po r. 1815, ponieważ rewolucja francuska, szerzycielka pojęcia liberalizmu w Europie, spełniła inne jeszcze posłannictwo i inny czyn, którego doniosłości niepodobna przeoczyć, a mianowicie zniwelowała wszystkie siły istniejące w narodzie, sprowadzające je do jednego poziomu i do bezwzględnego zatomizowania.

Rozumie się samo przez się, że takie sproszkowanie życia społecznego, niszcząc choćby czasowo wszystkie zorganizowane siły kraju, doprowadziło do chwilowego wzmocnienia państwa. Narazie więc liberalizm znalazł sam w sobie środki przeciwdziałające jego zabójczej doktrynie. Niemniej teorja atomistyczna nie mogła długo ostać się w życiu społecznem i nie ostała się, ponieważ rzeczywistość musiała ją obalić.

Stało się tedy, że w łonie społeczeństwa zaczęły zwolna podnosić głowę zburzone ongiś przez rewolucję francuską żywioły, zyskujące jeszcze potężniejszy rozrost dzięki powstaniu wielkiego przemysłu, gdy tymczasem państwo liberalne odżegnujące się od wszelkiej pozytywnej treści nie było już w możności stawić im skutecznie czoła.

Wytworzył się w ten sposób stan rzeczy, który z biegiem czasu stał się już nie do zniesienia; wszyscy bowiem w narodzie rozkazywali: stronnictwa, grupy, klasy — wszyscy, oprócz samego państwa. Stąd wojna wszystkich przeciw wszystkim, powszechna anarchja, która niebawem przed państwem współczesnem, a zwłaszcza przed państwem włoskiem, postawiła dylemat: albo przeobrazić się albo zginąć, albo wzmocnić suwerenność państwa w stosunku do wszystkich sił istniejących w kraju i wywalczyć państwu własny ideał i własne posłannictwo, albo — zginąć.

I faszyzm dokonał tego przeobrażenia.

Państwo faszystowskie, narodzone z przełomu ostatnich lat, to właśnie państwo, które stawia swój własny ideał i własną działalność i owłada wszystkiemi siłami istniejącemi w kraju, wszystkie je zestraja, wciela w siebie i wszystkie skierowuje ku wyższym celom życia narodowego.

Tak wygląda głębokie przeobrażenie, nad którem pracuje ustrój faszystowski, a którego nowe prawodawstwo państwowe jest najbardziej celowem narzędziem. Skonsolidowanie suwerenności państwa przeciw wszelkim zakusom rozkładowym stanowiło najważniejszą troskę rządu faszystowskiego, w chwili, kiedy ujmował w ręce ster życia narodowego. Stworzenie zaś niewzruszonych podwalin powagi i siły państwowej cechuje całe prawodawstwo faszystowskie i rzuca światło na jego ogólny charakter. Rzecz prosta, że z dążenia do wzmocnienia władzy i prestiżu państwa wypływają bezpośrednio reformy o charakterze politycznym, nie brak wszelako i reform czysto technicznych, przejętych duchem podstawowych pojęć doktryny faszyzmu.

*

Reforma konstytucji, której bezpośredniem dziełem jest przekształcenie państwa, wyraża się w niewielu ustawach. Zaczyna się od ustawy z dnia 24 grudnia 1925 r. Nr 2263 o składzie rządu i o atrybucjach i władzy Głowy Rządu, Prezesa Rady ministrów, Sekretarza Stanu. Dalej idzie ustawa z dnia 31 stycznia 1926 Nr 100 o uprawnieniach władzy wykonawczej do wydawania przepisów prawnych, następnie ustawa z dnia 3 kwietnia 1926 Nr 563 o normach jurydycznych wynikających ze stosunku pracodawców i pracujących, z czem wiąże się dokument, który, aczkolwiek sam nie ma charakteru prawodawczego, posiada jednak znaczenie wysoce polityczne, t. zw. *Carta del lavoro,* z dnia 21 kwietnia 1927, wreszcie zamyka rzecz ustawa o przedstawicielstwie politycznem i o regulaminie Wielkiej Rady Faszystowskiej *(Gran Consiglio del Fascismo).*

Dwie pierwsze ustawy mają cel wspólny: wzmocnienie władzy wykonawczej. Znaczy to innemi słowy przywrócenie państwu w całej pełni swobody wykonywania swego zwierzchnictwa, ponieważ władza wykonawcza jest najistotniejszym wyrazem państwa, rdzennym i najwyższym organem jego działania.

Upadek państwa objawił się zewnętrznie jako nadmierny rozrost władzy parlamentu na niekorzyść władzy wykonawczej. W początkowym okresie życia konstytucyjnego wszechwładza parlamentu nie pociągnęła za sobą wielkich szkód, masy bowiem, niezorganizowane narazie, nie wystąpiły jeszcze na widownię polityczną i losy państwa spoczywały faktycznie w rękach niewielkiej garstki burżuazyjnej inteligencji. Można było wtedy zrozumieć, że mniejszość ta, mająca swoje przedstawicielstwo w wybieralnej Izbie, rządziła krajem za pośrednictwem swoich pełnomocników-ministrów, którzy tworzyli komitet wykonawczy parlamentarnej większości. W podobnych warunkach zupełna zależność rządu od wybieralnej Izby nie przedstawiała jeszcze wielkich szkopułów, właśnie dlatego, że owe rządzące mniejszości burżuazyjne stanowiły w gruncie rzeczy jedyną naprawdę czynną siłę kraju. Posiadały one nadto pewną kulturę i poczucie odpowiedzialności, i swojej szerokiej władzy potrafiły używać roztropnie i z umiarkowaniem.

Z chwilą jednak, gdy do życia państwowego wkroczyły masy dla obrony swoich interesów gospodarczych, Izby wybieralne, wyłonione z głosowania powszechnego, stały się poprostu przedstawicielkami interesów jednostek i grup, często pozostających w sprzeczności z interesami państwowemi. Kiedy zaś przywódcy tych mas zaczęli się niemi posługiwać jako narzędziem osobistych celów politycznych, wszechwładztwo Izby wybieralnej stało się równoznacznikiem wszechwładztwa sił, stojących na usługach prywatnych interesów, wyjętych z pod wszelkiej kontroli i kierowanych przez nieodpowiedzialnych demagogów, idących na pasku wszelkich namiętności i ambicyj.

W takim stanie rzeczy zwierzchnictwo państwa faktycznie przestało istnieć. Na jego miejscu rozpanoszyło się zwierzchnictwo jednostek i stronnictw, z ich bezustanną walką. Stąd ciągłe konflikty ścierających się z sobą brutalnych sił, dążących do ujarzmienia się nawzajem, jednem słowem niekończący się zamęt i anarchja.

Podobny stan rzeczy nie mógł trwać wiecznie, trudno bowiem było pozwolić, aby nieodpowiedzialne czynniki paraliżowały bezustanku działalność rządu, to znaczy władzy wykonawczej, której z natury przypadają zadania zasadnicze i stanowiące o ciągłości życia państwowego, jako władzy, która

dzierży w ręku interesy historyczne i dążności najgłębiej tkwiące w społeczeństwie.

Faszyzm przywrócił władzy wykonawczej właściwe stanowisko jako naczelnemu organowi suwerenności, a uczynił to, zaledwie ujął ster spraw publicznych we Włoszech. Dwie wspomniane ustawy uświęciły prawnie te w praktyce zrealizowane już postulaty, ujmując w paragrafy przewodnie ideje ustroju, zbudowanego w pierwszem trzechleciu rządu faszystowskiego. Stało się to w formach zgodnych z wymaganiami dzisiejszego życia społecznego i politycznego, a także w nawiązaniu do przepisów obowiązującego we Włoszech Statutu konstytucyjnego.

Statut ten ustanawia w istocie ustrój zbliżony do faszystowskiego. W dawnej Monarchji Piemonckiej parlamentowi przypadała funkcja drugorzędna, ograniczona do współpracy i kontroli, gdy tymczasem główna rola czynnego wykonywania Konstytucji spoczywała w rękach Króla, najwyższego naczelnika władzy wykonawczej, który mianował i odwoływał swoich ministrów i kierował ich czynnościami.

Praktyka konstytucyjna zmodyfikowała Statut, przelewając stopniowo na Parlament, a tem samem na Izbę wybieralną, główne atrybuty władzy. Dopóki w Izbie istniała jednorodna większość, zdolna wyłonić ze siebie Rząd partyjny, władza wykonawcza mogła jeszcze poniekąd zachować organiczną sprawność i rozporządzać pewną siłą. Jednakże po wprowadzeniu w systemie wyborczym głosowania powszechnego i przedstawicielstwa proporcjonalnego, Izba przemieniła się na zbiorowisko mniejszości, a gabinet stał się siłą rzeczy zlepkiem, w którym każde stronnictwo miało swoje przedstawicielstwo. W takim zlepku rozbieżnych sił nie mogło już być mowy o jakiejbądź jedności co do kierunku działania. Wśród ciągłych przeciwieństw, znamionujących istnienie tych jednodniowych gabinetów, każdy minister trzymał się dróg, wskazywanych mu przez wyznawane przezeń partyjne poglądy oraz przez rozkazy, przychodzące z zewnątrz, od stronnictwa. Prowadziło to nieuniknienie do sparaliżowania pracy rządu i zniweczenia władzy wykonawczej.

Wraz z nastaniem ustroju faszystowskiego ten stan rzeczy uległ zasadniczej zmianie. Już sam fakt, że Rząd stał się wy-

razem jedynej partji, górującej dzięki sile swojej i woli, nadał ministerstwu jedność kierunku, a tem samem siłę decyzji i czynu. Z drugiej strony to, że Szef Rządu jest zarazem przywódcą panującej partji, stanowi źródło jego niezachwianej powagi.

Sytuacja powyższa znalezła dokładne ujęcie prawne w ustawie o władzy i atrybucjach Szefa Rządu *(Capo del Governo)*. Przywraca ona jedność gabinetu, nawiązując do tradycji konstytucyjnej włoskiej, przerwanej w r. 1919. Nawrót ten jednak przybrał nieco odmienne znaczenie, wyraził się w linjach bardziej zdecydowanych i z większą energją, to jest w sposób więcej organiczny i bardziej praktyczny.

Rząd danego gabinetu rozumiany bywał zazwyczaj nie w sensie prawdziwej jedności zasad i akcji politycznej, ale raczej jako doskonała solidarność ministrów między sobą, tak że każdy poszczególnie był odpowiedzialny za wszystkie czyny pozostałych. Tak pojęta jedność Rządu stanowiła raczej przyczynę jego słabości aniżeli siły, pomnażała bowiem liczbę punktów drażliwych, w które można go było ugodzić, a tem samem wprowadzała zaburzenia i skracała jeszcze i tak znikomy jego żywot.

Przy rządzie faszystowskim jedność gabinetu stała się prawdziwą jednością poglądów i czynu, przestrzeganą surowo przez Szefa Rządu. W ten sposób zostało pokonane i wchłonięte pojęcie solidarności; jako zakładające różnorodność działania, traci ono racją bytu, kiedy kierunek polityczny staje się jedyny i wyłączny, innemi słowy, kiedy działanie jest jednorodne. Poza jedność wychodzą jedynie sprawy należące do zakresu technicznego, i w tych to granicach może się wyrażać indywidualna i odosobniona działalność poszczególnych ministrów. To też na tem polu solidarna odpowiedzialność gabinetu jest zupełnie słusznie wykluczona.

W tym nowym układzie prawnym gabinetu specjalnej wagi nabiera, rozumie się, stanowisko konstytucyjne Prezesa Rady Ministrów. Nie jest on już *primus inter pares*, lecz jest prawdziwą Głową Rządu, Wodzem, który kieruje i w ręku trzyma wszystkie sprawy, to znaczy cały ster polityczny państwa. Tem samem Rada ministrów przestaje być organem ujednostajniającym działalność poszczególnych ministrów. Schodzi do roli

organu doradczego, najwyższej wagi, którego zdanie jest obowiązujące w wypadkach przewidzianych prawem i regulaminem. Jest to zatem nader pożyteczne narzędzie pomocnicze dla Szefa Rządu, przez sam jednak swój charakter jako ciało złożone, nie może być faktycznym kierownikiem życia politycznego kraju.

Wywikławszy Rząd z zależności od Parlamentu, wskrzeszono zasadę wyrażoną w Statucie, że źródłem Rządu jest władza Króla, a nie Parlament. Z reformy wyszła więc wzmocniona wysoka prerogatywa Króla, przez to, że Prezydent Ministrów nie może już uchodzić, jak w państwach czysto parlamentarnych, za pełnomocnika większości parlamentarnej. Zgodnie z ogólną budową Rządu Prezes gabinetu odpowiedzialny jest wprost przed Monarchą nie przed Parlamentem. Parlament utrzymuje się wprawdzie nadal jako czynnik polityczny kraju, ale nie przedstawia już jedynej siły i nie może być zawsze wiernem odbiciem położenia narodu. Jest to w rzeczy samej przedstawicielstwo czysto numeryczne, a tem samem nie zawsze prawdziwe i zupełne przedstawicielstwo kraju. W kraju bowiem mamy inne jeszcze siły żywe i czynne, siły polityczne, gospodarcze, moralne, które, aczkolwiek wyobrażają jakościową większość narodu, mogą nie posiadać odpowiedniego przedstawicielstwa w Parlamencie, ponieważ liczba głosów, jaką rozporządzają, nie jest równoważna z ich wartością.

Rząd naprawdę silny powinien opierać się na wszystkich siłach narodu, a nietylko na niektórych z nich, stanowiących być może jedynie prostą większość numeryczną, wyrażoną w parlamencie. Ocena i dokładna interpretacja istoty i nastawienia wszystkich owych sił rzeczywistych, nie ma nic wspólnego ze zwykłem obliczeniem głosów, wymaga nadzwyczaj subtelnego zbadania i osądzenia, przy trzymaniu się ściśle i wyłącznie gruntu politycznego, to też nie może się go podjąć nikt prócz Monarchy, który, jako stojący ponad partjami, a przytem jako potomek tysiącletniej dynastji, posiada dziejowe wyczucie życia narodu, a tem samem może być najlepszym sędzią sytuacji.

Przez ten swój nowy układ Rząd faszystowski nie jest tedy rządem parlamentarnym w tradycyjnem znaczeniu wyrazu i nie jest także rządem czysto konstytucyjnym, z władzą wy-

konawczą, złożoną wyłącznie w ręce Naczelnika państwa, który ją wykonywa bezpośrednio przy pomocy swobodnie przez siebie wybieralnych ministrów i pod kontrolą parlamentu. Nasz Rząd posiada swoją własną fizjognomję. Jest on żywym i istotnym wyrazem wszystkich politycznych, moralnych i ekonomicznych sił kraju, których suwerennym wykładnikiem jest Głowa państwa, i z tych sił czerpie on swoją moc ogromną. Jest to pojęcie państwa czysto włoskie, owoc szczególnego rozwoju życia i prawa publicznego naszego kraju.

*

Nie tak już doniosła, jakkolwiek również wielce godna uwagi, jest ustawa o uprawnieniu władzy wykonawczej do wydawania przepisów prawnych. Zakreśla ona granice między działalnością Parlamentu a działalnością władzy wykonawczej na polu prawodawstwa.

Charakterystycznem dla okresu przed-faszystowskiego było krępowanie na każdym kroku władzy wykonawczej. Czy to przez mieszanie się Parlamentu, czy dla innych przyczyn przypadkowych, prawdziwe i istotne pole prawodawstwa rozciągano coraz dalej poza słuszne granice, ograniczając odpowiednio sferę inicjatywy Rządu. Doszło wreszcie do dziwnej konsekwencji, że gdy z jednej strony raptowne przemiany w życiu ekonomicznem i społecznem nowych czasów przynosiły z sobą wyraźne wzmożenie działalności Rządu, wymagając od niego coraz to czujniejszej i bardziej natężonej pracy, z drugiej strony uprawnienia władzy wykonawczej ulegały stałemu zacieśnianiu. Należało więc koniecznie przywrócić władzy wykonawczej jej pierwotny zakres i udostępnić Rządowi szeroką sferę działalności, do której ma prawo. Jednocześnie nowa ustawa, wypełniając lukę w obowiązującym Statucie Królestwa, pisanym ongi dla małego państewka, w epoce powolnego tętna życia gospodarczego i społecznego, umożliwia Rządowi sprawowanie w pewnych wypadkach władzy prawodawczej na terenie normalnie przypadającym Parlamentowi.

W ten sposób Rząd, któremu przyznaje się rolę nietylko najwyższego, ale i nieustającego organu w państwie, staje się zdolnym do zapewnienia ciągłości życia państwowego w najkrytyczniejszych momentach istnienia narodu.

Przodowniczej roli władzy wykonawczej, jasno zawarowanej w dwu wspomnianych ustawach, dopełniają inne reformy, mniejszego znaczenia, jak np. reforma dotycząca władzy prefektów oraz regulaminu dla burmistrzów, dzięki czemu powaga władzy wykonawczej, za pośrednictwem własnych z siebie wyłonionych organów, promieniuje energicznie z centrum ku obwodowi, zagarniając, jak być powinno, i życie prowincyj i gmin, gdzie w przeszłości rozpierały się często miejscowe ambicje.

*

Atoli rozkład państwa liberalnego miał inne jeszcze przyczyny poza wszechwładztwem Izby obieralnej. Siły, wzbierające w łonie społeczeństwa, nurtowały nietylko poprzez Parlament, ale głębiej jeszcze, w sposób nielegalny, poza nim. Wzmocnienie władzy wykonawczej w stosunku do innych władz wewnątrz państwa, zwłaszcza w stosunku do Parlamentu, byłoby niewystarczające, gdyby ją jeszcze pozostawiono na łasce tych wszystkich żywiołów, rządzących w kraju, a które dawniej tak ją doszczętnie gnębiły. Stąd konieczność faktycznego opanowania wszystkich owych sił przez wciągnięcie ich w orbitę państwową.

I temu wymaganiu stało się zadość. Państwo rozciągnęło nadzór nad wszystkiemi istniejącemi w kraju stowarzyszeniami. Nałożono wodze na jeden z najsmutniejszych objawów życia włoskiego ubiegłej epoki, który doprowadził do wytworzenia się we Włoszech takiej nieograniczonej potęgi, jak prasa. Przywłaszczała ona sobie przywilej, aby stać poza prawem i być zwolnioną od odpowiedzialności, tak daleko doszło zwyrodnienie idei wolności. Prasa spełnia wysokie i szlachetne zadanie, którego niepodobna nie doceniać, niemniej nie można było tolerować istnienia w państwie siły wyższej nad samo państwo, niekontrolowanej i nieodpowiedzialnej. Specjalne prawa ujęły w karby wykonywanie pracy zawodowej. Istniały pewne zrzeszenia zawodowe, zorganizowane w sposób zupełnie niezawisły, tak że stały poniekąd poza państwem i nie podlegały kontroli. Trzeba było z tem skończyć, albowiem związki zawodowe, choćby najszlachetniejsze i o najszczytniejszej tradycji, są przecie zawsze tylko częścią organizmu państwowego; przypadającą sobie działalność publiczną wykonywują w imię państwa, a tem samem nie mogą się uchylać z pod jego kontroli.

Najważniejsza ze wszystkich jest reforma o dyscyplinie prawnej zbiorowych umów pracy. Jej zadania są bardzo szerokie i skomplikowane. Zasadniczy jest społeczny cel reformy. Najcięższe zagadnienie współczesnego życia, dręczące ludzkość zgórą od wieku, znajduje po raz pierwszy całkowite rozwiązanie w prawie, przez zalegalizowanie wcielonych do państwa syndykatów, przez prawne uregulowanie zbiorowych umów pracy i ustanowienie urzędów pracy. Skończyła się z tą chwilą wiekowa obojętność państwa, które przypatrywało się niewzruszone dzikim walkom klasowym, szerzącym niezliczone spustoszenia w narodzie. Państwo faszystowskie wchodzi pomiędzy klasy w roli arbitra i rozjemcy i nie pozwala, aby jedna gnębiła drugą, a z ich wzajemnej walki rodziła się anarchja, nędza i ucisk obywateli. Urzeczywistnienie sprawiedliwości społecznej, to zagadnienie, które państwo powinno rozwiązać własnemi siłami. A jak w przeszłości, ilekroć państwo umacniało się i krzepło, widzieliśmy zarazem, że samoobrona osobista czy rodowa ustępowała miejsca sprawiedliwości państwowej, tak samo i teraz, kiedy państwo faszystowskie ugruntowuje w całej pełni swoją suwerenność, ta zasadnicza funkcja suwerenności jako takiej, to jest sprawiedliwość państwowa, musi zapanować niepodzielnie, wyrugowawszy wszelkiego rodzaju samoobronę, a więc także klasową czy partyjną.

Ale poza celem społecznym, jakim jest zastąpienie samoobrony klasowej przez sprawiedliwość państwową i nadanie w ten sposób konfliktom na polu pracy rytmu uregulowanego prawem, rytmu, który tylko dziwaczne zniekształcenia i zboczenia mogły były stłumić — prawo ma także wysokie zadanie polityczne, a jest niem wciągnięcie w orbitę państwową sił, wyrosłych poza państwem, a tem samem przeciw niemu. Zjawisko syndykalizmu jest nieuniknionym objawem dzisiejszego życia; państwo nie może go ignorować, musi się z nim liczyć, wziąć go w ręce i zawładnąć nim, zawładnąć w duchu bezwzględnej bezpartyjności, jaka musi je cechować, jeśli zważymy, że jest ono orędownikiem najwyższych interesów narodu, nie zaś przedstawicielem jednej warstwy uciskającej.

Nie kończy się tu jednak doniosłość polityczna naszego prawa. Rewolucja francuska, burząc dawne urządzenia, przekreśliła nieodzowne różnice między ludźmi, różnice ich warto-

ści, oraz różność funkcyj, powierzonych poszczególnym jednostkom w złożonym i wielokształtnym mechanizmie życia społecznego. Sprowadziła wszystkich do wspólnego mianownika „obywateli" na podstawie demokratycznego systemu atomizmu wyborczego. To zasadniczo błędne pojmowanie życia społecznego, nie uwzględniające organicznej natury społeczeństwa, doprowadzone do ostateczności przez głosowanie powszechne, musiało spowodować poważne szkody i groziło obróceniem całej nowożytnej cywilizacji w powszechną anarchję. Narzuciło się wtedy zagadnienie reorganizacji społeczeństwa, już nie na podstawie atomistycznego indywidualizmu, jaki głosiła filozofja rewolucji francuskiej, ale na zasadzie naprawdę organicznego pojmowania społeczeństwa, bez przeoczania jakościowych różnic między jego składnikami. Ta przebudowa porządku społecznego pozwoliła rozwiązać, w sposób nawskróś nowy i zgodny z faszystowskiem pojęciem państwa, nawet zagadnienia politycznego przedstawicielstwa narodu.

Zwalczając zwyrodnienie parlamentaryzmu i systemów wyborczych i głosząc konieczność silnego państwa, faszyzm nigdy nie lekceważył pożytku współpracy z Parlamentem. Twierdzimy, że Parlament nie może już dziś być jedynym środkiem, zapomocą którego Rząd wchodzi w styczność z masami, poznaje poruszające je uczucia i wpływa na ich ducha. Odrzucamy więc tylko pojęcie rządów parlamentarnych i wszechwładztwa Parlamentu. Niemniej nie ulega wątpliwości, że Zgromadzenie, złożone z ludzi, którzy przez samo pochodzenie i rodzaj ich zawodu są rzecznikami pojęć rozmaitych ugrupowań, składających się na społeczeństwo narodowe, oraz świadomemi narzędziami wielkich dziejowych interesów narodu — takie Zgromadzenie musi znaleźć właściwe sobie miejsce wśród organów konstytucyjnych państwa.

Jasnem jest wszakże, że w systemie politycznym, stworzonym przez faszyzm, Izba nie mogła być wybierana na zasadach ustroju demokratyczno-liberalnego. Pogląd faszystowski znosi dogmat zwierzchnictwa ludu, który z jednej strony czynił Izbę jedynym reprezentantem suwerenności, a zatem organem władczym państwa, z drugiej prowadził do tego, że wybór posłów zdany był na łaskę i niełaskę mas. Masy jako takie nie są zdolne do samorzutnego wybierania ludzi.

Dogmatowi zwierzchnictwa ludu, któremu rzeczywistość dzień w dzień zadaje kłam, teorja faszystowska przeciwstawia dogmat zwierzchnictwa Państwa, jako prawnej organizacji narodu, oraz narzędzia jego potrzeb dziejowych. Parlament nie stoi poza państwem, lecz jest jednym z jego podstawowych organów, a tem samem i posłowie są organami państwowemi. Należy ich wybierać w sposób możliwie najdoskonalszy, jeżeli ma się osiągnąć cel instytucji. Ponieważ zaś pierwszem zadaniem Izby poselskiej jest współpraca z rządem przy tworzeniu praw, i ponieważ ma ona to czynić jako rzeczniczka potrzeb i uczuć rozmaitych ugrupowań społecznych, stanowiących nader ważny składnik życia narodowego, uzgadniając te uczucia i potrzeby z wymaganiami dziejowemi, nierozdzielnemi od życia Narodu — oczywistem jest, że system wyborczy musi polegać przedewszystkiem na współdziałaniu zorganizowanych czynników, a dalej musi dawać rękojmię, że ludzie wybrani dla utworzenia Izby posiadają pełną świadomość interesów narodowych, że są to jednem słowem, w najlepszem znaczeniu tego wyrazu, politycy.

Na tych to podstawach oparł się nowy system wyborczy włoski.

Odstąpiwszy od systemu komitetów lokalnych na rzecz jednego jedynego narodowego komitetu wyborczego, i ograniczywszy liczbę posłów, powierzono stawianie kandydatów uznanym legalnie organizacjom syndykalistycznym, oraz, w charakterze pomocniczym, innym organizacjom stałym o celach kulturalnych, wychowawczych lub opieki społecznej. Staranna selekcja kandydatów zapewnia wybór najbardziej powołanych do urzeczywistnienia — na terenie parlamentu — współpracy ustawodawczej, oraz obrony ogólnych interesów Narodu. Izba wybieralna w ustroju faszystowskim przestała być Izbą z ustrojów liberalno-demokratycznych, to jest wyrazicielką nieistniejącej woli bezpostaciowej i niezróżnicowanej masy, jest to, przeciwnie, Izba wyłoniona z głosowania zorganizowanego, bliska duszy ludu, czynne i świadome narzędzie losów Narodu.

Reforma konstytucyjna nie ograniczyła się do przeobrażenia podstawowych organów państwowych, lecz dodała do nich nowe, o własnej charakterystycznej fizjognomji i odpowiadające faszystowskiemu poglądowi na państwo.

W rzeczy samej państwo faszystowskie jest państwem ludowem, jakiego jeszcze nie było. Nie jest państwem demokratycznem w dawnem znaczeniu wyrazu, bo nie daje zwierzchnictwa ludowi, lecz jest państwem wybitnie demokratycznem w tem znaczeniu, że przystaje ściśle do ludu, jest z nim w ustawicznej styczności, tysiącznemi drogami przenika do mas, prowadzi je duchowo, wyczuwa ich potrzeby, żyje ich życiem, uporządkowuje ich zajęcia, przeciwdziałając w ten sposób marnowaniu sił, szkodliwemu dla sprawy gospodarki publicznej.

Swoisty charakter nadają faszyzmowi liczne organizacje, które pozwalają państwu współżyć blisko z duszą ludu.

Napomknąłem już o korporacyjnej reformie syndykalistycznej, która rozwiązała zagadnienie organizacji sił wytwórczych i wprowadziła jednolity system do gospodarki narodowej.

Ale działalność organizacyjna i systematyzująca państwa nie ogranicza się do zakresu ekonomicznego. Zgodnie ze wszechobejmującem pojęciem faszyzmu państwo przewodniczy i kieruje działalnością narodową na wszystkich polach. Żadna organizacja, czy to polityczna czy moralna czy gospodarcza, nie może wychodzić poza obręb państwa. Dlatego też faszyzm podszedł do ludu, wychował go politycznie i moralnie, i zorganizował go, nietylko z punktu widzenia zawodowego i gospodarczego, ale także pod względem militarnym, kulturalnym, wychowawczym, nawet co do wyboru rozrywek. Na tej drodze wytworzył się szereg instytucyj, dzięki którym życie faszyzmu coraz bardziej zlewa się z życiem narodu. Główną instytucją jest Partja, organizacja nawskróś polityczna, ośrodek kierowniczy i koło rozpędowe wszelkiej innej działalności. Partja żyje życiem ludu, jest wykładnikiem jego uczuć, wspiera go w trudnościach, wyrabia jego świadomość obywatelską. Dzień w dzień rozwija swoją bezinteresowną pracę; gdzie tylko wysunie się jakieś zagadnienie narodowe, Partja Faszystowska jest natychmiast na stanowisku, gotowa prowadzić lud włoski i oświecać go.

Pracę wojskową wśród ludu prowadzi Milicja, najczystszy twór rewolucji, po Parlamencie najczynniejsze narzędzie wiążące lud z państwem.

Z samego życia faszyzmu wyrosły następnie: organizacja młodzieży: *L'Opera Nazionale Balilla,* organizacja rozrywkowa *Il Dopolavoro,* organizacje sportowe, organizacje kobiece, orga-

nizacje samopomocy. Niema dziedziny życia narodowego, któraby wyłamała się z pod tej mądrej dyscypliny, tak że można powiedzieć, iż rzeczywiście cały lud włoski uczestniczy w życiu narodowem. Zgórą dziesięć miljonów Włochów jest regularnie zapisanych do rozmaitych stowarzyszeń, a wszystkich ożywia jedna jedyna wiara w wielkość Narodu i wszyscy czynnie współdziałają dla rozkwitu odnowionej Italji.

Różnorodne stowarzyszenia, powołane do życia przez ruch faszystowski, nie stoją poza państwem, które, zgodnie ze swojem hasłem jednoczącem, wszystkie je pokolei w siebie powcielało. Tak więc ustrój faszystowski jest równoznaczny z państwem.

Ten nowy i rozrosły układ państwowy domagał się naczelnego organu, w którymby wszystkie zorganizowane siły i stowarzyszenia zetknęły się wzajemnie, zlane w jednolitą całość, zbudowaną z usystematyzowanych wysiłków.

Taki organ, systematyzujący i zcalający różnolite żywioły ustroju, istniał już w praktyce. Była to jedna z instytucyj, narodzonych z rewolucji r. 1922 w łonie Partji faszystowskiej. Wszystkie tego rodzaju instytucje, powstałe dla wspierania państwa, pokolei wsiąknęły w państwo. Wreszcie stało się koniecznością, aby i ten najwyższy organ łączności między państwem a masami znalazł się w ramach państwa. I tak Wielka Rada Faszyzmu, na zasadzie ustawy z d. 9 grudnia 1928 Nr 2693, przekształciła się na jeden z podstawowych organów państwowach, najwyższy organ regulujący całą działalność faszyzmu. Złożona z przedstawicieli wszystkich instytucyj faszystowskich, pod przewodnictwem Prezydenta Ministrów, Wielka Rada uosabia ducha mas wobec Rządu i czerpie z Narodu dyrektywy działania w zakresie tak materjalnym jak moralnym.

W ten sposób Wielka Rada zajęła pośród organów konstytucyjnych państwa miejsce górujące, a nadto wyraźnie różne od stanowiska Rządu i Parlamentu. Organ nawskróś polityczny, współpracuje z Rządem, odgrywając wielce subtelną rolę doradcy w sprawach konstytucyjnych i politycznych, nie mięsza się jednak w sferę działania ani Rządu ani Parlamentu.

Obok Wielkiej Rady Faszyzmu, która zamieniła się na organ państwowy, także i narodowa Partja faszystowska, z której wyszły wszystkie instytucje pochłonięte następnie przez

państwo, nie mogła nie wejść w ramy państwa, zgodnie ze zcalającą teorją faszyzmu, przeciwstawną tradycyjnemu pojęciu polityki demokratyczno-liberalnej. Stronnictwa za dawnego ustroju były to organizacje o charakterze prywatnym, pozapaństwowe i walczące z sobą o opanowanie państwa. A działo się tak z konieczności, gdyż państwo, pozbawione własnej treści, musiało zbierać to, co mu podawały raz po raz rozmaite partje, następujące po sobie w kierowaniu nawą publiczną. Tymczasem państwo faszystowskie stanowi organizm dobrze zwarty pod względem sił swoich i istoty, posiada własną treść, ma przed sobą swój własny ideał, nie może więc wyglądać pomocy od organizacyj stojących poza niem, jakiemi są partje dawnego ustroju. To też w państwie faszystowskiem niema miejsca dla stronnictw politycznych starego typu.

Partja faszystowska nie jest partją w rozumieniu ustroju liberalno-demokratycznego. Powstała wprawdzie jako organizacja prywatna, która stworzyła państwo. Ale stworzywszy krzepko to nowe państwo i zachowując nadal swoją sławną nazwę, Partja przemieniła się stopniowo z organizacji prywatnej w wielką instytucję państwową. W swojej akcji propagandowej, czy przy politycznem i społecznem wychowywaniu ludu włoskiego, Partja faszystowska stanowi najwyborowszą milicję cywilną państwa, zasadnicze narzędzie ustroju, które musiało tem samem znaleźć się w kadrach państwowych, aczkolwiek zatrzymało swobodę ruchów, nieodzowną przy wykonywaniu swego zadania.

Widzimy zatem w całej pełni zcalający charakter państwa faszystowskiego, które staje przed nami jako wszechobejmująca organizacja wszystkich sił kraju i doskonale urzeczywistnia formułę Mussoliniego: „Nic poza państwem, nic przeciwko państwu“ (*„Nulla fuori dello Stato, nulla contra lo Stato“*).

Państwo faszystowskie, ten granitowy złom, w którym zlewają się wszystkie zasoby i cała energja naszego plemienia, jest państwem o wielkiej sile i powadze, pozostającem w ścisłej styczności z masami. Jest prawdziwym ustrojem ludowym, jakiego dotąd nie było. Fatalne przeciwieństwo między koniecznością organizacji politycznej a koniecznością harmonijnego rozwoju osobowości jednostek zostało rozwiązane.

Nowe faszystowskie pojęcie państwa, bezpośredni wynik reform konstytucyjnych, nadaje zresztą piętno niemal wszystkim reformom prawodawczym na każdem polu. Własna bowiem treść, własny sposób działania i własna wola uderzają we wszystkich zagadnieniach, dotyczących życia ludu.

Państwo faszystowskie nie jest np. państwem ateistycznem, obojętnem na sprawy religji. Przeciwnie, wyznaje ono swoją religję, religję ogromnej większości ludu włoskiego, prawdziwą religję, to jest katolicką. Podstawowej formule Statutu Królestwa, który w pierwszym artykule ogłasza religję katolicką, apostolską i rzymską za jedyną religję państwową, obok tolerancji innych wyznań — praktyka i tradycja ilberalna przeciwstawiła formułę równości wyznań w obliczu państwa. Faszyzm odrzucił tę teorję agnostyczną i w prawach swoich nie może równouprawnić wszystkich wyznań. Pierwszeństwo religji katolickiej, wzmocnione przez konkordat ze Stolicą Apostolską, znalazło wyraz w nowych prawach. I tak np. wydana już ustawa o bezpieczeństwie publicznem i opracowywany Kodeks karny traktują obrazę religji katolickiej w zupełnie odmienny sposób, niż obrazę innych wyznań.

Podobnież Rząd faszystowski ogromną wagę przywiązuje do strony etycznej, staje w obronie moralności i szerzy ją wśród ludu. Nowe prawa faszystowskie zawierają energiczne zarządzenia w celu obrony zdrowia moralnego ludu.

Z tego punktu widzenia pierwszorzędnego znaczenia jest reforma szkolna, dokonana przez faszyzm, która jest nietyle reformą regulaminów i programów, ile nadewszystko reformą ducha i metody. Miejsce szkoły agnostycznej, pozbawionej treści moralnej, bezideowej, prostej dostarczycielki wiadomości, zajęła szkoła, wychowująca nietylko umysł, ale i duszę, szerzycielka uczuć religijnych, budzicielka świadomości narodowej. W ten sposób państwo zdobyło dla siebie pierwszorzędne pole działania, które dawniej nie istniało dla niego.

Niemniejszą wagę z tego samego stanowiska ma dalej prawo o ochronie macierzyństwa i o opiece nad dzieckiem. Dla ludu włoskiego zagadnienie demograficzne jest zagadnieniem wyjątkowego znaczenia, od niego bowiem zawisła nasza siła ekspansji w świecie i nasza przyszła wielkość. Jest to więc zagadnienie podstawowe i państwo faszystowskie musiało

zwrócić na nie najczujniejszą uwagę. Szeroko zamierzona opieka nad matką i dzieckiem dbać będzie o fizyczny i moralny rozwój przyszłych pokoleń, wprowadzając ochronę niemowląt oraz nadzór higieniczny, wychowawczy i moralny nad dziećmi poniżej lat 14-u, które w ten sposób odsunięte będą z pod wpływów czynników deprawujących.

Ważne jest prawo o Organizacji Narodowej im. Balilli, stanowiące niejako uzupełnienie poprzedniego. Wielka ta instytucja dąży do militarnego i narodowego wychowania młodzieży przez bezustanną pracę, dokonywaną w szkole i poza szkołą.

Ale prócz tych licznych zarządzeń szczegółowych, do nowych wymagań silnej i czynnej państwowości musi się dostosować prawodawstwo w swoim całokształcie. To też przystąpiono na szeroką skalę do rewizji praw podstawowych. Nowe prawo o bezpieczeństwie publicznem odbiega widomie od dawnego, nietyle może w szczegółowych zarządzeniach, jak w ogólnych ożywiających je dyrektywach. Funkcje policji nie uchodzą już za coś prawie że wyjątkowego, co się sprzeciwia zasadzie wolności osobistej, podstawie i celowi społeczeństwa. Przeciwnie, są one uważane za to, czem są naprawdę, to jest za jedną z normalnych funkcyj państwowych, mającą zadania zapobiegawcze, czyli że jest to czynność, której nie należy utrudniać bezsensownemi uprzedzeniami. Konkretna treść, jaką sobie zdobyło państwo faszystowskie, i cele społeczne, do których ono w interesie ogólnym zmierza, otwierają przed prawem o bezpieczeństwie publicznem nowe, nieznane dawniejszemu prawu zadania. Tak więc nowe prawo zwalcza pornografję, propagandę neo-maltuzjanizmu, niebezpieczną dla demograficznego rozwoju narodu i dla zdrowia moralnego młodzieży włoskiej, karze bluźnierstwo, które obraża najświętsze uczucia większości naszej ludności i t. d. Od wszystkich tych spraw państwo liberalne uważało za swój obowiązek trzymać się na uboczu.

W ten sam sposób, mająca się w najbliższym czasie dokonać reforma Kodeksu Karnego dbać będzie o należyte ukrócanie wykroczeń przeciwko bezpieczeństwu państwa, z uwzględnieniem dzisiejszych warunków życia publicznego; w czasie wojny bowiem, która stała się dzisiaj zderzeniem wzajemnem całych narodów, trzeba się bronić nietylko przeciw siłom zbroj-

nym, ale także przeciwko natarciom i naporowi moralnemu i ekonomicznemu całego narodu, tak jak w czasie pokoju rywalizacja międzynarodowa stała się codzienną utarczką współzawodnictwa politycznego, przenikania gospodarczego i wpływów umysłowych. W tej codziennej walce, na którą międzynarodowa opinja publiczna wywiera coraz wyraźniejszy nacisk, niepodobna dopuścić do karygodnej roboty, jaką najnędzniejsi z pośród Włochów prowadzą na szkodę własnego kraju, bądź to przez oddziaływanie na opinję publiczną zagranicą, bądź przez przygnębiający wpływ na nastrój samego kraju. Łagodny wymiar kar, znamionujący obecny kodeks karny, zwłaszcza w stosunku do najcięższych zbrodni przeciw bezpieczeństwu państwa, okazuje się najzupełniej nieodpowiedni do akcji zapobiegawczej i ukrócającej, stanowiących przedmiot prawa karnego. Ale sankcje obowiązującego dziś kodeksu okazują się niewystarczającemi nietylko w zakresie przestępstw politycznych. Kodeks ten, z punktu widzenia technicznego, był bez wątpienia szacownem dziełem prawniczej szkoły włoskiej; pomijając jednak fakt, że w niektórych punktach jest już przestarzały skutkiem raptownej i głębokiej ewolucji, jaka dokonała się w społeczeństwie włoskiem — był on nadto opracowany w okresie panującego liberalizmu, pod którego wpływem przepisy karne nie mogły wypaść dość mocno. Przepisy kodeksu wyglądają raczej na stworzone dla obrony przestępców, niż dla ich ukarania: dotyczy to zwłaszcza działu przestępstw pospolitych; wykroczenia przeciw osobom pociągają za sobą karę, która w wielu wypadkach wygląda wprost na drwiny. Spotęgowana świadomość narodowa ludu włoskiego i surowa dyscyplina, narzucona życiu narodowemu przez faszyzm, nie mogą się zadowolić zbyt słabym wymiarem kar. Konieczność obrony społeczeństwa i państwa przeciwko przestępstwom znajdzie w nowym kodeksie zadawalający wyraz.

I w reformach o charakterze bardziej technicznym odzwierciedla się często zasadnicze pojęcie teorji faszystowskiej, w usiłowaniu rozwiązania, w sposób biegunowo przeciwny tradycyjnym pojęciom liberalizmu, zagadnienia stosunku jednostki do społeczeństwa z jednej strony, a społeczeństwa do państwa z drugiej, przyczem interesy jednostkowe ulegają bezwzględnemu podporządkowaniu interesom ogólnym.

Mówiłem już o reformie szkolnej, która jest niewątpliwie reformą zasadniczo techniczną, ale ma i swoją stronę polityczną, bynajmniej nie obojętną.

Zdecydowanie techniczny charakter ma i dokonana przez rząd faszystowski reforma sądownictwa, przez zreorganizowanie okręgów sądowych i unifikację sądów kasacyjnych. Zagadnienie to nasunęło się odrazu w okresie powstawania Królestwa Włoskiego i przez pół wieku zgórą daremnie starano się z niem uporać. Za panowania liberalizmu rozwiązanie go było niepodobieństwem, stawały bowiem na przeszkodzie jednostkowe interesy gmin, prowincyj i zrzeszeń zawodowych, paraliżujące jakąbądź reformę. Rząd faszystowski wprowadził rzecz w czyn w tempie nadzwyczaj szybkiem, ponieważ w faszystowskim poglądzie na państwo tego rodzaju interesy odrazu muszą ustąpić przed interesem narodowym jak najlepszej administracji sprawiedliwości.

Ogólnemu piętnu, jakie wycisnął faszyzm, nie ujdzie i reforma kodeksów prawa prywatnego, chociaż wydaje się ona, jak i jest w rzeczywistości, reformą o charakterze zasadniczo technicznym.

Jeżeli np. państwo liberalne uważało za swój obowiązek nie wdawać się w konflikty, wywołane współzawodnictwem ekonomicznem, choćby ono urastało nawet do rozmiaru walk konkurencyjnych, szkodliwych dla interesów narodowych, to państwo faszystowskie nie może w tych wypadkach stać na stronie, nie może znosić obojętnie różnych objawów finansowego korsarstwa. To też w nowych kodeksach obrona i wzięcie w ryzy kredytów będzie uznane za sprawę czysto państwową. Interesy gospodarcze kraju, jak to wypływa z obowiązków państwa, zyskają mocną rękojmię. Administrowanie sprawiedliwością przestanie być bierną funkcją, dotyczącą wyłącznie zakresu spraw prywatnych, lecz przerodzi się na jedną z najważniejszych czynności państwowych o celu wybitnie politycznym: zapewnienia pokoju społecznego przez przyznanie każdemu tego, co mu się należy.

Nawet kodeks cywilny, obejmujący treść z natury swojej jeszcze ściślej techniczną, urabiany i kształtowany w ciągu przeszło tysiąca lat, nie jest wolny od rysów politycznych. I tak np. przy regulowaniu spraw z zakresu rodowodu, mał-

żeństwa, i innych pokrewnych, panować będzie faszystowski pogląd na rodzinę. Jak w naszem pojmowaniu państwa i społeczeństwa przemijające interesy jednostek muszą ustąpić wobec trwałych interesów społeczeństwa, to znaczy organizmu, w którym osobniki są tylko efemerycznemi elementami, tak dziać się musi i w społeczności rodzinnej, stanowiącej fundament społeczeństwa narodowego. Interesy jednostkowe, kiedy zajdzie potrzeba, muszą być poświęcane interesom rodzinnym.

Wspomniałem już o doniosłości zagadnienia demograficznego oraz o prawach dotyczących matki i dziecka, które poniekąd wiążą się z tem prawem. Ale w nowym kodeksie będą mogły znaleźć rozwiązanie inne jeszcze strony tego zawiłego zagadnienia. Nowe przepisy, dotyczące rodowodu, władzy ojcowskiej, opiekuństwa, usynowienia, niektórych punktów prawa spadkowego i t. p., będą mogły z pożytkiem uzależnić się od wymagań, związanych z zagadnieniem demograficznem.

Niemniej i dziedzina prawa, dotycząca własności prywatnej, kamienia węgielnego prawa prywatnego, odczuje na sobie wpływ pojęć faszystowskich. Faszyzm wychodzi z pojęcia społeczeństwa jako całości, i nawet własność prywatną rozumie w sposób wyraźnie społeczny. Surowa obrona własności prywatnej konieczna jest nietyle z punktu widzenia indywidualnego, t. j. jedynie w interesie jednostki, ile w interesie całego społeczeństwa, ponieważ jest ona nieodzownem narzędziem dla stworzenia oszczędności, podniecając produkcję i ułatwiając akumulację kapitałów narodu. To odmienne od dotychczasowego rozumienię własności prywatnej zaważy na określaniu norm, które pozwolą użytkować własność prywatną w zgodzie z jej celami społecznemi, a zwłaszcza przyczyni się do podniesienia wytwórczości z korzyścią dla narodu.

*

Wielkie dzieło faszystowskiej odnowy naszego prawodawstwa, uświęcając prawnie ogólną odnowę życia narodowego, będzie miało wiekopomne znaczenie historyczne. Wewnętrzna spójnia, łącząca ściśle między sobą wszystkie reformy prawne, dotyczące najrozmaitszych dziedzin i przedmiotów, wykazuje organiczny charakter faszyzmu jako doktryny. Zjawił się faszyzm przedewszystkiem jako czyn i uczucie o olbrzymim rozmachu. Potężny ruch, który z niego wypłynął, ożywiony był zawsze

tym samym odnowicielskim duchem i tem samem hasłem reorganizacji. Rewolucja francuska dała zatriumfować zasadzie indywidualizmu, który niósł w sobie zarodek rozkładu społecznego. Zasadzie tej faszyzm przeciwstawia zasadę silnej organizacji społecznej. Otwiera przez to nową erę w dziejach ludzkości, erę odbudowy i konsolidacji państwa. Faszyzm jest głównym budowniczym tej ery, a prawodawstwo faszystowskie, zakładające nowy porządek prawny społeczeństwa włoskiego, przeznaczone jest, aby wywrzeć olbrzymi wpływ na przyszłe prawodawstwo wszystkich państw cywilizowanych, czyniąc Italję po raz wtóry mistrzynią prawa wszystkich narodów.

GIUSEPPE BOTTAI
Minister Korporacyj

PAŃSTWO-KORPORACJA W SŁUŻBIE PAŃSTWA-NARODU

Istota reformy, dokonanej przez faszyzm w zakresie prawnym i politycznym, polega na przekształceniu związków zawodowych (syndykatów), które nosiły charakter bojowy i opozycyjny, na instytucję publiczną, zawiązek nowych hierarchij społecznych, organ współpracy klas i zawodów dla jednolitych celów narodowych, które są wyrażone i uosobione w postaci państwa. Niektórzy, aczkolwiek uznają nowość środowiska społecznego i politycznego, w jakiem ma się odtąd rozwijać działalność korporacyj, widzą jednak mimo wszystko ciągle jeszcze w syndykacie organ, istniejący tylko gwoli samemu sobie, a nie dostrzegają, że nosi on od samego zaczątku cechy, znamiona i siły żywotne tego organu wyższego, jaki prawodawca, powołując go do życia, kazał mu ucieleśniać.

To też dla zorjentowania się w drodze, którą mamy przebyć, nieodzowne jest poznanie nowej istoty związków zawodowych.

Ustawa z d. 3 kwietnia 1926 L. 563, oświadczając, że dla każdego zawodu może być legalnie uznany tylko jeden jedyny związek, poddając go nadzorowi i opiece państwa i obdarzając władzą we właściwym mu zakresie, przedstawicielstwem we wszystkich dziedzinach działalności państwowej, prawem ściągania składek, wydawania przepisów w granicach interesów zawodowych — ustawa ta nadała tem samem syndykatowi charakter korporacji i uznało go za czynnik składowy korporacyjnego ustroju państwa.

Jako zespół wszystkich syndykatów, jako wypadkowa działalności wszystkich klas i zawodów, całkowita Korporacja, w której każdy poszczególny interes znajduje swój wyraz i swoje miejsce w systemie interesów ogólnych, działa już i jest na drodze do zdobycia sobie ostatecznego kształtu.

Na mocy ustawy z d. 3 kwietnia 1926 ustrój korporacyjny zyskał już pierwszą podstawę jako instytucja. Od owej chwili zasada korporacyjna, jako siła rozpędowa nowej duszy narodowej, weszła odrazu w życie. Ale więcej jeszcze zdziałała, kiedy po wcieleniu syndykatów w ramy państwowe nastręczyła się kilkakrotnie sposobność do zorganizowania współpracy i łączności rozmaitych związków klasowych i zawodowych między sobą, albo z instytucjami państwowemi o charakterze administracyjnym.

W gruncie rzeczy działalność tak Ministerstwa Korporacyj jak i Narodowej Partji Faszystowskiej, przejęta myślą o wewnętrznej zgodzie poglądów i zamierzeń komitetów międzysyndykalistycznych, dzięki przedyskutowaniu sprawy umów pracowniczych, przez obniżenie zarobków i cen w związku z przewartościowaniem liry, przez ułożenie stosunków między zrzeszeniami ekonomicznemi, przez obronę potrzeb życiowych sfer niezamożnych — działalność ta była już poprzedzeniem i przygotowaniem Korporacyj.

Poprzedzeniem i przygotowaniem, o ile nie ograniczaliśmy się do ogólnikowego godzenia sporów, ale dążyliśmy do przysposobienia warunków technicznych, a tem samem do zawierania umów, których organizacje syndykalistyczne nie potrafiły wielokrotnie doprowadzić do końca.

Podobne eksperymenty, które dały wybitne wyniki, należy uważać za pierwsze dotykalne znaki przeszczepienia zasad współpracy z idealnych wzorów w faktyczne urzeczywistnienie. To samo wypadnie powiedzieć o komitetach międzysyndykalistycznych w korporacjach prowincjonalnych, o eksperymentach w całem tego słowa znaczeniu, co zostało podkreślone przez różnych autorów. Musiały one, od chwili swego powstania na polu walki ekonomicznej, bojować na dwa fronty, bo o ustalenie cen sprzedażnych artykułów pierwszej potrzeby i o oznaczenie płac.

Taka panuje jednomyślność między komitetami a działalnością Ministerstwa Korporacyj, a zarazem działalnością Narodowej Partji Faszystowskiej, że mogliśmy dać wszystkim przykład, jak dalece wymagania roboty partyjnej dadzą się uzgodnić z pracami rządu.

Ale zasada korporacyjna, która zastosowanie i sankcję znajduje w prawie i w faktach, musi się objawić w sposób konkretny w całym konstytucyjnym i administracyjnym ustroju państwowym. Reforma przedstawicielstwa politycznego jest najpierwszem uznaniem zasady korporacyjnej i urzeczywistnieniem, choćby narazie częściowem, odpowiedniego systemu w zasadniczym punkcie, to znaczy tam, gdzie doszukujemy się węzła między państwem a społeczeństwem narodowem, którego wielkie związki zawodowe, wraz z innemi stowarzyszeniami, stworzonemi dla celów wyższych nad interesy zawodowe, stanowią organiczny wyraz.

Liczniejsze, a niemniej subtelne i ciężkie zarazem są zagadnienia, dotyczące stosowania zasady korporacyjnej w dziedzinie administracyjnej. Syndykat uznany prawnie na podstawie ustaw szczegółowych i „Karty Pracy" jest prawdziwym i właściwym organem działalności administracyjnej, zdolnym do zadań i usług rozmaitego gatunku w zakresie gospodarczym i opieki społecznej, na polu wykształcenia zawodowego i wychowania narodowego. Należy spojrzeć na to zjawisko tak, jak ono naprawdę wygląda, a nie dopuścić, przez brak ufności lub obawę, aby nieunikniony dalszy rozwój zeszedł na drogę niewłaściwą i niepożądaną. Zadania i usługi, jakie syndykat nietylko może, ale powinien wyświadczać w najzupełniej legalnym wymiarze, wchodzą w zakres prawie wszystkich Ministerstw. Sama już akcja, dotycząca umów zbiorowych w dziedzinie pracy, określa fakty na drodze czynności normującej, to znaczy w dziedzinie tworzenia prawa, skutkiem czego związki, nawet nieświadomie, stają się punktem wyjścia nowego prawa zawodowego. Typowy przykład tego mieliśmy na szeregu zagadnień, jakie wyłoniły się z Konwencji Bankowej w stosunku do prawa o urzędnikach prywatnych.

Myślę, że po pierwsze, zjawisk podobnych, wytworzonych przez nowe instytucje, nie należy przeoczać, a następnie, że powinny one być poddane zgodnej akcji wszystkich Ministerstw, w ścisłym kontakcie z Ministerstwem Korporacyj, któremu w tym przedmiocie przypada największa odpowiedzialność. Ustroje demokratyczne, które uważały za właściwe bronić się zapomocą gmatwaniny biurokratycznej, wskazują nam *a contrariis* drogę, jakiej mamy się trzymać. W zakresie dobroczyn-

ności, wykształcenia zawodowego, opieki społecznej i organizacji wytwórczości nowe jednostki prawne, utworzone przez rewolucję faszystowską z chaosu syndykalizmu partyjnego i oddane na użytek najwyższym celom państwowym, muszą wziąć na siebie przypadającą im część roboty i odpowiedzialności. Mogą one nieco odciążyć ciężką maszynę administracyjną, narzuconą krajom na kontynencie europejskim w ślad za naśladownictwem francuskich wzorów państwa egalitarnego i niedołężnego, które dusi obywateli i dokucza im, ale nimi nie włada.

Nie chcę być posądzony o wyprawę w krainę hipotez. Kto przeżywa eksperyment korporacyjny nie na jednym tylko odcinku, ma obowiązek sygnalizować nawet najdalsze ruchy, aby uniknąć niespodzianek. Wszyscy kierownicy państwa faszystowskiego, którzy przy każdej sposobności dają wyraz swojej wierze w ustrój korporacyjny, muszą nabrać przekonania, że albo nie przyjmie się on wogóle, albo ogarnie nieomylnie wszystkie zagadnienia struktury państwowej. Związki muszą jeszcze udoskonalić swoją organizację, dokonać w niej pewnego doboru, nadać jej wyraz bardziej zdecydowany i uchwytny, muszą przedewszystkiem oczyścić swoją działalność z resztek materjalizmu i demagogji, albo niemniej od nich dających się wyczuć a gorszych jeszcze pozostałości wstecznego oporu przeciwko nowemu duchowi. Ale dobrze jest być gotowym do przyjęcia korzyści, jakie do spraw publicznych mogą wnieść związki, zdolne są one bowiem nadać szybsze i goretsze tempo pewnym pracom społecznym, pogrążonym w stojących wodach dotychczasowej rutyny.

Jeżeli rozważymy, jak należy, ustrój korporacyjny, jako wynik współpracy związków z rządem, czy to w przepisach dotyczących umów zbiorowych, czy w robocie administracyjnej, zrozumiemy, że niepodobna go zacieśniać do prostej zasady techniki gospodarczej, albo zasady li tylko organizacyjnej. W tej, jak i w każdej innej dziedzinie, odnoszę się z niewiarą do t. zw. fachowców i ludzi jednostronnie kompetentnych, nienagannych, ścisłych, nieomylnych, którzy przez specjalizację tracą jednolite, ogólne, syntetyczne, słowem polityczne ujęcie zagadnień. Ministerstwo Korporacyj, które jest najwyższym organem korporacyjnym, więcej: centralnym organem całej Kor-

poracji jako takiej, oczekuje uzgodnienia rozmaitych działów roboty syndykalistycznej i korporacyjnej od praktycznej współpracy różnych organów rządowych.

I tu występuje na jaw przyczyna (zgodna z metodą eksperymentalną, przyjętą przez ustrój faszystowski w swojem stopniowem kształtowaniu się), dla której Ministerstwo dopiero teraz powołało do życia centralne organy łączności, czyli organy korporacyjne, przewidziane w ustawie z lipca 1926 r. Zanim stworzono Korporacje i odpowiednią Radę Narodową, należało przygotować grunt materjalny i moralny, na którym podobne organy mogły być powołane do działania. I tego właśnie dokonano z drobiazgową starannością przez lata pracy korporacyjnej, prowadzonej przeważnie pod przewodem Ministerstwa Korporacyj.

Faszyzm postanowił zapomocą układu korporacyjnego umocnić zasadę zwierzchnictwa państwa nad formacjami syndykalistycznemi, które, pozostawione samym sobie, tak w dziedzinie gospodarczej jak społecznej, występowały swego czasu ostro przeciw państwu, poddając swojemu widzimisię wolę jednostek, dochodząc niemal do wydawania przepisów prawnych poza przepisami państwowemi, przeciwstawiając własne prawo prawu państwowemu, swoim własnym egoistycznym interesom podporządkowując interesy zawodów niezorganizowanych, a nawet interesy ogólne, których państwo z natury swojej jest sędzią, orędownikiem i obrońcą. Nie zawadzi zaznaczyć, że zasadę jedności narodowej, którą Risorgimento włoskie urzeczywistniło pod względem terytorjalnym, na polu administracji, w instytucjach, w ustawodawstwie, a rewolucja faszystowska w świadomości obywatelskiej i moralnej ludu włoskiego — zasadę tę układ korporacyjny wprowadza i rozwija poza sferą stosunków jednostki do państwa, wzywając związki zawodowe do całkowitego przestrzegania pewnego ustroju prawa publicznego. Faszyzm, ustanawiając państwo korporacyjne, podejmuje się opieki nad interesami jednostek, które t. zw. wolny syndykat ujarzmiał na rzecz swoich egoistycznych celów przeciwko państwu, przyczem rzeczywiste węzły między jednostką a związkiem uwalnia z pod władzy samowoli i gwałtu, a powierza je prawu.

W centrum systemu państwo wywiera wpływ przyciągający, nowy i niespodziewany. Przeciwko herezji marksowskiej o zanikaniu stanu średniego, uruchomienie korporacyj wydobyło na wierzch związki pośredniczące, które pomiędzy pracownikami a pracodawcami grają szczególną rolę łącznikową.

Na tle tak zakreślonego zasadniczego programu ustroju korporacyjnego rodzi się cały szereg zagadnień formalnych, dotyczących całej organizacji i administracji państwowej. Ustawa z dnia 3 kwietnia 1926 L. 563 i Dekret królewski z 1 lipca tegoż roku przewidywały stworzenie państwowych organów łączności między związkami klasowemi i zawodowemi, które otrzymały miano centralnych organów korporacyjnych, skoordynowanych i zjednoczonych w Narodowej Radzie Korporacyj *(Consiglio Nazionale delle Corporazioni)*. Chociażby nawet pojęcie albo działalność korporacyj nie ustaliły się jeszcze z zupełną dokładnością w ciągu doświadczeń prawodawczych i syndykalistycznych kilku ostatnich lat, to bądź co bądź zarysowuje się ruch dążący coraz wyżej i pozwalający przewidzieć, do czego on zmierza.

Wyłoniona z artykułu 3-go ustawy z 3 kwietnia 1926 r. L. 563 (która otwierała możliwości połączenia zapomocą centralnych organów łączności z wyższą wspólną hierarchją związków pracowników ze związkami pracodawców, tak jednak, aby zachowane zostało oddzielne przedstawicielstwo jednych i drugich) — Korporacja zyskała pierwsze, wprawdzie jeszcze niezupełne, ujęcie w art. 43 i nast. Dekretu Królewskiego z d. 1 lipca 1926 L. 1130.

W rzeczy samej Dekret ten, oznaczywszy mianem „Korporacyj" centralne organy łączności między rozmaitemi związkami syndykalistycznemi, przyznawał im charakter „organów administracyjno-państwowych", przewidując, że będzie je można tworzyć dla jakiejś określonej gałęzi produkcji, albo dla jednej czy więcej kategoryj przedsiębiorstw. W ten sposób powstaje węzeł między organizacjami pracodawców a pracowników jednej i tej samej gałęzi wytwórczości.

Zakres przypadających im kompetencyj jest bardzo szeroki: godzenie sporów w łonie syndykatu, wydawanie ogólnych przepisów, dotyczących pracy, unormowanie sprawy terminowania i praktyki. Nas interesuje tutaj przedewszystkiem z za-

kresu gospodarczego uprawnienie do zachęcania i wspierania wszelkiej inicjatywy, zmierzającej do skoordynowania i lepszej organizacji wytwórczości.

Nie stwarza to jeszcze, zapewne, ogólnego uregulowania produkcji, ani jej jednolitej organizacji, które to zdobycze daremnie starano się osiągnąć zapomocą jednej wspólnej korporacji.

Przytoczony dekret stanowi przecież krok naprzód w stosunku do systemu z dnia 3 kwietnia 1926, ponieważ zapewnia, że w przyszłości będzie się mogło z większą łatwością urzeczywistnić jednolite ujęcie organizacji całej wytwórczości.

Dalszy krok naprzód, pod względem pojęciowym, stanowiło ogłoszenie „Karty Pracy" *(La Carta del Lavoro)*, która zapoczątkowała działalność reprezentacyjną korporacji narodowej, ograniczając ją w dwu jedynie przypadkach.

Faktycznie paragraf VI oświadcza, że Korporacje tworzą jednolitą organizację sił wytwórczych i są całkowitemi przedstawicielkami ich interesów, a następnie dodaje, że jako przedstawicielki jednolitych interesów wytwórczości, Korporacje mogą dyktować przepisy obowiązujące co do układu stosunków pracowniczych, a także co do uzgodnienia produkcji, ilekroć otrzymają odpowiednie pełnomocnictwo od związanych z niemi związków zawodowych.

Jak widzieliśmy, Korporacja, tak jak się zarysowała w Karcie Pracy, utorowała drogę wymaganiom koncentracji, syntezy, jedności materjalnej i duchowej, ekonomicznej i polityczno-społecznej, które stanowią ideowe podłoże gospodarki korporacyjnej i znajdą swoje ostateczne zadośćuczynienie w Narodowej Radzie Korporacyj, syntezie najróżnorodniejszych żywiołów naszego życia narodowego, gdzie siły duchowe, pobudki najskrytszych sił ludu włoskiego, zlewają się z siłami wytwórczemi, pierwiastek etyczny wzmacnia się zapomocą pierwiastka ekonomicznego, żywioł biurokratyczny, z natury swej tradycjonalny, odświeża się w zetknięciu z grupami zawodowemi z natury swej nowatorskiemi.

Ustrój korporacyjny ze swemi instytucjami uzupełnia działalność syndykatu tam, gdzie ta ostatnia nie doprowadza do swych najdalszych konsekwencyj. Weźmy jako przykład umowę zbiorową; kroki z nią związane należą jedynie i wyłącznie do

związków syndykalistycznych. One to mają obowiązek, uświęcony wyraźnie w jednym z ustępów Karty Pracy, wszczynać akcję, zmierzającą do zawierania umów zbiorowych dla każdej gałęzi wytwórczości i pracy narodowej. Związki traktują ze sobą niezależnie od wszelkich władz państwowych w fazie działalności zupełnie autonomicznej. W wypadkach, kiedy zainteresowane związki nie potrafią same zawrzeć umowy, występuje Korporacja i usiłuje doprowadzić do porozumienia. A Korporacja wtedy jedynie może dyktować przepisy obowiązujące, kiedy strony zainteresowane, wytwórcy i pracownicy, obdarzyli ją specjalnem pełnomocnictwem. Z chwilą, kiedy Korporacja takiego pełnomocnictwa nie otrzymała a porozumienie do skutku nie przychodzi, ostatnie słowo mają urzędy pracy.

Należy jednak wyjaśnić w stosunku do Narodowej Rady Korporacyj, że ustawa z dnia 3 kwietnia 1926 r., odnośny przepis wykonawczy i Karta Pracy stawiały nas w obliczu korporacyj jako organów państwowych, nie mówiły jednak dokładnie, w jakim określonym punkcie państwa powinny się one życiowo zaszczepić. Wzięliśmy w ręce te korporacje, i czyniąc je żywemi i czynnemi sekcjami Rady Narodowej, stworzyliśmy ponad niemi ową Radę Narodową, którą naprawdę możemy nazwać wszechobejmującą korporacją narodową, ponieważ streszcza ona i syntetyzuje całą wytwórczą działalność ludu włoskiego. Działalność korporatywna w tym procesie prawnym zakłada działalność syndykalistyczną. Nietylko ją zakłada, ale tam, gdzie ona wymiera, ożywia ją. Korporacja w systemie faszystowskim nie wchłania w siebie i nie znosi syndykatu, ale go codziennie pobudza na nowo do czynu.

Praca międzykorporacyjna, wyrażona w Narodowej Radzie Korporacyj, zakłada pracę korporacyjną, rozwijającą się w Sekcjach, z których każda odpowiada jednej z wielkich gałęzi wytwórczości narodowej.

Syndykat, Korporacja i Rada muszą tedy współistnieć i to współistnieć na jednej i tej samej podstawie. Ta ich jednoczesność jest warunkiem koniecznym, jeżeli mamy dokonać długiej drogi, jaka czeka nasz eksperyment.

Nikt nigdy nie myślał o ujarzmieniu syndykatów przez korporacje, ani też o wchłonięciu korporacyj w zbyt szerokie łożysko Narodowej Rady Korporacyj. Drogą kolejnego wyod-

rebnienia pragnęliśmy osiągnąć jedność, która byłaby nietylko marzeniem i pustym dźwiękiem, ale organicznem urzeczywistnieniem.

Narodowa Rada Korporacyj, tak jak jest stworzona, przedstawia się jako organ, który nie niszczy, ale wyznacza granice autonomji poszczególnych syndykatów i uosabia działalność i władzę państwa w chwilach zetknięcia się ze sobą związków zawodowych. Zlewa się w niej uporządkowany i czynny system uprawnień samodzielnych i samorządnych związków syndykalistycznych z najwyższemi, bezwzględnemi, suwerennemi postulatami państwa, które reprezentuje jako całość osoba Naczelnika Rządu.

Nie można w tej dziedzinie zgodzić się na rozmaite, niekiedy dające się słyszeć formuły. We Włoszech niema państwa syndykalistycznego, ale są syndykaty państwowe, niema państwa korporacyjnego, ale są korporacje państwowe, tak że w istocie można powiedzieć, iż zapomocą Narodowej Rady Korporacyj wprowadzamy w życie Państwo-Korporację na usługach Państwa-Narodu.

CORRADO GINI
Profesor Uniwersytetu,
Prezydent Głównego Instytutu
Statystycznego w Rzymie

PROBLEM DEMOGRAFICZNY WE WŁOSZECH WSPÓŁCZESNYCH

SYTUACJA DEMOGRAFICZNA NARODÓW RASY BIAŁEJ A ZWŁASZCZA NARODU WŁOSKIEGO

Statystyki ruchu ludności — nie od dziś dopiero — we wszystkich krajach rasy białej (z wyjątkiem może niektórych, mniej lub więcej czystych rasowo państw Ameryki Południowej) wykazują stały, silniejszy lub słabszy, ale naogół bardzo wyraźny ubytek liczby urodzin. Równocześnie jednak zaznaczył się spadek śmiertelności, który z lepszym czy gorszym skutkiem wyrównał ten niedobór, tak że naturalny przyrost ludności albo się dotychczas nie zmniejszył, albo też umniejszył się dopiero w okresie ostatnim, w każdym zaś razie zmalał w mniejszym stopniu, niż liczba urodzin. Tem niemniej w państwach, w których zmniejszenie się liczby urodzin wystąpiło najsilniej, zaznacza się obecnie nie mogący również ulegać wątpliwości spadek przyrostu naturalnego, a do tych państw zaliczyć można także Włochy: osiągnąwszy w r. 1876 najwyższą liczbę urodzin (39,3‰ — dziś: 25,1‰), wykazały one w r. 1912 maksimum przyrostu naturalnego (14,2‰), który następnie malał stopniowo — pomijając okres wojenny — aż do 10,3‰ w r. 1928 i 9,1‰ w r. 1929. Pomimo to bilans demograficzny wszystkich państw rasy białej zamyka się nadwyżką urodzin nad wypadkami śmierci, niekiedy nawet znaczną. Jedynie Francja, w latach mniej korzystnych, wykazuje deficyt w przyroście naturalnym.

Także i w latach ostatnich nie brakło takich, którzy, biorąc pod uwagę te fakty, troskali się grożącem jakoby niebezpieczeństwem przeludnienia. Tymczasem głębsze wniknięcie w rzecz poucza, iż nadwyżka urodzin nad śmiertelnością zależna jest — przynajmniej częściowo, a w niektórych państwach wyłącznie —

od okoliczności, że obywatele w wieku średnim, którzy jedynie przyczyniają się do wzrostu ludności i wśród których żniwo śmierci jest stosunkowo nieznaczne, stanowią obecnie odłam szczególnie liczny dzięki temu, że liczba nowonarodzonych, rosnąca naogół aż do początków bieżącego wieku, poczęła następnie spadać. Jeśli więc zostawić na uboczu tę okoliczność chwilową i przemijającą, to oczywistem się stanie, że z punktu widzenia rozwoju demograficznego kraje rasy białej znajdują się w położeniu o wiele mniej korzystnem.

Istotnie, porównując liczbę kobiet pomiędzy 20 a 30 rokiem życia, ustaloną na podstawie najnowszych spisów ludności, z liczbą noworodków płci żeńskiej w latach ostatnich, dochodzi się do wniosku, że w wielu państwach dzieci te nie zdołałyby w ciągu 20—30 lat dorównać liczbą swym poprzedniczkom, jeśli uwzględnić śmiertelność obecnie wśród ludności stwierdzoną. W takiem położeniu znajduje się Anglja i Walja, Szkocja, a prawdopodobnie również i Irlandja, następnie zaś Finlandja, Estonja, Łotwa, Szwecja, Norwegja, Francja, Belgja, Niemcy, Szwajcarja, Austrja, zapewne także i Węgry. Innemi słowy, należałoby przyjąć, że ludność wszystkich państw Europy zachodniej, północnej i środkowej objawia zasadniczo tendencję do zmniejszania się, z jedynym wyjątkiem dwu niewielkich państw: Holandji i Danji, z których ostatnia zresztą znajduje się w warunkach bardzo zbliżonych do tych, jakie cechują inne państwa skandynawskie.

Ciągle natomiast wykazywałyby przyrost ludności narody łacińskie w ściślejszem tego słowa znaczeniu, Włochy i Hiszpanja (brak dotyczących cyfr dla Portugalji), oraz wszystkie narody słowiańskie. Państwa te od południa i wschodu okalają państwa, których ludność zasadniczo się zmniejsza.

Państwa pozaeuropejskie, co do których posiadamy odpowiednie dane (Egipt, Kanada, Argentyna, Chile, Australja, Nowa Zelandja, Związek Południowo-Afrykański, Japonja, a prawdopodobnie także i Indje Angielskie), wykazać się mogą obecnie istotnym, mniej lub bardziej szybkim przyrostem. Natomiast Stany Zjednoczone Ameryki Północnej znajdą się rychło, o ile już się nie znalazły, w położeniu stałem, żadnych zasadniczych zmian nie wykazującem.

A zatem i przed innemi państwami rasy białej, zwłaszcza zaś przed Włochami, staje problem: czy znajdują się one istotnie w warunkach całkowicie odmiennych niż panstwa Europy północnej, środkowej i zachodniej, tak że w ich przyszłość demograficzną spoglądać można z bezwzględną ufnością, czy też stoją na niższym szczeblu ewolucji demograficznej, na którym zarodki upadku nie ujawniają jeszcze swojego wpływu nazewnątrz, chociaż działają już w ukryciu.

Wiele różnych dowodów i objawów skłania wybitnych uczonych do wniosku, że ludy, podobnie jak organizmy indywidualne, przebiegają w swej ewolucji krąg zamknięty. Kto godzi się z tą teorją, odnajduje niejeden wskaźnik mniej lub bardziej daleko posuniętej starości w statystykach demograficznych i przejawach życia społecznego ras białych. Ale i sporo badaczy, którzy przewidywań swych nie łączą z koncepcją okresów biologicznych, jest zdania, że narody rasy białej z różnych przyczyn skazane są na mniej lub bardziej gwałtowny spadek liczebny, jeśli wogóle nie na wygaśnięcie. Inni natomiast są przedstawicielami poglądu, że obecna tendencja zmierza do ustalenia ruchu ludności na poziomie niezmiennym, któryby miał się stać normalną cechą narodów cywilizowanych. Inni wreszcie zdradzają nadzieję, że przyrost ludności będzie można na przyszłość regulować racjonalnie przy pomocy kontroli urodzin, ażeby utrzymać stan najbardziej pożądany pod względem jakościowym i ilościowym.

SKUTECZNOŚĆ WPŁYWU PAŃSTWA NA RUCH LUDNOŚCI

W tych warunkach postawić można trzy pytania:

1. Czy polityka demograficzna ze strony państwa jest uzasadniona?

2. Czy spodziewać się można, że polityka taka okaże się skuteczna?

3. W jakim kierunku polityka ta wpływ swój wywierać powinna?

Odpowiedź negatywna na pierwsze z tych pytań byłaby równoznaczną z zapoznawaniem faktu, że państwo jest zainteresowane w przyroście własnej ludności. Odpowiedź zatem może brzmieć tylko potwierdzająco.

Pytanie drugie staje przed tymi wszystkimi, którzy przyjmują, że narody współczesne zmierzają do zatrzymania się na pewnym poziomie niezmiennym, albo też wykazują tendencję do stałego spadku liczebnego; przedewszystkiem jednak zagadnienie to narzuca się tym, których zdaniem ewolucja ludów, z przyczyn biologicznych, nosi charakter cykliczny.

Ale i ta nawet teorja nie nasuwa nieuchronnie wniosku, że interwencja państwa pozostawać musi bezskuteczną, podobnie, jak uznanie faktu, że życie jednostki jest kręgiem w sobie zamkniętym, nie wyklucza skuteczności zabiegów, zmierzających do przedłużenia tego życia lub usunięcia niektórych przyczyn śmierci. Nie brak z pewnością w historji — dawnej czy też nam bliskiej — przykładów, wykazujących bezskuteczność postanowień rządowych, mających na celu powstrzymanie spadku urodzin; w wypadkach tych jednak przyjąć można, że interwencja rządowa bądź to zaznaczyła się zbyt późno, gdy kryzys demograficzny zbyt wielkie poczynił postępy, bądź też nie szła w najbardziej wskazanym kierunku.

Najrozsądniejszym środkiem pobudzenia wzrostu ludności jest niewątpliwie popieranie wrodzonej dążności do ekspansji u czynników demograficznie największą wykazujących tężyznę, nie zaś zmuszanie do mnożenia się jednostek czy klas mało płodnych. Zarządzenia, które sankcją podatkową godzą w bezżennych, a względnie w małżeństwa bezdzietne lub wykazujące małą siłę rozrodczą, zasługują na polecenie nietylko z punktu widzenia korzyści skarbowych; pozatem mogą one — nie mówiąc o pożytku pośrednim t. j. wzroście urodzin — przynieść danej rasie pożytek bezpośredni: sumy tą drogą zebrane zużyć można na wzmożenie przyrostu demograficznego.

Wspierać w walce o byt rodziny najliczniejsze, umniejszając wysoką śmiertelność, która po części przekreśla to, co wnoszą na rzecz przyszłych pokoleń, utrzymywać lub przeszczepiać ich członków na grunt, gdzie wrodzona skłonność do ekspansji, w pewnej mierze z pewnością dziedziczna, napotyka na mniejsze przeszkody społecznej natury: — oto program najwłaściwszy. W jego ramach mieszczą się już zarządzenia, mające na celu ograniczenie emigracji, zmierzającej czy to zagranicę czy też do miast, emigracji, która rekrutuje się nadewszystko z pośród warstw najpłodniejszych, a w każdej warstwie z rodzin naj-

liczniejszych, pozbawiając narody komórek najbardziej żywotnych i wystawiając te komórki na zgubny wpływ środowisk miejskich. Program powyższy obejmuje przeszczepienie — klasyczna metoda kolonizacji, właściwa rasom łacińskim — elementów o wysokiej sile rozrodczej na obszary pustynne lub słabo zamieszkałe, przeszczepienie, które, także dzięki związkom krwi, jakie za sobą pociąga, musi wywołać uznanie uczonych, widzących w skrzyżowaniu główne źródło powstawania i odradzania się narodów.

W świetle doświadczeń wątpliwą natomiast wydaje się skuteczność systemu wsparć, udzielanych w stosunku do ilości potomstwa, ponieważ w praktyce nie jest rzeczą możliwą, by wysokość wsparcia zrównoważyć zdołała wydatki ponoszone przez rodzinę na wychowanie dzieci, a więc łatwo wyłonić się tu może ów bodziec ekonomiczny, który, przezwyciężając instynkt, stanowi bezpośrednią i najsilniejszą przyczynę ograniczenia liczby urodzin.

Odmienny jest zarówno cel, jak i wynik nagród przyznawanych w poszczególnych wypadkach rodzinom wyjątkowo licznym, a równocześnie wykazującym u swych członków wybitne walory z punktu widzenia fizycznego, obywatelskiego i moralnego. Nagrody te dzięki swej sporadyczności oraz formie przyznania i wysokości pieniężnej nie mogą być uważane za odszkodowanie, a tem bardziej obudzić nie zdołają poczucia uprawnienia; należą natomiast do szeregu aktów i zarządzeń, mających na celu wyrażenie czci macierzyństwu i utrzymanie wysoko kultu rodziny.

Nie brak objawów, które wskazują na to, że trudności w znalezieniu mieszkania i pracy stanowią nietyle wzgląd ostateczny, powodujący ograniczenie liczby potomstwa, co raczej usprawiedliwienie istniejącej już skłonności. Zaprzeczyć atoli niepodobna, że także i usunięcie pretekstów może w pewnych wypadkach pociągnąć za sobą wyniki dodatnie. Niewątpliwie jednak bardziej skuteczne są zabiegi, zmierzające do utrwalenia i wzmocnienia tych uczuć soldarności rodzinnej i narodowej, zarówno jak i uczuć religijnych, które, nie mogąc zastąpić instynktu rozrodczego, są przecież potężnymi sprzymierzeńcami w walce z panoszącym się egoizmem racjonalistycznym.

Jeżeli polityka demograficzna, zdążająca do zwiększenia przyrostu naturalnego, zwracać musi przedewszystkiem uwagę na rozrodczość, to nie wynika z tego bynajmniej, by miała całkowicie spuszczać z oka śmiertelność, której obniżenie, pożyteczne z punktu widzenia ilościowego, nie jest zgoła ujemne pod względem jakościowym, jeżeli prowadzi do usunięcia przyczyn zgonu pozbawionych charakteru jednostkowego, jak te, które tak często wzmagają śmiertelność pośród dzieci nieprawnych lub opuszczonych, albo też są podłożem chorób zakaźnych.

Massimo di natalità, minimo di mortalità — stanowi niewątpliwie, według słów Mussoliniego, najskuteczniejszy program polityki demograficznej, zmierzającej do pomnożenia ludności.

UZASADNIENIE POLITYKI DEMOGRAFICZNEJ WŁOCH

Jeśli więc spokojnie przyjąć można, że interwencja państwa, prowadzona roztropnie, zdoła wzmóc przyrost ludności, to pozostaje pytanie, czy akcja w tym kierunku idąca jest obecnie we Włoszech usprawiedliwiona, skoro istnieje coprawda możliwość, że w przyszłości żywotność ludu włoskiego osłabnie, ale niebezpieczeństwo to nie grozi bezpośrednio, i o zapobieżeniu mu myśleć będzie można wówczas, gdy się ujawni, w chwili zaś obecnej do czynienia mamy raczej z nadmiarem niż z niedostatkiem ludzi, na co wskazuje skłonność robotników do emigracji zagranicę i gotowość przedsiębiorców do wwożenia kapitałów, niemniej jak trwałość bezrobocia.

Nie trudno odpowiedzieć, że — jeśli idzie o objaw ostatni — badanie bezrobocia wykazało, że wyjaśnienie tego faktu w chwili obecnej szukać należy nie w nadmiernej podaży rąk roboczych. Jest on natomiast zasadniczo wynikiem znikomej elastyczności płac, które nie mogą nadążyć wahaniom cen środków spożywczych, — bezwładu po części nieuchronnego, po części zaś będącego jedną z ujemnych pozycyj systemu płac napół skostniałych, — analogicznie do cen stałych, któremi obecnie objęto tyle towarów i usług. System ten zaś rozszerza się coraz bardziej dzięki poważnym korzyściom, jakie przedstawia, pozwalając przedewszystkiem unikać długich targów i częstych nieporozumień. W pewnym stopniu bezrobocie jest też dla nowoczesnego narodu bolączką nieuchronną, i to w mierze tem więk-

szej, im wyżej wzniósł się rozwój, im dalej się posunęła specjalizacja jego twórczości przemysłowej.

Z drugiej strony, zarówno tendencję robotników do emigracji, jak gotowość przedsiębiorców do wwożenia kapitałów obcych ujmuje w karby jedynie indywidualna korzyść ekonomiczna, podczas gdy państwo powinno mieć na pieczy nietylko dobrobyt jednostek, ale i zbiorową siłę gospodarczą, dla której ma znaczenie nietylko przeciętny dochód indywidualny, ale również ogólna wysokość dochodu narodowego, i która, poza względami ekonomicznemi, winna też liczyć się z innemi okolicznościami, wśród których nie ostatnie miejsce zajmuje czynnik wojskowy. Znany zaś jest dobrze stosunek, jaki zachodzi pomiędzy liczbą ludności a siłą ekonomiczną i wojskową państwa.

A przytem państwo troszczyć się powinno nietylko o los współczesnego pokolenia, ale i o dobro przyszłych generacyj. Trafnie powiedział Mussolini, że nie ma prawa do rządzenia narodem ten, kto nie jest zdolny wybiegać wzrokiem przynajmniej na odległość lat pięćdziesięciu. Byłoby łudzeniem się przypuszczać, że interwencja państwa, przedsięwzięta w chwili, gdy niebezpieczeństwo wyludnienia już się ujawniło, zdoła spowodować całkowite odwrócenie sytuacji. Z jednej bowiem strony liczba urodzin w pewnej chwili zależna jest w znacznej mierze od liczby ludności (a zwłaszcza ludności kobiecej) w wieku zdolnym do wydawania potomstwa, ta zaś zawisła zasadniczo od liczby urodzin w okresie o 20—40 lat wcześniejszym; z drugiej strony sięgnięcie do zarządzeń państwowych — jak o tem dobitnie poucza przykład starożytnego Rzymu — nie wywiera wpływu, o ile psychologiczne podstawy życia rodzinnego zostały już podkopane.

Pozatem położenie demograficzne danego narodu oceniane być winno na tle szerszem, zewnętrznem, które stanowią inne narody. Z punktu zaś widzenia międzynarodowego niedwuznaczne są zgoła perspektywy, które przyszłość przed nami roztacza, jeśli — jak wszystko tego spodziewać się każe — ukryty kryzys demograficzny narodów Europy północnej, środkowej i zachodniej wystąpi w całej pełni i zaostrzy się z biegiem lat. I czy za narodami temi w niewielkiej odległości podążą na tej drodze inne narody rasy białej, które je okalają,

czy też przeciwnie, ludy te przez długi jeszcze czas wytrwają w swym wzroście liczebnym, — niepodobna uchronić się od przypuszczenia, że jakiś cyklon straszliwy będzie musiał przywrócić równowagę pomiędzy sferą spadku demograficznego napięcia a otaczającą ją strefą wzrastającego ciśnienia. Będą tu mogły zachodzić różnice tylko co do rozległości sfery depresji, oraz co do ras, którym przypadnie zająć miejsce narodów dotkniętych starością: w drugim wypadku będą to jeszcze rasy białe, w pierwszym zaś żółte, indyjskie czy malajskie.

W jednym i drugim wypadku jest rzeczą doniosłości życiowej dla narodu, który, jak Włochy, znajduje się na granicy sfery demograficznego „niżu", by nie dać się w nią wciągnąć i oczekiwać wydarzeń przy zachowaniu najwyższej energji demograficznej.

POLITYKA LUDNOŚCIOWA MUSSOLINIEGO

Przypatrzmy się bardziej szczegółowo głównym zarządzeniom, powziętym z woli Mussoliniego, rządu i władz lokalnych, by przeprowadzić we Włoszech propulsywną politykę ludnościową.

Ustawą z dnia 14 czerwca 1928 L. 1312 i Dekretem królewskim z dnia 10 sierpnia 1928 L. 1944 rząd postanawia, by od dnia 1 lipca 1928 udzielano rodzinom o licznem potomstwie szerokich ulg podatkowych, które obejmują: *a)* uwolnienie z ogólnego dochodu sumy 100.000 lirów od dodatkowego progresywnego podatku dochodowego, od dotyczącego dodatku gminnego oraz od opłaty rodzinnej *(tassa di famiglia)*; *b)* proporcjonalne zmniejszenie dochodów stwierdzonych przy obliczeniach podatkowych w ten sposób, by dochody do wysokości 100.000 l. uwolnić od podatku dochodowego z własności ruchomej *(richezza mobile)* oraz od gminnego podatku przemysłowego z dotyczącym dodatkiem prowincjonalnym, tudzież od opłaty *tassa camerale* lub podatku na korzyść Prowincjonalnych Rad Gospodarczych *(Consigli Provinciali dell' Economia)*, normalnie wymierzanych od tej samej kwoty opodatkowanej; od podatków i dodatkowych podatków od gruntów oraz wyrobów przemysłowych, tudzież od podatków z dochodów rolnych; *c)* całkowite uwolnienie od gminnego podatku patentowego, od podatku gminnego nałożonego na wartość czynszową; od

podatku gminnego od bydła, a zwłaszcza od kóz; od podatków syndykalnych; od opłat i dodatkowych opłat w szkołach i instytutach wszelkiego rodzaju i stopnia.

Z tych ulg częściowych lub całkowitych uwolnień od opłat korzystają urzędnicy i funkcjonarjusze państwowi, nie wyłączając emerytów, oraz pracownicy jednostek samorządowych lub instytucyj podległych kontroli państwa, o ile mają na swem utrzymaniu conajmniej siedmioro dzieci narodowości włoskiej, a także i ci, którzy nie wchodząc w skład urzędników Państwa lub instytucyj wyżej wymienionych, utrzymują conajmniej dziesięcioro dzieci narodowości włoskiej, albo też mieli conajmniej dwanaścioro dzieci narodowości włoskiej, żywych i zdolnych do życia w chwili urodzenia, z których conajmniej sześcioro pozostaje na ich utrzymaniu.

Dekret ten zasługuje na szczególną uwagę także z tego powodu, że ustala, iż do ogólnej liczby dzieci, poza prawnemi i nieprawnemi, włączyć należy również uznanych potomków naturalnych: przy udzielaniu więc tych ulg podatkowych nie czyni żadnej różnicy między dziećmi legalnemi i nielegalnemi, rozszerzając również na rodziny naturalne te zarządzenia, które aż do chwili obecnej zdawały się być wyłącznym przywilejem rodzin na prawnej podstawie założonych. W ten sposób ułatwione zostało uznanie dzieci, choćby tylko pod wpływem interesu, z niewątpliwemi jednak korzyściami moralnemi i materjalnemi dla nieprawnego potomstwa.

Tym ułatwieniom dla małżeństw obarczonych dziećmi przeciwstawiają się inne zarządzenia w stosunku do osób bezżennych, noszące charakter negatywny, a przynajmniej pozbawione cech uprzywilejowania. Niebawem poruszę sprawę podatku osobistego, nałożonego na bezżennych; narazie wskazać pragnę, że dzięki ustawie z 6 czerwca 1929 L. 1024, zawierającej zarządzenia, które mają na celu wzmożenie wzrostu demograficznego, stan bezżenny lub niezamężny, a względnie zachowanie tego stanu nie może stać się powodem uprzywilejowania urzędników i funkcjonarjuszy państwowych, prowincjonalnych, gminnych, czy też pozostających na służbie instytucyj publicznej opieki i dobroczynności; przeciwnie, w razie równych kwalifikacyj, pierwszeństwo otrzymać winni zawsze urzędnicy lub funkcjonarjusze żonaci i obarczeni rodziną przed współzawod-

nikami żonatymi lecz pozbawionymi potomstwa, a ci znów przed bezżennymi. Ta sama ustawa rozszerza postanowienia powyższe także na kontrakty dotyczące urzędników prywatnych.

Prezes rządu włoskiego zadecydował również (okólnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z 17 listopada 1928 L. 2698), by poddać rewizji i uchylić wszystkie postanowienia, które kobiet zamężnych nie dopuszczają do urzędów albo przyznają pierwszeństwo niezamężnym czy też jedynakom, oraz wszelkie przepisy o charakterze pokrewnym, dotyczące bądź to osób, które pozostają w stosunku służbowym do państwa lub instytucyj samorządowych, bądź też urzędników innych instytucyj i stowarzyszeń znajdujących się pod nadzorem państwowym, ponieważ zarządzenia tego rodzaju nie dadzą się pogodzić z założeniami demograficznemi, przyjętemi przez rząd.

Podobnie, jeśli idzie o pomieszczenie w domach ludowych czy oszczędnościowych, albo też wogóle wzniesionych przy pomocy państwa, prowincji lub gminy, względnie organów publicznej opieki i dobroczynności, zawsze, przy równych warunkach, pierwszeństwo otrzymać mają żonaci obarczeni potomstwem przed bezdzietnymi, a ci z kolei przed nieżonatymi. Nie inne też kryterja stosuje się przy udzielaniu koncesyj i uprawnień administracyjnych.

Oprócz zmniejszenia ciężarów podatkowych i uprzywilejowania obarczonych rodziną przy konkursach lub obdzielaniu mieszkaniami, rząd zapragnął również przyjść im w pomoc bezpośrednio przez przyznanie dodatku rodzinnego funkcjonarjuszom państwowym w 8-mym lub niższym stopniu płacy, żonatym albo wdowcom o małoletniem potomstwie, a to w wysokości 150, 135 i 130,5 l. miesięcznie oprócz dodatku miesięcznego w kwocie 30, 25, 20 i 10 l. na każde dziecko małoletnie aż do trzech włącznie, przyczem, jeśli liczba dzieci przewyższa tę liczbę, sumy powyższe się podwajają (ustawa z 27 czerwca 1929, L. 1047).

Wspomniane ustawy mają dopomóc tym, którzy są obarczeni rodziną; inne postanowienia zmierzają do wzięcia w opiekę matki i dziecka. Ustawą z dnia 10 grudnia 1925, L. 2277, roztoczono opiekę nad kobietą w okresie macierzyństwa, niemniej jak nad dzieckiem od niemowlęctwa do wieku przedszkolnego i szkolnego. Jest to złożona akcja opiekuńcza, znajdująca się

jeszcze w pełnym rozwoju, powierzona przez państwo instytucji *Opera Nazionale della Maternità e dell' Infazia*, która w tej dziedzinie stawia Włochy na czele najbardziej postępowych narodów.

Artykuł 4 ustawy postanawia, że instytucja ta, rozwijając swą działalność, winna mieć na oku cele następujące: udzielać opieki i pomocy kobietom brzemiennym oraz matkom znajdującym się w niedostatku lub opuszczonym; oseskom i dzieciom do 5 roku życia, należącym do rodzin ubogich; dzieciom fizycznie lub psychicznie anormalnym; małoletnim pozbawionym oparcia materjalnego lub moralnego, sprowadzonym na złe drogi i winnym przestępstwa — aż do ukończenia 18 roku życia.

Opera Nazionale ma oprócz tego za zadanie przyczyniać się do rozpowszechnienia zasad i metod naukowych higjeny w rodzinach i instytucjach, między innemi także przez zakładanie ambulatorjów, któreby zapewniły nadzór i opiekę kobietom ciężarnym, zwłaszcza wobec niebezpieczeństwa syfilisu; w program jej wchodzą również szkoły teoretyczno-praktyczne, pielęgnowanie zdrowia młodzieży oraz popularne kursy higjeny matki i dziecka, podobnie jak organizacja, w porozumieniu z władzami administracyjnemi, prowincjonalnych towarzystw antytuberkulicznych, dbałość o zabezpieczenie, przy współudziale władz miejscowych, dzieci przed gruźlicą, tudzież zwalczanie chorób dziecinnych, przy pilnem baczeniu, by stosowano ściśle zarządzenia prawne i porządkowe dotyczące opieki nad matką i dzieckiem.

Tą samą ustawą szpitale, przytułki dla matek i instytucje pokrewne zostały zobowiązane do otaczania opieką — w granicach miejsc wolnych — kobiet brzemiennych, które przekroczyły 8 miesięcy ciąży, oraz położnic aż do 4 tygodni po połogu, nawet w wypadkach, gdy chodzi o osoby nie mające prawa do bezpłatnych świadczeń po myśli statutów danej instytucji; rozszerzono też na pracowniczki urzędów państwowych lub innych instytucyj publicznych, postanowienia obowiązujące zakłady przemysłowe od r. 1907, a dotyczące trwania urlopu położnic i matek karmiących.

Ustawa powyższa rozszerzyła ponadto zakres nadzoru i opieki, będący polem działania *Opera Nazionale*, także na

młodzież w wieku późniejszym, o ile pozbawiona jest oparcia w rodzinie: usuwa się więc dzieci z środowisk moralnie niebezpiecznych, by pomieścić je w instytucjach czy wogóle w miejscach, dających wszelkie nieodzowne gwarancje. Zakazano posługiwania się — tak często będącego synonimem wyzysku, a zawsze szkodliwego moralnie — chłopcami poniżej lat 15 w teatrach, cyrkach i t. p.; uprawnione zostały zakazy, wzbraniające młodzieży uczęszczanie na pewne widowiska kinematograficzne.

Zabroniono dawać wino i inne napoje alkoholiczne dzieciom i małoletnim w szkołach, konwiktach oraz wszelkich instytutach wychowawczych i ochronkach, jak również podawać dzieciom i młodzieży napoje alkoholowe w lokalach publicznych, sprzedawać im cygara, papierosy, tytoń w liściach lub krajany, tabakę i wogóle wszelkie wyroby tytoniowe mogące służyć do palenia i zażywania w innej formie.

Opera Nazionale ma też powierzoną sobie — w myśl ustawy L. 798 z dnia 8 maja 1927 — opiekę nad dziećmi zrodzonemi z związku nielegalnego i uznanemi tylko przez matkę, jeśli ta jest skłonna czy zamierza karmić je i wychowywać.

Podobnie jednak, jak — w interesie potomstwa — ustawa przychodzi w pomoc kobiecie upadłej, tak też, w obronie rasy, przy użyciu wszelkich środków ściga karnie spędzanie płodu, nietylko karząc winną i tych którzy ewentualnie współdziałali w zbrodniczych zabiegach, ale zarazem stosując policyjne środki do tych lekarzy i tych akuszerek, którychby niejednokrotnie przychwycono na czynnym współudziale w tych wykroczeniach.

Wprowadzenie w czyn zarządzeń podobnych, jak te, które przewiduje ustawa o ochronie matki i dziecka, wymaga znacznych środków. Chcąc je sobie zapewnić, państwo, począwszy od 1 stycznia 1927 nałożyło osobisty podatek progresywny na bezżennych w wieku od 25 do 65 lat, który opłacać się winno jedynie na skutek faktu bezżenności i który znajduje dopełnienie w innym podatku progresywnym, wymierzonym w stosunku do całkowitego dochodu, jakim każdy z bezżennych rozporządza.

Równocześnie powziął rząd inne postanowienia, by przeszkodzić umniejszeniu się naszego bogactwa demograficznego,

które stanowi obfitość rąk roboczych, na skutek emigracji zagranicę, czy to stałej czy też chwilowej. Przeciwdziała również emigracji chwilowej, wiadomo bowiem, jak często i jak łatwo, pod wpływem okoliczności, emigracja ta przeobraża się w stałą.

W ostatnich latach coprawda niektóre państwa wprowadziły ograniczenia naszej emigracji z przyczyn ekonomicznych, chcąc uniknąć konkurencji robotniczej, inne natomiast dokładały wszelkich starań, ażeby ją wzmóc i zrównoważyć własny ubytek demograficzny, spowodowany niską rozrodczością, bądź też w celu skolonizowania rozległych przestrzeni niezamieszkałych.

Rząd Narodowy, nie zakazując emigracji całkowicie, stara się ją silnie ograniczyć, a nawet popiera powrót emigrantów. Tę siłę roboczą, powstałą w ojczyźnie, z łatwością wchłonęło rolnictwo, zyskujące coraz bardziej na intensywności a wskutek tego potrzebujące coraz więcej rąk zdolnych do pracy. Nie trzeba też zapominać o kolonjach weneckich i romańskich osadzonych pośród bagien toskańskiej *Maremma* i w Sardynji, ażeby tereny te uczynić uprawnemi i urodzajnemi. Ponieważ zaś dziecko obywatela włoskiego, urodzone we Francji, uważane jest tam za Francuza, przeto *Direzione Generale degli Italiani all' Estero* wpływać się stara na Włoszki, które mają niebawem zostać matkami, by na czas połogu powracały do swych gmin rodzinnych we Włoszech, i zwraca im koszta podróży oraz udziela porady w chorobie.

Wspomnieliśmy już szkody wyrządzane przez urbanizm, który pozbawia rąk do pracy rolnictwo i pomnaża ludność miast, wywołując niejednokrotnie kryzysy ekonomiczne i powiększając brak mieszkań w środowiskach miejskich. A zapominać przytem nie wolno o szkodach, jakie przynosi rasie porzucanie życia wśród wolnej przestrzeni pól dla o ileż mniej korzystnej dla zdrowia egzystencji miejskiej. Prezes rządu włoskiego osobiście zwrócił uwagę na stopniowe zmniejszanie się liczby urodzin wśród mieszkańców miast, będące w bezpośrednim związku z gwałtownym i potwornym wprost wzrostem tych ośrodków, które powiększają się, przyciągając do siebie ludność wiejską, a ta, zaledwie osiadła na bruku miejskim, wykazuje znaczny ubytek urodzin. Równocześnie obok wyludnienia wsi, występuje na jaw upadek rolnictwa z powodu braku rąk do

pracy, a stąd niedostatek podstawowych środków bytu i rosnące zubożenie narodu.

Ustawą z 24 grudnia 1928, L. 2971, uprawniono prefektów do wydawania zarządzeń, mających na celu ograniczenie nadmiernego wzrostu ludności miejskiej. Wszyscy ci, którzy przybywają do miast pozbawieni środków utrzymania i pracy, wszyscy ci, którzy, otrzymawszy obietnicę zarobku, z jakiejkolwiek przyczyny doznają zawodu i nie znajdą zajęcia w czasie jak najkrótszym, mają być odstawieni do miejsc przynależności i objęci zakazem powrotu do centrum miejskiego, z którego ich wydalono.

Ustawa ta jednak nie ma być stosowana w ten sposób, by z uprawnienia do pobytu stwarzać monopol na korzyć pracowników osiadłych już w głównych ośrodkach kraju; po myśli rządu winna być wykonywana w duchu całkowitej sprawiedliwości społecznej, zgodnie z wyższemi celami natury moralnej, które ją powołały do życia.

Równolegle z tą akcją rządu rozwinęła się działalność organów miejscowych, według dyrektyw prezesa ministrów, obejmujących cały szereg organicznie z sobą zespolonych zarządzeń. Część z nich już wskazano, mówiąc o ustawie dotyczącej ulg skarbowych, które rozciągają się również na podatki gminne. Obecnie wspomnieć jeszcze trzeba nagrody udzielane licznym rodzinom przez gminy, niekiedy w stałej wysokości na głowę każdego dziecka nowonarodzonego, kiedyindziej również w formie zapomogi rocznej na każde dziecko powyżej sześciu lub ośmiu, zapomogi wypłacanej aż do chwili osiągnięcia lat 15; wkońcu wymienić należy nagrody przyznawane rodzinom najbardziej zasłużonym z demograficznego punktu widzenia, czy to na zasadzie ogólnej liczby potomstwa, czy też dzięki osiągnięciu najwyższej stosunkowo jego liczby w określonym przeciągu lat małżeństwa. Jedna z gmin uchwaliła pięć nagród rocznych, niepodzielnych, po 100.000 l. każda, które przyznane być mają rodzinom, mogącym się wykazać najwyższą liczbą potomstwa w przeciągu lat sześciu; nagrody te składane są w instytucji bankowej na rzecz dzieci, rodzicom zaś przypada dochód z nich aż do chwili osiągnięcia pełnoletności przez potomstwo. Wiele gmin ustanowiło też w celu propagandy medale i dyplomy zasługi.

Gdzieindziej przyznano rodzinom o licznem potomstwie zniżki przy sprzedaży biletów tramwajowych, albo nawet i przejazd bezpłatny, bądź też obniżono im cenę gazu oraz prądu elektrycznego, służącego do oświetlenia; poczyniono kroki, mające im umożliwić wpisanie na listę ubogich, zapewnić opiekę lekarską i uzyskanie środków leczniczych oraz zwrot kosztów porodu, a dzieciom uczęszczającym do szkół powszechnych dostarczyć bezpłatnie książek lub odzieży, ułatwić przyjęcie potomstwa rodzin licznych do kolonij górskich lnb morskich, utworzyć stypendja dla uczniów szkół średnich i t. p.

Wiele gmin górskich stara się zapobiec wywędrowywaniu ludności do miast przez pomoc przy budowie domów nowoczesnych, w miejsce starych drewnianych, i dostarcza mieszkańcom zarówno gruntu jak budulca. Inne gminy wiejskie w tym samym celu dbają o polepszenie miejscowych warunków bytu przez wprowadzanie oświetlenia elektrycznego, budowę wodociągów, ulepszanie dróg a zwłaszcza stwarzanie stałych połączeń automobilowych z miastem, by w ten sposób zmniejszyć poczucie odosobnienia.

Pożyteczną propagandę rozwijają też dzienniki, które ogłaszają statystykę ruchu demograficznego, zamieszczają podobizny rodzin o licznem potomstwie, rozpisują konkursy, mające przyznać nagrodę tej gminie, która dostarczyła najwyższej stosunkowo liczby nowonarodzonych.

Sam Wódz i Naczelnik rządu niejednokrotnie i skutecznie zabierał głos w tej propagandzie, czy to przez artykuły w dziennikach i przeglądach, czy to w przedmowie do książki Korherra,[1] która każdego Włocha zastanowić musiała, czy przez zachęty publicznie powtarzane, ilekroć nadarzyła się po temu sposobność, czy wreszcie przez przyznawanie nagród rodzinom o licznem potomstwie i matkom, które przy jednym porodzie kilkoro dzieci na świat wydały.

W walce ze spadkiem liczby urodzin poważna rola przypada też bezwątpienia odnowie uczuć religijnych u Włochów, przygotowanej i popieranej przez rząd. Uzdrawia ona stosunki rodzinne, każe uważać dzieci za dar boski i bogactwo narodów, egoizmom jednostek przeciwstawia ciche radości pożycia domo-

[1] Riccardo Korherr, *Regresso delle nascite: morte dei popoli.* Prefazioni di Spengler e Mussolini. Roma, Libreria del Littorio, 1928.

wego, w mnogiem potomstwie wskazuje najpewniejszą rękojmię spokojnej starości.

Walka z umniejszeniem się liczby urodzin jest stosunkowo zbyt świeżej daty, by można już dziś ilościowo określić jej wyniki. Trzeba zresztą powiedzieć, że wogóle nie będzie nigdy rzeczą łatwą ustalić ściśle te rezultaty, trzebaby bowiem w tym celu obniżenie się liczby urodzin i wzrostu ludności, jakie istotnie stwierdzone zostanie we Włoszech, przeciwstawić zmniejszeniu się przypuszczalnemu, któreby ujawnić się musiało, gdyby nie świadoma celu polityka Mussoliniego. Trzeba przytem ostrzec przed złudzeniem, jakoby skutki tej polityki zaznaczyć się mogły w krótkim przeciągu czasu przez całkowite odwrócenie sytuacji, cechującej przyrost ludności we Włoszech; tem niemniej wszakże z głębokiem przekonaniem stwierdzić można, że polityka demograficzna Mussoliniego już w chwili obecnej wywiera wpływ dobroczynny, stawiając potężną tamę zalewowi propagandy neomaltuzjańskiej, która zagraża przyszłości innych narodów. O ile też znajdzie stosowny oddźwięk w narodzie, będzie mogła w wybitnej mierze przyczynić się do zapewnienia naszemu krajowi korzystnego stanowiska na terenie współzawodnictwa międzynarodowego.

„Żywię przeświadczenie“ — pisał Mussolini, i niepodobna znaleźć bardziej właściwego zakończenia dla artykułu o włoskiej polityce demograficznej, niż słowa jej twórcy — „że nawet jeśliby prawa okazać się miały bezskutecznemi, należy spróbować tego środka, tak jak się próbuje wszelkich lekarstw, także i zwłaszcza wtedy, gdy sytuacja jest rozpaczliwa“.

„Sądzę jednak, że ustawy demograficzne — negatywne i pozytywne — mogą unicestwić lub choćby tylko opóźnić ten objaw, o ile organizm społeczny, do którego się je stosuje, jest jeszcze zdolny do reakcji. W tym wypadku od praw formalnych większe znaczenie ma obyczaj moralny, a nadewszystko świadomość religijna jednostki. Jeśli ktoś nie odczuwa radości i dumy z tego, że znajduje kontynuację jako jednostka, jako rodzina i jako naród; jeśli — odwrotnie — nie czuje ktoś smutku i wstydu, że umiera jako jednostka, jako rodzina i jako naród, to bezskuteczne są prawa nawet — a raczej: zwłaszcza — drakońskie. Trzeba, by prawa były bodźcem życia obyczajowego“.

VIRGINIO GAYDA
Naczelny redaktor »Giornale d' Italia«

POLITYKA ZAGRANICZNA WŁOCH FASZYSTOWSKICH

Po ośmiu latach trwania ustroju faszystowskiego możemy już rozpoznać charakterystyczną fizjognomję także i włoskiej polityki zagranicznej, nietylko jako zespołu programowych wytycznych, ale również jako czynu. W polityce tej należy rozróżnić dwa okresy: okres likwidacji zagadnień odziedziczonych po poprzednjm ustroju i okres budowania nowego czynu w duchu faszystowskim. W pierwszym okresie metoda jest prosta i racjonalna: rozwiązać sprawy już przesądzone, tak, jakby się likwidowało upadłość, starając się wyciągnąć jak się da najwięcej korzyści, wszakże godząc się na istotny stan rzeczy. Jednem słowem polityka kompromisu. Taka jest charakterystyka polityki faszystowskiej z pierwszych czasów, we wszystkich jej objawach. Znamienna jest mianowicie dla rewolucji faszystowskiej jej metoda postępowa: narazie powolna, pojednawcza, potem samodzielna, nieustępliwa, raptowna. Rewolucja faszystowska, w przeciwstawieniu do rosyjskiej, nie zapędziła się do narzucania wszystkiego jednym zamachem, i do odnowy do cna. Wcisnęła się w państwo narodowe, opanowując je, ale zatrzymując czynniki istniejące, i dopiero stopniowo zaczęła wprowadzać swoje urządzenia i swoich ludzi, w miarę jak dojrzewali i jak przeobrażenie mogło się dokonać bez śmiertelnych wstrząsów.

Podobnie i w polityce zagranicznej Mussolini nie chciał początkowo zacinać się w nieustępliwości i narzucać swego nieugiętego, zgóry ułożonego programu. Duch pojednawczości i dobrej woli przewodzi włoskiej działalności dyplomatycznej przy rozstrzyganiu wszystkich odziedziczonych spraw. Z Jugosławją Włochy zawierają ostateczną umowę, mocą której wyrzekają się całej połaci Dalmacji, przyznanej im przez traktat

londyński i już zajętej przez ich wojska, wzamian za czysto włoskie miasto Fiume, i pieczętują to traktatem przyjaźni. Doznaje przez to uszczerbku historyczne i narodowe prawo włoskie do Adrjatyku, ale narazie uzyskany jest całokształt pewnego zagadnienia politycznego.

Ta sama dobra wola i pojednawczość cechują postawienie i rozwiązanie sprawy długów wojennych w stosunku do Stanów Zjednoczonych i Anglji. Włochy, pierwsze pomiędzy zwycięskiemi mocarstwami, zgadzają się uznać swoje długi wobec sprzymierzeńców i ujmują je w zobowiązanie spłat rocznych, z których wywiązują się dotychczas i będą się wiernie wywiązywały nadal.

Z niemniej wyraźnym duchem pojednawczym zajął się faszyzm sprawą podziału kolonij. Sprawa dotyczy Anglji i Francji. Artykuł 13 traktatu londyńskiego, w którym zostały określone warunki przystąpienia Włoch do wojny u boku sprzymierzeńców, przyznaje Włochom prawo żądania wynagrodzenia w postaci kolonij, na wypadek, gdyby, dzięki zwycięstwu, te dwa mocarstwa odniosły korzyści kolonjalne w postaci posiadłości niemieckich. Wynik wojny doprowadził do automatycznego urzeczywistnienia się praw włoskich. Wszystkie kolonje niemieckie zostały podzielone między Anglję, Francję i Belgję. Jednak wbrew przewidywaniom traktatu londyńskiego Włochy musiały podwoić wysiłek, jaki wniosły do wojny i zwycięstwa, z powodu załamania się frontu wschodniego, które pozwoliło Austro-Węgrom przerzucić z niego wszystkie siły na front włoski. Anglja, która na podziale kolonij niemieckich zarobiła w sumie 2 260.000 km² z 9.335 tysiącami mieszkańców, zapłaciła swój dług, odstępując Włochom część terytorjum w Somalji *(territorio dell' Oltre Giuba)*, o małej jak na dzisiaj wartości gospodarczej, ale pożyteczną, jeśli idzie o ujednostajnienie administracji w Somalji włoskiej. Francja, która otrzymała 922.000 km² nowego terytorjum kolonjalnego z 4.325 tysiącami mieszkańców, jeszcze do dzisiaj nie uiściła się ze swego długu wobec Włoch.

*

Nowa polityka zagraniczna włoska o charakterze faszystowskim wytworzyła się nadzwyczaj szybko pod wpływem nowej świadomości narodowej i nowego sposobu patrzenia na potrzeby międzynarodowe. Posiada ona cztery znamienne rysy

zasadnicze: samodzielność stanowiska i działania, czynny udział w polityce światowej, energiczne obstawanie przy prawach narodu, realizm w szacowaniu wypadków i w stosowanych środkach. Skończył się dla Włoch okres sojuszów. Odrzucają one uczestnictwo w trwałych przymierzach międzynarodowych, krępujących i o nakreślonym zgóry stałym programie politycznym. Chcą być wolne i działać niezależnie. Nie znaczy to, aby miały stronić od umów czy kombinacyj międzynarodowych, jeżeli chodzi o poszczególne sprawy. Ale przystępując do nich, wychodzą z niezależnego stanowiska i wnoszą do traktowania zagadnień programy, interpretacje i metody czysto włoskie.

Dały tego jawny dowód w sprawie odszkodowań i rozbrojenia.

Te cztery charakterystyczne rysy nowej zagranicznej polityki włoskiej uwypuklą się wyraźnie w pobieżnym przeglądzie rozmaitego rodzaju spraw i stosunków międzynarodowych, najściślej związanych z jej polem działania.

Zagadnienie europejskie. Żadnej Paneuropy. Jeszcze nie dojrzał czas dla tak szerokiego ujmowania kwestyj międzynarodowych, jednoczącego stanowiska i interesy dotychczas zanadto niepodobne między sobą i rozbieżne. Paneuropejskie formułowanie rzeczy jest mitem i w rzeczywistości okazuje się środkiem do ujarzmienia narodów słabszych przez bogatsze i bardziej militarne. Przypomina to towarzystwo akcyjne, w którem grupy akcjonarjuszów, rozporządzających większą liczbą akcyj, rozkazują pozostałym, posługują się ich głosami i pieniądzmi, i rządzą się na prawo i lewo, jak im dyktuje własny interes.

Taką samą rezerwę zachowują Włochy w stosunku do Ligi Narodów. Rezerwę, która jednak nie jest opozycją. Nie należy przeceniać znaczenia Ligi Narodów. Może ona być konkretnem i pożytecznem narzędziem, jeżeli idzie o porozumienie międzynarodowe w sprawach jasno określonych, i wogóle dla zetknięcia się ministrów spraw zagranicznych, nie jest jednak ona jeszcze w stanie wskazać linji wytycznej w polityce i sprawach ekonomicznych, wspólnej dla wszystkich wielkich i małych narodów, nie oddając jednych na pastwę drugim. W sprawach porozumień międzynarodowych rzeczą rozstrzygającą jest przedewszystkiem metoda. Metoda włoska jest podstawowo indukt-

cyjna, to znaczy realistyczna: wznosi się od szczegółow do uogólnień, od konkretnego faktu do zasady. Dlatego to Włochy, opierając się zobowiązaniom o charakterze powszechności, nazbyt ogólnikowym, aby mogły być użyteczne, albo nazbyt przeładowanym nieokreślonemi i ciemnemi interesami jednostkowemi, aby mogły być przeźroczyste, dużo natomiast zawierają umów, w których biorą udział tylko dwie strony. Takie umowy dwustronne — traktaty przyjaźni, arbitrażowe czy pojednawcze na polu politycznem, oraz traktaty handlowe na polu ekonomicznem — zawierane są po dokładnem zbadaniu spraw i ściśle określonych interesów, dotyczących stosunków jedynie między temi dwoma krajami. Tutaj każdy z nich wie dokładnie, co daje i co dostaje, jakie jest jego stanowisko, jego prawa, obowiązki, obietnice i korzyści. Niedawne dyskusje genewskie na temat rozejmu celnego, pierwszy krok na drodze ku Paneuropie, wykazały, jak dalece rozbieżne są jeszcze interesy krajów i jak poważnem niebezpieczeństwem dla spraw gospodarczych każdego z nich byłaby jedna wspólna formuła dla wszystkich.

Żaden inny kraj nie zawarł tylu politycznych traktatów handlowych z krajami bliskiemi i dalekiemi, małemi i wielkiemi, ile ich zawarły Włochy w okresie faszyzmu.

Ale nie chcemy przez to wszystko powiedzieć, żeby Włochy nie miały swojego własnego poglądu na sprawę jedności europejskiej i żeby ze swoją metodą analityczną nie wiązały myśli i metody syntetycznej. Włochy mają zdecydowany punkt widzenia co do polityki europejskiej, który streszcza się w najprostszych wyrazach: żadnej hegemonji, powrót do normalnych stosunków międzynarodowych, zniesienie podziału na zwycięzców i zwyciężonych przy utrzymaniu wszystkich praw zwycięstwa. W imię tego poglądu, jasno postawionego przez Mussoliniego, i który minister Grandi, jego wierny tłumacz, tak niedawno jeszcze rozwijał na konferencji międzynarodowej, Włochy wypowiedziały się w Londynie z powodu sprawy rozbrojeń morskich, położyły swój podpis pod umowę lokarneńską, i przyczyniły się bezpośrednio, na drodze dyplomatycznej i finansowej, do rozwiązania kwestji odszkodowań niemieckich i na wschodzie.

Ten pogląd był kierowniczy dla polityki włoskiej na wszystkich odcinkach stosunków europejskich. Charakterystyczny

jest przykład z Rosją sowiecką. Włochy faszystowskie były pierwszem mocarstwem, które uznało ten ustrój i wznowiło z Rosją normalne stosunki dyplomatyczne. Nie znaczy to bynajmniej, że faszyzm, który w pierwszych swoich formacjach bojowych powstał przeciwko bolszewizmowi i upadkowi polityki liberalnej, która go karmiła swoją niemocą, godzi się na komunizm. Faszyzm godzi się tylko na fakt dokonany wewnętrznej polityki rosyjskiej, do której nie chce się wtrącać. Traktat handlowy i morski, oraz umowa celna, jakie nastąpiły po uznaniu urzędowem i zostały podpisane w Rzymie 7 lutego 1924 r. ze Związkiem Republik Sowieckich, dowodzą realizmu i samodzielności polityki włoskiej, która odbija od wszystkich dążeń europejskich naszych czasów. Ustrój komunistyczny, cobądź o nim myślimy, jest faktem realnym, występuje jako rząd, opanował Rosję, jest jej obecnym sposobem życia, i on jedyny ją reprezentuje w stosunkach międzynarodowych. Nie można wykluczyć ze stosunków międzynarodowych kraju o 160 miljonach mieszkańców, jakim jest Rosja. Należy więc przystać na ustrój, który jest jej ustrojem. Wszystkie też wielkie kraje po Włoszech obrały ten sam realistyczny sposób ułożenia swojego stosunku do Rosji.

Politykę włoską wobec Niemiec ilustruje Locarno. Sir Austen Chamberlain przypomniał rolę, jaką w Locarno odegrał Mussolini. Bez jego przystąpienia umowa Francji i Niemiec co do Renu nie byłaby doszła do skutku. Pakt lokarneński ze swemi aneksami jest narzędziem zwycięstwa i pokoju. Ustala on system granic niemieckich dzięki gwarancji angielsko-włoskiej, ale po raz pierwszy od czasu wojny stawia Francję i Niemcy na tym samym poziomie politycznym, ponieważ gwarancja angielsko-włoska ma jednakowe znaczenie dla obu stron i obie zabezpiecza przeciwko możliwym pogwałceniom lub wykroczeniom w wykonywaniu traktatów pokojowych. Polityka zagraniczna Mussoliniego od pierwszej chwili postawiła sprawę wprowadzenia na nowo politycznie i gospodarczo odbudowanych Niemiec między wielkie mocarstwa Europy. Ta odbudowa konieczna jest dla dwojakiej przyczyny: dla równowagi europejskiej i jako obrona przeciw wewnętrznemu osłabieniu Niemiec, grożącemu albo wskutek zasadzek agitacji bolszewickiej, rozwijanej przez sąsiednią Rosję, albo przez zbytnie obciążenie finan-

sowe, wywołane przez odszkodowania a jednocześnie przez utratę ważnych terenów gospodarczych. Oto dlaczego, mimo nalegań p. Poincarégo, Włochy nie brały udziału w okupacji Ruhry, ale zato występowały czynnie w akcji dyplomatycznej, która od pierwszego porozumienia w Spa, poprzez następne rewizje na korzyść Niemiec, doprowadziła najpierw do planu Dawesa, a potem do planu Younga. Główne argumenty planu Younga, jako zasady polityki włoskiej, przeświecały już z przemówień Mussoliniego od 1927 r. Plan Younga odbiera odszkodowaniom charakter polityczny, ustala ostateczne i całkowite cyfry płacy dla Niemiec, wyłącza okupację wojskową jako gwarancję i w ten sposób w innym zupełnie duchu układa stosunki między zwycięzcami a zwyciężonym. Plan Younga należy naprawdę do czynów rekonstrukcyjnych w polityce europejskiej.

Z Niemcami Włochy faszystowskie zawarły traktat handlowy 31 października 1925 r., jeden z pierwszych po nowych taryfach niemieckich, i traktat pojednawczo-arbitrażowy 29 grudnia 1926 r.

Stosunki włosko-angielskie, stojące pod tradycyjnym znakiem faktycznej przyjaźni, nie uległy zmianie po przejściu władzy z rąk konserwatystów do partji pracy. Porozumienie osiągnięte pomiędzy Mussolinim a Sir Austenem Chamberlainem przy spotkaniu w Livorno, nie było, jak chcieli niektórzy, stworzeniem wspólnego frontu włosko-angielskiego, o charakterze przesądzającym te czy inne zagadnienia europejskie i pozaeuropejskie, ale było tylko uznaniem wspólności i zgodności interesów w niektórych szczegółach polityki światowej i obietnicą wymiany poglądów na wszystkie wydarzenia i sprawy aktualne, jakieby się wyłoniły w granicach tych zagadnień. Sprawa włosko-angielska to dzisiaj w gruncie sprawa śródziemnomorska i afrykańska. Trzymając w ręku Gibraltar i Suez, obie bramy otwarte na wolne morze, Anglja całkowicie panuje na Morzu Śródziemnem. Dla Włoch podstawa życia narodowego leży na Morzu Śródziemnem, podstawa życia gospodarczego — nawet nie licząc już dziesięciu miljonów Włochów rozrzuconych po świecie — leży poza niem, ponieważ zarówno źródła surowców jak i rynki zbytu dla wywozu znajdują się w znacznej części w krajach poza obrębem Morza Śródziemnego. Czyli, że narodowe życie

Włoch z dwojakiego punktu widzenia pozostaje pod kontrolą Anglji. Włochy uznają żywotne interesy Anglji na Morzu Śródziemnem, głównym trakcie do Indyj, ale zrozumiałą jest i ich troska, aby zdobyć sobie rękojmię wolności na morzu. Takie rękojmie godzą się z lojalną polityką przyjaźni z Anglją i ze systemem, jaki dzisiaj panuje na Morzu Śródziemnem. Poza Morzem Śródziemnem Włochy i Anglja spotykają się w Afryce i na Morzu Czerwonem. Spotkanie jest pokojowe. W ostatnich latach Włochy mogły rozwinąć, w zgodzie z Anglją, swoją samodzielną politykę na arabskim, niegdyś wyłącznie zagarniętym przez Anglję brzegu Morza Czerwonego, przez polityczne i ekonomiczne zbliczenie z Yemenem, który możemy uważać za podstawę dla rozwoju i handlowej ekspansji Erytrei.

Trudne, zagmatwane i dotychczas jeszcze niezałatwione są interesy włoskie w stosunku do Francji. Są one trojakiego gatunku: wypływające z wojny i ze zwycięstwa (wynagrodzenie kolonjalne), wypływające ze zmiany w polityce francuskiej (statut dla Włochów w Tunisie), wypływające z ogólnych dążeń francuskich (opieka nad wychodźtwem antyfaszystowskiem, polityka europejska i bałkańska, polityka na oceanach). Te trzy kategorje spraw mają rozmaite źródła i rozmaity charakter, a razem wzięte stanowią wyraźną wierzytelność Włoch wzamian za to, co kiedyś zapłaciły Francji.

Zadośćuczynienie kolonjalne, którego Włochy domagają się od Francji, jest, jakeśmy już tłumaczyli, wynikiem artykułu 13 traktatu londyńskiego i wypływa ze zobowiązania, jakie Francja wzięła na siebie, i ze zwycięstwa, jakie odniosła za przyczynieniem się krwi włoskiej. Anglja zapłaciła. Francja, która na podziale niemieckich łupów kolonjalnych wyszła jeszcze lepiej od Anglji, gdyż otrzymała, oprócz terytorjów mandatowych jeszcze i terytorja przydzielone jej pod władzę bezpośrednią (Kongo), nie zapłaciła. Prasa francuska w swoich polemikach chciałaby wmówić, że zapłata miała już miejsce w r. 1919 przy regulowaniu oazy Gadames, na granicy między Trypolisem a Tunisem. Pomijając już jednak wartość terytorjalną, zupełnie żadną, tej regulacji, fakt jest, iż umowa z r. 1919 powiada wyraźnie, że przez nią „nie zostały zaspokojone zobowiązania, wypływające z paktu londyńskiego". Włochy tedy domagają się od Francji uznania ich praw na terytorjum afrykańskiem aż

do jeziora Czad, aby mogły wzmocnić gospodarkę karawanową w Libji, nawiązując ją do ośrodka handlowego na południu. Francja zwalcza to prawo, twierdząc, że odbierze jej to możność stworzenia jednolitego obszaru z posiadłości afrykańskich i przetnie projektowaną linję kolejową przez Saharę. Wartość tych obszarów została odkryta przez Francję naprawdę dopiero po postawieniu żądań włoskich. Ale przedewszystkiem należy podkreślić, że obszary te pozostawały aż do wojny libijskiej pod zwierzchnictwem tureckiem i jako takie figurują we wszystkich aktach dyplomatycznych francuskich aż do r. 1890. Włochy, które zajęły w Libji miejsce Turcji, weszły także w jej prawa, i słusznie mogłyby żądać strefy jeziora Czad nawet niezależnie od artykułu 13 umowy londyńskiej.

Sprawa Włochów w Tunisie zaczyna się z dniem zajęcia Tunisu przez Francuzów. Już w owym dniu dziesiątki tysięcy Włochów zaludniały Tunis. Francja uznała ich prawa narodowe i obowiązała się zagwarantować je wzamian za uznanie przez Włochy okupacji francuskiej. Zobowiązanie dane przez Francję zostało ściśle sformułowane w konwencji z 1896 r. Jednakowoż we wrześniu 1918 r. Francja zaparła się tej konwencji, zapewniając, że to jej zaparcie się nie ma żadnej przyczyny politycznej. Od tego czasu wszakże ogranicza się do ponawiania co trzy miesiące konwencji, odmawiając wzięcia zobowiązania na dłuższą metę. Równocześnie rozwinięto wytężoną akcję w celu wynarodowienia żywiołu włoskiego w Tunisie.

Niemniej zawiłe są inne sprawy, które tak samo rozdzielają Włochy i Francję. Włoska emigracja polityczna antyfaszystowska stworzyła we Francji ośrodek agitacji przeciw ustrojowi faszystowskiemu. Działa ona jawnie i publicznie. Ma do swego rozporządzenia przeszło dziesięć pism, wychodzących na terytorjum francuskiem, liczne organizacje, sute i tajemnicze subwencje, a działa drogą oszczerstwa i morderstwa. Przed kilku laty usiłowała nawet wypuścić we Francji pożyczkę publiczną dla zorganizowania zbrojnej wyprawy na Włochy, która miała tam rozpalić płomień buntu przeciw ustrojowi faszystowskiemu. Włochy nie wymagają, aby Francja odmówiła gościny tym agitatorom, ale żądają, aby tłumiła ich polityczną robotę antywłoską, która potąd może się rozwijać, póki jest wolna i protegowana na gruncie francuskim. Widzimy tu żywy

a ciekawy przykład prawa *asylum* politycznego, nie pozbawiony znaczenia dla Europy wogóle.

Polityka europejska i polityka bałkańska Francji, które wchodzą w jeden wspólny i jednolity program, z dwojakiego względu interesują Włochy: przez to, co mówią o ogólnej tendencji polityki francuskiej w Europie, i przez stanowisko szczególnie wrogie, jakie się w nich odbija w stosunku do Włoch. Mamy we Włoszech wyraźne poczucie, że Francja dąży do ustanowienia swojej hegemonji na kontynencie europejskim. Jej polityka, oparta na zasadach „bezpieczeństwa" i „gwarancji", w rzeczywistości stworzyła w Europie system sojuszów i porozumień, który cięży innym narodom i łamie konieczną równowagę, wskrzeszając na jej miejsce owe bloki, które doprowadziły do wojny europejskiej. Włochy są przeciwne hegemonjom europejskim i polityce przymierzy. To też opierają się prądowi francuskiemu.

Ale przedewszystkiem mamy we Włoszech wyraźne wrażenie programowej wrogości francuskiej. Co jest jej przyczyną? Można ją streścić jako obawę Francji przed szybkim wzrostem i ekspansją Włoch, która pociągnie za sobą obniżenie się jej stanowiska politycznego i wpływów. Przyciśnięta tą obawą, Francja prowadzi politykę wybitnie przeciwwłoską, skojarzoną z pewnemi objawami, które wszyscy prawdziwi zwolennicy pokoju, a Włosi przedewszystkiem, szczerze opłakują i które chcieliby sprostować. Bardzo łatwo można dostrzec i wyliczyć objawy i postępki takiej polityki, datującej się odrazu od końca wojny: stanowczy opór przeciwko zadośćuczynieniom kolonjalnym dla Włoch w czasie rokowań pokojowych; pomoc okazana bez zawahania zaledwie powstałej Jugosławji w jej oporze przeciwko prawu włoskiemu do Dalmacji i przeciwko zastosowaniu paktu londyńskiego; systematyczne obniżanie militarnej i politycznej roli Włoch i ofiary, jaką one poniosły dla wojny i dla zwycięstwa (znamienne są pod tym względem wszystkie książki francuskie, traktujące o wojnie). — A dzisiaj: milczące tolerowanie polityki sojuszniczki Jugosławji, coraz bardziej napastniczej wobec Włoch, w widocznych zamiarach, aby, jak za czasów austrjackich, skrępować politykę włoską na Adrjatyku, a tem samem poderwać nam możność większej swobody czynu na Morzu Śródziemnem i w Europie; akcja

dyplomatyczna na Bałkanach, które też leżą poza sferą bezpośrednich zainteresowań politycznych Francji, w celu zatamowania i możliwie odwrócenia wpływów włoskich; propaganda antywłoska, prowadzona przez usłużne agencje i pisma francuskie, subwencjonowane we wszystkich krajach świata; protegowanie uchodźtwa i antyfaszyzmu, jako narzędzi odporu przeciw ustrojowi faszystowskiemu, uważanemu za najtęższą siłę państwowotwórczą Włoch; odmowne stanowisko w kwestji przyznania Włochom prawa równorzędności morskiej, uznanej już w Waszyngtonie w r. 1922, w akcie dyplomatycznym samego francuskiego ministra spraw zagranicznych, p. Brianda.

Oczywiście, że zawiła polityka francuska, która w swoim rozwoju podejmuje coraz nowe zobowiązania narodowe i przybiera coraz surowsze stanowiska, czyni z porozumienia między Francją a Włochami kwestję nader delikatną. Sprawa ta nie dojdzie do pełnego rozwiązania, o ile nie zmieni się przedewszystkiem duch niedowierzania i francuskiej wyłączności, który w znacznej mierze te sprawy wywołał i wyolbrzymił. Dyplomacja tutaj nie wystarczy, o ile nie stanie za nią życzliwa atmosfera duchowa.

Trzeba natomiast podkreślić, że Włochy nigdy nie dopuściły się czynów wrogich w stosunku do Francji. W swoich pierwszych wypowiedzeniach, jako minister spraw zagranicznych ustroju faszystowskiego, Mussolini niedwuznacznie wyraził pragnienie szczerego i zdecydowanego porozumienia z Francją. I cała akcja dyplomatyczna włoska poszła po tej właśnie linji. Długi szereg rokowań prowadzonych pomiędzy Rzymem a Paryżem nie doprowadził dotychczas do żadnego skutku. Ostatnim ich aktem była nota włoska, złożona rządowi francuskiemu we wrześniu 1929 r., która dotąd pozostała bez odpowiedzi. Przy spotkaniu się tego roku w kwietniu w Genewie p. minister Grandi przedstawił p. Briandowi dwie wyraźne propozycje: zwołać komitet rzeczoznawców włosko-francusko-angielskich, aby starać się dojść do fachowego porozumienia w sprawie morskiej, oraz wszcząć nową serję rokowań, bezpośrednio pomiędzy rządem paryskim a rzymskim, dla swobodnego zbadania wszystkich spraw, ogólnych i szczegółowych, dotyczących stosunków włosko-francuskich, i zamknąć w ten sposób okres rokowań dyplomatycznych, prowadzonych za pośrednictwem

ambasadorów, które się okazały mało płodne i niesłychanie ospałe. P. Briand nie przyjął tych propozycyj.

Szczególnie czynna jest polityka włoska w krajach naddunajskich i na Bałkanach. O jej wytycznych jużeśmy mówili: popieranie wewnętrznej odbudowy wszystkich krajów nawet przy międzynarodowej pomocy finansowej, unormowanie stosunków między zwycięzcami a zwyciężonymi, bez uszczerbku dla praw zwycięstwa, niedopuszczanie do tworzenia się hegemonij i niebezpiecznego zachwiania równowagi. Dzięki takim wytycznym Włochy zrezygnowały ze znacznej części odszkodowań, należnych im od Austrji, od Węgier i od Bułgarji, i popierały sprawę pożyczek międzynarodowych dla tych krajów, podtrzymując zapomocą spokojnej przyjaźni ich najsilniejsze ustroje narodowe. Włochy najwcześniej z pomiędzy wielkich mocarstw zawarły traktat przyjaźni i traktat handlowy z Turcją, niwecząc raz na zawrze tradycję o „człowieku nieuleczalnie chorym", podpisały traktat przyjaźni z Grecją i traktat przymierza obronnego z Albanją, potwierdzający przedewszystkiem jej nietykalność polityczną i terytorjalną, wreszcie traktat przyjaźni i traktat handlowy z Rumunją. Nie mówimy już o Polsce, z którą przyjaźń, żyjąca w długiej naszej tradycji, wyraża się dzisiaj jako chęć rzeczywistej współpracy politycznej i gospodarczej.

Sprawa związku bałkańskiego, propagowana w paru stolicach europejskich i wypływająca dzisiaj na nowo w prasie bałkańskiej, spotyka się jeszcze we Włoszech z niezdecydowaniem. Tego rodzaju porozumienia mają wartość tylko, kiedy wszystkie przystępujące do nich narody znajdują się w jednakowych warunkach, wnoszą równe zadatki normalnego rozwoju, a stosunki między niemi są bezwzględnie jasne i przyjacielskie. Na Bałkanach daleko jeszcze do takiego błogosławionego stanu rzeczy. Związek bałkański stałby się dzisiaj nieuchronnie narzędziem do łatwiejszego opanowania wszystkich krajów słabszych przez jeden najmocniejszy.

Powikłane są również stosunki Włoch z Jugosławją. Polityka włoska w stosunku do Jugosławji, w ustroju faszystowskim przybrała postać jasną i pełną dobrej woli. Mussolini zgodził się na radykalną rewizję traktatu londyńskiego, wyrzekając się na rzecz Jugosławji całej Dalmacji, z wyjątkiem

jedynie maleńkiej Zary, wzamian za Fiume, i podpisując z rządem belgradzkim traktat przyjaźni, oraz cały szereg uzupełniających umów, t. zw. konwencyj w Nettuno, które miały uregulować stosunki narodowe i handlowe między dwoma krajami. Ta polityka porozumienia nie wywołała w Jugosławji skutków, jakich można było oczekiwać. Polityka jugosłowiańska wobec Włoch stawała się coraz bardziej agresywna i zdradziecka. Oto charakterystyczne fakty: pięcioletnia zwłoka w ratyfikowaniu umowy w Nettuno, prześladowanie Włochów w Dalmacji tak jak i przedsiębiorstw włoskich, które trzeba było wszystkie wycofać, agitacja dla wywołania powstania wśród ludności niewłoskiej w prowincji Venezia Giulia, bezustanne próby terrorystyczne przeciwko ludności pogranicza wiernej Włochom i przeciwko szkołom i innym instytucjom włoskim, jątrzenie na granicach Albanji i powtarzające się usiłowania zbuntowania Albańczyków przeciwko centralnemu rządowi w Tyranie dla sprowokowania wewnętrznych zamieszek, coby usprawiedliwiło interwencję Jugosławji na terytorjum albańskiem, polityka presji i forsownej ekspansji w stronę Austrji i Bułgarji, silne szpiegostwo wojskowe i przygotowania wojenne, które pochłaniają znaczną część budżetu państwowego, a stoją w najzupełniejszem przeciwieństwie do położenia politycznego i militarnego wszystkich krajów, graniczących z Jugosławją.

Wobec takiego niespokojnego zachowania się, polityka włoska jest polityką obronną, energicznem tłumieniem wrzenia na granicach i bystrem czuwaniem. Kiedy wygasł traktat przyjaźni, rząd włoski już go nie ponowił. I nie ponowi go, jeżeli się nie zmieni do gruntu polityka Belgradu. Wśród wielu ciemnych punktów polityki europejskiej, stosunki włosko-jugosłowiańskie z pewnością nie należą do podrzędniejszych.

Polityka zagraniczna włoska poza-europejska ma linje łatwo rzucające się w oczy.

W sprawach azjatyckich cechują ją dwa dążenia: życzliwość dla ruchów narodowo-autonomicznych wszystkich ludów i rozwój stosunków handlowych. Wychodząc z tych założeń, Włochy zawarły kilka umów z Persją i Afganistanem; pierwsze z pośród państw europejskich uznały nowy nacjonalistyczny ustrój Chin i prowadzą z wszystkiemi krajami, z Indjami zwłaszcza, ożywioną wymianę handlową. Reorganizacja linij okrę-

towych włoskich na Daleki Wschód zapewnia Włochom większą ekspansję na Oceanie Indyjskim i na Pacyfiku.

Co do Afryki, to tutaj współpraca narodowa kojarzy się z kolonjalną. Włochy śledzą z sympatją narodowy ruch egipski, zgadzając się na rewizję ustroju kapitulacyj, oraz ruch narodowy południowo-afrykański, i nawiązały z nim nawet nowy system stosunków gospodarczych, oparty na systemie żeglugi włoskiej, która dokonywa objazdu całej Afryki. Znamienny jest fakt, że stwarzając swoje pierwsze przedstawicielstwa dyplomatyczne zagranicą, Afryka Południowa dotychczas wyznaczyła dla nich dwie placówki: Hagę, dla braterstwa narodowego, i Rzym.

Sprawa kolonjalna afrykańska jest dziś dla Włoch przedewszystkiem kwestją dwu zasad, które stanowią: 1) przeciwstawienie się dążeniu państw-mandatarjuszy do zamiany ich terytorjów mandatowych na terytorja poddane ich suwerennej władzy, i żądanie od nich nienaruszalności stanu politycznego, ustanowionego przez traktaty i otwartych drzwi dla handlu wszystkich krajów; — 2) pierwszeństwo prawo włoskiego przed prawem jakiegokolwiek innego kraju na wypadek, nieaktualnej dzisiaj, rewizji systemu kolonjalnego dla przeprowadzenia nowych podziałów.

Wreszcie polityka włoska, jeśli idzie o Amerykę, rozpada się na dwa działy: północny i południowy. Stosunki ze Stanami Zjednoczonemi znalazły dobitny wyraz w szybkiem uznaniu i skonsolidowaniu długów wojennych i w rozwoju serdecznych stosunków politycznych i gospodarczych. Liczba obywateli włoskich w Stanach Zjednoczonych dochodzi do kilku miljonów. Ich wpływy narodowe i polityczne są w niektórych środowiskach olbrzymie. Włochy jednak powstrzymują się od wglądania w ich wewnętrzne sprawy, i uważają ich tylko za punkt wyjścia dla polityki przyjaźni w stosunku do Stanów Zjednoczonych. Dążności protekcjonistyczne Ameryki Północnej stanowią poważne zagadnienie także i dla Włoch, które sprzedają Stanom Zjednoczonym towaru za przeszło półtora miljarda lirów rocznie.

Po ustaleniu się nowych taryf, Włochy pomyślą o obronie. Ale nie wejdą do europejskich bloków antyamerykańskich.

Wobec Ameryki łacińskiej polityka włoska dąży do nawiązania nowych stosunków politycznych i kulturalnych, tem żywotniejszych, że w grę wchodzą pokrewieństwo rasowe i wielkie a bogate kolonje włoskie, oraz do wzmożenia wymiany handlowej. Włoska polityka antyemigracyjna dotyczy wszystkich państw, które przyjmowały emigrantów, ale ogniskuje się głównie w stosunku do rzeczypospolitych południowo-amerykańskich, do których kierowało się przedewszystkiem wychodźtwo włoskie. Od r. 1924 do r. 1929 emigracja włoska spadła z 9.723 do 2.303 wychodźców do Brazylji, z 67.403 do 23.250 do Argentyny, i z 4.825 do 1.995 do innych krajów za Oceanem. Ta polityka antyemigracyjna wiąże się z polityką narodowej obrony demograficznej, charakterystyczną dla Mussoliniego. Człowiek jest bogactwem. Jego wyjście z kraju jest zawsze stratą narodową, której nie powetują nikłe nadsyłane zarobki. Powstrzymując emigrację, broni się majątku narodowego.

*

W tym przelotnym rozbiorze podkreśliliśmy kilka zadań i praktycznych zapatrywań polityki zagranicznej Włoch faszystowskich, ale nie wyjaśniliśmy jeszcze jej przewodniej myśli. Czem się ona kieruje? Jakie są jej najogólniejsze wytyczne?

Polityka zagraniczna stała się w ustroju faszystowskim poprostu dalszym ciągiem polityki wewnętrznej i można ją uważać za, rzucone na tło międzynarodowe, samą istotę i sam duch ludu włoskiego i jego faszystowskiego nastawienia. Mówi się najczęściej o imperjalizmie włoskim jako o groźnym i rewolucyjnym wyrazie faszyzmu w polityce zagranicznej. Imperjalizmem może być ekspansja już dokonana, albo dokonywająca się zapomocą podbojów terytorjalnych, z bronią w ręku i nie tłumacząca się potrzebami narodu, zmuszonego do wyszukania sobie nowych obszarów pracy. Nie można nazywać imperjalizmem naturalnego dążenia do ekspansji narodowej, podyktowanej nie przez programy wielkości politycznej, ale przez elementarne potrzeby życia. Naród włoski, który z pośród wielkich cywilizowanych narodów Europy odznacza się największą płodnością i doszedł do jednego z najgęstszych skupień demograficznych na swojem terytorjum, wykazuje zdecydowaną zdolność do rozmnażania się; jest zarazem narodem, który posiada najmniej ziemi do pracy i ani jednej wielkiej kolonji

do zaludnienia. To jest naczelna prawda w międzynarodowej grze Włoch. Ona to nakazuje politykę ekspansji. Tej potrzebie ekspansji służy zagraniczna polityka włoska w swojem najszerszem i zrozumiałem dążeniu. Ale nie jest powiedziane, że jej środkami mają być gwałt i nastawanie na cudzą własność. Moglibyśmy raczej powiedzieć, że w tem swojem ogólnem braniu rzeczy polityka zagraniczna włoska jest dopiero przygotowawczą fazą dla przedstawienia swoich potrzeb w dziedzinie przyrodzonej i swoich praw w dziedzinie międzynarodowej. Wielkie kraje europejskie wzywa się, aby się liczyły z rzeczywistością włoską, ze wzrastającą siłą Włoch, jaką one przedstawiają i ich nie dającemi się zgnębić dążeniami. Nie jest przesądzone, że rozwój świata i starej Europy nie uzna potrzeby rewizji istniejących warunków, i to tak, aby sposobem pokojowym mogło dojść do rozwiązania zagadnienia włoskiego.

Ale to jest hipoteza przyszłości. Na dzisiaj jest rzeczą ważną ustalić w kilku wyraźnych rysach przesłanki narodowej ekspansji włoskiej. Wewnętrzna demograficzna i ekonomiczna charakterystyka Włoch streszcza się w prostej formule: ciągły i wciąż groźniejszy brak równowagi pomiędzy usprawiedliwionemi potrzebami narodu włoskiego a środkami koniecznemi do ich zaspokojenia. Nie trzeba przypominać jałowości znacznych obszarów ziemi włoskiej, przerżniętej potężnemi kadłubami górskiemi Alp i Apeninów, wskazywać na suche i bezwodne przestrzenie na południu, na zupełny prawie brak surowców i materjałów palnych, niezbędnych dla wielkiego przemysłu. Jeden rok produkcji węgla w Stanach Zjednoczonych przewyższa wszystkie pokłady węgla kamiennego Włoch, obliczone zaledwie na dwieście miljonów tonn. Trzeba przytem uwzględnić wzrastające bogactwo materjału ludzkiego we Włoszech w zestawieniu z ubóstwem ziemi. W sto lat ludność Włoch prawie się podwoiła, z 19,727.000 mieszkańców w r. 1825, do 41,508.000 w roku 1920, gęstość zaś zaludnienia podniosła się z 68.8 do 133.8 mieszkańców na 1 km^2. Żaden inny kraj nie doznał zjawiska tak raptownego przyrostu demograficznego bez immigracji obcej, nawet zjawiska krępowanego przecież forsownem wychodźtwem i poważnemi stratami w ludziach wskutek trzęsień ziemi i częstych wojen, aż po ostatnią, która kosztowała 652.000 zabitych. W okresie od 1880 do 1923 r. wskaźnik syn-

tetyczny produkcji rolnej, pastwiskowej i górniczej włoskiej podniósł się o 16%, tymczasem wskaźnik zaludnienia o 37%.

Sprawa „imperjalizmu" Włoch wygląda więc tylko jako konieczność zdobycia nowych samodzielnych środków pracy, aby przywrócić proporcjonalny stosunek między potrzebami a zasobami narodu. Mussolini, duchowa synteza narodu, który przez wojnę rozrósł się więcej w swojej świadomości niż w swoich granicach, wyraziciel jego potrzeb, układa nową politykę włoską z tych właśnie potrzeb, z prawa do życia i z poszanowania dla narodu. Włochy pragną bronić się i wskrzesić swoją indywidualność, żywy czynnik w historji. Nie godzą się już być dłużej najemnym pracownikiem cudzego kapitału. Przed kilku laty pismo francuskie *La Croix*, zatrwożone brakiem rąk roboczych w kraju, napisało, że Francja musi w swoim przemyśle posługiwać się obcemi pracownikami, „ale tylko w znaczeniu pośledniejszem", do najcięższych robót, a wyszukuje ich „z pośród Włochów, Polaków, Czechosłowaków i kolorowych". Umysłowość mocarstw, przeciwstawiających się podniesieniu się znaczenia Włoch, fatalności dziejowej, z jaką rosną w potęgę wszystkie zdrowe, płodne, pracowite, ożywione nową wiarą narody, maluje się w tych okrutnych słowach, które mieszają Włochów i Polaków z murzynami i żółtymi w szarej pracy najemniczej na usługach cudzoziemca. Odruch włoski przeciw takim tendencjom jest gestem życia i samoobrony. Powinny go zrozumieć i naśladować wszystkie młode, zmartwychwstałe narody, dumne ze swej niezawisłości i gotowe bronić swego narodowego honoru.

EMILIO DE BONO
Generał Korpusu,
Senator, Minister Kolonij

POLITYKA KOLONJALNA WŁOCH

Naszą politykę kolonjalną, jak prawie każdą inną działalność naszego narodu, tradycją trzeba cofnąć do czasów rzymskich.

Kiedy w czasie średniowiecznego upadku utraciliśmy wszelki wpływ na świecie, rasa nasza i język poczęły występować na nowo poza granicami ojczyzny dzięki naszym sławnym republikom żeglarskim.

Z nich jednak tylko Wenecja miała posiadłości o charakterze kolonjalnym, i to w granicach morza Śródziemnego.

Odkrycie Ameryki — również dzieło Włocha — otworzyło nowe dziedziny i nowe widnokręgi narodom, które już potrafiły nadać sobie mocną i określoną formę państwową.

Na nieszczęście, z coraz świetniejszym wzrostem innych państw europejskich zbiega się upadek polityczny różnych państw i państewek, istniejących na włoskim półwyspie. Znikły rzeczypospolite: Amalfijska i Pizańska; Genua ograniczyła działalność do handlu swojemi towarami; Wenecja, zniewieściała pod względem obyczajów, traciła rok w rok posiadłości na lądzie stałym i obszary zamorskie.

Nawet i te dwie domierające republiki przestały istnieć skutkiem przewrotów, wywołanych przez rewolucję francuską i przez wojny francuskiego pierwszego cesarstwa.

Kiedy wolą ludu, z powięcenia jednostek, przez waleczność wojska, rozum kierowników rządu i mądrość króla, Italja znowu została odbudowana jako zjednoczony naród, musiała przedewszystkiem pomyśleć o skonsolidowaniu się wewnętrznem, tak pod względem politycznym jak i gospodarczym. Gdyby nawet istniały zamiary kolonizatorskie, musiałaby była zawieść sama zdolność ekspansji.

Wszelako kraj, którego trzy czwarte granic leży na morzu i który cierpi na nadmiar ludności, nie może pozostać obo-

jętnym widzem, kiedy inne mocarstwa, panujące również i na naszem morzu, biorą w posiadanie rozmaite lądy, a przedewszystkiem kontynent afrykański. Nie może patrzeć spokojnie na proces, który grozi mu uduszeniem.

Posiadać kolonje, władać w nich bez wtrącania się państw innych, to znaczy mieć punkt ujścia i odpływu, to znaczy utwierdzić się na stanowisku, aby potem móc przystąpić do wymiany i handlu z matką-ojczyzną.

Przykry i upokarzający stan rzeczy, poprzedzający okres wzmocnienia się potęgi Włoch, nie nadawał się do tego, żeby przywoływać na pamięć świetność przeszłości, ani do tego, żeby spoglądać z otuchą w przyszłość. I tak myśl o Rzymie przez długi czas nie była dla nas bodźcem. Rzym widniał przed nami jako wielkopański spadek, który napawał nas dumą i skłaniał do badań, ale nie był wzorem do naśladowania.

Nasi zuchwali podróżnicy zanieśli imię Włoch w głąb czarnego lądu, dając wymowny dowód, że nie brak nam ludzi zdatnych do kolonizowania; nie wytworzyła się jednak jeszcze odpowiednia prężność w narodzie, a osobistości rządzące nie wykazywały koniecznego zmysłu w tym kierunku.

Tak tedy zapoczątkowanie naszych prób kolonjalnych zawdzięczamy inicjatywie prywatnej, przez rząd nikle tylko popieranej. A zaczęło się właśnie tam, gdzie Włochy nie miały żadnych interesów do obrony i gdzie nie mogły się łudzić co do możliwości ekspansji kolonjalnej. Pomimo to świadomość, że sztandar nasz powiewa poza granicami ojczyzny, że w zapadłym kącie dalekiego morza Czerwonego podróżny może natknąć się na nasze barwy, symbol obecności w tem miejscu Włoch i ich woli, wpajała w ludzi wierzących nadzieje większej w przyszłości potęgi.

Był rok 1885, kiedy nasi bersaljerzy wylądowali w Massaua i objęli ją w posiadanie. Daleka była Massaua, daleka! Niełatwo było dać do zrozumienia Włochom, że może istnieć wspólność interesów pomiędzy portem na morzu Czerwonem a naszemi portami na wodach Tyrreńskich i na Adrjatyku.

W głąb od Massauy rozciągał się teren, niemal zupełnie nieznany, chyba nielicznym eksploratorom i podróżnikom. Wielu, bardzo wielu Włochów, na wiadomość o naszej wyprawie kolonjalnej, rzuciło się z ciekawością do atlasów, aby się dowie-

dzieć, gdzie może leżeć to nieznane miasto, o którem większość obywateli o przeciętnej kulturze nigdy nie słyszała.

To też, mimo że usłużna prasa starała się wyolbrzymić doniosłość zdobyczy i otworzyć jej drogę do świadomości Włochów, wyprawa nie była popularna, wzbudzała co najwyżej entuzjazm wśród tego odłamu wojskowych, któremu życie koszarowe nie daje dostatecznego ujścia dla zdrowego ducha awanturniczego, tkwiącego zasadniczo w każdym prawdziwym żołnierzu.

I jak zawsze dzieje się i dziać się będzie u początku wszystkich imprez kolonjalnych (a nasza grzeszyła niebywałem niedoświadczeniem), przyszła kolej na fakty bolesne: nadeszło Dogali!

Wychwalano bohaterstwo naszych żołnierzy, ale potępiano niesumienność dowódców i administratorów.

Mieliśmy następnie okres pomyślnej ekspansji, który opłaciliśmy, niestety, zawsze skutkiem błędów w ujęciu i ocenie sytuacji, klęską pod Aduą.

W r. 1896 mało chyba było we Włoszech ludzi, z którymi jeszcze możnaby było mówić o Afryce.

Prawdą jest także, że przez jedenaście lat naszej okupacji nic, ale to nic nie pozwalało wróżyć o przyszłych korzyściach gospodarczych, jakie nam mogły przyjść z Erytrei.

Trochę sławy wojennej, nawet pośród klęsk, uzdolnienie garści ludzi do zrozumienia zagadnień kolonjalnych, nieco żywszego zetknięcia z narodami, które prowadziły handel poprzez kanał Suezki, — oto są dodatnie wyniki naszego przedsięwzięcia kolonjalnego aż do owego czasu. A wyniki ujemne? Straty w ludziach i straty materjalne, oraz wzmocnienie ościennego cesarstwa etjopskiego.

Ale właśnie w okresie naszych porażek afrykańskich, kilku ludzi, którzy zwrócili uwagę na zagadnienia kolonjalne i mimo wszystko mieli wiarę i żywe wyczucie konieczności, aby i Włochy współubiegały się, razem z innemi mocarstwami morskiemi o wzięcie w posiadanie czarnego lądu, — kilku tych ludzi zdobyło prawo lądowania i ciągnienia zysków z kawałka wybrzeża somalskiego, a mianowicie z Benadiru.

Benadir był zalążkiem tego, co zczasem miało się stać Somalją włoską.

O kolonjach przez kilkanaście lat nie mówiło się we Włoszech. Wszelkie wspomnienia, nawet bohaterskie, związane z naszą polityką kolonjalną, odsunięto na stronę. Nie istniało wówczas, rzecz prosta, Ministerstwo Kolonij; sprawy, związane z niemi były odsyłane do specjalnej Dyrekcji Generalnej Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ale nawet w rozprawach, dotyczących budżetu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, kwestje kolonjalne nie wchodziły pod obrady w żadnej z dwu Izb Parlamentu, z obawy, aby nie zadrażniać uczucia antykolonjalnego ludu włoskiego.

Obie nasze kolonje leżały daleko od metropolji, niewiele ludzi, choćby nawet pragnęli tego, mogło sobie pozwolić na zbytek kosztownej podróży. Nędzna, prawie żadna jest bibljografja tego przedmiotu, ponieważ nie wyczuwano możebności węzłów między interesami na morzu Czerwonem czy oceanie Indyjskim a interesami na morzu Śródziemnem, które bezpośrednio wywierają nacisk na nasz półwysep.

Bądź co bądź niebezpieczeństwo, że zostaniemy materjalnie zamknięci we własnym domu, poruszyło nareszcie sfery rządzące, które postanowiły wprowadzić w czyn to, co konwencje międzynarodowe przyznały nam, jako z prawa się nam należące: okupację Trypolisu i Cyrenajki.

Tak więc, koniec końców, postawiliśmy stopę na przeciwległym brzegu morza Śródziemnego, naprawiając — przynajmniej częściowo — błędy popełnione swego czasu przez poprzednie rządy, które, pochłonięte kłopotami wewnętrznemi (częstokroć małostkowemi), nie miały ani zrozumienia ani wiary w przyszłość Włoch.

W październiku 1911 r. nastąpiła okupacja wybrzeża przez nasze wojska. Dalsze operacje, mniej lub więcej pomyślne, rozwinęły się następnie, celem umocnienia się w głębi lądu. W październiku 1912 r. formalnie zlikwidowano pretensje Turcji, która pierwsza miała w posiadaniu i władzy swojej Libję. Użyłem wyrażenia „formalnie“, aby dać do zrozumienia, że traktat w Ouchy, jakkolwiek usuwał szczupłe siły tureckie, które walczyły przeciwko nam, tak w Trypolisie, jak w Cyrenajce, nie przeszkodził temu, że Turcja w dalszym ciągu rozdmuchiwała bunt Arabów, co nas naraziło na straty w ludziach i pieniądzach, większe niż poprzednia wojna okupacyjna.

Jeżeli bunt wydawał się stłumiony w r. 1914, to w r. 1915 rozgorzał na nowo, i trwał przez czas, kiedy byliśmy uwikłani w wojnę światową, ciągnąc się właściwie, wśród ciągłych utarczek, układów i niespodzianek aż do daty przyjścia do władzy rządu faszystowskiego.

Dla dokładności zaznaczę, że w Trypolisie gubernator hrabia Volpi już na parę miesięcy wcześniej rozpoczął akcję zaczepną przeciw buntownikom.

Faszyzm zastał obie kolonje wschodnio-afrykańskie pogrążone we śnie. Z dwu kolonij północnych, Cyrenajka była napozór spokojna, ale tubylcy wyprawiali, co im się żywnie podobało, i nie zakrawali bynajmniej na lud ujarzmiony; w Trypolisie dogasał bunt, już bliski opanowania.

Nic nie zdawało się rokować widoków gospodarczych.

Dobrze tu będzie mieć na pamięci, że w kolonjach nie można niczego improwizować, że trudności nie występują nigdy wszystkie odrazu i że, przy stawianiu im czoła i usuwaniu ich, mamy zawsze do czynienia ze środowiskiem terytorjalnie odmiennem od rodzimego, a zwłaszcza z ludnością, która, choćby nawet nie była wroga i zdradziecka, jest w najlepszym razie podejrzliwa.

To też postępy w kolonjach można obliczać jedynie na odległość pokoleń, ale biada, jeśli się ustanie w drodze! Postęp w zakresie kolonij, więcej niż jakikolwiek inny, wymaga wiary, wytrwałości, a następnie dopiero uzdolnienia.

Wdałem się w dzieje kolonij włoskich, co może się wydać zbyt długim wstępem do niewielu słów, jakie chcę powiedzieć o naszej obecnej polityce kolonjalnej. Polityka ta, wybitnie faszystowska, streszcza się w kilku linjach programowych, tak że samo przez się może się nasunąć pytanie: „Ależ czy to wszystko nie jest jasne jak słońce? Czy Włochy nie mogły były pomyśleć o tem wcześniej i zyskać kilkadziesiąt lat, stosując te właśnie zasady?“ Mniemam, że zwięzły rzut oka na genezę naszych kolonij, jak go powyżej przedstawiłem, wyjaśni przyczynę naszego pozornego tyloletniego bezczynu.

Pierwszem zadaniem nowego rządu było dać wyczuć włoskim dominjom autorytet i wolę mocnego postawienia zwierzchnictwa metropolji.

Pociągnęło to za sobą konieczność operacyj wojskowych w kolonjach północnych, a także w Somalji, gdzie poddaliśmy naszej władzy dwa sułtanaty: Obbję i Migurtynję, poprzednio rządzone tylko pod postacią protektoratów. Podobne operacje, zmierzające do faktycznego zajęcia wszystkich terytorjów, przypadających nam na podstawie traktatów, są na drodze do dokonania się w Trypolisie. Zachodzi tam jedynie kwestja wyznaczenia, w porozumieniu z Francją, jako mocarstwem ościennem, naszej granicy południowej. W Cyrenajce, gdzie istnieją jeszcze ogniska buntu, zadanie wymagać będzie nieco czasu, zanim się go rozwiąże w zupełności.

Kolonje ze względu na specjalne potrzeby środowiska, otrzymały regulaminy odpowiednie do swego rozwoju moralnego i ekonomicznego. Musimy przedewszystkiem stosować do ludności tubylczej metodę przyciągania i przekonywania.

W naszej pierworodnej kolonji, Erytrei, tuziemcy zupełnie już zżyli się z naszym rządem i uznają jego dobrodziejstwa i siłę. To samo możemy powiedzieć o Somalji.

Trypolis, rozczarowany po próbach powstańczych, przedsiębranych w latach 1915 i 1922, ocenia dzisiaj naszą działalność, wyczuwa jej dobrodziejstwa i żywi dla nas przywiązanie. To samo dotyczy nadmorskiej ludności Cyrenajki. Jeżeli dobrobyt i sprawiedliwość stanowią najskuteczniejsze współczynniki rządzenia wszędzie na świecie, to dotyczy to nadewszystko kolonij.

Sprawiedliwość jest podstawą wszelkich naszych poczynań w Afryce, dobrobyt coraz bardziej tam wzrasta, dzięki zbawiennym przedsięwzięciom publicznym, które we wszystkich czterech kolonjach czynią ustawiczne postępy.

Zauważmy, że w chwili obejmowania ich w posiadanie, zastaliśmy nasze kolonje doszczętnie pozbawione wszystkiego, nie mające nic wspólnego z czembądź, co podpada pod nowożytne pojęcie postępu oraz dzisiejszej cywilizacji. Tak, że wszystko było do zrobienia. Kolonje nasze do dzisiaj nie wykazały żadnych szczególnych bogactw. Po dziś dzień nic, a przynajmniej prawie nic nie znaleziono pod ziemią. Zato niewątpliwie przedstawiają one dużą wartość pod względem rolniczym.

To też nasza gospodarcza polityka kolonjalna jest przedewszystkiem polityką agrarną.

Jej wyniki są już widoczne w dalekiej Somalji a jeszcze bardziej w Trypolisie.

Kolonja ta, która pod względem produktów ziemnych tak wiele wykazuje podobieństwa do naszych południowych prowincyj, przyciągnęła już znaczną liczbę osadników. Wkrótce będzie można to samo powiedzieć o Cyrenajce. W ten sposób będziemy mogli znaczną część naszej zbyt licznej ludności kierować do naszej Afryki północnej, znajdując w ten sposób praktyczne rozwiązanie demograficznej polityki kolonjalnej.

Erytrea, posiadająca również dobre zasoby rolne specjalnego gatunku, jest kolonją, która najbardziej przyczynia się do ożywienia ruchu handlowego, przez wwóz i wymianę, jakie zawdzięcza względnie dogodnej komunikacji z ościennem cesarstwem Etjopskiem i wybrzeżem Arabji.

Handel i przemysł — zasadniczo związane z rolnictwem — rozwijają się w sposób zadowalający i w innych naszych kolonjach.

Nasze dominjum kolonjalne jest małe i Włochy wyczuwają wszystkie krzywdy będące udziałem spóźnionych przybyszów.

Jednakże jako przeciwwagę mamy żelazną wolę, aby dojść do celu, bezwzględną wiarę w ostateczne powodzenie, a wreszcie najlepszą podnietę i najwspanialszy przykład: ekspansję kolonjalną dawnego Rzymu.

GIOVANNI MAVER
Profesor Uniwersytetu w Rzymie

WŁOSKO-POLSKIE STOSUNKI KULTURALNE

Oprzeć się na przeszłości i spoglądać w przyszłość: tą zasadą prostą, lecz niczem niezastąpioną, kierować się musi każdy, kto związki kulturalne pomiędzy dwoma krajami poddać chce ocenie, któraby nie była celem sama w sobie, ale nie spuszczała z oka dalszych możliwości rozwoju badanych stosunków. Temu samemu punktowi wyjścia niezawsze odpowiedzą podobne wyniki. Niekiedy znajdujemy się w obliczu dwu ludów, których przeszłość wykazuje szereg głębszych wspólności, podczas gdy nic oczekiwać nie pozwala, by ta wspólność kulturalna miała również ujawnić się w przyszłości. Nierzadko natomiast mamy przed sobą obraz odwrotny: świetlanej przyszłości przeciwstawia się przeszłość z pozoru lub naprawdę jałowa, wskutek czego najlepsze nawet zapowiedzi tracą organiczny związek i wytknięty jasno kierunek. Nie pośród tych dwu krańcowości — co byłoby już wielką otuchą — ale w warunkach niezwykle korzystnych, pozwalających na wyzyskanie dawnych i nowych możliwości, umieścić trzeba stosunki kulturalne pomiędzy Polską i Włochami. Przeszłość, bogata w fakty podstawowe, których nic zatrzeć nie zdoła, zasobna w ideały o niegasnącym blasku, sama już jest tu rękojmią obiecującej przyszłości. Ponieważ zaś chwila obecna nie staje na drodze podjęciu związków i poddaniu się wpływom czynników, które oddziaływały w wiekach poprzednich, lecz raczej, pod wielu względami, wspiera nawiązanie do dawnych tradycyj, budząc jego chęć i potrzebę — droga, która wiedzie do zacieśnienia węzłów istniejących w przeszłości i zcementowania nowych stosunków, jest już nakreślona i wygładzona oddawna. Wiele pracy i długiego trudu trzeba jeszcze, by uczynić ją w pełni zdatną do użytku, dostosować do nowych potrzeb i wymogów. Skoro jednak wiedzie ona do celu, który leży w pragnieniach jednego

i drugiego narodu, wspólny trud zdoła niewątpliwie przezwyciężyć istniejące trudności. Rzeczą najważniejszą jest utrwalenie podstaw praktycznych, na których wspólnie podjęta działalność będzie mogła z łatwością znaleźć swój wyraz i wytworzyć atmosferę, jaka jest nieodzowną, by trud, poświęcany szczegółom, nie wyjałowiał na gruncie suchych dat i faktów, ale ożywił się tchnieniem wyższego życia duchowego, czerpiąc z niego ciągłą podnietę.

Do wytworzenia tej atmosfery przyczynia się każdy, kto w tej dziedzinie sięgnie myślą w przeszłość. Z jednego nadewszystko powodu: węzły bowiem, które w wiekach ubiegłych łączyły Polskę z Włochami, a Włochy z Polską, były wypływem nie małostkowego egoizmu, ani też chwiejnego przypadku, ale interesów (jeśli — i o ile — można mówić tu o interesach) wyższej natury oraz sympatji i wzajemnego zrozumienia, które, wznosząc się ponad stosunki, zespalając z sobą poszczególne jednostki, warstwy i epoki, obejmują oba narody niepodzielnie. Nie pozbawiony jest z pewnością znaczenia fakt, iż pośród Włochów przebywających w Polsce nie znalazł się nigdy Desportes, że — z drugiej strony — Polacy nie zerwali węzłów łączących ich z Włochami nawet w okresach, w których znaleźli się pod przemożnym wpływem kulturalnym innych narodów.

Istotnie, stosunki pomiędzy obu narodami ukazują się nam jako nieprzerwany łańcuch związków, które, poczynając się od średniowiecza, sięgają aż do chwili bieżącej. Wyróżnia zaś je nietylko ciągłość, ale również, choćby nawet w ograniczonej mierze, różnorodność postaci, jakie przybierają. Wielorakie czynniki, składające się na dobytek kulturalny, bądź to działają oddzielnie, bądź też, zespolone nierozerwalnie, przeszczepione są jakgdyby dzięki zwartości i powszechności, jaka cechuje niektóre okresy w rozwoju włoskiej kultury. Upowszechnia się w Polsce nietylko literatura włoska, ale zarazem muzyka, malarstwo, rzeźba, architektura, a oprócz tego oddziaływa kultura religijna, polityczna i materjalna, a wkońcu i myśl naukowa. Stwierdzając to, nie ma się bynajmniej zamiaru przeceniać doniosłości tych objawów: z tego, co przekazała przeszłość, część tylko naprawdę jest żywa. Z wspólnych zasobów, nagromadzonych w okresie Odrodzenia i późnego Baroku, nie wszystko dziś jeszcze oddziaływać może i niezawsze bezpośrednio. Nato-

miast wspólna walka w latach Risorgimenta, która, w podobnych wszczęta warunkach, zmierzała często do tych samych celów, stała się rzeczywistością raz jeszcze przeżytą w czasie wojny światowej. Podnieść ją też trzeba i tutaj, gdy mowa wyłącznie o stosunkach kulturalnych, nietylko ze względu na wzniosłe ideały, jakiemi się karmiła, ale również dla podkreślenia czynnej roli Polski na tem polu. Widoczną jest ona każdemu, ktokolwiek zagłębi się w karty dziejów włoskiego Risorgimenta (Włochy zresztą spłacą swój dług w r. 1863), ale nie mniej okazuje się istotną, gdy spojrzeć na metodę i ducha, przenikającego walkę z monarchją Habsburgów: metodę i ducha, które sięgają do tradycyj Mazziniego, a te tradycje wzbogaciły się ideologją, przyobleczoną również i w czyn, Mickiewicza oraz jego emigracyjnych towarzyszy.

Jak i w jakim stopniu ta wspólność dążeń politycznych wywierała wpływ bezpośredni na stosunki kulturalne — wskazuje osłabienie tych stosunków po roku 1863. W dziejach kultury polskiej lat pięćdziesięciu, następujących po tej dacie, Włochy z pewnością nie świecą całkowicie nieobecnością, ale jako czynnik kulturalny albo pozostają w cieniu (i trzeba dopiero cierpliwie szukać ich śladu), albo zespolone są z innemi wielkiemi kulturami Zachodu. Z drugiej strony, ilekroć we Włoszech szuka się zbliżenia do Polski, czyni się apel — przykładem typowym Akademja Mickiewicza w Bolonji — do tradycyj Risorgimenta. Pomiędzy Włochami nakoniec niepodległemi i Polską jeszcze ujarzmioną węzły są nieliczne i — naogół — słabe. Trzeba czekać chwili, gdy historja, przywracając Polsce wolność, ustali najpierw na nowo równowagę, a następnie wzniesie Włochy na te wyżyny, których osiągnąć nie mogły w pierwszych sześćdziesięciu latach niepodległości, będących nadewszystko latami przygotowania: wówczas dopiero samorzutnie i jakby z własnej swej siły odradzają się tradycje i otwiera się droga ku nowemu okresowi nawiązania wzajemnych stosunków kulturalnych.

Gdy więc zwracamy się ku przyszłości, nie trzeba nic więcej, jak — w pierwszym rzędzie — iść w ślad wskazań historji, interpretować je, przełożyć na język czynów, by stopniowo wyrosły z nich ideały i nowa się wytworzyła rzeczywistość. Szybko wówczas dojdzie się do wniosku, że, obok sił popędo-

wych które zbliżyły nas w przeszłości (a miejsce naczelne zajmuje wśród nich wspólna wiara katolicka), istnieje obecnie i — mamy nadzieję — istniał będzie zawsze czynnik wagi pierwszorzędnej, jakkolwiek sam w sobie pozbawiony charakteru pozytywnego: brak, u obu narodów, rywalizacji i sfery tarć zarówno politycznych jak kulturalnych. Brak, który ściśle łączy się z przeświadczeniem, że węzły kulturalne nie mogą żadną miarą ukrywać w sobie groźby, ani też przynieść jakiejkolwiek szkody. Z czynnikiem tym — jedynie z pozoru negatywnym — sprzęga się dziś, dopełniając go, świadomość, jak dalece — przy szybkim i silnym rytmie, w którym oba narody na wszelkich polach przychodzą do głosu — pożyteczna, a co więcej konieczna jest bliższa i ściślejsza znajomość obopólna.

Nie trzeba z pewnością przytaczać dokumentów na dowód, że znajomość taka, jeśli ma okazać się naprawdę pożyteczną, powinna być — bezwzględnie i wyłącznie — bezpośrednią. Byłoby rzeczą nader łatwą mnożyć przykłady, by wykazać, jak wielką szkodę (niemałej też trzeba pracy, ażeby ją usunąć) wyrządziła i wyrządza — zarówno Włochom, jak Polsce — okoliczność, że tu i tam korzysta się z wiadomości zaczerpniętych z drugiej ręki, uciekając się do pomocy nietyle tłumaczy, którzyby nas zbliżyli wzajemnie, co raczej pośredników, którzy niemal zawsze, choćby i nieświadomie, nas dzielą. Dzielą zaś nas nietylko wówczas, gdy wprowadzają w chwilę bieżącą, ale i wtedy — chociaż w mniejszej mierze — gdy dają obraz przeszłości jednego lub drugiego narodu. Tu w pierwszym rzędzie należy zapobiec złemu. Jest to rzeczą tem bardziej nieodzowną, iż uciekanie się, w stosunkach między dwoma narodami, do pośredników, stanowi zawsze dowód niższości: zarówno tego, kto przejmuje drogą pośrednią, jak i tego, kto w ten sam sposób przekazuje. Usunąć tedy takie pośrednictwo, zamiast godzić się z niem, oto — niezależnie od wszelkich innych zalet — piękny dowód dojrzałości kulturalnej, o który nie mogą nie dbać dwa wielkie narody.

Dwa środki w pierwszym rzędzie usunąć mogą to poważne niedomaganie: skłonienie Polaków i Włochów do nauczenia się języka i poznania kraju drugiego narodu.

Jakkolwiek podróże, odbywane w jednym lub drugim kraju, są ściśle związane ze znajomością danego języka — powinnyby

zaś być od niej nieodłączne — przynoszą i one korzyści odrębne, dla których warto zastanowić się nad niemi osobno, rozpoczynając od nich pobieżny przegląd tego, co się robi i co możnaby zrobić, by ulepszyć bezpośrednią znajomość wzajemną.

Niezwykle rzadkimi są Włosi znający Polskę *de visu*, o wiele liczniejszymi natomiast Polacy, którzy po jednorazowym czy wielokrotnym, dłuższym lub krótszym pobycie we Włoszech, znają ich najświetniejsze zabytki. W zabytkach tych jednak oceniają i podziwiają w sposób zbyt jednostronny ich wartość powszechną (która tkwi w nich niewątpliwie), pomijając zupełnie lub niemal zupełnie ich znaczenie narodowe, niemniej oczywiste dla każdego, kto bez uprzedzeń badawczem na nie rzuci okiem. Płynie stąd szkoda podwójna: poza niewielu wyjątkami, cudzoziemiec (uwaga ta odnosi się do wszystkich „turystów", nietylko zaś do Polaków) rzadko wznieść się może do jednolitego poglądu na włoską kulturę i od świetnej przeszłości odcina wyraźnie twórczość wytężoną dzisiejszej Italji. Innemi słowy: dla podróżujących po Włoszech Włochy z zasady pozostają ukryte w mroku. Nawet ci cudzoziemcy, którzy przybywają z sumiennem przygotowaniem, w zamiarze uczynienia ich przedmiotem studjów, nie wychodzą poza jedność epoki, stylu czy też cech regjonalnych. Nie tutaj miejsce na rozważanie przyczyn (liczne są i różnorodne), które doprowadziły do tak szczególnego stanu rzeczy. Wystarczy nam tylko zaznaczyć, iż nowy okres, w jakim się Włochy znalazły, przyniesie z pewnością i w tej dziedzinie zmianę na korzyść. Istotnie, wydaje się rzeczą niemożliwą, by odrodzona świadomość nieprzerwanych tradycyj dziedzicznych Włoch, począwszy od czasów rzymskich, miała nie wpłynąć na stanowisko zwiedzających Italję. Odkrywając, wykopując i dobywając na światło zabytki wieków ubiegłych, dzisiejsze Włochy rozwijają swą działalność pod wpływem właściwej im obecnie świadomości, której nowego dostarczyć chcą pokarmu. Z jedności tej — chcąc nie chcąc — cudzoziemiec nareszcie zda sobie sprawę, a nawet sam podziw dla dawnych dzieł genjuszu włoskiego zawiedzie go do lepszego zrozumienia współczesnych pokoleń. Na podróże tedy należy skierować naszą uwagę, ponieważ zaś niepodobna, chyba pośrednio, wpływać na poszczególne jednostki, trzeba pomyśleć o organizowaniu, częstszem niż do tej pory, podróży zbioro-

wych. Mam tu oczywista na myśli w pierwszym rzędzie młodzież. Trudności, wynikające niemal wyłącznie z oddalenia obu krajów, nie mają znaczenia w porównaniu z korzyściami. Nie chodzi zresztą o urządzanie „pielgrzymek" pomiędzy obu krajami (pielgrzymki polskie do Włoch interesują nas tutaj w szczupłej mierze i tylko pośrednio), ale o wysyłanie, po dobrem przygotowaniu, grup studentów uniwersyteckich czy też uczniów wyższych klas szkół średnich celem zwiedzenia Włoch lub Polski. Odpowiednie władze nie omieszkają zainteresować się temi podróżami i udzielić im swego poparcia; nie będzie też rzeczą trudną znaleźć w Polsce i we Włoszech jednostki dobrej woli, skłonne do dopomożenia w tem dziele, by inicjatywa podobna uwieńczona została możliwie najbardziej pozytywnemi wynikami. Po kilku zaś latach utworzą się w ten sposób, w Polsce i we Włoszech, ośrodki młodzieży, która, bogata w piękne wspomnienia, nie przestanie następnie, w ramach swego zawodu, interesować się związkami kulturalnemi pomiędzy obu narodami i związki te utrwalać.

Nie trzeba z pewnością podkreślać, że korzyści okażą się o wiele większe, jeśli w miejsce krótkich podróży do czynienia mieć przyjdzie z dłuższym pobytem w jednym z dwu krajów, z ściśle określonym celem badania różnych form kultury obu społeczeństw. Zmierza już w tym kierunku ustanowienie wzajemne pewnej ilości stypendjów naukowych, których główną wadą jest liczba zbyt ograniczona. Wada to jednak, którą — jak sądzimy — w części przynajmniej uda się usunąć bez wielkich trudności i bez nadmiernych poświęceń ze strony obu rządów. Polacy, pragnący poznać Włochy, znajdują pozatem sposobność skorzystania, na warunkach bardzo korzystnych, z kursów uniwersyteckich dla cudzoziemców, które rok rocznie organizują różne wszechnice włoskie, zdobywając coraz większe powodzenie. Z kursów tego pokroju wziął też przykład rząd polski, urządzając w r. 1928 kurs dla „polonistów włoskich" w Zakopanem. Kurs ten, świetnie kierowany przez prof. R. Pollaka, uwieńczony został poważnym sukcesem, nietylko zostawiając uczestnikom wspomnienia niezatarte, ale budząc w nich pragnienie ponownego zebrania się w większem już gronie.

Kursy takie i podróże naukowe są oczywista najlepszym sposobem rozwiązania, w sposób radykalny, problemu wzajem-

nego przenikania się ducha obu narodów. Rzeczą jednak niemniej oczywistą jest, że — niewątpliwie — metoda ta stosowana być może do ograniczonej tylko liczby jednostek, podczas gdy upowszechnienie znajomości obu języków, punkt wyjścia i podstawa wszelkiego wzrostu stosunków kulturalnych, wymaga działalności nietylko systematycznej i nieprzerwanej, ale również — i nadewszystko — szeroko zakreślonej. Na szczęście, jeśli o to idzie, nie znajdujemy się tu już w samych zaczątkach: ani we Włoszech, ani w Polsce.

W Polsce, za sprawą lektorów włoskiego pochodzenia, język włoski od lat kilku jest przedmiotem nauki na uniwersytetach w Krakowie, Warszawie, Poznaniu, a ostatnio i we Lwowie. Kursy te, powstałe dzięki inicjatywie poszczególnych uniwersytetów oraz przedstawicieli Włoch przy rządzie polskim, wydały już dobre owoce i jak najlepsze dać obiecują w przyszłości. Jest też rzeczą pożądaną, by rozszerzone zostały na dwa pozostałe uniwersytety polskie, w ten sposób, by wszyscy studenci poznać mogli język włoski, a dzięki niemu różne przejawy włoskiej kultury. Nie ten cel wprawdzie przyświecał będzie głównie uczniom wyższych instytutów handlowych, ale i oni, choćby pośrednio, wzmogą swe zainteresowania w tym kierunku, i z tego więc względu jest rzeczą pożądaną, by nauka języka włoskiego, wprowadzona już w instytutach handlowych miast wyżej wspomnianych, uprawiana być mogła w dalszym ciągu, po pokonaniu trudności finansowych, jakie tamują jej rozwój. Idąc jeszcze dalej, nie należy spuszczać z oczu innych uczelni o pokrewnym charakterze. Na uznanie zasługuje wprowadzenie języka włoskiego jako przedmiotu nadobowiązkowego w niektórych szkołach średnich (Katowice, Poznań i Kraków). Oby inicjatywa ta znalazła rychło naśladowców! Tam, gdzie naukę tę wprowadzono, wyniki (a jesteśmy w początkach) przeszły przewidywania. Można więc sobie wyobrazić, jak silną podnietę zbliżeniu Polski do Włoch dałoby nauczanie języka włoskiego w poważnej części szkół średnich na obszarze głównych i najgęściej zaludnionych środowisk Rzeczypospolitej. Jeśliby następnie przepisy szkolne pozwoliły na przeobrażenie niektórych z tych kursów w obowiązkowe, do wyboru uczniów, nie byłoby przesadą mówić o momencie decydującym w dziejach rozpowszechnienia języka

włoskiego w kraju zaprzyjaźnionym i mającym za sobą starodawne tradycje italofilskie. Byłby to moment, któryby zresztą (i tutaj znowu przeszłość staje na straży przyszłości i wytycza jej kierunek) przywrócił do życia warunki epoki minionej: mam na myśli epokę sięgającą od Odrodzenia aż do początków XIX w., gdy język włoski rozumiała i mówiła nim większość osób wykształconych w niepodległej Polsce. Z działalnością tą, o charakterze szkolnym, pozostającą pod kontrolą władz polskich, łączy się szereg kursów publicznych urządzanych przez oddziały zasłużonego Towarzystwa Dante Alighieri.

Z rozwojem na tem polu, wyrażającym się cyframi poważnemi, z daleka nawet równać się nie może rozpowszechnienie znajomości języka polskiego we Włoszech. Jest jednak rysem znamiennym, że rozpowszechnienie to — jeśli zostawić na uboczu ograniczone, ale czynne koło, związane z tradycjami towianizmu — ma swój punkt oparcia w uniwersytetach włoskich. Języka polskiego naucza się mianowicie w Turynie, gdzie istnieje osobny lektorat, w Padwie, gdzie w wykładach filologji słowiańskiej polonistyce przypadało dotąd i zawsze przypadać będzie miejsce poczesne; a wreszcie w Rzymie, który — jedyny pośród wszystkich uniwersytetów niesłowiańskich — posiada osobną katedrę języka i literatury polskiej. W tych trzech miastach istnieją też niewielkie bibljoteki z tej dziedziny. Prócz tego nie wydaje się rzeczą niemożliwą rozszerzenie kursów polonistycznych na inne uniwersytety lub wyższe instytuty (np. Uniwersytet Handlowy w Trieście), a nawet, w formie przedmiotu względnie obowiązującego, na niektóre szkoły średnie (Szkoły Realne lub Handlowe). Jest jednak rzeczą niewątpliwą, że — jeśli pominąć przyszłe wzmożenie się stosunków ekonomicznych pomiędzy obu krajami, — znajomość języka polskiego będzie we Włoszech o wiele ściślej skojarzona z studjami nad polską kulturą, niż to, w stosunku do języka włoskiego, mieć może miejsce w Polsce. Dla celów, które tu mamy na oku, stanowi to niewątpliwie wielką korzyść i łagodzi brak równowagi w wzajemnej znajomości obu języków; brak równowagi, który zatraca się niemal zupełnie, jeśli pomyśleć, że w niezbyt licznym zastępie Włochów, jacy nauczyli się języka polskiego, Polska zyskała w latach ostatnich najpewniejszych i najgorętszych przyjaciół.

W rzeczy samej wolno już dziś stwierdzić, że studjum literatury polskiej, jakkolwiek posiada we Włoszech słabe jedynie tradycje, w latach ostatnich rozwinęło się bujnie. Przyczyniło się do tego, w przyjaznej współpracy, paru Polaków, chwilowo lub stale osiadłych we Włoszech (wśród nich zaś niepodobna nie wpomnieć przynajmniej krzewiciela tej współpracy, prof. Romana Pollaka), oraz dość liczna grupa Włochów.

Celem tej działalności, skupiającej się przedewszystkiem dokoła *Rivista di letterature slave*, redagowanej umiejętnie przez profesora Lo Gatto, jest udostępnienie Włochom zasobów literatury polskiej, oświetlenie jej w sądach krytycznych, które, zważywszy na różny punkt widzenia i odmienne tradycje krytyki literackiej we Włoszech, mogą się okazać nowemi i pożytecznemi także dla Polaków, — ułatwienie Włochom, za pośrednictwem literatury, zrozumienia narodu polskiego i jego dziejów.

Wysiłek ten byłby próżny i jałowy, gdyby nie wsparły go przekłady arcydzieł literatury polskiej. Na szczęście postęp dokonany w tym zakresie we Włoszech powojennych jest szczególnie i jeszcze bardziej widoczny. Zawdzięczać to należy przedewszystkiem żywemu pragnieniu współczesnego pokolenia, by włączyć w swój własny widnokrąg kulturalny także te literatury obce, na które generacje poprzednie nie zwróciły zgoła, lub niemal że nie zwróciły uwagi. Od lat kilku literatury słowiańskie znajdują się na porządku dnia, a po literaturze rosyjskiej, w czasie ostatnim, na pierwsze miejsce wysuwa się literatura polska. Przed wielką wojną istniały w języku włoskim przekłady (w znacznej mierze przekłady z drugiej ręki) Mickiewicza, Słowackiego, a zwłaszcza Sienkiewicza; bilans obecny obejmuje Kochanowskiego, Mickiewicza, Żeromskiego, Reymonta, Kasprowicza, Kadena-Bandrowskiego i kilku innych. Pocieszającym jest też fakt, że włoskie pisma perjodyczne nie szczędzą miejsca, gdy idzie o ogłoszenie studjów oryginalnych lub przekładów z literatury polskiej, a nawet same proszą o artykuły Polski dotyczące.

Jednakowoż ta działalność informacyjna i naukowa ogranicza się niemal wyłącznie do utworów literackich. Niewiele dotychczas dokonano na polu historji i uczynili to raczej Polacy niż Włosi; historja sztuki pozostaje w cieniu głębokim, i to

nietylko sztuki wyłącznie polskiej, ale również sztuki włoskiej w Polsce; nieznane są we Włoszech dzieje polskiej muzyki. Łaskawszy los przypadł w udziale studjom prawniczym i ekonomicznym.

Dzięki organizowanym co dwa lata wystawom w Wenecji współczesne malarstwo polskie jest dość dobrze znane we Włoszech (wystawy indywidualne lub zbiorowe w większym jeszcze stopniu będą mogły znajomość tę upowszechnić); mniej znaną jest rzeźba, a niesłychanie już mało muzyka, która przecież jest jedną z chlub Polski współczesnej. Jeśli pominąć Chopina i paru autorów utworów fortepianowych, Włochy nic lub prawie nic nie wiedzą o muzyce polskiej. Nawet nazwiska Moniuszki lub Szymanowskiego są niekiedy obce samym muzykom. Bardzo skąpa jest wreszcie znajomość polskiego teatru.

Braki te mogą być usunięte. Nie wystarcza pewność, że nowa Italja z biegiem czasu zapobiegnie niewątpliwie i tym niedomaganiom, tak jak już zapobiegła i stale zapobiega wielu innym. Warto dołożyć wysiłku, by lekarstwo było szybkie. W niektórych wypadkach oddziaływać będzie można bezpośrednio (np. organizując wystawy artystyczne i koncerty), z zasady jednak oddziaływanie bezpośrednie nie jest ani łatwe, ani wskazane. Przyjaciele Polski mogą natomiast i powinni czynić zabiegi, by przez działalność rozwijaną w którejkolwiek z licznych dziedzin kulturalnych przyczynić się do wytworzenia u możliwie szerokich warstw publiczności atmosfery zainteresowania dla zdobyczy polskiej kultury. Nie jedna tu droga stanie otworem, ale wiele ich, z pozoru nawet rozbieżnych; wszystkie bowiem zawieść mogą do tego samego celu.

Bardzo znaczne usługi oddać mogą tej sprawie wykłady, wygłaszane we Włoszech przez specjalistów polskich. Także i na tem polu przykład został już dany przez niektórych profesorów uniwersytetów w Krakowie i Warszawie, a odgłos ich odczytów, wygłoszonych w różnych środowiskach uniwersyteckich, do dnia dzisiejszego nie przeminął. Do tej jednak pory wykłady te były zbyt rzadkie i zbyt przypadkowe: należy zatem pomnożyć je i objąć planem ogólnym, czego dokonać można na zasadzie wymiany profesorów uniwersyteckich.

Zgodne w postawionych sobie celach są różne stowarzyszenia włosko-polskie, które w paru środowiskach włoskich roz-

wijają niewątpliwie pożyteczną działalność. Szerzej zakrojonego i głębiej sięgającego dzieła oczekiwać należy od *Istituto di cultura polacca Attilio Begey,* założonego świeżo w Turynie. Instytut ten może rzeczywiście wyzyskać szereg czynników pierwszorzędnego znaczenia: dziedziczność prawdziwego polonofilizmu w Turynie, uosobioną przez postać nieodżałowanego Begey'a; oparcie Instytutu o jeden z najlepiej rozwijających się uniwersytetów włoskich; a wreszcie objęcie prezydjum przez najgłębszego znawcę literatury porównawczej we Włoszech i poza ich granicami: członka Akademji Artura Farinelli.

Podnieta niemniej silna płynie z całkiem odmiennego źródła. Daje ją pierwszy wielki rachunek sumienia, pierwsza w wielkim stylu afirmacja kulturalna nowej Italji: *Enciclopedia Treccani.* Wystarczy podnieść, że Encyklopedja nietylko czytelnikom włoskim (i obcym) daje w rękę środek nieodzowny dla poznania, w głównych przejawach jej życia, Polski wieków dawnych i Polski współczesnej, ale staje się czynnikiem kulturalnym wagi pierwszorzędnej dzięki samej organizacji redakcji, w łonie której poszczególni specjaliści stykać się muszą, w swym zakresie, ze wszystkiem, co naprawdę godnego uwagi wydała zagranica: kontakt, który budzi świadomość potrzeb kulturalnych Italji i środków najwłaściwszych dla uczynienia im zadość.

Inną drogę, zmierzającą do wzmożenia znajomości dziejów Polski, wskazał minister Belluzzo (na skutek zabiegów ambasadora Przeździeckiego) w okólniku z dnia 20 listopada 1928, gdzie podkreślono konieczność przejrzenia w podręcznikach historycznych stronic Polsce poświęconych (które dotychczas, z niemałą szkodą, czerpały informacje głównie z drugiej ręki) i silniejszego uwypuklenia włosko-polskiego braterstwa broni w walkach o niepodległość. Okólnik ten, który oczywista nie zdoła wywrzeć wpływu natychmiast, będzie mógł być dopełniony wykładami, wygłaszanemi na wyższych kursach szkół średnich, dotyczącemi dziejów Polski (pierwszą próbę tego rodzaju uczyniono już w Neapolu); ale zarówno wykłady oparte na dobrej znajomości przedmiotu, jak też włączenie w podręczniki szkolne ustępów, dających trafny obraz i słuszną ocenę przeszłości Polski, wymagają istnienia już uprzednio małej grupy miłośników tego przedmiotu, a zwłaszcza powstania dobrego podręcznika dziejów Polski, którego brak niemniej

żywo daje się odczuwać od braku odpowiedniego słownika i gramatyki (ta ostatnia jest w przygotowaniu).

Potrzeby te i braki niemniej są widoczne po drugiej stronie. Także nauka historji w szkołach polskich nie daje Włochom miejsca, na jakie zasługują, a równocześnie brak w Polsce syntetycznego dzieła na ten temat. Projekt wydania nowego słownika włosko-polskiego nie doszedł do skutku; gramatyki włoskie są wyczerpane i niedostateczne. Jeśli zaś od tych braków podstawowych przejdziemy do znajomości różnych objawów kultury włoskiej w Polsce, obraz, jaki stanie przed nami, nie wyda się zbyt pocieszającym, czemu się dziwić należy, wziąwszy pod uwagę dość znaczne rozpowszechnienie języka włoskiego. Jego znajomość nie obudziła jeszcze, ale obudzi z pewnością potrzebę książki włoskiej, która dotychczas w bibljotekach, księgarniach i w rękach osób wykształconych należy do zjawisk rzadkich. Jeszcze słabszą jest podnieta do studjowania literatury włoskiej, i na tem polu — jeśli ująć rzecz pod kątem widzenia słusznej wzajemności — Polska w porównaniu z Włochami pozostała wtyle. Pozory łudzić nas nie powinny. Nie braknie w Polsce studjów dotyczących literatury włoskiej, literatura ta bywa jednak naogół środkiem, nie celem. Badania nad wpływem, jaki literatura włoska wywarła na piśmiennictwo polskie, są bezsprzecznie bardzo pożyteczne, także w służbie celów, którym poświęcono ten artykuł. Nie prowadzą one jednak do zrozumienia arcydzieł włoskich wspominanych raczej przelotnie, a w mniejszym jeszcze stopniu pozwalają wniknąć w ducha włoskiego, który się w nich przejawia.

Warunki podobne, w proporcjach jednak nieco mniejszych, spotykamy w dziedzinie sztuk pięknych, muzyki i wogóle kultury. Ilekroć cofnąć się przyjdzie do odległych okresów, Włoch nie brak nigdy w studjach tego pokroju. Epoka współczesna (dając „współczesności“ trwanie nawet jednego wieku) pozostaje jednak w cieniu głębokim. Poza operą, niewystarczająca jest znajomość współczesnej muzyki włoskiej; niedostateczna znajomość malarstwa i rzeźby; małe obeznanie się z filozofją i nauką włoską. Środki zapobiegawcze, które wskazaliśmy, mówiąc o warunkach podobnych przy ocenie stosunku Włoch do Polski, mają również tutaj zastosowanie — i jest rzeczą z pewnością zbyteczną wymieniać je po kolei raz jeszcze. Tem-

więcej, że jeśli niektóre z nich leżą tylko w sferze możliwości i zasługują na polecenie, inne są już na drodze do urzeczywistnienia. W latach ostatnich ukazało się szereg przekładów z języka włoskiego, a szczęśliwe początki zawierają w sobie zarodek obfitszego plonu w przyszłości. Czasopisma polskie stoją otworem dla artykułów i studjów, dotyczących Włoch. Bardzo wielkich postępów dokonano na polu teatru, dzięki doskonałym przekładom i niemniej zasługującym na pochwałę przedstawieniom włoskich dramatów, które spotkały się w Polsce z żywem uznaniem publiczności. Obok oddziałów Towarzystwa Dante Alighieri, którego działalność obejmuje wszystkie dziedziny kultury, istnieje też w Warszawie włosko-polskie Towarzystwo Leonardo da Vinci, posiadające również znaczne zasługi.

Brak w Polsce Instytutu Kultury Włoskiej, któryby italjanistyce mógł dać tę podnietę i to rozpowszechnienie, jakie wydają się rzeczą nieodzowną, jeśli w polskiem życiu kulturalnem Włochy mają zająć stanowisko odpowiadające ich wielkiej przeszłości i ich roli w dobie obecnej. Luka ta jednak — mamy nadzieję — w najkrótszym czasie zapełniona zostanie; znaczny dział włoski, który posiada bibljoteka seminarjum filologji romańskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, dopomóc może wybitnie do pracy w tym kierunku. W oczekiwaniu dalszego rozwoju tej sprawy, byłoby rzeczą pożądaną częstsze niż dotąd wygłaszanie specjalnych odczytów przez badaczy włoskich. Wskazaliśmy już pożytek, jaki daje częsta wymiana profesorów i uczonych. Nie ulega wątpliwości, że, jeśli idzie o stosunki kulturalne, wymiana ta należy do czynników najważniejszych i najbogatszych w rezultaty.

Nie wspomnieliśmy natomiast do tej pory — nie przez zapomnienie jednakże — o dziennikach i dziennikarzach. Dajemy im miejsce pod koniec tych uwag, ponieważ rola ich w ożywieniu stosunków kulturalnych może mieć rozstrzygające znaczenie. Roli tej coprawda dotychczas nie odegrali, czy to z braku zainteresowań w tym kierunku, czy to dla różnorodnych wpływów, jakie w dziennikach wywierają względy czysto polityczne. A nawet, gdy zjawiało się zainteresowanie, nie zawsze szła z niem w parze pewność i dokładność informacyj. Środki zapobiegawcze, któreby tu wskazać można, są zawsze te same: ulepszyć źródła informacji, a przedewszystkiem stwo-

rzyć dokoła dzienników i dziennikarzy atmosferę wzajemnej sympatji dwu ludów.

Z tych dwu punktów wyszliśmy i ku nim stale biegną nasze pragnienia oraz pełne otuchy oczekiwania. Działalność, zmierzająca ku udoskonaleniu stosunków kulturalnych, jest różnorodna i taką być powinna. Różnorodność jej jednak z pozoru tylko będzie ułamkową, jeśli ponad nią wzniesie się świadomość celu, do którego się zmierza, i możliwości osiągnięcia go. Świadomość taka jest już dyscypliną i ładem. Podporządkowane też być jej winny wszelkie wysiłki jednostkowe, jakie przyjdą do głosu.

Stoją naprzeciw siebie dwa narody wielkie i twórcze: drogi ich nie przecinają się i płynie stąd niebezpieczeństwo, że brak tarć poczytany być może za brak kontaktu. Otrząsnąć należy bezwład i powierzchownemu ujęciu stosunków wzajemnych przeciwstawić naukę historji, potrzeby chwili bieżącej i wielkie możliwości lat przyszłych.

ITALO BALBO
Minister Żeglugi Powietrznej

ROLA WŁOCH W LOTNICTWIE ŚWIATOWEM

Lotnictwo rozwija się z błyskawicznym pośpiechem. Niema porównania między szybkością postępów w awiatyce a postępem w innych dziedzinach wynalazczości ludzkiej, jak np. w środkach lokomocji lądowej albo morskiej. W ciągu dwudziestu lat od pierwszych podróży na przestrzeni 14 kilometrów (Blériot) przeszliśmy do przelotów nadoceanowych i nadlądowych długości około 8.000 km (Del Prete i Ferrarin; Costes i Bellonte). Fakt ten sam przez się już świadczy dostatecznie o zawrotnych postępach, dokonanych przez lotnictwo. W ciągu dwudziestu lat przestudjowano i udoskonalono maszynę latającą z takiem bogactwem szczegółów, jak to nie miało miejsca w przeciągu lat stu, naprzykład dla okrętów.

Ale nawet nie uprzytomniając sobie dwudziestoletnich dziejów lotnictwa, a trzymając się jedynie czynów, dokonanych przez nie w ciągu ostatnich dwu lat, bardzo obfitych w poszukiwania, próby i świetne wyniki, zdobywamy dokładny obraz przebytej drogi.

Zagadnienia lotnicze zostały dziś przestudjowane z praktycznością do wczoraj nieznaną. W ostatniem dwuleciu trzy górują problematy zasadnicze: walka o wielką szybkość, zdobycie oceanów i rozwiązanie sprawy aparatów-olbrzymów.

Od 453 km na godzinę, osiągniętych przez Webstera w r. 1927, doszliśmy do 512 km De Bernardie'go, a potem do 528 km osiągniętych w Calshot, aż wreszcie do 573 km majora Orlebara, jako wszechświatowego rekordu szybkości. Włochy, jedyne z pośród wszystkich innych narodów, ubiegały się o puhar Schneidera, posyłając na te wszechświatowe zawody trzy maszyny, które ze względu na fatalny zbieg okoliczności, mniejsza w tej chwili jakich, nie mogły w całej pełni wykazać swojej wartości. Wystąpiliśmy do zawodów z hydroplanem

„M. 67", z „Fiatem C. 29", z „Savoia-Marchettim S. 55" i z hydroplanem „Piaggio", który wykazał bezwzględnie oryginalne wyniki. Nasze przysposobienie fachowe i szkoła wielkiej szybkości, stworzona we Włoszech, przyczyniły się w wysokim stopniu do zachęcenia innych państw i konstruktorów w tej dziedzinie do studjów i do ubiegania się o większą szybkość. Samolot musi z natury swojej dążyć do największej szybkości. Szybkość stanowi jego najważniejszą zaletę. Skoro w rekordach osiągniemy 600 a może 800 i 1000 km, dojdziemy łatwo i do posiadania maszyn koniecznych do przebywania 300 i 400 km na godzinę nawet na linjach pasażerskich.

Drugą cechą znamienną ostatnich dwu lat w awiatyce były wielkie loty po linjach prostych bez lądowania. Dwa najważniejsze, dotychczas nieprzewyższone, to loty włoskie i francuskie. Lot z Rzymu do Brazylji, dokonany w lipcu 1928 r. przez lotników włoskich, Del Prete'go i Ferrarin'a, obliczony na 7.188 km, to lot transoceaniczny, dotychczas nieprześcigniony. Nikt nie przebył dłuższego czasu i większej przestrzeni nad Oceanem, jak Włosi. Z lotem tym można zestawić wspaniały raid Paryż—Tsitsikar, odbyty nad lądem przez lotników francuskich, Costes'a i Bellonte'a, a obliczony ostatnio na 7.905 km. Dokonano w tych samych latach i innych jeszcze prób przelotów, wymienię z pośród najważniejszych lot Jimenesa i Yglesiasa z Sewilli do Brazylji, Assolanta, Lefèvre'a i Lottiego z Nowego Jorku do Hiszpanji, Williamsa i Jancey'a, którzy ż Nowego Jorku lecieli do Rzymu, ale byli zmuszeni lądować w Santander z powodu braku benzyny. W 1929 r. byliśmy świadkami potężnego porywu na wielkie przestrzenie w nieszczęśliwym locie Challe'a i Larre Borges'a z Sewilli do Brazylji na około 6.000 km, oraz tragicznej wyprawy dwu świetnych lotników, Williamsa i Jenkinsa, którzy, wyruszywszy z Londynu na wielkim jadnopłatowcu Fairey'a, zamierzali jednym lotem dosięgnąć Kaplandu. Williams już w czerwcu tego samego roku próbował na tymże aparacie przelotu Londyn—Indje, lecz musiał spuścić się w Karaki po przebyciu 6.500 km. Był to mężny człowiek, z którym łączyła mnie szczera przyjaźń i którego imię jeszcze z wzruszeniem wspominam na tych kartach,

Co mówią, jakie mają znaczenie te przemożne szturmy, przypuszczane do lądów i oceanów? Lotnictwo usiłuje pokonać

przestrzeń, i przynieść światu nowe potężne środki skrócenia odległości, uczynienia znacznie szybszemi komunikacyj, przyśpieszenia rytmu nowoczesnego życia. Próby te dokonały wielkiego kroku naprzód, ponieważ maszyny osiągają coraz wyższy stopień doskonałości. Zagadnienie, prawda, nie jest jeszcze rozwiązane, ale zmierzamy do niego zapomocą coraz właściwszych środków.

Nie przeceniam indywidualnych rekordów, są one jednak niewątpliwie wynikiem rozwiniętej techniki przemysłowej, a przedewszystkiem owocem organizacji, która daje się poznać jako coraz doskonalsza. Obok indywidualnych rekordów należy wymienić czyny, dokonane na normalnych samolotach, aby zdać sobie sprawę z możliwości i stopnia rozwoju, do jakiego doszła awiatyka. Wymienię między innemi przykładami wielkie wyprawy powietrzne, dokonane masowo przez lotnictwo włoskie na hydroplanach i aparatach startujących z ziemi.

Wyprawa nad Morzem Śródziemnem odbyta w 61 hydroplanów, nad północną Europą odbyta w 12 aeroplanów, nad wschodnią częścią Morza Śródziemnego i Morzem Czarnem w 35 hydroplanów o dużym tonnażu, wykazały w latach 1928 i 1929 możliwość posługiwania się znacznemi grupami samolotów, których nie przygotowano specjalnie do tego rodzaju prób, ponieważ były to maszyny służące do normalnego użytku. Próby te, tak pod względem ludzi, jak pod względem materjału, świadczą bezapelacyjnie o dobrej organizacji i dobrej technice, znamionującej Włochy na polu lotnictwa. Są też one najlepszą pochwałą samolotów, zarówno motorów jak ludzi.

W konstrukcjach aeronautycznych jest dzisiaj dążenie do wielkich aparatów; doszliśmy już do aparatów kilkomotorowych i aparatów-olbrzymów, zdolnych dźwignąć 50 tonn. Włochy biorą udział w tem zagadnieniu, niezmiernie doniosłem dla przyszłości awiatyki.

Przy tem dorywczem spojrzeniu na postępy żeglugi powietrznej przez ostatnie dwa lata, nie możemy pominąć coraz znakomitszego rozwoju, jaki wykazują na świecie pasażerskie linje lotnicze. Obliczono, że dzisiaj istnieje 90.000 mil powietrznych dla poczty i dla pasażerów i że kilka miljonów ludzi podróżuje, posługując się drogami powietrznemi. Zagadnienie bezpieczeństwa aeroplanów zyskuje z każdym dniem nowe

narzędzia, które niweczą skutki omyłek i niezręczności, i pozwalają pilotowi przezwyciężyć większą część trudności. Motory, dzisiaj wyrabiane, wytrzymują najwyższą temperaturę. Przy funkcji zmniejszono zużycie benzyny i stosuje się pewniejsze i ekonomiczniejsze paliwa. Chemja dostarcza materyj chłodzących, które zastępują wodę, aby zmniejszyć obciążenie i wagę radjatorów. Motory o sile 200, 300 i 1.000 koni pracują bez przerwy przez setki godzin, gdy tymczasem waga samych motorów zmniejszyła się do jednej trzeciej lub jednej czwartej wagi pierwotnej.

Rozwój lotnictwa pasażerskiego ma wielkie znaczenie dla celów handlowych i społecznych. Włochy chlubią się z posiadania jednej z najważniejszych sieci w Europie, zajmują wybitne stanowisko czy to przez doskonałość używanych środków, czy przedewszystkiem przez zupełne bezpieczeństwo lotów. Na linjach włoskich, od dnia ich otwarcia aż do dzisiaj, zdarzył się jeden jedyny wypadek. Aby zdać sobie sprawę z postępu, dokonanego w ostatnich latach przez lotnictwo włoskie, wystarczy spojrzeć na następującą tabliczkę statystyczną:

Rok		1927	1928	1929
Sieć	km	4.664	8.644	14.000
Przebyte kilometry	„	1,327.656	1,991.809	2,962.200
Ilość pasażerów: 1) efektywnych		9.757	15.629	25.298
2) zgłoszonych		12.517	19.077	30.808
Poczta i pisma	kg	6 699	21.294	61.400
Bagaż i towary	„	139.820	288.047	453.029

Rozwój sieci, liczba podróżnych, ilość towarów i poczty podwoiła się i potroiła, i nie wątpię, że w przyszłym roku ruch pasażerski jeszcze urośnie w dwójnasób. Linje włoskie będą się doskonaliły w miarę wzrostu ruchu, przez coraz bardziej organiczne połączenia i przez systemy coraz lepiej dostosowane do postępów, jakie codzień spostrzegamy we wszystkich dziedzinach aeronautyki.

Na polu lotnictwa turystycznego Włochy zapisały się niedawno w świetny sposób. Dopiero w 1929 r. wytworzyły sobie swój własny typ samolotów turystycznych, typ, który zwyciężył na konkursie, ogłoszonym w pierwszych miesiącach 1928 r. przez włoskie Ministerstwo Żeglugi Powietrznej.

Niemal bezpośrednio potem, jak zostały zbudowane, włoskie samoloty turystyczne wzięły udział w pierwszym locie okrężnym nad Europą. Wyleciało ich dwadzieścia ze startu w Orly, a dwanaście powróciło, lądując na pierwszych miejscach.

W styczniu b. r. lotnik włoski, Renato Donati, na aparacie „Fiat A. S. 1" zdobył dwa ważne rekordy międzynarodowe ustanowione dla aparatów turystycznych pierwszej kategorji: rekord na odległość w locie zamkniętym i rekord na czas. Rekord na odległość został wzięty 2.800 kilometrami, bijąc poprzedni rekord, 1.200 kilometrów, zwycięski dla Niemiec. Rekord na czas wzięty był przez lot 29-godzinny. Po upływie miesiąca ten sam lotnik Donati na tym samym aparacie „Fiat A. S. 1" zwyciężył w rekordzie na wysokość, poprzednio zdobytym przez Anglika, kapitana De Havillanda, osiągając w locie mniej więcej dwugodzinnym wysokość 6.782 metrów i bijąc poprzednika o 628 metrów.

Inż. Mario Rasini na samolocie turystycznym „Breda 15" w grudniu ubiegłego roku dokonał raidu śródziemnomorskiego długości 11.000 km z Medjolanu do Neapolu, Tunisu, Tripolisu, Kairo, a następnie do Algieru, Hiszpanji i Francji.

W lutym lotnik włoski Francis Lombardi wykonał jedną z najbardziej godnych uwagi podróży turystycznych, jakie dotychczas wykonano na lekkich aparatach. W ciągu sześciu dni a 64 godzin lotu, przeleciał 8.240 km z Rzymu do Mogadiscio, przyczem np. etap z Tobruku do Massaua wynosił 2.700 km, i leciał na tym samym aparacie lądowym 1.250 km, od Rzymu do Tripolisu.

Przemysł aeronautyczny włoski ze względu na charakterystyczne cechy swoich aparatów i na siłę swoich motorów, należy dzisiaj do najlepszych. Cała powietrzna flotylla wojenna włoska, zaopatrzona w najsilniejsze aparaty do bombardowania i do pościgu, składa się z aeroplanów i hydroplanów pomysłu i wyrobu wyłącznie włoskiego. Nasze metody i nasza organizacja w dziedzinie turystyki powietrznej stanowią wzór naśladowany przez lotnictwo zagraniczne.

Zapał do żeglugi powietrznej jest we Włoszech nadzwyczaj rozpowszechniony, zwłaszcza wśród młodzieży, i cały kraj, jak niejednokrotnie zaznaczał to nasz *Duce*, Benito Mussolini, jest dumny ze swego lotnictwa.

ERMANNO AMICUCCI
Poseł do Parlamentu
Sekretarz Narodowego Syndykatu
Dziennikarzy-Faszystów

PRASA W USTROJU FASZYSTOWSKIM

Zapomocą kilku zarządzeń prawodawczych ustrój faszystowski wprowadził daleko idące przeobrażenia w dziennikarstwie włoskiem, rozwiązując jedno z najpoważniejszych zagadnień współczesnego społeczeństwa w sposób godny naśladowania dla wszystkich innych krajów, które w żaden sposób nie mogą się uporać z tym ciężkim, a tak ściśle z życiem państw i narodów związanym żywiołem.

Nie mamy potrzeby rozwodzić się tutaj nad doniosłością prasy dla dzisiejszej cywilizacji.

„Z pewnością" — oświadczył Benito Mussolini na pierwszym Kongresie Narodowego Syndykatu Faszystowskiego Dziennikarzy na Kapitolu 28 stycznia 1924 r. — „z pomiędzy wszystkich zjawisk, które moglibyśmy nazwać cudami naszej cywilizacji, może nazbyt zmechanizowanej, dziennik zajmuje pierwsze miejsce. Dziennik jest rzeczywiście zwierciadłem świata. Przez dziennik, jak po gościńcu, przechodzi wszystko, co dzieje się w wielkim rodzie ludzkim: od wysokiej polityki do drobnych wypadków dnia".

Dziennikarstwo jest więc dzisiaj jednym z najważniejszych czynników życia społecznego. Coraz bardziej zadziwiający rozwój techniki, łatwość i błyskawiczność, z jaką, dzięki temu rozwojowi, rozchodzą się wiadomości i poglądy, wszystko to daje prasie władzę niekiedy wprost nieograniczoną, tak że nie bez uzasadnienia któryś z francuskich mężów stanu nazwał ją wręcz jedną z władz państwowych, sławną i osławioną Czwartą Władzą.

Ten nadmierny rozrost potęgi prasy w społeczeństwie dzisiejszem musi pociągać za sobą nie byle jakie niebezpieczeństwa. O powadze położenia świadczy dobitnie sama opinja pu-

bliczna, będąca jednocześnie i wyrazem i narzędziem dziennikarstwa.

To też od wieku dużo rozprawiano z tego stanowiska na temat tak zwanej wolności prasy. Ustroje liberalne i demokratyczne utworzyły z tej wolności mit, z wolności prasy czyniąc jedną z wielu t. zw. „nieśmiertelnych zasad", przez samą już ich definicję świętych i nietykalnych. Mimo to w dziedzinie prasy, więcej niż gdziebądź, dawał się bezustannie odczuwać ostry i nieuleczalny rozdźwięk pomiędzy teorją a rzeczywistością, pomiędzy ideologją a praktyką. To też wszystkie rządy miały wieczną troskę, nietylko aby ukrócać nadużycia wolności, jakich dopuszczała się prasa, ale w pewnych wypadkach nawet, aby znosić tę wolność w obronie państwa i społeczeństwa.

Statut państwa włoskiego gwarantuje wolność prasy, zastrzegając się, że „istnieje prawo powściągające jej nadużycie". Tem prawem był, aż do czasu faszystowskiej reformy prawodawstwa prasowego, Edykt Albertyński z 26 marca 1848 r. Że Edykt ten nie czyni zadość celowi, dla którego został wydany, wyszło na jaw już po paru latach jego istnienia, a potem zarysowywało się coraz wyraźniej, w miarę jak „wraz ze wzrastającem ciągle znaczeniem dziennika, w miarę jego coraz szerszego rozpowszechniania się i uprzemysłowiania" — jak powiedział Salvatore Barzilai — „poczęła w tym samym stosunku wzrastać jego zdolność służenia i szkodzenia, możność podnoszenia i roznoszenia w powietrzu płodnych i niezdrowych zarodków". Sam Cavour w roku 1851 zmuszony zamknąć dwa pisma: *La Maga* i *Il Fischietto*, ponieważ bruździły mu w polityce zagranicznej przez częste napaści na Napoleona III, przedstawiając parlamentowi wniosek o zmodyfikowanie jednego z artykułów Edyktu Albertyńskiego, miał się wyrazić dosłownie: „Pogodzić korzystanie z wolności z powściąganiem nadużyć, jakie z niej mogą wypłynąć, jest przedsięwzięciem nie trudnem, ale, ośmielę się powiedzieć, niemożliwem".

Niejednokrotnie rządy, tak jak następowały po sobie we Włoszech w okresie od 1848—1922, zapomocą zarządzeń prawodawczych kusiły się ukrócić rozpalony do białości żywioł prasy codziennej, zawsze jednak bez pożądanego skutku.

Benito Mussolini, sam przychodząc do władzy od strony bojującego dziennikarstwa, jako jedno z pierwszych zadań po-

stawił sobie rozwiązanie tego wieloletniego i ciernistego zagadnienia: wolności prasy. „Wolność prasy" — oznajmił Duce na pierwszym kongresie Narodowego Syndykatu Faszystowskiego Dziennikarzy — „jest nietylko prawem, jest obowiązkiem. Dziś prosta notatka dziennikarska może przynieść narodowi nieobliczalne szkody".

„Jeżeli pragniemy, jak istotnie pragniemy, aby dziennikarstwo było pewnem posłannictwem, to każdemu posłannictwu towarzyszy nieodwołalnie wysokie poczucie odpowiedzialności".

Nad oderwane i nieuchwytne pojęcie wolności Benito Mussolini przeniósł jasne i wyraźne pojęcie odpowiedzialności.

Już hrabia Cavour powiedział, że „wolność i odpowiedzialność to dwie rzeczy, które nie mogą chodzić luzem jedna bez drugiej".

Faszyzm postarał się przedewszystkiem określić ściśle pojęcie wolności.

Jak się dobrze wyraził senator Tanari w dyskusji nad prawem prasowem w Wyższej Izbie: „pojęcie wolności samo w sobie jest oderwane; wolność, liberalizm, poza tem, że wykazują pewne dążenie, są to wogóle wyrazy jałowe, które nic nie mówią, o ile nie wyszczególnimy, jaką wolność mamy na myśli... Tyle wiemy, że istnieje wolność ekonomiczna i wolność polityczna".

„Co do wolności politycznej, to praktycznie rozpada się ona na wolność obywatela i na tyleż, albo napewno więcej uprawnioną wolność i autorytet tego państwa, które większość obywateli w określonym momencie dziejowym postawiła nad sobą".

„Nie idzie o zniesienie wolności prasy, idzie o zdecydowanie się, która z dwu wolności ma w tej dziedzinie górować nad drugą, czy w dziedzinie prasowej wolność obywatela ma przeważać nad wolnością i powagą państwa, czy też przewagę ma posiadać wolność państwa nad wolnością obywatela".

Kto zna choćby elementarne zasady społeczeństwa faszystowskiego, dla tego jasnem będzie, że tak samo o ile chodzi o prasę, bezwzględna przewaga wolności państwowej samorzutnie przeważy nad wolnością obywatelską.

Prasa, na równi z wszystkiemi innemi czynnikami, działającemi wewnątrz państwa, nie może się wyłamać z pod kontroli i sankcyj państwowych. Nawet papież liberalizmu, Cobden, jak przypomniał poseł Federzoni w swojem przemówieniu w Senacie, oświetlił już zapomocą argumentu wyjątkowej wagi zagadnienie wolności i odpowiedzialności także w stosunku do prasy:

„Szczęśliwy traf" — mówił poseł Federzoni — „wsunął mi w rękę gismo własnoręczne i, jak mi się zdaje, niewydane Cobdena: list, który 4 grudnia 1867 pisał z Midhurst do przyjaciela swojego Mowatta. Wydaje mi się on rozstrzygający dla wykazania, jak łatwo jest głosić piękne hasła, a jak, naodwrót, niepodobna jest zaprzeć się najgorszych z haseł tych płynących faktów. Cobden tedy pisał:

„To, co powiadasz o prasie, jest niestety prawdziwe. Niektórzy ludzie piszą bez najmniejszego poczucia odpowiedzialności. Jest to system w najwyższym stopniu demoralizujący. Przytoczę ci anegdotkę na poparcie tego, co mówisz. Nieboszczyk lord Aberdeen odwiedzał często w naszem sąsiedztwie biskupa Oxfordu. Przy tej sposobności spotkałem się z nim dwa razy i prowadziliśmy długą i poufną rozmowę. Za jednym i za drugim razem zwierzył mi się z emfazą, że prasa pchnęła go do wojny przeciw Rosji, którą określił jako najmniej konieczną i najniepotrzebniejszą z wojen w całej naszej historji. To nie lud — mówił — najłagodniejszy, dopóki go nie rozjątrzyć, nie parlament, nie arystokracja, nie dwór, to p r a s a zmusiła mnie do prowadzenia w o j n y". I Cobden komentuje: „niema na tym świecie rzeczy dobrej, któraby nie miała swojej złej strony".

*

Prawo prasowe, wniesione przez rząd faszystowski i przyjęte przez parlament, w grudniu 1925, rozwiązuje w zupełności zagadnienie o d p o w i e d z i a l n o ś c i, przez reformę instytucji redaktora odpowiedzialnego *(il gerente)* i prawne uregulowanie zawodu dziennikarza.

Według Edyktu Albertyńskiego, każde wydawnictwo perjodyczne w Królestwie musiało posiadać swojego odpowiedzialnego przedstawiciela. Edykt Albertyński, wydany w roku 1848, wzorowany był, jak wiadomo, na prawie francuskiem z 28 lipca

1828, które ustanowiwszy osobę odpowiedzialnego redaktora i na jego barki, jako podpisującego pierwszy egzemplarz czasopisma, zwaliwszy wyłączną odpowiedzialność za całą treść, bez wglądania czy brał dobrowolnie udział w inkryminowanem wydawnictwie, postanawiało, że jego odpowiedzialność uwalnia od podobnej odpowiedzialności współdziałających i współwinnych, i utrzymuje się niezachwianie nawet w wypadkach, kiedy nietylko niema dowodu, że był on świadomy sprawy, ale nawet, kiedy jest najzupełniej wykluczony jakikolwiek jego związek z inkryminowanem wydawnictwem.

Być może, a raczej z wszelką pewnością, tak w pojęciu prawa francuskiego z roku 1828, jak i w Edykcie Albertyńskim, osoba redaktora odpowiedzialnego nie była i być nie miała tem, czem się następnie stała w praktyce.

W Edykcie Albertyńskim nie byłoby figurowało rozporządzenie z art. 47, mocą którego ustanawia się bezwzględną i w każdym wypadku obowiązującą odpowiedzialność „redaktora odpowiedzialnego", gdyby można było przypuścić, że osoba, której będzie powierzona ta rola, nie będzie naprawdę tą, która nadaje kierunek, a tem samem ponosi odpowiedzialność za dziennik lub wydawnictwo perjodyczne.

Okazało się jednak, że w praktyce osoba „redaktora odpowiedzialnego" została zdegradowana do tego stopnia, że się stała gorszącym nonsensem prawnym.

Aby ominąć ten poważny szkopuł, minister sprawiedliwości, Teodorico Bonacci, już 6 czerwca 1895 przedstawił Izbie projekt prawa, modyfikującego Edykt Albertyński.

„W prawodawstwie naszem" — mówił w swojem sprawozdaniu Bonacci — „wytworzyła się odpowiedzialność człowieka niewinnego, karanego za przestępstwa popełnione przez innych, odpowiedzialność za czyjąś winę czy podejście, skutkiem czego redaktor odpowiedzialny wychodzi albo na odpychającego pod względem moralnym i prawnym kozła ofiarnego, dobrowolną pastwę czyjejś przewrotności czy zbrodniczości, lub też na śmiesznego, a zarazem niemoralnego pajaca, narażonego na surowość prawa na to, aby prawdziwi winowajcy mogli je bezkarnie gwałcić dla swojej wygody". Niewątpliwie nie leżało w zamiarach Edyktu Albertyńskiego dawać pochop do stworzenia figury redaktora-malowanej lali, jeżeli Kamil Cavour za-

raz dał sam pierwszy przykład, podpisując jako „redaktor naczelny i odpowiedzialny" *Risorgimento,* faktem jest jednak, że w szybkim bardzo czasie osoba redaktora odpowiedzialnego, „gerenta", przybrała w włoskim świecie dziennikarskim rysy najdziwaczniejsze, wprost z szopki, co właśnie podkreśla poseł Bonacci, i że jednostki naprawdę ponoszące odpowiedzialność stały się w ten sposób niedosięgalne dla władzy sądowej.

Senator Delfino Orsi, sam tęgi dziennikarz, tak przed Wyższą Izbą opisał raptowne przeobrażenie się instytucji „gerenta", ustanowionej przez Edykt Albertyński: „To wynaturzenie a raczej to zohydzenie wynikło z szalbierskiego wyrachowania najmniej wartościowych ludzi, którzy, wstępując na drogę dziennikarstwa w nieczystych zamiarach, wymyślili sobie sposób ukrycia się za plecami nieboraka nieświadomego sprawy, który za parę groszy sprzedawał swój podpis i wystawiał na szwank własną wolność. Ale trzeba i to powiedzieć: wynaturzenie mogło nastąpić i z winy władz, ponieważ tolerowały i prawie że uprawniały do tego oczywistego nadużycia. Tak więc nawet pisma, które miały poczucie godności swego posłannictwa, uważały się za zmuszone, dla samej równowagi i we własnej obronie, godzić się na fikcyjne redaktorstwo jakiejś podstawionej marjonetki. Podczas jednak kiedy uczciwe pisma powierzały tę rolę któremuś z lepszych współpracowników ze swego grona, pisma polityczne stronnicze, albo z zawodu oszczercze, najmowały sobie redaktorów odpowiedzialnych z pomiędzy mętów społecznych, podpisując z nimi umowę, w której przedewszystkiem uwzględniało się wynagrodzenie, jakie wypadnie płacić za dni, kiedy gerent będzie zmuszony odpokutowywać w więzieniu niefortunne postępki prawdziwych redaktorów".

„Kto miał sposobność brać udział w procesach prasowych o oszczerstwo, nie mógł nie opłakiwać widowiska, równie upokarzającego dla dziennikarzy jak dla sądowników, kiedy przed sędzią stawał t. zw. redaktor odpowiedzialny, pół-analfabeta, i na pierwsze zaraz pytanie przewodniczącego sądu odpowiadał stereotypowo, że nic nie wie, że nawet nie czytuje pisma, za które ponosi prawną odpowiedzialność, a przedewszystkiem, że nie rozumie zupełnie sprawy, poruszanej w inkryminowanym artykule. A sędziowie z uśmieszkiem, świadczącym o przyzwyczajeniu, przystosowywali się do sytuacji i uważali za rzecz

naturalną tę urzędową odpowiedzialność i nieodpowiedzialną komedję, pod którą ukrywał się bezkarnie prawdziwy oszczerca".

„Nie koniec na tem. W kilku procesach wyszło na jaw, że redaktor odpowiedzialny pisma, przeciwko któremu prowadzono sprawę, siedzi od szeregu miesięcy w więzieniu, była zatem fizyczna niemożliwość, aby podpisał numer. Do tego jednak stopnia zabrnęliśmy w podchodzeniu prawa, że nikt z urzędników nie pamiętał o osławionym artykule 46 Edyktu o prasie, który przewidywał właśnie tę okoliczność i głosił, że o ile redaktor odpowiedzialny siedzi w więzieniu, uważa się go za zrzuconego z zajmowanego stanowiska, a pismo się zawiesza".

Senator Cicotti, który tak samo wypowiadał się jako przeciwnik faszystowskiego prawa wyborczego, mimo to oświadczył w Senacie:

„Redaktor odpowiedzialny? Przypominam sobie, że swego czasu w Medjolanie pewien tygodnik podlegał częstym konfiskatom. Na redaktora odpowiedzialnego wzięto wtedy suchotnika w posuniętem stadjum, który leżał w szpitalu. Co sobota, w dzień, kiedy pismo wychodziło, jeden z członków redakcji zanosił choremu numer do podpisania, płacąc mu za to drobne wynagrodzenie. Tygodnik ulegał konfiskacie, miewał procesy prasowe, ale oczywiście do rozprawy sądowej nigdy nie doszło. — Zkolei wypadek z innem pismem, którego redaktorem odpowiedzialnym — co się następnie przyjęło — został poseł do parlamentu, człowiek często nieobecny we Włoszech, tak że nie było mowy o podpisywaniu. Dziennik mówił i robił, co mu się żywnie podobało. Konfiskaty ustały, a procesy były nawet nie do pomyślenia, ponieważ Izba, zwłaszcza w owych czasach, nie dałaby nigdy na to swego przyzwolenia. Nie było to ani zgodne z prawem, ani poważne, i trzeba przyznać, że napraszało się koniecznie położenie temu tamy. Środek został podany przez rząd, a mianowicie, aby na miejsce malowanego redaktora postawić redaktora naczelnego, człowieka, który naprawdę zdolny jest ponosić odpowiedzialność".

Był więc t. zw. redaktor odpowiedzialny — malowana lala, byli specjaliści od rozmaitych procesów prasowych, czyli specjaliści od kozy wobec policji i wobec sądu, była sztuczka z podpisywaniem dziennika przez nietykalnych posłów, czyli, biorąc wszystko razem, było bezczelne i prowokacyjne obcho-

dzenie prawa. Dość przejrzeć kronikę 25-tej sesji parlamentu, która przechodzi rozmaitością wszystkie inne z epoki przedfaszystowskiej, aby się przekonać, że w podaniach składanych Izbie o pozwolenie wszczęcia kroków prawnych z powodu przestępstw prasowych powtarza się stale tych samych czterdzieści nazwisk, a także, że najczęściej powraca występek podmawiania do dezercji i do niesubordynacji w wojsku. Posłowie Morgari, Pagella i ich towarzysze, wymieniani naprzemian w tym długim spisie, ofiarowywali swoje nazwiska, aby ich organy mogły swobodnie i bezkarnie podjudzać lud do buntu przeciwko państwu, przeciwko narodowi, przeciwko dynastji, przeciwko prawu. I nikt nie śmiał oponować. W rzeczy samej z owych podań o wszczęcie dochodzenia sądowego żadne nie zostało uwzględnione. Leżały ułożone w kolei chronologicznej na porządku dziennym Izby, aż sesja parlamentu się skończyła.

„W istocie" — oświadczył poseł Federzoni w Senacie — „żyliśmy pod tym względem, jak pod wieloma innemi, w stanie najzupełniejszej nieodpowiedzialności karnej, cywilnej i moralnej".

Dopiero faszyzm był mocen położyć koniec temu stanowi rzeczy.

Aby usunąć raz na zawsze i ostatecznie tę zakałę, artykuł 1-szy ustawy z dnia 31 grudnia 1925 r. *(Disposizioni sulla stampa periodica)* głosi: „Wszystkie dzienniki czy inne wydawnictwa perjodyczne muszą mieć redaktora odpowiedzialnego *(direttore responsabile)*.

„W wypadkach, kiedy redaktorem naczelnym będzie senator albo poseł, odpowiedzialność musi przyjąć na siebie jeden z głównych członków redakcji dziennika lub wydawnictwa perjodycznego. Redaktor naczelny albo redaktor odpowiedzialny musi być wpisany do Księgi zawodowej *(Albo)* dziennikarzy".

„Redaktor naczelny albo redaktor odpowiedzialny musi być zatwierdzony przez prokuratora generalnego przy sądzie apelacyjnym, w którego okręgu sądowym wychodzi dziennik albo wydawnictwo perjodyczne".

„Prokurator generalny może odmówić pozwolenia, albo też cofnąć je osobom, które dwukrotnie były karane za przestępstwa prasowe".

„Zarządzenie prokuratora generalnego, odmawiające albo cofające pozwolenie, musi zawierać umotywowanie powodów. Można przeciw niemu apelować do ministra sprawiedliwości. Przeciw zarządzeniu ministra można apelować do Rady Stanu, wysuwając motywy praworządności".

A artykuł 7 tej samej ustawy głosi: „Zakłada się cech *(ordine)* dziennikarzy z siedzibą w miastach, w których istnieją sądy apelacyjne. Cech ten założy swoje księgi *(albi)* zawodowe, które składane będą w kancelarji sądów apelacyjnych. Uprawianie zawodu dziennikarskiego dozwolone jest jedynie osobom, wpisanym do powyższych ksiąg. Przepisy, dotyczące wpisywania się, będą ustalone przez specjalny regulamin".

Doniosłość tych dwu zarządzeń jest dla każdego jasna. W dwu artykułach prawa znalazła całkowite rozwiązanie sprawa rzeczywistej odpowiedzialności osób wydających pismo, przez nakaz, aby odpowiedzialnym za każde wydawnictwo perjodyczne był istotnie r e d a k t o r n a c z e l n y, a następnie, aby tym r e d a k t o r e m był istotny d z i e n n i k a r z.

*

Gdyby prawo prasowe ustanowiło tyle tylko, że wszystkie czasopisma powinny mieć redaktora naczelnego albo redaktora odpowiedzialnego, bardzo łatwo, z biegiem czasu popadlibyśmy na nowo w błąd dopuszczony przez Edykt Albertyński, który, jak widzieliśmy, tak samo wydany był w zamiarze, aby redaktora odpowiedzialnego uczynić nie pierwszą lepszą marjonetką, lecz przeciwnie redaktorem albo jednym z głównych współpracowników pisma.

Faktem, który wyraźnie nakazuje dzisiaj wydawnictwom wziąć sobie rzeczywistą a nie urojoną osobę odpowiedzialną, to właśnie obowiązek wpisania się redaktora naczelnego albo redaktora odpowiedzialnego do Księgi zawodowej dziennikarzy. Redaktorem naczelnym albo odpowiedzialnym wydawnictwa perjodycznego we Włoszech musi być dziennikarz, to znaczy człowiek, który faktycznie prowadzi dziennik albo pisuje do pisma, za które wobec prawa bierze na siebie odpowiedzialność.

„Księga zawodowa służy do tego" — pisał senator Rolandi Ricci w swojem przejrzystem sprawozdaniu senackiem o prawie prasowem — „aby garści nieupoważnionych durniów lub oszustów nie pozwolić wobec mało wiedzącej o nas zagranicy, a na-

wet wobec szerokich mas w samym kraju, rozpuszczać niesłusznie lub wręcz niegodziwie krzywdzących zdań o dobrej sławie dziennikarzy włoskich. Wzięte bowiem w ogromnej swojej większości dziennikarstwo włoskie może sobie rościć uzasadnione prawo do uznania jego prawości i szlachetności umysłowej i moralnej, i nic a nic nie traci na zestawieniu z dziennikarstwem w innych krajach, nawet tych, które ze zwykłą swoją pochopnością oceniamy jako najwyżej stojące".

„Pomysł stworzenia cechu dziennikarzy" — ciągnie dalej senator Rolandi Ricci — „wyszedł z inicjatywy Komisji parlamentarnej, która oznajmiła, że na tej drodze pragnie urzeczywistnić dawne życzenie kół dzienikarskich, świeżo podkreślone na Kongresie dziennikarskim w Medjolanie. Szło o uznanie, usystematyzowanie i wprowadzenie pewnej karności do zawodowego życia dziennikarzy, przez usunięcie żywiołów pod względem moralnym i kulturalnym niezasługujących na należenie do niego, oraz przez zasadnicze podniesienie godności i prestiżu klasy dziennikarskiej. Stworzenie cechu i założenie Księgi (co w praktyce sprowadza się do usuwania niezdatnych i niegodnych), wydają się tem niezbędniejsze, że w dziennikarstwie nie jest wymagana nawet ta skromna gwarancja zdolności, jaką daje zdobycie doktoratu i że pracować jako dziennikarz może nawet człowiek, mający świadectwo odbytej kary sądowej. Wbrew temu, jak wyraźnie zaznaczył sprawozdawca Komisji w Izbie, w odpowiedzi na analogiczne i równie wyraźne żądanie, prawo wpisania się będzie miała jedynie osoba, która nie splamiła się żadnem pospolitem przestępstwem, tak że wpisanie się będzie niebylejaką rękojmią umysłowego i moralnego poziomu zawodowców. Byłoby bowiem nonsensem, aby pismu, naturalnemu i koniecznemu organowi opinji publicznej, postawiono zakaz brania pod uwagę prostych objawów tejże opinji".

W mowie zaś senackiej, zwalczając zarzuty co do stworzenia cechu dziennikarzy, tenże sam mowca oświadczył: „zarzuty są dwojakiego rodzaju; czysto teoretyczne oraz zarzuty podyktowane przez obawę praktyczną, konkretną".

„Zarzuty teoretyczne: dziennikarz nie może być poddany egzaminowi państwowemu. Nie wiemy dotąd, czy dobre czy złe — spodziewamy się, że najlepsze — będą wyniki egzaminu

państwowego w szkołach, nie byłoby więc rzeczą wskazaną stosować go już dzisiaj także do dziennikarzy. Powiada się, że dziennikarz zdaje codziennie egzamin przed swoimi czytelnikami. To prawda, ale i adwokat codziennie, mimo że już zdał oba egzaminy, doktorski i praktyczny, poddaje się jeszcze egzaminowi przed swoimi klientami, ponieważ, kiedy przegrywa sprawę, klienci go opuszczają. Jedyny klient, który nie może w ten sposób reagować, to pacjent lekarza, lecz klient architekta, klient inżyniera-mechanika zrobi to samo, co czytelnicy pisma. W każdym zawodzie istnieje codzienny eksperyment zręczności i zdolności zawodowca".

Zresztą myśl wnioskodawcy w Komisji parlamentarnej — a był nim właśnie autor niniejszych uwag — wyglądała wyraźnie tak: Księga zawodowa dziennikarzy ma służyć dla wyrobienia prawnego zawodu dziennikarskiego, w przeszłości zupełnie anarchicznego i otwartego przed lada kim, w celu podniesienia jego godności i prestiżu, oraz zapewnienia mu nieodzownego poczucia odpowiedzialności wobec publiczności i państwa.

Inny papież socjalnej demokracji, Max Nordau, w swoich *Konwencjonalnych kłamstwach* ostrzegał przed niebezpieczeństwem despotycznej władzy dziennikarza, oddanej bez różnicy i wyboru w pierwsze lepsze ręce. „Czy redaktor sprośnego, przepełnionego osobistemi skandalami świstka" — pisał Nordau — „ma prawny mandat wobec stu tysięcy czytelników napadać na rząd, sądzić czyny obywateli, przyspasabiać grunt i żłobić koryto, aby opinja publiczna mogła powoli i niepostrzeżenie popłynąć w jakimś określonym kierunku? Oto stoimy wobec jednego z najdziwaczniejszych przeciwiaństw naszej dzisiejszej cywilizacji. Zgodnie z naszym nowoczesnym sposobem myślenia buntujemy się przeciwko wszelkiemu autorytetowi państwowemu, któryby nie pochodził od ludu. W monarchji nie tolerujemy już branej dosłownie t. zw. łaski bożej i, teoretycznie przynajmniej, władza królewska, dziedziczona razem z urodzeniem, zostaje ograniczona przez wolę wyborców. Minister jest mianowany przez Głowę państwa, ale musi być dobrze widziany także przez parlament. Poseł musi się dobrze nakrzątać, aby pozyskać głosy współobywateli. Jedynie dziennikarz, którego władza, biorąc praktycznie, jest podobna do

władzy prawodawcy i rządu, dziennikarz, który sprawuje urząd posła i ministra, nie jest mianowany ani wybierany przez nikogo. Jest jedyną powagą państwową, która nie potrzebuje żadnego zatwierdzenia. Sam siebie robi tem, czem jest, i wykonywa swoją władzę jak mu wygodnie, nie będąc w najmniejszej mierze odpowiedzialny za swoje nadużycia ani za swoje najgrubsze omyłki. I niech nikt nie mówi, że ten szkic jest przesadzony. Zdarzali się dziennikarze, tak dalece pozbawieni powagi i sumienia, że przygotowywali i wywoływali rewolucje i wojny i ściągali rozpacz i ruinę na własny kraj i na inne narody. Gdyby byli panującymi, wypędzonoby ich, gdyby ministrami, wytoczonoby im proces, w którym napewno wchodziłaby w grę ich głowa. Ponieważ to byli dziennikarze, nikt ich nie tknął, przeciwnie, oni jedni wyszli cało z ogólnej klęski, której byli przyczyną. Czy nie jest doprawdy zastanawiające, że tolerujemy podobny despotyzm, bez najmniejszego usiłowania buntu, kiedy z taką zapalczywością zwalczamy wszelki inny rodzaj tyranji? A anomalja nie maleje, nawet jeżeli pomijając polityczny wpływ prasy, weźmiemy pod uwagę tylko jej wpływ społeczny. Sędzia, któremu powierzamy prawo czuwania nad naszym honorem, naszem mieniem, naszą wolnością, musi po poważnych studjach i długiem terminowaniu otrzymać legalną nominację, jest skrępowany przez twarde prawa, jego pomyłki i nadużycia ściągną nań natychmiastową karę, i w większości wypadków robi się wszystko, aby im zaradzić. Ale dziennikarz może przynosić ujmę, a nawet pozbawić obywatela czci i mienia, może nastawać na jego wolność osobistą, uniemożliwić mu przebywanie w jakiejś miejscowości, a władzy tej karzącej używa, nie składając dowodów przygotowawczych studjów, nie mając od nikogo pełnomocnictwa, nie dając rękojmi bezstronności, nie przeszedłszy sumiennego egzaminu. Prawda, mówi się, że prasa sama leczy zadane przez siebie rany i że naogół obywatel dobrze się opancerzył przeciwko dziennikarzowi zapomocą prawa prasowego. Wszystkie te dowodzenia nie wytrzymują krytyki. Napaść pisma może za sobą pociągnąć dla jednostki niepowetowane szkody. Sprostowania i odwołania nie są w stanie dać zupełnego zadośćuczynienia, niektórzy czytelnicy czytali numer, w którym była napaść, a nie czytali następnego, w którym była obrona, inni nie czytali przez nało-

gową obojętność; w każdym razie zaczepiony wie, że wobec większego lub mniejszego grona osób jego cześć i dobre imię są poszwankowane i niepowrotnie splamione. Nawet proces, wytoczony pismu, nie sprowadza zmiany na lepsze. Przedewszystkiem pismo ma tysiąc sposobów, aby komuś obrzydzić życie, nie dając mu przytem powodu do wszczynania procesu, a choćby nawet dziennikarz był tak nieopatrzny, że się wkopał w proces, kara zazwyczaj nie jest we właściwym stosunku do winy".

„Większość z nas wie doskonale, że opinja publiczna (przed którą ludzie się kłaniają) to nie jest wyraźnie to, co w prasie najłatwiej dochodzi do głosu. Zwykle, a może nawet prawie zawsze ignorancja, brak przekonań, nieudolność albo niemoralność jednostki potrafią wybić się na wierzch, albo też przez tchórzostwo uciekają się do kłamstwa, nietylko dając do zrozumienia, że prasa jest ważkim organem opinji publicznej, ale poprostu utożsamiając ją z tą opinją. Jak można to kłamstwo przemienić na prawdę? Jak można zakazać, aby przywłaściciele bez żadnego tytułu zagarniali sobie władzę, której sprawowanie powinnoby być powierzone jedynie ludziom wyraźnie upoważnionym do tego przez opinję publiczną? Jest to jedno z najpoważniejszych politycznych i moralnych pytań naszego czasu, a rządy od dziesiątków lat nie są w stanie go rozwiązać".

Otóż faszyzm rozwiązał to zagadnienie przez pomysł Księgi zawodowej. Odtąd nie będzie już można czynić z dziennikarstwa *refugium peccatorum*, wygodnego przytułku dla wszystkich zbiegów, schronienia dla wykolejeńców. Aby móc pracować zawodowo jako dziennikarz, trzeba będzie mieć papiery w porządku. Regulamin przepisany w artykule 7 ustawy wymienia, jakie są konieczne warunki, aby być dopuszczonym do podpisu. Księga zawodowa obejmuje trzy listy: jedną zawodowców, drugą praktykantów, trzecią publicystów.

„Na listę zawodowców mogą być przyjęte tylko takie osoby, które przynajmniej od osiemnastu miesięcy uprawiają wyłącznie zawód dziennikarski".

„Na listę praktykantów mogą być przyjęte osoby, które tak samo, uprawiając wyłącznie zawód dziennikarski, nie osiągnęły jeszcze wymaganego czasu osiemnastu miesięcy. Po upływie osiemnastu miesięcy zaprawiania się, praktykanci mogą

zażądać, aby ich przeniesiono na listę zawodowców, po uprzedniem zaświadczeniu redaktora pisma, w którem odbywała się praktyka, o zdolnościach kandydata i zatwierdzeniu tego świadectwa przez dyrektora Syndykatu".

„Na listę publicystów mogą być przyjęci, poza redaktorami naczelnymi i członkami redakcyj, współpracownicy czasopism, którzy obok dziennikarstwa uprawiają inny jeszcze zawód i prowadzą inną działalność".

„Podanie o pozwolenie wpisania się do Księgi musi być poparte następującemi dokumentami: 1) świadectwo obywatelstwa włoskiego; 2) świadectwo, z którego wynika, że składający podanie korzysta z praw obywatelskich; 3) metryka; 4) świadectwo niekaralności z datą o trzy miesiące wcześniejszą od daty podania; 5) świadectwo nienaganności pod względem moralnym i politycznym; 6) świadectwo redaktora dziennika albo innego wydawnictwa perjodycznego, z którego wynikałoby, że składający podanie spełnia wymagane obowiązki w owem czasopiśmie".

„Aby być przyjętym na listę praktykantów, trzeba mieć skończonych lat conajmniej 18. Aby być przyjętym na dwie pozostałe listy, wymagany jest wiek 21 lat".

„Poczynając od dnia 31 grudnia 1927 r., dla wpisania się do Księgi zawodowej dziennikarzy wymagane będą, oprócz warunków wyżej wymienionych, także świadectwo z ukończenia wyższej szkoły średniej, albo posiadanie tytułów kulturalnych, choćby nie szkolnych, które Komisja, zwołana dla rozpatrzenia podania, uzna za równoważne ze szkolnemi".

A zatem dla uprawiania zawodu dziennikarskiego, zgodnie z warunkami regulaminu Księgi, trzeba móc wykazać wyraźne warunki kulturalne i moralne.

Porządek dzienny, przedstawiony przez piszącego te słowa, a przyjęty przez wszystkie instancje Izby podczas obrad nad prawem prasowem, domagał się nadto założenia szkoły dziennikarskiej. Syndykat dziennikarzy z własnej inicjatywy, a poparty przez ministrów Korporacyj i Wychowania Narodowego, w styczniu roku bieżącego spełnił to życzenie i przystąpił do stworzenia w Rzymie szkoły dziennikarskiej, w celach czysto praktycznych, z myślą, aby ludziom uzdolnionym do dziennikarstwa dać przygotowanie specjalne, konieczne dla uprawiania

zawodu, który ustrój faszystowski postanowił oczyścić z szumowin umysłowych i moralnych dawnych czasów.

Szkoła obejmuje dwuletni kurs nauk; po jego ukończeniu kandydat na dziennikarza otrzymuje dyplom, dla którego Syndykatowi udało się pozyskać pełne prawa przy uprawianiu zawodu, dzięki Dekretowi królewskiemu, który opiewa: „Dla wpisania się na listę zawodową w Księdze dziennikarzy, dyplom, wystawiony przez szkołę dziennikarską, prawnie uznaną, stanowi równoważnik osiemnastomiesięcznej praktyki zawodowej, wymaganej przez artykuł 4 regulaminu o założeniu zawodowej Księgi dziennikarzy".

Księga dokona selekcji wśród klasy dziennikarskiej włoskiej i da dziennikarzom stanowisko moralne, godne ich zawodu i zadań, jakie na nim spoczywają. Prowadzenie Ksiąg powierzone jest Syndykatom Faszystowskim Dziennikarzy, którzy dla tego celu wyłonią specjalne komisje. Wobec prawnego uznania Syndykatów przez prawo z dnia 3 kwietnia 1926 r. „Cech" zawodowy *(L'Ordine professionale)* dziennikarzy nie doszedł już do skutku, a cały jego majątek został przekazany Syndykatowi. Organizacja syndykalistyczna dziennikarzy nazywa się „Narodowym Syndykatem Faszystowskim Dziennikarzy" *(Sindicato Nazionale Fascista dei Giornalisti)* i obejmuje Sekretarjat Generalny, Dyrektorjat Narodowy oraz jedenaście Syndykatów Regjonalnych. Organizacja stawia sobie następujące cele:

a) Roztaczać opiekę nad interesami moralnemi i materjalnemi członków związku zawodowego, dla którego powstała, wobec państwa, innych instytucyj publicznych, oraz osób prywatnych.

b) Rozwijać działalność, zmierzającą do zdobywania coraz wyższego szacunku dla pracy dziennikarskiej, przez badanie warunków, w jakich ta praca się rozwija na terytorjum Królestwa, oraz potrzeb i dążeń związku, przez gromadzenie wniosków, wysuwanych przez poszczególne Syndykaty, oraz przyczynianie się do wydawania odpowiednich zarządzeń ze strony właściwych władz.

c) Reprezentować prawnie wszystkie stowarzyszenia podrzędne w jej skład wchodzące, czy to wobec władz politycznych i administracyjnych, czy wobec zrzeszeń pracodawców,

albo też wobec osób prawnych, instytucyj i stowarzyszeń o charakterze narodowym, których cele dotyczą członków omawianego związku zawodowego, lub wreszcie wobec Urzędu pracy.

d) Uzgodnić działalność stowarzyszeń, wchodzących w skład związku, z interesami samego związku, tudzież z wyższemi interesami narodu.

e) Rozwijać — w zgodzie z przepisami Karty Pracy i ustawy o normach popytu i podaży pracy — skuteczną działalność w celu jak najlepszego zużytkowania zdolności zawodowych dziennikarzy, propagując jednocześnie, w łączności z odpowiedniemi stowarzyszeniami pracodawców, myśl stworzenia Urzędów dostarczania posad na podstawie narodowej.

f) Przeprowadzać zbiorowe umowy o charakterze narodowym, to znaczy obowiązujące na całym obszarze Królestwa Włoskiego, i występować w imieniu zapisanych Syndykatów w przeprowadzaniu lokalnych umów zbiorowych, oraz w akcji podlegającej kompetencji samych Syndykatów, dla oznaczenia wysokości opłat i poszczególnych umów.

g) Wspierać i uzgadniać działalność rozwijaną przez poszczególne zrzeszenia, wchodzące w skład organizacji, w celach pomocy społecznej, wykształcenia i wychowania, przewidzianych w odpowiednich statutach.

h) Popierać rozwój i wpływać na stosowanie praw dotyczących pracy i zabezpieczenia, między innemi przez stwarzanie specjalnych instytucyj o charakterze narodowym. W tej dziedzinie Syndykat występować będzie każdorazowo łącznie z Instytutem Narodowym Przezorności dla Dziennikarzy.

i) Popierać sprawę tworzenia i wpływać na rozwój instytucyj i jednostek prawnych o charakterze narodowym, mających na celu wykształcenie specjalne i zawodowe oraz wychowanie moralne i zawodowe dziennikarzy, należących do związku.

j) Czuwać, aby władze administracyjne i sądowe, tudzież osoby prywatne przestrzegały rozporządzeń, dotyczących uprawiania zawodu dziennikarskiego, rozwijając w razie potrzeby, w granicach dozwolonych przez prawo, działalność zmierzającą do zniszczenia prób złamania prawa.

k) Wyznaczać członków Wyższej Komisji do spraw prasowych, z siedzibą w Ministerstwie Sprawiedliwości, w liczbie i postaci przewidzianych przez odpowiednie przepisy prawa.

l) Wyznaczać i mianować przedstawicieli swoich w Ciałach politycznych, administracyjnych czy specjalnych państwowych, albo jednostek prawnych o charakterze publicznym, w razach, kiedy takie mianowanie albo wyznaczanie jest przewidziane przez prawo i przez regulaminy.

m) Popierając, o ile zajdzie potrzeba, wobec Wyższej Komisji do spraw prasowych zarządzenia Komitetów prowadzących Księgi zawodowe w Syndykatach pierwszego stopnia, tak w kwestjach dyscyplinarnych, jak w sprawie wpisywania, wykreślania i wymazywania z Ksiąg zawodowych.

n) Występować z akcją pojednawczą w sporach zbiorowych, dotyczących reprezentowanego związku, oraz podejmować wszelkie inne zadania, wypływające z Karty Pracy, albo wyznaczone przez prawa, regulaminy i rozporządzenia władz oraz Konfederacji Narodowej, do której Syndykat przystępuje, wreszcie przez niniejszy Statut.

*

Wszystkie Syndykaty regjonalne tworzą Koła prasowe *(Circoli della stampa)*, miejsca zebrań, na których dziennikarze gromadzą koło siebie najlepszą część inteligencji danego miasta. Koła prasowe mają za zadanie dostarczenie rozrywek i podnienie poziomu kulturalnego. Rok rocznie w rozmaitych Kołach organizowane są odczyty, wykłady, prowadzone przez najwybitniejsze osobistości ze świata artystycznego, naukowego i literackiego. Koła prasowe są poniekąd wypełnieniem życia w godzinach po pracy dla dziennikarzy i dla wszystkich pracowników umysłowych.

Poza Szkołą Dziennikarską najważniejszemi zdobyczami Syndykatu są: wzór kontraktu dziennikarskiego *(Contratto di lavoro giornalistico)*, Narodowy Instytut Przezorności dla Dziennikarzy Włoskich *(Istituto Nazionale di Previdenza dei G. I.)* i Urząd Dostarczania Posad *(Ufficio Nazionale di Collocamento)*. Nadto dyskutuje się obecnie projekt ubezpieczenia i odszkodowań w razie zwolnienia.

W sierpniu roku zeszłego wszystkie te zdobycze zostały wyczerpująco przedstawione na Międzynarodowej Konferencji Prasy w Genewie przez Dra Juljusza Barella, zdobywając poklask i uznanie delegatów wszystkich krajów.

„Co się tyczy dziennikarzy włoskich“ — oświadczył Dr Barella — „zaznaczam z dumą, że tak pod względem ekonomicznym jak i na polu prawnem żaden inny naród nie dba w równej mierze o sferę dziennikarską jak nasz“.

„Kontrakt pracy“ przyznaje dziennikarzom w przypadku zwolnienia określone odszkodowanie, które wynosi kwotę roczną dla redaktorów naczelnych, dla członków redakcji gażę za sześć miesięcy, z dodaniem miesiąca odszkodowania za każdy rok wykonywanej pracy. Pracodawcy mają obowiązek wypłacić wspomniane odszkodowanie spadkobiercom w razie śmierci dziennikarza, albo samemu dziennikarzowi, o ile ukończył sześćdziesiąt lat życia lub też trzydzieści lat pracy zawodowej. Wreszcie wydawcy pism zobowiązują się wpłacać jako fundusz dla zabezpieczenia starości dwa procent pensji dziennikarza do Instytutu Przezorności, który zapomocą polisy, wystawionej przez Narodowy Instytut Ubezpieczeń, zapewnia każdemu dziennikarzowi emeryturę, poczynając od sześćdziesiątego roku życia, albo pokaźną sumę dla spadkobierców na wypadek wcześniejszej śmierci samego dziennikarza. Umowa pracownicza oraz Instytut Przezorności przewidują dalej skutki nieszczęśliwych wypadków przy pracy, choroby i bezrobocia, tak że dziennikarz włoski posiada wszelkie rękojmie, dozwalające mu uprawiać swój zawód w zupełnej niezależności i bez troski o byt.

Narodowy Instytut Przezorności, pod rozumnem i światłem kierownictwem Arnalda Mussoliniego, był w stanie zabezpieczyć wszystkim dziennikarzom fundusz emerytalny, który wynosi od 60.000 do 100.000 lirów.

Skończył się raz na zawsze okres przygnębiającej, choć czasem świetnej „cyganerji“ dziennikarskiej. Ustrój faszystowski żąda od sfery dziennikarskiej, aby umysłowo i moralnie stała na wysokości swojego powołania, a jednocześnie czuwa nad tem, aby zabezpieczyć tej sferze położenie materjalne wprost godne zazdrości. Umowa pracownicza nie ogranicza się jednak do zapewnienia niezależności zawodowej razem z całym aparatem zabezpieczeń pod względem ekonomicznym, jakim przyjrzeliśmy się w tej chwili, ponieważ jeden z artykułów stara się zawarować dziennikarzowi także zupełną niezawisłość myśli i poglądów politycznych. Artykuł 18 w rzeczy samej

głosi, że „w razie zasadniczej zmiany kierunku politycznego pisma, mają prawo rozwiązać umowę: redaktor naczelny, drugi redaktor, zastępca redaktora, współpracownicy pisujący artykuły polityczne, sprawozdawcy parlamentarni i wszystkie osoby czynne lub odpowiedzialne politycznie".

*

Stajemy teraz wobec zagadnienia niezawisłości prasy, które znalazło wyraz także w niektórych rozporządzeniach prawa z 31 grudnia 1925 roku.

Słyszymy ciągle o niezawisłości prasy i o niezawisłości dziennikarzy, dwu mitach, dość bliskich rozpatrywanej już wyżej „wolności prasy".

W październiku 1927 *Westminster Gazette* oskarżyła Mussoliniego, że wciągnął dziennikarstwo włoskie pod protekcję ustroju i spytała z naiwną minką: „ilu też uczciwych dziennikarzy w Anglji zgodziłoby się na taką opiekę za cenę służalczej uległości wobec rządu i z przeświadczeniem, że ci, co trzymali wysoko sztandar niezależności, nie mogą już nawet być biednymi niezależnymi dziennikarzami". Nie mówiac już, że twierdzenie dziennika angielskiego jest zupełnie niepoważne, zastanówmy się nad jednem: Co to jest wogóle ta niezależność pism i dziennikarza, jeżeli odrzemy ją ze wszystkich obsłonek mitu i ideologji? Jakaż jest ta prasa, która nie zależy naprawdę od nikogo?

Słusznie senator Federzoni oświadczył senatorowi Wollemborgowi, który występował jako orędownik „niezawisłości prasy":

„Kiedy mówimy o prasie niezależnej, dla określenia w gruncie rzeczy prasy opozycyjnej, powinnibyśmy mieć zupełną pewność, że ta prasa niezależna nie zależała nigdy od nikogo. Nie ulega kwestji, że dzisiaj wydawanie pisma, nawet skromnego pisemka, wymaga dużych środków finansowych. Jest prawdą niezbitą, że nie zawsze finansowanie jest równoznaczne ze związaniem, a jeszcze mniej ze związaniem, do któregoby się nie przyznawano, ponieważ istnieją protektorzy szlachetni, bezinteresowni, a nadewszystko inteligentni, i ponieważ istnieją dziennikarze o wysokiem poczuciu godności swego powołania, nawet jeżeli potrzeba materjalna zmusza ich do szukania środków, ażeby mogli propagować swoje ideje i dać wyraz swoim

przekonaniom. Ich uczciwość polityczna i zawodowa wyraża się w ten sposób, że nie zapierają się swoich przekonań i nie chcą oddać się na służbę żadnego poszczególnego interesu".

„Ale prawdą jest także druga strona sprawy, a mianowicie, że nie zawsze fakt, iż jakieś pismo pokrywa się finansowo samo, jest dowodem jego niezależności. W chwili, kiedy powstawało, nie mogło się pokrywać, czyli, że musiał być dzień, kiedy oparło się o jakiegoś hojnego mecenasa. Doprawdy więcej niż o niezależności pism, powinniśmy myśleć o niezależności dziennikarzy. Bądź co bądź faszystowskie prawo prasowe przyniosło rozporządzenie, niedostatecznie oświetlone w dyskusji, które urzeczywistnia postulat wspólny naszym dawnym przeciwnikom, to znaczy wymaga, aby wszystkie pisma wyjawiły nazwiska ludzi, którzy je finansują. Tyle będzie zysku dla lojalności i przejrzystości naszego życia publicznego. Skądinąd da to nareszcie sposób, abyśmy szukając jednostki odpowiedzialnej moralnie i karnie, ugodzili w osobę redaktora pisma, który z konieczności musi pokazać się wszystkim dotkniętym na honorze albo w interesach, a także dać im konieczne zadośćuczynienie".

„Zato niezależność pewnych pism, które najwięcej krzyczą na temat moralności i wolności prasy, jest śmiechu warta i nie można jej inaczej traktować, jak z szyderstwem".

„Delaisi zdemaskował przed laty, że *Humanité* była założona dzięki kapitałowi, dostarczonemu przez matadorów finansjery międzynarodowej, których dotknęła łaska socjalno-komunistycznego słowa".

„Przed dwoma laty jeden z pisarzy liberalnych w artykule poświęconym pamięci Hugona Stinnesa w *Rivista Bancaria* rozłożył kawałek po kawałku cały mechanizm finansowy prasy niemieckiej, stojącej pod kontrolą słynnego finansisty. Było to, opowiadał, dziewięćdziesiąt pism rozmaitych partyj, z agencją telegraficzną znakomicie zorganizowaną, która za skromną cenę ofiarowywała swoje obfite i dokładne informacje, wsączając w ten sposób do prasy wszelkich odcieni mniej lub więcej tendencyjne wiadomości, które mogły się przydać w interesach osobistych wielkiemu potentatowi przemysłu".

Artykuły 17 i 18 umowy pracowniczej zawarowują jednak dziennikarzowi niezależność, przyznając mu prawo do rozwią-

zania umowy na wypadek zmiany kierunku politycznego pisma, kiedy dla dziennikarza, z jakiegobądź powodu, wytwarza się sytuacja moralna, wyraźnie nie do pogodzenia z jego godnością osobistą lub zawodową, tudzież na wypadek przejścia pisma w inne ręce.

Prawo prasowe porusza i rozwiązuje i drugą stronę sprawy, to jest niezależność pism, przez wymaganie, aby wszystkie pisma wyjawiły nazwiska ludzi, którzy je finansują.

To też artykuł 3 głosi: „Razem z podaniem w sprawie uznania osoby odpowiedzialnej, drukarz i wydawca dziennika lub wydawnictwa perjodycznego muszą przedstawić prokuratorowi generalnemu oświadczenie, zawierające wszelkie dane co do właścicieli dziennika czy wydawnictwa perjodycznego, ich miejsce zamieszkania i urzędowania".

„Jeżeli właścicielem jest instytucja prawidłowo ukonstytuowana, należy załączyć kopję aktu jej ukonstytuowania, oraz wykaz osób, wchodzących w skład rady administracyjnej towarzystwa, lub też mających jego przedstawicielstwo".

„Oświadczenie, przepisane przez niniejszy artykuł, winno być co rok ponawiane w ciągu pierwszych piętnastu dni stycznia, a w razie jakiejkolwiek zmiany w ciągu piętnastu dni od daty, w której zaszedł fakt, stanowiący przyczynę zmiany, a to w sposób i w formie, jakie ustali regulamin".

Art. 4. „Właściciele pisma są cywilnie odpowiedzialni solidarnie między sobą i z wydawcą w spłacie sum, należnych jako odszkodowanie i zadośćuczynienie za straty oraz za koszty sądowe, w stosunku do kar nałożonych na przestępstwa prasowe".

Art. 5. „Maszyny, czcionki i inne utensylja w drukarni, w której drukuje się dziennik albo wydawnictwo perjodyczne, stanowią gwarancję, zgodnie z przepisami paragrafu 3 rozdz. 2 księgi IV Kodeksu postępowania karnego, dla spłacania sum należnych za odszkodowanie albo zadośćuczynienie za straty i na koszty sądowe w zależnośsi od kar ustanowionych za przestępstwa prasowe, z wyjątkiem ewentualnych przywilejów, wynikających z Umowy pracowniczej między wydawcami a dziennikarzami".

„Zamiast wymienionej gwarancji właściciele dziennika lub wydawnictwa perjodycznego mogą złożyć kaucję, której wyso-

kość będzie określana od przypadku do przypadku z początkiem każdego roku przez prezesa sądu, w którego jurysdykcji wychodzi dziennik lub wydawnictwo perjodyczne i z uwzględnieniem rodzaju, ważności i rozpowszechnienia tegoż".

Dzięki zarządzeniom, któreśmy w tej chwili przedstawili, państwo i społeczeństwo stoją wobec dokładnie wyszczególnionych osób, odpowiedzialnych za wszystkie czasopisma, osób odpowiedzialnych, które piszą, i osób odpowiedzialnych, które wspierają dziennik, odpowiedzialnych karnie i odpowiedzialnych cywilnie.

Wszystkie przestępstwa prasowe znajdują tedy w tych dobrze obwarowanych zarządzeniach osobę, która winna odpokutować winę i wynagrodzić szkody.

*

Ustalenie przepisów dla zapobieżenia i ukrócenia przestępstw prasowych powierzył rządowi parlament razem z porządkiem dziennym, który upoważniał rząd do użycia należnej mu władzy dla przeprowadzenia reformy ustawy o bezpieczeństwie publicznem, reformy Kodeksu karnego i Kodeksu procedury karnej.

Nowy Kodeks karny, którego projekt przedwstępny został świeżo ogłoszony, ustanawia w rzeczy samej kary za oszczerstwo z więzieniem od sześciu miesięcy do trzech lat (art. 604), dalej kary za wydawnictwa obrażające moralność i za wszelkie inne przestępstwa prasowe.

Wszystkie te kary w nowym Kodeksie wypadną znacznie surowiej, niż to było w Kodeksie dotychczasowym.

Wymienione przepisy mają na celu podniesienie moralne roli prasy, która zbyt często, dzięki nieograniczonej swobodzie, wpadając w nieokiełznane nadużycia, stawała się, w tak zwanej czarnej kronice, prawdziwą szkołą występku, a zapomocą wydawnictw gorszących i oszczerczych, sprośnych i odrażających, groźnym a nieustannym zamachem na dobre imię jednostek i na zdrowie moralne rodziny i społeczeństwa.

Artykuł 9 ustawy prasowej opiewa: „Kiedy w opisie, albo w komentarzu do kroniki wypadków, albo w odnoszących się do nich ilustracjach i rysunkach przekroczone zostaną granice, nakazane przez moralność, przyzwoitość i dobre obyczaje, albo

też kiedy, dla zaspokojenia chorobliwej ciekawości publiczności, zostaną uwydatnione szczegóły drastyczne, niemoralne czy wogóle takie, które mogą zamącić spokój i porządek życia rodzinnego, albo obudzić niezdrowe wrażenia w osobach słabych i niedoświadczonych, stosuje się, z wyjątkiem wypadków, gdy czyny te noszą cechy poważniejszego przestępstwa, karę w postaci grzywny od 1000 do 5000 lirów". Projekt przedwstępny nowego Kodeksu uchwala (art. 748), że „ktokolwiek wystawia na widok publiczny, albo ofiaruje na sprzedaż, czy rozdaje druki, rękopisy, drzeworyty, rysunki lub jakiebądź przedmioty z wyobrażeniem rzeczy obrażających przyzwoitość publiczną, podlega karze grzywny w wysokości od stu do dziesięciu tysięcy lirów". Ustawa o bezpieczeństwie publicznem z roku 1926 (art. 114) powiada: „Zabrania się reprodukować w dziennikach i innych wydawnictwach perjodycznych podobizny osób, które dopuściły się krwawych zbrodni albo współdziałały w nich, tak samo jak podobizny samobójców. Dzienniki lub pisma perjodyczne, które przekroczyły zakazy niniejszego artykułu, ulegają na drodze administracyjnej konfiskacie z polecenia miejscowych władz bezpieczeństwa publicznego".

*

Nie zadowolił się tem rząd faszystowski, który zapomocą ustaw o nadzorze nad dziennikami i wydawnictwami perjodycznemi przeprowadził na drodze prawnej, że dziś już prasa w taki czy inny sposób nie może przynosić szkody życiowym interesom państwa i narodu. Ustawy te polecają przedstawicielom władz państwowych konfiskować dzienniki i wydawnictwa perjodyczne, a także demaskować i zawieszać w działalności jednostki odpowiedzialne, niezależnie od kar nałożonych przez Kodeks i Ustawę o bezpieczeństwie publicznem:

a) jeżeli dziennik albo wydawnictwo perjodyczne zapomocą wiadomości fałszywych albo tendencyjnych wprowadza zawikłania do akcji dyplomatycznej rządu w stosunkach z zagranicą i podkopuje wewnętrzny czy zewnętrzny kredyt, lub też szerzy niepotrzebny popłoch wśród ludności, lub daje powód do zamącenia porządku publicznego;

b) jeżeli dziennik albo wydawnictwo perjodyczne zapomocą ilustracyj czy winietek podnieca do zbrodni lub podsyca nienawiść klasową, albo nieposłuszeństwo prawu czy nakazom

władzy, albo jeżeli obniża autorytet osób, pełniących obowiązki publiczne, albo jeżeli popiera interesy państw, jednostek prawnych i osób prywatnych obcego pochodzenia ze szkodą dla interesów włoskich, czy też obraża Króla, Ojczyznę, Rodzinę królewską, Głowę Kościoła, religię państwową, instytucje lub władze państwowe, lub zaprzyjaźnione mocarstwa.

Przez ogół tych zarządzeń ustrój faszystowski kładzie, w interesie państwa, nieodzowne granice dla wpływów prasy.

W odróżnieniu od wszystkich ustrojów demokratyczno-liberalnych i socjalno-demokratycznych, byłych i obecnych, on jeden miał odwagę poruszyć i w sposób tak zupełny i konkretny rozwiązać to zagadnienie.

Ale nie należy przypuszczać, aby faszyzm dokonał tym sposobem dzieła wstecznego, przeciwstawiając się postępowi w dziedzinie prasy i zadając kłam korzyściom, jakie prasa przyniosła cywilizacji. Wszystko, co ustrój faszystowski uczynił, aby ująć w karby działalność dziennikarską i utrzymać ją w granicach użyteczności społecznej, stanowi przykład, którego niepodobna będzie zlekceważyć lub zapoznać w żadnym kraju.

Środki, przedsięwzięte przez rząd faszystowski, nie godzą przytem bardziej w wolność prasy, aniżeli środki obowiązujące u narodów, które mają markę najbardziej liberalnych i demokratycznych na świecie.

W kraju wolności, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, dyrektor generalny poczt ma prawo rozporządzeniem swojem odebrać obieg pismom, które obrażają instytucje i moralność ogółu. Prawo angielskie zakazuje wydawnictw, które mogą obrażać „interesy publiczne" — formuła ogólnikowa i podatna do bardzo elastycznego interpretowania. Wreszcie najnowsza konstytucja republikańskich Niemiec w art. 48 upoważnia Prezydenta Rzeszy do zawieszenia wolności prasy.

Wszystko to dowodzi, że niema państwa, któreby w praktyce, dla obrony własnej i możności normalnego funkcjonowania, nie usiłowało, w razie potrzeby, ograniczać wolności prasy.

*

Rozumie się, że nowy porządek prawny, wprowadzony przez faszyzm dla prasy włoskiej, wywołał prawdziwą „rewolucję dziennikarską". Aby budować na nowo, jak w każdej in-

nej dziedzinie, tak i na polu dziennikarstwa trzeba było przedewszystkiem burzyć.

Dzienniki i dziennikarze, którzy powstali i żyli według zasad wszechwładzy prasy, ponad państwem i przeciwko państwu, ponad społeczeństwem i przeciwko społeczeństwu, musieli zniknąć, albo ugiąć się przed nowym porządkiem rzeczy.

Pisma, które walczyły przeciwko państwu, straciły swobodę prowadzenia dalej swojej haniebnej, antynarodowej roboty.

Dziennikarze, uważający się za nietykalnych despotów osławionej „czwartej władzy", musieli złożyć pióro. Wiele pism przestało istnieć. Wielu dziennikarzy, którzy za dawnego porządku wywierali największy — i prawie zawsze opłakany — wpływ na życie polityczne Włoch, zostało wykluczonych ze swego zawodu.

Nie znaczy to przecież, jakoby prasa włoska była dzisiaj całkowicie faszystowska.

Rząd pozwala naprzykład, aby w Genui wychodziło pismo *Lavoro,* będące wykładnikiem grupy dawnych przywódców Generalnej Konfederacji Pracy. Przystali oni na nowy stan rzeczy, nie wstępując mimo to w szeregi organizacyj faszystowskich. Tak samo nie wszystkie wielkie dzienniki liberalne, które popierają nowy ustrój, mogą być uważane za faszystowskie.

Z „rewolucji prasowej" wyszła p r a s a n a r o d o w a, która pracuje w orbicie państwa i poddaje, rozumie się, swoją działalność pod kontrolę i sankcję państwową, oraz p r a s a f a s z y s t o w s k a, która jest narzędziem politycznem ustroju, gotową, pewną, skuteczną bronią rewolucji faszystowskiej.

Wielka Rada, rozpatrując w grudniu 1927 stosunek między prasą a ustrojem, stwierdziła wychowawczą rolę prasy i konieczność, aby prasa przesiąkła faszyzmem i ukształtowała się w duchu faszystowskim, jednak z zachowaniem nieodzownych zróżnicowań. *Foglio d'Ordini* partji, komentując postanowienia Wielkiej Rady Faszystowskiej w sprawie zagadnienia prasowego, podkreślił, że prasa, jak szkoła, musi stać się narzędziem faszystowskiego ustroju.

*

Ta wielka reforma prasowa, dokonana przez ustrój faszystowski, jest dziełem Benita Mussoliniego. Tylko mąż stanu tej miary co Duce mógł tak łatwo i tak szybko rozwiązać zagadnienie tak ciężkie, które trapi jeszcze rządy wszystkich

krajów świata. Ale trzeba także przyznać, że tylko dziennikarz poziomu Benita Mussoliniego mógł mieć tak znakomitą znajomość przedmiotu, jasne i głębokie ujęcie przyczyn zła i środków naprawy.

Zanim został wodzem faszyzmu i Głową rządu, zanim wyrósł na jedną z największych postaci przywódców, jakie pamięta historja, Benito Mussolini był dziennikarzem. Jeszcze chce nim być i jest nim. Imię jego widnieje na pierwszem miejscu na liście Narodowego Syndykatu Faszystowskiego Dziennikarzy i Narodowego Instytutu Przezorności Dziennikarzy Włoskich.

Na pierwszym Kongresie dziennikarzy faszystowskich powiedział:

„Przemawiam do was nie jako szef rządu, ale jako dziennikarz, który przeżył całą gamę wzruszeń dziennikarskich, który przeżył wszystko to, co nazywamy bitwami dziennikarskiemi, który wie, co znaczy drżeć z obawy przy czytaniu odpowiedzi od redakcji, aby się dowiedzieć, czy artykuł będzie czy nie będzie przyjęty, który poznał także wielką dumę, jaką daje świadomość, że dokoła pisma wybuchają wielkie i szlachetne porywy całego narodu".

Benito Mussolini - dziennikarz nie jest mniej wielki niż Benito Mussolini - mąż stanu. Nikt nigdy tak jak on nie odczuł wybuchających dokoła jego pisma „wielkich i szlachetnych porywów całego narodu". Rewolucja faszystowska miała przedewszystkiem jeden proporzec: *Il Popolo d'Italia.*

Od chwili, kiedy założono *Il Popolo d'Italia*, upłynęło lat szesnaście. W tych szesnastu latach streszczają się losy nowych Włoch, od wojny do rewolucji. Na łamach *Popolo d'Italia*, jak na kamieniach milowych, wyryte są etapy naszej historji, naszego odkupienia, naszej wielkości.

Obok prawodawstwa prasowego, które dało dziennikarstwu nowe normy życia i działania, Benito Mussolini może z czystem sumieniem postawić *Il Popolo d'Italia* — dziennik, który dużo wcześniej od nowych przepisów stworzył dla Włochów wspaniały wzór, czem może i czem powinna być prasa dla cywilizacji współczesnej.

ALESSANDRO MOLINARI
Dyrektor Głównego Urzędu Statystycznego
w Rzymie

ZE STATYSTYKI WŁOCH FASZYSTOWSKICH

Kreśląc na kilku stronicach obraz życia włoskiego w różnych jego objawach, ze szczególnem uwzględnieniem strony ekonomicznej, należy przedewszystkiem w szkicu syntetycznym ograniczyć się do zjawisk najbardziej charakterystycznych i najwięcej w danym wypadku mówiących.

Ludność i terytorjum. Ludność włoska około r. 1800 liczyła mniejwięcej 18 miljonów mieszkańców; do 24 miljonów doszła około r. 1850, a pierwszy spis ludności, dokonany w zjednoczonem Królestwie (r. 1862) wykazuje ludność 25-miljonową. Ostatni spis z r. 1921 daje liczbę 38.8 miljonów, już w nowych granicach. Do 31 grudnia 1929 r. ludność podniosła się do 41.5 miljonów. Przyrost demograficzny jest widoczny, roczny przyrost średni ludności wynosi w ostatnich latach około 9 na 1000 mieszkańców. W cyfrach absolutnych oznacza to przyrost około 420.000 mieszkańców rocznie. Naturalny przyrost ludności, który przed wojną wynosił przecięciowo 11—12 na tysiąc mieszkańców, spadł w ostatnich latach do 10—11 na tysiąc. Nieznaczny to spadek pomimo obniżenia się stopy urodzeń, (która ze średniej, wynoszącej mniejwięcej 32% w okresie 1900—1914, zmieniła się w ostatnich latach na 26%), dzięki jednoczesnemu wydatnemu obniżeniu się stopy śmiertelności (przed wojną wynosiła ona 20—21%, a w ostatnich latach spadła do 15—16%).

Aczkolwiek przyrost ludności możemy uważać za zadawalający, widoczny spadek liczby urodzeń niepokoi rząd, który dostrzega w tem wyraźnem obniżeniu się niebylejakie niebezpieczeństwo, zdolne w krótkim czasie zniweczyć osiągnięte dotychczas korzyści w związku ze zmniejszeniem się śmiertelności. Ta ostatnia nie może przestać istnieć, tymczasem liczba urodzeń może spaść do granicy bardzo bliskiej zeru. To jest

powodem wytężonej propagandy w celu powstrzymania spadku urodzeń, niezliczonych środków pomocy dla rodzin, obarczonych większem potomstwem, i szerokiej działalności, mającej na celu ochronę macierzyństwa i opiekę nad dzieckiem. Pracę, dokonaną w tym zakresie, omawia artykuł prof. Konrada Giniego w tymże numerze *Przeglądu Współczesnego.*

Zgodnie z propagandą, dążącą do zwiększenia liczby urodzeń, i z opieką nad rodzinami z licznem potomstwem, polityka rządu faszystowskiego zwraca się w kierunku zmniejszenia odpływu wychodźców, aby w ten sposób zachować narodowi znaczną liczbę osób w latach gospodarczej i fizjologicznej tężyzny. Podczas kiedy w czasach bezpośrednio przed wojną (przecięciowa z lat 1902—1911) emigracja dochodziła zgórą do 600.000 ludzi rocznie, w okresie 1922 - 1926 obniżyła się do 345.280, a w 1927—1929 do 244.000.

Według obliczeń prof. Giniego[1] ludność Włoch powinnaby dojść w r. 1961 do 55—60 miljonów mieszkańców. W tym czasie Włochy stałyby się najliczniejszym narodem w Europie, po Rosji i Niemczech, ustępując jednak ostatnim o 10 miljonów. W tymże czasie gęstość zaludnienia, która obecnie wynosi we Włoszech 133.8 mieszkańców na 1 km^2, przekroczyłaby na 1 km^2 — 190 mieszkańców; jest to olbrzymie skupienie, jeżeli zważymy, że Włochy są przeważnie terenem górskim.

Bogactwo i dochody Włoch. Bogactwo Włoch oceniono w r. 1914 na 115 miljardów lirów, w r. 1928 na 475 miljardów.[2] Z tych 475 miljardów przypada 175 na ziemię, 27 na żywy inwentarz, 80 na budynki, 5 na kopalnie i bogactwa w ziemi.

Dochody narodowe oszacowano w r. 1914 na 20 miljardów, a w r. 1928 na 94 miljardy, pochodzące ze źródeł, które wykazuje tablica na str. 136.

Zestawiając dochody z bogactwem, przekonywamy się, że stosunek, który przed wojną równał się 17.4%, podniósł się

---

[1] Por. *Obliczenie przypuszczalnego zaludnienia Włoch od r. 1921 do r. 1961*, referat odczytowy na XIX Zjeździe Międzynarodowego Instytutu Statystycznego w Tokio, 1930.

[2] Por. Corrado Gini, *La determinazione della ricchezza e del reddito delle Nazioni. Relazione all'Istituto internazionale di Statistica, Sessione di Tokio*, 1930.

Dochody narodowe w lirach papierowych
(miljony)

Kategorja:	r. 1914	r. 1928
Dochody z rolnictwa, z lasów i t. d. . . .	7.000	30.000
Dochody z przemysłu	6.000	32.000
Handel i kredyt	2.000	10.000
Urzędy publiczne, prywatne i t. p. . . .	2.000	10 000
Dochody z nieruchomości miejskich . . .	1.000	6.000
Papiery wartościowe i inne dochody . . .	1.000	6.000
Ziemie nieodzyskane (Trydent i t. d.) . .	1.000	—
Ogółem . . .	20.000	94.000

następnie aż do 19.8%. Wiąże się to z faktem, że po wojnie większa część wytworów idzie na wynagrodzenie pracowników. Wynika stąd, że większa część dochodów narodowych dotyczy dochodów z pracy, a mniejsza dochodów od kapitału, a zatem, że dochody od kapitałów i bogactwo, które w znacznej części składa się z tych kapitałów, musiały wykazać mniejszy przyrost aniżeli dochody narodowe.

Rolnictwo. Ludność rolnicza według spisu ludności z r. 1921 wynosi 10.3 miljonów mieszkańców w wieku ponad lat 10, ludność przemysłowa 5.4, ludność poświęcajaca się handlowi 1.1 miljon. Cyfry te wyjaśniają jak rozumny realizm kierował polityką „zwiejszczenia" *(la politica di ruralizzazione)* Włoch odnowionych przez ustrój faszystowski. W rzeczy samej kwestja agrarna postawiona została przez rząd faszystowski na porządku dziennym narodu i oparta na gruncie konkretnych realizacyj.

Dzisiaj polityka agrarna stanowi podstawę nowej gospodarki: rolnictwu poświęca się najwięcej wysiłków, aby wzmóc wydajność produkcji, grunty nieuprawne obrócić na wydajne, grunty o kulturze ekstensywnej na grunty o kulturze intensywnej, i tą drogą oddziałać także pośrednio na rozwój przemysłu, w znacznej części związany ściśle z losami rolnictwa.

Sprawa „zwiejszczenia" Włoch obraca się głównie na czterech osiach:

1) „kampanja zbożowa" *(battaglia del grano);* w rzeczywistości jest ona walką o powiększenie dochodu ze wszystkich rodzajów uprawy, oraz propagandą najdoskonalszych środków technicznych i naukowych, które dawniej przyjmowały się nadzwyczaj opornie;

2) uregulowanie kredytu rolnego, aby ułatwić i uprościć kredyt rolnikowi, czy to na kapitał potrzebny do prowadzenia gospodarstwa, czy na ulepszenia i przeobrażenia techniczne;

3) ochrona majątku leśnego;

4) meljoracje.

A oto wymowne oznaki podniesienia się stanu rolnictwa włoskiego:

a) Zużycie nawozów. Nawozy fosfatowe, których w r. 1913 zużyto 11.9, a w r. 1923 — 11.6 miljonów centnarów, w r. 1929 doszły do 15.7 miljonów, co w porównaniu z r. 1913 daje nadwyżkę 41%. Nawozy azotowe i potasowe z 1.25 miljona centnarów zużytych w r. 1913, przeszły w r. 1923 na 1.53, a w r. 1929 na 4.1, z nadwyżką 167% w porównaniu z r. 1923.

b) Wobec niemożności corocznych obliczeń wartości całej produkcji rolnej, oszacowano na podstawie cen z r. 1913 wytwórczość dwudziestu najważniejszych włoskich produktów rolnictwa (pszenica, żyto, jęczmień, owies, ryż, kukurydza, groch siewny, fasola i strąkowate siewne, ziemniaki, buraki cukrowe, konopie, len, ogrodowizna, rośliny pastewne, wino, oliwa, jedwabniki, owoce, pomarańcze i cytryny, kasztany), które można uważać za typowe, jeżeli idzie o zmiany wartości całej produkcji.

	1909–1913	1922	1926	1929
Wartość w miljonach lirów	7.674	6.452	8.195	9.028
Wskaźniki 1909—1913 = 100	100.—	79·8	101.3	111.7
Wskaźniki 1922 = 100	—	100.—	127.—	139.8

W porównaniu z r. 1922 mamy nadwyżkę 27% w r. 1926 i 39.8% w r. 1929, znacznie wyższą niż przyrost ludności w tym samym czasie. Dane odnoszące się do r. 1922 obejmują już produkcję nowych prowincyj.

Obok poprawy ilościowej mieliśmy wydatną poprawę pod względem dochodowości, co wykazuje tablica na str. 138.

Wysoka produkcja zbożowa w r. 1929, wynosząca 70.9 miljonów centnarów (w porównaniu z 44 miljonami w r. 1922—23 i 65.5 w r. 1925—26), pozwoliła obniżyć prawie o 1 miljard lirów wartość wwozu włoskiego z zagranicy, co przyczyniło się wybitnie do zmniejszenia deficytu w budżecie handlowym.

Wyniki te zostały osiągnięte dzięki szerokiemu zastosowaniu racjonalnych narzędzi produkcji, stworzeniu instytucyj pro-

Produkcja na 1 hektar dziesięciu najważniejszych produktów rolnych

	Centnary na hektar				Wskaźniki 1909-13=100			Wskaźniki 1921-23=100	
	1909-1913	1921-1923	1927-1929		1921-1923 średnio	1927-1929 średnio	1929	1927-1929 średnio	1929
Pszenica	10.5	11.2	12.7	14.8	106.7	121.—	141.—	113.4	132.1
Żyto	11.—	12.—	13.—	13.7	109.1	118.2	124.5	108.3	114.2
Jęczmień	8.9	9.3	10.2	11.2	104.5	114.6	125.8	109.7	120.4
Owies	10.6	10.7	11.9	13.—	100.9	112.3	78.3	111.2	121.5
Ryż	32.8	40.8	48.3	49.1	124.4	147.3	149.7	118.4	120·3
Kukurydza	15.8	14.4	14.1	16.7	91.1	89.2	105.7	97.9	116.0
Ziemniaki	57.6	48.3	51.4	57.1	83.9	89.2	99.1	106.4	118.2
Buraki	335.5	281.8	242.—	250.3	84.—	72.1	74.6	85.9	88.8
Konopie	10.3	9.4	9.9	9.8	91.3	96.1	95.1	105.3	104.3
Len	3.2	3.—	3.8	5.—	93.8	118.8	156.3	126.7	166.7

pagandy techniki rolniczej, konkursom narodowym, stacjom doświadczalnym, naukowym i rolniczym, i szerokiemu, celowemu prawodawstwu, mającemu na widoku opiekę nad rolnictwem i jego postępami.

Wymownem świadectwem pomocy udzielanej przez rząd kredytowi rolnemu są pożyczki, wydawane przez *Consorzio Nazionale* na kredyty meljoracyjne dla rolników. 31 grudnia 1929 r. dosięgły one sumy 298 miljonów lirów (31 grudnia 1928 r. wynosiły 121.4 milj. lirów), z czego 117 poszło na budowy wiejskie, 82.5 na instalacje irygacyjne, 43.6 na regulację gruntów, 38.3 na zadrzewienie.

Instytucje kredytowe ziemskie do końca r. 1926 udzieliły pożyczek na sumę 1.6 miljarda lirów, przy końcu r. 1929 pożyczki dochodziły do 3.7 miljardów lirów.

Sprawa meljoracji była postawiona przez faszyzm natychmiast po jego dojściu do władzy, a poprzez następne fazy została ostatecznie włączona do ustawy z 21 grudnia 1928 r. o meljoracjach, znanej pod nazwą „prawa Mussoliniego". Podczas kiedy dawniej sprawę meljoracyj rozważano zawsze tylko ułamkowo, obecnie intensyfikuje się je i rozwiązuje ze stanowiska narodowego. Nowe prawo określa program techniczny, gospodarczy i finansowy na przeciąg 14 lat. W tym samym zeszycie *Przeglądu* kompetentne pióro omawia je w sposób wyczerpujący.

Przemysł i praca. Ludność zatrudniona w przemyśle podnosi się od 4.3 miljonów w r. 1901, do 5.2 miljonów w r. 1921. Siła motorów, zainstalowanych w przemyśle (nie licząc elektrycznych), wzrasta od 1,620.404 HP w r. 1911 do 5,468.588 HP w r. 1927. Motorów elektrycznych w r. 1911 jest 63.772, w r. 1927 mamy ich 352.974, a ogólna siła, wyrażona w HP, zmienia się odpowiednio z 586.161 na 2.642.860. Należy jeszcze podkreślić, że podczas gdy bilans handlowy w zakresie produktów przerobionych dawał w trzechleciu 1911—1913 deficyt, (na podstawie cen z r. 1913) równy 107.8 miljonom, w trzyleciu 1925—1927 daje on saldo czynne 814 miljonów.

Przemysł włoski, który wyjąwszy niektóre gałęzie związane z wytwórczością wojenną, wybitnie ucierpiał podczas wojny, od r. 1922 do dnia dzisiejszego wykazuje bezustanny postęp.

Jako znamienne oznaki rozwoju przemysłu włoskiego możemy poczytywać cyfry widniejące w poniższej tablicy:

	Lata przedwojenne rok	ilość	1922	1927	1929
Zużycie energji elektrycznej, tys. kilow.	1913—1914	2 312	3.792	7.372	8.572
Zużycie węgla kamiennego, tys. tonn	1913	11.955	9.835	15.559	16 221
Produkcja żelaza lanego i stali, tys. tonn	1910—1914	1.342	1.204	2.216	2.805
Zużycie benzyny, tys. ton .	1913	33	115	271	403
Przywóz wełny surowej, tys. centnarów	1913	2 036	1.792	2.122	2.495
Przywóz gumy, tys. centn. .	1913	33	65	148	212
Towary przewożone kolejami na potrzeby handlu, tys tonn	1913	37.596	39.130	56.314	60.342
Towary ładowane i wyładowywane w portach, tys. tonn	1913	31.821	23.479	36.285	39.268

Zużycie energji elektrycznej powiększyło się o 269% od 1913—1914 r. do 1928—1929 r. i o 68% od 1922 do 1929.

Zużycie paliwa kopalnianego podniosło się o 35% od 1913 do 1929 r. a o 65% od 1922 do 1929 r. Przewóz kolejowy na potrzeby handlu podniósł się o 60% od 1913 do 1929, w r. 1922 osiągnął poziom zaledwie trochę wyższy niż w 1913 r.

Tonnaż towarów ładowanych i wyładowanych w portach podniósł się od 1922 do 1929 r. o 58%.

Przywóz surowców i towarów pół obrobionych wzrósł w sposób bardzo znaczny.

Kapitał ulokowany w towarzystwach akcyjnych podnosił się bezustannie, poczynając od 5.6 miljardów przy końcu r. 1913, dochodząc do 28.4 miljardów w r. 1924; do 40.4 przy końcu r. 1926, do 44.9 przy końcu r. 1928, wreszcie do 49.6 przy końcu r. 1929.

Rząd drogą szczęśliwych zarządzeń prawodawczych popierał zrzeszenie i zlewanie się przedsiębiorstw, aby uczynić je bardziej wydajnemi pod względem gospodarczym; tymczasem przedsiębiorstwa mniej odporne czy lekkomyślne uległy w czasie procesu inflacji i deflacji waluty pożądanej selekcji.

Przechodząc do rozważenia najważniejszych gałęzi przemysłu, zaznaczamy, że wartość produkcji kopalń i torfowisk, pokładów i przemysłu metalurgicznego podniosła się (licząc według cen z r. 1913) z 431 miljonów lirów w r. 1913 na 755.5 miljonów lirów w r. 1929, z przyrostem 75.23%, gdy tymczasem przyrost od r. 1922 (370.5 miljonów) do r. 1929 wynosił 103.9%.

Wyrób żelaza lanego i stali przedstawia się jak następuje (w miljonach tonn):

	1910–14	1922	1927	1929
Żelazo lane	370	158	489	672
Stal	973	1.046	1.721	2.133

Stan produkcji żelaza i stali jest szczególnie znamienny, ponieważ stanowi wymowny dowód ożycia działalności gospodarczej, która wyraża się w podjęciu na nowo instalacyj stałych i ruchomego materjału kolejowego, we wzroście przemysłu budowlanego, samochodowego, okrętowego i przemysłu mechanicznego wogóle.

Włoski przemysł samochodowy, z którego 50% idzie na wywóz, oszacowano w r. 1928 na przeszło 55.000 maszyn.

Przemysł tkacki należy do najważniejszych wogóle we Włoszech.

Przemysł bawełniany rozporządza 5.4 miljonami maszyn przędzalniczych (4.6 w r. 1912 i w r. 1921), 798.700 wrzecion do skręcania (677.061 w r. 1921), przeszło 150 tysiącami tkackich warsztatów mechanicznych (122.506 w r. 1921), 20—25

tysiącami warsztatów ręcznych, 160 tysiącami maszyn drukarskich. Przemysł ten, nie licząc trykotarstwa, zatrudnia 240 tysięcy robotników.

Wywóz wyrobów przędzalniczych i tkanin, stanowiący jeden z podstawowych działów wywozu włoskiego, podniósł się bardzo wydatnie.

Obliczyliśmy wartość najważniejszych materjałów włókienniczych (wełna, bawełna surowa, len czesany, konopie czesane, juta czesana i surowa) zużytych przez przemysł włoski w latach 1911—1929, i okazało się, że wartość ich (według cen z r. 1928) jest w r. 1929 (4.024 miljonów) o 41.2% wyższa w porównaniu z trzechleciem 1911—1913 (2.613 miljonów), i że zużycie wzrasta z roku na rok. W r. 1922 (2.622 milj.) wartość była o 8% niższa niż w latach 1911—1913.

Produkcja naturalnego jedwabiu, aczkolwiek ta gałąź przemysłu od lat przeżywa kryzys skutkiem silnej konkurencji zagranicznej, podnosi się wyraźnie od r. 1922 do 1929 (29.8%). Od 50.350 centnarów przecięciowo w pięcioleciu 1909—1913 wytwórczość przeszła do 39.898 w r. 1922 a do 51.800 w r. 1929.

Wyrób sztucznego jedwabiu włoskiego stanowi w r. 1929 25% całej produkcji europejskiej. Podniósł się on od 4.8 miljonów kilogramów w 1923 r. do 32.3 miljonów w r. 1929, a wywóz od 2.7 miljonów w 1923 r. do 19.5 miljonów w r. 1929.

Włochy zajmują trzecie miejsce na świecie w kolejności państw-wytwórców energji elektrycznej. Ogólną siłę instalacyj na początku r. 1930 oszacowano na 3.5 miljonów kilowatów.

Przyrost roczny będącej w użyciu energji był od 158.000 kilowatów w r. 1925 do 450.000 kilowatów w r. 1928.

Szczególnie godny uwagi jest rozwój włoskiego przemysłu chemicznego, który ograniczony przed wojną do kilku zaledwie gałęzi, podczas zawieruchy światowej rozrósł się ogromnie, aby nabrać niezmiernego znaczenia w latach od 1922 do 1929. I tak np. produkcja roczna kwasu siarkowego podniosła się od 7.1 miljonów centnarów w r. 1922 do 12.15 w r. 1927.

Wskaźnik rozwoju, jaki wykazuje wyrób superfosfatu, da się wyprowadzić z cyfr zużycia, któreśmy podali, mówiąc o rolnictwie włoskiem.

Świetny rozwój wykazał wyrób barwników organicznych i syntetycznych.

Cała ta wytężona praca odbywa się we Włoszech składnie i karnie. Organizacje syndykalistyczne czuwają nad zawieraniem zbiorowych umów robotniczych i rozstrzyganiem sporów, nie uciekając się do strajków ani sabotażu. Państwo faszystowskie nie wgląda w samą produkcję, jednak ma dozór nad wszystkiem, co się dzieje w przemyśle, popiera jego rozwój, a inicjatywę prywatną uważa za najskuteczniejszy bodziec ze stanowiska interesu narodowego.

Pomimo że ograniczenie wychodźtwa zatrzymało w kraju dużą liczbę robotników, którzy dawniej znajdowali zarobek zagranicą, bezrobocie we Włoszech wyraźnie spadło.

W 1922 r. liczono przeszło 407.364 bezrobotnych, w 1929 r. 300.788; znikome to cyfry, jeżeli je zestawimy z liczbą ludności i z bezrobociem w innych państwach.

Wzrost produkcji przyczynił się, rzecz naturalna, do utrzymania niskiego stanu bezrobocia, jednocześnie zaś rząd zwalczał z powodzeniem bezrobocie, organizując w racjonalny sposób emigrację wewnętrzną, wprowadzając imponującą politykę w zakresie robót publicznych i ogólnej meljoracji.

Handel. O stanie naszego handlu zagranicznego pouczą następujące cyfry (w miljonach dzisiejszych lirów).

Wartość przywozu i wywozu

Rok	Przywóz	Wywóz	Przewyżka przywozu nad wywozem	% wywozu nad przywozem
1903—1913	12.533	8.115	4.418	64.7
1920	32.045	14.068	17.955	43.9
1921	15 264	7.708	7.556	50.5
1922	14.151	8.347	5 804	59.0
1923	15.003	9.682	5.321	64.5
1924	16.028	11.884	4.144	74.1
1925	19 847	13.846	.6.001	69.8
1926	19.130	13.799	5.331	72.1
1927	16.689	15.084	4.605	76.6
1928	21.920	14.529	7.391	66.3
1929	21.300	14.889	6.411	69.9

Wynika stąd, że skala wymiany z zagranicą wyraźnie się podniosła, co wskazuje rozwój wytwórczości i zużycia, oraz zdolność do dalszego rozwoju.

Spadek w latach 1928—1929 jest dość znaczny w porównaniu z poprzedniemi latami, nie zaszkodzi jednak zwrócić uwagę, że pozostaje to w związku z wyjątkowem zwiększaniem się przywozu, a nie ze zmniejszeniem się wywozu.

W poniższej tabliczce mamy kilka danych (1909—13 = 100) co do wzrostu wartości (wszystko w stosunku do dzisiejszych lirów) przywozu i wywozu najważniejszych przedmiotów włoskiego handlu zagranicznego.

	Przywóz				Wywóz			
	1909—1913	1922	1927	1929	1909—1913	1922	1927	1929
Ogółem	100	112.9	152.6	170.—	100	102.9	185.9	183.5
Surowce dla przemysłu .	100	100.9	156.9	172.1	100	89.3	155.8	139.3
Produkty napół obrobione	100	119.8	174.9	189.1	100	118.7	160.—	152.6
„ gotowe . . .	100	70.9	105·5	141.3	100	115 2	247.8	263 6
Artykuły spożywcze i żywy inwentarz . . .	100	178.—	201.8	182.1	100	82.6	160.3	150.7

Wzrostowi stosunków wymiennych z zagranicą odpowiada wzmożenie się ruchu handlowego w kraju, z niem zaś wiąże się ogólna poprawa wewnętrznego rynku.

Tonnaż towarów przewożonych kolejami państwowemi podnosił się ustawicznie, cośmy już mieli sposobność zaznaczyć. Liczba podróżnych na kolejach państwowych podnosi się od 94 miljonów w r. 1914 — do 96.4 w r. 1922, a do 116.9 w r. 1929. W r. 1929 liczba podróżnych jest o 24.3% wyższa niż w r. 1913.

Ogólny ładunek towarów, przewiezionych kolejami, wykazuje w r. 1929 (64.5 miljonów tonn) w porównaniu z latami 1912—1914 (41.42 miljonów tonn) przyrost 55.7%; w porównaniu z r. 1922 (41.7 miljonów tonn) przyrost wynosi 54.7%.

Obsługa telefoniczna, po ustąpieniu przedsiębiorstwa prywatnego (co stało się w r. 1925), wykazuje wyjątkowy wzrost: liczba abonentów, wynosząca w r. 1924 — 138.659, podskakuje w r. 1929 do 230.866, a liczba central automatycznych (12 z 44.760 numerami w lipcu 1925 r.), do 83 w 1929 r. z 166.321 numerami.

Kredyt, finanse i oszczędności. Budżet państwa włoskiego w okresie sprawozdawczym 1921—1922 przedstawiał

niedobór w wysokości 13.7 miljardów, w latach 1924—1925 zaczął dawać szereg nadwyżek, które trwały aż do ostatniego roku sprawozdawczego, zamkniętego 30 czerwca 1929 r. z saldem 382 miljonów.

Cyfry wpływów, wydatków i odpowiednich nadwyżek podane są na poniższej tablicy:

Lata	Wpływy		Wydatki		+ nadwyżka — niedobór
	Liczby absolutne	Wskaźniki	Liczby absolutne	Wskaźniki	
1913—1914	9.437	100.—	10.038	100.—	— 601
1921—1922	17.462	185.03	31.157	310.39	— 13.695
1922—1923	16.942	179.52	19.635	195.61	— 2693
1923—1924	17.399	184.37	17.746	176.75	— 347
1924—1925	16.490	174.73	16.158	160.97	+ 332
1925—1926	15.843	167.88	15.494	154 35	+ 349
1926—1927	17.246	182.75	16.895	168.31	+ 351
1927—1928	20.432	216.51	19.926	198.50	+ 506
1928—1929	20.099	212.98	19.717	196.42	+ 382

Budżet kolei państwowych, po latach zatrważających deficytów, zaczyna z latami 1924—1925 wykazywać dochody, jak to widzimy z następujących cyfr (miljony dzisiejszych lirów):

Nadwyżka (+) albo niedobór (—) kolei państwowych

1913—1914	+ 103	1924—1925	+ 141
1919—1920	— 1.336	1925—1926	+ 281
1920—1921	— 1.060	1926—1927	+ 125
1921—1922	— 1.244	1927—1928	+ 112
1922—1923	— 912	1928—1929	+ 207
1923—1924	— 341		

Musimy z naciskiem podkreślić fakt, że podczas kiedy obsługa kolei włoskich poprawiła się niesłychanie w porównaniu z czasami przedwojennemi, personel zredukowano z 223.425 pracujących w r. 1922 do 161.300 w marcu 1930 r.

Co do polityki podatkowej rząd faszystowski postarał się o uproszczenie i o organiczne i racjonalne ułożenie włoskiego systemu podatkowego. Stawki podatków od majątku ruchomego, dawniej podzielone na rozmaite kategorje, sprowadzono do czterech zasadniczych kategoryj przedwojennych, a od

r. 1924 ustanowiono plan ich stopniowego zmniejszania, skutkiem czego stawki od dochodów z majątku ruchomego od roku 1924 do 1929 spadły z 25.6 na 20% od dochodów z czystego kapitału i z 20 na 16% od dochodów z kapitału i zarobków.

Uproszczono również i obniżono opłaty od gruntów i budynków[1] i zniesiono obowiązkowe opłaty od papierów wartościowych. Rozmaite drażniące podatki od „zbytku" i od kosztownych potraw zamieniono na ogólny podatek od wymiany handlowej; pozwolono zwalniać od podatków (od majątku ruchomego) procenta od pożyczek, zaciąganych zagranicą; zniesiono nadzwyczajny 15-procentowy podatek od dywidendy z akcyj, papierów wartościowych i premij wydawanych przez instytucje, prowincje, gminy; zniesiono podatek pobierany przy zlewaniu się towarzystw handlowych, aby ułatwić proces stopniowego koncentrowania się przemysłu, co rząd popierał w interesie oszczędniejszej i technicznie doskonalszej produkcji.

Gminom, które do czasów faszystowskich miały prawo nakładania dodatkowych opłat do podatków państwowych, odebrano to prawo w taki sposób, że stawki podatków gminnych zostały „zblokowane" i zatrzymane na wysokości, osiągniętej w r. 1924.

W r. 1930 zostały również zniesione gminne cła od artykułów spożywczych (akcyza), uciążliwa danina, utrudniająca swobodę ruchu towarów i handlu.

Z uproszczeniem podatków zbiegło się surowsze ich sprawdzanie i Mussolini osobiście zapowiedział krucjatę przeciw jednostkom, podchodzącym skarb, które określił jako najgorszych pasorzytów narodu.

Wpływy podniosły się znacznie i pozwoliły dokonać gospodarczej odbudowy Włoch.

Obniżenie stawek najważniejszych podatków, dzięki ściślejszemu sprawdzaniu dochodów i uproszczeniu opłat skarbowych, pozwoliło na widoczne powiększenie wpływów.

Obciążenie podatkowe włoskie znacznie się podniosło i dochodzi dzisiaj mniejwięcej do 25% dochodów. Przy tej sposob-

[1] Główny podatek gruntowy wynosił w 1914 r. 8.96%, w latach 1922—1924 wahał się pomiędzy 11.9 a 19.5%; po 1 lipca 1927 r. równał się 10%, następnie zaś obniżył się do 7.5%. Podatek od budynków wynosił w 1914 r. 16.50%, od 1 lipca 1927 r. został obniżony do 7.50%.

ności należy zauważyć, że tak wzrost wydatków, jak obciążenia podatkowego, jest zjawiskiem wspólnem wszystkim najważniejszym krajom europejskim, nie wyłączając narodów o wiele bogatszych aniżeli Włochy.

Zaznaczmy, że we Francji podatki od r. 1912 do 1927 podnoszą się z 3.8 do 46.1 miljardów fr., w Niemczech od 1913—14 do 1926—7 z 1.6 do 5.3 miljardów marek, w Anglji dochody państwowe podnoszą się z 163.2 miljonów funtów szterlingów w latach 1913—14 do 696.4 miljonów funtów szterl., które wpłynęły w okresie 1927—28.

W tych krajach obciążenie podatkowe, które przed wojną wynosiło 9—14%, wzrosło do 20—25%.

Na szybszą odbudowę i oszczędniejszą gospodarkę gmin wpłynęło zmniejszenie ich liczby z 9.195, jak było 1 grudnia 1921 r., do 7.308, istniejących obecnie. Pozwoliło to na zmniejszenie kosztów administracji gminnej i prowincjonalnej, a zarazem przygotowało doskonały grunt i korzystne warunki do coraz lepszego rozwoju na przyszłość.

Politykę finansową faszyzmu możemy streścić, jak następuje: skonsolidowanie długów wojennych, zredukowanie pożyczki wewnętrznej, skonsolidowanie długów krótkoterminowych i stabilizacja waluty — ostatni punkt jako jedyny sposób ustalenia gospodarki włoskiej. Uregulowanie i skonsolidowanie długów wojennych usunęło zmorę, która ciężyła dotkliwie nad finansami włoskiemi. Pożyczkę wewnętrzną amortyzuje się stopniowo zapomocą spłat rocznych, czem administruje Kasa amortyzacyjna, sprawująca swoje obowiązki autonomicznie. W latach 1927 i 1928 spalono 693.7 miljonów długu publicznego, a poczynając od r. 1930 będzie szło na jego amortyzację 500 miljonów rocznie, pobieranych ze zwiększonego podatku, nałożonego na zużycie tytoniu.

Wpływ z odszkodowań niemieckich wystarczy na pokrycie spłaty długów wojennych, pozostawiając jeszcze resztę do dyspozycji w kraju.

Dług bieżący włoski, który 30 czerwca 1924 r. wynosił 32.7 miljardów na ogólną sumę 93.2 miljardów wszystkich długów wewnętrznych, został w r. 1926 zamieniony na dług skonsolidowany.

Ustalenie waluty włoskiej opiera się dziś na tak mocnych podstawach, że rząd zdecydował się w pierwszych miesiącach

1930 r. znieść ograniczenia, jakie po stabilizacji lira, w r. 1927, obowiązywały jeszcze przy kupnie i sprzedaży waluty zagranicznej, a wprowadzone były ze względów ostrożności w związku z następstwami rewaloryzacji lira.

Zapas złota włoskiego dnia 31 grudnia 1929 r. równał się 51.4% obiegu, co wybitnie przewyższało prawną granicę pokrycia (40%).

Kurs dolara utrzymał się w granicach: 19.10 za 1 dolar.

Jako wskaźniki stanu oszczędności podajemy następujące cyfry (w miljonach dzisiejszych lirów), odpowiadające stanowi depozytów w dniu 31 grudnia każdego roku w kilku głównych bankach zwyczajnych i kasach oszczędności zwykłych i pocztowych:

Depozyty oszczędnościowe

Dnia 31 grudnia	Główne banki zwyczajne	Kasy oszczędności	Pocztowe kasy oszczędności	Ogółem Liry	Wskaźniki
1913	2.145.6	10.006.3	7.734.4	19.886.3	100.—
1920	2 806.9	7.969.6	8.340.1	19.116.6	96.13
1921	2.525.0	7.440 9	7.588.6	17.554.5	88.27
1922	2.221.8	8.342.2	7.826.7	18.390.7	92.48
1923	2.395.1	9.232.8	7.925.2	19.553.1	98.32
1924	2.753.1	10.106.4	8.196.9	21.056.4	105.88
1925	2.446.6	9.672.7	8.045.8	20.165.1	101.40
1926	2.347.6	9.611.4	7.854.8	19.813.8	99.64
1927	3.271.5	13.418 4	9.782.7	26.472.6	133.12
1928	3.805.9	15.626.2	10.826.1	30.258.2	152.15
1929	3.901.0	16.361 6	11.377.2	31.639.8	159.10

Widzimy, że aż do r. 1926 cyfry, pomimo przyrostu ludności, utrzymują się poniżej, albo mało co wyżej od poziomu z r. 1913. Dopiero po przewalutowaniu monety zaufanie do lira rozpoczyna raptowny wzrost, tak że w r. 1929 nadwyżka w porównaniu z r. 1913 stanowi 59%.

Pomimo, że forma składania i umieszczania oszczędności bardzo się zmieniła w zestawieniu z czasami przedwojennemi, z powodu większej znacznie rozmaitości lokat, niemniej wykazany przyrost stanowi doskonały objaw obecnego położenia gospodarczego Włoch.

Roboty publiczne. Rząd faszystowski od 1 października 1922 r. do 31 marca 1930 r. wydatkował na roboty publiczne 12.362 miljonów lirów, a mianowicie:

	miljonów lirów
Na budowę kolei	2.093
Na drogi	1.986
Na urządzenia wodne	1.499
Na roboty morskie	935
Na odszkodowania po trzęsieniach ziemi	823
Na meljoracje	700
Na koleje prywatne dla potrzeb przemysłu, tramwaje i obsługę samochodową	627
Na sprawy budowlane	547
Na odszkodowania wojenne	448
Na tanie domy i domy ludowe	384
Na pomoc po powodziach, osypaniach się gór i t. p.	358
Na różne wydatki	388

Z tego imponującego spisu wydatków największa suma (zgórą 6 miljardów) poszła na rzecz najbardziej potrzebujących pomocy okolic południowych.

Rząd faszystowski stworzył Urząd drogowy, aby rozwinąć drogową sieć włoską, ulepszyć jej regulację i utrzymanie. Sieć dróg pierwszorzędnych dochodzi dziś we Włoszech do długości 20.800 km, sieć dróg prowincjonalnych wynosi 41.260 km.

Poprawa stanu dróg włoskich wzbudza podziw u wszystkich cudzoziemców, którzy zwiedzają Italję.

Znaczne sumy poszły na rozbudowę i regulację główniejszych portów: 200 miljonów na Genuę, 175 na Wenecję, 85 na Livorno, 200 na Neapol, 175 na Palermo i t. p.

Z najważniejszych linij kolejowych, ukończonych w ostatnich czasach, należy wymienić bezpośrednie połączenie Rzym—Neapol, długości 216 km, które kosztowało 650 miljonów lirów.

Doniosłą pracę, dalej, wzięło na siebie państwo, aby ułatwić rozwój budownictwa po wsiach i budowę domów ludowych po wielkich miastach. Ogólna suma pożyczek, udzielonych przez Kasę Depozytową i Pożyczkową i przez inne instytucje finansowe na rozwiązanie sprawy budowlanej doszła do 2.806 miljonów.

Okolice zniszczone przez wojnę, zostały całkowicie odbudowane.

*

Aby lepiej zorjentować się w podanych tutaj wiadomościach, należy sobie uprzytomnić, że wojna zaskoczyła

Włochy w okresie szczególnie sprzyjającym ich rozwojowi gospodarczemu.

W rzeczy samej po długim i trudnym okresie milczącego i wytrwałego przygotowywania się, rolnictwo, dzięki stosowaniu coraz lepszych środków uprawy i poprzez ciągłe naturalne wahania, zależne od czynników meteorologicznych, powiększyło swoją produkcję; przemysł, urabiając się na wzorach krajów wyżej stojących pod względem industrjalizacji, rozwijał się w szybkiem tempie; handel, doskonaląc się i przystosowując odpowiednio swoją organizację, szedł naprzód; stosunki z zagranicą zacieśniały się; spożycie podnosiło się ilościowo i jakościowo.

Nawet przesilenia przemysłowe, które w ostatnich piętnastu latach przed wojną światową nękały kraje przemysłowe, słabo tylko dotykało Włochy, mające jeszcze przeważnie charakter kraju rolniczego.

Wojna brutalnie przecina ten pochód, stawia przed dalszym rozwojem ciężkie przeszkody i niweczy dużo wyników, osiągniętych po długich latach wytężonych wysileń.

Po zwycięstwie, nie odbiegając w głównych zarysach od innych krajów Europy zachodniej i środkowej, wyczerpanie gospodarcze Włoch, jeżeli zważymy ich wcale nie pierwszorzędne bogactwo, przybiera postać groźniejszą niż gdzieindziej, i doprowadza do manifestacyj, godzących w samo ich istnienie. Dezorganizacja ekonomiczna, chaos finansowy, walki polityczne i bezrobocia bez końca, oto cechy Włoch odziedziczone przez faszyzm.

Faszyzm dochodzi do władzy i stopniowo porządek powraca, praca wzmaga się, wytwórczość wzrasta, wymiana ożywia się, stopa życia się podnosi i znowu zaczynają się gromadzić oszczędności. Objawy tego odżycia dają się wyczuwać z roku na rok i w miarę, jak się rozwija energiczna działalność rządu faszystowskiego. Przywrócenie karności w pracy wyraża się wśród klasy robotniczej przez lepsze zarobki siły roboczej, a wśród przedsiębiorców przez ciągły rozwój inicjatywy i przedsięwzięć.

Cały ten jednak zapał do pracy wymagał stałej waluty. Nie można pojąć zdrowej gospodarki bez stałego wspólnego mianownika wymiany. Trzeba było usunąć ten czynnik zamętu

i w grudniu 1927 r. lir został stabilizowany. W ten sposób życie Włoch przeszło z okresu niestałości, niepewności i wytężonej spekulacji w nowy okres ustalenia, bezpieczeństwa i produktywnej pracy.

Rewaloryzacja i idąca za nią stabilizacja lira wywołały niewątpliwie wstrząsy w gospodarce przedsiębiorstw, ale po okresie mozolnego układania się stosunków w roku 1928, rok 1929 wykazuje już znaczną poprawę.

W ten sposób przeżywają Włochy szybko okres powrotu do normalnych stosunków, a jakkolwiek w r. 1930 odbija się dotkliwie na gospodarce włoskiej niekorzystna międzynarodowa konjunktura ekonomiczna, której dalszy ciąg i trwanie trudno przewidzieć, to przecie rozumny i jednolity kierunek gospodarczy, w ramach uregulowanego i sprawnego systemu, pozwala wnioskować, że i ten okres, uciążliwy dla wszystkich krajów, zostanie we Włoszech łatwo i szczęśliwie pokonany.

ARALDO DI CROLLALANZA
Minister Robót Publicznych

BUDOWA DRÓG PUBLICZNYCH W FASZYSTOWSKICH WŁOSZECH

Wśród wielkich czynów, dokonanych przez ustrój faszystowski w dziedzinie robót publicznych i uregulowania w duchu nowoczesnym urządzeń państwowych, jedno z naczelnych miejsc zajmuje rozbudowa dróg publicznych.

W tym zakresie spadek, odziedziczony po rządach liberalnych i demokratycznych, równał się wręcz bankructwu.

Włochy, które za pierwszych rozbrzasków Risorgimenta mogły się uważać za przodujące Europie pod względem imponującego rozwoju i piękności swojej schedy drogowej, w istocie godnej tradycyj konsularnych, po sześćdziesięciu latach życia narodowego nietylko nie zdołały sprostać wymaganiom postępu i nowym gospodarczym i społecznym potrzebom kraju, nietylko nie potrafiły wypełnić luk, wynikłych z nowego układu politycznych, historycznych i geograficznych stosunków ojczyzny, ale ze stałą niesumiennością zaniedbywały drogi, a potem już wprost nie chciały nic wiedzieć o sprawie dróg, rozumianej organicznie, jako system nerwowy życia narodowego, uważając go, w dużej mierze, za zepchnięty na drugi plan przez rozwój kolejnictwa.

Temu to błędnemu postawieniu sprawy przypisać należy w znacznej części, że stan dróg, zamiast poprawiać się, pogarszał się coraz bardziej, a ostatnio roboty, które powinny były uzupełniać istniejącą ich sieć, były raczej wyrazem kompromisu parlamentarnego aniżeli wynikiem trafnej oceny potrzeb narodowych.

Samo prawodawstwo drogowe miało jedną stałą troskę żądać od instytucyj prowincjonalnych świadczeń, które, przynajmniej o ile idzie o wielkie arterje, powinny być zazdrośnie strzeżonym przywilejem państwa.

Wszystko to, rzecz prosta, nie mogło na dalszą metę nie pociągnąć za sobą opłakanych następstw. Położenie pogorszało się stopniowo, aż wreszcie cios ostateczny zadała mu wojna.

Po zawieszeniu broni rządząca demagogja, aby uporać się z bezrobociem i skaptować sobie masy, przystąpiła do wzmożonej budowy dróg, roboty te jednak, planowane i wykonywane dorywczo i bez dostatecznych środków, do tego stopnia, że w niektórych wypadkach trzeba je było przerywać, stały się nowem źródłem zaostrzenia sytuacji.

Rozwój trakcji mechanicznej i jej nieuniknione wymagania musiały także skądinąd wpłynąć na odmienne rozwiązanie sprawy.

WZNOWIENIE PRAC BUDOWLANYCH

Z przyjściem do władzy faszyzmu droga — pierwszy czynnik życia publicznego narodu — stała się znowu przedmiotem troski i zabiegów ze strony rządu.

Położenie, jak łatwo zrozumieć, przedstawiało się w sposób tak poważny i zagmatwany, że rząd nie był w stanie jednym zamachem ująć go w całej rozciągłości.

Główne luki i niedobory były dwojakiego rodzaju: co do stanu utrzymania dróg i co do ich rozbudowy.

Pierwszemu zadaniu — mniej zaognionemu w owej epoce — starała się zaradzić ustawa Carnazzy, która, zmieniając rozporządzenia z dnia 20 marca 1865, dzielące drogi na narodowe, prowincjonalne i gminne, wprowadziła nowy porządek, mocą którego drogi, zależnie od ważności, zostały podzielone na kilka klas. Do pierwszej zaliczono główne gościńce, to jest takie, o których można powiedzieć, że odgrywają pierwszorzędną rolę w życiu narodowem.

Jednakowoż ta reforma, na której bardzo prędko odbił się brak oparcia finansowego, i która, poza drogami pierwszego rzędu, powierzonemi na rachunek państwa prowincjom, nie znalazła nigdy prawdziwego zastosowania, bardzo prędko okazała się nieodpowiednią dla celów, jakie sobie postawiła.

Do zaradzenia drugiej kategorji braków i niedoborów — to jest dotyczących rozbudowy — rząd faszystowski przystąpił natychmiast w pierwszych latach po swojem dojściu do władzy z aparatem odpowiednich środków i ze szczególną starannością.

Zgodnie z całą swą odrodzeńczą pracą dla Południa — środka ciężkości polityki ustroju w zakresie robót publicznych — państwo, bądź to bezpośrednio, biorąc całą sprawę na swoje barki, bądź też wyznaczając pokaźne środki na rzecz lokalnych instytucyj, przykładało się coraz wyraźniej do rozbudowy dróg, łącząc coraz lepiej rozmaite okolice między sobą i uzupełniając — zawsze z myślą o całości — wielką sieć komunikacji drogowej.

Aby dać wyobrażenie o wysiłku, naprawdę nie byle jakim, dokonanym przez faszyzm w tej dziedzinie, zaznaczę, że ostatnia statystyka wykazuje przyrost 2.287 kilometrów dróg, zbudowanych przez państwo, a 2.726 klm. dróg, zbudowanych przez władze lokalne przy pomocy rządowej. Naogół od Marszu na Rzym do rozpoczęcia obecnie prowadzonych robót zbudowano około 5.000 kilometrów dróg, z czego 894 w Kalabrji, 555 na Sycylji, 472 na Sardynji, 515 w Abruzzach i Molise, 337 w Emilji. Około trzy tysiące nowych szlaków przypada na Południe i na wyspy.

Przystąpiono dalej do zbudowania specjalnych dróg dla samochodów *(autostrade)*, genjalnego wynalazku technicznego naszego kraju, który zawdzięczamy szczególnym warunkom ekonomicznym czy turystycznym niektórych okolic.

Dotychczas zbudowano następujące drogi samochodowe: Medjolan — jeziora (83 km.), Medjolan — Bergamo (48 km.), Neapol — Pompei (21 km.). Daleko posunięte są już roboty: Florencja — Viareggio (83 km.), a w tych dniach zaczęto budować gościńce Turyn — Medjolan i Padwa — Wenecja.

Jak widzimy ustrój faszystowski, godny spadkobierca tradycji rzymskiej, nie żałował środków na coraz szerszą rozbudowę sieci drogowej i na postawienie jej na poziomie dnia, w zgodzie z wysokiemi wymaganiami gospodarczemi i społecznemi.

Co więcej, można powiedzieć, że dopiero w ostatnich czasach, po upływie sześćdziesięciu lat, zabraliśmy się naprawdę do uregulowania rozbudowy dróg, mając na oku całość zagadnienia.

Wszelako aż do zeszłego roku bardzo mało zrobiono dla ochrony i należytego utrzymania dróg.

STWORZENIE URZĘDU DROGOWEGO

Sprawa, z niektórych punktów widzenia, obróciła się na gorsze, ponieważ kiedy z jednej strony, w miarę nowych robót,

powiększał się stan posiadania, a razem z rozwojem automobilizmu, coraz częstsze stawały się przyczyny uszkodzeń, z drugiej strony środki materjalne pozostawały bez zmiany.

Poza kilkoma chwalebnemi wyjątkami w paru prowincjach — miło mi wymienić między niemi Medjolan i Bolonję — sieć drogowa w wielu okolicach stała się poprostu nie do użytku.

Zagranicą, przeciwnie, narody wyżej stojące coraz usilniej dbały o stan swoich dróg, aby uczynić je odpowiedniemi do nowoczesnego ruchu.

Różnica pomiędzy Włochami a innemi krajami stawała się wciąż jaskrawsza.

To też z woli Prezesa ministrów, ustawą z dnia 17 maja 1928 r. stworzono samodzielny Urząd drogowy *(Azienda autonoma della strada),* pierwszy organiczny i szczęśliwy krok ku odrodzeniu imponującej sieci drogowej kraju, dzisiaj rozrosłej do przeszło 150 tysięcy kilometrów.

Środki materjalne Urzędu zapewnione są dzięki trzem rodzajom wpływów:

1) Z funduszów stałych, wyznaczonych przez państwo, wysokości 18 miljonów rocznie;

2) z opłaty drogowej, pobieranej od samochodów, i z podatku na meljorację dróg, który ciągle wzrasta, i który za ubiegły okres wynosił 150 miljonów;

3) z dochodów rozmaitych wpływających z takich opłat, jak koncesje, kary za przekroczenia, taksy od reklam i t. d., co da domniemaną sumę 10 miljonów.

Wobec takich dochodów, Urząd — który pozostaje w bezpośredniej zależności od ministra robót publicznych, ma swoją radę administracyjną, a prowadzony jest przez inżyniera Pio Galletti — musi, poza wszystkiemi wydatkami, obracanemi na własną działalność i na milicję drogową, wziąć jeszcze na siebie następujące zadania:

a) zwyczajne utrzymanie normalnej sieci dróg państwowych (21.600 km.). Na świadczenia tego rodzaju przewidziany jest wydatek roczny przeszło 200 miljonów, wliczając w to, rozumie się, pensje dróżników;

b) roboty nadzwyczajne; przewidziany tu jest wydatek przeciętnie 40 miljonów rocznie;

c) ogólna regulacja sieci drogowej; dla pierwszej grupy robót regulacyjnych, obejmującej 6.000 km., przewidziany jest budżet płynny w czterech ratach, na ogólną sumę miljarda 400 miljonów.

Owe sześć tysięcy kilometrów, zgodnie z pierwotnym programem gospodarki, miały być uregulowane do końca roku 1934, prawdopodobne jest jednak — zależnie od możliwości finansowych — że zostaną nawet ukończone wcześniej.

Urząd rozpoczął prace ze swojemi biurami centralnemi i prowincjonalnemi, dzięki zdumiewającej i niespożytej energji dawnego ministra robót publicznych, Giuriatiego, dnia 1 lipca 1928.

Pierwszym jego czynem było przeniesienie dróg państwowych, pozostających w zawiadywaniu administracyj prowincjonalnych i urzędów inżynierji cywilnej, na etat państwa.

Wszystkie zarządzenia wydano w ciągu grudnia 1928.

W tym samym czasie polecono natychmiastowe wdrożenie pierwszej części wymienionego programu ogólnej regulacji.

REGULACJA DRÓG

Na podstawie rozpisanych konkursów bardzo szybko przystąpiono do wykonywania 27 projektów regulacyjnych, z nawierzchniami trwałemi i pół-trwałemi (asfalt, cement, porfir, makadam i t. d.) w rozciągłości 1.319 kilometrów, kosztem 317 miljonów lirów.

Roboty te, bardzo posunięte, niektóre nawet bliskie ukończenia, są następujące:

Nazwa drogi:	Przestrzeń:	Rozległość w metrach:
Aurelia	Rzym — Civitavecchia	65.330
Cassia	Rzym — Viterbo	76.440
Flaminia	Rzym — Civitacastellana	48.000
Salaria	Rzym — Rieti	80.435
Tiburtina	Rzym — odnoga do drogi Sublacense	52.150
Casilina	Rzym — odnoga do San Cesareo	23.200
Casilina	Odnoga przez S. Cesareo — odnoga do San Pietro Infine	121.455
Appia	Rzym — Velletri	35.000
Aurelia	S. Remo — Ponte S. Luigi (granica włosko-francuska)	20.000
Emilia	Medjolan — Piacenza	55.210
	Do przeniesienia	577.220

Nazwa drogi:	Przestrzeń:	Rozległość w metrach:
	Z przeniesienia	577.220
Padana Inferiore	Torrente Bardonezza — P. L. di Croce S. Spirito	45.300
Padana Inferiore i Dei Giovi	Granica prow. Aleksandrja — granica prow. Piacenza — Casteggio — granica Medjolańska	67.048
Dei Giovi	Granica Pawijska — granica Comeńska	38.850
Dei Giovi	Werona — Mestre	106.800
Adriatica	Monselice — Ferrara	54.000
Pontebbana	P. L. Terraglio — Ponte na Dese i Treviso — Portogruaro	75.666
Postumia-Adriatica	Cattolica — Cmentarz w Rimini i Celle — Forli	62.860
Emilia	Ponte Idice — Borgo Panigale Scala	8.348
Emilia	S. Anna Castelfranco—Portoni S. Lazzaro w Parmie	56.435
Emilia	Parma — Piacenza i Fidenza — Salsomaggiore	62.000
Emilia	Cattolica — Fano	29.000
Adriatica	Odnoga S. Pietro Infine — Spartimento d'Abruzzo	41.000
Appia	Teverola — Secondigliano	13.000
Orientale Sicula	Tremestieri — Ali Marina	17.400
Orientale Sicula	Giardini — Acireale	27.000
Orientale Sicula	Acireale — Katanja	10.000
Settentrionale Sicula	Palermo — Borgata Romagnolo — S. Nicola	26.400
	Razem	1,318.327

Obok wymienionych prac regulacyjnych, zarządzono w tym samym czasie inne, na sumę przeszło 70 miljonów, w związku z potrzebami wzmożonego ruchu na niektórych odcinkach dróg, niezależnie od 190 miljonów, po wyłączeniu wydatków na dróżników, przeznaczonych na koszta zwykłego utrzymania.

W ciągu obecnych robót, w związku z programem regulacji pierwszych 6 tysięcy kilometrów, zaprojektowano i oddano zapomocą ofert najbardziej odpowiednim firmom do regulacji następnych 1912 kilometrów z wkładem 426.822.000 lirów i ze spłatą rozłożoną na lat piętnaście.

Te roboty, w tej chwili rozdawane, bliskie rozpoczęcia a które mają być ukończone w terminie najwyżej 18 miesięcy, są następujące:

Nazwa drogi:	Przestrzeń:	Rozległość w metrach:
Aurelia	San Remo — Genua	127.200
Aurelia	Sestri Levante — Sarzana	73.100
Aurelia	Cecina — Sarzana	114.700
Aurelia	Od odnogi przez Fellonica do P. L. Gorarella koło Grosseto	48.000
Aurelia	Montalto di Castro — Civitavecchia	38.000
Appia	Spartimento Abruzzi — Teverola	20.400
Tirrena Inferiore	Neapol — Battipaglia	63.500
Tirrena Inferiore	Bivio Mastro Elia — Reggio Calabria	138.200
Delle Calabrie	Cosenza — Bivio Mastro Elia	94.000
Di Gioia del Colle		63.200
Appia		20.700
Adriatica	Foggia — Bari — Lecce	268.700
Barese	Bari — Modugno	7.900
Abetone-Brennero	Granica prow. Werony — Bolzano	114.000
Abetone-Brennero	Bolzano — Brennero	79.100
Del Sempione	Stresa — Symplon	62.100
Lago Maggiore	Gravellona — Granica włosko-szwajcarska	40.000
Dello Spluga	Od granicy Medjolanu — Como do Chiavenny	108.800
Padana Superiore	Medjolan — Granica Medjolan — Bergamo	25.500
Padana Inferiore — Dei Giovi	Aleksandrja — gran. z Pawją — Tortona — Genua i odgałęzienie Serravalle — Spinetta	78.000
Tosco-Romagnola	Florencja — Piza	79.600
Cassia	Florencja — Siena	66.000
Porretana	Ponte Reno — Ferrara	14.800
Sicula Settentrionale	S. Nicola — Stacja Cefalù	46 800
Sicula Orientale	Ali Marina — Giardini	28.500
Arborense i Sarda Occidentale	Cagliari — Oristano	90.800
	Razem	1,911 600

Podobnie i na roboty, będące obecnie w toku, przewidziany jest wydatek 30 miljonów lirów na naprawy nadzwyczajne, oraz 170 miljonów na zwyczajne utrzymanie, poza 32 miljonami przeznaczonemi dla dróżników.

OBCIĄŻENIE FINANSOWE

W sumie Urząd drogowy, do dnia dzisiejszego, na roboty w okresie 1928—1929 i 1929—1930 zaangażował na ogólną regulację (wybrukowanie trwałe i pół-trwałe) 743,822.000 lirów

dla przestrzeni 3.331 kilometrów, z czego roboty na 300 miljonów są już w toku, a inne w najbliższym czasie będą rozpoczęte. Nadto zalecono wykonać naprawy nadzwyczajne na sumę mniej więcej 80 miljonów.

Uregulowano, na skutek specjalnych zarządzeń, 1820 kilometrów, z których 1766 dostało nawierzchnie pół trwałe, a 62 nawierzchnie trwałe.

Urząd zatrudniał dotychczas przecięciowo 40.000 robotników dziennie, z chwilą rozpoczęcia najbliższych robót liczba ta wzrośnie mniej więcej do 60.000.

Jeżeli zaliczymy roboty, będące obecnie w biegu, wśród których część jest już ukończona, i inne, już powierzone firmom, będziemy mogli powiedzieć, że od dzisiaj w ciągu 18 miesięcy Urząd drogowy ostatecznie ureguluje — w sposób zastosowany do wymagań nowoczesnego ruchu, t. j. z zupełnem usunięciem kurzu i błota — cały trakt tyrreński od Ventimiglia do Reggio Calabria; system dróg w promieniu 50 km. dookoła Rzymu; trakty: Medjolan—Piacenza—Bolonja—Fano; Foggia—Bari—Lecce; Bolonja—Padwa; Werona—Wenecja—Portogruaro; Werona—Brenner; Medjolan—Chiavenna; Medjolan—Como; drogę Symplońską; Medjolan—Aleksandrja—Genua; Medjolan—Treviglio; Piza—Florencja i Florencja—Siena; Bari—Modugno; Bari—Taranto; Messyna—Katanja; Palermo—Cefalù; Cagliari—Oristano.

Wszystko to niezależnie od innych regulacyj, za pomocą smoły ziemnej i dziegciu, na setki i setki kilometrów, które udało się doprowadzić do doskonałego stanu, czerpiąc ze środków przeznaczonych na zwykłe utrzymanie, które więc tem samem nie należą do programu regulacji pierwszych 6.000 kilometrów.

W niespełna rok od chwili wzięcia w ręce sprawy dróg, Urząd, dzięki swoim technikom, dokonał rzeczy prawie nieprawdopodobnej, tak w centrum, jak na prowincji, co stanowi świetny sukces faszyzmu.

Ktokolwiek przejeżdża dzisiaj przez Włochy od Alp do morza Jońskiego i od Adrjatyku do morza Tyrreńskiego, napewno jest uderzony wszędzie gorączkowym rytmem pracy. Gdzie nie można przystąpić bezzwłocznie do ostatecznej regulacji, tam przynajmniej dba się w najwyższym stopniu o utrzymanie dróg w poprawnym stanie.

Naturalnie, że nie obywa się bez łatwych krytyk ze strony wiecznych malkontentów i ludzi, nie znających się na rzeczy dla których zawsze wszystko idzie za wolno.

Jedni i drudzy zapominają atoli, że możliwości finansowe mają swoje granice, że Włochy, na punkcie urządzeń drogowych, pozostawały o sporo lat wtyle poza narodami zasobnemi w środki materjalne i w surowce, że wreszcie konieczne było, aby technicy, robotnicy i przedsiębiorcy — poza nielicznemi wyjątkami — wyspecjalizowali się, a że warunki naszego kraju są odmienne, niż u narodów, które nas uprzedziły, doświadczenie wypadło robić na samych sobie.

Niemniej w rok po rozpoczęciu pierwszych robót, można z dumą stwierdzić, że eksperyment udał się w zupełności i że dzisiaj inżynierowie, robotnicy i przedsiębiorcy są całkowicie na wysokości zadania, jakie im powierzono.

Okres robót, jaki teraz się zacznie, będzie stanowił wielki krok naprzód i da miarę powodzenia, ku któremu Urząd dzisiaj energicznie zmierza.

Pocieszający jest fakt, że narody sąsiadujące z nami, które wcześniej od nas przystąpiły do regulacji dróg, patrzą na naszą gospodarkę państwową w tym zakresie jako na wzór godny naśladowania.

DROGI DRUGORZĘDNE

Ustrój nie zadowolił się jednak tylko pieczą nad państwową siecią gościńców, lecz od dłuższego już czasu prowadzi studja w celu zreformowania norm, dotyczących utrzymania dróg drugorzędnych, które zresztą przedstawiają prawie cztery piąte ogólnej sieci drogowej włoskiej.

Ustawa z dnia 17 maja 1928 roku, która utworzyła samodzielny Urząd drogowy, dała rządowi mandat do ułożenia przepisów dla nowego porządku prawnego i gospodarczego w zakresie dróg drugorzędnych.

Studja te, nadzwyczaj drobiazgowe, zostały nareszcie doprowadzone do końca przez Ministerstwo robót publicznych w porozumieniu z innemi zainteresowanemi ministerstwami i w uzgodnieniu z pracami Komisji opracowującej reformę podatkową dla instytucyj lokalnych.

Wnioski, do jakich doszła Komisja, badająca materjały w sprawie dróg drugorzędnych, zostały poparte przez odpowiedzi na rozmaite ankiety, skierowane do prefektów i władz prowincjonalnych.

Rozumie się, że jeżeli prowincje mają sprostać nałożonym na nie obowiązkom, należy je zaopatrzeć w większe środki materjalne.

Środki te, obliczane na sumę 300 miljonów rocznie, na zwykłą konserwację, a zgórą na sto miljonów na naprawy nadzwyczajne i na koszta wstępnych robót, mają wpłynąć do władz prowincjonalnych dzięki nowemu systemowi płatniczemu, który specjalna komisja, utworzona przy ministerstwie skarbu, w tej chwili opracowuje.

W myśl nowej reformy narodowa sieć dróg, jak to przedstawiłem w parlamencie, zarysowałaby się jak następuje:

1) Drogi państwowe *(Strade statali)*. Są to drogi oddane pod zawiadywanie autonomicznego Urzędu drogowego. Na ogólną długość 150 tysięcy km. sieci drogowej, oddanej do użytku publicznego, wynoszą one zaledwie 21.600 kilometrów.

2) Drogi prowincjonalne *(Strade provinciali)*. Obejmowałyby one: *a)* drogi stanowiące naogół proste połączenia między głównem miastem danej prowincji a głównemi miastami prowincyj sąsiednich; *b)* drogi biegnące od głównego miasta prowincji do głównych miasteczek; *c)* drogi, łączące bezpośrednio główne miasteczka między sobą, albo z portami morskiemi, portami na jeziorach i rzekach, ze stacjami kolejowemi, stacjami żeglugi powietrznej, przejściami górskiemi albo z drogami państwowemi; *d)* drogi łączące najważniejsze wsi prowincji z ich głównem miasteczkiem albo między sobą.

3) Drogi miejskie *(Strade urbane)*. Są to te, które biegną w obrębie miejscowości zamieszkanej, albo mogą uchodzić za ściśle z niemi związane.

4) Drogi wiejskie *(Strade rurali)*. Należą tu drogi o charakterze przeważnie polnym.

NA ŚLADACH DRÓG KONSULARNYCH

Drogi państwowe wziął już w ręce Urząd państwowy, nad prowincjonalnemi powinny czuwać administracje prowincjonalne, nad miejskiemi i wiejskiemi gminy.

Tak, w grubszym zarysie, przedstawiałby się nowy plan prawno-gospodarczy, dotyczący dróg drugorzędnych.

Nie jest przytém wykluczone, że przed ostatecznem wejściem w życie, nowa Ustawa może jeszcze ulec pewnym drobnym zmianom czy poprawkom.

W każdym razie możemy już dzisiaj twierdzić, że Ustawa położy kres niesłychanemu upadkowi, w jakim obecnie, w wielu prowincjach, znajdują się drogi drugorzędne.

Rząd faszystowski, który już tak wysoko postawił sprawę regulacji dróg państwowych, który lada chwila wyda nowe normy, dotyczące dróg drugiego rzędu, który pobudował tysiące kilometrów nowych traktów zwykłych i szos specjalnych (dla samochodów), który wydał nowe przepisy dla czuwania nad tym olbrzymim majątkiem, oraz dla ruchu jezdnych i pieszych, który stworzył milicję drogową *(la milizia della strada)* — ma prawo powiedzieć, że podjął to kolosalne zagadnienie w całej jego rozciągłości, i może z dumą uznać się za godnego spadkobiercę tradycji Rzymu.

Za kilka lat — możemy już być tego pewni — Włochy w zakresie dróg nie będą pod żadnym względem stać niżej od najbardziej zasobnych narodów świata.

BARON MARIO BARATELLI
Redaktor działu ekonomicznego rzymskiej „Tribuna"

OSIEM LAT FINANSÓW FASZYZMU

Aby wytworzyć sobie możliwie ścisły obraz i dokładną ocenę wyników, osiągniętych w ciągu ośmiu lat faszystowskiej polityki skarbowej, pożądane będzie nawrócić i poznać jej punkt wyjścia.

Mamy tu na myśli stan rzeczy, jaki faszyzm zastał, dochodząc do władzy. Włochy poczynając od r. 1911 prowadziły i wygrały dwie wojny, natychmiast po wielkiej wojnie przeszły nadzwyczaj poważne zaburzenia społeczne, a dzięki faszyzmowi zdusiły rewolucję bolszewicką, w chwili kiedy właśnie miała zatriumfować, grożąc zupełnym przewrotem państwowym. Panoszył się oczywisty bezrząd, o ile szło o pieniądz publiczny, który wydawano nie na to, aby narodowi zapewnić osiągnięcie własnych wyższych celów, ale na popieranie tej czy innej warstwy społecznej środkami nawskróś demagogicznemi. Składało się to wszystko na rodzaj gospodarczo-finansowego szpitala obłąkanych, z którego trzeba się było wydobyć możliwie jak najprędzej.

Inflacja i spadek wartości monety były, to trzeba w każdym razie przyznać, bezwzględną koniecznością, wywołaną przez wojnę.

Jeszcze przed naszem dobrowolnem przystąpieniem do wojny, włoski system gospodarczo-skarbowy uległ brutalnemu i głębokiemu wstrząsowi wskutek samego faktu wojny prowadzonej przez innych.

Natychmiast po zakończeniu naszej wojny kolonjalnej dla zdobycia Libji, państwo musiało zdobyć się na wydatek zgórą miljarda lirów w złocie, związany z koniecznością wzmocnienia naszego aparatu wojskowego.

Z drugiej strony gospodarka włoska, o wiele silniej niż dzisiaj, była związana stosunkami z zagranicą przez emigrację, handel, ruch cudzoziemców. Wojna sama przez się wprowadziła zamęt do tych wszystkich stosunków.

Po kilku miesiącach neutralności stanęliśmy w obliczu trudności nie byle jakich. Były niemi: ustanie emigracji i wypływające z niego zmiany na rynku pracy; opóźnienie w przesyłce zarobków emigranckich; powrót do kraju mas rolniczych i robotniczych z Francji, Niemiec i Austrji; zniknięcie cudzoziemców; zmniejszenie się wywozu; silniejszy niedostatek zboża, artykułów żywności, surowców, które, rozumie się, podrożały; prawie zupełne wycofanie obcych kapitałów, złożonych we Włoszech, i sprzedaż waluty włoskiej, znajdującej się w rękach cudzoziemców, ponieważ gospodarka wszystkich krajów zamykała się sama w sobie.

Samo już wyliczenie faktów wykazuje powagę położenia, w jakiem znalazły się Włochy, choćby tylko z finansowego punktu widzenia. Od 30 czerwca 1914 r. do 30 czerwca 1915 r. obieg monety podniósł się z 2.698 na 4.622 miljony lirów w złocie. Jest to podskok o 40%. Pierwszy krok na drodze do inflacji był postawiony.

Zwycięski koniec wojny zastaje Włochy z obiegiem 13.800 miljonów. A jednocześnie narzuca się uparcie kwestja przywrócenia ładu społecznego. Zwala się na Włochy fala lenistwa robotników i chłopów oraz łatwego użycia warstw zamożniejszych — wspólny objaw we wszystkich krajach zwycięskich. Strajki, kontrola robotników nad produkcją, zajęcie przez nich w r. 1920 fabryk — wszystko to pociąga za sobą zmniejszenie produkcji zarówno rolnej jak przemysłowej, drożyznę życia, poważny deficyt w budżecie handlowym, coraz wyższe wydatki państwowe, bankructwa banków, uciekanie się do środków ratunku z wpadaniem w coraz nowe długi, czem właśnie grzeszyły rządy parlamentarne, nie umiejące wynaleźć pewnego i rzetelnego sposobu wyjścia z matni.

Deficyt w budżecie państwowym dochodzi do zawrotnej sumy 15 miljardów 750 miljonów, obieg podnosi się do 22 miljardów, deficyt w bilansie handlowym wynosi 9, pożyczka wewnętrzna 95 miljardów; na dobitkę staje się żywotna sprawa uregulowania długów wojennych. Jednocześnie panuje zupełny

chaos polityczny. Parlament i partje zabawiają się w rewolucję nad brzegiem przepaści, chociaż nie mają ani chęci ani zdolności, aby ją robić.

W tych warunkach, prawie że rozpaczliwych faszyzm, przeprowadził swoją rewolucję i zdobył państwo, które było odarte z uroku i powagi.

Dzieje to zaledwie z przed ośmiu lat, a nie wydaje się prawdziwem ani prawdopodobnem, o ile nie przeżywało się tego dzień po dniu, że w tak krótkim czasie — który może bardzo wiele znaczyć w życiu jednostki, ale który jest niczem w życiu wielkiego narodu — finansowe uzdrowienie Włoch stało się niemal faktem dokonanym, gospodarka i finanse włoskie zdobyły samodzielność, tężyznę i odporność do tego stopnia, że mogą z czystem sumieniem stawić czoło trudnościom obecnej chwili, trudnościom wspólnym wszystkim narodom świata, i to stawić je z większemi widokami powodzenia niż inne kraje, mające silniejszą, bo starszą tradycję, a mocniejsze pod względem gospodarczym.

Ten wspaniały wynik zawdzięczamy wyraźnym linjom działania, nakreślonym przez Benita Mussoliniego, po których poszły, z niezmiennem wytrwaniem i z godną podziwu zdolnością przystosowania się, gospodarka finansowa rządu i wysiłki narodu. Przyjrzyjmy się w syntetycznem ujęciu, jakie są te linje i jakie są rezultaty, osiągnięte od r. 1922 do dzisiaj.

*

Najpierw dokonano zrównoważenia budżetu.

Już w przeddzień Marszu na Rzym, w październiku 1922 r., Duce zaczął napominać: „Sprawa finansów państwa to sprawa woli politycznej. Miljardy i miljony będą mogły być zaoszczędzone tylko w tym wypadku, jeżeli Włosi zdobędą do rządu ludzi, którzy będą mieli odwagę powiedzieć: n i e. Dopóki zagadnienie skarbowe nie będzie przeniesione na grunt polityczny, niema mowy o jego rozwiązaniu".

Do tego jasnego wskazania nagięła się cała działalność polityczna włoska aż do r. 1925. Zrównoważenie budżetu państwowego było faktycznie przedwstępnym i zasadniczym warunkiem wszelkiej innej reformy i uzdrowienia finansowego i gospodarczego.

Praca pierwszego ministra skarbu w ustroju faszystowskim, posła Alberta de Stefani, była wytrwała, niezłomna. Mussolini instynktownie wyszukał człowieka, który umiał powiedzieć: nie.

Powiedzieć: nie, a jednocześnie stworzyć nieodzowne warunki do najszybszego postawienia na nogi produkcji. Charakterystyka trzech pierwszych lat faszystowskich polega właśnie na tem: nadzwyczajne umiarkowanie w wydatkach i nadanie żywszego rytmu wytwórczości, i to takiego, któryby uczynił słusznym i możliwym do zniesienia ciężar podatków, i pozwolił państwu utrzymać własne dochody na należytym poziomie, przez rozłożenie podatków na większe majątki.

Może zainteresować, ponieważ daje wyobrażenie o tej metodzie, niewątpliwie śmiałej, prześledzenie wykazu podatków zniesionych albo obniżonych przez ministra de Stefaniego w ciągu pierwszych dwudziestu miesięcy jego urzędowania. Mianowicie:

1) Zniesiono nadzwyczajny podatek wojenny, nie dający się pogodzić z nowemi zarządzeniami podatkowemi, podatek pobierany od administratorów i kierowników towarzystw handlowych, który obciążał, wzrastając w granicach od 5 do 25%, odpowiednie dochody; oznaczało to stratę dla skarbu państwa około 25 miljonów rocznie.

2) Zniesiono osobisty podatek wojenny, który jako nadetatowy przy podatkach bezpośrednich, ciążył na wszystkich obywatelach, oprócz wojskowych, jako czwarta część wysokości głównych podatków bezpośrednich, jakie się od nich należały, — z czego wynikła dla skarbu państwa strata około 26 miljonów.

3) Postanowiono zgóry, z nakazem wprowadzenia w życie od 1 stycznia 1925, zamianę na proporcjonalne rzeczywistych podatków progresywnych, których stopa wahała się pomiędzy 12 a 19% od gruntów, a pomiędzy 21 a 27% od zabudowań, obniżono je zaś w taki sposób, aby nie przekroczyć 16%.

4) Ułatwiono płacenie nadzwyczajnych podatków od majątku, upraszczając znacznie wykup i popierając tego rodzaju opłaty, w zamiarze jak najszybszego ostatecznego zlikwidowania tego podatku. Razem doszło do liczby 179.472 płatników za wartość majątków wynoszącą 7 miljardów 238 miljonów.

5) Obniżono, uprzedzając dążenie, które się stopniowo miało urzeczywistniać, z 12 i 10% na łagodniejszy wymiar 4%

podatek od majątku ruchomego, ściągany od większej części personelu na kolejach drugorzędnych i na sieci tramwajowej.

6) Udoskonalono, rozszerzając jego zakres, system zwalniania od podatków nowych budynków, i rozciągnięto także do budynków, oddanych na sklepy, biura i hotele, przywilej zwalniania od danin na 25 lat, co już było w mocy w stosunku do domów mieszkalnych.

7) Wyłączono od podatku od budynków fabryki przemysłowe, z których dochód obliczono w sposób bardziej racjonalny, z wynikającą stąd redukcją obciążenia, jako dochodu od ruchomości.

8) Uznano za wolne od podatku domostwa wiejskie, które w wielu powiatach Królestwa płaciły jeszcze podatek gruntowy.

9) Dokonano ważnego kroku zwolnienia od podatku gruntowego plantacyj owoców i uprawy oliwek, w ten sposób, że zwolniono od podatku gruntowego odpowiedni dochód na okres wahający się pomiędzy 5 a 25 latami.

10) Zblokowano podatki nadetatowe, aby powstrzymać zapęd urzędów lokalnych danej miejscowości do konfiskowania dochodów z nieruchomości, i wydano najostrzejsze zarządzenia, aby uniknąć przełamywania bloku, dopuszczając je jedynie w wypadkach niezaprzeczonej konieczności.

11) Zniesiono podatek dodatkowy gminny i prowincjonalny, nałożony na podatek od majątku ruchomego, wynoszący 20% podatku skarbowego, co zmniejszyło obciążenie dla tej kategorji płatników mniejwięcej o 100 miljonów.

12) Zniesiono uzupełniający podatek rzeczywisty od dochodów wyższych nad 10.000 lirów, który obciążał dochody stawkami, dochodzącemi do 8%, wprowadzając na jego miejsce w naszym systemie podatkowym łagodny i racjonalny podatek o charakterze osobistym postępowym, z systemem potrąceń zależnie od liczby członków danej rodziny.

13) Zniesiono obowiązek zgłaszania papierów wartościowych, co przysporzyłoby nowego obciążenia ruchomości, utrudniając przywrócenie normalnej gospodarki narodowej.

14) Z tego samego powodu zwolniono od podatku od majątku ruchomego dochody z długów zaciąganych zagranicą na inwestycje w przemyśle włoskim, aby zaś poprzeć jednocześnie naszą ekspansję przemysłową i handlową, zwolniono od tego

samego podatku dochody płynące z filij zagranicznych towarzystw włoskich.

Tą samą myślą, t. j. aby dać szerszy oddech produkcji, kierowano się przy zarządzeniach i reformach przeprowadzonych w owym okresie na polu podatków od zamiany majątku, a mianowicie:

1) Obniżono z 12 na 2% stopę podatku od sprzedaży przedmiotów zbytku, który fatalnie się odbijał na stanie różnych naszych charakterystycznych wyrobów, a przy łatwości i zyskowności podchodzenia doprowadził właściwie do uprzywilejowania oszustów.

2) Z tych samych powodów i z podciągnięciem pod ten sam ogólny podatek od sprzedaży, obniżono taksę, wahającą się między 12 a 18%, do 2% od sprzedaży klejnotów i biżuterji.

3) Zniesiono specjalny podatek od tkanin jedwabnych, obliczany na 10% ich wartości, który godził w jedną z najważniejszych gałęzi naszej wytwórczości rolniczo-przemysłowej.

4) Obniżono wybitnie podatek od samochodów publicznych, aby dopomóc ich rozpowszechnieniu.

5) Zniesiono podatek turystyczny, wywołujący jednogłośne narzekania.

6) Zmniejszono opłaty od faktur, które odbijały się na całym systemie cen.

7) Zniesiono, omijając niemal zupełnie istniejący podział na majątek ruchomy i nieruchomy, podatek spadkowy w obrębie rodziny, oraz obniżono do stawki praktycznie nadzwyczaj łagodnej podatek spadkowy, który nie podlegał zwolnieniu. Wywarło to korzystny wpływ na repatrjację, na przywóz walut i papierów wartościowych, a także na lokatę we Włoszech kapitałów zagranicznych, zwłaszcza emigranckich.

Jednocześnie z wytężoną pracą, zmierzającą do uproszczenia, przegrupowania i uporządkowania systemu podatkowego, prowadzono niemniej zręcznie i niemniej energicznie inną pracę: wyławiania ludzi, którzy uchylali się od płacenia podatków. Zmniejszenie liczby podatków i wysokości stawek miało wynagrodzić masowe powołanie podatników do wyrównania należytości.

Dla budżetu państwowego wyniki finansowe takiej polityki, w zasadniczych swoich linjach uprawianej niezmiennie do dnia dzisiejszego, dają się ująć w następujące cyfry:

Okres sprawozdawczy 1922—1923, którego tylko połowa przypadła na ustrój faszystowski, wykazał niedobór 3 miljardów, okres 1923—1924 niedobór 418 miljonów, 1925—1926 wyjątkową nadwyżkę dwu miljardów, okres 1926—1927 nadwyżkę 436 miljonów, okres 1927—1928 nadwyżkę 418 miljonów, a ostatni okres, którego wyniki są nam znane, zamknięty 30 czerwca 1929 r., wykazał nadwyżkę 551 miljonów.

Wyniki te dają dobre świadectwo faszystowskiej metodzie skarbowości, a także solidności i prężności, do jakiej doszedł dziś budżet państwowy.

*

Drugi okres historji finansowej faszyzmu, zamknięty w latach 1925—1927, wykazuje nam trzy dalsze, nadzwyczaj ważne wydarzenia:

1) Rewaloryzację i stabilizację lira,

2) uregulowanie długów wojennych ze Stanami Zjednoczonemi i z Anglją,

3) konsolidację pożyczki wewnętrznej.

Są to trzy wielkie etapy, przebyte w ciągu dwu lat na drodze ku przywróceniu normalnego stanu finansów, którego istotną przesłanką była i jest rzetelność i równowaga budżetu państwowego. Sprawił to wszystko, zawsze z polecenia i według wskazówek Mussoliniego, wielki finansista, hrabia Volpi di Misurata, którego działalność i imię są powszechnie znane. Potrzebny był człowiek o szerokiem doświadczeniu finansowem, któryby wykazał wielką zręczność taktyczną i potrafił wybrać odpowiednią porę i stosowne okoliczności, i Musssolini umiał znaleźć takiego mistrza. Podkreślamy ten szczegół, ponieważ często za granicami Włoch słyszy się zdanie, jakoby faszyzm cierpiał na brak ludzi. Tymczasem przeciwnie, w każdej nowej okoliczności faszyzm zawsze trafia na człowieka, który mu się oddaje z nieograniczonem przywiązaniem.

Kampanja o wartość lira została ogłoszona w sierpniu 1926 r. w mowie Szefa rządu faszystowskiego w Pesaro. Większości Włochów, a może nawet zagranicy wydawała się ona jakiemś zaimprowizowaniem, powziętem nieoczekiwanie postanowieniem, tymczasem była owocem wszechstronnego i długiego namysłu, jak wszystko, co czyni Duce. Faktycznie pierwszą wzmiankę o konieczności przewalutowania i ustabilizowania

monety możemy już znaleźć w jego przemówieniu, wygłoszonem w Neapolu, przed Marszem na Rzym.

Rada ministrów dnia 27 grudnia 1927 r., w półtora roku zaledwie po rozpoczęciu kampanji walutowej, — która podniosła wartość monety włoskiej, notowanej najwyżej na 150.18 w stosunku do funta szterlinga, do 92, t. j. z poprawą o 57 punktów — uchwaliła już powrót do nowego parytetu w złocie i zniesienie przymusowego kursu lira.

Przy tej sposobności Rada Ministrów stwierdziła, że zwycięstwo było zupełne, ponieważ złamało na zawsze spekulację, dążącą do obniżenia lira, ponieważ dzięki niej lir został przewalutowany o 58 punktów w stosunku do najwyższego notowania w sierpniu 1926 r., o 28 punktów w stosunku do notowań w latach 1924 i 1925, a o 15 punktów w zestawieniu z notowaniami w listopadzie i grudniu 1922 r.

Dzieje walki o lira zbyt są dobrze znane, aby warto je tu było przypominać drobiazgowo i ze szczegółami. Wystarczy dać ogólnikowy wykaz, z którego widać, jak dalece w tak krótkim przeciągu czasu działalność rządu faszystowskiego była energiczna i pomyślna przez to, że poszedł za nią cały naród, że wspomogły ją polityczne, syndykalistyczne i korporacyjne organy ustroju, z niezmiennem i nienaruszonem zaufaniem, nawet w najtrudniejszych chwilach, kiedy proces rewaloryzacji monety nadwerężał budżety jednostek i godził, rozumie się, w całe mnóstwo interesów prywatnych. Oto są główne pozycje finansowej reformy: Wzrost rezerw *Banca d'Italia*, uzyskany także przy pomocy pożyczek zagranicznych, stumiljonowej pożyczki dolarowej znanej pod imieniem pożyczki Morganowskiej; kontrola i stopniowe obniżenie obiegu weksli; nadanie *Banca d'Italia* wyłącznego prawa emisji, a co za tem idzie przekształcenie *Banca di Sicilia* i *Banca di Napoli* na zwyczajne instytucje kredytowe, co zlikwidowało jedyną na świecie sytuację w systemie bankowym wielkich narodów, odziedziczoną jeszcze z pierwszych lat istnienia Królestwa, ale nigdy nie rozwiązaną wobec trwania przy życiu regjonalistycznych punktów widzenia Dalej: konsolidacja długów krótkoterminowych, — a zobaczymy, jak olbrzymie rozmiary przybrała ta operacja finansowa; kontrola państwowa nad kursami walut obcych; rewizja cen targowych; wreszcie rewizja kosztów produkcji oznaczonych przez

organy syndykalistyczne i specjalne komitety korporacyjne, utworzone pod egidą Partji faszystowskiej.

Może interesujące będzie uczynić parę uwag ze stanowiska polityczno-skarbowego o rewaloryzacji i ustabilizowaniu monety włoskiej, dziś już niezachwianie utrwalonej, o czem świadczy wydane parę miesięcy temu zarządzenie o zniesieniu kontroli nad wymianą walut.

Rzecz prosta, że droga wybrana przez faszyzm dla osiągnięcia stabilizacji waluty nie była najłatwiejsza. Łatwiej byłoby stabilizować lirę na 150 albo 130, co napewno byliby dobrze przyjęli finansiści zagraniczni i co byłyby wolały niektóre koła wytwórców włoskich. Łatwiej tak, ale kosztem, może nie do odrobienia, warstw średnich i inteligencji, oraz drobnej i średniej własności, jednem słowem tych warstw społecznych, które od pierwszych rozbrzasków Risorgimenta po dziś dzień niosły ofiarę z czynu i życia, traciły mienie, byle towarzyszyć ojczyźnie w jej ciągłem dźwiganiu się od twardego kładzenia pierwszych podwalin pod państwo, do zwarcia się w wielki naród, do pełnej udręk ekspansji kolonjalnej i do odrodzenia w jedności, która się nazywa faszyzmem. Stabilizacja zatem monety na poziomie 90, jak chciał Mussolini, miała pierwszorzędne uzasadnienie moralne i polityczne.

Naród nie może kwitnąć i rozrastać się, jeżeli ma mieszczaństwo wynędzniałe, które z konieczności musi wpływać na zduszenie i bezpłodność czynu, intelektu i wiary.

Jeżeli staniemy na stanowisku raczej ekonomicznem i finansowem, będziemy musieli uznać, że fakt przewalutowania dokonał się kosztem minimalnych tarć i wstrząsów społecznych, i że nowa równowaga gospodarcza została osiągnięta w krótkim przeciągu czasu. Nie można obecnie mówić poważnie o trwających do dziś złych skutkach stabilizacji, kiedy bierzemy pod uwagę ekonomiczne położenie Włoch; wszystkie one zostały już zlikwidowane. Jeżeli gospodarka włoska znajduje się w tej chwili w dość ciężkim okresie, należy to przypisać wyłącznie warunkom ekonomicznym wszechświatowym i odbiciu się ogólnego kryzysu gospodarczego, skutkiem splątania się interesów ekonomicznych, ale nie rewaloryzacji i stabilizacji waluty.

Prowadzi nas to do przekonania, że przesilenie, związane z nowym porządkiem gospodarczym, jaki powstał przez akcję

walutową, Włochy pokonały w tempie niezmiernie szybkiem. Istotnie, poczynając od r. 1929, wskaźniki ekonomiczne, bilans handlowy, produkcja przemysłowa i rolna wykazują znaczne ożywienie po zrozumiałym okresie martwoty.

Nie tak działo się u innych narodów, o wiele potężniejszych pod względem gospodarczym i finansowym, które przeprowadziły u siebie przewalutowanie pieniądza, nie drogą unicestwienia dawnej jednostki monetarnej, ale przez proces deflacji obiegu i powrót do dawnej wartości monety.

Szybkość, z jaką Włochy doszły do stanu normalnego, niejednemu z obcych obserwatorów wydała się cudem. Tajemnica cudu tkwi w warunkach duchowych, w psychologji i woli, stworzonych przez faszyzm w całym narodzie włoskim, i w ustawach politycznych, społecznych i gospodarczych, zredagowanych przez ustrój faszystowski, tak że dzięki układowi korporacyjnemu, wszystkie warstwy społeczne pracują w tym samym duchu jedności i dla tego samego celu. Przy systemie partyj i reprezentacji parlamentarnej rzecz ta jest o wiele trudniejsza do osiągnięcia, i wymaga więcej wysiłku, pracy i czasu od sfer kierowniczych i od rządu.

*

Ale wróćmy do rozważania dzieła dokonanego przez faszyzm ze stanowiska czysto finansowego. Powiedzieliśmy, że przed stabilizacją waluty przeprowadzono wielkiej wagi operację finansową: konsolidację długu krótkoterminowego. Centralne Biuro Senatu Królestwa miało prawo wyrazić się, że dekrety, które ustabilizowały długi u schyłku r. 1926, stanowią „jedną z najwspanialszych i najgenjalniejszych operacyj finansowych, jakie przedsięwzięto we Włoszech. Aby powziąć taki projekt i doprowadzić go do skutku, potrzebny był rząd mocny i trwały, nietylko w uznaniu obu Izb parlamentarnych, ale, co o wiele więcej znaczy, w opinji publicznej".

Operacją tą jest *Prestito del Littorio.*

*

Zrozumiałe jest, że najpierw konieczności wojenne a potem administrowanie deficytowemi budżetami (co zresztą miało miejsce we wszystkich krajach po wojnie) — wywołały jako rezultat uciekanie się do wewnętrznych pożyczek krótkoterminowych.

Włochy w listopadzie 1926 r. miały 30% własnej pożyczki wewnętrznej umieszczone w bonach skarbowych krótkoterminowych i o bardzo bliskiej dacie spłaty, na sumę około 24 miljardów. Było to niby olbrzymie przedsiębiorstwo przemysłowe — jak zauważył hrabia Volpi — któreby 30% własnego pokrycia posiadało w wekslach na okaziciela i krótkoterminowych.

Bankructwo w podobnych wypadkach jest utajone, a przedstawia bezustanne niebezpieczeństwo.

W przeciągu ostatnich trzech miesięcy r. 1926, w toku kampanji o lira, państwo uiściło się z około dwu miljardów bonów skarbowych. Jednak od końca tego roku do kwietnia roku następnego pozostawało jeszcze do uiszczenia co najmniej dziesięć miljardów, a dalsze terminy, równie ważne, przypadały w ciągu tego roku i lat następnych.

Z drugiej strony, przez zapowiedzianą i już wprowadzaną w życie rewaloryzację lira, stanęliśmy w obliczu zrozumiałego i naturalnego zjawiska tezauryzacji monety.

Rząd zdecydował uciec się do obowiązkowej konsolidacji kolosalnego długu krótkoterminowego i zażądać od obywateli pokrycia z własnych oszczędności nowej pożyczki *del Littorio*, postanawiając, że jej część płynna będzie przelana przez skarb na rachunek bieżący Banku Włoskiego *(Banca d'Italia)*, aby ten ostatni mógł uskutecznić wypłaty na rachunek nowego skonsolidowanego długu. Osiągnięto w ten sposób podwójny cel: doprowadzono do końca sprawę uporządkowania finansów państwowych, oraz zapewniono korzystny i regularny rytm nowej polityce włoskiej i zasilono świeżemi pieniądzmi wytwórcze siły kraju.

Operacja — korzystna dla samych właścicieli bonów państwowych, którym dawała ten zysk, że spłacano ich papierami pożyczki *del Littorio* z premją 15%, gdy w przeciwnym razie państwo musiałoby przystępować do spłacania przez drukowanie złych papierów, a wierzyciele byliby tem samem spłacani monetą zdeprecjonowaną, — operacja ta okazała się w wysokim stopniu popularna.

W istocie nowa pożyczka w swojej nowej części została przeważnie podpisana przez syndykaty pracowników i przez niezamożną ludność w sposób zupełnie samorzutny. To samo miało miejsce z dobrowolnem podpisywaniem dolara, z czego

została uiszczona pierwsza rata długu wojennego zaciągniętego w Stanach Zjednoczonych.

Aby nabrać wyobrażenia o wysiłku, jakiego Włochy dokonują o własnych siłach, aby ostatecznie powrócić do normalnego stanu finansowego, warto przyjrzeć się, jak w obecnej chwili wyglądają ich długi zagraniczne i wewnętrzne.

Długi wojenne zostały uregulowane, jak wiadomo, w umowach waszyngtońskiej i londyńskiej, obydwu, w zestawieniu z innemi narodami, dosyć dla nas korzystnych, a zaspokojono je, co również wiadomo, przez obrócenie na ten cel odszkodowań niemieckich, równych im co do wysokości, wyjąwszy pewną skromną kwotę, 48 miljonów marek rocznie, która będzie zużyta, przez jej kapitalizowanie, na amortyzację pozostałej jeszcze części krótkoterminowego długu państwowego.

Nazwaliśmy tę sumę skromną, ponieważ Włochy z własnych środków przyczyniły się do pokrycia szkód wojennych, do odbudowy zniszczonych okolic, do wypłaty emerytów i do opieki nad uczestnikami wojny. Wszystko to obciąża naturalnie zwyczajny budżet państwowy, a tem samem nie spada ciężarem na zwyciężonych, jakkolwiek Włochy same poniosły cztery piąte części swojego ogromnego brzemienia wojennego, wynoszącego 164 miljardów w wydatkach wojskowych, w wydatkach zależnych od wojny i w procentach od długów zaciąganych skutkiem wojny, a tylko w jednej piątej części uciekły się do pomocy sprzymierzeńców.

Pożyczka Morganowska, zaciągnięta dla ustabilizowania lira, wynosząca 100 miljonów dolarów, od 31 grudnia 1927 r. do 30 marca 1930 r. spadła do 93 miljonów 340 tysięcy dolarów, równych 1.773,462.000 lirów włoskich.

Tyle co do długów zagranicznych.

Pożyczki wewnętrzne, które w czerwcu 1923 dochodziły do 95 miljardów 650 miljonów, z chwilą objęcia rządów przez faszyzm spadły do 88 miljardów lirów; z tych 9 miljardów przypada na długi przedwojenne, a 7 miljardów 640 miljonów na bony skarbowe, których terminy będą ubiegały stopniowo od końca 1931 r. do końca 1934 r. Co do tej specjalnie części pożyczki, minister skarbu, senator Mosconi, piastujący ten urząd od końca r. 1928 do dzisiaj, energicznie i uroczyście obowiązał się uiszczać jej spłatę w terminach, z których pierwszy,

obejmujący sumę 3 miljardów 800 miljonów, przypada w listopadzie 1931 r.

Zmniejszenie, w przeciągu ośmiu lat i w trudnych warunkach finansowych i gospodarczych, wewnętrznych długów publicznych o siedem miljardów, odciągnięcie z masy długu krótkoterminowego 24 miljardów 347 miljonów bonów skarbowych, doprowadzenie całego obiegu do zupełnego uzdrowienia ponieważ 56.92% ma pokrycie w złocie albo w papierach wartościowych — wszystko to są ważne fakty, dające świadectwo silnej woli rządu faszystowskiego w dziedzinie skarbowości, oraz twardej, niezmiennej konsekwencji kierunku, jaki panuje w ciągu ośmiu lat całkowitej i radykalnej przebudowy gospodarki włoskiej. Tej konsekwentnej polityce zawdzięczamy przedewszystkiem pokaźne rezultaty, jakie osiągnięto, i ona też gwarantuje niedalekie już dzisiaj dojście do mety.

*

Dla uzupełnienia obrazu należy przedstawić, czego dokonano w trzecim okresie, który ciągnie się od końca r. 1928 do dzisiaj, przyczem trzymano się wiernie wskazań, wydanych przez Mussoliniego i przez senatora Mosconiego, obecnego ministra skarbu.

Okres to niezmiernie interesujący, bo — po usunięciu wszystkich czynników, które powodowały niepewność w finansach włoskich: długów wojennych, chwiejnej wartości pieniądza, ogromnej kwoty długów wewnętrznych krótkoterminowych — przystąpiono w nim do śmiałej polityki reform i zarządzeń sanacyjnych, do czego polityka poprzednia stworzyła podstawowe warunki, czy to z punktu widzenia czysto finansowego, czy też o ile szło o wzmocnienie i postęp całej gospodarki narodowej. Przeprowadzono przedewszystkiem spis płatników; ustawą z dnia 9 grudnia 1928 r. i dekretami z pierwszych miesięcy następnego roku zobowiązano wszystkich obywateli i wszystkie instytucje podlegające podatkom, aby sporządzili wykaz roczny swoich dochodów. Wartość, choćby moralna, podobnego zarządzenia nie ulega wątpliwości. W szeroko zorganizowanej demokracji, a taką jest faszyzm, wobec równych praw rodzą się i równe obowiązki wszystkich warstw w stosunku do państwa i do wspólnego dzieła, jakie ono przeprowadza. Nie wolno więc tolerować jednostek wymykających się

od płacenia podatków, jednostek, które są w całem znaczeniu tego słowa pasorzytami.

Z tego stanowiska moralną wartość posiada zasada, wprowadzona już dawniej z inicjatywy posła de Stefaniego, w związku z rozpisaniem podatku uzupełniającego od dochodów a zniesieniem podatku od spadków, przypadających obecnie tylko najbliższym członkom rodziny, — zasada, która każe wszystkim uiszczać się z obowiązku podatkowego w wymiarze zależnym od składu rodziny i liczebności potomstwa.

W myśl tej zasady nałożono we Włoszech podatek na bezżennych. Rodzina jest źródłem poważnych ciężarów i obowiązków; kto się od nich uchyla, żyjąc samotnie, słusznie zostaje obarczony większemi i specjalnemi zobowiązaniami. Dochód z tego podatku jest po największej części obracany na opiekę nad matką i dzieckiem, przyczem oczywista wchodzą w rachubę przedewszystkiem i niemal wyłącznie sfery ubogie.

Najdonioślejszem zarządzeniem tego okresu jest amortyzacja i stopniowa spłata długu publicznego.

Została ona zapowiedziana przez Benita Mussoliniego dnia 21 kwietnia b. r. (przy sposobności otwarcia Narodowej Rady Korporacyj, potężnego organu technicznego i doradczego w dziedzinie gospodarczej) temi słowami: „Krokiem, który powinien uwieńczyć wszystkie dotychczasowe zarządzenia, jest rzeczywista spłata długu publicznego skonsolidowanego, stanowiącego «m a r t w ą r ę k ę» skarbowości włoskiej. Dla zagwarantowania reformy walutowej trzeba było blokować kapitały, dzisiaj jest konieczne zdjęcie blokady, puszczenie znowu w obieg zatamowanego pieniądza. Trzeba jednem słowem spłacać, odrazu, od pierwszego terminu, bony skarbowe, i zacząć płacić rzeczywiście, namacalnie, dług publiczny". W przeciągu niewiele więcej niż miesiąca, projekt Mussoliniego stał się faktem dokonanym. Zreformowano istniejącą już Kasę amortyzacyjną długu publicznego, i przyznano jej fundusz roczny i stały pół miljarda lirów, uzyskany z nieznacznego podniesienia ceny sprzedażnej państwowego monopolu tytoniowego. W ten sposób państwo wycofa ogromną ilość papierów długu publicznego i uzyska dwa wyniki, oba bardzo ważne: *a)* stopniowe zmniejszanie się ciężaru procentów od budżetu państwowego, *b)* puszczanie corocznie w obieg przeszło pół miljarda płynnych pieniędzy,

które będą użyte na swobodne inwestycje w charakterze gospodarczym.

Może kto zwrócić uwagę, że przez ten zabieg wprowadzono nowy podatek. To prawda, lecz nie godzi on w konieczne i nieodzowne potrzeby życia narodowego, tylko w konsumcję i wydatek niekonieczny.

Minister skarbu, w swojem niedawnem *exposé* finansowem, mógł oznajmić o zupełnem powodzeniu zarządzenia, przytaczając dla porównania cyfry handlu tytoniowego z przed zwyżki i po zwyżce cen. Redukcja długu publicznego jest tedy zapewnioną.

*

W czasie tych ośmiu lat polityki skarbowej, którą oświetliliśmy w głównych jej rysach, państwo faszystowskie — podajemy proste cyfry, aby przemówiły wyraźniej od jakiegokolwiek innego argumentu — włożyło 21 miljardów w roboty publiczne: drogi, wodociągi, roboty wodne, meljoracje i reorganizację rolnictwa. Ludność włoska w granicach Królestwa podniosła się z 38,790.000 do 42 miljonów. Cały ten naród pracuje. W r. 1922 było 7 miljonów dni strajku, w ustroju faszystowskim, wskutek samorzutnej dyscypliny, spadły one do zera. Organizacja syndykalistyczna i korporacyjna, ożywiona znamiennym dla faszyzmu duchem produktywności, przyniosła między innemi i ten pierwszorzędny wynik. Bezrobocie, plaga, która w przerażających rozmiarach trapi najbogatsze i najstarsze kraje, we Włoszech występuje w stopniu o wiele słabszym (od 350 do 400 tysięcy ludzi bez pracy) i ma charakter przeważnie sezonowy. Od grudnia 1927 r., okresu największych trudności, wywołanych rewaloryzacją monety, cyfra 75 tysięcy robotników, pracujących niepełną liczbę godzin, spadła do zaledwie 6 tysięcy we wszystkich gałęziach przemysłu. Produkcja rolna w przeciągu ośmiu lat podniosła się dla pszenicy z 44 na 71 miljonów centnarów, dla kukurydzy z 19 na 25, ryżu z 4.5 na 6.7, wina z 35 na 41 miljonów hektolitrów, oliwy z 2 miljonów hektolitrów na 3, pomarańcz i cytryn z 6 na 7 miljonów centnarów, produkcja kokonów jedwabników z 326 na 534 tysiące centnarów.

Wytwórczość przemysłowa podniosła się: *a)* kopalnie: żelazo z 311.214 na 366.480 tonn; ołów z 126.241 na 230.490

siarczan żelaza i siarczan miedzi z 486.000 na 698.550; siarka z 167.339 na 323.000; — *b)* wyroby metalurgiczne: żelazo lane z wielkich pieców z 157.599 na 672.280 tonn; stal z 1,009.240 na 2,132.970; rtęć z 1.541 na 1.855; — *c)* przemysł elektryczny podniósł się od 380 stacyj poruszanych wodą lub węglem o sile instalacji 1,338.000 kilowatów na 1.072 stacyj o sile 3,548.000 klw., produkcja energji przekroczyła w r. 1929 — 9 miljardów kilowatów; — *d)* wyrób tkanin bawełnianych podniósł się od 95 do 125 miljonów kilogramów; — *e)* pozwoleń na nowe budowy w dwu największych miastach włoskich (w Rzymie i Medjolanie) wydano w r. 1922 — 18.500, w r. 1929 — 96.600; — *f)* średnia produkcja miesięczna sztucznego jedwabiu od 1,390.000 podniosła się w grudniu 1929 r. do 2,902.000 kilogramów.

Na polu techniczno-finansowem przemysłu rok 1929 zaznaczył się (a proces ten w roku obecnym trwa dalej) przez ruch koncentracyjny przedsiębiorstw, przez większe lokaty kapitałów w przemyśle, przez wyższy współczynnik konsumcji oraz przez zredukowanie i uproszczenie typów produkcji. Podobne udoskonalenia miały miejsce także w rolnictwie.

Nagie cyfry, przez nas codopiero podane, oznaczają rekordy, nigdy przedtem nie osiągane we Włoszech, i wykazują podstawową solidność szerokiej polityki skarbowej rządu faszystowskiego.

To są jasne strony finansów i gospodarki włoskiej. Są, rozumie się, i strony ciemne, ale wywołuje je więcej, niż inne przyczyny, ogólny kryzys gospodarczy na świecie. Nad ich likwidacją pracuje cały naród włoski i rząd, który ten naród do czynu prowadzi. Obecne obniżenie stopy dyskontowej, przezorna polityka Banku Włoskiego, który dąży do skierowania depozytów bankowych na drogę produktywnych inwestycyj — te i tym podobne, inne zarządzenia, w tym samym duchu podjęte, przyśpieszą moment wyswobodzenia się z ciężkiej sytuacji.

Ale ponad wszystkiem góruje we Włoszech ciągłość polityki gospodarczo-skarbowej, polityki organicznie jednolitej, która za cel sobie kładzie jak największe wykorzystanie wszystkich zasobów, wszystkich sił, wszystkich zdolności.

Wytrwać i zwyciężyć — oto hasło Rządu i Narodu włoskiego.

MARIO FERRAGUTI
Sekretarz Stałego Komitetu Zbożowego

KAMPANJA ZBOŻOWA

Daremny byłby trud tłumaczyć, co to jest „kampanja zbożowa" — *la Battaglia del Grano* — ludziom, którzy nie rozumieją, jaką olbrzymią siłą jest karność dzielnych żołnierzy i urok bohaterskiego dowódcy, za którego całe legjony gotowe są nietylko walczyć przeciwko wrogiej naturze, ale i poświęcić życie dla idei, co ma na imię f a s z y z m, a uosobiona jest w jednym wielkim tytule: *il Duce.*

Jeżeli istnieje naród, zdolny wyczuć potęgę karnej armji oraz potęgę wpływu człowieka, — jest nim bohaterski naród polski, który w imię wolności swojej, w poświęceniu i sławie, zmagał się jak jedno ciało i jedna dusza, i który teraz daje wyraz woli, aby wszyscy jednozgodnie uwierzyli w jednego człowieka i wbrew wszelkim rozbieżnościom politycznym złożyli w jego ręce losy narodu.

Liczba jest potęgą, to prawda, ale niema potęgi równej potędze jedności ducha i jedności rozkazu.

*

Kampanja zbożowa raczej i wyraźniej, niż zjawiskiem politycznem, społecznem i technicznem, jest zjawiskiem duchowem: to zwycięska wola przywódcy ludu przelała się w masy i stała się wolą zbiorową. Niepodobna jej wytłumaczyć, nie uwzględniając siły sugestywnej jednostki i psychologji masy. Są to zresztą te same czynniki, do których musi się odwołać dowódca wojska w obliczu nieprzyjaciela, w chwili, kiedy jedna pomyłka zwierzchnictwa, zachwianie się na jedno mgnienie oka w pierwszych szeregach, chwila paniki jednego jedynego człowieka wystarczy, aby wywołać klęskę, albo sprowadzić na drogę hańby tych samych ludzi, którzy, natchnieni wiarą, pociągnięci przykładem, rozpaleni pierwszym podbojem, gotowi są iść na całopalenie, bohatersko, aby wywalczyć ojczyźnie zwycięstwo.

Kampanja zbożowa była możliwa do pomyślenia jedynie w atmosferze płomiennej wiary, wytężonej energji, pracowitego wytrwania, jakie we Włoszech stworzył faszyzm i jego Wódz.

Oto dlaczego świeże próby kilku narodów europejskich w celu wprowadzenia na własnem terytorjum podobnych kampanij, muszą pozostać mniej lub więcej bezpłodne, o ile nie opierają się na ustroju politycznym stałym, a przynajmniej trwałym, i jeżeli nie są dziełem człowieka, cieszącego się nietylko sympatją, ale i głębokim niezachwianym szacunkiem sfery włościańskiej, do której się zwraca, i osad fabrycznych, którym wskazuje drogę.

Jak można proklamować „wojnę" zbożową czy rolniczą w krajach, gdzie zmiany i przesilenia polityczne są na porządku dziennym, a zjawiskiem stałem jest tylko jedna niestałość?

Dopiero w trzy lata po zwycięstwie faszyzmu, rozwiązawszy w sposób nieodwołalny zagadnienie stałości politycznej — nietyle przez porażkę opozycji, ile przez zwycięstwo, można śmiało powiedzieć, serca i mózgu zdrowej części narodu, a więc jego prawie absolutnej większości — Benito Mussolini wydał bitwę zbożową w czasie pamiętnej nocnej sesji Parlamentu.

Dnia 4 lipca 1925 zgromadził dokoła siebie szczupły komitet, złożony zaledwie z dziewięciu członków, który nazwał Stałym Komitetem Zbożowym *(Comitato Permanente del Grano)*, aby dać do zrozumienia krajowi, że bitwa potrwa długo. Przewodnictwo objął nietylko nominalnie: postanowił być czynnym kierownikiem i był nim także faktycznie. Osobiście dobrał sobie współpracowników, kierując się więcej ich istotną wartością i ich praktycznem wyrobieniem, aniżeli rozgłosem ich imienia w kołach akademickich; sam, chociaż nie specjalista, zakreślił specjalistom-rolnikom wyraźne dyrektywy, a nawet plan strategiczny.

Latami całemi urzędowi specjaliści rozprawiali ospale, osiągając zgodę w jednem tylko orzeczeniu, że „należy uznać za szkodliwe złudzenie pogląd niepowołanych rolników, którzy wyświadczają krajowi złą usługę, wmawiając weń możliwość samowystarczalności zbożowej". Z dyskusyj nie wynikło nigdy nic konkretnego, chyba tylko w czasie wojny ostry rozdźwięk między osobistościami rządzącemi owego czasu a specjalistami w rolnictwie, tak samo w kwestji zbożowej niedowiarkami, jak nimi

byli dyplomaci i wogóle ludzie odpowiedzialni za politykę włoską w latach 1914—1918 i w okresie bezpośrednio następującym po Vittorio Veneto. Zdaniem tych pseudo-fachowców należało nietylko wyrzec się „niebezpiecznego złudzenia", samowystarczalności zbożowej, ale także wielu terenów, użytych pod zasiew, ponieważ we Włoszech południowych i w okolicach górzystych (czyli na większej części terytorjum włoskiego) niema jakoby mowy o osiągnięciu produkcji, któraby opłacała uprawę zboża, ze względu na ubóstwo gleby i niesprzyjające warunki klimatyczne.

Należało natomiast, według członków niefortunnego rządu ówczesnego, przeciwdziałać niewystarczającej wydajności roli (10 centnarów na hektar) i niedostatkowi rąk roboczych (wszyscy mężczyźni, zdolni i niezdolni, młodzi i w starszym wieku znajdowali się na froncie albo pod bronią we Włoszech), powiększając obszar gruntów uprawnych. W czasie wojny obsiano pszenicą pięć miljonów sto trzydzieści tysięcy hektarów, podnosząc znacznie rozmiar terenów obsianych tem samem ziarnem w latach poprzednich. Ale właśnie produkcja osiągnięta w owych latach była najuboższa, jaką kiedybądź pamięta historja statystyki: wszystkiego 37 miljonów centnarów. W tym opłakanym roku, gdy zawiodła jeszcze dostawa zboża amerykańskiego, ponieważ okręty były narażone na ataki niemieckich łodzi podwodnych, widmo głodu zagrażało ludności cywilnej i wojsku.

To też Mussolini, ustanawiając Stały Komitet Zbożowy, oznajmił swoim współpracownikom, że „przystępuje do walki o prawdziwą wolność, aby oswodzić Włochy z niewoli cudzego chleba".

Ale była dla niego dwojaka wolność: jedna, którą należało uszanować i którą uszanował, i druga, której jego poprzednicy pozwolili nadużywać. Na protekcjonizm innych narodów Mussolini odpowiedział także zuchwałym czynem protekcjonizmu. Ochraniał zboże zapomocą cła wwozowego, aby zapewnić rolnikom zysk należytej wysokości i w ten sposób zdobyć moralne prawo zażądania od nich najintensywniejszego wysiłku około doskonalenia uprawy zboża. Równocześnie postanowił nie powiększać powierzchni, obróconej pod uprawę zboża, ale systemowi uprawy nadać charakter racjonalniejszy i większą intensywność, aby w ten sposób wzmóc wydajność z jednego hektara i, co za tem idzie, produkcję ogólną, bez odkradania

gruntu innym uprawom, niemniej nieodzownym od zboża, a bardziej od niego zyskownym.

Tymczasem osobiście nagradzał w Rzymie zwycięzców „zawodów narodowych" o zwycięstwo zbożowe, zawodów, które wykazały, że możliwe jest wszędzie, od Alp po Sycylję, wzmożenie produkcji zboża. „Jeżeli to jest możliwe" — mówił Mussolini przy wręczaniu nagrody za dzielność w pracy na roli uczestnikom kampanji zbożowej — „to trzeba, aby to było zrobione". Ogłosił rolników i włościan podstawową siłą rozkwitu ojczyzny w wojnie i pokoju, nazwał ich „swymi braćmi w wielkim trudzie" i widział w nich „nową szlachtę ziemi".

Nie w duchu demagogicznym, ale w doskonałem i szczerem braterstwie on, człowiek z ludu, syn kowala, który stał się wielkim Kowalem odbudowy narodowej, podchodził do ludu wiejskiego, co „pracuje twardo, trzeźwo, mocno i w milczeniu". A lud odwzajemnił mu się najgorętszem przywiązaniem i oddaniem bez miary.

Czego przez lata upartej, dręczącej, ale niestety daremnej propagandy, przez codzienną łataninę nie umieli uzyskać od chłopów zawodowcy, to Mussolini zdobył w krótkim czasie przez swój osobisty urok. Miłość może zrobić wiele rzeczy, których nie dokona siła. Musieli usłuchać Wodza, aby dać mu wygrać bitwę, ci, których on nazwał „swoimi braćmi w wielkim trudzie".

Tymczasem instytucje specjalne, wędrowne katedry rolnictwa, zakłady doświadczalne, komisje prowincjonalne propagandy zbożowej wzmogły swą działalność skutkiem nowego przypływu energji życiowej, jaką wlał im w żyły Wódz faszyzmu.

Na propozycję Stałego Komitetu Zbożowego wydano nowe ważne zarządzenia prawodawcze, założono tysiące i tysiące doświadczalnych pól zbożowych niemal we wszystkich dziewięciu tysiącach gmin Królestwa; po wioskach odbywały się wiece i pogadanki propagandowe, wyświetlano specjalne filmy w najbardziej zapadłych miasteczkach, nawet oficerowie i księża po koszarach i kościołach przyłączali się z najwyższym zapałem do tego fachowego apostolstwa, do tej płodnej mobilizacji dusz. Rząd, zawsze z inicjatywy Stałego Komitetu Zbożowego, wydawał specjalne zarządzenia w celu zastosowania do orki lokomobil i elektryczności, rozpowszechnienia wyborowego ziarna

najlepszych gatunków, zracjonalizowania systemów rolnictwa, większego zużycia sztucznych nawozów.

A pierwsze wyniki?

Niech powiedzą cyfry, które w swej suchej wymowie są bardziej przekonywające od najzręczniejszego kazania.

W czwartym roku kampanji zbożowej rekordowe zbiory sześćdziesięciu pięciu miljonów centnarów zostały przewyższone o sześć miljonów centnarów, redukując w ten sposób do minimum ilość zboża obcego, jakie trzeba było sprowadzać.

Kampanję o ziarno, która trwać będzie aż do zupełnego wyzwolenia się od zagranicy, już rozświecają przebłyski końcowego zwycięstwa, a będzie to trzecie zwycięstwo za panowania Wiktora Emanuela III.

ARRIGO SERPIERI
Podsekretarz Stanu
dla spraw „meljoracji integralnej"

PROGRAM MELJORACYJNY WŁOCH FASZYSTOWSKICH

1. MELJORACJA „INTEGRALNA"

Plan t. zw. „wszechstronnej" czy „integralnej" meljoracji *(la Bonifica Integrale)* jest jednem z podstawowych przedsięwzięć ustroju faszystowskiego, który w celach jak największej korzyści narodowej postanowił przeprowadzić na szeroką skalę reformy gruntowe po wsiach, jako wstęp do nowego systemu produkcji, tak aby na scalonem terytorjum skupić pracę jak największej liczby włościan, mocno i trwale przywiązanych do ziemi.

W tym celu wykonywa się najróżnorodniejsze roboty, bądź to podejmowane we wspólnym interesie kilku posiadaczy, bądź w interesie jednej własności, — roboty inżynierskie z zakresu techniki rolnej i leśnej, mające na celu komasację gruntów, obronę wsi pod względem zdrowotnym, utworzenie ośrodków osadniczych, poprawę komunikacji, ochronę przed wylewami, zużytkowanie wody i jej energji, zalesianie i zaprowadzanie innych plantacyj, regulację ziemi ornej i podniesienie jej wydajności.

Bez względu na środki, do jakich się uciekają kierownicy powyższych robót (znamiennych przez to, że oparte są one na kapitałach inwestowanych w grunty na długi okres czasu) — cel ich ostateczny jest zawsze jeden i ten sam. Idzie o zmodyfikowanie, w bardziej lub mniej szerokiej i radykalnej formie starego ustroju gruntowego, aby go uczynić podatniejszym do nowych warunków produkcji rolnej, o zaopatrzenie danego terytorjum, dziś uprawianego w sposób mniej lub więcej ekstensywny i pierwotny, w cały konieczny aparat techniczny, a przez to o przysposobienie go do produkcji intensywnej, tak aby był

zdolny wyżywić gęstszą ludność i pozwolił lepiej niż dotychczas wyzyskać dobrodziejstwa ziemi i wody.

2. PRECEDENSY PRAWODAWCZE

Przed erą faszystowską istniał fragmentaryczny sposób patrzenia na tę sprawę i na obowiązki państwa w kwestji obrony ziemi i dostosowania jej pod bardziej wydajną uprawę. Prawodawstwo w zakresie robót publicznych miało tylko na oku ułamkowe cele, leżące w interesie zbiorowym, i ustosunkowywało się jedynie do pewnych specjalnych przedsięwzięć, które każde z osobna mogły przynosić znaczniejsze dochody.

I tak np. dawne prawo dotyczące meljoracyj wodnych, wychodząc z zasady interwencji państwa w wykonywaniu i finansowaniu robót, mających na celu walkę z malarją, uważało stronę higjeniczną za podstawową, a za wtórną dopiero sprawę rolną. Powierzało więc konsorcjom prywatnym czy publicznym wykonywanie wszelkich innych prac, związanych z meljoracją wodną, które tem samem nie były prowadzone na wysokości wymagań higjeny mieszkańców.

Zupełnie tak samo regulacje terenów górskich, zalesianie, sztuczne jeziora, budowa grobel — roboty zbiegające się wszystkie we wspólnym celu, jakim jest obrona przed wylewami oraz użytkowanie wody — stanowiły, każda z osobna, oddzielny odłam prac i podlegały rozmaitym przepisom prawnym.

Roboty, uznane za publiczne i pozostawiane kompetencji państwa, zamiast traktować wszystkie razem w stosunku wzajemnej zależności i stosownie do ogólnonarodowych celów gospodarczych, społecznych i higjenicznych, oddzielano od innych robót koniecznych, ale zależnych od osób prywatnych. Roboty prywatne państwo mniej lub więcej ułatwiało i popierało, ale dochodziły one albo nie dochodziły do skutku, zależnie od osobistego widzimisię właściciela gruntów.

Rezultat był taki, że podział między zabezpieczeniem wód, powierzonem państwu, a korzystaniem z tych wód, pozostawionem inicjatywie prywatnej, utrudniał niepomiernie racjonalne i jednolite postępowanie w tej dziedzinie, w której zabezpieczenie i zużytkowywanie wody technicznie nie dadzą oddzielić się od siebie.

Tak samo rozróżnianie między regulacją terenów górskich a robotami około osuszénia równiny bywało powodem fałszywych posunięć, na które traciło się dużo czasu i pieniędzy, leczono bowiem skutki bez docierania do przyczyny. Podobnie i wydzielanie sprawy komunikacji z pomiędzy innych z nią związanych, doprowadziło do wybudowania mnóstwa zbędnych dróg i wytyczania najniepotrzebniejszych linij, z pominięciem innych, nieodzownych.

Zamknięcie się państwa w ramach robót, uznanych za publiczne, a usuwanie się od innych, które uchodziły za prywatne, doprowadzało nierzadko do tego, że owe roboty państwowe szły na marne, albo wykonywane bywały w sposób niezadawalający. Tak np. na równinach, po robotach należących do meljoracji rolnej, nie przeprowadzano prac około reformy gruntów, a ponieważ jest ona konieczna także dla osiągnięcia celów higjenicznych, wynikało stąd, że cel przedsięwzięcia, zarówno higjeniczny jak gospodarczy, chybiał przeważnie całkowicie. Co więcej, osuszanie przeprowadzano często zapomocą metod niewłaściwych, bo niedostosowanych do celów rolniczych, a zupełnie to samo da się powiedzieć o regulacjach wodnoleśnych.

Próby częściowego zaradzenia złu wywoływały wydawanie ustaw, dotyczących robót irygacyjnych, których charakter publiczny bezpośrednio po wojnie zaczął się coraz bardziej zaznaczać. Tak samo ma się rzecz z obowiązkowym charakterem meljoracyj rolnych, wyrażonym w specjalnych ustawach, np. w ustawie o *Agro Romano.*

Z kolei przyszła ustawa z dnia 30 grudnia 1923 n. 3256, w której, dzięki ewolucji, jakiej uległy ustawy o meljoracjach wodnych, pojęcie „meljoracji" rozszerza się, tak że ogarnia już i uzgadnia ze sobą roboty, dotyczące nietylko osuszania, ale i nawadniania, regulacji terenów górskich, naprawy komunikacyj i zaopatrzenia wsi w wodę do picia.

Z tem wszystkiem do prawdziwie jednolitego ujęcia sprawy meljoracyj jeszcze nie doszło.

3. PRAWO O OPERACJACH AGRARNYCH

Ostatni i decydujący krok został dokonany dzięki ustawom faszystowskim z 18 maja 1924 n. 753 i z 29 maja 1925 n. 2464,

o „operacjach agrarnych *(trasformazioni fondiarie)* ze stanowiska interesu publicznego". Ustawy te, przepisując interwencję państwową na każdym gruncie, na którym warunki środowiska fizyczno-gospodarczego utrudniają podniesienie uprawy, i na miejscu pojęcia ułamkowych robót publicznych stawiając pojęcie skoordynowanych celów, którym te roboty muszą zgodnie służyć, mają cel gospodarczy, t. j. zmierzają do tego, aby przy wkładzie kapitałów w ziemię, uczynić ją podatną do zyskowniejszej uprawy, oraz cel społeczny, aby ją przysposobić do pomieszczenia liczniejszej stałej ludności, któraby współżyła ze sobą na podstawach zgodnych z higjeną i postępem.

Ustawa o „operacjach agrarnych", porównana ze wszystkiemi innemi ustawami, które zazwyczaj noszą nazwę od jakiejś poszczególnej kategorji robót, jest, jeżeli tak można powiedzieć, najbardziej syntetyczną, albowiem bez względu na ich rodzaj obejmuje wszystkie roboty, jakie na danem terytorjum uważane są za konieczne dla przeprowadzenia wszechstronnej meljoracji.

Wszystkie roboty, podejmowane na jakimś gruncie, z widokiem korzyści ogólnej, zarówno rozważane ze stanowiska ustaw szczegółowych, jak i owej ustawy „syntetycznej" z r. 1924—25, stają się zasadniczo robotami publicznemi. Instytucje publiczne zabiegają o ich wykonanie, państwo bierze na siebie mniejszą lub większą część kosztów, powołując jednak zawsze właścicieli, a czasami i mniejsze instytucje publiczne, do współudziału przez sfinansowanie pozostałej części.

Natomiast roboty, ograniczone do jakiejś jednej własności (budowy na wsi, regulacje gruntów, uprawa odłogów, drobne instalacje nawodnienia i t. p.), pozostają w pewnem znaczeniu robotami prywatnemi, ponieważ mogą się ich podjąć poszczególni właściciele przy pomocy państwowej, polegającej na kredycie meljoracyjnym, zaciąganym na uprzywilejowanych warunkach, albo na subwencjach pieniężnych, w wysokości określonej przez poszczególne przepisy.

Swoją drogą i te roboty nie są dobrowolne, lecz mają raczej charakter przymusowy. Przymus dopuszcza przejście gruntów w inne ręce, o ile obecni właściciele nie dbają o ich podniesienie. Taki przepis jest konieczny, zaniedbania bowiem w tym zakresie mogą obrócić na marne sprawę wszechstronnej meljo-

racji, która jest sprawą z natury swojej rolną, a jeszcze szerzej biorąc, wiejską.

4. SPÓŁKI MELJORACYJNE

Roboty mające znaczenie ogólne, to znaczy dotyczące większej liczby własności, wykonywane są, jakeśmy wspomnieli, przez instytucje publiczne. Wykonywanie ich bezpośrednio przez państwo stanowi raczej wyjątek niż prawidło, wyjątek zresztą, który w stosunku do niektórych prac da się najzupełniej usprawiedliwić.

Najczęściej państwo powierza wykonanie komuś, komu dało w tym celu koncesję. W większości wypadków jest to Spółka właścicieli. Ale Spółka nie jest stowarzyszeniem prywatnem, jest to Spółka administracyjna, jednostka prawna o charakterze publicznym i stawiająca sobie cele publiczne. Tak więc sami właściciele zrzeszają się w Spółkę, aby wykazać swój zmysł praktyczny, przywiązanie do ziemi i zapobiegliwość w imię wspólnej sprawy.

I jeżeli z jednej strony, od góry, t. j. od państwa spada na Spółkę poważny obowiązek zabiegania o sprawy leżące w interesie ogólnym, to z drugiej strony, od dołu, t. j. od poszczególnych właścicieli, może przypaść jej zadanie przeprowadzenia meljoracyj rolnych o charakterze prywatnym, dotyczących poszczególnych gruntów, a będących uzupełnieniem dzieła meljoracji ogólnej. Istotnie dekret z 26 lipca 1929, na osoby, posiadające koncesje wykonywania robót o znaczeniu ogólnem, nakłada także obowiązek podejmowania, na żądanie właścicieli, robót o charakterze prywatnym, t. j. dotyczących tylko pojedynczych gruntów. W ten sposób w zadaniach złożonych na Spółkę zbiegają się wszystkie strony „całkowitej" meljoracji.

Nadając właścicielom prawo powierzania Spółce także swoich osobistych interesów, państwo zyskuje pewniejszą rękojmię, że reforma przeprowadzona będzie w całej rozciągłości. Właściciele bowiem znajdują nietylko konieczny aparat techniczny, ale i wielkie ułatwienia finansowe, a to dlatego, że kredyty, w jakie uposażona jest Spółka, której powierzono takie zadania, wolno im spłacać, amortyzując je, w ratach rocznych, przyczem Spółka w ściąganiu opłat ma prawo posługiwać się metodami i przywilejami obowiązującemi przy pobieraniu podatków bezpośrednich.

Naturalnie, że Spółka w gruncie rzeczy zależy od państwa. Państwo przez swoje organa bezpośrednie musi być zawsze i jest gotowe do interwencji, gdyby jakaś Spółka meljoracyjna zdradzała chęci zabłąkania się w ślepych uliczkach egoizmu i prywaty. Dlatego właśnie dekret z 19 lipca 1929 rozszerzył ingerencję państwa w funkcjach Spółek, rozszerzając władzę komisarzy królewskich, i zastrzegając rządowi prawo nominacji przewodniczącego, obok innych drugorzędnych prerogatyw.

5. USTAWA MUSSOLINIEGO *(LA LEGGE MUSSOLINI)*

Takie są ramy t. zw. „wszechstronnej" meljoracji. W jej centrum stoi ustawa z 24 grudnia 1928 n. 3134, którą nazwano imieniem Wodza Włoch faszystowskich.

Uzupełniła ona i nadała ostateczną formę niektórym szczegółowym zarządzeniom, dotyczącym wodociągów na wsi, budowy osiedli wiejskich i pojedynczych zabudowań, dróg koniecznych dla przeprowadzenia reformy gruntowej; dostarczyła środków pieniężnych, aby robotom przedsiębranym dla uskutecznienia „wszechstronnej" meljoracji nadać rytm rosnący z roku na rok i imponujący; wreszcie ściągnęła w jeden pojęciowy kierunek wszystkie, tak liczne prawidła, dawne i nowe, chcąc z nich uczynić potężne narzędzie podstawowego zadania ustroju: zwiejszczenia kraju *(la ruralizzazione dell'Italia)*.

Ten ostatni punkt stanowi w rzeczy samej największą wartość, wartość ustawy, ale dokładniej jeszcze wartość Człowieka, wartość Wodza, który umie podnieść wszystkie serca i wolę całego narodu skierować do czynu dla wielkości Włoch.

Co do planu finansowego, który ma regulować urzeczywistnienie wielkiego przedsięwzięcia zapomocą nowych i pokaźnych sum, wpisanych obowiązkowo do budżetu z wpływów, osiągniętych z opłaty podatków państwowych, — ustawa Mussoliniego pozwala dokonać w najkrótszym czasie, na jaki pozwolą możliwości techniczne i rozporządzalna siła robocza, kompleksu nowych robót za kwotę siedmiu miljardów.

Suma ta dzieli się w sposób następujący: cztery miljardy i pół pójdą na meljorację wodną i związane z nią dodatkowe roboty: nawodnienie, komunikacje, zaopatrzenie w wodę do picia; trzysta miljonów na irygacje we Wło-

szech południowych i na wyspach, niezależnie od prac z tego samego zakresu, objętych przez meljorację wodną; pięćset miljonów na analogiczne roboty we Włoszech północnych i środkowych; pięćset miljonów na budowę osiedli wiejskich i osobnych budynków wiejskich we Włoszech południowych i na wyspach; dwieście miljonów na wodociągi po wsiach; miljard na budowę i udoskonalenie dróg, oraz na zaopatrzenie w wodę do picia obszarów obejmujących znaczniejszą liczbę gruntów.

6. ROZWÓJ ROBÓT

Tak szeroko zakrojona praca domagała się koniecznie scentralizowanych wysiłków jednego i tego samego organu rządowego.

Ponieważ roboty, objęte „wszechstronną" meljoracją, podlegały rozmaitym dykasterjom biurokratycznym, rząd faszystowski dla jednolitego ich ujęcia utworzył Podsekretarjat dla spraw meljoracyjnych, i wszystkie roboty gruntowe, nawet te, które samą siłą tradycji uważane były za dział Ministerstwa Robót Publicznych, podciągnął pod administrację Ministerstwa Rolnictwa.

Podsekretarjat meljoracyjny zaczął już swoją działalność z wiarą i z zapałem.

W obecnym stanie rzeczy możemy dotychczasowe rezultaty na polu udoskonalánia stanu ziemi narodowej wyrazić w następujących cyfrach:

Na ogólną powierzchnię 31 miljonów hektarów, 2,300.000 hektarów podpada pod meljorację wodną.

Na przeszło 700 hektarach dokonano już meljoracji, aczkolwiek połowa z nich wymaga jeszcze przeprowadzenia dróg, budowy domów i urządzeń wodociągowych, aby uchronić wyniki meljoracji i umożliwić pożyteczną uprawę gruntu.

W tej chwili są w biegu roboty wodne na przestrzeni mniej więcej 1,200.000 hektarów, a zamierzone są dalsze na przestrzeni 400.000 hektarów.

Działalność rozwijana przez państwo włoskie na polu meljoracyj da się ująć w następujące ogólne cyfry, odpowiadające kosztom robót, przedsięwziętych od daty zjednoczenia Królestwa do dzisiaj:

Roboty meljoracyjne dokonane bezpośrednio przez Państwo	L. 1.025 800.000
Roboty meljoracyjne, na które wydano koncesje Spółkom właścicieli albo osobom prywatnym . .	„ 2.804.600.000
Ogółem	L 3.830.400.000

Mniej więcej połowa powyższych robót, dokładnie za cenę 1.526,175.000 lirów przypada na ostatnie czterolecie, t. j. na okres od 1 lipca 1926 do 28 lutego 1930 r.

W zakresie robót irygacyjnych, po ogłoszeniu podstawowych ustaw z 20 maja i 17 sierpnia 1926, rozpoczął się nowy okres płodnej działalności.

W ostatniem czteroleciu wnioski w sprawie robót irygacyjnych dotyczą powierzchni 252.626 hektarów, i wymagają wkładów równych sumie 689,486.000 lirów. Udzielone dotychczas zasiłki wynoszą 62,611.000 lirów, z przypuszczalnego wydatku obliczonego dotychczas na 158,377.000 lirów, odpowiadającego nawodnionej powierzchni 69.043 hektarów. Subsydja przyznane na samo poszukiwanie wody wynoszą 3,810.000 lirów; jest to częściowa odpowiedź na 1474 podań, z których większa część jest właśnie w toku rozpatrywania, a których uwzględnienie wymagałoby wydatku 31,926.000 lirów.

Szczególnie ważne są zasiłki, udzielane na podstawie ustawy z dn. 16 czerwca 1927 średnim i drobnym właścicielom, dzierżawcom, albo administratorom gruntów, położonych w okolicach zacofanych pod względem rolniczym, na regulację gruntów, budowę dróg polnych, budynków wiejskich i urządzeń dla upoju. Uwzględniono dotychczas przeszło 1100 podań na ogólną kwotę około 40 i pół miljona, a drugie tyle jest obecnie rozpatrywanych.

Szerokie zainteresowanie okazano budownictwu wiejskiemu, na podstawie ustaw o budownictwie ludowem i Dekretu Królewskiego z 2 października 1921, udzielając pożyczek na budowę domów dla osadników. W ciągu czterolecia 1926—29 instytucje kredytowe udzieliły rolnikom pożyczek na sumę 53,644.977 lirów.

Specjalne prawodawstwo dotyczące Agro Romano, które objęło pod obowiązującą i przeprowadzaną przez właścicieli meljorację obszar około 200 tysięcy hektarów, znajdowało coraz szersze zastosowanie i zostało rozciągnięte także na inne oko-

lice. W czasie czterolecia 1926—29 opracowano i nakazano właścicielom 211 projektów przymusowej meljoracji, które obejmują powierzchnię 76 tysięcy hektarów. Na sfinansowanie tych robót udzielono od r. 1926 do 1930 — 269 pożyczek uprzywilejowanych, na ogólną sumę 208 miljonów.

Szczególnie godne zaznaczenia jest powstanie nowych ośrodków kolonizacyjnych dokoła stolicy, z zagospodarowaniem prawie 3 tysięcy hektarów ziemi.

W myśl zarządzeń prawodawczych, zmierzających do zapoczątkowania mechanicznej uprawy odłogów, wydano w latach 1926—1929 premij na przeszło cztery i pół miljona, które obrócono na głębokie przeoranie zgórą 22 tysięcy hektarów ziemi. Na sprowadzenie narzędzi do tej orki udzielono premij za miljon lirów.

W krótkim przeciągu czasu znalazły już także szerokie zastosowanie ułatwienia, związane z urządzeniem wodociągów wiejskich, a w lutym 1930 zostały już zatwierdzone projekty na sumę około 15 i pół miljona, w związku z czem udzielono zasiłków na około 11 miljonów.

Ale, obok wprowadzenia w czyn tych różnych zarządzeń, ziemia włoska oczekuje wyzwolenia przez wprowadzenie w życie ustawy o „operacjach agrarnych", podjętej ze stanowiska narodowego interesu, która pozwoli, jak to już wykazaliśmy, ześrodkować roboty meljoracyjne w okolicach najbardziej zacofanych pod względem rolniczym.

W tym celu zaklasyfikowano już 37 obszarów o powierzchni 3,823.000 hektarów, na których zawiązano, lub zawiązuje się właśnie spółki zainteresowanych w tej sprawie właścicieli, oraz opracowuje się projekty dalszych robót.

Dzięki takiemu programowi i przez tak potężny wysiłek, Włochy faszystowskie toczą wielką bitwę o wyzwolenie narodowej ziemi, narażając się dzisiaj na najcięższe ofiary w imię lepszej przyszłości Ojczyzny.

ARNALDO MUSSOLINI
Naczelny Redaktor „Popolo d' Italia"
Prezydent Narod. Komitetu Leśnego

LASY W FASZYSTOWSKICH WŁOSZECH

Lasy, konieczne dla życia i dla ogólnej gospodarki wszystkich narodów, mają szczególne znaczenie dla naszego kraju, którego terytorjum prawie w połowie stanowią góry.

Opłakany stan gór i koryt strumieni, zbocza oberwane lub grożące oberwaniem, powtarzające się raz po raz powodzie i lawiny, ubóstwo górskich okolic i rolniczej ludności, masowe opuszczanie kraju przez mieszkańców wsi, olbrzymie cyfry przywozu drzewa, wszystkie jednem słowem klęski, wynikające z wycięcia lasów — oto wymowne, niestety, i tylko przez czas dające się usunąć świadectwo niszczycielskiego obłędu i zupełnej wobec niego bezsilności dawniejszych rządów.

Ustrój faszystowski, stawiający sobie jasno jako cel najbliższy odbudowanie i wzmożenie produkcji narodowej i dobrobytu narodowego, nie mógł nie zwrócić żywej i natężonej uwagi na to palące zagadnienie. Potrafił też ująć je w całej rozciągłości.

Także i na tem polu Włosi usłyszeli wyraźny i stanowczy rozkaz: ożywcze hasło Wodza, które dało odrazu wyczuć, że nowa era polityki leśnej zabłysła na widnokręgu.

OPINJE WODZA O LASACH

Rozległy się więc zdania Benita Mussoliniego o lasach, zdania, które, dzięki swojej formie, sile i pochwyceniu samego rdzenia sprawy, obudziły pożądane echo w duszach Włochów, skłaniając ich do czynnych postanowień. Przytaczamy kilka najdobitniejszych:

„Kocham drzewa. Brońcie ich. Dopomogę wam w ich obronie".

„Przyklaskuję pracy, która ma przysporzyć krajowi nowych bogactw w górach, a na równinie zapewnić większe bez-

pieczeństwo rolnictwu. Trwajcie z zapałem i uporem w mozolnem przedsięwzięciu, aby zachować Włochom wonne lasy, które dawały Rzymowi budulec na okręty, a włoskim republikom żeglarskim pozwalały konstruować galery. Wskrzeszcie nanowo na górach naszej ojczyzny zielony płaszcz borów, który dopełni jej królewskiej piękności..."

„Pragnę dać wyraz mojemu mocnemu postanowieniu ocalenia pozostałych lasów i wskrzeszenia klasycznych gajów na obnażonych górach ojczyzny... I cieszę się, że moje słowo wiary dobiega pod Trydent, gdzie, jako wzór naśladowania godny, mieszka w sercach, obok żarliwej miłości Włoch, namiętne ukochanie lasów..."

„Przyczyny długotrwałych susz, których nie przerywają ożywcze opady atmosferyczne (oprócz kataklizmowych cyklonów), trzeba doszukiwać się w bolesnem i całkowitem wyłysieniu naszego łańcucha apenińskiego. Brak nam wielkich lasów, które rzucają szeroki, orzeźwiający cień, a z których tryskają potoki, ściągające ku sobie parę wodną, zawisłą w wysokich warstwach atmosfery i każące jej spadać na ziemię w postaci deszczu".

„W oczekiwaniu, aż drzewa zasadzone setkami tysięcy spełnią między innemi to zasadnicze zadanie podtrzymania równowagi atmosferycznej — a oczekiwanie będzie długie, nie mniej niż półwiekowe — koniecznie trzeba, i to bez zwłoki, zająć się nawadnianiem gruntów. Całkowita meljoracja rodzimych obszarów — to plan, którego spełnienie samo wystarczy, aby rozsławić na wieki rewolucję Czarnych Koszul..."

„Od morza, wieczyście ruchomego, przejdźmy do gór, które stoją na straży bezpieczeństwa naszej największej równiny i tworzą krąg pacierzowy półwyspu. Polityka górska jest rozpoczęta. Nagie wierzchołki okrywają się lasami, które Milicja Leśna sadzi i pielęgnuje".

„Bądźcie dumni z waszych gór, kochajcie życie waszych gór i niech was nie kusi pobyt w tak zwanych wielkich miastach, gdzie człowiek żyje stłoczony w pudłach z kamienia czy z cementu, bez powietrza, ze skąpem światłem, w dusznej izbie, a często wśród wielkiej nędzy. Bądźcie dumni z licznego i krzepkiego potomstwa, bo smutny byłby dla was i dla narodu dzień, w którymby miało wygasnąć plemię tęgich alpejskich górali..."

OD SŁOWA DO CZYNU — NARODOWA MILICJA LEŚNA

Duce postanowił dać narodowi sprężystą organizację techniczną i policyjną, o typie wojskowym i z dyscypliną wojskową, aby z całą ścisłością wprowadzała w życie ustawy i wykonywała roboty leśne. Stworzył więc Narodową Milicję Leśną *(la Milizia Nazionale Forestale).*

W chwili obecnej, pod wodzą Konsula Generalnego (*Console Generale),* składa się ona z 328 oficerów, 377 podoficerów, 302 doborowych żołnierzy *(militi scelti)* i 2638 szeregowych.

Przy rekrutowaniu oficerów i żołnierzy Milicji Leśnej przestrzega się ścisłych przepisów i dokonywa dokładnej selekcji. Oficerowie są przyjmowani na podstawie prawidłowego konkursu, do którego mogą stawać osoby, posiadające dyplom inżynierji cywilnej albo dyplom nauk agronomicznych. Zwycięzcy konkursu nadto (zanim zostaną dopuszczeni do spełniania samodzielnych obowiązków) muszą odbyć, jako Oficerowie-Uczniowie, specjalny kurs w Król. Wyższym Instytucie Rolniczym we Florencji.

Pobór żołnierzy przeprowadza się tak samo drogą konkursów, poczem wysyła się ich do Król. Szkoły Uczniów-Milicjantów Leśnych *(R. Scuola di Allievi Militi Forestali)* w Cittaducale.

Żołnierzy kształci się następnie na podoficerów leśnych.

Czarne Koszule umiały świetnie ująć sprawę i odpowiedziały najśmielszym oczekiwaniom, co stwierdzimy w dalszym toku tej rozprawki, w miarę jak będziemy przystępowali do rozważania rozmaitych czynności Milicji Leśnej i poszczególnych przez nią wykonywanych robót.

LASY, GAJE, PASTWISKA

Najnowsze statystyki, zawsze jeszcze mogące ulec sprostowaniu, wykazują nam powierzchnię zalesioną, wynoszącą mniejwięcej 5,545.000 hektarów, z czego 3,501.000 przypada na góry, 1,740.000 na wzgórza, a 305.000 na równiny.

Przeważna część lasów, mianowicie około 50%, znajduje się we Włoszech Północnych, 30% w środkowych, a 20% w południowych, wliczając w to wyspy.

Ponadto mamy 7,600.000 hektarów łąk, pastwisk i gruntów nieuprawnych, z czego 4,085.000 w górach, 2,403.000 na wzgórzach, 1,112.000 na równinie.

Wreszcie 3,400.000 hektarów terenów górskich podlega uprawie rolnej.

Wynika z tego, że w naszym kraju lasy, jakkolwiek posiadają istotnie charakter przeważnie górski, nie obejmują nawet połowy naszego obszaru górskiego. Tak samo i te 5,545.000 hektarów, podanych tutaj jako zalesione, nie są w całości pokryte lasem we właściwem znaczeniu tego wyrazu. Są to przeważnie lasy przetrzebione lub skarlałe, lub wreszcie złożone z samych krzaków, a tylko w znikomej części prawdziwe lasy wysokopienne.

Obraz ten wykazuje, jak wielkie i trudne jest zadanie, którego podjął się rząd faszystowski i które spada na barki Milicji Leśnej.

W opiekę nad lasami lub szczątkami lasów, stanowiącemi po największej części własność gmin lub państwa, a także własność osób prywatnych, Milicja Leśna kładzie całą energję. W ubiegłym roku 1929 spisała np. 60.600 protokółów za przestępstwa leśne.

Milicja pod kierunkiem swoich oficerów prowadzi techniczną stronę robót około zalesienia i uregulowania leśnych terenów górskich, w wypadkach, kiedy roboty te podejmuje państwo, albo też państwo przy współudziale gmin i Spółek prowincjonalnych. Tego rodzaju Spółki, przed zapanowaniem ustroju faszystowskiego, istniały zaledwie w kilku prowincjach; obecnie pozawiązywały się niemal w całych Włoszech.

Milicja Leśna kieruje również wszystkiemi robotami dla podniesienia kultury lasów, stanowiących własność instytucyj społecznych, tak jak i robotami w celu podniesienia stanu pastwisk w górach.

Milicji powierzono dalej sprawy łowiectwa i rybołóstwa w wodach górskich.

Do Wyższego Dowództwa Milicji przydzielono niektórych funkcjonarjuszów technicznych z Królewskiego Korpusu Leśnego *(Corpo Reale delle Foreste)*, którzy, czy to ze względu na wiek prekluzyjny, czy nazbyt wielką liczbę kandydatów w formacjach milicyjnych, przeszli na listę cywilną i stali się gorliwymi współpracownikami Milicji.

Rozmach, dany przez ustrój faszystowski w kierunku robót około zalesienia i doprowadzenia do należytego stanu leś-

nych obszarów w górach, w zestawieniu z opieszałością dawniejszych rządów, uwydatnia się w następujących cyfrach. Podczas kiedy w przeciągu 55 lat, od r. 1867 do 30 czerwca 1922, zalesiono zaledwie 26.200 hektarów, a doprowadzono do porządku rejony na 16.500 hektarach, to w ciągu krótkich siedmiu lat, czyli od końca r. 1922 do 30 czerwca 1929, zalesiono 5.884 hektarów i uregulowano rejony w górach na przestrzeni 15.283 hektarów.

Cyfry powyższe nie obejmują danych co do zalesienia, dokonywanego przez normalną gospodarkę w lasach państwowych.

Roboty szły w coraz szybszem tempie, tak że — jak widać z niedawnego sprawozdania gen. Agostiniego, złożonego Szefowi Rządu — przez ostatnie dwa lata zasadzono 79,500.000 drzewek i zasiano 557.000 kilogramów nasion leśnych.

Dużo starań i troskliwości poświęcono sadzeniu topoli na odpowiednich miejscach na równinie, wzdłuż tam i przewodów wodociągowych. Nadto w samym okresie sprawozdawczym od 1928 do 1929 dla podniesienia stanu pastwisk górskich zatwierdzono roboty wymagające kwoty 8,794.000 lirów, to znaczy o 159% więcej od średniej rocznej w ciągu pięciolecia 1917 do 1924; udzielono też zasiłków państwowych na sumę 2,865.000 lirów, to jest o 393% więcej od średniej w tem samem pięcioleciu.

Ale poza tą dziedziną, którą nazwiemy „ogólnemi zarządzeniami technicznemi i opieką nad obszarami leśno-pastwiskowemi gminnemi lub stanowiącemi własność innych instytucyj społecznych albo osób prywatnych", państwo faszystowskie zajęło się uregulowaniem i rozszerzeniem innej, niemniej ważnej gałęzi, jaką stanowią lasy państwowe.

GOSPODARKA W LASACH PAŃSTWOWYCH

Dużo głosów podnosiło się w przeszłości, żądając bezpośredniej interwencji państwa w sprawie utworzenia wielkich rezerwatów leśnych. Ograniczymy się do wymienienia wniosków senatora Luigi Rava, senatora Giovanni Raineri i zmarłego już senatora Luigi Luzzatti, który w ustawie z r. 1910 dał pierwszą szeroką podstawę dla urzeczywistnienia tej myśli.

Stworzono tedy specjalny Urząd Państwowych Dóbr Leśnych *(Azienda del Demanio Forestale di Stato)* w ten sposób,

że wszystkie lasy, pozostające dotychczas w zawiadywaniu Ministerstwa Skarbu, przeszły do Ministerstwa Rolnictwa, a za niemi inne, nabyte drogą kupna.

Powstał tą drogą kompleks, wynoszący 218.329 hektarów, który w okresie faszystowskim podniósł się do 226.932 hektarów, rozłożonych jak następuje:

Lasy	150.520	hektarów
Pastwiska, łąki i grunta uprawne . .	23.592	„
Obszary nieuprawne	52.820	„

Powierzchnia zalesiona, wynosząca 150.520 hektarów, dzieli się w taki sposób:

Włochy Północne	58.442	hektarów
Włochy Środkowe	28.546	„
Włochy Południowe, razem z Wyspami	63.532	„

Obszar to, rozumie się, wielce skromny, jeżeli sobie uprzytomnimy olbrzymią rozległość naszych terenów górzystych, na których żadna inna kultura nie jest możliwa, oprócz właśnie zalesienia.

Narodowej Milicji Leśnej przypadł teraz obowiązek zawiadywania i technicznego kierowania owym wspomnianym co dopiero Urzędem, noszącym obecnie nazwę: *Azienda Foreste Demaniali.*

Pod rządami faszyzmu zaszła wyraźna poprawa w stanie wszystkich lasów państwowych, dzięki pobudowaniu domów i koszar dla personelu kierowniczego i dla straży w samych lasach, albo na ich skrajach, dzięki rozszerzeniu sieci drogowej, przeprowadzeniu połączeń telegraficznych i telefonicznych, postawieniu tartaków, wodociągów i dzięki rozmaitym innym urządzeniom regulacyjnym i higjenicznym.

Skutkiem starań rządu faszystowskiego obszar Dóbr Leśnych będzie stale powiększany.

Drugiem źródłem znacznego powiększenia majątku państwowego może się stać przejście na państwo gruntów prywatnych, które trzeba będzie uregulować i zalesić na zasadzie prawa o „całkowitej meljoracji", a które dotychczas bywały tylko przejściowo poddawane przymusowej gospodarce, za uprzedniem odszkodowaniem właścicieli.

W ten sposób ustrój faszystowski spełni życzenia, dotąd napróżno wypowiadane przez wybitnych specjalistów, którzy na podstawie długiego doświadczenia wykazywali całą bezcelowość pracy na cudzych gruntach, przy płaceniu odszkodowań za czasowy sekwestr, aby potem oddawać właścicielom obszary zalesione w nadziei, że je będą szanowali, chociaż nadzieja ta bardzo prędko przechodziła w gorzkie rozczarowanie, połączone ze stratą czasu, pieniędzy i z pogorszeniem miejscowych warunków.

Inny jeszcze zasadniczy punkt polityki górskiej faszyzmu stanowi dążenie do tego, co krótko nazwano „jednolitym frontem leśnym" *(il fronte unico forestale)*.

Podkreśliliśmy już, że większą część leśnego majątku włoskiego stanowi własność gmin, a znajduje się on w stanie opłakanym i naogół nie przynosi zysku.

Wskutek bezpośredniego wejrzenia w sprawę zarządu temi lasami ze strony samego państwa, t. zn. Milicji Leśnej, nietylko będzie można zapewnić im dobrą konserwację i rozumne użytkowanie, ale, co więcej, otworzą się dla państwa i dla gmin nowe trwałe dochody, bogate źródła dla przemysłu i dla pracy regjonalnej, oraz poprawią się w pożądany sposób warunki życia mieszkańców, którzy więcej niż kiedykolwiek zrosną się z rodzinnemi górami.

I na tym punkcie, w szybkiem tempie faszystowskiem, Urząd Lasów Państwowych objął pod swój bezpośredni zarząd kompleks leśny około sześciu tysięcy hektarów, należących do czterech gmin w prowincji Catanzaro, aby zawiadywać niemi jak prawdziwym i właściwym lasem państwowym, przy wypłacaniu właścicielom czystego osiągniętego zysku.

Wreszcie Urząd Lasów Państwowych, który daje w kraju najlepszy przykład rozumnej kultury leśnej, doprowadził w ostatnich czasach do uporządkowania najważniejszych swoich lasów wysokopiennych, zdobywając w ten sposób pewność właściwego i trwałego dochodu z nich, razem ze stałą konserwacją.

GŁÓWNE PRZEPISY USTAWOWE

Oprócz wyżej wspomnianych ustaw, dotyczących utworzenia Narodowej Milicji Leśnej i Urzędu Lasów Państwowych, oraz usystematyzowania i reformy prawodawstwa w sprawie

lasów i terenów górskich, Rząd faszystowski wydał specjalne zarządzenia w celu powiększenia zasiłków państwowych dla Spółek leśnych, subwencyj na regulacje obszarów leśnych w górach, na Sekretarjat górski *(Segretariato della montagna)*, na Park narodowy w Abruzzach i Park Gran Paradiso, na uregulowanie pastwisk dla kóz itd. itd.

Przepisy te ulegają bardzo szybko udoskonaleniom, ilekroć zajdzie tego potrzeba, jak naprzykład w sprawie rozciągnięcia opieki w sposób niedopuszczający nieporozumień nad wszystkiemi lasami Włoch.

Wszelako ustawą, która w najdoskonalszy sposób wiąże między sobą i sprowadza do jedności zarządzenia, dotyczące Włoch wiejskich, jest t. zw. ustawa Mussoliniego o „całkowitej meljoracji". Aby ją skwapliwie i dokładnie wprowadzić w życie, stworzono przy Ministerstwie Rolnictwa i Leśnictwa umyślny Podsekretarjat dla meljoracyj.

Ściśle związana z doskonałem urzeczywistnieniem treści tej ustawy jest regulacja leśnych obszarów w górach, która ma odtąd z zasady, zaczynając od szczytów, zaprowadzić racjonalny system zalesienia.

To rozumne zarządzenie stanowi bezwarunkowy krok naprzód w leśnej polityce faszystowskiej.

Równolegle do wymienionych tu robót i przepisów faszyzm troszczył się o podniesienie drobnego przemysłu, który prawie zawsze stanowi najlepsze źródło dochodu mieszkańców gór.

Praktyczne badania w tym zakresie zostaną ujęte wkrótce w specjalne przepisy prawne, które dadzą nowy dowód opieki, jaką rząd faszystowski otacza mieszkańców wsi włoskich.

ORGANIZACJA SYNDYKALISTYCZNA

Robotnicy leśni, zupełnie ignorowani dawniej, lub mieszani i podporządkowywani innym kategorjom najemników, obecnie, jak ci inni, zostali wyodrębnieni i ocenieni przez korporacyjne państwo faszystowskie.

Równolegle z wyrobieniem się i prawnem uznaniem rozmaitych kategoryj pracowników podnoszą się także ich zalety w uprawianym zawodzie.

Drwale, tak jak pasterze, pozyskali własną fizjognomję zawodową i poczuli się dumni ze swojej pracy.

Ze swej strony wielki i mały przemysł odczuły dobre skutki lepszej jakości siły roboczej; ta zaś znalazła w Związkach właścicieli i przemysłowców leśnych sprawne narzędzia dla zdrowej i wzajemnej pomocy przy pracy i zbycie produktów górskich.

PROPAGANDA LEŚNA

Zasługą ustroju faszystowskiego jest, że zlał ze sobą istniejące dawniej organa propagandy leśnej, tworząc Narodowy Komitet Leśny *(Comitato Nazionale Forestale)*, którego prezesurę kompetentni Ministrowie raczyli mnie powierzyć.

Sądzę, że nie powinienem zwlekać z przedstawieniem jego działalności, już choćby dlatego, że prasa niemal codziennie propaguje ją i życzliwie wspomina.

Między innemi wskrzesiliśmy obchód Święta drzew (*Festa degli alberi*), z nowego, rozumie się, punktu widzenia, nawiązując je wyraźnie do opieki nad drzewkami, które młodzież zasadza w ziemię.

W ciągu zeszłego roku, dzięki tej uroczystości szkolnej, zasadzono miljon dwieście tysięcy drzewek, a Komitet rozdał zasłużonym 2330 nagród: dyplomów albo medali.

Parki i aleje *della Rimembranza*, twór nawskróś faszystowski, zawdzięczają także swój rozwój Komitetowi Leśnemu.

Udaną propagandę prowadzono przy pomocy szkoły i organizacyj młodzieży.

Szczególną wagę Narodowy Komitet Leśny przykłada do kinematografu, publikacyj, konferencyj, wystaw, praktycznych przykładów zalesienia.

W roku uroczystości ku czci Wirgiljusza uznałem za właściwe oblec w kształt realny wielowiekowe, a dotąd niespełnione marzenie myślicieli i uczonych, zakładając pod Mantuą Park flory, opiewanej przez poetę. Otwarcie Parku nastąpi w październiku tego roku.

I inne pomysły są w drodze do urzeczywistnienia, zamknę jednak te krótkie uwagi podkreśleniem samorzutnego i bezinteresownego zaofiarowania rąk roboczych przez mieszkańców Bazylikaty przy meljoracji kilku kompleksów górskich. Jest to znamienny i szlachetny przykład uświadomienia ludu w sprawie leśnej, a zarazem zapału faszystowskiego — przykład,

który znalazł świeżo odgłos i chwalebne naśladownictwo w prowincjach Arezzo i Forli.

NASZA POLITYKA LEŚNA W OCZACH CUDZOZIEMCÓW

Trud Szefa Rządu na polu odrodzenia lasów wywołał szerokie echo także zagranicą, gdzie wzbudził wyraźny zachwyt.

Prasa w krajach, w których leśnictwo stoi wyżej, a cześć dla lasów znajduje lepsze zrozumienie, bardzo sympatycznie komentowała faszystowski ruch w tej dziedzinie, twierdząc, iż „tyle wielkości tkwi w podobnem przedsięwzięciu, że już to samo by wystarczyło, aby imię Benita Mussoliniego uczynić nieśmiertelnem".

W pamiętnym dniu święta leśnego w Asiago powiedziałem, że „góra, która się odcina od jednostajnej szarzyzny równiny, jest najbliższa gwiazd, tak jak i lud górski, stateczny, mądry i milczący jest najbliższy sercu Italji".

Rozumne zarządzenia i roboty dotychczas wykonane przez Rząd Mussoliniego na rzecz gór i górali wtórują temu twierdzeniu i dobrze każą wróżyć o jutrze potężnych Włoch, bronionych przez faszyzm i przyozdabianych w coraz świetniejszą szatę leśną.

KSIĄŻĘ FRANCESCO
BONCOMPAGNI - LUDOVISI
Senator
Gubernator miasta Rzymu

RZYM: JEGO PRZEOBRAŻENIA, JEGO ROZWÓJ

Mimo najlepszej chęci, niełatwo jest streścić na kilku stronicach najwybitniejsze chociażby wyniki prac Namiestnictwa Rzymskiego *(Governatorato di Roma)* w ostatnich paru latach.

Należy przypomnieć zapominającym, że za szczególną zasługę faszystowskiego ustroju należy poczytać wskrzeszenie u Włochów poczucia dostojeństwa i mocy Rzymu, oraz świadomości jego posłannictwa jako stolicy Włoch faszystowskich. Stało się to przez ponowne ożywienie wartości historycznych i duchowych, a znalazło m. i. swój potężny wyraz w pamiętnej mowie, w której *Duce* wprowadził na urząd pierwszego Namiestnika Wiecznego Miasta.

Zrobiono trafną uwagę, że owo przemówienie Mussoliniego było raczej Edyktem. Mieści ono w sobie rozkaz a zarazem plan spełnienia tego rozkazu. W krótkim przeciągu lat — tak oświadczył Mussolini — Rzym musi się ukazać takim, aby zadziwił wszystkie narody świata: musi ukazać się jako gród ogromny, pełen ładu, potężny, jak był za czasów Augusta. „Oswobodzicie pień starego dębu ze wszystkiego, co go jeszcze więzi i ocienia, otworzycie przestrzeń dokoła Augusteum, Teatru Marcella, Kapitolu, Panteonu. Wszystko, co wkrąg nich wyrosło w wiekach upadku, musi zniknąć. Uwolnicie majestatyczne świątynie Rzymu chrześcijańskiego od pasorzytniczych budowli świeckich; tysiącletnie pomniki naszych dziejów muszą górować dumnie w koniecznej samotności. Dacie domy, szkoły, łaźnie, ogrody, place sportowe ludowi faszystowskiemu, który pracuje, a sprzątniecie z monumentalnych ulic Rzymu głupią sieć tramwajową, dając zamiast niej najnowsze środki komunikacyjne nowym dzielnicom, które wyrosną dookoła staro-

żytnego centrum. I trzeci Rzym rozprzestrzeni się ku Wzgórzom i ku uświęconemu po raz drugi Morzu".

To też ten, komu przypadł zaszczyt i brzemię rządzenia Rzymem w charakterze jego Gubernatora, musi na pierwsze miejsce wysunąć sprawę budownictwa, ujętego w najobszerniejszem znaczeniu tego terminu, czy to jako regulacja i rozbudowa miasta odpowiednio do jego coraz większego rozwoju demograficznego, czy jako restauracja i otoczenie właściwym szacunkiem zabytków i skarbów sztuki i historji, przekazanych nam przez epokę republikańską i cesarską, a także przez okres Odrodzenia i okres papieży.

Dziś postawienie na właściwym planie sprawy budowlanej w Wiecznem Mieście jest żywotne i na czasie także ze względu na sprzeczne z sobą a skrajne kierunki, które rozbijają na dwa obozy najzagorzalszych urbanistów. Zdaniem jednych trzeba Rzym przerobić na miasto najzupełniej odpowiadające wymaganiom wielkiej nowożytnej stolicy, z systemem wielkich arteryj, przez co jednak nieuchronnie zatrze się i zaprzepaści podział na charakterystyczne dzielnice, przekazane nam w spadku po przodkach. Zdaniem innych, Rzym starożytny należałoby zostawić nietknięty i nienaruszony, jako rzecz martwą, a całe życie Rzymu współczesnego przelać w nowe dzielnice i nowe skupienia budynków, które się postawi obok dawnego ośrodka.

Zgodnie z mojem mniemaniem powodzenie można osiągnąć jedynie przez genjalne znalezienie złotego środka między temi dwoma kierunkami.

Nienaruszalność dobudówek, tych zwłaszcza, któremi mniej sławne wieki poobstawiały boskie oblicze Wielkiej Romy, nie może i nie powinno, pod pokrywką parafjalnego sentymentalizmu, stawać się wytyczną dla dzisiejszego odrodzenia. Należy zginać kolano przed wszystkiem, co pięknego stworzyły w Wiecznem Mieście złote jego wieki, ale trzeba też mieć na pamięci, że Rzym musi się stać stolicą wymarzoną i zakreśloną przez *Duce*.

Rzym nowożytny nie może oziębnąć dla relikwij przeszłości, ale z nich, w ich sercu i w ich wymowie musi czerpać natchnienie i podnietę dla nowoczesnego życia swoich mieszkańców. Niech się więc rozwija Rzym współczesny na krańcach starego, ale niech będzie możliwe, aby dzięki kilku

rozumnie przeprowadzonym arterjom, nowoczesne życie przelewało się poprzez starą Romę. A przy wytyczaniu tych arteryj baczmy, żebyśmy nie popadli w błędy popełnione w ostatnich pięćdziesięciu latach, (o czem świadczy naprzykład ów nieszczęsny dolny odcinek *Via Nazionale*), a także w błąd ludzi, którzy nie zorjentowali się, że Rzym jest jedną z niewielu stolic, otoczonych przepięknemi górami, jak Soratte, Monte Gennaro, Montecavo, że te malownicze wierzchołki możnaby doskonale wyzyskać jako wspaniałe i nieporównane tło dla ulic w nowych dzielnicach.

Zarząd Namiestnictwa w nowych planach regulacyjnych Wiecznego Miasta liczy się z tem zagadnieniem, i dla urzeczywistnienia go. — co, jak mniemam, nastąpi w październiku roku bieżącego, — tworzy Komisję, złożoną z najpoważniejszych specjalistów w dziedzinie architektury i urbanistyki.

Narazie, w okresie ostatnich dwu lat, przeprowadzono kilka ważnych robót regulacyjnych w monumentalnych dzielnicach: w archeologicznej dzielnicy *Argentina* oraz w okolicy, w której leżą *Mercati di Traiano* i *Foro di Augusto*.

Po zburzeniu kompleksu domów pomiędzy *Corso Vittorio* a *Piazza S. Elena*. rozebranych, aby pozyskać wolne miejsce pod wielki gmach *Istituto dei Beni Stabili*, wyszła na światło dzienne duża przestrzeń w najwyższym stopniu interesująca pod względem archeologicznym. Ukazały się w ten sposób zdumionym oczom Rzymian szczątki czterech świątyń z czasów zamierzchłej starożytności, o których tylko niejasne dotychczas krążyły wieści.

Wyłoniła się natychmiast kwestja, czy należy je zachować w całości, czy tylko częściowo. W październiku 1928 r., na skutek nakazu Mussoliniego, postanowiono zachować całe to święte miejsce, i w kilka miesięcy olbrzymia robota wydobycia na wierzch i odnowienia była faktem dokonanym. W samem sercu miasta wykwitła czarowna oaza, gdzie dokoła dostojnych szczątków, na zawsze ustrzeżonych od ruiny, pinje i cyprysy wnoszą nutę poezji.

Urzędowi memu przypadł wielki zaszczyt doprowadzenia do końca na ostatnią rocznicę Marszu na Rzym, robót nad wydobyciem cudownych *Mercati Traianei*. Przewodniczył tym

pracom czcigodny senator Corrado Ricci, z dumą Włocha, z bystrością uczonego i z zapałem artysty.

Ale po budzącem tyle wzruszeń odkryciu *Mercati di Traiano*, gotowały się zaraz inne niespodzianki w tej samej okolicy starożytnego Rzymu, przeciętej przez *via Biberatica*, gdzie mieściły się inne jeszcze Fora. W najbliższej przyszłości cały Pałac Kawalerów Rodyjskich, szczęśliwie odnowiony, ukaże się w pełni swych wyniosłych i wdzięcznych kształtów. Po zburzeniu domów zaułka, jakim była naprawdę *Via Alessandrina*, Pałac Kawalerów zyskuje wylot na *Mercati Traianei*, których ostateczne odnowienie jest właśnie w toku. W ten sposób te dwa zabytki dwu wielkich epok zaczną poraz drugi żyć sławnem życiem, a tymczasem dokoła, dawna *Urbs* przywrócona do wznowionego bytu, roztoczy się coraz szerzej przed oczyma.

W pełnym biegu są inne na wielką miarę zakrojone roboty: wydzielenie Kapitolu i Teatru Marcella. Kto przechodzi dziś przez *Via Tor de' Specchi*, tego nie może nie uderzyć zmiana, jaka zaszła w wyglądzie tej części miasta, rok temu jeszcze zapchanej szpetnemi i walącemi się budami.

Kapitol, trzymający straż nad całą wielką duszą Rzymu, odzyskuje dzisiaj naprawdę swoją dostojną oprawę, złożoną z bajecznego tła, w którem dominuje z jednej strony las gmachów sędziwego Średniowiecznego Grodu, a z drugiej klasyczne Forum, z Koloseum i zieleniącą się linją *Gianicolo* i *Monte Mario*. Skała Tarpejska, uwolniona od skorupy, jaka na niej narosła w wiekach upadku, przybrała dawną postać, gdy tymczasem nieco dalej, dzień po dniu padają stare domostwa, przytłaczające potężny masyw Teatru Marcella. Mam nadzieję, że całe to kolosalne przedsięwzięcie, które pochłania mnóstwo środków technicznych i finansowych, w przeciągu kilku lat będzie mogło być doprowadzone do pomyślnego końca.

W ostatnich czasach dokonano wielu jeszcze innych prac na polu archeologicznem i artystycznem, pomyślanych nie na tak wielką skalę, ale zawsze w wysokim stopniu znaczących.

Zbadano w sposób wyczerpujący i doprowadzono do porządku Grobowiec Scypjonów przy *Via Appia*. Założono w tem miejscu śliczny park, z którego widać kawał Murów Aureljańskich, może największy fragment, jaki można objąć okiem, patrząc w stronę miasta. Wielką wojskową budowę Rzymian prze-

rywa w pewnem miejscu baszta, dzieło jednego z największych architektów odrodzenia, Antoniego da Sangallo. *Bastione Ardeatino* — tak się ta baszta zwykle nazywa, — nadzwyczajnie ważna, o ile idzie o rozwój budownictwa wojskowego, znajdowała się w stanie zupełnego zaniedbania. Galerje i kazamaty były zawalone ziemią. Dziś oczyszczono je całkowicie i zaczęto już także najbardziej pilne roboty około umocnienia budowli, z zamiarem gruntowniejszego jej odnowienia, co do którego zresztą pierwsze kroki są już zrobione.

Nieco dalej zbadano szczegółowo i odnowiono Bramę Ostyjską *(Porta Ostiense)*, która jedyna z pośród bram w starożytnych murach miejskich zachowała częściowo, pomimo średniowiecznych przeróbek, swój kształt pierwotny w kształcie zamczyska z zewnętrznym dziedzińcem i z podwójnym szeregiem przejść.

Doprowadzono do końca roboty około odnowienia szczątków Forum Augusta, jak również odkopano i w znacznej części przywrócono do należytego stanu kryptę grobową w Mauzoleum Augusta. Dokończono wreszcie restauracji Murów Miejskich.

W sierpniu zeszłego roku został otwarty dla publiczności jeden z najsłynniejszych zabytków chrześcijańskiego Rzymu: *Chiostro di S. Sisto Vecchio*, pierwsza budowla, jaką ten wielki Święty wzniósł w Rzymie. Aula kapituły pochodząca mniej więcej z roku 1220, a która w zeszłym wieku została podzielona na dwie części i zeszpecona, powróciła do dawnej postaci, poczem Namiestnictwo, które jest właścicielem gmachu, oddało go Siostrom Dominikankom z sąsiedniego klasztoru.

U stóp wzgórza Kapitolińskiego, z tyłu za pomnikiem Wiktora Emanuela, dzięki starannym robotom przy odnawianiu, przybrała przyzwoity wygląd ruina dużego domu rzymskiego, w którego murach przechowały się malownicze szczątki średniowiecznego kościołka.

W Pałacu Senatorów, poza odnowieniem kilku wewnętrznych sal, doprowadzono do dobrego stanu wielką aulę środkową, która oddana swego czasu Radzie Miejskiej, od kilku lat smutny przedstawiała widok. Obecnie odzyskała ona godność przynależną największej sali kapitolińskiej, przeznaczonej na uroczyste zgromadzenia, które tak często mają miejsce w Rzymie.

W Pałacu Konserwatorów, obok Pinakoteki, otwarto nową galerję, przybraną arrasami z osiemnastego wieku i umieszczono

w niej bogate zbiory porcelany, stanowiące własność Kapitolu. Doprowadzono również do porządku Pinakotekę i Muzeum Mussoliniego, a także dokończono restauracji małej kapliczki, wzniesionej przez mojego wielkiego przodka, Grzegorza XIII.

W rocznicę Marszu na Rzym zostało otwarte, w znacznie powiększonych rozmiarach, Antykwarjum, niegdyś Składnica archeologiczna, wystawiona w r. 1895, dla przyjmowania całego materjału, który dzień w dzień przychodził do Rzymu, a dla którego nie było miejsca w Muzeach Kapitolińskich.

Doprowadzono do porządku *Museo dell' Impero* w nowej siedzibie, w pałacu na *Piazza dei Cerchi*, gdzie zbiory znalazły godniejsze siebie pomieszczenie i gdzie jest jeszcze dużo wolnego miejsca na dalsze rozszerzanie tej ważnej instytucji.

Wkrótce zostanie otwarte nowe interesujące Muzeum, które będzie się mieściło w tym samym pałacu: Muzeum Rzymu, powstające pod dobremi auspicjami.

*

Ale obok tych prac odnowicielskich i wskrzeszających jego pełną chwały przeszłość, — Rzym dokonał w ostatnich latach wielu i to nie mniej ważnych kroków na polu nowoczesnej urbanistyki.

Od spisu ludności z r. 1921 do końca r. 1929, liczba mieszkańców wzrosła od 691.661 do mniej więcej 922.000. Czyli że w przeciągu ośmiu lat ludność stolicy podniosła się przeszło o 230.000, a więc w stosunku 33%. Rzym, znaczy, jest miastem, które wykazuje raptowny przyrost demograficzny, ale co jeszcze ważniejsze, z pośród wielkich miast jest on może jednem z bardzo niewielu, które mają bardzo wysoki przyrost naturalny.

Pod względem liczby urodzeń stolica zajmuje jedno z pierwszych miejsc pomiędzy ośmioma miastami, mającemi ponad 100.000 mieszkańców, a przewyższają ją tylko Bari, Taranto, Palermo i Neapol.

Godny szczególnego podkreślenia jest fakt, że liczba noworodków żywych stale się powiększa, gdy tymczasem odsetek śmierci jest nader niski i ustawicznie jeszcze spada.

Trzeba też zaznaczyć dość znaczne obniżenie się śmiertelności wśród dzieci, co nietylko dobrze świadczy o akcji opieki nad dziećmi, ale o coraz lepszych warunkach higjenicznych, jakie panują w Wiecznem Mieście.

Poprawa warunków życia w stolicy nie ulega wątpliwości. Jako dowód możemy wskazać także ruch budowlany, który w ostatnich czasach ożywił się w sposób poprostu imponujący.

Zresztą silny puls życia stolicy przebija także i z wielu innych objawów, nad któremi szczupłe ramy niniejszego przedstawienia nie pozwalają mi się zatrzymywać. Pośród nich bardzo wymowny jest ruch uliczny, który wykazuje bardzo interesujące cyfry.

Potrzeby tego wzmożonego tętna życia i ruchu stały się punktem wyjścia dla świeżo wprowadzonej śmiałej reformy: zorganizowania lokomocji zbiorowej.

Przyrost ludności i gwałtowne powiększenie się środków lokomocji sprawiły, że ulice w wielkich miastach nie wystarczają już dzisiaj na pomieszczenie całego zawrotnego ruchu, jezdnego i pieszego, jaki pociąga za sobą gorączkowy rytm obecnego życia.

Zwłaszcza tramwaje naziemne, skutkiem nieprzesuwalności swoich urządzeń, stanowią wszędzie największe utrudnienie dla ruchu ulicznego i są najczęstszym powodem zatorów. Z drugiej strony komunikacja tramwajowa coraz bardziej rozszerza się przez to, że miasta rozbudowują się i rozrastają, a tem samem coraz bardziej paląca staje się dla nowych dzielnic sprawa jak najszybszych połączeń.

To też możliwość zastąpienia tramwajów naziemnych przez inne środki lokomocji, któreby w takim stopniu nie tamowały ruchu ulicznego, jest dla nas, tak jak i dla wielu innych miast, kwestją pierwszorzędnej wagi.

Dla Rzymu jest ona jeszcze bardziej paląca. W rzeczy samej, jeżeli w nowożytnych stolicach można mówić o warunkach odpowiednich dla ruchu tramwajowego przez to, że arterje są szerokie i że, w razie potrzeby, można uciekać się do tak radykalnych środków, jak przebijanie nowych ulic w dzielnicach ciaśniej zabudowanych, to zastąpienie tramwajów przez autobusy i wyższość tych ostatnich nie może ulegać wątpliwości w miastach o charakterze historycznym i zabytkowym jak Rzym, gdzie ulice w śródmieściach są wąskie i nie nadają się dla tramwajów, i gdzie nadto szacunek i ochrona bezcennych skarbów sztuki nie dopuszcza do przeprowadzania na szerszą skalę robót, nieodzownych dla potrzeb nowoczesnej komunikacji.

Ta zasadnicza potrzeba kierowała postanowieniem, wydanem 1 stycznia roku bieżącego, w sprawie usunięcia ze śródmieścia Wiecznego Miasta niewygodnej lokomocji tramwajowej a zastąpienia jej przez autobusy.

Reforma — jak się mogli przekonać wszyscy, nawet już pośród nieuniknionego zamieszania w pierwszym okresie po wprowadzeniu nowego systemu — przyniosła pierwszorzędne korzyści. Są niemi:

1) Uniknięcie zatorów ruchu w najbardziej ożywionych punktach miasta. Główne ulice zostały uwolnione od tramwajów na ogólnej długości przeszło 20 kilometrów.

2) Szybkość zbiorowej lokomocji. Po uwolnieniu główniejszych ulic od ruchu tramwajowego, samochody — mniejsze i zwinniejsze — mogą na swojej drodze rozwinąć szybkość średnią o wiele większą, i o wiele prędzej niż dawniej dojechać z jednego miejsca na drugie. Na wielu kursach publiczność oszczędza połowę a nieraz i więcej niż połowę czasu, jakiego potrzebowała na jazdę tramwajami, i to jest ogromna wygrana, z której publiczność doskonale zdaje sobie sprawę. Można powiedzieć, że nowy system uczynił samochody dostępnemi dla wszystkich.

3) Kilka najważniejszych ulic i dzielnic, obfitujących w okazałe zabytki jak Forum Augusta lub Trajana, Panteon, Largo Argentina, Piazza di Spagna i t. d., zyskały niezmiernie na piękności i powadze. Rzymianie, którzy są dumni i zazdrośni o prymat swojego miasta pod względem archeologicznych zabytków, umieją w zupełności ocenić całą estetyczną doniosłość tej zmiany.

Należy przewidywać, że oprócz tych pierwszych, doraźnych korzyści, okażą się później dla miasta jeszcze inne, niemniej od tych ważne. Najgłówniejsza to ta, że w przeciągu lat najbliższych będzie można poukładać bruki najnowszego systemu na ulicach śródmieścia, gdy dotychczas rujnowały nawierzchnie zarówno krzyżujące się szyny jak i sam ruch tramwajowy.

Po pierwszym próbnym okresie zżywania się z nowym stanem rzeczy, Rzymianie przestali już dzisiaj żałować starych tramwajów.

Jedynie tylko ci, którzy nie mogą wyleczyć się z rozczarowania skutkiem powodzenia tej innowacji, chronią się do

ostatniego szańca, jaki im jeszcze został, i rozpowiadają na cały głos o niebezpieczeństwie finansowem nowego systemu lokomocji dla gospodarki miejskiej. Twierdzę, że budżet nie bardzo odczuje ten ciężar, ponieważ wynagrodzą go w części niemałe oszczędności w wydatkach na konserwację bruków i kanalizacji podziemnej na owych 22 kilometrach, uwolnionych od ruchu tramwajowego. Ale choćby nawet była mowa o zwiększeniu się kosztów, trzeba pomyśleć, że stanowią one część wydatków obracanych na podniesienie i utrzymanie przyzwoitego wyglądu stolicy. Z tego samego stanowiska należy zapatrywać się na wydatki poniesione na prowadzenie wielkiej Opery, zakładanie i utrzymywanie parków i wszelkie przedsięwzięcia, wypływające z faktu, że Rzym jest stolicą Włoch.

Nie chcę przez to bynamniej powiedzieć, że doszliśmy do ideału; przeciwnie, zarząd tramwajów i autobusów ma obowiązek udoskonalać obecną sieć, tak żeby coraz lepiej odpowiadała potrzebom mieszkańców. Niełatwe to zadanie, jednakże zupełnie naturalne, gdy idzie o urządzenia tego rodzaju, mające zaspakajać potrzeby ruchu, które zmieniają się z dnia na dzień w gorączkowem tempie życia wielkiej stolicy.

*

U przybyszów, którzy rozwoju Rzymu nie śledzili dzień za dniem, ale wracają do niego po pięciu czy sześciu latach nieobecności, musi wywołać zachwyt dzieło, jakiem jest rozwój Ostji.

Z wielkich stolic świata, które odrazu nie zostały wybudowane nad brzegiem morskim, żadna nie może się pochlubić mniejszą od Rzymu odległością od morza. A przecież chluba ta od wieków nie była wyzyskana; panował zupełny brak zrozumienia tego tak jasnego faktu. Nawet w wielkich epokach po cesarstwie, nawet w złotych wiekach, które wracały do odbudowy Wiecznego Miasta, „poczucie śródziemnomorskie“ zacierało się jakoś w umysłach artystów i ich mecenasów.

A brzeg Eneasza pogodził się z losem, że jest daleki oczom, bo jest daleki sercom.

Jest niezaprzeczoną zasługą Mussoliniego, że darował stolicy nieodzowny oddech morza, dzięki nowemu gościńcowi, oddanemu do użytku 28 października 1928, oświetlonemu elek-

trycznie w sposób może jedyny, a przynajmniej nie spotykany na zwykłych drogach na świecie. Ta autostrada, która łączy stolicę z jej legendarnem wybrzeżem, jest dziś jednym z „faktów dokonanych", tak bardzo leżących na sercu nowym Włochom, faktów, które w swojej potężnej wymowie zajęły miejsce pustych lirycznych wylewów przebrzmiałej już dziś literatury urzędowej, pełnej retorycznych obietnic i wątpliwych przesłanek.

Ludzie, którzy przed rewolucją faszystowską dotknęli lękliwie różnych spraw, dotyczących rozwoju Ostji, nietylko mieli wątłą wiarę w przyszłe koleje Rzymu, ale nawet wykazali mało zrozumienia dla jego istotnych potrzeb. Stary Plan Regulacyjny dowodzi, że na Ostję zapatrywano się zawsze jak na lichą mieścinę, nie rozumiejąc, że stolica winna wyciągnąć swe odnogi ku morzu. Tymczasem *Duce* postanowił, aby zakreślić zgóry miastu portowemu plan przyszłego rozwoju i odrazu zakroić je na wspaniałą skalę, stworzyć ważne centrum z szeroko założonemi ulicami, zwłaszcza nad morzem, dać mu wysadzane drzewami aleje i obszerne parki. Projekt ten opracowano niedawno w nowym Planie Regulacyjnym Ostji-Portu, już ogłoszonym.

I gdy z jednej strony zabrano się usilnie do budowy, z drugiej zaopatrzono Ostję w urządzenia wodociągowe i w doskonały system kanalizacyjny, tak że to wybrzeże pozyskało uprzywilejowane wprost, w porównaniu z wieloma innemi, warunki higjeniczne. W tej chwili jest na porządku dziennym sprawa przedłużenia Viale della Marina ku Castel Fusano, stworzenia wytwornej dzielnicy i wspaniałego parku, oraz powiększenia lasku pinjowego. Tymczasem dokoła Ostji wyrastają już ogromne fabryki, świadczące o cudownym rozwoju zwycięskiego narodu.

Tak więc faszyzm nietylko dał narodowi radość z pozyskania morza na pokrzepienie ciała i uszlachetnienie duszy, lecz obdarzył jeszcze stolicę plażą, nieporównaną przez piękność przyrody i pierwszorzędne urządzenia.

*

Ruch budowlany na krańcach stolicy przybrał w ostatnich latach rozmiary naprawdę zdumiewające.

Jeżeli nie można jeszcze uważać za przezwyciężony kryzysu mieszkaniowego, który zresztą trapi wszystkie wielkie

miasta zagranicą, to w każdym razie wolno twierdzić z pewnością, że ostre jego stadjum dla Rzymu należy już do przeszłości. Dziś liczba mieszkańców na izbę wynosi mniejwięcej 1.38, to jest o wiele mniej niż w innych wielkich centrach.

Namiestnictwo starało się przychodzić z pomocą inicjatywie prywatnej, ułatwiając przewłaszczenie placów pod budowę, przyśpieszając urządzenia miejskie w okolicach, gdzie powstawały nowe budowle (ulice, kanalizacja, woda, budynki szkolne i t. d.).

Nie ulega wątpliwości, że z pomiędzy zadań, przypadających władzom miejskim na polu urządzeń publicznych, jednem z najdrażliwszych i najtrudniejszych jest tworzenie nowych ulic i troska o stan istniejących. Sprawa to zawiła dla wszystkich nowoczesnych miast, w których ruch bardzo się rozwinął i gdzie wprowadzenie bardzo ciężkich a szybkobieżnych wehikułów wystawia na twarde próby nawet najwytrzymalsze bruki. Pomimo to możemy stwierdzić z zadowoleniem, że i z tego punktu widzenia miasto nasze zdobyło się na wygląd naprawdę godny stolicy wielkiego narodu.

Duży krok naprzód zrobiła sprawa kanalizacji, dzięki pomocy państwa, które wzięło na siebie budowę najważniejszych kolektorów. Sieć, licząca w r. 1919 — 350.000 metrów, obecnie ma długość mniej więcej 600.000 metrów. W chwili obecnej znajdują się w budowie trzy nowe kolektory na krańcach miasta.

*

Sprawa dostarczenia wody dla Rzymu jest szczególnie doniosła. Gdy z jednej strony szybkim krokiem idą naprzód studja przygotowawcze w sprawie nowego akweduktu z Peschiery, z drugiej przystąpiono już, — a ukończenia należy oczekiwać za parę lat — do przebudowy akweduktu Vergine, tak aby odzyskać tę całą ilość wody, którą obecnie traci się po drodze w starym akwedukcie, i aby przez podźwignięcie jej na wyższy poziom, móc ją rozdzielić pomiędzy rozmaite dzielnice miasta. Woda Vergine, nazywana pospolicie wodą z Trevi, posiada szczególne zalety i jest wysoko ceniona przez wszystkich mieszkańców Rzymu. O przywróceniu do dobrego stanu akweduktu Vergine (dzieła budownictwa, sięgającego ostatnich lat z przed narodzenia Chrystusa) mówiło się już od długiego

czasu. Głębsze wniknięcie w obecne potrzeby zaopatrzenia miasta w wodę, skłoniło mnie do przezwyciężenia trudności, jakie stały na drodze do urzeczywistnienia tego zadania, naprawdę godnego Rzymu. Projekt przewiduje budowę wielkiego dźwigu, koło Sorgenti di Salone, zdolnego na początek podnieść przynajmniej 650 litrów wody na sekundę, sprowadzenie i instalację rur metalowych długości około 14 kilometrów, wybudowanie zbiorników i rozmaitych innych urządzeń, utworzenie nowej sieci na wysokim poziomie w samem mieście, zamiast sieci na niskim poziomie, która nie daje już dostatecznej gwarancji ze względu na swój wiek i w żadnym razie nie nadawałaby się do użytku przy wielkiem ciśnieniu. Całkowity koszt odbudowy akweduktu pochłonie 27 miljonów lirów.

Korzyść, jaką stolica odniesie dzięki tej nowej zdobyczy, będzie ogromna, jeżeli zważymy, że 650 litrów na sekundę stanowi dostateczną ilość do obsłużenia około 600.000 mieszkańców, przyczem wypada po 100 litrów dziennie na głowę. Pozostaje jeszcze ponadto 250 litrów wody Vergine, która będzie w dalszym ciągu płynęła starym akweduktem na zasilenie fontann i na użytek publiczny wogóle.

Przy planowaniu nowej sieci ma się na oku możność połączenia jej ze staremi systemami rur, którędy przypływa do Rzymu woda do picia, tak aby w razie smutnej ewentualności uszkodzenia jednego z akweduktów, można było choćby w ograniczonej mierze korzystać z zapasów wodnych, jakie znajdują się w pozostałych.

*

Nie zaniedbano niczego, aby szkoły pod względem poziomu i urządzeń zostały dociągnięte do szybkiego wzrostu zaludnienia stolicy.

Dano sobie nawet radę z trudną sprawą budownictwa szkolnego. W ciągu ostatnich dwu lat zostały oddane do użytku imponujące gmachy szkolne: „Baccarini“ przy Via Sforza, „A. Diaz“ przy Via Spezia, oraz szkoły w Torpignattara, w Borgo Acilia i w Cesano. W budowie znajdują się obecnie duże gmachy szkolne w Tor di Quinto, przy Viale Angelico, na Monte Mario, przy Via Orvieto, przy Garbatella, przy Porta Furba i w Villa Lancellotti. Wkrótce rozpocznie się stawianie nowych budynków szkolnych w dzielnicach Monteverde, Flaminio, Pa-

rioli, Appia Nuova, Tuscolano, Centocelle, San Paolo, Vigna Narducci.

W dawnych gmachach obmyśla się ciągłe ulepszenia: w tym roku w dziesięciu z nich zaprowadzono ogrzewanie centralne. Dużo pracy włożono w urządzenie pomocy szkolnych, zwłaszcza dla dzieci ze sfer mniej zamożnych, zgodnie ze wskazaniami Rządu Narodowego, który chce zupełnie odmienić oblicze ojczyzny przez podniesienie ludu i uświadomienie go co do jego przeszłości i teraźniejszej roli.

*

Zdając sobie sprawę z wielkiej wagi, jaką wyzwoleńczy faszyzm przywiązuje do zagadnień opieki społecznej, Namiestnictwo rozwinęło w ostatnich czasach ożywioną działalność na tem polu, szczególnie w zakresie obrony dziecka, walki z gruźlicą, zwalczania żebractwa i w kwestji mieszkaniowej, wyjątkowo ważnej, nietylko ze względu na ogólne położenie Rzymu, ale także z tego powodu, że nadszedł moment przejścia od wojennego systemu ochrony lokatorów do systemu wolnego najmu.

Co do opieki nad dziećmi wszedłem w najściślejsze stosunki i nawiązałem współpracę z Patronatem Szkolnym i z Fundacją Dobroczynną Kolonij Di Donato, tak że zrobiłem z nich prawie instytucje Namiestnictwa. Patronat Szkolny, który trzyma prym pomiędzy innemi Patronatami w Królestwie, dzięki najdoskonalszej organizacji, ma w swojej opiece przeszło 25.000 uczniów ze szkół Namiestnictwa; w tym roku założył 400 szkolnych świetlic (*Doposcuola* i *Dopoasilo*), współzawodnicząc z Namiestnictwem w zapomogach rocznych, które dzisiaj wynoszą już trzy i pół miljona lirów, rozdaje posiłki, odzież, książki, obuwie, przybory szkolne i t. d.

W zeszłym roku postanowiłem zaznajomić mieszkańców stolicy z postępami na polu opieki nad młodzieżą szkolną, urządzając w Casale Gualtiero na Colle Oppio pierwszy pokaz prac uczniowskich wykonanych w świetlicach. Dotąd nie zatarło się wspomnienie powodzenia wystawy, która była prawdziwą rewelacją.

Przez współpracę z Fundacją Di Donato rozszerzyliśmy działalność Stałych Kolonij Szkolnych. Mamy ich dzisiaj trzy: Narni, Lanuvio i Formia, a pobyt w nich przedłużyliśmy, tak

aby go uzgodnić z rokiem szkolnym. Sądy wszystkich, którzy je zwiedzali — Włochów i cudzoziemców — potwierdzają ich nadzwyczajne pod każdym względem zalety. Rozszerzono także działalność Kolonij Letnich przez nabycie wielkiego gmachu w Riccione w otoczeniu obszernego lasu, a przez rozszerzenie i podniesienie zakładów Fundacji Di Donato w Nardi i w Formia, zapewniono na parę lat coraz lepszy rozwój tym placówkom dobroczynnym. W r. 1929 do spółki ze stałemi Kolonjami Dziennemi, prowadzonemi przez Patronat Szkolny, przez Fundację Dobroczynną Di Donato i przez Narodowe Towarzystwo Opieki nad Południem Włoch, z przytułkami pozostającemi w bezpośredniem zawiadywaniu Urzędu Higjeny, oraz Kolonjami w Cingoli, Lanuvio, Caprarola, Cittaducale, Paganica i Amatrice, w Ostji, w Polverini nad Tybrem, na Monte Mario i w Vigna Narducci — Namiestnictwo miało w swojej opiece i w leczeniu przeszło 7.800 dzieci.

Rezultaty walki z żebractwem osiągnęły również bardziej widome powodzenie, ponieważ otwarcie przytułku dla żebraków, który dziś przyjmuje 350 starców, i działalność rozwijana przez różne organizacje doprowadziły nareszcie do zniknięcia tej plagi Wiecznego Miasta.

Sprawa mieszkaniowa, jeżeli szło o sfery mniej zamożne, pozostawała dotychczas w rękach pełnego zapału Instytutu Domów Ludowych. W tym roku musiało się nią zająć samo Namiestnictwo, także i ze względu na bliski termin powrotu do systemu wolnego najmu.

To też poza zwykłą pomocą dla bezdomnych i stopniowem usuwaniem ognisk zarazy fizycznej i moralnej, jakiemi są pozostałe jeszcze baraki, Namiestnictwo musiało obmyśleć inne jeszcze środki i sposoby, aby móc na szerszą skalę wynaleźć tanie pomieszczenia dla najuboższej ludności.

Ponieważ ze względu na rozmaitego rodzaju trudności (— między któremi przeszkody natury finansowej bynajmniej nie stały na ostatnim planie —) Namiestnictwo nie było w możności przystąpić poprostu do budowania albo do wzięcia w swoje ręce nowych tanich mieszkań, udało mi się dostać do rozpodzenia na termin pomiędzy rokiem 1930 a pierwszemi miesiącami 1931 r. znaczną liczbę izb, a to dzięki pewnemu pomysłowi, który zyskał sobie powszechne uznanie. Ograniczono

mianowicie do prostego zasiłku w sumie 1.000 lirów za izbę udział Namiestnictwa w przedsiębiorstwach, które w określonym terminie muszą przygotować mieszkania, odpowiadające koniecznym potrzebom dla wynajęcia ich mniej zamożnym rodzinom po cenie nie wyższej nad 60 lirów miesięcznie na przeciąg lat pięciu. W ten sposób od dziś za rok zdobędziemy około 10.000 izb po umiarkowanej cenie; pierwsze mieszkania będą gotowe do użytku na maj i czerwiec przyszłego roku, w przyzwoitych domach, zaopatrzonych we wszystkie higieniczne urządzenia.

Jako uzupełnienie opieki nad bezdomnymi Namiestnictwo prowadzi na własny rachunek budowę tysiąca izb typu „Pater", których koszt, nie wyższy nad 5.000 lirów od izby, pozwoli wynająć te mieszkania za bardzo skromną cenę. Nadto w dzielnicy Acqua Bulicante przygotowuje się szereg domków wiejskich, pełnych powietrza i słońca, każdy z małym kawałkiem gruntu dla założenia ogródka, a przeznaczonych dla najbiedniejszych.

Ręka w rękę z tą tak rozległą opieką społeczną idzie i codzień lepszemi środkami rozporządza opieka sanitarna, zwłaszcza walka z gruźlicą i z malarją w Agro Romano, gdzie już utworzono parę nowych ośrodków zdrowia. Powiększono znacznie liczbę lekarzy sanitarnych, dokonano rewizyj mieszkań pod względem higjenicznym i rozszerzono dyżury nocne lekarzy i aptek. Świeżo uruchomiony ośrodek przeciwgruźliczy jest wzorem dla tego rodzaju instytucyj, szpital morski w Ostji, który zarazem gra rolę domu zdrowia dla dzieci gruźlików i jest na wykończeniu, stanowi jeden z największych i najlepiej zorganizowanych zakładów. Badania lekarskie, mające na celu coraz lepsze docieranie do ognisk zarazy, przeprowadzane są gorliwie w czterech przychodniach (Centrala, Regina Elena, Tiberino, Umberto I). Żeby dać pojęcie, w cyfrach, o tej działalności, wystarczy zaznaczyć, że ogólna liczba porad od września 1928 r. do sierpnia 1929 r. podniosła się do jakichś 70.000 w porównaniu z 50.000 udzielonemi w roku poprzednim.

*

Przegląd ten rozrósłby się nadmiernie, gdybyśmy mieli brać pod uwagę wszystkie różnorodne prace wykonane przez Namiestnictwo Rzymu.

Zaznaczę krótko, że jeżeli z jednej strony dokładano wszelkich starań dla załatwienia spraw koniecznych, to skądinąd bardzo wiele się robiło w dziedzinie czysto estetycznej, dla podniesienia poziomu i uroku stolicy w najszerszem tych słów znaczeniu, zaczynając od nowych świeżo otwartych hal targowych na Piazza dell'Unità i Piazza Principe di Napoli, od parków i ogrodów miejskich, a kończąc na tym cudownym przybytku, jakim się stała obecnie Opera Królewska.

Ocalono od upadku Park Umberto, zaopatrując go obficiej w wodę, sprowadzając nowe rośliny i poprawiając stan jego wielkich alej. Miasto wzbogaciło się w ostatnich latach o kilka nowych ogrodów publicznych; wymienię wśród najpiękniejszych wspaniały park na Colle Oppio, park Rimembranza, nową część tak zwanej Passeggiata Archeologica, obok wprowadzenia zieloności na wielu placach i ulicach.

Opera Królewska, przerobiona i otwarta przed dwoma laty pod protektoratem Mussoliniego i gorliwem kierownictwem mojego poprzednika, położyła kres wyraźnemu upośledzeniu, jakie cierpiał Rzym w porównaniu z innemi stolicami na polu sztuki operowej. Obecne roboty udoskonaliły urządzenie sceny zapomocą maszynerji, która stanowi ostatni wyraz zdobyczy w tej dziedzinie.

Nie roszczę pretensyj, aby na tych stronicach przedstawić całokształt faszystowskiego odrodzenia Wiecznego miasta; zbyt wiele byłoby jeszcze do powiedzenia, szczególniej o tem, co uczyniły dla stolicy inne Instytucje społeczne, a na pierwszem miejscu Rząd.

Starałem się tylko napisać parę stronic, wolnych od retoryki, na których, sądzę, zdołałem dać wyraz mojemu wielkiemu i wiernemu umiłowaniu Rzymu, tego Rzymu, który wielkie duchy włoskie widziały w dalekiem marzeniu, a który dziś, dzięki faszyzmowi, wchodzi w świat rzeczywistości, śmiało, zdecydowanie, z mocą życia, jaka bije od całego narodu włoskiego. Dla losów Rzymu Benito Mussolini wysilił cały swój umysł i całe wielkie serce, w przekonaniu, że pełne wskrzeszenie starożytnej i rzymskiej tężyzny jest nieodzowną podstawą odrodzenia włoskiego. I dzisiaj, kiedy faszyzm i rzymskość świecą na jednym poziomie, dzisiaj, kiedy Kapitol stał się znowu „Świętem Wzgórzem", w którem streszczają się dzieje narodu wło-

skiego, dzisiaj niema ani jednego miejsca we Włoszech, gdzieby nie wyczuwano, że w wyrazie *Rzym* brzmią wszystkie chwały i wszystkie wspaniałości Italji.

To też posągi Prowincyj na ołtarzu Ojczyzny przestały już być zimnemi alegorjami: zdają się żyć i mierzyć swoj puls według rytmu Rzymu. Każda myśl o wielkości Włoch utożsamia się z ideą rzymską. Niema syna Włoch, któryby nie był synem Rzymu, tego Rzymu, co według obrazowego wyrażenia Benita Mussoliniego „staje się mózgiem coraz bardziej myślącym i sercem coraz bardziej płonącem całego narodu".

GIOVANNI GENTILE
Profesor Uniwersytetu w Rzymie
Senator, b. Minister Oświaty
Prezydent Faszystowskiego Instytutu Kultury

INSTYTUCJE KULTURALNE WŁOCH FASZYSTOWSKICH

I

Jest pięć najbardziej pamiętnych wydarzeń dla rozwoju kultury narodowej w ostatnim okresie historji Włoch powojennych, mianowicie:

1) reforma szkolna, przeprowadzona w roku 1923;

2) założenie Narodowej Rady Badań Naukowych *(Consiglio Nazionale delle Ricerche)*, która, utworzona w roku 1923 jako organ międzynarodowego Komitetu Akademij, została w r. 1926 rozszerzona i przekształcona na centralny narodowy instytut naukowy;

3) rozszerzenie Instytutu Między-uniwersyteckiego *(L' Istituto Interuniversitario)* i założenie Królewskiego Uniwersytetu dla cudzoziemców *(Reale Università per gli stranieri)* w Perugji;

4) założenie Narodowego Faszystowskiego Instytutu Kultury *(L'Istituto Nazionale Fascista di Cultura)*;

5) założenie Królewskiej Akademji Włoskiej *(Reale Accademia d'Italia)*.

II

Reforma szkolna była faktem przełomowym. Pisało się o niej tak wiele we Włoszech i zagranicą, że wszelkie nowe wyjaśnienia i informacje mogłyby się wydawać zbędnemi, gdyby nie zachodziła potrzeba omówienia jej na tem miejscu jako ilustracji do działalności ustroju faszystowskiego na polu kultury. Działalność tę można scharakteryzować jako próbę wprowadzenia do szkoły, do badań naukowych, do kultury narodowej, tego samego ducha rzetelności, powagi, ześrodkowa-

nia wszystkich sił na życiu moralnem narodu włoskiego, a co za tem idzie, ducha ofiarności jednostki dla Ojczyzny i dla wszystkich szczytnych ideałów, których Ojczyzna jest symbolem — słowem, jako próbę wprowadzenia do szkół ducha, który po wojnie światowej wniósł faszyzm we Włoszech do walki politycznej i do akcji rządowej. Duch to etyczny i religijny, który nie uznaje wartości i interesów jednostkowych, chyba tylko o tyle, o ile się one organizują, zlewają, a tem samem utożsamiają z wartościami i interesami wyższemi i wspólnemi dla wszystkich jednostek w państwie. Zatem koncepcja państwa, nie jako nadbudowy, uciskającej życie i wolność indywidualną, ale przeciwnie, jako pełnej realizacji bytowania społecznego, realizacji w formach wytworzonych przez historję, w których duch daje znać o sobie. Państwo etyczne, ponieważ rozumiane nie jako granica osobowości poszczególnych jednostek, ale właśnie jako sam jej istotny rdzeń, jako podstawa wszelkich poczynań jednostki, która kształtuje się na zasadach wartości istotnie i bezwzględnie uniwersalnych, a tem samem która żyje i umiera nie dlatego, że jest posłuszna pozytywnemu prawu, ale że się stosuje do najwyższego ideału, jaki może zapanować nad jej sumieniem.

Tak pojmowanemu państwu, obok innych podstawowych czynności, przypada i wychowanie narodowe: wychowanie całej osobowości obywatela: jego intelektu i duszy. Nauka, która jest potęgą człowieka jako jednostki i jako członka narodu, stanowi jedną z najważniejszych potrzeb jego życia. Ale nie wystarcza mu nauka jako prosta wiedza o różnych rzeczach. Trzeba mu zarazem takiej nauki, która jest zastanowieniem się człowieka nad sobą samym i z której płyną przekonania praktyczne, orjentacja w świecie, wiara. Bo człowiek napróżno rozszerzałby zakres swoich wiadomości, gdyby to nowe światło nie było zarazem dla niego ciepłem i siłą, dzięki któremu może z najwyższem zaufaniem do samego siebie przystępować do olbrzymiego zadania odnawiania i przeobrażania rzeczywistości. Prawdziwa wiedza to czyn. A czyn nie wypływa z czystej kontemplacji rzeczy, takich jakiemi są, ale z wewnętrznej potrzeby i siły, z wewnętrznej pewności, że dzięki czynom ludzkim rzeczy mogą podlegać zmianom, zgodnie z naszemi pragnieniami i naszemi ideałami. To też wychowanie, jakiemu

powinno patronować państwo, musi być nietylko moralne, ale także religijne. Dochodzi zaś do zaprzeczenia najistotniejszych i najżywotniejszych prerogatyw państwa, kto przyznaje mu co najwyżej rolę wychowawcy, ograniczonego li tylko do wychowania intelektualnego, zachowując jednostce, rodzinie i Kościołowi cały wpływ na kształcenie dziecka w dziedzinie etyczno-religijnej. Państwo może wprawdzie przelać na Kościół część akcyj, które chce prowadzić dla osiągnięcia własnych celów, tak jak może pewne sprawy powierzyć różnym instytucjom czy nawet osobom szczególnie kompetentnym; nie znaczy to jednak, jakoby te strony wychowania dzieci nie wchodziły w dziedzinę działalności państwowej, raczej, przeciwnie, podkreśla, że podpadają one pod nią i że państwo nie może pozostawać w stosunku do nich obojętnem.

Taki był więc duch reformy szkolnej, którą rozpoczęto w roku 1923 od nakazu, aby we wszystkich szkołach ludowych umieszczono krucyfiks. Kładąc w ten sposób kres półwiekowym sporom, toczonym w prasie politycznej i szkolnej i w parlamencie, postanowili twórcy reformy wprowadzić nanowo do szkół elementarnych nauczanie religji według obrządku rzymsko-katolickiego, to znaczy w postaci zgodnej z wyznaniem ogromnej większości Włochów i z tysiącletnią ich tradycją. Taki sam był i duch Konkordatu z 11 lutego 1929, wypływający nietylko z litery tego dokumentu, lecz z całej dawniejszej i późniejszej polityki Benita Mussoliniego.

Faszystowska reforma szkolna dążyła do zmiany charakteru całej szkoły, a z pomocą szkoły do zmiany całego życia duchowego narodu włoskiego, przez uznanie religijnej powagi samego życia, branego z wysokiego, etyczno-religijnego stanowiska. Idzie o to, aby szkoła nanowo kultywowała rozwój szczerych uczuć narodowych i ludzkich, tak żeby wychowanie nowego Włocha było w jak najszerszem znaczeniu ogólno-ludzkiem, a zarazem niezaprzeczenie włoskiem. Idzie dalej o to, aby przywrócić szkole, to jest dzieciństwu i młodości, bezwarunkową swobodę oryginalnego, twórczego kształtowania kultury i charakteru dziecka. W żadnem innem państwie, do głębi świadomem swoich atrybucyj i swoich praw w kwestji wychowania obywatela, nie widziano jeszcze systemu szkolnego tak dalece liberalnego, zostawiającego szeroką swobodę nietylko

uczniom, ale i nauczycielom i wszystkim instytucjom, prywatnym czy państwowym, któreby chciały współzawodniczyć z państwem na terenie szkolnictwa. Ponad całym tym jednak wolnym światem czuwa państwo i daje wyczuć swoją władzę zwierzchniczą przez ustanowienie egzaminów państwowych *(esami di stato)*, koniecznych dla przejścia z jednego szczebla szkolnego na drugi, albo dla uzyskania stopni naukowych, jakich uniwersytety udzielają dla uprawiania przez swych absolwentów pracy zawodowej. Egzaminy państwowe to napewno bardzo delikatny instrument, z którym trzeba się nader ostrożnie obchodzić; jakkolwiek nie postawiony jeszcze należycie i w praktyce nie odpowiadający dotąd w zupełności temu, czemby być powinien — instrument ten w ostatnich latach wydał niewątpliwie dobre rezultaty i ułatwił rozumną kontrolę nad całym systemem nauczania we Włoszech. W miarę jak się będzie zmieniał personel nauczycielski, w którym bardzo wiele osobników nie zdawało sobie i dotąd jeszcze nie zdaje sobie jasno sprawy z nowych metod szkolnych i z nowego ducha, jaki postanowiono wprowadzić do szkół włoskich — szkoły te w krótkim czasie staną na zupełnie mocnej podstawie i przyniosą te wszystkie dobre i bujne wyniki, do jakich je przysposobiła faszystowska reforma pedagogiczna.

Niepodobna na tem miejscu wchodzić w szczegóły. Ale trzeba podkreślić piętno liberalizmu, które z całą odwagą ustrój faszystowski wycisnął na wychowaniu narodowem, ustrój, który przecie można scharakteryzować jako obrońcę bezwzględnego autorytetu. Państwo liberalne, któremu faszyzm się przeciwstawił, uczyniło z nauczania monopol państwowy i nie wyobrażało sobie nigdy, aby było możliwem przyznać równoważność stopniom naukowym, wydawanym przez uniwersytety prywatne albo instytucje nie posiadające praw państwowych. Nie przypuszczało nigdy możliwości istnienia uniwersytetu katolickiego (jaki utworzono w Medjolanie na skutek reformy szkolnej z r. 1923), zrównanego pod względem uprawnień z uniwersytetami państwowemi. Uważało, że prawem i obowiązkiem państwa jest dla szkół wszelkiej kategorji układać programy, rozkład lekcyj, przepisy, przedmioty nauczania, pod względem ilości i jakości. Państwo faszystowskie jest pod tym względem tak liberalne, że cały system nauczania przedszkolnego i po-

czątkowego oparło na skłonnościach artystycznych dziecka, grających główną rolę w tym okresie życia, i na konieczności zachowania przy początkach wychowywania duszy całej swobody dla rozwoju indywidualności, jej dążeń i jej własnego świata.

To też byli ludzie, którzy dostrzegali rozbieżność pomiędzy polityką szkolną a całą pozostałą polityką faszyzmu. Sąd to błędny, ponieważ autorytet, jaki wprowadza faszyzm, nie jest autorytetem niewczesnego samowładztwa, ale autorytetem praworządnego państwa, a faszyzm — cośmy już zaznaczyli — nie pojmuje państwa jako czegoś obcego jednostce, lecz właśnie jako formę i jako samą istotę woli i świadomości jednostki: woli i świadomości, których rozwój i sprawność są warunkiem i niemal treścią państwa. Bo potęga państwa, o ile nie przenika i nie wyraża się czynnie w jednostkach, pozostaje czczym dźwiękiem albo zarozumiałym frazesem, pozbawionym wszelkiej prawdziwej rzeczywistości. Państwo faszystowskie czuje ten swój żywotny interes, to też wyznacza wysoką rolę indywidualności, dba o jej rozwój całą siłą i wszelkiemi środkami, z jednej strony dodając bodźca duchowi wynalazczemu w nauce, a z drugiej strony popierając — przez wychowanie fizyczne, do którego zawsze przywiązywało jak największą wagę — ducha inicjatywy i śmiałości, które są cnotami wybitnie indywidualnemi, ale są zarazem podstawą wszelkich cnót obywatelskich w każdem krzepko zbudowanem i zwartem społeczeństwie. Sprawa tłumaczy się w ten sposób, że wolność, droga dawnemu liberałowi, była wolnością jednostki fikcyjnej, abstrakcyjnie niezależnej od państwa i od wszelkiej organizacji historycznej, jakiej podlega każdy poszczególny człowiek w powszechnej republice ducha. Wolność faszysty to wolność jednostki, dla której pierwiastek powszechności jest czemś nierozerwalnie z nią zrośniętem i która tem samem pod względem politycznym utożsamia się z państwem.

III

Jak żywo Szef Rządu odczuwał konieczność postępu naukowego dla pomyślności i potęgi państwa, świadczy o tem doskonale pismo, jakie skierował 1 stycznia 1928 r. do Wilhelma Marconiego, przewodniczacego Narodowej Rady Badań Naukowych. Czytamy tam:

„Potrzeba skoordynowania i ujęcia w odpowiednią organizację poszukiwań naukowych, tak dziś ściśle związanych z technicznym i gospodarczym postępem kraju, skłoniła mnie do utworzenia dobrze uposażonego organu dla tego wysokiego zadania narodowego".

„Genjalny wynalazek rodzi się prawie zawsze w mózgu pojedyńczego człowieka, ale tylko wytrwałe poszukiwania cierpliwych pracowników, przy pomocy obfitych i odpowiednich środków mogą go z korzyścią rozwinąć i zużytkować. Kraj, jak nasz, ubogi w surowce, gęsto zaludniony, potrzebuje koniecznie sprężystej organizacji, aby mógł szybko rozwiązywać palące zagadnienia, unikać marnowania energji, pieniędzy i czasu".

„Narodowej Radzie Badań Naukowych powierzyłem to wielce odpowiedzialne zadanie".

W tem samem piśmie Szef Rządu dawał pewne zasadnicze wskazania nowej Instytucji. Ma ona: 1) Zorganizować odpowiednio pracownie naukowe, zaopatrzone we wszystkie konieczne środki i w „żywe muzea, w którychby postępy nauki, techniki i przemysłu występowały z całą oczywistością". 2) Dbać, aby przedstawicielstwa włoskie zagranicą na tak dziś licznych zjazdach technicznych i naukowych, reprezentowały godnie kraj przez dobrą organizację i należytą powagę kompetencji. 3) Tak samo dbać o dobrą organizację kongresów naukowych i technicznych, które odbywają się we Włoszech. 4) Starać się o stworzenie naukowo-technicznej bibljoteki włoskiej. 5) Dostarczać szybko i z dokładnością organom technicznym Rządu wiadomości, których mogą one potrzebować w dziedzinie postępu techniki i nauk.

Narodowa Rada Badań Naukowych w dwunastu Komitetach Naukowych, poczynając od matematyki, a kończąc na geografji i na rolnictwie, skupia wszystkich najwybitniejszych przedstawicieli nauki we Włoszech, a działalność jej widoczna jest na wszystkich polach badań włoskich, w zakresie wiedzy czystej i stosowanej.

IV

Instytut Międzyuniwersytecki to związek wszystkich uniwersytetów i wyższych zakładów naukowych i arty-

stycznych, instytucja wspierana przez państwo. Celem jego jest rzucać myśli i prowadzić wszelką akcję na polu kultury narodowej, w której mogą zejść się ze sobą dla jakichś pożądanych celów narodowych najlepsze siły umysłowe, naukowe, literackie i artystyczne całego kraju. Uzależniony od dwu ministerstw: Wychowania Narodowego i Spraw Zagranicznych, Instytut rozwija jednak zupełnie samodzielną działalność, która ześrodkowała się przedewszystkiem w przygotowywaniu i prowadzeniu w kilku miastach kursów z dziedziny kultury włoskiej dla przyjeżdżających do Włoch cudzoziemców. Instytut istnieje już od ośmiu lat i może pochwalić się całym szeregiem kursów z archeologji i historji sztuki, z literatury i historji Włoch, z muzyki i dziejów myśli włoskiej, kursów, które przy coraz liczniejszym udziale słuchaczy odbywają się w Rzymie, Wenecji, Florencji, Sienie, Medjolanie i Faenzy (gdzie od r. 1928 mają miejsce bardzo ciekawe wykłady historyczne i techniczno-artystyczne z zakresu sztuki ceramicznej). Z tego ruchu wyłonił się obdarzony zupełnie swoistym typem, o charakterze instytutu państwowego, Królewski Uniwersytet dla cudzoziemców w Perugji. Tego roku zapisało się nań czterystu słuchaczy ze wszystkich krajów świata.

Na kursa te zjeżdżają się cudzoziemcy, jedni, aby nauczyć się języka włoskiego, inni, aby skorzystać z pobytu we Włoszech i poznać nietylko krajobraz i to, o czem przy powierzchownem zwiedzaniu mogą poinformować muzea, pisma i obserwacja dzisiejszych warunków życia, ale zgłębić także historję, artyzm i zdobycze myśli, przeniknąć jednem słowem duszę Włoch dawnych i nowoczesnych. Zbyteczne tłumaczyć, że cudzoziemcy interesują się przedewszystkiem wykładami, które na tych kursach traktują raczej o przeszłości niż o teraźniejszości, albo ściślej tej przeszłości, której dzieje splatają się z historją cywilizacji we wszystkich krajach i w której błyszczą jak gwiazdy pierwszej wielkości sławne imiona pisarzy i artystów, znane we wszystkich krajach każdemu człowiekowi o jakiej takiej kulturze. Ale równie zbyteczne jest tłumaczyć, że zamiarem i zadaniem Instytutu Między-uniwersyteckiego jest, aby przeszłość studjowana w towarzystwie dzisiejszych Włochów ułatwiła cudzoziemcom poznanie obecnych Włoch, bardzo różnych od Włoch dawnych, kiedy po naszej stronie Alp można

było jedynie szukać śladów zagasłego od wieków życia. Włosi, którzy dzisiaj chcą się dać poznać cudzoziemcom, starają się przedstawić w dobrem świetle, a jednocześnie już ta sposobność, zmuszająca ich do zastanawiania się nad własną przeszłością, tak jak ją dziś należy osądzić, sprawia, że sami w sobie wyrabiają nową świadomość narodową, dumną ale bez chełpliwości, pełną godności i daleką od deklamacji, jednem słowem taką, jaka przystoi narodowi cywilizowanemu i nowoczesnemu.

V

W jeszcze wyższym stopniu to samo zadanie urobienia silnej świadomości narodowej i politycznej orjentacji sfer kierowniczych stawia sobie inna instytucja wspomagana przez państwo, założony w r. 1925 Narodowy Faszystowski Instytut Kultury. Wyłonił się z gorących sporów, jakie w marcu owego roku toczyły się we Włoszech po Kongresie kultury faszystowskiej w Bolonji, kiedy intelektualiści włoscy podzielili się na dwa obozy i opowiedzieli się za ustrojem faszystowskim albo przeciw niemu. Instytut został uroczyście otwarty na Kapitolu w obecności Szefa Rządu, 19 grudnia tegoż roku. Ponieważ mnie przypadł zaszczyt przewodniczenia tej Instytucji, powiedziałem owego dnia co następuje:

> „Partja faszystowska zrozumiała, że nadszedł już czas, aby stała się obrońcą swojej wiary we własną kulturę. Instytut Narodowy Kultury, na wzór wszystkich tradycyjnych Akademij, ma starać się zjednoczyć ze stanowiska faszystowskiego wszystkich najwybitniejszych ludzi w różnych dyscyplinach, składających się razem na całokształt myśli naukowej. Ale w odróżnieniu od dawnych akademij ma on zachęcać te siły umysłowe nie do zamykania się w oderwanych spekulacjach, dalekich od wszelkiego oddziaływania na życie narodowe, gospodarcze, moralne i polityczne, ale przeciwnie ma zwracać je wszystkie do wyjaśniania i kształtowania świadomości nowych Włoch, o jakich marzą faszyści, Włoch dumnych ze swej sławnej przeszłości, a zarazem potężnych w swoim nowym rozmachu pracy i myśli w karbach państwa, świadomego wysokich narodowych przeznaczeń".

Instytut ma być przedewszystkiem wyznaniem wiary. Treść tej wiary tak wyłożyłem:

„Faszyści mogą się uśmiechać na zarzut braku kultury, jaki im czynią niektórzy przeciwnicy. Zwłaszcza dzisiaj. Spodziewam się, że może ktoś zdąży jeszcze w porę otworzyć oczy i zobaczyć, że to, co się dziś dzieje we Włoszech i dokoła Włoch, nie da się wytłumaczyć przez gwałt, przez przemoc, przez okrojenie wolności, jakich się podobno dopuścili faszyści. Fakty, o które można było mylnie, a bodajby słusznie obwiniać Partję Faszystowską, byłyby powinny zgubić faszyzm, i w tej chwili naród włoski powinienby już był wyjść z bolesnego przesilenia, w którem niektórzy mędrcy wyglądali rozwiązania sprawy. Tymczasem rzeczywistość w najbardziej kategoryczny sposób zadaje kłam tym przewidywaniom. Włochy, zamiast wygnać ze swego łona faszyzm, stają się całe faszystowskie i zagranicą nie tracą przez to gruntu, zyskują go, a największa część Włochów, do wczoraj wrogów faszyzmu, dzisiaj wygłasza *confiteor,* chociaż ich nawet nikt o to nie pyta. Zatem, wyraźnie, niema już mowy o ludziach, lecz o ideach. Jest jeden człowiek, bohater, uprzywilejowany, opatrznościowy duch, w którego myśl Włoch się wcieliła i ustawicznie pulsuje potężnem tętnem młodego, pełnego bujności życia. Lecz kiedy Mussoliniemu podszeptywano, w dobrej czy w złej wierze: „Zerwij z faszyzmem: Włochy chcą Mussoliniego, ale nie chcą faszyzmu", Mussolini odpowiadał: „Nie, Mussolini i faszyzm to jedno i to samo". Siłą człowieka nie była liczba tych, co szli za nim i których otoczenie — mniejsza o to, czy on to czuł, czy nie czuł — nie zawsze wypadało dla niego korzystnie, ale siła była w myśli, która przestałaby być tą właśnie myślą, którą jest, gdyby przestała w ten czy inny sposób być wiarą mas. A jak co do wszystkich idej, które wywierały potężny wpływ na ludzkość, stając się właśnie wiarą mas, tak i tu trzeba stwierdzić, że myśl faszystowska, jeżeli nie ma stracić wartości i historycznej roli, powinna być dokładnie rozumiana i ściśle określona sama w sobie

i we wszystkich swoich objawach teoretycznych i praktycznych, przez wszystkie jednostki, które do niej przystępują. Mogą być jedna czy dwie formuły, powtarzane przez wszystkich, jako sakramentalne; są to hasła, po których w tej chwili, praktycznie, odróżniamy przyjaciela od nieprzyjaciela. Ale formuły to nie są przekonania i nie działają jak przekonania. Tworzą mity, jednają zwolenników, budzą ślepy, bezkrytyczny zapał, wpływają potężnie na uczucie i na wolę. Za ich to przewodem ludzie zbijają się w gromady, zdolne obalać wiekowe pozycje historyczne, a są jak narzędzia ożywione myślą, która gnieździ się i żyje w kilku naczelnych duchach, a nawet w jednym tylko. Jest nim Duce. Ale myśl jest żywa w człowieku prowadzącym i w tłumie, który sobie z niej czyni narzędzie. Pod tym tylko warunkiem myśl jakaś jest żywa, prawdziwa, jest w zgodzie z historją, której jest wytworem, z której się narodziła i na którą oddziaływa w procesie nigdy nie zamkniętym i nigdy nie wyczerpanym. Każda myśl żyje tem, że karmi się historją i tworzy ją zarazem".

Doktryna faszyzmu, tłumaczyłem wtedy w dalszym ciągu, polega na czynie:

„Nie jest ideologją, nie jest zamkniętym systemem i nie jest nawet naprawdę programem, jeżeli przez program rozumiemy zgóry powzięty i rzucony w przyszłość plan. Słowem faszyzmu jest czyn. Dlatego powiedziano także, że faszyzm jest raczej postawą duchową, niż określoną treścią myśli. Od dziś za sto lat historycy będą mogli powiedzieć, czego chciał faszyzm, bo będą wiedzieli, co uczynił, dziś sądzę, że nie zgrzeszę brakiem szacunku wobec Benita Mussoliniego, jeżeli powiem, że nawet on nie umiałby na to pytanie odpowiedzieć. A przecież nikt lepiej od niego nie wyczuwa opatrznościowego charakteru własnego dzieła, jako tego, któremu przewodniczą wola i rozum, wyższe nad wszelkie poszczególne i podmiotowe interesy i punkty widzenia; nikt więcej od niego nie odnosi się z niedowierzaniem do t. zw. jasnych i wyraźnych pojęć, do odpowiedzi, które, jak sam powiedział, filozofowie dają

na zagadnienia życiowe — na papierze: odpowiedzi oderwanych, teoretycznych, a więc powziętych zgóry, a nie dojrzewających powolnem dojrzewaniem, z wyczucia rzeczywistości, w miarę jak jej zrozumienie naprawdę dojrzewa. Nikt więcej od niego nie jest przejęty religijnym szacunkiem, jaki winniśmy dla myśli, która tak się właśnie rozwija, wolna od pierwiastków osobistych, z wiecznie czujnej świadomości, przepojonej intuicyjnym zmysłem rzeczywistości narodowej i ogólno-ludzkiej w jej boskiem stawaniu się. Nikt inny nie jest bardziej od niego dumny ze swego posłannictwa, nikt bardziej od niego pokorny w oddaniu całej swojej istoty temu posłannictwu, którego czuje tak głęboką odpowiedzialność".

A przechodząc do określenia faszyzmu, zaznaczyłem:

„Faszyzm zatem jest myślą. W jego części polemicznej i negatywnej łatwo wskazać jego najbardziej znamienne cechy. Te zaś wyjaśniają nam i podstawowy motyw i pierwotny poryw, a zatem istotę i siłę tego ruchu, do którego młodzież garnie się instynktownym ruchem i z niepohamowanym zapałem. Chcecie zrozumieć faszyzm, spójrzcie na wrogów, których zwalczył, a będzie musiał dalej zwalczać, nawet już zmiażdżywszy ich, ponieważ będą się odradzali snadnie w samych faszystowskich szeregach. Jacyż to wrogowie? Demokracja? Tak, ale nie ta demokracja, która jest wychowywaniem narodu, powołanego i pobudzanego do uczestnictwa w rządzeniu samym sobą, całego narodu od tak zwanych klas rządzących do najskromniejszych pracowników, mężczyzn i kobiet, narodu powołanego do pracy naprawdę, poważnie, a zatem zjednoczonego i zestawionego według kategoryj, w których lud czuje własne życie, własne realne interesy, i skąd czerpie coraz jaśniejszą i mocniejszą świadomość rzeczywistych i nierozerwalnych więzów, łączących go solidarnie z jednolitym organizmem zbiorowości społecznej. Wrogiem faszyzmu jest demokracja warchołów, którzy nie znali innego ludu poza tym, który umieli przyciągnąć przez podbechtywanie w nim niezdrowych namiętności i przez

odwodzenie go od wszelkiego realnego zmysłu politycznego co do najbardziej namacalnych obowiązków i praw obywatela. — Socjalizm? Tak, socjalizm, ale socjalizm radykalizujący, międzynarodowy, który także ugrzązł już w pustym demokratyzmie, obcym wszelkiej trosce i liczeniu się z rzeczywistością gospodarczą, która jest określoną rzeczywistością historyczną, a tem samem narodową, i w ramach każdego narodu zrosłą z resztą życia i opartą na konkretnej współpracy, nie na oderwanej walce klas. Ale nie ten socjalizm, który głosi pracę jako początek wszelkiej własności, ponieważ praca, jak każda wogóle działalność ludzka, jest źródłem wszystkich dóbr i wartości; socjalizm, co uczy, jak dalece potęga polityczna i moralna tężyzna narodu opiera się na mocy jego gospodarczej budowy. — Liberalizm? Tak, liberalizm państwa negatywnego i nieobecnego na polu, gdzie walczą i gdzie się powinny ułożyć w porządek prawny gospodarcze i moralne siły narodu, państwa agnostycznego, ponieważ nieświadomego własnej wartości, jako centralnej i najwyższej osobowości i woli, pobudzicielki i przewodniczki wszelkiej działającej w obrębie narodu poszczególnej woli, jako pokrzepicielki wszelkich wysiłków, dokonywanych w tym zakresie i mających w sobie zadatek jako skuteczny przyczynek do duchowego postępu ludzkości, który w tej specyficznej postaci narodowej objawia się i historycznie dochodzi do skutku. Ale nie liberalizm, który jest zaprzeczeniem kast, ich przywilejów i ich rzekomych praw boskich, i bezpośredniem zbliżeniem instytucyj politycznych do woli, to znaczy do samego życia narodowego, a zatem koniecznem uznaniem, że naród z własnej głębi, stamtąd, gdzie panowie demokraci nie mają ani obyczaju ani interesu zaglądać, wydobywa podstawowe prawa własnego ustroju. — Stronnictwo ludowe *(Partito pòpolare)*? Tak, i to dwupłciowe stronnictwo, narodzone z pseudo-katolickiego modernizmu i z socjalizmu, i które przez chwilę groziło, że wciągnie w wiry dwuznaczności i obłudy publiczne życie włoskie. Jednak stronnictwo ludowe, które faszyzm zwalczał i zniszczył, to był

właśnie ów marny kompromis między demokratycznym socjalizmem czyli rozprószeniem i materjalizmem, a katolicyzmem, który jest karnością i solidarnością moralną, kultem wartości wyższych nad fantazje i interesy jednostek lub warstw, i bezwzględnem postawieniem obowiązku przed prawem, wyrzeczenia i ofiary przed najbardziej nawet usprawiedliwionem zadowoleniem własnych, jednostkowych potrzeb: wojna, śmierć jeśli trzeba, stokroć lepsze wówczas od pogodnego i wygodnego życia rodziny, dalekiej od burz i skupionej dokoła radosnej ciszy ogniska. Ale faszyzm i tu zadał kłam temu, co się nie godziło z pierwiastkiem prawdy, zawartym w tym programie. Pierwiastka tego nie odrzucił, owszem, wziął go poważnie: głęboko odczuł, jak nigdy żaden inny rząd w historji Włoch, wewnętrzny związek wszystkich sił narodu, sił w gruncie rzeczy moralnych, z silną wiarą religijną, wrosłą przez tysiącletnią tradycję w serce narodu włoskiego. I tutaj także zrobił poważnie to, o czem inni mówili, że chcą to zrobić".

Nową siłą jest zasada syntezy narodowej, przeprowadzona przez faszyzm: syntezy będącej siłą duchową i zadatkiem nowej kultury.

„Mówię o nowej kulturze, ponieważ kultura nie jest treścią, lecz formą, nie jest pewną ilością ześrodkowanego lub rozsianego wykształcenia, lecz potęgą duchową, nie jest materją, lecz stylem. Istnieje dziś we Włoszech, jakeśmy widzieli, siła duchowa: tężyzna, która dąży do tego, aby przeniknąć i na swoją modłę urobić całe życie. Nie wszystkie objawy, wywołane przez ten ruch, mogą przypaść do upodobania, ale grunt rzeczy w tem, że istnieje nowy duch, którego nikt nie może poczytać za coś powierzchownego, za kaprys, bo ta siła zdołała nagiąć do siebie cały naród, a nawet poszła pierwsza na podbój. Jest to nuta podstawowa, górująca nad wszystkiemi objawami duchowego życia włoskiego; wypełnia ona dawny ślub tych nielicznych Włochów, którzy w przeszłości nieśli to światło, jakie rozjaśnia historję naszego narodu. Wyłania się stąd naprawdę i przybiera coraz doskonalszą postać nowy

duch, dzięki któremu rozumiemy, w sposób dawniej nieznany, wielkość i świetne zasługi tych nielicznych Włochów, oraz wady ogółu, który oni we wszystkich czasach starali się podnieść do wyższego zrozumienia własnych interesów i własnych obowiązków".

„Dzięki temu nowemu duchowi oceniamy dziś lepiej myśl i serce Manzoniego, Leopardiego, Mazziniego, Giobertiego, Garibaldiego, Cavoura, ponieważ odczuwamy lepiej głęboką powagę religijną, z jaką oni, każdy na swój sposób, brali zagadnienie życia, wypełniające całą ich duszę. Nigdyśmy nie mogli tak jak dziś czytać Alfierego, czując, że dusze przepala nam ten sam poryw, który zawsze wrzał w jego duszy, ponieważ jego miłość płonęła dla ludzkości poważnej, męskiej, dumnej, i dla Włoch, jako dla narodu, któryby nie potrzebował się wstydzić sam za siebie. Co to takiego wstąpiło w nas i obdarza nas tą wrażliwością, wskaźnikiem nowych potrzeb ducha i nowych drogowskazów w życiu i w myśli?"

A zakończyłem temi słowami:

„Rozpiera nam pierś uczucie, które musimy nazwać nowem w stosunku do większości Włochów, ale które, powtarzam, jest tajemnicą wielkości wszystkich naszych wielkich ludzi i okresów, kiedy Włochy ukazały się wielkie światu. Jest to uczucie religijne. Ale nie mieszajmy go z wiarą człowieka religijnego w pospolitem znaczeniu tego wyrazu. Człowiek religijny zazwyczaj dochodzi do takiej zażyłości ze swoim Bogiem, że pozwala sobie w praktyce na zupełne spoufalenie w stosunkach z Nim, a w każdym razie myśli o Nim tylko od czasu do czasu, nie widząc i nie czując Jego nieuchronnej obecności zawsze i wszędzie. Tymczasem uczucie religijne, o którem mówię, to to, które każe brać życie poważnie, naprawdę poważnie, a więc nietylko w obecności innych, ale przedewszystkiem w głębi własnego sumienia, gdzie rodzą się i w tajemnicy dojrzewają myśli, z których wyłania się całe dobro i całe zło świata. Ta powaga, ta religijność, która każe nam wszystkie rzeczy brać na serjo, a nie oddziela już czynu od słowa, działania od myśli, literatury od życia, rzeczy-

wistości od programów, życia i śmierci od - triumfu ideałów, co nas wzięły w wierną służbę — oto jest nowa wartość duchowa, którą faszyzm wpoił w duszę włoską, oto jest poziom, na który usiłujemy dzisiaj dźwignąć kulturę narodową".

W tym duchu, z tym programem Narodowy Instytut Faszystowski przystępuje do pracy. Początkowo był wewnętrznym organem samej Narodowej Partji Faszystowskiej, od sierpnia 1926 stał się odrębną instytucją *(Ente morale)* z siedzibą w Pałacu Giustiniani, jednym z historycznych pałaców rzymskich. Liczy tysiąc czynnych członków, a parę tysięcy członków zwyczajnych, oraz sześćdziesiąt dwa instytuty prowincjonalne, związane z Instytutem Narodowym. Do najczynniejszych i najpoważniejszych z nich należą instytuty w Medjolanie, Florencji, Neapolu i Palermo. Instytut Centralny i instytuty prowincjonalne organizują co roku cykle wykładów i wieczory dyskusyjne. Instytut wydaje dwa miesięczniki: *Educazione fascista*, przegląd aktualnych zagadnień z dziedziny polityki, ekonomji, historji, literatury i sztuki, i *Bibliografia fascista*, przegląd krytyczny wszystkich prac, dotyczących faszyzmu, jakie ukazują się we Włoszech i zagranicą. Wydaje nadto cztery serje wydawnictw: *Biblioteca di cultura politica, Studi giuridici e storici, Quaderni, Classici del pensiero politico,* poza pewną liczbą innych książek i broszur. Cała inteligencja włoska odczuwa już dziś na sobie istnienie i wpływ tego Instytutu.

VI

Królewska Akademja Włoska *(La Reale Accademia d'Italia)* została powołana do życia dekretem z 7 stycznia 1926. Jest to najwyższa instytucja naukowa, literacka i artystyczna w Królestwie, a ma za zadanie skupić najznakomitszych ludzi w kraju, przedstawicieli wszystkich gałęzi pracy umysłowej. Kiedy dekret wpłynął do parlamentu, aby zyskać sankcję jako ustawa, byłem referentem delegowanym przez Senat i tak motywowałem myśl, jaką się w tym akcie powodował Rząd:

„Czyn to wiary i woli. Włochy są krajem, obfitującym w tradycje, doświadczenia i przyzwyczajenia

literackie, ojczyzną i kolebką tych zrzeszeń pracowników umysłowych, które w piętnastym wieku, kiedy odżywały klasyczne formy myśli i życia, były pierwszemi akademjami, a potem ostały się, aby zmieniając się i wielorako zabarwiając, odzwierciedlać rozwój i koleje naszej kultury i od nas pójść na wszystkie kraje Europy. Chcę przez to powiedzieć, że Włochy są krajem, który widział już narodziny i zgon mnóstwa akademij, widział je żyjące, w słowie płodne i pobudzające genjusz i twórczość rozmaitych pisarzy i artystów, albo też wlokące niezdarny, jałowy żywot i schlebiające tylko małym prowincjonalnym próżnościom i ospałym modom upadającego i zepsutego smaku i myśli biernie oddzwaniającej poglądy stare, zleżałe lub zagraniczne. Są krajem, który jeszcze posiada dużo akademij, jako spadek po politycznem i moralnem rozprószeniu, w jakiem rozmaite części Włoch, a nawet rozmaite prowincje i miasta żyły w przeszłości. Więcej niż przed półwiekiem wzięły się akademje do wspaniałej pracy w Turynie, w Medjolanie, w Wenecji, w Bolonji, w Neapolu i w Palermo, aby dźwignąć się do godności narodowej, wolne od wszelkiej ciasnoty o zabarwieniu lokalnem. A jednak Włochy, dokonawszy wielkiego dzieła swego politycznego zjednoczenia, nie omieszkały natychmiast tu, w Rzymie, stworzyć akademję narodową, która już samem imieniem swojem wskrzeszała sławną tradycję, a przez swoją wartość naukową, liczbę wydanych źródeł i prac, odrazu stanęła tak, że mogła współzawodniczyć z największemi akademjami innych narodów, stała się potężnem narzędziem postępu umysłowego i włoskości. Otóż w kraju, jak nasz, jeszcze jedna nowa akademja mogłaby się wydać rzeczą niepotrzebną, a nawet niewskazaną. Mogłoby się nawet zdawać, że postąpilibyśmy zgodniej tak z samym stylem faszystowskim, jak z naszą epoką, i lepszą usługę oddali kulturze włoskiej, a co najważniejsza samemu charakterowi Włochów, nie folgując już staremu duchowi akademickiemu tego narodu, w którym za często literatura, nauka i sztuka stawały się przedmiotem, okazją lub

duch, który szukał dla siebie formy i narzędzia rozwoju i historycznego ukształtowania się, a znalazł go w Królewskiej Akademji Włoskiej".

W dyskusji, jaka się wywiązała w Senacie, broniąc ustawy przeciwko paru nieoczekiwanym krytykom, musiałem jeszcze raz wrócić do pojęcia i znaczenia nowej Akademji:

„Nowa Akademja tłumaczy się jako organ nowego ruchu umysłowego. Nowy ruch! Ale czy jest ten nowy ruch? i gdzie on jest? Gdzie są jego objawy? dzieła sztuki? systemy myślowe? Są to pytania, na które — ponieważ stoimy u początku ruchu umysłowego — nie można dać takiej dokładnej odpowiedzi, jakiej przeciwnicy oczekują ze złośliwym uśmieszkiem na ustach. Kiedy staniemy się twórcami historji, o którą nam idzie, ruch ten będzie wyczerpany. Obecny przełom w świadomości włoskiej jest doświadczeniem. A nie jest to, szanowni panowie senatorowie, doświadczenie jednego stronnictwa, a tem mniej kilku jednostek, jest to doświadczenie znacznej większości Włochów, doświadczenie narodowe. Nowe położenie duchowe tłumaczy genezę nowej Akademji. I jest aż nadto naturalne, omal nie powiedziałem: nadto słuszne, że o potrzebie powstania instytucji nie można przekonać ludzi, którzy nie mają oczu, ani uszu, żeby zorjentować się w tej nowej sytuacji.

Kiedy z rozgadanych literatów florenckich u schyłku szesnastego wieku utworzono Akademję *della Crusca*, Włochy były (przynajmniej we Florencji) zmęczone i wyczerpane wielką swoją twórczością literacką i zwróciły się raczej do filologji i do analitycznego badania formy tej twórczości. Skończyli się pisarze, przyszli gramatycy. Nie mogąc więcej robić, przeglądano już to, co zrobione. Po duchu syntezy nastąpiła analiza, która zawsze ciąży ku zmechanizowaniu. Nie odejmujemy zasług Crusce, bo nawet słownik, kiedy się go robi, i robi dobrze, jest pożyteczny. Ale Włochy na szczęście wyszły już z tej martwoty i Crusca nie budzi już jak kiedyś zaciekawienia. *Accademia del Cimento* powstała w następnym wieku, ponieważ był Galileusz,

RENATO RICCI
Poseł do Parlamentu,
Podsekretarz Stanu dla spraw
wychowania fizycznego młodzieży

ORGANIZACJA NARODOWA „BALILLA"

Dzisiejsze pokolenia, które brały czynny udział na frontach bojowych i przeżyły wielką wojnę światową — pokolenie kombatantów, inwalidów, bohaterów, tych, co po zwycięstwie wrócili do domów; pokolenie ludzi, którzy na placach miast włoskich nawoływali do wojny, a potem poszli wypełnić marzenie o podboju i odwecie; pokolenie młodych, którzy biorąc spadek z rąk tych, co powrócili z wojny, przeszli falę rewolucyjną i dźwignęli święte imię ojczyzny na szczyty odbudowy i blasku — te pokolenia nie będą mogły oglądać całkowitej realizacji faszystowskiego programu. Nie jest im sądzone doczekać upragnionej nagrody.

Zato możność oglądania całkowitych owoców rewolucji przypadnie przyszłym pokoleniom, zrodzonym na gruncie nowego porządku, wychowanym w atmosferze czystszych zasad, dojrzewającym pod tkliwą i stałą opieką nauczycieli, a kształconym na dobrych przykładach ojców i starszego rodzeństwa.

Faszyzm nie jest zjawiskiem efemerycznem. Jako wytwór historji, wymaga dłuższego okresu czasu dla skrystalizowania się i pełnego rozkwitu.

Faszyzm tem samem stworzył święte dziedzictwo, które przechodzi z pokolenia na pokolenie. Faszyzm spogląda na młodzież z dumą i otuchą.

Ustroje demokratyczno-liberalne uprawiały politykę zupełnej prawie obojętności w stosunku do zadań wychowania we właściwem tego słowa znaczeniu, a więc pojmowanego jako dobór wartości, a także jako zabieg niezmiernej wagi dla narodowej tężyzny.

Szkoła stosowała się do fali szumych teoryj i zasad, które triumfowały przez czas krótki z hałasem i zżerały się wzajemnie.

Mieliśmy więc szkołę klerykalną i świecką, socjalistyczną i bezwyznaniową, demokratyczną i liberalną, zależnie od tego, jak układały się czasy i jaki pogląd chwilowo był na wierzchu.

Kto na tem najbardziej cierpiał, to sama młodzież, bo miała poczucie, że o niej zupełnie zapomniano, a w słowach nauczyciela nie mogła dosłuchać się głosu ojczyzny, ani na twarzach kolegów dopatrzeć oblicza narodu.

Szkoła była na drodze, aby stać się jednem z narzędzi, a nie celem wychowania.

Mogła służyć jako arena, na której zaprawiali się przyszli reformatorzy — mogła służyć, jak i w rzeczy samej służyła, jako nowicjat dla czynów najwyższego bohaterstwa, ale nie była szkołą o jednym kierunku, ani nowicjatem opartym na jednej zasadzie.

Nie była jednem słowem tem, co dzisiaj możnaby nazwać szkołą państwowości.

Razem z przyjściem do władzy faszyzmu, sprawa wychowania została przemyślana w całej rozciągłości, jako jedno z najdonioślejszych a najtrudniejszych zarazem zagadnień, ponieważ na niem faszyzm opiera ciągłość swoich zasad.

Reforma szkolna staje bezwzględnie na stanowisku wychowania państwowego, czego namacalnym wyrazem jest stworzenie instytucji ogólnopaństwowej, która, biorąc nazwę od małego bohatera Risorgimenta, została uznana jako organizacja narodowa — *Opera Nazionale Balilla.*

Organizacja Narodowa, ponieważ odpowiada stanowczej potrzebie narodu i rozciąga się na wszystkie prowincje i wszystkie gminy Włoch, obejmuje w jedną zasadę i jedną formułę całą sprawę wychowania młodzieży.

Tak więc rewolucja faszystowska może i chce powierzyć dzieciom swoje najdroższe ideały. Faszyzm, urzeczywistniony z młodości i przez młodych, przekazuje zupełnie pewnemu pokoleniu swą dumę i wiarę i swój niewygasający entuzjazm.

Ci mali bojownicy w imię wskazań, które przejęli i przejmują z ust ojca, braci i towarzyszy, te młodziutkie Czarne Koszule, które rok rocznie tworzą nowe i młodociane zastępy wiernych i dobrze wyszkolonych rekrutów, to są właśnie ci faszyści, którzy wypełnią całkowicie program faszyzmu, na-

kreślony w posępnych momentach dzisiaj już raz na zawsze przełamanej epoki.

Organizacja Narodowa im. Balilli została powołana do życia na podstawie ustawy z r. 1926, IV-go roku Ery Faszystowskiej. Cele jej możemy ująć w dwu hasłach, z których przebija podstawa jej racji bytu: wychowanie fizyczne i moralne.

Przedewszystkiem wychowanie fizyczne, pragniemy bowiem wpoić w naród świadomość wielkiej odpowiedzialności, jaką biorą na siebie wychowawcy, kiedy im się powierza zadanie przygotowania młodzieży do życia, uzbrojenia jej przeciw możliwym przyszłym niebezpieczeństwom i ukształtowania dusz tak, aby w nie wpoić poczucie swoistej dumy, która wypływa z harmonijnej budowy ducha i ciała, oraz z należytego rozwoju psychofizycznego, a jest rękojmią odrodzenia rasy.

Kiedy otwarto na oścież drzwi i okna zimnych klas szkolnych, powiew młodości i blasku przyniósł dziecięcym duszom śpiew wiosny i przywołał je do radosnej rzeczywistości życia.

Tak więc dzięki logicznie uznanej zasadzie, która stanowi jedną z najpiękniejszych zdobyczy na polu szkolnictwa, faszyzm upomniał się o prawo obdarzenia młodzieży uczuciem wolności, rozumianej jako odpowiedzialność i jako obowiązek.

Na pierwszym planie postawiono tedy zasadę wychowania fizycznego, które, można powiedzieć, spełnia już dzisiaj najważniejszą część swego programu.

Przez założenie Organizacji Narodowej im. Balilli, której zadania uwypukliły się jeszcze lepiej teraz, po czterech latach doświadczenia, uzyskano tak sprawnie zorganizowany i doskonale wyposażony aparat kadr, że dzisiaj cała już prawie młodzież uszeregowana jest w ramach małej armji, podlega dyscyplinie, ma swoje ustawy i rozwija swoją specjalną działalność.

*

Podstawą, z której wyrasta całe fizyczne i moralne wychowanie dzieci, jest jak najszerzej zorganizowana opieka nad młodzieżą, a to z przyczyny, która w prosty sposób wypływa z samych zasad rewolucji: z doboru i utrwalenia istotnych wartości.

Środki tkwią już w samej organizacji, w rozwoju i składzie ugrupowań i kół młodzieży, odpowiednio do treści tego postulatu.

Przedewszystkiem, czyniąc zadość najpilniejszym potrzebom, uznano konieczność bezzwłocznego urządzenia boisk sportowych, domów Balilli i ambulatorjów we wszystkich miejscowościach, gdzie istnieją oddziały organizacyjne. Osiągnięte dotychczas wyniki utwierdzają w przekonaniu, że olbrzymie środki, włożone w te urządzenia, nie poszły na marne.

Co lato, kiedy sale szkolne zamykają się na czas wakacyjny, młodzież, potrzebującą kuracji klimatycznej, wysyła się w góry albo nad morze. Starsi i odporniejsi rozbijają sobie wtedy namioty na stokach naszych gór, aby użyć ożywczego wpływu powietrza, radośnie i z prawdziwym zapałem poddając się czysto wojskowej dyscyplinie.

Udział młodych lekarzy w tem przedsięwzięciu daje rękojmię, że takie urządzenia zdrowotne i zapobiegawcze przyniosą pożądane i dotykalne wyniki. Przekonanie nasze popierają dane statystyczne, pomyślne i bardzo wymowne.

Ambulatorja Organizacji Narodowej im. Balilli, zastępując pobieżne oględziny lekarskie w szkole, trafiają wprost do celu, dla którego uważano za konieczne powołać je do życia. Dzięki temu znakomitemu urządzeniu można sporządzać dokładne wykazy zdrowotności i stanu fizycznego zapisanych dzieci, usuwać niebezpieczeństwo epidemij, gromadzić środki zapobiegawcze przeciwko gruźlicy, trachomie, szpecącym chorobom skórnym i t. p., specjalnie panującym wśród młodzieży. Łatwo przewidzieć, jak dobroczynne będą skutki tak pojętego systemu fizycznego wychowania.

Ażeby aparat uczynić naprawdę wszechstronnym, zgodnie ze słusznem i usprawiedliwionem poczuciem odpowiedzialności wobec rodziców, którzy powierzają państwu dzieci swoje na wychowanie, pomoc w wychowaniu fizycznem młodzieży uzupełniono jeszcze przez dwa urządzenia o specjalnym charakterze.

Pierwszem jest ubezpieczenie wszystkich zapisanych od nieszczęśliwych wypadków. Cel tego zarządzenia jest jasny ze względu na jego wysoce społeczne znaczenie. Młodzież, powierzona opiece wychowawców, zostaje w ten sposób uzbrojona przeciw wszelkim możliwym ewentualnościom, jakie przez fatalny jakiś zbieg okoliczności mogą zagrażać całości ich członków, a nawet wprost życiu.

Drugie zarządzenie (faktycznie wcześniejsze od pierwszego, ale logicznie ważność ubezpieczenia je uprzedza) polega na założeniu Akademji Wychowania Fizycznego, o charakterze nawskróś faszystowskim, która ma stopniowo czynić zadość potrzebie przygotowania nowych kierowników młodzieży, czujnych strażników zasad Balilli, ma zaprawiać młodych ludzi, przeznaczonych do realizowania trudnych i uciążliwych zadań wychowawczych.

Ze szkoły tej wychodzi rocznie dwustu wychowawców, którzy dzięki doskonałemu przygotowaniu, pod względem fizycznym i moralnym, stoją na poziomie wymagań uniwersyteckich. Prowadzą ich doświadczeni i zaufani nauczyciele, według programu i przepisów, którym starano się usilnie nadać charakter uniwersytecki w zakresie przedmiotów, jakie obejmują.

Praca faszyzmu nie poprzestaje na postawieniu pewnych wskazań etycznych, lecz wprowadza je w czyn, wytrwale, zapewniając im trwałość raz na zawsze.

*

Wojna światowa zaskoczyła narody w pełni pacyfistycznej sielanki, oddane całą duszą interesom handlu i rywalizacji finansowej.

Trzeba było niespodzianki, jaką był ogrom sił zbrojnych po stronie państw centralnych, aby na ustach wielu dawnych zwolenników bezwarunkowego pokoju wywołać hasło: *si vis pacem, para bellum!*

Jednak przygotowanie wojenne nie polega tylko na liczbie armat i na ostrzu szpad, lecz przedewszystkiem na psychofizycznej postawie narodu, na przyzwyczajeniu, aby życie brać jako obowiązek obrony własnych praw i praw pokoleń, które po nas przyjdą.

Wychodząc z takiego stanowiska, Organizacja Narodowa im. Balilli przybrała fizjognomję militarną.

Początkiem swoim sięga ona w rzeczy samej do t. zw. Awangard Faszystowskich, które zaczęły się formować od r. 1920 w ramach kadr czynnych. Od nich przejęła Balilla bojowniczego ducha, pogardę niebezpieczeństwa i odwagę, które znamionują doskonałego faszystę.

Organizacja Narodowa im. Balilli wzięła ten spadek, narzucając go jako nakaz wychowawczy całej młodzieży włoskiej.

Teraz mocno postawiona, dzięki przezornym regulaminom i rozmaitym urządzeniom, stała się organizacją, która uzupełnia naprawdę w doskonały sposób zadanie szkoły i usuwa wszelkie inne próby organizacji młodzieży, wobec tego, że Balilla oparta jest na prostej i jasnej formule wychowania państwowego.

Ta imponująca masa dzieci, ujęta w wojskowe kadry, doszła już dziś do pięknych wyników, o czem wymownie świadczą nagie cyfry.

Półtora miljona zarejestrowanych chłopców i tyleż dziewcząt tworzy w dziewięćdziesięciu dwu prowincjach Włoch 629 Legjonów Awangardzistów i Balillów.

Legjony, wyćwiczone w surowym regulaminie, kierowane przez oficerów i instruktorów o przekonaniach faszystowskich, posiadają doskonale zorganizowany personel techniczny i administracyjny, który spełnia różne usługi, ściśle związane z potrzebami wychowania dzieci i opieki nad młodzieżą w oddziałach.

Ażeby wciągnąć ten cały wielki aparat w jeden system z podziałem na wyraźne hierarchje i wdrożyć go pod względem środków wychowawczych w jedną i tę samą dyscyplinę we wszystkich miejscowościach, gdzie istnieją koła młodzieży, prowadzi się ożywioną pracę propagandową. Spoczywa ona na przedstawicielach instytucji, przydanych do pomocy wychowawcom na to, aby ich podtrzymywali w zapale, starając się zarazem ulżyć im w obowiązkach.

Tak więc w każdej gminie istnieje Komitet Organizacji Narodowej im. Balilli, który zależy z kolei od Komitetu Prowincjonalnego, a ten znów otrzymuje polecenia bezpośrednio od Komitetu Centralnego.

Żadnego zawahania się, żadnej dwuznaczności.

Dowódcy oddziałów otrzymują wszelką pomoc od Komitetów, do których zwracają się codziennie z pełnem zaufaniem.

Komitetom powierzono administrację funduszów, jakie obywatele składają do dyspozycji na cele wychowawcze, albo jakie wpływają od Komitetu Centralnego czy od innych instytucyj ogólno-państwowych, mających styczność ze sprawami wychowania.

*

W ten sposób osiąga się jedność kierunku, która objawia się jako zgodność z ogólnym programem ustroju faszystowskiego.

Szczególnego podkreślenia domaga się fakt, że na legitymacjach członków podany jest tekst przysięgi, jaką składają faszyści, wchodząc jako szeregowcy w kadry Partji Narodowej.

Nie stało się to bez przyczyny: hasło jest jedno dla wszystkich. Podał je Mussolini, wszyscy muszą je szanować.

Na tej dyscyplinie polega siła faszyzmu, jak na zasadach dogmatu opiera się siła religji.

Kto chciałby przekonać się, jakie owoce wydaje ta praca nad fizycznem i moralnem przysposobieniem młodzieży włoskiej, pod przewodem narodzonego z rewolucji ustroju, dla tego niema lepszej i bardziej przekonywującej lekcji poglądowej nad charakterystyczny przebieg rocznego Zaciągu Faszystowskiego.

Nie jest to, jakby mógł ktoś myśleć, co nie zna głębiej faszyzmu, zwykła jakaś ceremonja: to uroczysty obrządek, podczas którego tysiące i tysiące młodocianych Czarnych Koszul składają przysięgę na wierność Ojczyźnie i jej Wodzowi, zanim dostaną legitymację, która ich uświęci jako faszystów, i otrzymają karabin, który im nada charakter żołnierzy.

Tego roku, czwarty z kolei Zaciąg, dał Organizacji Narodowej im. Balilli sto dwadzieścia tysięcy nowozaciężnych, z nich dziesięć tysięcy na parę dni przedtem przebyło próbę na konkursie gimnastyczno-wojskowym, który zgromadził pod namiotami dwadzieścia Legjonów Awangardzistów.

ALDO VALORI
Redaktor działu politycznego i wojskowego
„Corriere della sera"

REFORMA WOJSKOWA

ARMJA I FLOTA

Naogół politycy włoscy zawsze wykazywali małe zrozumienie dla spraw wojskowych. Jedynym może wyjątkiem jest Cavour, o wiele wyższy także i pod tym względem od swoich poprzedników, a zwłaszcza od swoich następców. Ten brak zainteresowania dla przedmiotu tak dalece żywotnego i tak doniosłego w życiu narodowem, był poczęści skutkiem niskiej i lichej polityki, jaką uprawiano we Włoszech, a po części jej przyczyną. I tę nędzną tradycję przerwała wojna, a zupełny koniec położył jej faszyzm. Dzisiaj sprawa wojskowości w ogólnych swoich linjach stała się na nowo tem, czem być powinna, to znaczy sprawą wybitnie polityczną, która całą swoją odpowiedzialnością ciąży na Szefie rządu, ten zaś, z drugiej strony, ma prawo do jasnego wejrzenia w nią i do tego, aby być dokładnie informowany o wszystkich kwestjach, jakie są na porządku dziennym. Żadną miarą nie jest już dopuszczalne traktowanie tak ważnego zadania, jak przygotowanie wojskowe, jako ograniczonego do dziedziny technicznej, a tem samem niezależnego od ogółu innych spraw, obchodzących naród. Nie do pomyślenia już byłby prezes ministrów, któryby, otrzymawszy od ministra skarbu pewne fundusze, przekazywał je poprostu ministrom wojny i marynarki, aby robili z nich, jaki im się podoba użytek i nie starał się nawet dowiedzieć, w jaki sposób i w jakich zamiarach te pieniądze zostaną wydane.

Rzeczy te nie powinny i napewno nie będą już nigdy miały miejsca, bo w ustroju, który szanuje sam siebie, między organami politycznemi a wojskowemi istnieje ustawiczny, codzienny i doskonały związek. Wojna, która jest też odmianą polityki, odmianą kryzysową, powinna być, rozumie się, przygotowana na podstawie tych samych wytycznych, jakie zna-

mionują ogólną politykę państwową. Tym, kto kieruje wojną, jest zawsze w gruncie rzeczy Szef rządu, o ile te wysokie obowiązki są złożone w odpowiednie ręce, a to dlatego, że cele wojskowe nie stanowią celów samych dla siebie, lecz tylko środek do osiągnięcia celów politycznych, jakie naród sobie stawia w tym właśnie okresie historycznym. Ponieważ zaś przygotowanie armji i floty, w swoich ogólnych przynajmniej zarysach, musi się ustosunkować ściśle do przypuszczalnych, jeżeli już nie wprost zgóry powziętych celów polityczno-militarnych, logiczną więc jest i konieczną rzeczą, aby osobisty nadzór i obecność Szefa rządu dawały się wyczuć także, a nawet przedewszystkiem w epoce przygotowawczej, zawsze rozumie się w zakresie rozstrzygnięć zasadniczych, w zakresie inicjatywy i kontroli, nie w zakresie techniki i zastosowania, które pozostają w rękach rzeczoznawców i specjalistów. W ten sposób stan rzeczy, jaki dzisiaj widzimy we Włoszech — t. j. że Mussolini, Prezes ministrów jest — obok Króla i przy jego boku — najwyższym kierownikiem i organizatorem wszystkich sił zbrojnych, stan ten nietylko nie stanowi wyjątku, ale powinien nawet stać się prawidłem dla każdego rozumnie zorganizowanego rządu, prawidłem, do którego stosują się wszystkie kraje świadome, jak ważną rzeczą jest przygotowanie wojskowe, nawet jeżeli nie wszystkie — wskutek przesądu politycznego — będą miały odwagę zrobić to w sposób tak jawny i systematyczny, jak Włochy.

Ktokolwiek przeżył wojnę, w jakimbądź charakterze i w jakiejbądź szarży, został przemocą wyrwany z tej ignorancji o rzeczach wojskowych, jaka naogół znamionowała nawet najmłodsze, nawet najżarliwiej patrjotyczne nasze pokolenia. Osobiste doświadczenie wojenne musiało doprowadzić do tego, że stało się także doświadczeniem teoretycznem. Krytyka rodziła się łatwo z codziennych doświadczeń szeregowca, który w błotnistym okopie starał się zorjentować nietylko w sprawach wchodzących w sferę jego ciężkich stałych obowiązków, ale i w głębszych przyczynach, które sprawiały, że raz szło się naprzód, raz stało się na miejscu, to było się czynnym to bezczynnym w poczynaniach, w przyczynach, które nakazywały wysiłek pozornie niepotrzebny, albo rezygnację pozornie nieusprawiedliwioną. W każdym uczestniku wojny, szczególniej kiedy jest Włochem, to

znaczy typem logicznym i rozumującym, tkwi ukryty krytyk wojskowy. Wielkim błędem było nieliczenie się z temi, choćby mętnemi i nikłemi potrzebami myślowemi żołnierza, a żądanie od niego tylko mechanicznego wykonywania rozkazów i poświęcania się dla celu, którego nikt nie starał się mu wytłumaczyć. Szkoła niemiecka ze swoim automatyzmem, z krokiem „gęsim", z „drillem", jest może jakby stworzona dla ducha tamtego narodu, ale nie można jej stosować do naszego, a naśladowanie jej form bez zatroszczenia się czy odpowiadają one jakiejkolwiek treści, naraziło nas na poważne niepowodzenie.

Myślę, że Mussolini zaczął odczuwać całą powagę i całe piękno rzeczy wojskowych właśnie podczas wojny, kiedy służył jako prosty bersaljer, z tym chłodnym i rozważnym entuzjazmem i z tą powagą, które wkłada we wszystko. Ktokolwiek przeczyta mocne strony jego *Diario*, nie będzie mógł się oprzeć dwojakiego rodzaju wrażeniom: jedne natury realistycznej budzą się przy pełnych siły opisach nieludzkiej tragedji, drugie, natury psychologicznej, łączą się z tym wspomnianym bolesnym wysiłkiem, aby zrozumieć i aby pośrednio osądzić samo prowadzenie operacyj, kierownictwo wojskowe, ogólne cechy przygotowania i wykonania.

Bohaterem *Dziennika* Benita Mussoliniego jest naród włoski. Jeżeli w swojej akcji rządowej, rozwijanej z nieubłaganą faszystowską prostolinijnością, Mussolini nieraz wystawiał na twardą próbę wytrzymałość naszego narodu, żądając od niego, a przy sposobności narzucając mu ofiary wyrzeczenia się i olbrzymie wysiłki dla dalekiego zwycięstwa, to może tak czynić, ponieważ sam, osobiście, wypróbował nieporównane zalety charakteru włoskiego. Wypróbował je w czasie swojej twardej doli jako robotnik, wygnaniec, działacz, ale lepiej jeszcze poznał je i ocenił w okopach, gdzie dusza ukazuje się niezasłonięta i naga, a wady i zalety charakteru człowieka objawiają się bez osłonki. Przyszły *Duce* poznał podczas wojny niewyczerpane zasoby, materjalne i duchowe, naszej rasy, ale spostrzegł się także, że te zasoby bywały zawsze w karygodny sposób roztrwaniane z winy nie ludzi, lecz systemów, nie przez brak dobrej woli, ale siłą ciemnych tradycyj, nieuchwytnych przesądów, zastarzałej rutyny. Cały ten świat należało obalić i wybudować na nowo, dostosowując go do potencjalnych zdolności narodu,

reformując i świat i naród na nowych podstawach. I to właśnie było zadaniem faszyzmu.

Doświadczenia z okopów nasunęły mu potem inne myśli, zarysowały nowe zagadnienia. Ze swojej skromnej ale cennej dostrzegalni zobaczył dobre i złe strony naszego przysposobienia wojskowego. Komuż nie zdarzyło się, że zmuszony słuchać mało przekonywujących i niedorzecznych rozkazów, zaczął marzyć, iż drogą uprawnionego zdobycia władzy, dokona przemiany, która mu pozwoli naprawić błędy, usunąć nadużycia, udoskonalić tradycje i systemy? W każdym Włochu tkwi w homeopatycznej dozie dyktator: odwieczna wada, ale zarazem niezatarty znak szlachetności naszego rodu, który nie znosi we własnem łonie biernych wykonawców i myślowych sługusów. Tylko że, na szczęście, mało komu jest naprawdę dane wypróbować swoją władzę, a przed nikim w ostatniem stuleciu możliwość nie stanęła tak dalece otworem, w takiej zgodzie z czasem, ze środowiskiem i ogólną wolą jak przed Benitem Mussolinim.

Poglądy Prezesa ministrów, dotyczące wojskowości, są zatem poglądami obywatela włoskiego, obdarzonego wyjątkowym genjuszem, który umiał wyzyskać wspólne doświadczenie przeszłości i zestroić je z wymaganiami zdrowego rozsądku i z wyczuciem przyszłych potrzeb.

Mussolini nie marzy o wojnach ani krwawych podbojach. Trzeba być warjatem albo człowiekiem złej woli, żeby przypuszczać, iż nie zdaje on sobie sprawy z niebezpieczeństwa przedsięwzięć wojskowych, choćby podejmowanych na mniejszą skalę, aczkolwiek liczy się z ich możliwością; trzeba zapoznawać jego zmysł praktyczny, żeby go sądzić zdolnym do stawiania losów ojczyzny na kartę wojny zaczepnej. Trzeba wreszcie nie mieć śladu zrozumienia dla jego głęboko ludzkich uczuć i wrażliwości, aby przyjąć, że śni z otwartemi oczyma, czy to o rzeziach na zimno czy o niszczeniu. Wszystko to razem jest niedorzecznością. Pokój dla Włoch, dla narodu pracowników, kupców i wieśniaków, jest o wiele lepszem wyrachowaniem aniżeli jakakolwiek wojna.

Z tem wszystkiem Mussolini nie jest pacyfistą w znaczeniu, które obłudnie wyklucza wojnę z szeregu możliwych wydarzeń. Uważa ją w niektórych wypadkach za konieczną, w innych

poprostu za obowiązującą. Jeżeli wojna nie jest nigdy dobrym interesem, nie znaczy to, aby nie należało w pewnych okolicznościach uciekać się do próby orężnej. Ani jednostki ani narody nie mogą brać życia jedynie pod kątem interesu. Ale istnieje o wiele mocniejszy argument, przemawiający na korzyść przezornych zbrojeń, nawet najmniej napastniczego państwa, a mianowicie nie zawsze prowadzi się wojny, ponieważ się chce je prowadzić, ale ponieważ jest się w nie wciągniętym, ponieważ ktoś je prowadzi z nami. W takim wypadku mamy typowy przykład uprawnionej obrony. A im jakieś państwo jest lepiej przygotowane, by się bronić, tem większe zachodzi prawdopodobieństwo, że nikt nie ośmieli się go zaczepić, gdy tymczasem państwo, które jest lub wygląda na bezbronne, staje się przedmiotem ogólnej pożądliwości, a tem samem powodem czy pretekstem do wojny.

Dotąd obracaliśmy się wśród samych ogólników. Przejdźmy do spraw konkretnych, szczegółowych. Jak się zapatruje Mussolini na kwestję wojennego przygotowania Włoch?

Zasadnicze punkty jego reformy wojskowej są następujące:

Organiczna jedność przygotowań wojennych, a zatem jednolite dowództwo. Ścisły związek między organizacją wojskową a cywilną. Sprawiedliwy i celowo przeprowadzony podział środków technicznych i finansowych między różne kategorje sił zbrojnych. Kolaboracja rozmaitych dykasteryj wojskowych z zachowaniem jednak koniecznej samodzielności i oryginalności posunięć w różnych rodzajach broni. Uznanie i rozwijanie czynników moralnych, cześć dla uczuć patrjotycznych i obywatelskich, przeszczepienie dyscypliny z dziedziny wojskowości w dziedzinę polityki i pracy, a tem samem sharmonizowanie życia narodowego w jego obu postaciach: w pokoju i wojnie. Przysposobienie wojskowe młodzieży zapomocą instytucyj faszystowskich: Balilli, Awangardy, Przedszkola wojskowego. Racjonalne zorganizowanie sił umysłowych, technicznych, finansowych i naukowych kraju już w czasie pokoju na wypadek zbrojnego zatargu.

Jednolitość naczelnego dowództwa wydała się odrazu Mussoliniemu logiczną konsekwencją jego sposobu pojmowania organizacji sił zbrojnych, a jednocześnie założeniem dla uzyskania

największych wyników najmniejszym nakładem sił umysłowych i moralnych.

Z tego punktu widzenia przywrócono stanowisko Szefa Głównego Sztabu Generalnego, któryby miał czuwać nad organizacją sił zbrojnych, a zarazem dawać zasadnicze dyrektywy dowódcom marynarki i żeglugi powietrznej, aby oba te rodzaje broni uzgodnić dla osiągnięcia wspólnego celu. To był pierwszy krok uczyniony w celu zjednoczenia naczelnego dowództwa. Dokonało się ono wkrótce w swojej logicznej, symetrycznej postaci: jeden Szef Głównego Sztabu Generalnego dla wszystkich sił zbrojnych i tylu Szefów Sztabu Generalnego, ile jest rodzajów tych sił, a więc jeden dla Armji lądowej, jeden dla Marynarki, jeden dla Żeglugi powietrznej i jeden dla Milicji Narodowej.

Faszyzm, który szanuje pożyteczne tradycje, zniszczył szkodliwą i niebezpieczną tradycję samodzielności różnych rodzajów broni, dając wyraz najświętszemu przekonaniu, że armja, marynarka, żegluga powietrzna są to tylko różne ramiona tego samego organizmu, jakim jest zbrojny naród, i że muszą być one wszystkie poruszane przez jeden mózg.

Jednocząca dążność Mussoliniego na polu przygotowań wojennych nie poprzestaje na tem. Nie wystarcza uzgodnienie sił zbrojnych między sobą, należy je zestroić z całym narodem w wojnie. Mówi się i powtarza, że dzisiaj walczy nietylko armja i flota, ale walczy także ludność cywilna, uczeni w swoich pracowniach, robotnicy w fabrykach, chłopi na polach, kolejarze na lokomotywach i t. d., ponieważ złe funkcjonowanie jednej z tych ważnych gałęzi pracy narodowej bardzo prędko przyniosłoby szkodę samej akcji armji i floty. Co do żeglugi powietrznej, jej ustawiczna zależność od przemysłowego i naukowego przygotowania kraju jest jeszcze bardziej oczywista.

Najwyższa Mieszana Komisja Obrony *(La Commissione Suprema Mista di Difesa)*, genjalny twór rządu faszystowskiego w pierwszym zaraz okresie jego akcji wojskowej (styczeń 1923), stopniowo udoskonalona, służy właśnie do przygotowania mobilizacji wszystkich istniejących w kraju zasobów na wypadek wojny i do dostarczenia wszystkiego, czego brak, lub co w zwykłych warunkach znajduje się w niedostatecznej mierze. Warto rzucić okiem na ten doniosły organ odbudowy wojsko-

wości włoskiej, ponieważ odbija on wprost poglądy kierownika rządu i był naśladowany przez inne państwa, przedewszystkiem przez Francję, która niedawno starała się przedstawić jako nowość swojej reformy wojskowej to, co było jedynie odtworzeniem faktu, istniejącego u nas przeszło od czterech lat.

Najwyższa Mieszana Komisja Obrony składa się z organu uchwalającego i z organów doradczych. Do organu uchwalającego wchodzi dziewięciu ministrów (sprawy zagraniczne, sprawy wewnętrzne, skarb, wojna, marynarka, kolonje, komunikacje, gospodarstwo narodowe, żegluga powietrzna), przewodniczy Prezes ministrów. Jako organami doradczemi posługuje się on przedstawicielami sił zbrojnych i wszystkich wyższych hierarchij wytwórczych narodu; mianowicie są temi organami: Rada wojskowa, Rada admirałów, Komitet żeglugi powietrznej, Komitet mobilizacji narodowej. Ten ostatni ,Komitet składa się z Szefów Sztabu, naczelnego dyrektora *Banca d'Italia*, wysokich urzędników ministerstwa kolei i żeglugi, wreszcie z przedstawicieli większych stowarzyszeń kulturalnych, technicznych, rolniczych i gospodarczych.

To był pierwszy krok, założenie w celu przygotowania organizacji wojskowej kraju na wypadek wojny w myśl zasady, że „wojna nie dotyczy tylko zbrojnej mniejszości, ale całego kraju", wszystkich jego warstw i odłamów, każdy z nich bowiem, jak musi bronić interesów ogólnych i szczegółowych, tak również w granicach swojej zdolności ma do wypełnienia swoje własne zadanie i obowiązki. Kobiety niemniej od mężczyzn mają współdziałać w obronie ojczyzny, nie chwytając same za broń, ale naprzykład zastępując zmobilizowanych mężczyzn we wszystkich pracach, jakie mogą być im powierzone.

Wszystko, co dotyczy przysposobienia wojskowego, jest bardzo kosztowne. Strona finansowa powoduje zwłokę, której chętnie uniknęłoby się.

Mussolini miał zawsze na pamięci to prawo równowagi, opierając się pokusom, jakie mogło mu podsunąć pragnienie zrobienia wiele i zrobienia prędko. Zbyt prostolinijne rozumowanie wpaja niejednemu przekonanie, że skoro wydatki na wojsko są konieczne dla zapewnienia bezpieczeństwa narodowi, to wszelkie troski finansowe muszą zejść na drugi plan. Jest w tym popędzie dużo słuszności, ale niema zarazem nic nie-

bezpieczniejszego nad prawdy źle stosowane, albo stosowane ponad miarę. Broniąc zdrowych finansów kraju, broni się zarazem jego sprawności wojskowej, ponieważ kraj, w którym wszystkie zasoby pochłaniałoby zbrojenie, narażałby się na to, że w dniu wielkiej próby stanąłby zziajany, jak atleta, któryby się przeforsował nadmiernem ćwiczeniem, nie dbając o zarezerwowanie tej części zapasów organicznych, które pozwalają wysiłkowi mięśniowemu nadać rytm ciągły, a tem samem skuteczny.

Z pewnego punktu widzenia można powiedzieć, że wszystko, czego dokonał rząd faszystowski dla uzdrowienia waluty, uregulowania jej kursu, równowagi budżetów, wprowadzenia zdrowych stosunków do przemysłu i rolnictwa, jest robotą płodną także i ze stanowiska organizacji wojskowej.

Ważny krok na drodze do oszczędności przy organizowaniu sił zbrojnych stanowi zniesienie niepotrzebnych organów i zlanie urzędów, które nie miały specjalnego powodu, aby na ich gruncie przeprowadzane były podziały na armję, marynarkę i żeglugę powietrzną. Korzyścią z czasowego skupienia wszystkich dykasteryj wojskowych w rękach Mussoliniego było właśnie to, że wyszła na jaw zbędność wielu urzędów, jakie w nich istniały. Prędko temu zaradzono i obecnie załatwia się potrzeby armji na podstawie zapoczątkowanego zjednoczenia organów, które wykonywują te same lub pokrewne funkcje w kierownictwie rozmaitych rodzajów zbrojnych sił państwowych. Rozumie się, że i to zjednoczenie musi być utrzymane w pewnych granicach, których przekroczenie mogłoby narazić na trudności jeszcze większe, aniżeli te, jakich starano się uniknąć. Jednak nawet przy pozostawieniu siłom zbrojnym pewnej autonomji nie było logicznem pozwolić organom kierowniczym armji, marynarki i aeronautyki funkcjonować bez wzajemnej wiadomości o sobie, a czasami nawet współzawodniczyć jednym z drugiemi, co wywoływało rozdwojenia i roztrojenia, niebezpieczne i kosztowne. A jeszcze ważniejsze było, aby to zjednoczenie zostało przeprowadzone na polu techniki. Naprzykład: nie miało najmniejszej racji bytu, aby każdy rodzaj sił zbrojnych posiadał własne, zazdrośnie strzeżone biuro informacyjne, jakgdyby informacje wojskowe nie dotyczyły w wysokim stopniu ich wszystkich razem, a z zastrzeżeniem tylko,

rozumie się, że pójdą na szczególny użytek środowiska, do którego się specjalnie odnoszą.

*

Sprawę marynarki włoskiej można poniekąd rozważać z dwu stanowisk, jednego względnego, drugiego bezwzględnego.

Z pierwszego stanowiska idzie o ustalenie, jakie miejsce przypada morskim siłom zbrojnym w dziele obrony narodowej, z drugiego idzie o wyznaczenie, jak w ramach samej organizacji floty należy rozdzielić środki finansowe i materjał ludzki, aby móc z nich wyciągnąć jak największe korzyści. Pierwszy punkt widzenia jest wybitnie strategiczny i oczywiście wiąże się ze sprawami ogólnej polityki, drugi obraca się raczej w dziedzinie naukowo-technicznej; do rozstrzygania tych spraw możemy dojść jedynie na podstawie danych pierwszej kategorji, cele bowiem floty wojennej zmieniają się zależnie od ogólnych celów wojny i sam organiczny ustrój tej floty musi odpowiadać wysiłkom, jakich od niej przypuszczalnie będzie można wymagać.

Choćbyśmy nawet siłom lądowym przyznali pierwsze miejsce w organizacji obrony krajowej, faktem jest, że geograficzna budowa Włoch, która wystawia je przedewszystkiem na niebezpieczeństwo od strony morza, czyni nieodzownem także odpowiednie postawienie sił morskich. Po ostatniej wojnie, która dała Włochom mniej więcej ich przyrodzone granice lądowe, możemy co do tej strony być dosyć spokojni. Nie można jednak powiedzieć tego samego o warunkach naszych wybrzeży, a tem mniej o warunkach naszej żeglugi morskiej, których położenie raczej pogorszyło się, tak że znaczna część naszych wysiłków musiałaby pójść na energiczne podniesienie floty, gdyby nie przyłączyły się nowe czynniki natury technicznej i politycznej i nie pociągnęły za sobą powikłań na tym gruncie, prowadzących do innego rozwiązania sprawy, niż to najprostsze, o którem w tej chwili była mowa.

Pierwszym z tych nowych czynników jest awjatyka, której niepodobna już dzisiaj traktować jako prostego uzupełnienia innych rodzajów broni, bo staje się ona dzisiaj bronią sama przez się, dorosłą, chociaż młodziutką, zdolną prowadzić samodzielną, imponującą działalność, zdolną także w sprzyjających

warunkach wziąć na siebie część zadania, jakie dotychczas spoczywało na innych kategorjach sił zbrojnych.

Nie ulega wątpliwości, że — czy to na lądzie czy na morzu — część takich spraw jak wywiady na odległość, kontrola strzałów, bombardowanie, łączność i t. d., będzie można odtąd z większym pożytkiem powierzać armji powietrznej, niż jej siostrom, armji lądowej lub morskiej.

Nie wpadając w przesadę — jak czynią ci, co głoszą, że w przyszłej wojnie armja powietrzna może i powinna zająć pierwsze miejsce, spychając na drugi plan wojsko lądowe i flotę — widzimy napewno, że nawet ogólna sprawa obrony brzegów i bezpieczeństwa linij okrętowych zmieniła się od chwili przystąpienia do akcji wszystkich działów awjatyki wojskowej. Jeżeli dalej połączymy w myśli przyszłą rolę awjatyki z coraz większem i cenniejszem w skutkach rozpowszechnieniem łodzi podwodnych, przekonamy się, że można wyobrazić sobie potężną obronę krajową na morzu, bez konieczności rozszerzania floty wojennej poza pewną granicę.

Do tych samych wniosków dochodzimy, zbliżając się do zagadnienia od strony politycznej. Nieprawdopodobne jest, aby w przyszłości mogły mieć miejsce odosobnione wojny, zatargi pomiędzy dwoma zapaśnikami. Tak silnie są splątane wojenne interesy, że uderzenie prawie napewno rozciągnie się na wszystkie, a przynajmniej na bardzo liczne punkty i będzie dążyło do tego, aby się stać powszechnem. Zatem wojna koalicyj, do której każdy naród wniesie swoją część pod względem militarnym. Wychodząc z podobnej zasady, nie potrzebujemy już tak dalece troszczyć się, czy posiadamy flotę, która sama jedna byłaby w stanie zwyciężyć każdego możliwego przeciwnika (mrzonka to zupełna ze względu oczywiście na stronę materjalną), ile raczej czy rozporządzamy wojennem narzędziem morskiem na tyle zwinnem i mocnem, żeby przymierze z nami mogło być cennem, a tem samem pożądanem dla każdej z przypuszczalnych grup wojujących.

Przez te uwagi wchodzimy w samo sedno sprawy, w imię której tyle wylano atramentu, a którą niesłusznie określono jako polemikę „za i przeciw wielkim okrętom“. Nie będę tu powtarzał dziejów tego sporu, nie wyszedł on poza ramy dziennikarskie, na tym jednak terenie toczył się bardzo żywo i bu-

dził niezaprzeczoną ciekawość. Prezes ministrów nie wypowiedział się publicznie w tej sprawie, zachowując, o ile to jest dla niego możliwe, właściwą sobie rezerwę co do zasadniczych oświadczeń, które z czysto praktycznego punktu widzenia dość nikłe mają znaczenie.

Jest rzeczą najzupełniej pewną, że skutkiem swego położenia geograficznego, t. j. ponieważ półwysep apeniński stanowi niejako olbrzymi teren do lądowania pośrodku Morza Śródziemnego, kraj nasz ma wszelkie dane do walki na morzu zapomocą lekkich i zwinnych flotylli, które oparte o siły powietrzne i o liczne łodzie podwodne, zagrażałyby poważnie wszelkiemu ruchowi okrętów nieprzyjacielskich, czy to wzdłuż czy wszerz, po *mare nostrum*. Termin ten aczkolwiek w dzisiejszej rzeczywistości ma znaczenie tylko względne, a nie, jak kiedyś, dosłowne, może jednak przedstawiać coś więcej niż proste wspominki dziejowe i zakusy, bo może oddawać faktyczny stan rzeczy, z którym wszyscy powinni się liczyć, nie wyłączając krajów uposażonych — na swoje szczęście — w większe środki finansowe, a przez to samo wojenne i morskie.

Sprawa wielkich okrętów zostaje tem samem nierozstrzygnięta i prawie odesłana do krainy skądinąd wysoce szanownej: czystej teorji. Nikt nam nie zabrania wierzyć, że ciągły postęp naszych stosunków finansowych pozwoli może pewnego pięknego dnia zbudować sobie flotę z wielkich okrętów i pancerników. Wtedy marynarka wyszłaby z pozycji obronnej (szeroko rozumianej naturalnie), a weszła na pole zaczepne, stając się jednym ze środków wielkiej polityki imperjalistycznej, jaką uprawiają dzisiaj Anglja i Stany Zjednoczone. Miejmy nadzieję. Narazie trzeba się sposobić na wypadek możliwej pożogi europejskiej i wszechświatowej, w którą bylibyśmy wciągnięci ze skromnemi dotychczasowemi zasobami, jako naród będący w trakcie całkowitej i uciążliwej odbudowy. Ta hipoteza, jako najbliższa i najbardziej prawdopodobna, każe ustalić nasz program w granicach konkretnych wydatków, rozwijając go jednak równocześnie do maximum przez wyzyskanie specyficznych, geograficznych, historycznych i moralnych warunków kraju. Dziś niema człowieka, któryby nie widział, że ze względu na swoje położenie fizyczne i swoje tradycje, dawne i nowe, Włochy są *par excellence* krajem zuchwałych marynarzy, którzy

na lekkich i lotnych łódeczkach mogą stawić czoło ciężkim opancerzonym olbrzymom, krajem niestrudzonych, zapaleńców i poszukiwaczy przygód, awanturników, co wszędzie obecni, wyskakują z pod ziemi, i zwyciężają przez wyjątkowe zalety temperamentu raczej niż dzięki liczbie lub środkom materjalnym. Na te wrodzone zalety naszego marynarza trzeba liczyć przedewszystkiem, bo to jest ojcowizna, której nikt nam nie zabierze, i trzeba bezzwłocznie naszych bohaterów morza zaopatrzyć we wszystkie środki konieczne, aby mogli działać zgodnie ze swym charakterem. Stworzenie takiej wojennej floty włoskiej, lekkiej, sprawnej, dość licznej, opartej na dobrych portach, dobrze wyćwiczonej i o wysokim poziomie moralnym, oto rada, jaką historja i psychologja narodu włoskiego zdają się poddawać naszym najwyższym organizatorom.

*

Instytucje wojskowe znajdują się w stanie ciągłego doskonalenia, i to w naszych czasach o wiele bardziej niż w ubiegłych wiekach, tak że trudno, a może zupełnie niemożliwe jest pierwszego lepszego dnia zsumować dane i zrobić ogólny bilans; dużo przepisów, zastosowanych wczoraj, dopiero jutro wyda rezultaty, gdy tymczasem inne środki, dziś obowiązujące, mogą mieć wartość tylko chwilową i znikną lada dzień, nie zostawiwszy śladu. W każdym razie można już dzisiaj bez obawy zbytniej niedokładności streścić to, czego w organizowaniu wojska dokonano lub czego się dokonywa *consule Mussolini.*

Zacznijmy od reform zrealizowanych pod względem organizacji. Stworzono na półwyspie nowy korpus, łącząc w specjalny sposób wojska sycylijskie i sardyńskie. Podzielono w nowy sposób terytorjum państwowe, zwłaszcza na pograniczach, pomiędzy różne korpusy, tak aby lepiej uzgodnić strukturę terytorjalną ze strategiczno-prawną. Przyjęto ostatecznie zasadę trójdzielności dla jednostek bojowych, zaczynając od dywizji, pierwszej wielkiej jednostki, która powinna stanowić organ taktyczny, całkowity sam w sobie, niezmienny w swoich istotnych częściach, a tem samem dający się szybko i z dobrym skutkiem przesuwać w obrębie jednostek wyższych.

Niema przesady w zdaniu, że wartość dzisiejszego wojska pozostaje w prostym stosunku do sprawności, jaką zdolne są

okazać jego składowe części. A wzorem ich jest właśnie dywizja. Było zrozumiałe, że uwaga Ministerstwa Wojny spoczęła przedewszystkiem na tej zasadniczej sprawie.

Kwestja trójpodzielności poszła szybko naprzód dzięki manewrom r. 1925 i 1926, po których wszelkie wahania ustały. Rzeczywiście trudno było poznać jej prawdziwe dane inaczej jak przez doświadczenie.

Zasadą wojska włoskiego przed wojną i po wojnie była dwoistość: dwa pułki tworzyły brygadę, dwie brygady dywizję, dwie albo więcej dywizyj korpus. W nowym układzie dywizja składa się z trzech pułków piechoty, każdym złożonym z trzech bataljonów, uposażonych w silną artylerję dywizyjną. Dowódca dywizji ma na swoje rozkazy dowódcę piechoty i dowódcę artylerji dywizyjnej.

Dywizja staje się w ten sposób wielką jednostką, całością w sobie, i zdolna jest do samodzielnej działalności taktycznej, dzięki bezpośredniemu i bezwzględnemu skoordynowaniu działalności własnej piechoty (dziewięciu bataljonów) i własnej artylerji (około 120 sztuk wszystkich kalibrów). Ten nowy układ kosztował dwie bolesne ofiary: trzeba było zmniejszyć do 90 liczbę pułków piechoty, aby pozostać w granicach zgóry wyznaczonych 30 dywizyj, i trzeba było rozciąć dawne pełne chwały dwu-pułkowe brygady piechoty, aby poumieszczać je w brygadach trójkowych. W ten sposób położono koniec tradycji zrosłej z imionami naszych brygad, które odbyły wojnę. Jednak pamięć dawnych czynów przez to nie przepada, przekazana, choć może w mniej na uczucie działającej formie, włoskiej rodzinie wojskowej i całej armji jako takiej. Tak sformowane dywizje na półwyspie w liczbie 27 (poza dwiema na Sycylji i jedną na Sardynji), złożone w dziesięć korpusów, porozmieszczano, biorąc pod uwagę obowiązek obrony granic narodowych, tak jak i inną ich funkcję, której nie można spuścić z oczu, a mianowicie że są to zasadnicze kadry, w które wciąga się jednostki natychmiast powoływane pod broń w razie mobilizacji. Zależnie od warunków stacjonowania i od obowiązków, niektóre z tych dywizyj wzmocniono i zaopatrzono w specjalne dodatkowe oddziały; inne trzymają się ogólnych przepisów.

Mówiło się o zniesieniu kawalerji. W reorganizacji, którą rozważamy, została ona zachowana ze swemi 12 pułkami. Nie

jest to dużo, skoro mała i górzysta Jugosławja ma ich tyleż, a Francja przeszło cztery razy więcej. Ale pomijając już stronę finansową, faktem jest, że zgodnie z dzisiejszym stanem rzeczy kawalerja, aczkolwiek nadal oddaje wielkie usługi, nie powinna tak dalece działać masowo, jak raczej stać się składnikiem nowego typu jednostki, mianowicie jednostki skutecznej przez szybkość operacji. W każdym razie dokonywane obecnie eksperymenty mają jeszcze za zadanie ustalić, jaka formacja byłaby dla kawalerji najlepsza. Jest to obszerne bardzo pole dla studjów i doświadczeń; nasza kawalerja przykłada się do nich ze zwykłym swoim zapałem, świadoma, że ograniczenie liczby pułków nie jest równoznaczne z lekceważeniem broni, dowodzi tylko pewnej słusznej wstrzemięźliwości, jaką organizatorowie muszą zachować, dopóki nie uda się ująć zasady w pewne istotne punkty.

Mówiło się o zniesieniu bersaljerów. Brał wtedy górę pogląd, że trzeba wciągnąć pod jeden strychulec dusze i ciała, i stworzyć wojsko całe na jedną modłę, jednostajne, prawie bezkształtne. Przeoczano olbrzymią wagę, jaką mają odziedziczone przez tradycję różnice w mundurach i wyszkoleniu, a także sugestywna wartość tych wszystkich razem wziętych uczuć zbiorowych, które składają się na tak zwanego „ducha“ armji. Zapomniano o sławnem zdaniu, przypisywanem Napoleonowi: „Czułbym się na siłach nawet garbusów przerobić na dobrych żołnierzy, a doszedłbym do tego, tworząc pułk garbusów“. Genjalny to dowcip, świadczący o głębokiej wiedzy psychologicznej cesarza. A jeżeli podobna zasada ma wartość w stosunku do garbatych, innemi słowy jeżeli uznajemy paradoks, że specjalne wyróżnienie albo specjalny układ zdolny jest wywrzeć wpływ na jednostki upośledzone, to dlaczego nie uznać ważności tego samego czynnika na jednostki bynajmniej nie kalekie, przeciwnie bardzo dzielne, tak że stanowiły kwiat naszej piechoty. Rozumie się, że bersaljer Mussolini był ostatnim, który mógł pomyśleć o zniesieniu pełnego chwały korpusu, stworzonego przez Aleksandra Lamarmorę, i faktycznie bersaljerzy zostali, a przemienieni wszyscy w cyklistów, w przyszłych wielkich jednostkach bojowych będą mieli do spełnienia specjalne wielce doniosłe zadania taktyczne.

Bardzo ciężką sprawę organizacyjną, także ze względów politycznych, jakie pośrednio za sobą pociąga, było pytanie, jak w razie wojny zużytkować Milicję Narodową. I tę kwestję rozstrzygano często jednym zamachem: znoszono Milicję. System ukręcania głowy wszystkim sprawom, a tem samem i osobom, które stają na drodze, cechuje umysły leniwe i natury konserwatywne aż do misoneizmu. I w tym wypadku obecność Benita Mussoliniego w Prezydjum Rady Ministrów, a następnie w Ministerjum Wojny nie dopuściła, aby ten bezsensowny pomysł przyjął się. Milicja Narodowa, ciało ochotnicze, dziś już mocno zbudowane na podstawach politycznych, ale z silnem zabarwieniem militarnem, pełni właściwe sobie funkcje w czasie pokoju: przedewszystkiem uwalnia wojsko od obowiązku przestrzegania porządku publicznego, a następnie przygotowuje masy do służby wojskowej zapomocą specjalnych kursów instruktorskich. Ale i w czasie wojennym może ona odegrać cenną rolę, głównie dzięki szybkości, z jaką się mobilizuje i przez charakter zaczepny, jaki w sobie wyrobiła, pracując w odpowiedniem środowisku politycznem i moralnem. Po pewnem wahaniu, wywołanem przedewszystkiem nowością zagadnienia, które chciano rozstrzygnąć w sposób jak najpoważniejszy, postanowiono nietylko zatrzymać Milicję, ale wdrażać ją coraz lepiej do zadań wojennych, które, biorąc z grubsza, tak się przedstawiają: Na wypadek mobilizacji Milicja zachowuje swoją zwykłą formację, a jednostki jej, organicznie konstytuowane, wchodzą jako części składowe do wielkich jednostek bojowych, do których są przeznaczone, aby w nich praktycznie odegrać rolę „jednostek zaczepnych".

Nie można rozstać się z tym przedmiotem, nie dotknąwszy choćby przelotem innego, nader ważnego zadania, poruczonego starszym żywiołom w Milicji, to jest przysposobienia do obrony powietrznej. I to będzie pozytywny sposób współdziałania w obronie krajowej, nie odciągając czynnych sił z frontu. Obrona powietrzna przypadnie starszym rocznikom Milicji, przygotowanym i wyszkolonym do tej roboty przez doskonałych oficerów-specjalistów, prawie bez wyjątku dzielnych inżynierów, którzy z zapałem oddają się nowym i oryginalnym obowiązkom.

*

Wracając do wojska, to jest do organizacji, której zadaniem mimo wszystko jest brać w siebie największą część walczących obywateli, znajdujemy inne reformy organizacyjne. Pośród nich zasługuje na uwagę przeobrażenie bataljonu na nowych podstawach.

Bataljon nowego typu od pierwszej chwili swojej próbnej formacji był przedmiotem namiętnych sporów w kołach wojskowych. Miał entuzjastycznych obrońców i surowych krytyków. Tymczasem doświadczenie, jakiemu go dotychczas poddawano, każe w nim widzieć znakomite narzędzie wojenne, aczkolwiek doświadczenie to nie przeszło dotąd koniecznej próby ognia, jaką może być tylko wojna. Bataljon nowego typu jest tworem czasów pokojowych, opartym na wnioskach, wyciągniętych, jak się zdaje, z praktyki wojennej. Jednak ponieważ dane doświadczalne dadzą się rozmaicie interpretować, więc i sam wniosek może ulec zmianie. To właśnie miało miejsce z bataljonem nowego typu, który w dziedzinie techniczno-organizacyjnej powinien stanowić najszczęśliwsze zastosowanie doświadczenia wojennego, zdolne do nieograniczonego rozwoju.

Przed wojną, jak powszechnie wiadomo, bataljon piechoty składał się z czterech kompanij strzelców. Był to skład prosty, jednolity, tradycyjny. Jedyną broń stanowił karabin. Dopiero w ostatnich czasach i nie do wszystkich bataljonów dodano oddział karabinów maszynowych. Żołnierz z karabinem i bagnetem, po skończonej rozprawie zapomocą ognia, rozstrzygał losy bitwy przez atak. Uszeregowanie na głębokość miało właśnie na celu umożliwienie silnego ognia w pierwszej fazie. W decydującej chwili cały bataljon zbijał się w pierwszym szeregu, aby iść na bagnety.

Wojna wykazała, czy zdawało się, że wykazała, bardzo małą wartość tych zasad. Ogień, rozwijany przez bataljon piechoty, nic nie znaczył dla przyjaciela ukrytego w okopach, a kiedy w dodatku artylerja, jak to miało miejsce przez długi czas z naszą, była niedostatecznie zaopatrzona w działa i amunicję, biedny żołnierz, praktycznie rzecz biorąc, był bezbronny. A atak na bagnety? Kiedy tylko była możliwość, uciekano się doń zawsze, czasami z wynikiem zadawalającym, ale z krwawemi ofiarami. I koniec końców wytworzyło się przekonanie, że atak nie jest czynnikiem zasadniczym i rozstrzygającym

w bitwie, ale jakby jakiemś *pis aller*, rozpaczliwym lekiem na bezsilność ognia.

Zapędzono się tedy w kierunku przeciwnym, niż początkowo, i ześrodkowano wszystkie wysiłki, by zdobyć się na jak największą siłę ognia.

Aby wyrobić sobie wyobrażenie o rozwoju naszego bataljonu, jeżeli idzie o natężenie ognia, trzeba zauważyć, że w r. 1914 bataljony miały po dwa karabiny maszynowe na 1100 ludzi (licząc w tem oficerów), w 1917, po zmniejszeniu stanu kompanij, miały sześć mitraljez na 830 ludzi, w 1918 osiem. Natomiast nowy typ, powojenny (1922), posiadał 28 mitraljez lekkich i ciężkich i cztery armatki na 974 ludzi, z których jednak tylko 690 mogło być uważanych za prawdziwy materjał zdolny do operacyj. W ten sposób jeden karabin maszynowy przypadał na 24 ludzi, gdy tymczasem w 1917 był jeden na 138, a w 1914 jeden na 550. Nadto należy dodać armatki i muszkiety-mitraljezy, któremi, jak sądzono, da się zastąpić karabin i zwyczajny muszkiet.

Ale co innego jest sprawa techniczna, a co innego taktyka. Na wojnie idzie nie tyle o zasypanie kulami pozycyj nieprzyjacielskich, ile o trafienie w człowieka, w nieprzyjaciela. Czy broń, niezawodnie potężna i obfita, jaką rozporządzał bataljon nowego typu, zapewniała ten praktyczny skutek w każdych warunkach i w stosunku do każdego przeciwnika?

Zauważmy, że bataljon zupełnie nie rozporządzał bronią wyrzucającą strzał po linjach krzywych. Karabiny maszynowe, karabiny i muszkiety-mitraljezy strzelają w linjach prostych, to znaczy, że kula leci daleko, wprost przed siebie i trafia z bezwzględną dokładnością. Trzeba jednak umieć trafiać. W podnieceniu walką, pod wpływem rozmaitych uczuć, które miotają żołnierzem, a z pewnością nie sprzyjają mierzeniu przy strzale, trudno jest trafić do celu. A przeciwko okopom i innym osłonom, które niezawodnie wejdą w grę także i w przyszłej wojnie, czy jako środki stałej obrony, czy jako chwilowe schronienia na terenie bitwy ruchomej, jaki może być rezultat tego gradu tysięcy czy miljonów kul, wyrzucanych z luf strzelb automatycznych, czy mitraljez?

I inne słabe punkty bataljonu nowego typu, jaki istniał jeszcze przed dwoma laty, wyszły na jaw jako komplikacja

jego ustroju: zbytnia odpowiedzialność, zwalona na podoficerów. Już z wypowiedzialnych tutaj kilku zdań widać odrazu, że współczesny bataljon jest organizmem skomplikowanym; wejrzawszy w szczegóły jego funkcjonowania, znajdziemy dalsze powody do wątpliwości.

Typowy bataljon, taki zresztą, jaki spotkamy we wszystkich armjach europejskich, obejmuje setki ludzi, z których każdy spełnia określone zadanie; jest to naprawdę triumf specjalizacji. Kiedy nieuniknione straty sparaliżują niektóre z tych cennych kółek, czyż cały organizm się nie rozprzęgnie?

Wreszcie metoda walki, narzucona bataljonowi zwykłego typu przez sam jego ustrój czy naturę, powierza dość liczne oddziały, dla akcyj wyraźnie samodzielnych, prostym podoficerom czy starszym żołnierzom, to znaczy wymaga od nich kwalifikacyj, jakie niełatwo znaleźć między oficerami. Wiadomo przytem, że w naszem wojsku dobrych podoficerów jest niewielu, z powodu trudności ekonomicznych. O ile jednak podoficerowie są mizerni, bataljon źle funkcjonuje: skutki jego działalności równają się zeru, jego części składowe rozlatują się, rozsypują w proch. Jak zaradzić temu niebezpieczeństwu?

I oto dlaczego po trzech przeszło latach bezustannych prób, na wyraźne życzenie Mussoliniego i przez zasługę jego współpracowników udało się stworzyć zupełnie nowoczesny typ bataljonu, który zdolny jest stać się naprawdę typowym dla całej piechoty włoskiej; a tak pod względem uzbrojenia jak organizacji wolny jest od poważnych usterek praktycznych, jakie zaznaczaliśmy, mówiąc o bataljonach nowego typu, przyjętych przez inne narody.

Reforma wychodziła z założenia, że nowa organizacja naszej piechoty ma wpłynąć na dużą wydajność, a zarazem nie ma zmuszać do rezygnacji żadnego z nowych wynalazków technicznych i taktycznych. Jednocześnie nie ma zbytnio komplikować czynności oddziałów, szczególniej mniejszych, które wedle przeważających dzisiaj zapatrywań, ponosiły zbyt wielką odpowiedzialność w stosunku do swojej wątłej formacji i nieuniknionych strat, na jakie były narażone w czasie walki. W istocie dotychczas, jakeśmy widzieli, elementarną jednostką piechoty była drużyna bojowa, prowadzona przez zwykłego podoficera, który powinien był kierować posuwaniem się swoich

ludzi i ogniem z ręcznych karabinów maszynowych. Trudne to i skomplikowane zadanie, wymagające szczególnych zalet i doskonałego przygotowania. To też według nowego planu, drużyny będą łączone po dwie, tak że w praktyce zasadniczą jednostką stanie się pluton, prowadzony przez oficera i oparty na lepszej równowadze swoich składników, rozwijających ogień (karabiny maszynowe) i atakujących (karabiny). Po dokonaniu potrzebnych doświadczeń przekonano się, że w dawnym systemie dywizja mogła dać do pierwszego szeregu, jako czynnik atakujący, zaledwie kilkuset ludzi, rozrzuconych na bardzo szerokim froncie. Tymczasem nowy system pozwoli rzucić ich kilka tysięcy, pod osłoną ognia z broni ręcznej i ciężkiej tuż za plecami, dzięki czemu będą się mogli wedrzeć głęboko w szeregi nieprzyjacielskie, a tego się od nich właśnie żąda. To też sądzimy, że reforma bataljonu włoskiego zasługuje nietylko na pochwałę, ale na entuzjastyczne przyjęcie.

Jasne jest, że ta reforma ma wybitnie faszystowskie cechy praktyczności. Przeważyła ona nad doktrynerskiemi poglądami, według których wszystko polegało na ogniu automatycznej broni. Nie zastanawiano się nad tem, że porządna piechota nie może się przemienić w maszynę do wyrzucania kul. Jej czynność jest o wiele bardziej złożona, a górowanie czynnika *człowiek* nad czynnikiem *maszyna* musi się okazać bezwzględną zasadą. Nie przesądza to sprawy, że maszyny muszą być odpowiednio zaopatrzone i najlepsze, jak się tylko da. I ta kwestja jest przedmiotem studjów i doświadczeń Ministerstwa Wojny. Bataljon piechoty jest — i słusznie — oczkiem w głowie Ministra i jego współpracowników, jest bowiem faktem, że każdą armję oceniamy zawsze na podstawie czynów jej piechoty. Zaopatrzenie w karabiny maszynowe ciężkie i ręczne, obok specjalnych miotaczy min, dotychczas wyłącznej własności wojska włoskiego, dla zakładania na karabin albo muszkiet, pozwoli naszej piechocie patrzeć z ufnością na wszystkie przyszłe zadania, w przeświadczeniu, że nie zaskoczą jej one nieprzygotowanej, jak to niestety miało miejsce w ostatniej wojnie.

Określiwszy czas służby wojskowej na 18 miesięcy, zerwano z niewygodnym systemem opóźniania w powoływaniu pod broń ludzi, posiadających już pełne przygotowanie wojskowe, właściwszem wydało się raczej zwalnianie o tyleż czasu

wcześniejsze. Tak więc rząd ma prawo zwalniać po sześciu miesiącach zbiorowego szkolenia pewien odsetek z każdej kategorji poborowej, nie większy od czwartej części kontyngentu, kierując się w wyborze okolicznościami rodzinnemi czy zajęciami, i to tylko, o ile położenie ogólne na to pozwoli. Jednem słowem przeważył pogląd, żeby służbę wojskową uczynić jak się da najbardziej jednolitą, pozostawiając jednak otwarte drzwi dla koniecznych wyjątków.

Dla awansu oficerów na pewnych stopniach wprowadzono system egzaminów. Zato dla wyższych szarż zwyciężyła zasada nowa i naprawdę rewolucyjna, jeżeli ten wyraz jest odpowiedni dla określenia ścisłego i na poważnym namyśle opartego wyboru. Postanowiono mianowicie, aby zamiast starszeństwa postawić kryterjum zasługi zawodowej, na podstawie orzeczenia specjalnego kolegjum, które w określaniu zasługi musi się kierować, zupełnie niezawiśle, wielką liczbą czynników, między innemi moralnych. Wśród nich najpierwsze miejsce zajmuje autorytet, czynnik nieuchwytny, nie dający się ująć w dyplomy, ale łatwy do wyczucia przez tę specjalną atmosferę, jaka otacza niektórych dowódców wojskowych bez względu na wiek i starszeństwo. Posuwając na wyższy szczebel ludzi owianych tego rodzaju urokiem, zyskuje się pewność, że da się wojsku zespół dowódców, posiadających naprawdę powagę, tak że podwładni pójdą za nimi nietylko skutkiem dyscypliny, ale z przyjemnością i z zapałem. Zjawisko to zawsze pożądane, ale trudno osiągalne, jeżeli jedynym punktem rozstrzygającym o wyborze jest starszeństwo. Rozumie się, że w nowym systemie wzrasta odpowiedzialność osób, które decydują o wyborze; wzgląd ten nie mógł być jednak dostatecznym motywem, aby wyrzec się tylu korzyści. Zastosowana początkowo tylko do najwyższych szarż, powoli metoda ta zaczyna spuszczać się coraz niżej, niosąc za sobą swe dodatnie skutki. Zaczęło się od mianowania z wyboru generałów korpusu, zeszło się następnie do generałów dywizji, a nie jest wykluczone, że w najbliższym czasie uczyni się to samo co do generałów brygady. Niżej, rzecz jasna, utrzymuje się jako sprawdzian egzamin, dla tych samych powodów, które doradziły wprowadzenie go do armji.

Wszystko, cośmy tu przedstawili, odpowiada widomej stronie olbrzymiego dzieła, dokonanego przez rząd faszystowski, aby obdarzyć naród coraz tęższą organizacją wojskową. Naturalnie, że obok tej strony, dostępnej dla publiczności, istnieje jeszcze całe mnóstwo posunięć, o których nie jest rzeczą ani łatwą ani właściwą powiadamiać publiczność, należą one bowiem do tej pracy ukrytej, którą każda administracja wojskowa wykonywa w swoich biurach, a której skutki powinny dopiero wyjść na jaw we właściwej chwili. I tak: badania i doświadczenia nad materjałami, codzienne obmyślanie środków dla lepszego zaopatrzenia w amunicję, reforma składnic odzieży i żywności, wreszcie prace laboratoryjne (dość wspomnieć choćby Wojskowy Ośrodek Chemiczny, którego znaczenie jest samo przez się zrozumiałe), — wszystko to nie są przedmioty, któreby się nadawały do publicznej kontroli, nie ulega jednak wątpliwości, że niemniej niż czynna służba lub praca organizacyjna przyczyniają się one do zrobienia z armji dobrze wyostrzonej broni dla kraju. Aby dać jasne wyobrażenie, ile i jak zawiłych zagadnień nastręcza ta część przysposobienia wojennego, dotkniemy mimochodem sprawy czołgów, ze wszystkich najdalszej od ostatecznego rozwiązania, nie dlatego, aby nie rozumiano jej powagi, ale że słusznie postanowiono czekać z końcowem rozstrzygnięciem do chwili, kiedy się będzie w posiadaniu całego potrzebnego materjału tak z dziedziny teoretycznej jak doświadczalnej.

Sprawa czołgów ma i we Włoszech zapalonych zwolenników, istnieje nawet niebogata ale poważna literatura tego przedmiotu. Sprawa traktowana jest u nas bez teoretyzowania na zadatek, jasno i praktycznie. Czem te maszyny mogą się stać w dalekiej przyszłości, niepodobna dziś przewidzieć; w obecnym stanie mają wielkie zalety i kilka poważnych braków, którym niełatwo, zdaje się, będzie zaradzić.

We Włoszech czołgi nie są bardzo popularne, ponieważ w czasie wojny nie używaliśmy ich, mieliśmy tylko samochody opancerzone, ale te są czemś zupełnie innem. Zasadniczą nieomylną częścią czołga jest nieprzerwany pas, który zastępuje koła i pozwala maszynom posuwać się po nierównym terenie, przechodzić wskróś rowów, obalać i rozsadzać mury, piąć się ostro pod górę, czego żaden inny wóz by nie dokonał. Pas

daje genjalne rozwiązanie trudności inaczej nie do rozwiązania: jak uniezależnić mechaniczny środek przewozu od drogi. Ale ma i swoje słabe strony: zbytnia złożoność, za dużo części, łatwe uleganie uszkodzeniom, ogromne tarcie i zużycie paliwa, powolność. Szukano na te usterki leków mniej lub więcej szczęśliwych. Trzeba się spodziewać, że kiedy Włosi wezmą się do rzeczy, będą umieli prześcignąć cudzoziemców. Pokaże się może wtedy, że parę lat zwłoki w zajęciu się sprawą czołgów nie było wielkiem nieszczęściem, bo będziemy mogli łatwiej wyzyskać doświadczenie innych i przystąpić do własnego, nie roztrwoniwszy przed czasem znacznych funduszów.

Nie tu jest miejsce na opowiadanie, co się robi, aby w wojsku włoskiem stworzyć oddziały czołgów, konieczne dla podniesienia jeszcze wartości naszej świetnej piechoty. Wiadomo powszechnie, że dotychczas wyszkolenie personelu, przeznaczonego do tej specjalności, koncentrowało się w jednym tylko punkcie, to jest w garnizonie stołecznym. Niebawem trzeba będzie sprawić, żeby każdy korpus miał własny oddział czołgów. Ta decentralizacja jest z wielu względów pożyteczna; zmusi ona do powiększenia subwencyj, o co się dziś zabiega, fabrykując w większej liczbie egzemplarzy włoski typ czołgów, który się okazał doskonałym.

*

Odkąd faszyzm objął ster rządów, cały nastrój wojska włoskiego zmienił się, co nie znaczy, że polityka wtargnęła do armji albo do floty: byłby to objaw upadku, przeciwko któremu właśnie *Duce* postawił surowe *veto* odrazu pierwszego dnia, kiedy stanął na czele gabinetu; ale znaczy, że ożywczy duch rewolucji faszystowskiej sam przez się ogarnął zwłaszcza młode pokolenie, czyniąc je wprost nie do poznania w porównaniu z tem, czem było poprzednio.

Jest to cud, a zarazem nie jest to cud.

Faszyzm podjął i wzmógł dziedzictwo wielkiej wojny, rozciągając jej dobrodziejstwa na nowe pokolenia, które przechowywały jedynie pośrednie wspomnienie epopei — tęsknotę. Skutki tego stanu ducha, po części nieświadomego, po części genjalnie wpajanego i ustawicznie podsycanego, widać już w nastroju młodzieży, która stawia się do służby wojskowej, nietylko odmiennym, ale biegunowo różnym od nastroju rekru-

tów z dawnych czasów. Co więcej. Sama zdolność uczenia się, to znaczy podatność, tak jednostek jak zbiorowości, do przyswajania sobie przepisów wyszkolenia i wychowania techniczno-zawodowego, podwoiła się nagle w sposób zagadkowy. Ten nowy fakt, znamienny, ale nie dziwny dla nikogo, kto ma serce i mózg zdolne do zrozumienia ostatnich wypadków, znany jest i uznany bez wyjątku przez wszystkich instruktorów wojskowych, wszelkich stopni i broni. Podczas kiedy dawniej potrzeba było całych miesięcy, aby okrzesać rekrutów, i często, aby wpoić w nich najelementarniejsze zasady zbiorowego życia — pierwszego warunku zdrowej dyscypliny —, teraz cała ta robota przygotowawcza stała się zupełnie zbędna. Rekruci stawiają się w korpusach ze swobodą weteranów. Wielu z nich odbyło faktycznie pewną praktykę lub przynajmniej nieco się wprawiło na kursach przysposobienia wojskowego, inni przygotowali się do karnego wysiłku w licznych towarzystwach gimnastycznych i sportowych, ale są i tacy — i po dziś dzień tych jest napewno najwięcej — którzy nie korzystali z żadnego z tych urządzeń, a jednak nie brak im ani rozmachu fizycznego, ani przygotowania duchowego, które tak ułatwia zadanie instruktorom. Oczywiste jest, że i ta część powołanej pod broń młodzieży, pochodząca najczęściej z prowincji albo ze wsi,bierze bądź co bądź udział w dokonywającej się przemianie kraju, wyczuwa niemal instynktownem wyczuciem jej wpływ — jednem słowem zestraja się ze zmienionym i wysokim nastrojem moralnym narodu włoskiego.

I z tego stanowiska występuje w całej pełni podwójna rola Mussoliniego jako Wodza faszyzmu i jako inspiratora głębokich reform w zakresie sił zbrojnych. Jedna bez drugiej byłaby nawet nie do zrozumienia, ponieważ w gmachu Ministerstwa Wojny, jako takiego, podlegają jedynie udoskonaleniu wyniki rewolucji politycznej, jej sens i cel przekłada się tam na język wojskowy. Obie strony odpowiadają sobie znakomicie, koło się zamyka. Życie obywatela włoskiego staje się milicją. Wyniki takiego przeobrażenia dadzą się wyczuć w przyszłości, może już najbliższej, a jego głębokie piętno napewno nigdy się nie zatrze.

ALESSANDRO MELCHIORI
Konsul Generalny Milicji Ochotniczej
Wice-sekretarz Partji Faszystowskiej

MILICJA FASZYSTOWSKA

Fakt, że sprawa wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego uchodzi w Polsce za jedno z naczelnych zadań przypadających państwu, wskutek czego powierzono ich organizację Sztabowi Generalnemu Armji Polskiej — fakt ten nasuwał mi zawsze myśl, że istnieją punkty styczne pomiędzy duchem ożywiającym nas, faszystów, a ludźmi, których dziełem jest przysposobienie wojskowe w Polsce.

Jeżeli rzeczywiście wiadomości, jakie posiadam, odpowiadają prawdzie, istnieje w Polsce w całem tego słowa znaczeniu organizacja przysposobienia wojskowego taka mniejwięcej, jaką i my mamy u siebie i której faszyzm dał największego bodźca, powierzając ją faszystowskiej Milicji.

Tak samo istnieje w Polsce Centralny Instytut Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, stworzony na wzór naszej Farnesiny dla skupienia w jednej organizacji wszystkich towarzystw gimnastycznych.

Wszystko to sprawia, że bardzo chętnie piszę moje krótkie uwagi o Milicji, sądząc, że czytelnikom polskim nie sprawi trudności zrozumienie powodu istnienia ochotniczej Milicji Faszystowskiej, nawet jeżeli nie znają warunków jej powstania, bo nie znają ich często ci, co krytykują Milicję.

Zapomina się mianowicie, że stworzenie jej nazajutrz po Marszu na Rzym było najbardziej genjalnym pomysłem Wodza faszyzmu. Jak inaczej można było ująć w karby, uszeregować, powstrzymać rozpęd Czarnych Koszul, które poprzez kalwarję okupioną śmiercią trzech tysięcy męczenników doszły do bram Rzymu i przestąpiły je zwycięsko?

Lecz to wszystko zbyt skwapliwie się pomija, twierdząc, że faszyzm pewnego pięknego dnia stworzył nowe ciało zbrojne, poprostu dla przyjemności stworzenia czegoś nowego.

Jednak choćbyśmy nawet, jak wspomniałem przed chwilą, przemilczeli sprawę początków Milicji, sprawę, którą zagranicą nie wszyscy znają i z tego powodu skłonni są do błędnych tłumaczeń i sądów — naród polski, stojący zazdrośnie na straży swojej wolności i świadomy obowiązku przysposobienia młodzieży do czynów z bronią w ręku, zdolny będzie w każdym razie, zdaniem mojem, zrozumieć powody utworzenia Milicji, wiedząc, że jest to kuźnia, która daje armji najlepszych żołnierzy.

Tak jest w rzeczy samej.

Powołana do życia wkrótce po Marszu na Rzym, wolą Benita Mussoliniego, który ją stworzył na pierwszem posiedzeniu Wielkiej Rady Faszyzmu, wyznaczając jej ustrój i zadania — Milicja Faszystowska za jedną z podstawowych swoich czynności uznała przygotowanie młodzieży do służby wojskowej dla obrony kraju.

Można nawet powiedzieć, że dziś zadanie to spoczywa całkowicie na niej, bo na swoich kursach wyszkolenia wojskowego przygotowała już zastęp młodych ludzi większy, niż wymaga go każdorazowy pobór wojskowy.

A jak wielkie znaczenie ma ta robota dla Armji, dowodzi sprawozdanie generałów Baistrocchi i Vacchelli, złożone Izbie posłów przy dyskusji nad budżetem Ministerstwa Wojny.

Interesujący ten dokument, omawiając trudności, napotykane przy przeprowadzaniu obecnej 18-miesięcznej służby wojskowej, powiada: „Wszystkie, na próbę wprowadzane przez Ministerstwo, skrócone okresy służby i wogóle krótka służba, dzisiaj jednogłośnie przyjęta, nie powinna nas już wcale niepokoić, jeżeli pomyślimy o obecnym duchu faszystowskim Włoch, a także o młodzieży powoływanej do wojska; wszyscy Włosi są dumni, że mogą przywdziać zwycięski mundur szarozielony. Pewność i otuchę czerpiemy w wspaniałym rozwoju organizacyj młodzieży i organizacyj militarnych, które dziś znajdują się w pełnym rozkwicie i coraz bardziej się doskonalą pod przewodem Milicji ochotniczej, dostarczając Armji kontyngentu młodych ludzi, wychowanych w duchu faszystowskim i już włożonych do ćwiczeń fizycznych i wojskowych, narybek dzielnych oficerów dla wojska".

„Duchowe ocknięcie się naszego kraju i naszych młodych, wiele rokujących zuchów, przysposobienie wojskowe młodzieży,

bezustanna zapobiegliwość o moralny i materjalny dobrobyt żołnierza, wszystko to są czynniki, które wybitnie wpływają na nastrój Armji, a zwłaszcza na piechotę, której wartość bojowa opiera się przedewszystkiem na czynnikach moralnych".

Ale na tem nie kończy się robota naszych Czarnych Koszul.

Przedszkole wojskowe to jedna strona, jedno z zadań powierzonych Milicji.

Aby uzupełnić sprawę moralnego i fizycznego wyrobienia młodzieży, tak by z niej wyszli doskonali żołnierze, a bardziej jeszcze doskonali oficerowie, Milicja zreorganizowała strzelnice i zmobilizowała studentów uniwersytetów, którzy stanowią jeden z charakterystycznych składników Milicji, i z których sformowano obecnie dziewięć kursów Szkoły Oficerskiej.

Nie dosyć na tem; poza fundamentalnem zadaniem dostarczenia wojsku żołnierzy i oficerów, przygotowanych zawodowo i duchowo, generał Teruzzi, Szef Sztabu Generalnego, zajęty jest przygotowywaniem Milicji do pogotowia wojennego, o ile kiedyś godzina kryzysu kraju uderzy.

I tak podjęła się Milicja zorganizowania obrony powietrznej kraju, do której zmobilizowała wszystkich starszych ludzi, wolnych do służby wojskowej, oraz młodych awangardzistów, i przygotowuje swoje wspaniałe bataljony Czarnych Koszul, które w liczbie dwu na każdą dywizję wezmą w razie wojny udział w walkach razem z armją.

Doniosłość tego kroku jest wprost nieobliczalna ze stanowiska duchowego i wojskowego.

Z moralnego punktu widzenia jest on uwieńczeniem gorącego pragnienia faszystowskich działaczy.

Czarne Koszule nie mogły pogodzić się z faktem, że w razie wojny musiałyby się zagubić w morzu wszystkich innych formacyj wojskowych w państwie.

Zżyte z sobą w ciągu tylu lat, wzrosłe w tej samej atmosferze duchowej, ożywione temi samemi czystemi ideałami, pragną kiedyś walczyć w czarnych koszulach. Nie mogło i nie powinno być inaczej.

Czyż możnaby przypuścić, że Czarne Koszule nie broniłyby rewolucji faszystowskiej i Włoch faszystowskich?

Techniczno-wojskowe stanowisko znajduje wyraz w tem samem sprawozdaniu budżetowem Ministerstwa Wojny, na które powoływałem się przed chwilą. Mówi ono:

„Przez udział dwu bataljonów Czarnych Koszul w organicznym składzie dywizji — i to jest fakt bardzo pomyślny — liczba bataljonów w dywizji podniesie się z 9 na 11. Milicja Ochotnicza do licznych swoich prac i zasług położonych dla bezpieczeństwa ustroju, a stanowiących właściwy jej zakres jako milicji rewolucyjnej, dorzuca teraz nowe, stając przy boku Armji, czy to przez wojenne przyspasabianie narodu, czy przez rzeczywisty udział w szeregach wielkich zmobilizowanych jednostek na wypadek wojny".

I naprawdę to, co będą mogły wnieść Czarne Koszule w dzieło powodzenia naszego wojska, ma znaczenie zupełnie wyjątkowe.

Nietylko będą walczyły, o ile zajdzie potrzeba, w imię Ojczyzny, aby bronić jej świętej ziemi, ale też — i to właśnie najbardziej je pociąga i zachwyca — będą walczyły w imię swojej wiary, aby ofiarować historji swój rewolucyjny czyn, aby bronić idei, za którą trzy tysiące męczenników zginęło w chwale.

Doniosłość tego argumentu nie uszła uwagi naszych najwyższych władz, skoro Minister Wojny oświadczył w Izbie posłów co następuje:

„Podczas najbliższych ćwiczeń letnich Czarne Koszule będą mogły zaprawiać się razem z pułkami w swoich dywizjach, skoro przedtem 140 oficerów Milicji ukończy specjalny kurs praktyczny w szkołach centralnych. I inne łączniki powstały tymczasem pomiędzy Armją a Czarnemi Koszulami: Milicja uniwersytecka, która łączy w jednej organizacji szkoły i zastępy zbrojne; Milicja dla obrony powietrznej i jej oddziały związane z głównem dowództwem z jednej a z dowództwami armij z drugiej strony, i to w czasie, kiedy w ogólne ramy mobilizacyjne Armji wciąga się różne Milicje specjalne".

I oto dzięki słowom ministra generała Gazzery doknęliśmy owych Milicyj specjalnych.

Zajmując się, jak wiadomo, wszelkiemi sprawami dotyczącemi Milicji, miałem sposobność często i obszernie pisać o Milicjach specjalnych.

Mówić o ich celach, o ich czynnościach, o duchu, jaki w nich panuje, znaczyłoby napisać tom obszerny.

Ograniczę się do przytoczenia z niedawnej mej książki najważniejszych szczegółów, które dadzą wyobrażenie o tem, co przynoszą krajowi Milicje specjalne.

Milicja Libijska złożyła świetne dowody swojej wartości, swojego przygotowania wojennego i swojego bojowego ducha. Pierwszorzędne karty dziejów kolonjalnych noszą dziś na sobie ślady udziału Milicji: Beni Ulid, Sciaafa, Uadi El-Cuf, Uadi Gabr, Gott El-Sass, En Nufilia-Bu Ngen-Neddan Zella, Bir Gbin, El-Agheila, Esc-Sciarghia. Pięć medali srebrnych, osiemnaście bronzowych, trzydzieści jeden krzyżów wojennych, jedenaście awansów za zasługi wojenne, ośmdziesiąt dziewięć uroczystych pochwał nagrodziły waleczność Czarnych Koszul w Libji.

Milicja Graniczna nie ustaje ani na chwilę w codziennej trosce i w poświęceniach u krańców Ojczyzny. Przejścia górskie stały się dziś nie do przebycia dla nielegalnej emigracji, dla kontrabandzistów, dla uciekinierów. A obok spełniania tych obowiązków policji politycznej, Milicja Graniczna ze szlachetnym porywem biegnie samorzutnie, gdzie powodzie, oberwanie się gór i lawiny zagrażają życiu i mieniu mieszkańców.

Dla wykazania dzielności i usług Milicji Kolejowej wystarczy przypomnieć, że w okresie sprawozdawczym 1922 do 1923, t. j. w roku, kiedy Faszyzm doszedł do władzy, dyrekcja kolejowa zapłaciła, tytułem odszkodowania za kradzieże i różne zaniedbania, olbrzymią sumę 62,542.154 lirów. W okresie 1928—1929 kwota zapłacona przez państwo wynosiła tylko 1,753.101 lirów. Wytoczono sprawy o wykroczenia w 462.530 wypadkach, dzięki czemu Dyrekcja odzyskała 3,473.100 lirów.

Czterdziestu trzech milicjantów straciło życie przy spełnianiu swych obowiązków.

Milicja Portowa, która czuwa w portach Genui, Neapolu, Livorno, Savony, Wenecji, Ankony, w sile 30 oficerów i zaledwie 900 żołnierzy, dokonała następujących operacyj: aresztowań za przestępstwa polityczne 154, za zwykłe zbrodnie 1049, za występki policyjne 7791, za różne wykroczenia 9838.

Milicja Leśna, która broni narodowego majątku leśnego, spisała 119.000 protokołów różnych przestępstw; samo ugodowe

załatwienie spraw w dawnych granicach Królestwa przyniosło skarbowi 6 miljonów lirów; 70 miljonów lirów wyłożono na roboty w górach, zasadzono 80 miljonów drzewek i zasiano 557 tysięcy kilogramów nasion leśnych.

Milicja Pocztowo-telegraficzna oddaje znakomite usługi, czuwając nad całością wielkich wartości państwowych, powierzonych poczcie. Dzięki jej usługom uzyskano dochody przeszło w dwójnasób przewyższające koszty na jej utrzymanie.

Milicja Drogowa w sile 31 oficerów, 427 podoficerów i szeregowych, dostarczyła, dzięki zaprotokołowaniu przekroczeń, około 5 miljonów lirów, od których żołnierze nie otrzymują żadnych odsetek. Dzięki jej doskonałej i niestrudzonej pracy, porządek na drogach publicznych powoli ale stale się poprawia.

Toby powinno wystarczyć dla wykazania, że Milicja stanowi potężne narzędzie rewolucji faszystowskiej i doskonały środek obrony Włoch w każdej chwili i w każdej okoliczności, poza tem, że jest ważnym czynnikiem karności w pokojowem życiu narodu.

Mogę więc z czystem sumieniem, z prawdziwą dumą, jako Włoch i jako faszysta, stwierdzić, że ochotnicza Milicja faszystowska, w swoich zwykłych oddziałach jak i w oddziałach specjalnych, jest jedną z najtęższych załóg kraju.

W każdym wypadku, w pokoju czy w wojnie, Król nasz i nasz Duce mogą się na niej oprzeć z zupełnem zaufaniem.

PIERO PARINI
Generalny Dyrektor Sekcji Szkolnictwa włoskiego
zagranicą
w Ministerstwie Spraw Zagranicznych

ORGANIZACJE FASZYSTOWSKIE ZAGRANICĄ

Istnienie i działalność kół faszystowskich zagranicą ściśle są związane z zagadnieniem naszej emigracji.

Znajduje się dziś na świecie pięćdziesiąt jeden miljonów Włochów, stanowiących doskonałą jedność demograficzną przez wspólne pochodzenie, religję i język. Czterdzieści dwa miljony żyje w granicach ojczyzny, dziewięć rozrzuconych jest po Europie, obu częściach Ameryki i gdzieindziej.

Zjawisko wychodźtwa zaczęło się mniejwięcej w dziesięć lat po fakcie zjednoczenia narodowego, w r. 1880, i wzrasta stale do r. 1914, dochodząc w jednym roku, za któregoś z licznych gabinetów Giolittiego, do 700.000 wypadków ekspatrjacji.

Chłopi, najemnicy, dzierżawcy, drobni właściciele ziemscy, robotnicy, rzemieślnicy, wynosili daleko poza kraj swoją potrzebę pracy a zarazem siły swoich uzdolnień, swojej krwi, swoich mięśni, indywidualność swojego charakteru, genjalność swojej rasy.

Uczepieni na nowym gruncie, dokonywali cudu użyźniania dzikich preryj, pampasów i stepów, a państwa, które ich przyjmowały, stawały w ten sposób wobec historji w świetnym rozkwicie młodości i nadspodziewanem bogactwie.

Sic vos, non nobis... Zaczął się ponury dramat. Nieznane choroby, zaraźliwe gorączki dziesiątkowały bezbronne ofiary, mocniejsi i szczęśliwsi przecież zwyciężyli. Ich zarobki trafiały do rodzinnych wioszczyn na pożytek pozostałej w domu rodziny i dawały skromne oszczędności. To był ten złoty strumień, sławetne zarobki emigrantów, cena rzeki krwi, która oślepiła ówczesne rządy: nie widziały czy nie chciały widzieć, że to było trzydzieści srebrników, rzuconych spadkobiercom Rzymu jako cena ich pracy i ich godności.

Poza kilkoma wyjątkami, nie istniało żadne specjalne prawo opieki nad emigrantem z obcych krajów: pozwalano mu dużo pracować, mało zarabiać, a jeżeli nie był zadowolony, niechby wracał do siebie. Nie mówiono tego, ale tak postępowano. Jest to paradoksem, ale to fakt historyczny. W początkach zapamiętałej walki o opanowanie rynków światowych, zapomniano o jedynym czynniku bogactwa, o czynniku: człowiek-praca.

Emigrant włoski, uzbrojony w paszport trzeciej kategorji, który mu pozwalał na zbytek wyczekiwania całemi godzinami w tłumie, po przedpokojach nielicznych konsulatów, doznawał czasem pomocy ze strony bogatych rodaków, którzy na własną rękę zakładali i utrzymywali towarzystwa dobroczynności. Rząd był w Rzymie — o jak daleko było wtedy do Rzymu! — zaprzątnięty w kuluarach Montecitorio załatwianiem kompromisów parlamentarnych, albo jeszcze gorzej, po lożach masońskich, zaognianiem rozłamu między Kościołem a Państwem. Dbał też o to z czujną pieczołowitością, aby zaprzyjaźnione państwa zapomniały o Włochach, którzy pracowali i dostarczali bogactw, a którzy przecież też mieli prawo do kawałka miejsca pod słońcem.

Wielka wojna położyła kres ruchowi emigracyjnemu. Pokój kazał nam wejrzeć w tę sprawę i uporządkować ją, ale zagadnienie, roztrząsane ze wszystkich stron, nie doszło do rozwiązania.

Włochy faszystowskie zrozumiały i wzięły na siebie obowiązek względem dalekich zapomnianych synów, gdziekolwiek się oni znajdują, pragnąc im uświadomić dumę z ich pochodzenia i własną ich wartość. Albowiem dziewięciu miljonów obywateli nie można przehandlować za tonnaż surowców, lecz trzeba ich położyć na wagę gospodarki wszechświatowej.

Niech żyją dalej na gościnnej ziemi, która ich przyjęła, niech pracują jak dotąd, ale niech wiedzą, że krew, co płynie w ich żyłach, że język, którym mówią, że wiara, którą wyznają, to krew, język i wiara pięćdziesięciu jeden miljonów Włochów.

Aby wziąć ich pod opiekę, Rząd, poza surową kontrolą na granicach, powiększył liczbę swoich konsulatów, obdarzając je nowem życiem i nowemi obowiązkami. Krokiem w kierunku dostarczenia pomocy moralnej i materjalnej było stworzenie

zagranicznych związków faszystowskich *(i fasci all' estero)*. Nie są to tajemnicze ogniska polityczne tajemniczej propagandy, to jawne i wyraźne zrzeszenia pracowników, którzy od matki-ojczyzny otrzymują pokrzepienie i pomoc, którzy wspominają matki-ojczyzny oblicze i kulturę. Nazywają się *fasci*, ponieważ pęk rózg liktorskich *(fascio)* jest dla Włoch święty jak sztandar narodowy. Faszyści przywdziewają czasami czarne koszule, symbol ojczyzny, odrodzonej przez czyn młodych Czarnych Koszul, które we krwi pisały dzieje sławy włoskiej.

W pierwszym okresie, posłannikami faszyzmu zagranicą byli młodzi weterani z okopów i z rewolucji, ludzie walki, którzy przejęli się ideą za cenę życia i mówili starym emigrantom rzeczy nowe, dalekie, zwłaszcza tak bardzo nowe, że starzy musieli wysilać się, aby je zrozumieć. Czy długie zapomnienie przez tamtych, odpowiedzialnych, którzy widzieli, jak oni wyjeżdżali z kraju, może być wynagrodzone przez młodych, co ich nie znali, a przyszli na ich spotkanie?

I zaczęli ich słuchać.

Odpowiedź przyszła z Rzymu.

W Rzymie czuwał i działał młody Wódz. Z Rzymu potężne tchnienie życia i woli nadało narodowi świadomemu swych obowiązków surową dyscyplinę pracy i ofiary. Dla uleczenia dawnych ran, i tych nowych, ociekających jeszcze krwią wojenną, młody karny naród wytężył całą swoją energję i cały swój genjusz. Zamiast strajków, gorliwa praca, zamiast swarów parlamentarnych, zapał dla robót publicznych, gdzie tylko zachodziła ich potrzeba. Zwiastunki nowej ery, nowe okręty wypłynęły z doków, aby przebiegać oceany, a skrzydła Italji rozpostarte do wszelkich zuchwałych czynów, przerżnęły wszystkie nieba, aby każdy Włoch, choćby był najdalej od swojej ziemi, ujrzał jej znak, patrząc ku błękitom.

I Włosi poznali znak ojczyzny.

Faszyzm dokonał cudu. Oni nie znali jeszcze jego nauki. Wyczuli go intuicyjnie w duchu porządku, ofiary i odwagi, jakie umiał tchnąć w dusze. I uwierzyli w faszyzm, skupili się dokoła *fasci*, pewni już, że w ich cieniu znajdą to, czego darmo szukali przez tyle lat, i czego nikt nigdy nie myślał im dać: trochę miłości. Chłopi, najemnicy, robotnicy, rzemieślnicy i ci, co dotąd innym przysparzali bogactw a teraz znaleźli go-

nieco także dla siebie, spojrzeli na Rzym, na Wodza, który, jak oni, był emigrantem, jak oni pracował i cierpiał, poznali w nim najlepszego spadkobiercę chwały Rzymu.

Związki faszystowskie zagranicą zaczęły wyrastać i mnożyć się, i w r. 1928 Benito Mussolini napisał dla nich zwięzły Statut, w którego krótkich paragrafach streścił ich charakter i posłannictwo. Oto one:

> „Żadnego mieszania się do spraw politycznych państwa, które daje gościnę, ale posłuszeństwo dla jego praw.
>
> Szacunek, posłuszeństwo władzom konsularnym włoskim i współpraca z niemi.
>
> Braterstwo, opieka, pomoc wzajemna rodaków, zwłaszcza w stosunku do najbardziej potrzebujących".

Od r. 1928 życie związków faszystowskich zagranicą przeobraziło się. Po propagandzie weteranów z okopów i z rewolucji, przyszła robota nowych budowniczych narodu. Przepisy ustawowe nadały Związkom jednolity wszędzie ustrój, nakazując wszystkim towarzystwom jasne i określone obowiązki: uczciwość, powagę, pomoc i propagandę. Na czele każdego Związku stoi sekretarz, człowiek wypróbowanych przekonań. Pośród setek kół, rozsianych po świecie, są sekretarze, którzy mogą się pochlubić tysiącletnim herbem, a obok nich poczciwi górnicy, dzień za dniem spuszczający się do szybów. Guglielmo Marconi był sekretarzem Związku w Londynie. Urząd sekretarza jest honorowy, bo wymaga ofiar i wyrzeczenia: kosztował często stanowisko, nieraz życie.

Niema dnia świętego przez chwałę albo żałobę ojczyzny, w którymby wszyscy emigranci związani w *fascio* nie zgromadzili się dokoła konsula i sekretarza, i nie przeżyli, w skupieniu lub w porywie ducha, godziny oddanej miłości dalekiej ojczyzny. Są to zebrania o charakterze rodzinnym, które przez pamięć o dalekiej ziemi krzepią uczucie solidarności między jej synami.

Młodzież poniżej lat 18 nie jest przyjmowana do kół, należy zato do organizacyj młodocianych, o charakterze wybitnie sportowym i kulturalnym. Chłopcy podzieleni na hufce, mają swoje boiska sportowe, odbywają ćwiczenia gimnastyczne,

a zależnie od miejscowości, w której mieszkają, oddają się turystyce albo wiosłowaniu. Ale mają też godziny poważniejszych zajęć, przeznaczone na naukę i lekturę. Pomaga im w tem miesięcznik, wydawany umyślnie dla nich, i książki, przysyłane z Rzymu. Najbardziej upragnioną nagrodą są dla tej młodzieży wakacje spędzone we Włoszech.

Zjeżdżają się ze wszystkich krajów i z nad brzegów morza Śródziemnego, jak ptaki, skrzyknięte na zbiórkę, i w ciągu czterech tygodni swemi ciekawemi oczętami zaznajamiają się z obliczem Italji, o której słyszeli jak we śnie, a którą widzą teraz: jej wybrzeża morskie, jej góry, jej artystyczne i przemysłowe miasta, i widzą — nagroda nad nagrodami — widzą Rzym i jego Wodza.

Kobiety mogą się także zapisywać do kół faszystowskich. Ale kobieta-faszystka to nie jest politykujący mężczyzna w spódnicy, ani bohaterka romansu z lat trzydziestych zeszłego stulecia. To żona, matka, strażniczka ogniska, córka, oddana swoim obowiązkom, która utrwala w życiu codziennem tradycje rodzinne, święte zdrowe tradycje, bogactwo i chlubę rasy. Wychodząc poza dom, kobieta faszystowska odwiedza szpitale, ambulatorja, opiekuje się opuszczonemi i chorowitemi dziećmi, a jej praca cicha i skromna, ale szlachetna i wartościowa przyciąga opieszałych sceptyków, którzy nie ufają pięknym słowom, ale wierzą w czyny.

Bo mówmy otwarcie: koła zagraniczne wspomagają i podtrzymują wszystkich rodaków, nie pytając ich przedtem o legitymację polityczną.

W trosce o język i kulturę włoską, koła faszystowskie znajdują silne oparcie w naszych szkołach zagranicznych i w Towarzystwie Dante Alighieri, założonem w tym celu przed dwudziestu laty. Działalność ich jest zgodna i sharmonizowana, aby każdy Włoch wiedział, co jego ojczyzna dała światu, i jaki skarb posiada w cudownym języku, który, jak chce legenda, aniołowie znieśli na ziemię, ale który dla niego jest często nieznanym klejnotem, tak uparcie trzyma się swego regjonalnego dialektu, choć ten odcina go od reszty rodaków i skłania do posługiwania się językiem kraju, w którym mieszka, bo wtedy jest przez wszystkich rozumiany.

Dlatego co tydzień rozsyła się z Rzymu *Il Legionario*, pismo ilustrowane, gdzie jest mowa o Włoszech ubiegłych wieków i o Włoszech dzisiejszych, o Włochach, którzy mieszkają w kraju i o tych, co są od niego daleko; z pismem przychodzą tysiące książek, jasnych i zrozumiałych, wskrzeszających dawne dzieje i mówiących o nowej miłości, przepojonych tęsknotą i poezją, albo trzeźwe traktaty o idei faszystowskiej. Bo emigrant włoski czyta i umie czytać, a jeżeli twarda praca poodgniatała mu ręce, umysł jego jest zawsze otwarty dla wszelkich idej pięknych i podniosłych.

Koła faszystowskie zagranicą mają wielu przyjaciół. Ci, którzy je widzą zbliska, którzy śledzą ich pracę, stają się natychmiast ich przyjaciółmi.

Ale nie brak wrogów. Są to wrogowie faszystowskich Włoch, ci co się wyrzekli ojczyzny, nienawidzą jej, nie mogąc jej kochać, spotwarzają ją, nie mogąc jej już błogosławić. Po największej części są to nieszczęśnicy, nazywający się wywrotowcami, choć sami nie wiedzą czemu; podjudzani przez jakichś niegodziwców, czasem posuwają się aż do morderstwa i przecinania młodego życia faszystów, opętani nienawiścią, tem więcej karygodną, że niczem nieusprawiedliwioną.

Dziesiątki Czarnych Koszul padły w ten sposób na obcej ziemi. Faszyści nie uciekali się i nie uciekają się do odwetu. Uważają za świętą gościnę kraju, w którym żyją. Odpowiedzieli, pomnażając jeszcze swoje dobre czyny. Po każdym czynie antyfaszystowskim stają zaraz do apelu nowe mocne zastępy. Przez ofiarę i przez męczeństwo faszyzm ukuł swoją duszę i zahartował swoją wolę.

I dzięki temu także, dzięki ofierze życia swoich szeregowców, faszyzm ma w sobie pierwiastki bezgłośnego męczeństwa, chrześcijańskiego i katolickiego.

MACIEJ STARZEWSKI

ORGANIZACJA SPOŁECZEŃSTWA NA PODSTAWIE EKONOMICZNEJ W PAŃSTWIE FASZYSTOWSKIEM

Brak miejsca pozwala nam w tym numerze ogłosić tylko wstępny rozdział rozprawy p. Dra Starzewskiego. Dalsze rozdziały ukażą się w następnych zeszytach miesięcznika. *(Przyp. Red.).*

Faszyzm przyjął za podstawę wznoszonej przez siebie całkowitej organizacji narodu — organizację syndykalną. Przedsiębiorąc organizację, przedsięwziął zgrupować w sposób trwały elementy, mające być zorganizowanemi, w pewne zhierarchizowane całości, zdolne do wypełniania specyficznych funkcyj, określonych celem organizacji. Tem, co miało być zorganizowane, był naród, a raczej poszczególne składniki tego narodu, t. zn. obywatele. Odrzucając mechanistyczny demokratyzm, co nie chcąc znać jakości, przyjmuje każdą jednostkę ludzką dlatego, że jest jednostką, więc dla arytmetycznej sumy, najwyższego demokratycznego kryterjum, zawsze jednakową we wszystkich wartość posiada — faszyzm nie zgadza się dopuszczać każdego z tej racji, że jest i żyje. Od członka narodu wymaga, bv reprezentował pewną jakość. Ponieważ zaś naród pojmuje dynamicznie, jako całość, rozwijającą się w ciągłym zbiorowym wysiłku twórczym, upatruje ową miarodajną jakość w uczestniczeniu w tej twórczości. Karta Pracy podniosła pracę we wszelakich jej formach do znaczenia obowiązku społecznego, — więc praca jest tem, co kwalifikuje jednostkę jako członka narodu. Wszystko zatem, co w narodzie pracuje, winno być w mury budowanej organizacji włączone. W ten sposób organizacja obejmuje cały naród. Organizacja narodu ma być wreszcie całkowitą. Karta Pracy mówi: Naród włoski jest jednością moralną, polityczną i ekonomiczną, która realizuje się całkowicie w Państwie faszystowskiem. Organi-

zacja całkowita narodu, ujmująca właśnie w jedność wszystkie narodowo wartościowe elementy, nie może być przeto czem innem, jak organizacją państwa samego. Tej to zatem państwowej organizacji podstawę ma tworzyć organizacja syndykalna. Ma stanowić nieodłączną część struktury państwa, tak jak fundament wiąże się nierozdzielnie z murami gmachu.

Dlaczego faszyzm szuka jakiejś zorganizowanej podstawy dla struktury państwowej? Dlaczego nie zadawalnia się przyjęciem za podstawę poprostu faktu istnienia społeczeństwa? Tak przecież czynią inne ustroje. Nie troszczą się one wcale o to, by oprzeć się na fundamencie występujących już w jakiemś zdecydowanem ugrupowaniu atomów społecznych. Wystarczy im wznosić i łączyć z sobą te tylko budowy, które są przeznaczone na siedlisko czynników, mających bezpośrednio materjalizować władzę państwową. Te inne ustroje, gdy są autokratyczne, traktują społeczeństwo wyłącznie jako przedmiot władzy, unoszącej się ponad społeczeństwem, rządzącej niem z zewnątrz i nie niem się legitymującej. Gdy są demokratyczne, starają się powiązać organy władzy z rezerwoarem sił społecznych za pomocą mechanizmu wyborczego, wpuszczają jednak ten mechanizm w całkowicie płynną, amorficzną masę społeczną, zdając wywoływanie koniecznych krystalizacyj na siły polityczno-wyborcze, stojące całkowicie poza organizacją państwową, przedewszystkiem na stronnictwa.

Faszystowska teorja państwa odrzuca jedno i drugie. Państwo faszystowskie nie ma być ani zesłanym z nieba orłem, rozpinającym cień swoich skrzydeł nad społeczeństwem, kierującym jego ruchami z oddali za pomocą wszechwiedzącego wzroku, ani też nie ma być okrętem, pływającym na powierzchni społeczeństwa, wstrząsanym każdą wzbierającą falą, tam dążącym, gdzie go prąd poniesie. Tak, jak dla autokratycznej koncepcji, jest i dla faszyzmu państwo najwyższym autorytetem, nieograniczonym, istniejącym po to, by rozkazywał i we wszystkiem przewodził, czerpiącym swą rację z samego siebie. Ale wyciągając z tego wszystkie konsekwencje, faszyzm właśnie przedsiębierze zorganizować społeczeństwo. Wszechstronność bowiem zadań, jakie państwo winno podejmować, jego suwerenna kontrola we wszystkich dziedzinach życia, da się tem pewniej i skuteczniej wprowadzić w czyn, gdy państwo znajdzie dla swoich chwytów klamry wmurowane przez siebie samego w bloki społeczne, które samo już poprzednio zcementowało. Lecz

organizacja narodu nie ma być tylko środkiem technicznym, mającym ułatwić państwu wykonywanie władzy. Faszyzm chce mieć z tej organizacji fundament dla państwa organicznie wyrastającego ze społeczeństwa, państwa będącego specyficzną formą narodu, w której zamkną się wszelkie jego moralne, polityczne i ekonomiczne wartości, państwa tworzącego ze społeczeństwem całość tak zwartą, organizm tak jednolity, że odżywia się tą samą krwią działających sił, a porusza fluidem tej samej władczej myśli. Faszystowska organizacja narodu nie wypływa tylko z potrzeby wprowadzenia urządzeń technicznych, z założeń metodyki rządzenia, ale jest systematycznem rozwinięciem koncepcji narodu-państwa jako żyjącego i pracującego organizmu.

Dlaczego faszyzm przyjął organizację syndykalną jako zasadę organizacji narodu? Miał po temu rozliczne racje zarówno ideowe, jak praktyczne. Racje ideowe dadzą się sformułować w dwóch twierdzeniach. Jedno dotyczy kryterjum wartości jednostki, drugie ma związek z koncepcją zadań państwa.

Ujęcie jednostek w grupy zawodowe jest najwłasciwszym sposobem przeprowadzenia więzi organizacyjnej poprzez te punkta ich osobowości, które tworzą najcenniejszą wartość człowieka, nadając mu godność producenta, twórczego czynnika życia narodowego, pomnożyciela dóbr, a przez to i zasobów narodu. Gdy chodzi o włączenie jednostki w grupy o zadaniu organiczno-państwowem, to winna ona być ujęta z tej strony właśnie, która przedstawia jej najgłębszą wartość społeczną, która wkorzenia się zarazem w jej najbardziej życiowe interesy osobiste i która kładzie swe piętno na całem jej nastawieniu psychicznem. Jednostka, połączona poprzez cząstkową organizację (syndykat) z organizacją całkowitą (państwem) w tym właśnie ośrodku swej indywidualności, stanie się z jednej strony najobfitszem źródłem, z którego energję będą mogły te organizacje czerpać na rzecz własnej swej żywotności, z drugiej zaś strony odsłoni powierzchnię najbardziej wrażliwą na oddziaływanie na nią samą tych organizacyj.

Druga przesłanka wypływa z faszystowskiego poglądu na zadania państwa. Państwo musi być aktywne, jako władza, na tych polach, które najintensywniej absorbują wysiłki i energję społeczeństwa: gospodarstwa i konfliktów społecznych. Państwu nie wolno być nieobecnem tam, gdzie zawiązują się i rozgrywają działania, dążenia, starcia, walki, niejednokrotnie wypełniające treść życia

narodu, rozstrzygające dla siły, znaczenia, możliwości rozwojowych, nawet bytu całości narodowo-państwowej. Państwo nie może ograniczyć się do roli biernego rejestratora rezultatów. Winno ono być wszędzie obecne. Winno kierować akcją ekonomiczną społeczeństwa w myśl wyższych celów, do których prowadzić naród ma Rząd świadomy swej misji dziejowej, winno dodatnie dla siebie przejawy pobudzać, harmonizować i koordynować, ujemnym zapobiegać, niebezpieczne władzą swą usuwać i tępić. Nad ekonomją winna zapanować polityka, w tem jednak tylko znaczeniu, że państwo świadome potęgi, jaką daje w dzisiejszym świecie bogactwo, świadome praw panujących nad tworzeniem się bogactwa, mając przytem możność najpełniejszego ogarnięcia wszystkich skomplikowanych warunków, powikłanych konjunktur, — czuwa nad rozwijaniem się systemu gospodarstwa narodowego, troszczy się o najlepsze użycie sił produkcji, strzeże przed marnowaniem wysiłków i zasobów, hamuje egoizmy jednostek, klas, zawodów, współpracuje ze społeczeństwem w jego dźwiganiu się na wyższe stopnie dobrobytu, w wywalczaniu narodowi produkcyjnym wysiłkiem, łącznym i zorganizowanym, należytego miejsca na ziemi. Państwo, stawiające sobie zadania o tej rozpiętości, musi wtopić się fundamentami swemi w ekonomji, musi poddać siły ekonomiczne jakiemuś porządkowi, musi chaotyczną ich wielorakość przesegregować, sklasyfikować, jednorakie zespolić, podobne powiązać i tak usystematyzowane zsolidaryzować z sobą, by mu były posłuszne, ale także, by z nim współdziałały, pomagały mu, oświecały go, a nawet gdzie się da wyręczały.

Motywy natury praktycznej, dla których faszyzm oparł się na związkach zawodowych w przedsięwziętej przez siebie organizacji narodu, tkwią nadewszystko w historycznej rzeczywistości zbiorowego życia włoskiego: w bujnem krzewieniu się związków, robotniczych zwłaszcza, od lat kilkudziesięciu, oraz roli, jaką odgrywały w życiu publicznem. Fakt istnienia syndykatów narzucił się faszyzmowi jako fakt realny, dziejowy, wypływający z najgłębszych konieczności historycznego rozwoju. Syndykalna forma organizacji przedstawiała się jako wytworzona przez społeczeństwo samorzutnie, żywiołowo, a więc jako zrośnięta z jego najsilniejszemi potrzebami, wyrażająca jego najbardziej wewnętrzne aspiracje i ujmująca najdoskonalej jego organizacyjne dążności. Realistyczne skierowanie umysłowości faszystowskiej nakazało mu iść z prądem historji,

przyjąć tę formę, której usunięcie byłoby okaleczeniem społeczeństwa, a która zmodyfikowana i odpowiednio przystosowana, nadawała się znakomicie do zużytkowania dla celów wytkniętych sobie przez faszyzm. Myśl, sięgająca do dna samego rzeczy, a przytem niezmiernie śmiała. Polega bowiem na wprawieniu instytucyj syndykalnych w kompleks murów budowanego przez faszyzm ustroju, i to jako trwałego podmurowania, mającego dźwigać na sobie cały gmach państwa nowego typu. A instytucje te, aczkolwiek były wytworem dążności zcałkowywania się drobin społecznych, stały się mimo to jednym z najbardziej gryzących czynników pomiędzy temi, co przeżarły poprzednią formę państwowości włoskiej. Wyrodziły się w groźne niebezpieczeństwo publiczne, w rozsadnika anarchji i wojny domowej. Faszyzm, który w początkach swego istnienia skierował główny swój wysiłek ku walce ze zwyrodniałemi postaciami syndykalizmu, który znalazł jednak we własnych związkach zawodowych, organizowanych przez Rossoni'ego, narzędzie przywrócenia ładu i walną pomoc przy zdobyciu władzy, faszyzm potępił nie instytucję samą syndykalizmu, ale ten system prawno-polityczny, którego bezmyślność i bezwład dopuścił do rozszalenia się burzy. Ztemu zawinił nie syndykalizm, gdyż może on być środkiem konsolidacji i ładu. Winę ponosi państwo liberalno-demokratyczne, z istoty samej swojej bezradne, nieobecne w najważniejszych przejawach życia społecznego, niezdolne już nie do kierowania, ale nawet do wpływania na formowanie się tego życia, skazane już przez założenia swoje myślowe na to, by stać się igraszką pozostawionych bez kontroli sił społecznych, by w końcu paść ich ofiarą.

By zrozumieć całą doniosłość reformy faszystowskiej, należy zdać sobie sprawę z położenia prawnego i faktycznego syndykatów włoskich w czasach przedfaszystowskich.

ROMAN POLLAK

KULTURA POLSKA WE WŁOSZECH

REFLEKSJE I DEZYDERATY

Tym razem zacznę od rozważań ogólnych, teoretycznych i praktycznych.

Troskę o szerzenie wiedzy o Polsce zagranicą a zwłaszcza na zachodzie Europy należy zasadniczo odróżniać od t. zw. p r o p a g a n d y. Pierwsza powinna opierać się i rozwijać na podstawach objektywnych, krytycznych, naukowych, a przedewszystkiem apolitycznych, powinna dążyć do orjentacji w problemach istotnych, do zrozumienia zasadniczych linij rozwojowych naszej kultury, do mądrej oceny jej istotnych wartości i możliwości. Nazwa „propagandy kultury polskiej" czy „propagandy kulturalnej" nie wydaje się ani trafną, ani ścisłą. W tej dziedzinie bowiem wszelka „propaganda" wydaje się czemś sztucznem, narzuconem zzewnątrz, z innej dziedziny życia, zdaje się ona służyć przelotnym, chwilowym potrzebom polityki i dyplomacji, a nie bezstronnym, rzetelnym informacjom. Propaganda polityczna posiada z reguły cechę aktualności, wiąże się ściśle z bieżącą polityką; metody jej są przeważnie dyplomatyczno-dziennikarskie. Oczywiście, że i jedna i druga praca nieraz ściśle ze sobą się wiążą. Rozumne ich pogodzenie jest nieraz bardzo cenne i pożądane. Zasadniczo jednak powinno się je od siebie odróżniać i starannie je oddzielać. W przeciwnym razie — bezstronność i objektywność jednej z nich jest narażona na ustawiczne podejrzenia, które jej niesłychanie szkodzą.

Przyjąwszy te rozróżnienia, trzeba się zgodzić na to, że niewłaściwem byłoby skupianie obu tych dziedzin w jednem ręku, w jednym wydziale czy departamencie M. S. Z., w jednem „biurze propagandy" (mam tu wciąż na myśli akcję wśrod społeczeństw starszych od nas i bogatszych kulturą). Wprawdzie uporczywie utrzymuje się pogląd, że podobnie jak austrjacki generał, tak i dyplomata jest umysłem uniwersalnym, całość zjawisk ludzkich i nieludzkich ogarniającym z wrodzoną, wytworną lekkością jakby nigdy

nigdzie nic innego nie czynił, ale o naszych przynajmniej dyplomatach — pominąwszy zbyt rzadkie niestety wyjątki — tego powiedzieć nie można. Wobec tego wydaje mi się koniecznym — w zakresie t. zw. oficjalnej akcji polskiej na terenie zagranicznym zachodnio-europejskim — celowy rozdział funkcyj i kompetencyj oraz ich mądra współpraca. Osobny, odpowiednio przygotowany organ, zależny raczej od Minist. Oświaty, powinienby się zajmować sprawą szerzenia wiedzy o Polsce na terenie jakiegoś państwa zachodniego czy sąsiadującego z nami; sprawa oficjalnej propagandy ekonomicznej i handlowej należy przedewszystkiem do konsulatów, a biura prasowe poselstw zajmują się w pierwszej linji propagandą polityczną. Na innych terenach, w innych państwach taki podział nie zawsze jest konieczny i pożądany.

Prócz tych organów oficjalnych wiedzę o Polsce szerzą również różne miejscowe instytucje, towarzystwa i prywatne osoby. Nadzór nad ich działalnością jest utrudniony, stąd też nasze placówki zagraniczne powinny usilnie informować się o tej nieoficjalnej akcji. Odróżnićby tu można trzy jej odmiany: 1) działalność miejscowych towarzystw polonofilskich i polskich (np. publikacje przekładów arcydzieł polskiej literatury przez rzymskie koło Tow. im. A. Mickiewicza) oraz autochtonów informujących swoich rodaków o różnych objawach kultury polskiej, 2) występy zagraniczne, jednostkowe i zbiorowe, konferencje, publikacje wybitnych reprezentantów naszej kultury, i 3) różnego rodzaju występy zupełnie do tego niepowołanych, niedostatecznie lub całkowicie nieprzygotowanych „propagandzistów" a zwłaszcza „propagandzistek".[1]

Osobną kategorję stanowi działalność wrogiej nam obcej propagandy, informująca zagranicę o Polsce tendencyjnie i ujemnie. Pilne tej akcji śledzenie, zwalczanie jej w samym zarodku, umiejętne przeciwdziałanie — to jedno z ważnych zadań placówek naszego M. S. Z. Nad tą też sprawą bliżej się tu nie rozwodzę. Natomiast warto się głębiej zastanowić nad tamtemi trzema odmianami nieoficjalnej działalności na rzecz naszej kultury.

---

[1] O niektórych tego rodzaju występach informowałem już na tem miejscu przy okazji. Parę jaskrawych przykładów przytoczyłem ostatnio w artykule *O naszej propagandzie zagranicznej prawd kilka* (dodatek literacki do *Il. Kurj. Codz.* z 2-go czerwca b. r.). W tydzień potem ukazał się tamże artykuł p. L. Kociemskiego z Rzymu p. t. *Nasza propaganda zagraniczna na terenie włoskim*, zawierający sporo cennych uwag.

Zacznę od odmiany ostatniej może najczęstszej a zarazem najgroźniejszej, od występnych występów niepowołanych do tego rodzaju działalności osobników. Uniemożliwiaćby je powinny nasze konsulaty i poselstwa.[1] Postawiłbym nawet jako normę, że obywatelom polskim nie wolno wogóle występować publicznie zagranicą bez odpowiedniego upoważnienia na piśmie ze strony naszych najwyższych instytucyj naukowych i artystycznych, biorących tem samem pełną odpowiedzialność za tego rodzaju występ. Pisma takie należałoby dla ewidencji obowiązkowo przedkładać w naszych urzędach konsularnych i poselstwach. Na każdym publicznym występie obywatela polskiego zagranicą (mówię tu tylko o imprezach z zakresu kultury duchowej) powinienby z urzędu być obecny odpowiedni przedstawiciel naszej placówki M. S. Z., któryby potrafił zdać urzędową dokładną relację z propagandowej wartości występu. O ile chodzi o drugą z wymienionych kategoryj, t. j. o wybitnych reprezentantów naszej kultury, to i w tym wypadku tego rodzaju formalności nie okażą się zbytecznem utrudnieniem, ale przeciwnie bardzo nawet pożądanem ułatwieniem. Wielokrotnie bowiem zdarzało się, że publiczny występ zagranicą bardzo nawet wybitnego i znanego przedstawiciela naszej kultury, przybywającego na zaproszenie obcej instytucji, nie przynęca dostatecznego liczebnie audytorjum z powodu nieumiejętnej, spóźnionej, zbyt dorywczej reklamy. Otóż zawiadomiona zawczasu nasza placówka może zawsze z pożytkiem przez swoje lokalne wpływy i znajomości przyczynić się do większego sukcesu.

Nieocenioną wprost rolę w szerzeniu wiedzy o kulturze naszej odgrywają zagraniczne towarzystwa polonofilskie i tubylcy jaknajlepiej o niej poinformowani a należący do elity miejscowego społeczeństwa. Dyskretna pomoc z naszej strony jest tu konieczna i szczególnie ważna. Dostarczanie materjałów, książek, albumów, diapozytywów i t. d., dbałość o jak najlepsze stosunki polskiej kolonji z takiem towarzystwem polonifilskiem, a zwłaszcza o kontakt z wybitnymi a interesującymi się Polską cudzoziemcami — oto ważne zadania naszych organów urzędowych zagranicą.

---

[1] Osobnikom cierpiącym na chroniczną chorobę szkodliwej ze względu na jakość występów „propagandy" należałoby utrudniać wyjazd zagranicę albo zobowiązywać ich na piśmie do wstrzymania się od publicznych wystąpień pod grozą przymusowego powrotu do kraju.

Naczelną rolę w dziedzinie szerzenia wiedzy o Polsce zagranicą powinni odgrywać wybitni cudzoziemcy, doskonale poinformowani, znający nasz kraj, kulturę i język, wielokrotnie nas odwiedzający, związani tysiącznemi nićmi znajomości i sympatyj. Zdobycie jak najliczniejszego zastępu takich ludzi — jest postulatem bodaj najważniejszym w tej dziedzinie, o której tu mowa. W tym też kierunku powinny zmierzać największe z naszej strony zabiegi. Niepodobna tu oznaczać jakichś norm dokładnych; sprawy tego rodzaju trzeba traktować czysto indywidualnie. Na jedno tylko pragnąłbym zwrócić uwagę. O ile taki wybitny cudzoziemiec, kulturą naszą zajmujący się rzetelnie (a nie z grzeczności tylko lub przy okazji przelotnego pobytu), przyjedzie do nas, to niepodobna narzucać mu z góry jakiegoś pierwszego lepszego z kraju aniołastróża, wyrwanego na poczekaniu z przebogatego bukietu naszych urzędników z centrali M. S. Z. Chociażby to bowiem byli młodzieńcy czy mężowie bardzo nawet mili, zabawni, pełni zalet towarzyskich i francuszczyzny nad miód słodszej, znający doskonale wszelkie naszej stolicy gastronomiczne i niegastronomiczne rozkosze — to jednak w tym wypadku stanowczo to nie wystarcza. Opiekun taki musi posiadać maximum wspólnych zainteresowań, w przeciwnym razie obaj będą się wzajemnie śmiertelnie nudzili w swojem towarzystwie. Wszelki szablon lub niedbalstwo w takiej sprawie grozi odstraszeniem i zrażeniem wartościowego gościa. Pamiętać też trzeba dobrze o tem, że nie miasta polskie (poza kilkoma wyjątkami) są najciekawsze dla przybysza z Zachodu, ale wieś, folklor polski, rozmaitość krajobrazów, lasy i puszcze, okręgi przemysłowe, Gdynia — i z tem go też trzeba zapoznać, pokazując mu Polskę, a nie po miastach tylko go obwozić, rzadko naprawdę ciekawych dla niego.

Umiejętne szerzenie wiedzy o Polsce zagranicą, zwłaszcza na Zachodzie Europy, jest procesem bardzo złożonym i trudnym do opanowania, o ile się pragnie osiągnąć jak największe i trwałe wyniki wysiłkiem i kosztem minimalnym, przewidzieć i zwalczyć różne przeszkody, a zarazem wykorzystać wszelkie sprzyjające okoliczności. Racjonalnie, na dalszą metę uprawiać można ten teren poznawszy wpierw dobrze środowisko, jego kulturę, nie ograniczając się tylko do współczesnej, ale wnikając głębiej w żywotne, odnawiające się tradycje przeszłości, zbierając przytem pilnie wszelkie z naszą kulturą pokrewieństwa, związki i analogje. Słowem — pracę

należy zacząć od sumiennej, wnikliwej „orjentacji w terenie". Nasza „młodszość" wobec kultury społeczeństwa, wśród którego ma się szerzyć wiedzę o Polsce, odrazu sprowadza ją na właściwe tory i wyklucza z góry metody, odpowiednie wśród społeczeństw od nas młodszych, w rozwoju kultury duchowej bardziej opóźnionych. Należy potem gruntownie, naprawdę „źródłowo" stwierdzić, zmierzyć całą rozciągłość i głębokość wiedzy o Polsce na danym terenie, zbadać istniejące w stosunku do naszej kultury zainteresowania, sympatje i antypatje i dotrzeć do ich głębszych źródeł. W ten sposób dojdziemy do rzetelnej oceny okoliczności ułatwiających i utrudniających sprawę. Zainteresowania i sympatje cudzoziemców do naszej kultury mogą być przypadkowe, przelotne i czysto osobiste, mogą się też opierać na żywych tradycjach i wspomnieniach historycznych, lokalnych lub nawet rodzinnych. Należy je starannie odnowić, utrwalić i rozbudować. W ten sposób zyskujemy potężnych sprzymierzeńców w tego rodzaju pracy, o jakiej tu mowa.

Należałoby teraz z perspektywy powyższych ogólnych rozważań przyjrzeć się pewnym dziedzinom obecnej wiedzy o Polsce na terenie włoskim, podkreślić szczególnie ważne dezyderaty i ukazać niektóre horoskopy na przyszłość.

Wiele różnorodnych objawów wskazuje na to, że dzisiejszy nasz „stan posiadania" we Włoszech przedstawia się może i lepiej aniżeli gdzieindziej na Zachodzie, mimo że bardzo mu jeszcze daleko do wyczerpania wszystkich istniejących możliwości. Złożyło się na to wiele przyczyn. Rzecz ułatwiło przedewszystkiem środowisko włoskie, przeważnie nastrojone sympatycznie, a w niektórych wypadkach nawet wprost entuzjastycznie, naogół niezrażone do nas przez wrogą agitację, tak jak to bywa gdzieindziej. Pozatem działalność naszych oficjalnych organów M. S. Z. w kierunku szerzenia wiedzy o Polsce jest tu z roku na rok coraz to bardziej intensywna, umiejętna, pełna inicjatywy. Na szczególne wyróżnienie zasługuje obliczona na dalszą metę akcja rozwijana przez naszego ambasadora przy Kwirynale p. Przeździeckiego i radcę p. Tadeusza Romera. Podkreślam na tem miejscu zawsze harmonijną współpracę delegata Ministerstwa W. R. i O. P. z naszem przedstawicielstwem przy Kwirynale.

Kultura i życie współczesnych Włoch opiera się na trzech węgielnych kamieniach: na żywej jeszcze albo też usilnie odnawianej

tradycji, sięgającej starożytnego Rzymu (faszyzm zwłaszcza skwapliwie do tych tradycyj nawiązuje), na wspaniałej kulturze Renesansu a wreszcie na bogatych tradycjach z okresu walk wolnościowych, t. j. tak zwanego Risorgimenta.

Związki naszej kultury i jej zależność od obu pierwszych kompleksów jest oczywista. Dowodem tego jej „łacińskość", dowodem włoskość naszego złotego wieku. Zapomina się jednak zwykle o trzecim kompleksie najbliższym co do czasu, najmłodszym a więc najukochańszym dziejowej kultury włoskiej dziedzicu, jakim jest okres Risorgimenta. Dla dzisiejszych Włoch znaczy on tyle, co dla nas okres niewoli. Nie stał się on jeszcze kompleksem minionej już dawno rzeczywistości, zastygłym w kształty stałe, nie oddaliła się jeszcze w trudno zrozumiałą i wyczuwalną przeszłość jego ideologja, jego atmosfera uczuciowa, emocjonalna. Jest to kompleks myśli, uczuć i wzruszeń drgający jeszcze życiem, bliski i drogi nie tylko dla górnej warstwy, ale i dla szerokich kręgów społeczeństwa. Osnuwa go urokiem żywa jeszcze i łatwo się udzielająca poezja przeszłości. Tamte, dawniejsze kompleksy oddaliły się już bardzo od dzisiejszości, skamieniały w ruinach, zmartwiały w pałacach i muzeach, pochowały się po bibljotekach, pracowniach uczonych. Ten ostatni echami błądzi jeszcze wciąż po ulicach, wyziera z za węgłów, przypomina się we wspomnieniach rodzinnych, owianych romantycznym urokiem. Przeciętny europejski turysta nie zwraca na ten okres kultury włoskiej uwagi, pomija go, bez zrozumienia jego doniosłości. A przecież Garibaldczycy, Mazziniści, przedwojenna martyrologja włoskiej irredenty, Oberdan, Battisti — to żywe relikwje dla dzisiejszych Włoch, jak dla nas powstańcy z 63-go, skazańcy sybirscy, męczennicy rewolucji z 1905 r.

Jeśli więc na przestrzeni owych dawnych okresów kultury włoskiej, a zwłaszcza w Renesansie, stwierdzamy wciąż nowe dowody bezpośrednich naszych związków z Włochami, jeżeli te dowody mnożą się dziś szybko i zaczynają wreszcie także Włochów zajmować, to głębsze wniknięcie w kulturę Risorgimenta pozwoli tam dostrzec niezwykłe bogactwo podobieństw i związków, rozległą skalę identycznych przeżyć i wzruszeń z naszemi przeżyciami i wzruszeniami z okresu niewoli. Uderzające podobieństwo obu tych kompleksów, a także pokrewieństwo istotne, bo krwią wielokroć przypieczętowane, pozwala nam kulturę dzisiejszych Włoch a Włochom kulturę dzisiejszej Polski zrozumieć, ocenić i odczuć lepiej,

głębiej niż innym narodom, ułatwić bardziej serdeczność wzajemnych stosunków i wzbudzić znacznie żywsze zainteresowania aniżeli w stosunku do Anglji, Francji, Niemiec czy innych społeczeństw, które w ostatniem stuleciu nie przeszły przez dantejski czyściec, podobny naszemu i włoskiemu. Dzięki niemu skala polskiej i włoskiej zbiorowej duszy rosnącej przez wieki, wzbogaciła się niepomiernie o setki tonów nieprzystępnych, niezrozumiałych, nieodczuwalnych dla współczesnego Anglika, Francuza czy Niemca. Inaczej mówiąc: o ile kultura włoskiego Risorgimenta raczej oddala Anglików, Francuzów czy Niemców od współczesnych Włochów, utrudnia ich zrozumienie, o tyle bardziej niż innych tych właśnie współczesnych Włochów do nas zbliża.

Głęboko wniknęły w naszą kulturę pierwiastki przeszczepione z Włoch; aż do czasów romantyzmu zostawaliśmy w zależności nieprzerwanej od włoskiej kultury i dzięki temu krzepiliśmy wciąż naszą łacińskość. Od czasów romantyzmu nastąpiła pewnego rodzaju braterska współpraca, współdziałanie obu społeczeństw w dziedzinie polityki, ideologji wolnościowej, demokratycznej, republikańskiej, w budowaniu przyszłej „Młodej Europy". Więc nietylko w dalszej, ale także w bliższej przeszłości — jest widoczną współpraca, zbliżająca mocno do siebie obie kultury, widocznym jest olbrzymi w tę współpracę wkład energji, talentu, nauki, górnych porywów, a także bezcennej, ofiarnej krwi, jest widoczną rozmaitość i wszechstronność wzajemnych związków tak wielka, jak z żadną z kultur zachodnich.

Otóż z tych niezmierzonych i dotąd w pełni niezbadanych zasobów, z tych tradycyj trzeba czerpać pełnemi garściami, szerząc wiedzę o Polsce we Włoszech i naodwrót Jest to bezcenne oparcie dla rozbudowy stosunków kulturalnych włosko-polskich. Należy jednak usilnie i obustronnie popierać wszelkie w tym kierunku idące studja, uprzystępniać dotychczasowe wyniki badań w jak najszerszej mierze. Elity obu społeczeństw, inteligencja i młodzież powinny sobie przyswoić wiadomości dotyczące włosko-polskiej współpracy w dziedzinie kultury duchowej. Sporo się już u nas na tem polu zrobiło, sporo się robi i dość dużo o tem się wie. Natomiast Włosi wiedzą o tem istotnie niewiele; powtarzają ogólniki o Bonie w Polsce, której wpływ nadmierny przypisują, wiedzą cośniecoś o artystach włoskich w Polsce, wspominają z wdzięcznością legjon Mickiewicza, generała Chrzanowskiego, wiedzą o udziale Włochów w powstaniu styczniowem, o polonofilstwie Mazziniego.

Wyprawiwszy się do nas oglądają ze zdumieniem włoskie zabytki sztuki i dziwują się wielce bogactwu włoszczyzny w naszej kulturze. Trzeba stwierdzić bez ogródek, że wiele mają oni jeszcze do odrobienia na tem polu, że poprostu trzeba im jeszcze na dobrą sprawę Włochy w Polsce odkrywać. Rozległe tu i wdzięczne pole dla włoskich historyków sztuki, literatury, muzyki, reformacji, teatru, ruchów wolnościowych w 19-tym wieku, zwłaszcza żeśmy już sami przygotowali i opracowali niemało materjałów. Dość więc włoskiemu specjaliście opanować tylko język polski, aby pomnożyć wśród swoich wiedzę o splendorze i zasięgu własnej kultury zagranicą. Nam zaś wystarczy tylko wskazywać wciąż Włochom na te możliwości i zachęcać przy każdej okazji do studjów nad kulturą włoską w Polsce.

Jednak wiedza o zasięgu włoskości w naszej kulturze byłaby tej kultury bardzo jednostronnem oświetleniem i nie dawałaby o niej pełnego wyobrażenia. Bardziej dla naszej sprawy pożądaną jest wiedza nie o zależności naszej kultury od włoskiej, ale o współpracy włosko-polskiej, a więc wiedza o tych momentach i faktach, w których świetle zajmujemy w stosunku do Włochów stanowisko równorzędne albo nawet przodujące. Zdaje mi się, że tego rodzaju spostrzeżeń dostarczyć mogą dzieje reformacji w Polsce, a potem głównie historja ruchów wolnościowych, ideologja naszej W. Emigracji, polityczna działalność Mickiewicza i t. d.

Najprostsza, najłatwiejsza dla Włocha droga do wiedzy o Polsce prowadzi go od poznania własnej jego kultury na naszej ziemi przez momenty wyraźnej już współpracy w okresie Risorgimenta. A stąd już prosto jakby sierpem rzucił do tej górnej przełęczy, skąd Polskę widać jak na dłoni — do ukochania Mickiewicza. Przez tę przełęcz przechodził i przechodzi ku nam niemal każdy z prawdziwych włoskich polonofilów.

Z tych rozważań wynikają na najbliższą przyszłość takie oczywiste a bardzo pilne dezyderaty dotąd niespełnione:

1) Opracowanie zwięzłej a przystępnej h i s t o r j i p o l s k i e j w języku włoskim, ze szczególnem uwzględnieniem stosunków włosko-polskich we wszystkich dziedzinach życia. Byłoby bardzo pożądanem, żeby dołączono tu szczegółową, rozumowaną bibljografję, notującą skrzętnie wszystko, co tylko dotąd w polskim czy włoskim języku na ten ostatni temat ogłoszono. Wprawdzie F. Gianniniego *Storia della Polonia* zmierzała ku tym celom, ale nie może ona

zadowolić nawet skromnych wymagań. Sprawą opracowania takiego podręcznika historji polskiej zajęła się żywo nasza Ambsada przy Kwirynale — a więc rzecz jest na dobrej drodze.

2) Przygotowanie naprawdę wzorowego podręcznika do nauki języka polskiego dla Włochów. Jego brak jest prawdziwą kulą u nogi w rozbudowie stosunków wzajemnych. Tak jak się rzeczy mają obecnie — trzeba się niemało nabiedzić, żeby materjał do nauki języka polskiego jakoś racjonalnie zebrać, rozłożyć, najlepsze przykłady powybierać, zasadnicze kwestje jasno wytłumaczyć, a przy tem wszystkiem uniknąć nieskończonej litanji „wyjątków“ (pyszny przykład skrupułów przy nauce polszczyzny przytoczył ze swoich wspomnień prof. Pavolini: „mój ojciec ma dwa osły“ — czy też: „mój ojciec ma dwóch osłów“). Przyzywanie na pomoc podręczników polszczyzny, napisanych w obcych językach, również na wiele się nie przyda. Bo i Otto Sauer niewiele naprawdę wart i od błędów się roi i Meilleta-Grabowskiej gramatyka nie jest systematyczną metodą do nauki języka, niejasności w niej sporo. Ostatecznie po wielu gorzkich doświadczeniach dochodzi się do wniosku, że naprawdę najwyższy już czas, ażeby powierzyć jednemu lub kilku naszym lingwistom a zarazem dobrym pedagogom opracowanie choćby tylko szkieletu podręcznika do nauki języka polskiego dla nie-Słowian. Umiejętny wykład wymowy, dobór najlepszych przykładów, odpowiedni rozkład materjału wraz ze stopniowaniem trudności i starannem wykorzystaniem podobieństwa brzmień w różnych językach zachodnio-europejskich, usilne wyjaśnianie obocznośći i „wyjątków“ — wszystko to razem stanowiłoby nieocenioną podbudowę pod podręcznik języka polskiego, opracowany w różnych językach niesłowiańskich i umiejętnie przystosowany do miejscowych warunków. Tego rodzaju wniosek, przyjęty jednomyślnie, postawiłem swego czasu na konferencji zagranicznych delegatów Minist. W. R. i O. P. Realizacja tego wniosku odwleka się z wielką szkodą dla pracy na różnych terenach zagranicą; olbrzymie trudności w nauczaniu polszczyzny istnieją w dalszym ciągu, wymagają od garnących się do tej nauki cudzoziemców heroicznych zaiste wysiłków i olbrzymiego nakładu czasu i wytrwałości, a w bardzo wielu wypadkach działają wprost odstraszająco. Ileż czasu, kosztów i trudu wkładał w naukę polszczyzny taki entuzjasta, jak ś. p. A. Begey, który w swojej bibljotece zgromadził cały arsenał różnych podręczników i gramatyk języka polskiego i zawzięcie je wertował, byle tylko

wyjaśnić sobie jakąś formę gramatyczną, oboczność czy „wyjątek". Oczywiście najczęściej spotykał go gorzki zawód.

Skoro wymieniony wyżej schemat podręcznika dotąd do skutku nie doszedł, a potrzeba takiej książki dla Włochów stawała się coraz to bardziej palącą, wyznaczyło Min. W. R. i O. P. subwencję na jej opracowanie. Podjął się go prof. Maver (część teoretyczna) i p. Z. Gawrońska-Kozarynowa, lektorka języka polskiego w Turynie (część praktyczna). Takim sposobem ten pierwszorzędny postulat zaczyna się oblekać w kształty dotykalne.

3) Wiąże się z tem ściśle sprawa wydania słownika włosko-polskiego. Gdzieś w r. 1856 wyszedł spory słownik, opracowany przez Anonima, ale tylko cudownym sposobem dotrzeć dziś można do niego. Potem F. Giannini wydał swój słowniczek niewielki i rojący się od błędów, ale i tego słowniczka daremnie dziś po księgarniach szukać. Przed paru laty ś. p. Begey poruszył na konferencji naszych konsulów we Włoszech sprawę wydania takiego słownika. Dziś trzeba ją odnowić i przeć do realizacji. Nakładca może liczyć na zbyt wprawdzie nie doraźny i gwałtowny, ale pewny i stały. Opracowania powinnaby się podjąć spółka złożona z dwóch dobrych specjalistów obu narodowości.

Wprawdzie liczba instytucyj zajmujących się specjalnie szerzeniem we Włoszech wiedzy o naszej kulturze jest bardzo skromna, nie wydają mi się jednak pożądane zabiegi o nadmierną ilość takich instytucyj i towarzystw. Ilościowy ich wzrost mógłby fatalnie oddziałać na jakość, trwałość i intensywność ich działania. Trzebaby raczej usilnie się starać o solidną rozbudowę istniejących już placówek, o wzmożenie siły ich promieniowania. Na plan pierwszy wysuwa się katedra filologji polskiej w Rzymie oraz Instytut kultury polskiej im. A. Begeya w uniwersytecie turyńskim. O prof. Maverze sporo się tu już pisało, w tym roku jeszcze lepiej go poznaliśmy w związku ze zjazdem Kochanowskiego, mamy więc słuszne racje wiele sobie na przyszłość po nim obiecywać. W najbliższym czasie katedra ta o tyle ulegnie rozbudowie, że od jesieni b. r. utworzony zostanie w uniwersytecie rzymskim lektorat języka polskiego (obejmie go Dr. M. Piszczkowski ze Lwowa), który zapewne wkrótce zostanie przejęty na etat uniwersytetu. Pozatem lektor nasz prowadzić będzie w dalszym ciągu przerwane w r. 1929 stałe wykłady historji i literatury polskiej dla naszej kolonji w Rzymie pod egidą Tow. im. A. Mickiewicza. Działalność katedry rzymskiej,

z którą łączą się organicznie wykłady docenta Dra Damianiego, sięga też do redakcji *Wielkiej Encyklopedji włoskiej*, gdzie prof. Maver opiekuje się działem kultury polskiej oraz do „Istituto Europa Orientale". Poruszałem już na tem miejscu ważną sprawę lokalu dla seminarjum polonistycznego, apelując do zarządu Instytutu św. Stanisława; prócz tego należałoby usilnie dążyć do skompletowania i pomnożenia bardzo jeszcze skromnej bibljoteki seminaryjnej. Stąd odpowiedni, gorący apel do naszych instytutów naukowych i firm wydawniczych! Bibljoteka seminarjum polonistycznego w Rzymie nie może się ograniczać do filologji polskiej, ale powinna obejmować dział kultury polskiej w szerokiem tego słowa znaczeniu, powinna być zasobnem źródłem informacyj o Polsce i o Słowiańszczyźnie wogóle (katedra slawistyki dotąd nie została utworzona w uniwersytecie rzymskim).

Tenże sam apel odnosi się do otwartego w tym roku Instytutu kultury polskiej w uniwersytecie turyńskim, który od jesieni zapewne rozwinie już żywą działalność i skupi całą akcję propolską na terenie Turynu. Dziś już bierze tam w niej czynny udział kilkanaście osób.

Kilka włosko-polskich towarzystw (Rzym, Medjolan, Genua, Tryjest, Padwa) daje czasem znać o sobie. Działalność to jednak raczej okolicznościowa, dorywcza, bezplanowa; trzebaby ją jakoś mocniej zorganizować. Ponieważ do powstania tych zrzeszeń przyczyniły się głównie nasze placówki konsularne i one nad niemi roztaczają opiekę, wobec tego możnaby tę reorganizację najpierw starannie przygotować pod patronatem naszej Ambasady na specjalnych konferencjach naszych konsulów włoskich. Towarzystwa te powinny się złączyć w jakiś związek, wymieniać wzajemnie prelegentów, zdobyć pewien ustalony z góry niezbędny zasób książek i broszur informujących o Polsce, wreszcie starać się o żywy kontakt z miejscowemi tradycjami włosko-polskiemi. Tego pokroju zrzeszenia należałoby utworzyć również we Florencji, Bolonji, Wenecji, Neapolu, Palermo i Bergamo.

Wymiana profesorów napotyka na różne formalne przeszkody. Okazało się to w maju b. r. w związku z zapowiedzianym oddawna przyjazdem wybitnego romanisty prof. Bertoniego. Trzeba było ten przyjazd znów odłożyć do przyszłego roku, ponieważ zaproszenie, mimo zabiegów z naszej strony, nie przeszło dość szybko przez naczelne włoskie instancje. Swoją drogą, że inicjatywa

w tej sprawie ze strony Włochów jest, jak dotąd, minimalna. Wszelkie zaproszenia wybitnych włoskich uczonych do Polski powinny z reguły przechodzić drogą urzędową, a więc przez rektoraty, a stąd przez nasze Minist. Oświaty, a nie wychodzić od fakultetów wprost do rektoratów odpowiedniego włoskiego uniwersytetu. Z odczytów wybitnego uczonego cudzoziemca powinno o ile możności korzystać nie jedno tylko środowisko nauki, należy też umożliwić zetknięcie się osobiste z takim uczonym jak najliczniejszemu gronu specjalistów. Korzyść stąd będzie znaczna i koszta bardziej się opłacą, aniżeli koszta jednego czy dwóch odczytów w jednym tylko ośrodku naukowym.

Bardziej już unormowaną jest sprawa wymiany stypendystów, chociaż i w tem włoskie władze niestety nie zawsze u naszych się informują i udzielają stypendjów studentom, którzy podają się za obywateli polskich, a tymczasem posiadają prawdopodobnie sfałszowane polskie paszporty. Władze włoskie czynią to oczywiście w dobrej wierze, ale trzebaby zapobiec pasorzytowaniu na wątpliwem obywatelstwie polskiem. Pozatem jednak dobór stypendystów jest coraz staranniejszy i coraz lepszem jest przygotowanie przyjeżdżających do nas na studja włoskich stypendystów (nasze Min. Oświaty udziela corocznie dwóch stypendjów dla studentów włoskich). Rośnie w ten sposób z roku na rok zastęp inteligentów znających z autopsji Polskę, jej język i kulturę i tworzy się tak wyborowa kadra organizatorów towarzystw włosko-polskich, informatorów, recenzentów, tłumaczów, prelegentów etc.

Kurs wakacyjny dla polonistów włoskich, zorganizowany w lecie 1928 r., przyniósł tyle korzyści i dostarczył tylu podniet, że ponowienie tej imprezy w ulepszonej oczywiście postaci jest ze wszech miar pożądane. Największą trudnością byłoby zapewnienie odpowiednich środków.

W dotychczasowej rozbudowie stosunków włosko-polskich w dziedzinie kultury duchowej niewątpliwie nie wykorzystano jeszcze wszystkich możliwości, nie wyczerpano wszystkich rezerw. I tak np. trzebaby jakoś umiejętnie sporządzić ewidencję tych wszystkich osób we Włoszech, które złączone są z Polską w bliższem czy dalszem pokoleniu związkami krwi. A znajdzie się takich osób sporo, skoro zważymy, że i emigrantów naszych i żołnierzy-powstańców pewna liczba osiadła na stałe we Włoszech w okresie niewoli po różnych miastach i tam rodziny własne założyła (inż.

Jasiński, Wł. Kulczycki, pułk. Jaraczewski, gen. Grabiński i t. d.). Małżeństwa mieszane włosko-polskie i dziś nie są wcale rzadkością (rodziny Zuccari, De Angelis, Maffezzoli, Lodi, Massei, De Lupis i t. d.). Otóż wszystkie te osoby należałoby pozyskać do współpracy, o ile dotąd nie zostały pozyskane. Akcję tę utrudnia bardzo silna decentralizacja ośrodków ruchu umysłowego.

Drugą, bodaj całkowicie dotąd niewyzyskaną kategorją Włochów są ci wszyscy, którzy w czasie wielkiej wojny poznali Polskę bliżej czy to jako jeńcy wojenni, czy też jako żołnierze b. armji austrjackiej. Pod koniec wielkiej wojny większość mojej kompanji na froncie wołyńskim składała się z Włochów z Trydentu i Tryjestu. Już wtedy nawiązali oni z Polską bardzo sympatyczne stosunki. Naogół ci „wojenni" Włosi wywieźli od nas dobre wspomnienia. A było ich przecie conajmniej parę tysięcy. Choćby z pośród nich tylko kilkudziesięciu dało się wyłowić i do polsko-włoskich towarzystw przyciągnąć, to już byłoby wiele.

Oto parę luźnych, nie wyczerpujących sprawy uwag, które się nasuwają w związku z tak ożywioną w ostatnich czasach dyskusją na temat naszej „propagandy zagranicznej". Niejedna z tych myśli posiada znaczenie ogólniejsze, możnaby ją i do innego, nie-włoskiego terenu zastosować.

Rozbudowę włosko-polskich związków w dziedzinie kultury duchowej należy prowadzić bez zbytniego oglądania się na bieżącą politykę, na targi dyplomatyczne i międzynarodowe tarcia, w silnem, jak nasilniejszem oparciu o tradycję, o wrodzone już wiekowe sympatje, o naświetniejsze wzory i momenty współpracy, jakie znajdujemy w działalności takich ludzi jak Kallimach, J. Zamojski, Kochanowscy Jan i Piotr, Konarski, Mickiewicz, Mazzini, Lenartowicz, T. Canonico, A. Begey.

JALU KUREK

FUTURYZM A FASZYZM

IMPRESJA HISTORYCZNA

„Futuryzm jest wielkim ruchem antyfilozoficznym i antyintelektualnym ruchem przeczuć, instynktów, pięści, kopniaków i policzków, obudzających, oczyszczających, nowatorskich i przyśpieszających, stworzonym dnia 20 lutego 1909 r. przez grupę genjalnych poetów i artystów".

Tak skromnie określa stworzony przez siebie kierunek „ojciec futuryzmu", Filippo Tommaso Marinetti.

Pierwsze ślady poglądu na świat faszystowskiego, który wszedł w skórę narodu włoskiego w postaci rewolucji z r. 1919, znajdujemy w I-szym manifeście futuryzmu, ogłoszonym na łamach paryskiego *Figara* w lutym 1909 r. Bluźnierczy ten i paradoksalny manifest apelował do podrażnionej ambicji Włoch, ukazując im nowe horyzonty oryginalności i patrjotyzmu. Nawoływał Italję do wchłonięcia ożywczego tchu nowoczesności i zrzucenia z siebie nieznośnego płaszcza wielowiekowej tradycji.

W tym pierwszym manifeście futuryzmu skrystalizował jasno Marinetti swoje polityczne credo: „Chcemy sławić wojnę, — jedyną higjenę świata — militaryzm i patrjotyzm... ponieważ chcemy uwolnić Włochy od cuchnącej gangreny profesorów, archeologów, przewodników i antykwarjuszy".

Równocześnie wkraczają futuryści odrazu w dziedzinę czynnej akcji politycznej. Pierwszy wieczór futurystyczny, który miał miejsce w r. 1909 w teatrze „Rossetti" w Trieście (podówczas oczywiście jeszcze austrjackim), był właściwie jedną wielką manifestacją uczuć irredentystycznych włoskich, rzuconych w twarz obłudnej polityce Austrji. Poeta Paolo Buzzi poświęcił swój tom poezji *Aeroplany* — „bandjerze Triestu, którą odzyskamy".

Wogóle wtedy na Triest zwracały się oczy futurystów; była to krwawiąca rana patrjotyzmu włoskiego. Marinetti pisał do mieszkańców Triestu:

— „Wy jesteście twarzą purpurową i gwałtowną Włoch, zwróconą przeciw wrogowi... — Ty jesteś naszą jedyną prochownią! W tobie pokładamy całą naszą nadzieję!... Pamiętaj, że półwysep włoski ma kształt dreadnoughta ze swoją eskadrą wysp torpedowców".

„Żywimy w naszej krwi naszą główną nienawiść Włochów XX wieku: nienawiść do Austrji"...

Podczas powszechnych wyborów w r. 1909 wydali futuryści swój pierwszy polityczny manifest, w którym oświadczają wyborcom futurystycznym, że „jedynym ich programem politycznym jest duma, energja i ekspansja narodowa".

Na początku 1910 r. wielki wieczór futurystów w Teatrze Lirycznym w Medjolanie został, wśród straszliwego hałasu i pocisków, zakończony krzykiem: Niech żyje wojna! Precz z Austrją!

Manifest „przeciw paseistycznej Wenecji" rozrzucony w ilości około miljona egzemplarzy w tłum, powracający z Lido, zawierał w sobie takie zdania:

„Zarzućmy Wenecję cudzoziemców, targ antykwarycznych fałszerzy, magnes snobizmu i głupoty uniwersalnej, łóżko wydrążone przez karawany kochanków, wspaniałą łazienkę dla międzynarodowych kurtyzan".

„My chcemy stworzyć Wenecję przemysłową i militarną, któraby mogła panować nad morzem Adrjatyckiem, wielkiem jeziorem włoskiem".

„Spalmy gondole, hamaki dla kretynów i wznieśmy w niebo imponującą geometrję metalowych mostów i budynków, obrośniętych gałęziami dymu, ażeby usunąć umierające krzywe linje starych architektur".

Zaś w przemówieniu do Wenecjan czytamy:

„Wenecjanie! Kiedy krzyczeliśmy: zabijmy blask księżyca! myśleliśmy wtedy o tobie, stara Wenecjo, zgniła od romantyzmu".

„Ale obecnie głos nasz się rozszerza i dodajemy do niego: Uwolnijmy świat od tyranji miłości! Jesteśmy syci awantur erotycznych, rozkoszy, sentymentalizmu i nostalgji".

„Czemuż więc Wenecjo z uporem ofiarujesz nam zawoalowane kobiety na każdym zakręcie twoich kanałów?"

W październiku r. 1911, z wybuchem wojny w Trypolisie, wypuścił Marinetti manifest, w którym rzuca trzy zasadnicze punkty ówczesnej polityki futurystycznej:

„1) Niechaj będą przyznane jednostce i ludowi wszystkie swobody, z wyjątkiem tej, aby był tchórzem".

„2) Niechaj będzie proklamowanem, że słowo Włochy powinno panować nad słowem Wolność".

„3) Niechaj będzie wykreślone przykre wspomnienie świetności rzymskiej na korzyść świetności włoskiej, sto razy większej".

„My, futuryści, którzy od dwóch lat sławimy miłość niebezpieczeństwa i przemocy, patrjotyzm i wojnę, jesteśmy szczęśliwi, że żyjemy nakoniec w tej wielkiej godzinie futurystycznej Włoch... Dumni, że taki sam zapał wojenny, jaki jest w nas, czujemy w całym kraju, wzywamy rząd włoski, nareszcie futurystyczny, do wyolbrzymienia ambicyj narodowych, odrzucenia głupich oskarżeń o piraterję, oraz do proklamowania wszechwłoskości".

Celem uzdrowienia problemu finansowego państwa proponował Marinetti rządowi sprzedaż wszystkich galeryj sztuki starożytnej, a zwłaszcza Uffizi i Pitti, które same ocenił na przeszło miljard lirów.

W r. 1913 program polityczny futurystów przyrzekał wyborcom futurystycznym zrealizowanie między innemi następujących punktów:

„Włochy suwerenne, absolutne. Wszystkie swobody, prócz tchórzostwa, pacyfizmu i antywłoskości. Większa flota i większe wojsko. Obrona ekonomiczna i wychowanie patrjotyczne proletarjatu. Polityka zagraniczna podstępna, cyniczna i agresywna. Ekspansjonizm kolonjalny. Antyklerykalizm i antysocjalizm. Kult postępu, szybkości, sportu i siły fizycznej. Walka z nauczaniem klasycznem, muzeami, bibljotekami i ruinami. Wiele szkół handlowych, przemysłowych i rolniczych. Codzienna gimnastyka w szkołach. Zniesienie akademij i konserwatorjów".

Po wybuchu wojny europejskiej w r. 1914 Marinetti mówił tak do studentów włoskich:

„Studenci! Futuryzm dynamiczny i agresywny realizuje się dzisiaj w pełni w wielkiej światowej wojnie, którą on jeden tylko przewidział i wsławił, wpierw zanim wybuchła. Wojna obecna jest najpiękniejszym poematem futurystycznym, jaki się dotychczas ukazał. Futuryzm był zmilitaryzowaniem nowoczesnych artystów. Dzisiaj towarzyszymy olbrzymiej futurystycznej wystawie obrazów dynamicznych i agresywnych, w której wkrótce pragniemy wziąć udział, wystawiając w niej siebie samych".

„Poeci passeistyczni chcieliby oczernić nasze słowa wolne, nazywając je liryzmem telegraficznym. My, futuryści, śpiewamy ich śmierć telegraficznie, przez co nie czuje się ich zaduchu na odległość".

W syntezie graficznej wojny światowej futuryści oznaczyli Austrję jako gniazdo pluskiew i kretynów, a Niemcy jako trzodę bydła i filozofów.

W r. 1915 zapoczątkowali futuryści na szeroką skalę gwałtowną agitację za wstąpieniem Włoch do Ententy, nazwaną Interwentyzmem. Każdy niemal ich wieczór i odczyt, wogóle jakiekolwiek publiczne wystąpienie poprzedza wstęp interwentystyczny.

Po wypowiedzeniu wojny Niemcom (24 maja 1915) futuryści z Marinettim na czele zaciągają się na front jako ochotnicy i walczą tam aż do zawieszenia broni. Kilku z nich zostało rannych, między nimi Marinetti, dwóch zginęło: architekt Sant' Elia, zabity w linji bojowej, oraz Boccioni wskutek tragicznego wypadku przed powtórnym wyjazdem na front. Następne lata zastają również futurystów w walkach nad Piawą. I wtedy to po stanowczem i wielkiem zwycięstwie Włochów obudziła się nowa świadomość w umysłach tych wojowników, powracających z wojny z końcem 1918 r., którzy, jak mówi M. Carli, futurysta, obecnie redaktor *Impero*, nosili w żyłach podniecający zapach zwycięstwa i byli pierwszą pobudką do reakcji antybolszewickiej we Włoszech i do rozwiązania sprawy dalmatyńskiej. Powstały wtedy i istniały już w ilości około dwudziestu — opowiada Carli, — związki polityczne futurystów, których postulaty włoskości i odrodzenia narodowego kraju weszły do obecnego programu faszyzmu. Nieco później Mario Carli założył w Rzymie stowarzyszenie „Arditi", których filję w Medjolanie stworzył Ferruccio Vecchi w domu Marinettiego. Na posiedzeniu oficerów „Arditi", Marinetti mówił tak:

„Nie jestem strategiem ani taktykiem. Mówię wam tak jak mówi ten, który namiętnie zapala młodzież. Jestem futurystą, to znaczy patrjotą rewolucyjnym... Staliście się płonącymi *(arditi)* przez waszą miłość bezmierną do naszych boskich Włoch".

Dnia 23 marca 1919 r. odbyło się w Medjolanie zebranie pierwszych faszystów pod wodzą Mussoliniego, na którem futuryści i „arditi" zlali się w oficjalne stowarzyszenie *Fasci di Combattimento* celem walki politycznej (narazie tylko ulicznej) przeciwko dotychczasowym rządom, faworyzującym elementy wywrotowe

i socjalistyczne. Najważniejsze mowy na tem zebraniu wygłosili Mussolini, Vecchi, Marinetti i Carli. Pierwsza zwycięska bitwa zjednoczonych partyj odbyła się w kwietniu w Medjolanie. Od tej chwili działalność faszystowska zalewa cały kraj, budząc wszędzie spontaniczną nienawiść do rządów Nittiego: widomym jej znakiem było zakładanie miejscowych Związków Bojowych (*Fasci di Combattimento*).

O udziale futuryzmu w walce faszyzmu i o początkach tego ruchu wypada przytoczyć słowa Marinettiego: „Faszyzm narodził się rzeczywiście po Vittorio Veneto. Dawna mniejszość, która pragnęła wojny i doprowadziła ją do zwycięstwa, złożona z rozmaitych elementów, musiała z trudem pokonywać kontratak socjalistów, prowadzonych na sznurku demagogicznych ambicyj Nittiego. U boku Mussoliniego, jako wodza bojówek faszystowskich, walczyli futuryści Marinetti, Mario Carli, Settimelli, Nannetti, Armando Mazza i naczelnik „Arditi", Ferruccio Vecchi".

Dnia 20 listopada faszyści wzięli udział po raz pierwszy w wyborach z listą własną, w ten sposób złożoną: Mussolini, twórca faszyzmu; Podrecca, antyklerykał; Toscanini, muzyk; Bolzon, futurysta; Macchi, futurysta, awjator i kilku republikanów oraz robotników.

Socjaliści i Nittiańczycy wymogli aresztowanie Mussoliniego, Marinettiego oraz 16 „arditi". Przez 20 dni zostawały we więzieniu św. Wiktora ofiary nowego porządku, oskarżone o zamach na bezpieczeństwo publiczne, oraz organizowanie band zbrojnych.

Ciekawym epizodem w historji faszyzmu jest przemówienie Marinettiego w parlamencie. Przytaczamy opowiadanie samego Marinettiego.

„11 lipca 1919 r. otrzymałem bilet wstępu na trybunę dla publiczności w Montecitorio. Upatrywałem tam wraz z Ferruccio Vecchi szczęśliwego momentu, aż wreszcie przy końcu długiego i nudnego przemówienia jakiegoś socjalisty podniosłem się na amfiteatr, zapełniony posłami i krzyknąłem zwrócony do Nittiego:

— W imieniu Związków Bojowych, futurystów i intelektualistów...

Poseł: Kto to?

Marinetti: Jestem Marinetti.

Inny poseł: Słuchajmy!

Marinetti (głośno krzyczy): W imieniu Związków Bojowych, futurystów i intelektualistów protestuję przeciwko waszej polityce i krzyczę wam: Precz Nittim! Śmierć Giolittizmowi! Oświadczam, że nie może istnieć ministerstwo sabotażystów zwycięstwa, ministerstwo tych, którzy policzkują oficerów, ministerstwo, które się broni ajentami! Wasze tchórzostwo jest ordynarnem urągowiskiem z poświęceń wojowników, którzy wami gardzą i odmawiają wam prawa reprezentowania. Wstydźcie się! Młodzież włoska krzyczy wam przez moje usta: Tfu! Hańba wam! Hańba wam!

Zamieszanie, krzyki, wycia, walka Marinettiego z woźnymi i policjantami, podczas gdy Vecchi rzuca głośno oskarżenia pod adresem Nittiego".

Odtąd, bardziej może niż przedtem, Marinetti gra w ruchu faszystowskim pierwszorzędną rolę. Na kongresie faszystów we Florencji w improwizowanej mowie apoteozował D'Annunzia i Mussoliniego, nazywając tego ostatniego „wielkim futurystą włoskim". W mowie na placu Belgioioso po przemówieniu Mussoliniego zabrał głos i odezwał się m. i. w ten sposób:

„Jestem wojownikiem i interwentystą od najpierwszych chwil. Jestem szczęśliwy, że mogę to krzyczeć całą siłą moich płuc".

„W tym dalekim wrześniu 1914 r., kiedy całe Włochy były neutralne, a Medjolan marzył o spokoju greckim, ja zorganizowałem owe dwie pierwsze demonstracje, które mnie kosztowały pięć dni u św. Wiktora".

„...Nie zapomnijmy, że lud włoski, oprócz tego iż zwyciężył wojnę, zdobył także w wojnie nową świadomość narodową".

„...Nie wierzymy, aby rasa włoska mogła panować nad światem siłami przemysłowemi, ale jesteśmy przekonani, że zapanuje nad nim niewątpliwie siłą swoich genjuszów twórczych".

„Pamiętajcie Włosi o wielkich genjalnych duchach D'Annunzia i Mussoliniego, którzy w tej chwili są syntezą Italji".

W przemówieniu na placu św. Aleksandra mówił Marinetti do wyborców:

„Nie przychodzimy żebrać głosów od was, nie uprawiamy dychawicznej retoryki. Chcieliśmy wojny. Jesteśmy dumni, żeśmy ją wywołali najpierwsi z pierwszych, kiedy Włochy całe śniły o neutralności greckiej".

W jednym z najciekawszych manifestów Marinettiego, zatytułowanym: „Po drugiej stronie komunizmu", pisanym w więzieniu

św. Wiktora, znajdujemy oryginalne (zresztą utopijne) poglądy społeczne tego futurysty, które jednak zmieszane już są ściśle z jego tendencjami w dziedzinie sztuki. Poglądy te są o tyle bardziej oryginalne, że wychodząc z biegunowo odmiennego punktu widzenia, dochodzą do haseł, które swojego czasu były rzucane w Bolszewji. Oto niektóre wyjątki:

„...Należy. podnieść zdolność ludzką do życia życiem idealnem linij, form, kolorów, rytmów, dźwięków i hałasów, skombinowanych przez genjusz".

„Jeżeli się wygłodzi wszystkie żołądki, zawsze znajdą się tacy, którzy będą umieli zdobyć sobie najbardziej uprzywilejowane obiady".

„Należy zatem podniecić głód duchowy i nasycić go sztuką wielką, zadziwiającą i radosną".

„Trzeba dać wszystkim wolę myślenia, tworzenia, budzenia, odnawiania i wytępić u wszystkich wolę naśladowania, zachowywania i plagjowania".

„Jedynie odurzający alkohol sztuki będzie mógł ostatecznie zastąpić i usunąć nudny, wulgarny i krwiożerczy alkohol niedzielny proletarjackich szynków".

„Tak! Artyści u władzy! Szeroki proletarjat genjalnych będzie panował".

„Proletarjat genjalnych u władzy zrealizuje teatr bezpłatny dla wszystkich i wielki napowietrzny teatr futurystyczny. Muzyka będzie panować w świecie. Każdy plac będzie miał swoją orkiestrę instrumentalną i wokalną. Będą tam tedy fontanny harmonji, które dniem i nocą będą tryskały genjuszem muzycznym i będą kwitnęły w niebo, aby ubarwić, uszlachetnić, ożywić i odświeżyć twardy, oklepany i konwulsyjny rytm codziennego życia. Zamiast pracy nocnej będziemy mieć sztukę nocną. Będą się zmieniać eskadry muzyków, ażeby ustokrotnić przepych dni i słodkość nocy".

„Nasze muzea, sprzedane po świecie, staną się dynamiczną, transoceaniczną reklamą genjuszu włoskiego".

„Oczekując wspaniałej realizacji naszego napowietrznego teatru futurystycznego, rzucamy projekt codziennych, bezpłatnych koncertów we wszystkich dzielnicach miasta, teatrów, kinematografów, czytelni, książek i gazet absolutnie bezpłatnie".

W pewnem miejscu Marinetti wyjaśnia w ten sposób rolę i stosunek wzajemny futuryzmu do faszyzmu:

„Faszyzm, urodzony z futuryzmu i interwentyzmu żywi się zasadami futurystycznemi. Faszyzm zawiera i będzie zawierał w sobie zawsze ten blok patrjotyzmu optymistycznego, gwałtownego i wojowniczego, który my, futuryści, najpierw wpajaliśmy w naród włoski. Dlatego podtrzymujemy niezłomnie faszyzm, trwałą gwarancję zwycięstwa w pewnej, może już niedalekiej wojnie światowej. Faszyzm pracuje politycznie, to jest w orbicie naszego świętego półwyspu; futuryzm pracuje natomiast w nieograniczonem państwie czystej fantazji Jako awangarda artystycznej wrażliwości włoskiej z konieczności wyprzedza powolną wrażliwość ludu. Zostaje przez to często niezrozumiany i zwalczany przez większość, która nie może pojąć naszych odkryć, brutalności naszych polemicznych wyrażeń, oraz zapędów naszej intuicji".

„...My, futuryści, mówimy o Imperjum, przekonani, i szczęśliwi, że będziemy się bić jutro. Chcemy przygotować młodzież włoską do stawienia czoła pewnej, może bliskiej, a z pewnością strasznej wojnie".

„Mówimy o Imperjum, ponieważ przyszła dla Włoch chwila zajęcia ziem niepodbitych. Prawie wszystkie rasy boją się wojny. Wybujałość wojenna naszej rasy zabrania nam obawiać się jej, owszem nakazuje nam pożądać jej. Program polityczny futurystyczny, rzucony 11 października 1913 r., który ogłaszał „politykę zagraniczną podstępną, cyniczną i agresywną, jest bardziej niż kiedykolwiek aktualny".

Tak mówi straszny prorok walki i fanatyk wielkich Włoch, oczekujący przyszłej wojny, jako „jedynej higjeny świata".

Obecnie teorja faszyzmu zapędziła się o wiele dalej. „Ojciec futuryzmu" wypiera się jedności z tą teorją, poza osobistym zresztą i przyjacielskim szacunkiem dla Mussoliniego. Ale jeszcze moglibyśmy dopatrzyć się formalnych, frazeologicznych niemal śladów futuryzmu w ostatniej koncepcji wojującego faszyzmu — w t. zw. „Antyeuropie". Teoretycy radykalnego faszyzmu wołają:

„Jest rzeczą niezaprzeczoną, że cywilizacja ludów europejskich pochodzi z Włoch. Zachód powinien przyjść do Rzymu, do idei, która tam powstaje".

„Podczas kiedy w Genewie marzy się o Eurazji, kiedy cywilizacja w degeneracji postępu mechanicznego ciąży ku Ameryce — my, młodzi Włosi Mussoliniego, podtrzymujemy tradycję europejską w romańskości. W romańskości łacińskiej, łagodzonej katolicyzmem".

„Jesteśmy Antyeuropą, ponieważ zwalczamy ideje demokratyczne, komunistyczne, panujące obecnie nad duchem europejskim".

„Jesteśmy Antyeuropą, ponieważ jesteśmy przeciwko miastom potwornym, przeciw plutokracjom, przeciw bolszewizmowi, przeciw koncepcji i praktyce indywidualistycznej i materjalistycznej demokracji, ponieważ jesteśmy przeciw starczej cywilizacji europejskiej, parlamentarnej i międzynarodowej".

„Jesteśmy herezją nowej Europy. Wbrew Europie Paryża, Moskwy i Genewy — nasza Antyeuropa ma na imię Rzym. Założymy jedność religijną w Europie, a stąd urządzimy powrót do ideałów".

„To jest Antyeuropa. To jest powstanie zachodu rzymskiego przeciw zachodowi uzurpatorskiemu; supremacja Paryża jest tylko pozorna. Włochy przygotowują się do akcji prymatu; Antyeuropa tylko ma w sobie ziarno dynamiczne jedności i cywilizacji. W chwiejnej Europie my jesteśmy bluźniercami, którzy czekają na rozwój prawd historycznych".

Przypomnijmy sobie, jakto mówił Marinetti w tych latach dawniejszych, gorących, w których się kształtowała nowa świadomość włoska, że „półwysep nasz, synteza wszystkich piękności świata, napęczniały genjuszem twórczym, ma prawo panować nad globem ziemskim"... „Vittorio Veneto — twierdził Marinetti — i dojście faszyzmu do władzy stanowią realizację minimalnego programu futurystycznego". Jeżeli to stanowiło minimum, to wyżej cytowane przesłanki „antyeuropejskie" stanowiły, być może, maksimum ich programu. W manifeście do rządu w r. 1925 żądali futuryści oddania w ręce młodych artystów teatrów i wystaw reprezentatywnych włoskich, usunięcia akademij i szkół artystycznych zawodowych, stworzenie instytutów kredytowych dla artystów, zorganizowanie pracowników sztuki w kraju i propagandy nazewnątrz i t. d. Mussolini odpowiedział im na to jak futurysta: „Rząd, któremu mam zaszczyt przewodniczyć, jest rządem szybkości. Jesteśmy narodem młodym, który chce i musi tworzyć, a który nie chce być syndykatem hotelarzy i muzealnych stróżów. Co do mnie, to byłem wszystkiego najwyżej dwa razy w muzeum".

Kto go nauczył takich słów? Takiej pogardy dla muzeów i takiego kultu dla szybkości? Ten, który pierwszy podburzył i sprowokował ambicję Włoch, ten, który określił siebie: „jestem

futurystą, to znaczy duchem, który się upił potęgą krwi włoskiej".

Z rzeszy jego wyznawców wysunął się właśnie ten jeden, krępy, niski, twarzy kwadratowej, syn kowala, pracujący podówczas w redakcji socjalistycznego *Avanti* — i powiedział sobie, że takie Włochy musi zrobić.

Niniejsza impresja historyczna miała za zadanie stwierdzić, że ten syn kowala, w którego cieniu od lat 11 tworzy się historja Włoch, wziął swoje zasadnicze inspiracje z programu i nauk futuryzmu.[1]

---

[1] Przypominamy, że p. Jalu Kurek utrzymuje żywe stosunki z przedstawicielami najmłodszej literatury włoskiej, tłumaczył utwory futurystów, m. i. F. T. Marinettiego, i uchodzi w kraju — przed czem się zresztą broni — za wyznawcę futurystycznej estetyki. O futuryzmie pisał często w czasopismach polskich, a o poezji polskiej informował Włochów na łamach redagowanego przez futurystów (Mario Carli i Emilio Settimelli), rzymskiego *L'Impero.* *(Przyp. Red.)*

STANISŁAW WĘDKIEWICZ

FASZYZM A KULTURA INTELEKTUALNA WŁOCH POWOJENNYCH

NOTATKI BIBLJOGRAFICZNE

I. BIBLJOGRAFJA FASZYZMU

1

Zamierzałem napisać krytyczny artykuł o stosunku faszyzmu do intelektualnej kultury Włoch powojennych. Krytyczny — to znaczy nietylko rejestrujący fakty, nazwiska, tytuły, ale wyjaśniający zarazem genezę współczesnych nam zjawisk i podsumowujący wyniki dotychczasowego wysiłku. Zdawało mi się, że naczytałem się sporo książek i zorjentowałem się jako tako we włoskich stosunkach na podstawie autopsji i rozmów z kompetentnemi osobami, podczas dwu moich pobytów w Rzymie, jesienią 1928 i w zimie 1930 r. Artykuł miał być zresztą ubocznym produktem, jednym z rozdziałów większej pracy, zakreślonej na zuchwałe wymiary, ważnej — sądzę — i potrzebnej. Pracę tę może wykończę, o ile warunki okażą się dla mnie łaskawszemi, niż bywały dotychczas. Natomiast owego „krytycznego" artykułu nie zamieszczę w niniejszym, „faszystowskim" zeszycie *Przeglądu Współczesnego*. Doszedłem do połowy i to, co napisałem, zniszczyłem. Spostrzegłem w porę, że sąd mój jeszcze nie dojrzał, a materjały, któremi rozporządzam, są fragmentaryczne, niewystarczające.

I nie o to chodzi, że współczesność — płynna i niepowstrzymanie zmienna — wymyka się z pod wszelkich „naukowych" metod, a zbyt bliska perspektywa nie pozwala wartościować faktów ze spokojem, z t. zw. objektywizmem. Gdyby te względy uważało się za najistotniejsze, to należałoby wówczas zrezygnować z wszelkich prób uporządkowania bezpośrednich wrażeń, z wszelkich dążeń do uchwycenia sensu współczesności. Może sobie na to pozwolić archeolog, paleontolog, historyk odległych stuleci; inni muszą się borykać z uderzającym w nas bezustanku zalewem aktualnych zjawisk. Wie się o tem, że orjentacja w otaczających nas faktach nie będzie doskonała, najczęściej będzie mylna i conajwyżej prowizoryczna, ale i tak kusić się o nią trzeba. Nie sposób żyć po omacku i ciągle spoglądać w przeszłość.

I nie o to również chodzi, że materjały przerastają siły i czas jednego człowieka, i że nie uda się nikomu dotrzeć do drobnej chociażby cząstki dziejących się rzeczy. Celowy wybór źródeł konieczny jest przecież także dla kronikarza przebrzmiałych wydarzeń.

Chodzi głównie o to, że nie wolno opierać się wyłącznie na drukowanych świadectwach i ograniczyć wywiady do jednego tylko środowiska, choćby niem był Rzym, stolica króla i dyktatora, ministrów i głównych działaczy faszyzmu. Nawet Paryż, metropola zcentralizowanej docna Francji, nie streszcza tendencyj całego kraju, owszem — wiadomo — fałszuje niejednokrotnie istotny stan wierzeń i dążeń francuskiego narodu. Cóż dopiero Rzym, administracyjna raczej i symboliczna stolica Włoch, które chlubią się z tego, że mają liczne, po dziś dzień żywe, ośrodki kultury. Regjonalizm włoski, wynik wielowiekowego partykularyzmu, jest rzeczywistością, której faszyzm nie usuwa, owszem którą faszyzm właśnie popiera i pragnie nadal w całej pełni utrzymać.

Oto szkopuł, o który rozbił się mój niewczesny, czy zawczesny zamiar. Obracałem się głównie w Rzymie, kilka innych miast przebiegłem tylko podczas turystycznych wycieczek. Nie chcę ferować wyroków na podstawie papierowej przeważnie wiedzy i dlatego wolę zakończyć redagowany przeze mnie „faszystowski“ zeszyt *Przeglądu* artykułem o skromniejszych pretensjach. Przedkładam czytelnikowi rodzaj r o z u m o w a n e j b i b l j o g r a f j i książek i artykułów, z których — o ile zechce — zaczerpnąć może dokładniejszych danych o stosunku faszyzmu do zagadnień t. zw. intelektualnej kultury, pojętej przeze mnie na tem miejscu ciasno, t. zn. z naciskiem położonym raczej na naukę, literaturę i sztukę, a nie na te strony życia państwowego, które są przecież także wytworem intelektu i które odgrywają w dzisiejszych Włoszech dominującą rolę — t. j. na twórczość faszyzmu w zakresie przemian prawnoustrojowych i ekonomicznych.

Bibljografja to tedy jednostronna i nader mizerna. Wymieniam tylko to, co sam przeczytałem albo conajmniej sumiennie przeglądnąłem. Kieruję się przytem jedną jeszcze przypadkową i czysto praktyczną okolicznością: przytaczam przedewszystkiem publikacje, które są d o s t ę p n e w K r a k o w i e, czy to w mojej prywatnej bibljotece, czy też w księgozbiorach publicznych, zwłaszcza w świeżo zorganizowanym włoskim dziale bibljoteki Seminarjum romanistycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego i w bibljotece krakowskiego towarzystwa „Dante Alighieri“.

2

Już dzisiaj l i t e r a t u r a o f a s z y z m i e przybrała imponujące, zastraszające nawet rozmiary. Ponad trzysta stronic liczy katalog-podręcznik: G. Santangelo-C. Bracale: *Guida bibliografica del*

fascismo (Roma, Lib. del Littorio, 1928), chociaż zakrojony jest do popularnych celów i zestawiony z troską o ograniczenie materjału. Blisko tysiąc pozycyj obejmuje zwięzły poradnik bibljograficzny w zbiorowym tomie: *La Civiltà fascista* (Torino, U. T. E. T. 1928, s. 649—680). Bibljograficznym wyłącznie zadaniom służy miesięcznik: *Bibliografia fascista*, założony w marcu 1926 r., od r. 1929 powierzony Faszystowskiemu Instytutowi Kultury, od stycznia b. r. ukazujący się w zwiększonych zeszytach pod redakcją prof. A. Marpicati. Pełną bibljografję faszyzmu zbiera z jednej strony wymieniony codopiero Instytut, a z drugiej „Centre International d'études sur le fascisme" (*Cinef*), zorganizowany w Lozannie, w 1927 r., przez b. profesora katolickiej wszechnicy w Nijmegen, H de Vries de Heekelingen.

Ważniejsze publikacje, dotyczące faszyzmu, rejestrują dwa bibljograficzne miesięczniki: *L'Italia che scrive* (Rzym, A. F. Formiggini, dotychczas dwanaście roczników; mniejwięcej do r. 1926 raczej niechętne faszyzmowi, pismo to obecnie zajęło stanowisko życzliwej wobec niego neutralności) — i *Leonardo* (redagowany w faszystowskim duchu, od 1925—1929 r. w Rzymie, od 1930 r. połączony z miesięcznikiem *I Libri del Giorno* i kierowany w Medjolanie przez syna b. ministra Jana Gentilego, Fryderyka).

Bogatych informacyj dostarczają tygodniki i miesięczniki. Wiele dawnych zlikwidowano lub przerobiono zgodnie z planami faszyzmu, powstały liczne nowe. Z Rzymu do Medjolanu przeniosła się redakcja eklektycznej, dzisiaj podupadłej *Rivista d'Italia*. Akademicka i sucha *Nuova Antologia*, założona w 1866 r., spróbowała nowego lotu w kwietniu 1926 r.; nad jej faszystowskiem dzisiaj obliczem czuwa obszerny i dostojny komitet, złożony z senatorów i profesorów, z Tomaszem Tittonim na czele. Żywsze zainteresowanie budzą dwa florenckie nowotwory, oba życzliwe dla Czarnych koszul: *Pégaso* (od stycznia 1929 r.), redagowany przez Hugona Ojetti, i *Civiltà moderna* (wypuszczana co dwa miesiące od 15 czerwca 1929 r.), poświęcona problemom filozoficznym, pedagogicznym i religjoznawczym pod kierunkiem Ernesta Codignola. *La Critica* Benedykta Croce'go weszła już w 28-my rok istnienia i zdradza antyfaszystowskie zacięcie w zwięzłych „Postille" swego redaktora. *La Cultura*, po śmierci (w 1928 r.) profesora De Lollis'a (trzymającego się aż do końca zdala od faszyzmu), nabrała pod nową redakcją, złożoną z uczniów zmarłego filologa, tendencyj życzliwszych dla nowego ustroju, naogół jednak miesięcznik ten nie porusza tematów z polityki bieżącej.

Częste zmiany zachodzą w sferze czysto literackich wydawnictw. Tradycjonalistyczna *La Ronda* przetrwała zaledwie kilka lat, od kwietnia 1919 do czerwca 1923 r. Florencki *Il Marzocco*, przed wojną przez pewien czas kwitnący, zbladł i utracił poczytność. Zastąpiła go rzymska, faszystowska *L'Italia letteraria*, dalszy ciąg medjolańskiej *La Fiera letteraria*; nazwisko jednego

z redaktorów (Curzio [Suckert] Malaparte) dostatecznie charakteryzuje młodzieńczy impet literackiego tygodnika. Pozostaje do wymienienia kilka innych czasopism artystyczno-literackich, nieobojętnych dla poznania obecnych kierunków włoskiej kultury, takich jak *Il Convegno* (w Medjolanie od 1919 r.), *Il Selvaggio* (we Florencji od 1924 r.), *Solaria* (we Florencji od 1925 r.).

Treść przeważnie polityczną i ekonomiczną zawierają liczne, po wojnie ufundowane czasopisma faszystowskie, dla nas ważne z tego powodu, że poruszają one także zagadnienia organizacji naukowej, szkolnej, literackiej i artystycznej. Na pierwszem miejscu postawić wypada dwa miesięczniki: założoną w 1921 r. *Gerarchia*, której dyrektorem nominalnym jest sam Benito Mussolini, a właściwą redaktorką jego biografka, Małgorzata G. Sarfatti — oraz *Educazione fascista*, organ Faszystowskiego Instytutu Kultury. Z nacjonalistycznego obozu urodziła się *Politica* (od 1919 r), poświęcona przedewszystkiem zagadnieniom polityki zagranicznej, pod redakcją Franciszka Coppola. Podobną genezę miała *Rassegna Italiana*; powołał ją do życia w 1921 r. Tomasz Sillani, i nie zaniedbując kwestyj literacko-teatralnych, nadał jej przedewszystkiem tendencję imperjalistyczno-kolonjalną. Wiele ciekawych artykułów znaleźć można w *Giornale di politica e letteratura*, miesięczniku wydawanym w Pizie od 1925 r. *Nuovi studi di diritto economia e politica* (Rzym od 1928 r., redaktorzy: U. Spirito i A. Volpicelli) obracają się w atmosferze neoidealizmu filozoficznego, zbliżonego raczej do Gentilego, niż do Crocego; dbają o obszerne zapiski bibljograficzne.

Rzymska *Augustea* (Franciszka Ciarlantini) uderza w bojowe tony i dba w pierwszym rzędzie o mocarstwowy rozwój Włoch faszystowskich. *Critica fascista* należy do pism najbardziej miarodajnych; kieruje nią przecież minister Giuseppe Bottai, żywo zainteresowany kulturą intelektualną narodu włoskiego. Mniej są mi znane perjodyczne publikacje takie jak radykalna *Antieuropa* (Rzym od r. 1929, redaktor A. Gravelli), *Assalto* (Bologna), *Costruire* (reredaktor: Dario Lischi-Darioski), *Cultura fascista* (o treści poświęconej szkole średniej i wyższej), *La Conquista dello stato* (organ polemiczny C. Suckert'a), *Vita nova* (organ faszystowskiego Uniwersytetu w Bolonji, redagowany przez prof. filozofji, Józefa Saitta). Nie znam całego mnóstwa perjodyków prowincjonalnych.

O dziennikach rozwodzić się tu nie sposób. Są niemal wszystkie prawowiernie faszystowskie. Przynoszą interesujące informacje o kulturze naukowo-literackiej w artykułach zamieszczanych z reguły na starannie redagowanej *terza pagina*. Na faszystowski ton nastrojone są również różne ilustrowane czasopisma: *La Grande Illustrazione d'Italia, L'Illustrazione Italiana, Secolo XX, Comoedia* i t. p.

Pożyteczne szkice z zakresu kultury Włoch dzisiejszych znajduję od czasu do czasu w (filofaszystowskim) niemieckim miesięcz-

niku: *Italien*, redagowanym od 1928 r. w Heidelbergu przez biografa Burckhardta, Wernera von der Schulenburg.

3

Działalność prawno-polityczna i gospodarcza, rozwijana przez Rząd Mussoliniego, pochłania, rzecz prosta, w lwiej części uwagę badaczy i krytyków faszyzmu. Stąd trudność wymienienia syntetycznych artykułów o wpływie dyktatorskiego ustroju na duchową kulturę Włochów, w ściślejszem tego słowa znaczeniu. Reforma szkolna wywołała najliczniejsze stosunkowo głosy włoskich i zagranicznych pedagogów. Nauce i literaturze, rozważanym pod kątem widzenia przewrotu z 1922 r., poświęca się narazie tylko przygodne uwagi albo też artykuły, omawiające zazwyczaj jakiegoś jednego pisarza czy też pewną grupę literatów i artystów. Będzie o tem mowa w dalszym ciągu moich wywodów.

Za pouczający uważam obszerny artykuł Pawła Arcari (profesora literatury włoskiej we Fryburgu szwajcarskim): „Le fascisme devant les intelligences et devant les partis" w (nieistniejącej już) *La Vie des peuples* z października 1924 r. (s. 360—384). Uwagi Józefa Prezzolini'ego: „Les écrivains fascistes" (*La Revue de Genève* z września 1923 r., s. 362—371) i rozdział p. t. „Fascisme et culture" w tomie: *Le Fascisme* (Paris, Bossard, 1925, s. 140—172; przekład polski: *Faszyzm*, Warszawa, F. Hoesick, 1926, s. 85—105) — wyszły z pod pióra krytyka, który w r. 1924 ze sporym sceptycyzmem spoglądał na reformy polityczne faszyzmu i w przedmowie zaznaczył, że „przyznaje się do jedynej partji — intelektualizmu". O tem samem warto pamiętać, czytając inną książkę Prezzolini'ego: *La Coltura italiana* (Firenze, Voce, 1923), w drugiem coprawda wydaniu raczej życzliwą dla faszyzmu (*La Cultura italiana*, Milano, Corbaccio, 1930).

Dla zorjentowania się w rzeczywistej ideologji faszyzmu, względnie w konstrukcjach ideologicznych, podsuwanych mu ze strony b. nacjonalistów, b. futurystów, czy b. liberałów z pod znaku Gentilego — nie brak książek autorów takich, jak Alfred Rocco, Robert Forges Davanzati, G. Bottai, E. Bodrero, Fr. Coppola, Fr. Ercole, L. Federzoni, G. Saitta, U. Spirito, G. Volpe, A. Volpicelli i t. d. — książek, o których jeszcze będzie mowa w niniejszym szkicu bibljograficznym. Różne zagadnienia z zakresu kultury duchowej porusza przedewszystkiem Jan Gentile w zbiorach artykułów, przemów i polemik: *Il fascismo al governo della scuola* (Palermo, R. Sandron, 1924), *Che cosa è il fascismo* (Firenze, Vallecchi, 1925) i *Fascismo e cultura* (Milano, Treves, 1928). Z faszystowskiego punktu widzenia próbuje usystematyzować znaczną ilość kwestyj aktualnych Kamil Pellizzi w *Problemi e realtà del fascismo* (Firenze, Vallecchi, 1924) — autor innej jeszcze encyklopedycznej rzeczy, gdzie obok literatury pięknej uwzględniono także publicystykę polityczną

i dziennikarstwo: *Le Lettere italiane del nostro secolo* (Milano, Libreria d'Italia, 1929).

Znamienne, ale zrozumiałe, jak stosunkowo niewiele o duchowej kulturze Włoch piszą współpracownicy dwóch potężnych bilansów faszyzmu: tomu *La Civiltà fascista* (Torino 1928; artykuły o nauce, sztuce, literaturze i wogóle o ideologji zamieścili: Bodrero, Cian, Gentile, Giuliano, Marinetti i Małgorzata Sarfatti) — oraz specjalnego, wielokrotnie zwiększonego numeru *Rassegna Italiana* (czerwiec 1930), który p. t.: „Lo Stato Mussoliniano e le realizzazioni del fascismo nella nazione" na 64 artykuły zawiera zaledwie jeden (Gentilego) poświęcony jednej z kwestyj, wchodzących w zakres naukowo-literackiej twórczości Włoch powojennych *(L'Enciclopedia Italiana)*.

Polska literatura o faszyzmie wyraża się już w niejednym ciekawym przyczynku. Są to przeważnie rzeczy treści prawno-politycznej lub gospodarczej. O problemy tutaj nas obchodzące, potrącają m. i.: Władysław Jabłonowski, *Amica Italia — rzecz o faszyzmie* (Poznań 1926, rozdział: „Inteligencja wobec faszyzmu", s. 107—128); Stanisław Kozicki, *Na Sycylji* (Warszawa 1928, „Rózgi liktorskie", s. 91 n.); Maurycy Mann, *Włochy* (odczyt nakładem Koła historyków Uniw. Warsz. 1928); Wł. L. Jaworski, *Ze studjów nad faszyzmem* (Kraków 1928, s. 15 n.: „Faszyzm a romantyzm"); Bogdan Suchodolski, „Dzisiejsza ideologja faszyzmu" (*Pamiętnik Warszawski* 1929, IV, s. 54—67).

II. (RZECZYWISTE I DOMNIEMANE) INTELEKTUALNE ŹRÓDŁA FASZYZMU

1

Kładę ten ostrożny tytuł, wiedząc, jak sprzeczne panują poglądy na „prehistorję" faszyzmu w gronie jego zwolenników i działaczy. Inaczej patrzą na to zagadnienie ex-nacjonaliści i ex-liberali, zupełnie inaczej radykalne skrzydło młodych, którzy ostentacyjnie głoszą hasła anty-intelektualizmu i anty-storycyzmu, zapalczywie broniąc dziewiczej niemal czystości swojego programu. Dla niektórych pisarzy z *Il Tevere*, *L'Assalto* czy z *La Conquista dello Stato* wszystko w faszyzmie jest nowe, nieznane, z instynktu mas lub z mózgu Mussoliniego zrodzone, wolne od profesorskich abstrakcyj, teoretycznych uzasadnień, racjonalistycznych argumentów. Faszyzm czerpie, ich zdaniem, natchnienie z irracjonalnych wzlotów, genjalnych intuicyj, niezawodnego, zdrowego instynktu.

Takie formuły czyta się i słyszy dość często, i stąd też urosła legenda o niechętnem nastawieniu faszyzmu wobec kultury intelektualnej, ba wogóle wobec refleksji, tak jakby żelazną organizację dzisiejszych Włoch można wytłumaczyć wyłącznie z pomocą silnej woli, silnej pięści i „ogłupienia" mas, zgniecionych liktorskiemi rózgami Dyktatora.

Że szeregowiec Milicji faszystowskiej i chłopak z „Balilli" nie troszczą się o intelektualne motywy tej ideologji, o której dowiadują się ze zwięzłych, na wzór katechizmu, zredagowanych regulaminów — to jasne i to należy do normalnych objawów każdego bez wyjątku ustroju. Niepodobna jednak uwierzyć, aby „elita" faszyzmu, jego wodzowie, nie zdawali sobie z tego sprawy, że są spadkobiercami pewnych, przedwojennych już tendencyj i że ustrój przez nich zorganizowany nosi na sobie ślady wielu dawniejszych pomysłów. Przywódcy faszyzmu wiedzą o tem i nie zapierają się tego. Co więcej, bez urazy spoglądają na gorliwych poszukiwaczy wszelkich „prefaszystowskich" idej, na odkrywców drzewa genealogicznego Czarnych Koszul, sięgającego do legjonów rzymskich i poprzez Dantego i Machiavella do bohaterów Risorgimenta XIX wieku.

Takiej to niewątpliwej przesady dopuszcza się profesor Wiktor Cian w studjum p. t. „I precursori del fascismo" (*La Civiltà fascista*, Turyn 1928, s. 119—142), a grzeszą nią również niektórzy autorzy tomików, uszeregowanych w serję *I prefascisti* (Roma, „Augustea" od r. 1928).

O usiłowaniach tradycjonalistycznego uzasadnienia faszyzmu dałoby się wiele powiedzieć. Wymienię kilka bezpośrednich „źródeł", sięgających conajwyżej końca ubiegłego stulecia, oraz kilka nazwisk literatów i uczonych, których z dużą dozą prawdopodobieństwa uznać można za drugorzędnych chociażby współtwórców ideologji faszystowskiej.

Nie trudno natknąć się na niepoważne, chociaż w dobrej wierze podjęte, usiłowania, aby — wzorem biblijnej egzegezy — wyszukać czyto proroctwa faszystowskiej ery czy też poprzedników, „prostujących ścieżki" Mussoliniemu. Taką jest np. broszura: Paolo Ardali, *San Francesco e Mussolini* (Mantova 1926) albo dość obszerna książka pułkownika Decio De Minicis, *Il Veltro* (Roma, Accademia 1929), w której autor na stu kilkudziesięciu stronicach udawadnia, że Dante przeczuł i wyraźnie określił rządy dzisiejszego dyktatora Włoch. Coprawda także R. Forges Davanzati nazywa Mussoliniego: „il Veltro dantesco" (*Fascismo e cultura*, Firenze 1926, s. 23)

Rozsądnie ujmuje kwestję prof. Gentile, który zachęcając do odkrywania w dawnych pisarzach *pagine fasciste* i sam zapowiadając wypisy: *Mazzini fascista*, przywiązuje do takich poszukiwań ograniczoną tylko wartość (*Fascismo e cultura*, 1928, s. 98).

2. Socjalizm

Nie może pominąć jego dziejów i przemian we Włoszech, ktokolwiek śledzi genezę Marszu na Rzym z 1922 r. Wielu z czoło-

wych faszystów — sam *Duce* przedewszystkiem — w socjalizmie znaleźli pierwsze ideowe podstawy. A warto i o tem pamiętać, że we Włoszech, podobnie zresztą jak w przeważnej liczbie europejskich krajów, marxyzm przyciągał wielu intelektualistów, wdarł się do literatury, do auli uniwersyteckich, między filozofów i ekonomistów. Głośne i zasłużone nazwiska zdobią rejestry członków partji socjalistycznej włoskiej, żeby tylko wymienić takie, jak literatów: Edmondo De Amicis, Mario Rapisardi, Ada Negri, nie mówiąc już o pisarzach, którzy do utworów swoich wprowadzali w pewnych przynajmniej okresach motywy nietylko o socjalnohumanitarnem, ale wręcz socjalistycznem zabarwieniu (Prati, Carducci, Zamboni, Graf, Stecchetti, Chiarini, De Bosis, Pascoli, Salvatore di Giacomo, a także w latach ośmdziesiątych d'Annunzio). Wśród profesorów i docentów uniwersytetów — z kilkudziesięciu nazwisk — wybijają się jako socjaliści: Antonio Labriola (filozof prawa), Ettore Ciccotti (historyk), Lorenzo Pullè (orjentalista), Gaetano Salvemini (historyk). Arturo Labriola (ekonomista), Alfredo Angiolini (cywilista), Alfredo Niceforo (statystyk), Cesare Lombroso, Enrico Ferri i t. d. i t. d. Marxyzmem zajmowali się gruntownie: przedewszystkiem Benedetto Croce, a przygodnie także Giovanni Gentile. Do socjalizmu przyznawali się przez czas krótki: Guglielmo Ferrero, Ugo Ojetti, Roberto Forges Davanzati.

Polski przekład książki prof. Alfreda Angiolini, *Dzieje socjalizmu we Włoszech* (Kraków 1911), dociągnięty przez tłumacza (J. Herynga) do r. 1910, jest pożyteczną, ale mało przejrzystą kroniką wydarzeń partyjnych, kongresów i t. d. — Roberto Michels (Niemiec nadreński z pochodzenia, b. profesor w Bazylei i Turynie, teraz w Rzymie i Perugji — dzisiaj przychylny dla faszyzmu) — napisał szereg rozpraw i książek o socjalizmie włoskim. Dla nas najważniejsze: *Sozialismus in Italien* i *Sozialismus und Fascismus in Italien* (München, Meyer und Jessen, 1925), oraz *Storia critica del movimento socialista italiano* (Firenze, La Voce 1926), doprowadzona tylko do r. 1911 (o intelektualistach w partji s. 144 n., 175, 179, 190—196, 398; książka zawiera bogaty dodatek biljograficzny oraz „spis studjów literackich i powieści ważnych dla psychologji ruchu socjalistycznego we Włoszech", s. 456—460). — O stosunku socjalistów włoskich do wojny i nastrojach podczas wojny światowej: Alberto Malatesta, *I socialisti italiani durante la guerra* (Milano, Mondadori 1926).

Croce mówi o swoim stosunku do marxyzmu w broszurze: *Contributo alla critica di me stesso* (Bari Laterza 1926 s. 34—37). Oczywista najważniejszy jest tom: *Materialismo storico ed economia marxistica* (pierwsze wydanie w r. 1899, potem parę nowych, uzupełnionych), pozatem

ustępy o socjalizmie w zbiorach artykułów i polemik: *Cultura e vita morale* (2-gie wyd., 1926, s. 150—159), *Pagine sparse* (1919 s. 273 n.), *Conversazioni critiche* (2-gie wyd. 1924, tom I s. 279 n.). Znamienne oświadczenie o roli marxyzmu we Włoszech w *La Critica* 1923 s. 376. — G. Gentile, *Saggi critici* (Firenze 1927, tom II str. 37 n.). — O stosunku literatury włoskiej do socjalizmu np. F. Pasini, *Gabriele d'Annunzio* (Roma, Stock 1925 s. 62 i 164).

3. Syndykalizm — Jerzy Sorel

Nieoczekiwane metamorfozy syndykalizmu włoskiego, od anarchicznych porywów, antymilitaryzmu i rewolucyjnego radykalizmu do sympatyj nacjonalistycznych, interwentyzmu wojennego i faszyzmu — mają swój odpowiednik w innych społeczeństwach, np. we Francji, w niektórych odłamach przedwojennego (G. Hervé) i powojennego syndykalizmu (Jerzy Valois). Kierunek to niezbędny do zrozumienia dzisiejszej struktury politycznej i gospodarczej Włoch faszystowskich.

Łączy się z nim wpływ Jerzego Sorela na intelektualistów włoskich w okresie poprzedzającym wojnę. Przesadza J. Valois z jednostronnem przejaskrawieniem „sorelizmu" jako najistotniejszej podstawy ideologji Czarnych Koszul; niemniej nie ulega wątpliwości, że Sorel pozostawił we faszyzmie niedające się zatrzeć ślady. Mussolini w kilku wywiadach podkreślił silne wrażenie, jakie odniósł przy lekturze *Réflexions sur la violence*.

Zresztą słusznie zaznaczył Croce, że Jerzy Sorel „jest pisarzem raczej włoskim, niż francuskim, w każdym razie bardziej znanym we Włoszech niż we Francji" (*Storia d'Italia* 1928 s. 156). Bogatą literaturę o Sorelu posiadają Włosi, a Sorel sam miał o kulturze włoskiej zdumiewająco dokładne wiadomości.

Zmarły w 1922, Sorel nie mógł ocenić rezultatów Marszu na Rzym. O Mussolinim kilkakrotnie wypowiedział sąd nader życzliwy. „Przepowiednię" z 1912 r. cytuje się często: Sorel nazwał w niej dzisiejszego *Duce* „człowiekiem nadzwyczajnym.... podobnym do kondotjerów XV wieku... jedynym Włochem dostatecznie energicznym, aby położyć koniec lichym gabinetom Królestwa Włoskiego".... Znane mi są pozatem przygodne opinje Sorela o faszyzmie, zawarte w ogłoszonej świeżo jego korespondencji z przyjaciółmi - Włochami.

Olbrzymia literatura syndykalistyczna Włoch faszystowskich potrąca często o tematy przedwojenne. Na tem miejscu wystarczy wskazać na dotyczący rozdział w monografji Roberta Michels'a, *Storia critica del movimento socialista italiano* (s. 312—344), oraz na tomik omawiający życie legendarnego już dzisiaj „prefaszysty", syndy-

kalisty, bohatera wojny z Austrją: Ugo Barni, *Filippo Corridoni* (Roma, „Augustea" 1928).

O Sorelu we Włoszech, oprócz dawniejszej literatury (A. Labriola, G. Prezzolini, B. Croce, G. A. Borgese, A. Lanzillo i t. d.) — dwie najnowsze monografje: Giuseppe Santonastaso, *Sorel* (Palermo, ed. Ciclope 1929, z przedmową obecnego ministra spraw zagranicznych, Dino Grandi) i Cesare Goretti, *Sorel* (Milano, Athena 1928). Krótkie informacje o wpływie Sorela na włoski syndykalizm w przytoczonem już dziele Michels'a, dalej u Croce'go, *Storia d'Italia* (passim) i G. Volpe'go, *L'Italia in cammino* (1928 s. 105). Ostatnio pojawiły się artykuły następujące: Luigi Salvatorelli, „Georges Sorel" (*Pégaso* ze stycznia 1930) i Giuseppe Santonastaso, „Sorel e il nostro tempo" (*La Nuova Italia* z marca 1930 s. 109 n.). Ostre i ujemne sądy w rozdziale: „Sorel — venti anni dopo" w książce: Mario Vinciguerra, *I Girondini del 900* (Napoli, A. Morano 1926 s. 86—93).

Sorel a faszyzm: m. i. R. Michels, *Sozialismus und Fascismus* (1925 s. 312), P. Dominique, *Les fils de la louve* (Paris 1926 s. 71 n.), G. Valois, *Le fascisme* (Paris 1927 s. 5), R. de Nolva, *Mercure de France* z 1 paźdz. 1929 s. 75 n. „Przepowiednia" Sorela o Mussolinim w 1912 r. przytoczona na czele broszury: Orlando Danese, *Mussolini* (Mantova 1922) i przez Cipriano Giachetti, *Fascismo liberatore* (Firenze 1922 s. 87) i t. d. W korespondencji Sorela z Crocem, ogłoszonej w *La Critica* w latach 1927—1930, znajduję pod datą 26 sierpnia 1921 ustęp następujący: „Les aventures du fascisme sont peut-être, à l'heure actuelle, le phénomène social le plus original de l'Italie"... (*La Critica* z 20 maja 1930 s. 195); o Mussolinim w liście z 28 listopada 1914, *La Critica* 1929 s. 115. Inne wypowiedzenie się o Mussolinim, z marca 1922, przytacza Robert Michels w *Nuovi studi di diritto economia e politica* (październik 1929 s. 293).

Przypomnieć warto, że książka Augustyna Lanzillo, wiernego ucznia Sorela, *La disfatta del socialismo*, ogłoszona tuż po ukończeniu wojny (1918), uchodzi za pierwszą zwiastunkę faszystowskiej ery.

Z pomiędzy znanych już przed wojną syndykalistów włoskich przyszli do faszyzmu np. A. Lanzillo, A. O. Olivetti, P. Orano, (zmarły w 1930 *quadrumviro* Marszu na Rzym) Michele Bianchi. Poza faszyzmem, jako jego antagoniści, pozostali Arturo Labriola i Enrico Leone.

4. Liberalizm — Francesco Crispi

Punkt to najsporniejszy. Wszyscy czystej krwi faszyści nie chcą mieć nic wspólnego z „demo-liberalizmem", „giolittiz-

mem", „nittizmem" i tym podobnemi doktrynami przedfaszystowskiego okresu. Benedykt Croce oddziela również z całą siłą liberalizm — tak jak go on pojmuje, nazywając go „metapolityką" — od zwalczanego przez siebie faszystowskiego kierunku.

Inaczej Giovanni Gentile i jego uczniowie. Widzą oni w wyznawanym ongiś przez siebie „liberalizmie" poprzednika i zwiastuna faszyzmu, i w rozlicznych artykułach próbują uprawdopodobnić swoją tezę, coprawda — jak dotychczas — bez większych sukcesów wobec oporu i sprzeciwu rdzennych faszystów.

Ci ostatni, łaskawi dla ideałów Risorgimenta, a poczęści także dla tak zwanej „la destra liberale", która władała zjednoczonem Królestwem po rok 1876. bezlitośnie oceniają późniejsze lata liberalnego parlamentaryzmu, wyjmując z pod ogólnej anatemy niewielu tylko polityków, takich np. jak Luigi Luzzatti, a zwłaszcza inicjator wielkomocarstwowej, kolonjalnej polityki Włoch — Francesco Crispi.

Ataki na „demo-liberalizm" okresu 1876—1922 znaleźć można codziennie w prasie faszystowskiej. Apologję polityki tych czasów przedstawił Benedetto Croce w *Storia d'Italia dal 1871 al 1915* (1928). Croce zdefinjował i uzasadnił swój „liberalizm" w wielu polemicznych rozstrząsaniach, zamieszczonych w *La Critica*, pozatem w *Cultura e vita morale* (2-gie wyd., 1926 s. 283—288), w swych *Elementi di politica* (1925), przedewszystkiem zaś w broszurze *Contrasti d'ideali politici in Europa dopo il 1870* (Rieti 1928 s. 7—18) i w *Aspetti morali della vita politica* (Bari Laterza 1928 s. 7—19, 39—46). — Śladami Crocego poszedł Guido De Ruggiero w obszernej *Storia del liberalismo europeo* (Bari Laterza 1925, por. np. notę na str. 374).

Gentile i jego zwolennicy (C. Licitra, Fer. D'Amato, U. Spirito, A. Volpicelli i t. d.) starają się niestrudzenie udowodnić zbieżność liberalizmu — oczywista ich liberalizmu — z faszyzmem. Wywodom tym służył w latach 1923—1925 organ Gentilego: *La Nuova Politica liberale*. Argumenty Gentilego we wszystkich, wydanych przez niego po 1922 r., książkach; w przedmowach do publikacji Licitry i t. d., a przedewszystkiem w szeregu artykułów, przedrukowanych pod zbiorowym tytułem: „Fascismo e liberalismo" w tomie *Che cosa è il fascismo* (Firenze, Vallecchi 1925 s. 119—196). Dobrze informuje o poglądach tych dawnych neo-liberałów, dzisiaj już faszystów, książka: Carmelo Licitra, *Dal liberalismo al fascismo* (Roma, De Alberti 1925).

O pokrewieństwie t. zw. „destra liberale" z faszyzmem wywodzi Gentile w przedmowie do przedruku uwag Franciszka Florentino z 1876, wydanych p. t. *Lo Stato moderno* (Roma, De Alberti 1924). Pierwszorzędnego materjału

w bystrem oświetleniu dostarcza Domenico Petrini w zwięzłej broszurze: *Motivi del Risorgimento* (Rieti 1929, s. 22, 29, 35), a także F. Battaglia w artykule zamieszczonym w *Civiltà moderna* z 15 października 1929 s. 421—431.

Fr. Crispi, już przed wojną broniony a nawet apoteozowany przez Carducci'ego, Oriani'ego i przez cały obóz nacjonalistyczny — przez Crocego zlekceważony (*Storia d'Italia* s 256—257) — wraca w chwale dzięki propagandzie ex-nacjonalistów i faszystów. Znane mi są przedewszystkiem dwie apologje: Guglielmo Policastro, *Crispi e Mussolini* (Mantova, Paladino 1928) i prof. Gioacchino Volpe, *Francesco Crispi* (Venezia, „La Nuova Italia" 1928; por. tegoż autora: artykuł w *Educazione fascista* z grudnia 1927 i ustępy o Crispim w *L'Italia in cammino*, 1928 s. 43, 47 n.).

5. Neoidealizm — heglizm

Tak, jak przed podejrzeniami o liberalizm, bronią się faszyści zacięcie przed doszukiwaniem się źródeł ich ideologji w neoidealistycznej filozofji Crocego i Gentilego. Sensację wywołało oświadczenie Mussoliniego na V Kongresie Partji Faszystowskiej w Rzymie, w czerwcu 1925 r.: „Ora vi farò una confessione che vi riempirà di raccappriccio. Sono pensoso prima di farla. Non ho mai letto una pagina di Benedetto Croce!" Jest to zapewne taka sama retoryczna przesada, jak ta — w żart potem obrócona przez Mussoliniego — jakoby nie interesował się zabytkami przeszłości i zwiedził w życiu zaledwie dwie włoskie galerje obrazów.

Jeżeli już nie bezpośrednio z książek Crocego, to w całej atmosferze Włoch przedwojennych, przepojonych wielostronną działalnością świetnego neapolitańskiego filozofa, kiełkowały nowe, rewolucyjne prądy intelektualne, bez których dość trudno wyobrazić sobie faszyzmu takim, jakim on jest, i bez którychby zapewne faszyzm powstał w odmiennej od dzisiejszej, postaci. Croce był tym, który w najsilniejszym stopniu przyczynił się do spopularyzowania we Włoszech Jerzego Sorela. Przez Crocego też dojrzewał renesans zainteresowania się filozofji i polityki włoskiej Heglem, który conajmniej pośrednio zaznaczył swój wpływ w programie nacjonalizmu włoskiego, a przez nacjonalizm odbił się, chociażby dalekiem echem, w faszyzmie.

Znaczenie neo-idealizmu Gentilego występuje później, przedewszystkiem podczas wojny i w okresie poprzedzającym Marsz na Rzym. Oddziaływanie filozofji Gentilego nie obejmuje, oczywista, szarego tłumu faszystów, dociera jednak niewątpliwie poprzez szkołę średnią, uniwersytety, publikacje Instytutu Kultury faszystowskiej do sfer intelektualnych. Niemniej trudno uważać system Gentilego za odległe nawet źródło idej i czynów faszyzmu;

stał się on raczej usprawiedliwieniem rewolucji 1922 *post eventum*, dostarczając argumentów na uzasadnienie państwa faszystowskiego jako państwa „etycznego", „religijnego".

Mussolini o Crocem: *Atti del V Congresso Nazionale* (Roma 1925 s. 149). Croce odpowiedział w artykule neapolitańskiego *Mattino* dn. 24 czerwca 1925 (przedrukowane w *La Critica* z 20 września 1925 st. 313).

Hegel, heglizm a faszyzm: Rodolfo Mondolfo, *Per la comprensione storica del fascismo* (Bologna, L. Cappelli 1922; s. VI, gdzie mowa „naszej intelektualnej generacji, przesiąkniętej wprost formułami Hegla"); C. Licitra, „Spunti Hegeliani ed esigenze fasciste" (w tomie: *Dal liberalismo al fascismo*, 1925 s. 99—125). Zaznaczyć wypada, że faszyści zaprzeczają jakiejkolwiek łączności swych prawnopaństwowych idej z poglądami Hegla.

O heglizmie we Włoszech informuje krótko: Guido Calogero, *Il neohegelismo nel pensiero italiano contemporaneo* w *Nuova Antologia* z 16 sierpnia 1930 s. 409 do 427.

6. Przedwojenny renesans Florencji — „La Voce"

Żywy ruch literacki, polityczny i filozoficzny, który rozwijał się we Florencji między r. 1900 a wybuchem wojny włosko-austrjackiej, nie minął bez śladów w ogólnym bilansie kultury XX wieku. Ruch ten wyrażał się w czasopismach: *Il Leonardo* (1903—1907), *Il Regno* (od 1904), *La Voce* (1908—1916) i *Lacerba* (1913—1915), inspirowany i kierowany przez młodych działaczy, takich m. i. jak: Prezzolini, Papini, Soffici, Borgese, Slataper, Boine, Corradini. Neoidealizm, antyintelektualizm, pragmatyzm w filozofji, nacjonalizm i imperjalizm w polityce, kosmopolityczny eklektyzm a potem futuryzm w literaturze — oto najjaskrawsze upodobania ruchliwych reformatorów florenckich. Współpracowali zrazu, polemizowali później z sobą i rozchodzili się często w przeciwnych kierunkach. Przeceniano ich wpływy, wyolbrzymiano oryginalność ich twórczości, mówiono o nich w całych Włoszech. Mówili o nich także Francuzi, Niemcy, Hiszpanie, Rosjanie, wspominał ich Stefan Żeromski, ulegał ich urokowi Stanisław Brzozowski.

La Voce i związane z nią *Quaderni de la Voce* (które przetrwały wojnę i ukazywały się jeszcze parę lat po wojnie) zrodziły się z niezadowolenia ze stanu Włoch króla Humberta i Włoch Jana Giolittiego; troską redakcji było podniesienie zaściankowej kultury Włoch „małych" i podźwignięcie jej na poziom wielkomocarstwowy i twórczy. Mimo upodobania w cudzoziemskich nowinkach, *La Voce* w gruncie rzeczy miała przed oczyma nacjonalistyczne postulaty.

W okresie organizowania się i pierwszych bojów faszyzmu, *Quaderni de „la Voce"* i sam ich wydawca Prezzolini zajęli wobec

Czarnych Koszul stanowisko wyczekujące, poprawnie neutralne, ale nie bez widocznych sympatyj dla przeciwników nadciągającego przewrotu. Tem tłumaczy się niechęć faszystowskich przywódców do całej wogóle kulturalnej kampanji florenckiego kierunku (— przyczem tylko Ardengo Soffici znajduje rozgrzeszenie u surowych sędziów —), np. sąd Roberta Forges-Davanzati: „...ten smutny objaw miernoty włoskiej, zwany *il vocismo*, który zatruwał dusze włoskiej młodzieży..." (*Fascismo e cultura*, Firenze, Bemporad, 1926, s. 6 i 35).

Obecnie spółka wydawnicza „La Voce" przybrała barwy i tendencje faszystowskie, a jej kierownictwo przeszło w ręce gorliwego faszysty — Curzia Malaparte. Prezzolini przebywa poza granicami ojczyzny i nie zaprzestaje bronić swego, dzisiaj zlikwidowanego już, przedsięwzięcia przed oskarżeniami o szkodliwą dla Włoch działalność.

O kierunku reprezentowanym przez *La Voce* piszą: Prezzolini, *La cultura italiana* (2-gie wyd. 1930, s. 188 n., 301 n.) i *Amici* (Firenze, Vallecchi, 1922, m. i. o kilku współpracownikach czasopisma); G. V. Amoretti, *Giovanni Boine* (Bonn, K. Schroeder, 1922, s. 4 n.); M. Vinciguerra, *Un quarto secolo* (Torino, Gobetti, 1924, s. 15 n.); Giani Stuparich, *Scipio Slataper* (Firenze, 1922, s. 32—41). Z uznaniem i sympatją charakteryzuje ten kierunek Croce, *Storia d'Italia*, s. 258, a także faszysta C. Pellizzi: *Gli spiriti della vigilia* (Firenze, Vallecchi, 1924, s. 89: Boine i *La Voce*), *Problemi e realtà del fascismo* (1924, s. 78: „tutto il movimento fiorentino di „La Voce" fu fertilissimo, anche nel campo politico..."), wreszcie w *Le Lettere italiane del nostro secolo* (1929, s. 240 n.).

Wiele interesujących opinij o *La Voce* w listach J. Sorela do Crocego.

Prezzolini przypomina w książce o *Faszyzmie* (wyd. franc. s. 84—5, polskie s. 47), że Mussolini pozostawał w kontakcie z *La Voce* i wydał w *Quaderni* tomik o Trydencie, a w *Il Lavoro fascista* z 19 lutego 1928 r. czytam jego obronę przed zarzutami, że *La Voce* szerzyła antynarodowe tendencje: „...vivendico di pieno diritto un posto per *La Voce* nella preparazione dell' Italia contemporanea..."

7. Pragmatyzm

Mussolini w jednym z wywiadów, wymieniając swe lektury filozoficzne, nazwał Williama Jamesa jednym „ze swoich nauczycieli". Bez trudu odnajduje się w teorji, a jeszcze więcej w praktyce życia faszystowskiego pewne rysy, które tak samo uznać można za przejęte z pragmatyzmu, jak i za wytworzone samorzutnie w okre-

sie wojny światowej i walki z partjami. O pragmatyzmie mówili i pisali również syndykaliści włoscy.

Kierunek ten, kultywowany w florenckim *Leonardo*, korzystał czas krótki z opieki Prezzoliniego i Papiniego, nie wydał jednak we Włoszech ciekawszych przedstawicieli.

O pragmatyzmie w oświetleniu Mussoliniego pisze C. Curcio w *Bibliografia fascista* I, grudzień 1926: „Delle esperienze filosofiche di Mussolini". — Syndykaliści o pragmatyzmie: U. Barni, *Corridoni* (Roma, Augustea, 1928, s. 49—51). Najwybitniejsi pragmatyści włoscy: Mario Calderoni (zmarły w 35 roku życia w 1914 r.; o nim G. Papini, *Stroncature*, 7-me wyd. 1927, s. 247—250) i Giovanni Vailati (zmarły w 1909 r., o nim G. Papini, *24 cervelli*, siódme wydanie 1928, s. 114—131). O pragmatyzmie pisali Croce (*Conversazioni critiche* I, 1924, s. 265 n., 330 n.), i G. Gentile (*Modernismo*, 1921, s. 158 n.), a próbę syntezy dał Ugo Spirito, *Il pragmatismo nella filosofia contemporanea* (Firenze, Vallecchi, 1921; ujemny sąd o pragmatyzmie włoskim: s. 116).

8. Nacjonalizm

Tu już nie może być żadnej wątpliwości. Tak jak przed Marszem na Rzym Niebieskie Koszule współdziałały z Koszulami Czarnemi, aby wreszcie, po październiku 1922, zlać się z niemi organizacyjnie i przyjąć faszystowskie barwy, — tak samo nastąpiła niewątpliwa synteza tendencyj faszystowskich z doktryną nacjonalistyczną Henryka Corradini'ego. Ten przed wojną, zwłaszcza przed r. 1910, lekceważony i ignorowany niemal obóz polityczny, przez wojnę trypolitańską urósł w znaczenie, a po Vittorio Veneto stał się jedną z głównych sił narodowego odrodzenia. Ideje Corradini'ego — (nie wchodzimy w problem ich stosunku do teorji Maurras'a) — przyjęły się na gruncie powojennym i znalazły pełny oddźwięk w przemowach i orędziach Mussolini'ego. Wymieńmy tylko kilka najważniejszych: prymat kulturalny Włoch; ich prawo do *mare nostro* i do kolonij; monarchizm; silny rząd o bezwzględnym autorytecie; hierarchja wartości; poddanie interesów jednostki interesom i racji stanu państwa-narodu; niewiara w pacyfistyczny humanitaryzm; walka z zasadami 1789 r., z liberalizmem, demokratyzmem i socjalizmem; odrzucenie materjalizmu; spirytualizm.

Nacjonaliści pracują dzisiaj w szeregach faszyzmu. Z ich grona wyszli czołowi działacze faszystowscy, jak Alfredo Rocco, Luigi Federzoni, Roberto Forges Davanzati, Francesco Coppola, Emilio Bodrero, Balbino Giuliano.

Z wielu (literackich i politycznych) dzieł Corradini'ego najważniejsze dla nas następujące: *L'Unità e la*

potenza delle nazioni (Firenze, Vallecchi, 1922), *Discorsi politici 1902—1923* (*ib.* 1923, dedykowane Mussoliniemu), *Fascismo vita d'Italia* (*ib.* 1925). O Corradinim: P. L. Occhini, *E. C. e la nuova coscienza nazionale* (Firenze, Vallecchi, 1925, z obszerną bibljografją); U. D'Andrea, *Corradini e il nazionalismo* (Roma Augustea, 1928, w serji: „I Prefascisti"); G. Pavoni, *E. C. nella vita nazionale e nel giornalismo* (Roma, Casa Editrice Pinciana, 1930); C. Bellonci w obszernej przedmowie do wyboru pism Corradini'ego: *La Rinascita Nazionale* (Firenze, Le Monnier, 1929). Dobry przegląd idej nacjonalizmu włoskiego w obszernem dziele J. W. Mannhardt'a: *Der Faschismus* (München, C. H. Beck, 1925, s. 113—134).

Artykuł p. t.: „Enrico Corradini" zamieścił Stanisław Kozicki w *Przeglądzie Wszechpolskim* z stycznia 1924 r., s. 24—32.

Corradini „prorokiem" faszyzmu: F. Ercole, „La profezia del fascismo" (*Politica* VI, 1924, s. 5—15 i w zbiorowym tomie: *Pagine fasciste*, Roma, De Alberti, 1926, s. 83—105).

O życiu i ideologji Alfreda Rocco wyszła niedawno publikacja: Nazareno Mezzetti, *Alfredo Rocco nella dottrina e nel diritto della Rivoluzione fascista* (Roma, Casa Pinciana, 1930).

Różnice, które pierwotnie dzieliły nacjonalistów od faszyzmu (arystokratyzm, monarchizm i t. p.) omawia np. Dino Grandi, *Le Origini e la missione del fascismo* (Bologna, Cappelli 1922, s. 66).

9. Alfredo Oriani

Oriani należy do najbardziej dzisiaj czczonych poprzedników doktryny faszystowskiej. Zmarły w 1909 r. pisarz, z drogiej sercu Mussoliniego Romanji, dość niefortunny i zapomniany już autor naturalistyczno-lirycznych romansów, żyje w pamięci współczesnej generacji dzięki trzem przedewszystkiem dziełom: *Fino a Dogali* (1889), *La Lotta politica in Italia* (1892), *La Rivolta Ideale* (1908). Oriani przemyślał w oryginalny sposób dzieje włoskiego narodu, wyznaczył mu misję wielkomocarstwowego i kolonjalnego państwa, wykazywał doniosłość solidnie funkcjonującej rodziny i nierozerwalnego małżeństwa, uzasadniał celowość monarchicznego ustroju, a w ostatniej swej książce — bez sprecyzowania dogmatycznej treści — głosił potrzebę idealistycznego, antymaterjalistycznego poglądu na świat jako podstawy życia jednostek i życia narodu.

Na życzenie Mussoliniego podjęła się firma Licinio Cappelli w Bolonji pomnikowego wydania *Opera omnia* Oriani'ego. Wyszło

27 tomów z przedmowami pisarzy takich, jak B. Mussolini, G. Gentile, B. Giuliano, E. Cecchi, A. Anile, U. Ojetti i t. d.

W r. 1927 Mussolini zatwierdził plan utworzenia „Bibljoteki im. Oriani'ego" w willi „Cardello" pod Faenzą. W r. 1928, znowu z polecenia *Duce*, wydał L. Cappelli ponad 200 stronic liczący wybór sądów Oriani'ego o zadaniach włoskiej polityki: *Gli eroi, gli eventi, le idee* (z przedmową Ludwika Federzoni'ego). W dwudziestą rocznicę śmierci, 1929, odbyły się uroczystości faszystowskie ku czci Oriani'ego, a minister Wychowania Publicznego, B. Giuliani, rozesłał w tej sprawie okólnik do wszystkich szkół włoskich. Wmurowano tablicę pamiątkową na willi w „Cardello", a czasopisma i dzienniki uczciły rocznicę szeregiem interesujących artykułów o autorze książki *Fino a Dogali*.

„Odkrywcą" Oriani'ego był Croce (*La Critica* 1909, 1911 i 1914, oraz *La Letteratura della nuova Italia*, Bari, 1915, III, s. 227—258). Pisało potem o nim wielu, zwłaszcza współpracownicy *La Voce*. Wielką wartość ma niedokończone studjum: Renato Serra, *Scritti inediti* (Firenze 1923, s. 163—256). Z pomiędzy kilku dostępnych mi rzeczy wspominam jeszcze: G. Gentile, *Guerra e fede* (1927, s. 261 n.); A. Capri, *Letteratura moderna* (Firenze, Vallecchi, 1928, s. 19—58); V. Piccoli, *Oriani* (Roma Augustea, 1928, w serji: „I Prefascisti"); P. Zama, *Oriani* (Milano, Athena, 1928, z bibljografją).

W r. 1929 znaczna ilość artykułów, np. w *Nuovi studi di diritto* (II, październik 1929: L. Volpicelli), *Pègaso* (listopad 1929: P. Pancrazi), *L'Italia letteraria* z 20 października 1929 (kilka artykułów z okazji rocznicy).

10. Vilfredo Pareto

Mussolini nazwał go swoim „maestro". Po Marszu na Rzym spowodował nominację ekonomisty lozańskiego na senatora. W parę miesięcy potem Pareto umiera (w 1923); nie mógł więc ocenić reorganizacji Włoch, przeprowadzonej przez faszyzm.

Pisze się dzisiaj wiele o zbieżnościach idej socjologa z tendencjami faszyzmu (teorja wymiany elit i ich roli w rozwoju społeczeństw; siła — podstawą więzi państwowej; krytyka parlamentaryzmu; krytyka demagogji plutokratycznej: podziw dla Machiavella i t. p.). Przytacza się także różne opinje zmarłego profesora, przychylne dla faszyzmu i jego Wodza.

Z faszyzmem współpracował także (zmarły w październiku 1924 r.) ekonomista, przyjaciel Pareta, profesor uniwersytetu genewskiego, a potem rzymskiego, Maffeo Pantaleoni.

Oprócz dzieł ogólnie znanych, nieobojętny jest zbiór artykułów: V. Pareto, *Fatti e teorie* (Firenze, Vallecchi,

1920; interesujące zwłaszcza uwagi, zawarte w „Epilogo", s. 309—389), oraz wydany przez faszystów t. zw. *Testamento politico*, który obiegł prasę w jesieni 1923 r.

Croce, jak wiadomo, cenił Pareta (swego osobistego przyjaciela) jako ekonomistę (*Materialismo storico*, 4-te wydanie 1921, s. 225—247), krytykował natomiast jak najostrzej jego *Trattato di sociologia generale*, który scharakteryzował poprostu jako „objaw teratologji naukowej" (*La Critica* z 20 maja 1924, s. 172—3).

Profil Pareta: Ugo Spirito w *Nuovi studi di diritto* I, 1928, s. 24 n.

Pareto a faszyzm: R. Michels, *Sozialismus und Fascismus* (1925, s. 299 n.); Emanuele Morselli. *Pareto e la politica di Mussolini* (Catania, St. Edit. Moderno, 1928; bezpretensjonalne i naogół płytkie obserwacje). G. H. Bousquet (jak wiadomo uczeń i komentator Pareta), *Vilfredo Pareto: sa vie et son oeuvre* (Paris, Payot, 1928; na stronie 191 dość niejasno ocenia stosunek Pareta do rewolucji faszystowskiej). L. Gangemi przytacza w *Bibliografia fascista* (III, maj 1928, s. 33) urywek z listu uczonego, pisanego w listopadzie 1922, gdzie radość ze zwycięstwa Mussoliniego nie ulega wątpliwości.

11. Nietzsche

Pierwszy lepszy czytelnik Nietzsche'go wymieni bez trudu te i owe punkty styczne między tem, co filozof głosił i o czem marzył, a tem, co faszyzm urzeczywistnił albo co zapowiedział przy reorganizacji państwowego ustroju: antydemokratyzm, antyegalitaryzm, hierarchję wartości moralnych, oparcie władzy na sile, kult dyktatorskiej jednostki, hasło ascetycznej ofiary działacza świadomego swej mocy, i t. p. Zawsze jednak nasuwa się pytanie, co rozpoznać jako styczność przyczynową, a co jako styczność przypadkową lub zgoła pozorną.

Nietzsche we Włoszech, tak jak wszędzie, miał swego czasu zwolenników i wyznawców. Włoska literatura nietzscheańska obejmuje sporą liczbę pozycyj (d'Annunzio, Papini, G. A. Borgese, E. L. Morselli, E. Thovez, A. Farinelli, ostatnio F. Burzio ze swoim „demjurgiem" i t. d.) Wiadomo, że Elżbieta Förster-Nietzsche nazwała Mussoliniego człowiekiem-władcą, zwiastowanym ongiś przez jej brata; wiadomo także, że *Duce* nietylko przyznał się do gorliwej lektury dzieł niemieckiego myśliciela-poety, ale przed wojną napisał o nim szereg artykułów.

Monografja ucznia prof. Farinellego, Manlio Castiglioni, *Il poema eroico di F. Nietzsche* (Torino, Bocca, 1924) zawiera włoską bibljografję przedmiotu. E. Anagnine, „F. N.

e l'Italia" (*Nuova Antologia*, czerwiec 1929) omawia temat zbliżony do treści książki G. de Pourtalès'a, *Nietzsche en Italie* (Grasset 1929).

Mussolini i Nietzsche: *Bibliografia fascista* I, 1926, s. 3; Raoul de Nolva, „Mussolini disciple de Nietzsche" (*Mercure de France* z 1 października 1929, s. 64—77); W. Mann w miesięczniku *Italien*, październik 1928, s. 483 - 500, ogłasza odczyt o „Mussolinim realizatorze idej Nietzschego", odczyt wygłoszony w Nietzsche-Archiv w Weimarze; — Max Oehler, „Mussolini und Nietzsche" w zbiorowym tomiku: *Nietzsches Wirkung und Erbe* (Berlin, K. Rauch 1930, s 33 n.).

Nietzscheańskie hasło: *vivere pericolosamente* rzucił Mussolini w przemowie wygłoszonej 2 sierpnia 1924 r.

12. Carducci — Pascoli — Verga

Faszyzm przeprowadza rewizję poglądów na literaturę ojczystą okresu po 1870 r. Jednych pisarzy szacuje nisko, innych wywyższa i dopatruje się w nich elementów nieobcych także obecnej, „rewolucyjnej" dobie. Zerwawszy z marxyzmem, faszyści lekceważąco odnoszą się do poczciwego De Amicis'a; obdarzają go pobłażliwemi przydomkami (w rodzaju znanych już oddawna: „Edmondo dei Languori" albo „socialista latte-miele"), a jego — w miljonowych nakładach rozrzucone — *Cuore* odbierają z rąk młodzieży jako lekturę nazbyt sentymentalną, łzawo-patetyczną, antyfaszystowską. W *Pinocchio* Collodi'ego natomiast dopatrują się odtrutki: *Anti-Cuore*.

Carducci — mimo protestów (E. Thovez'a np.), uznawany i czczony przed wojną, przez Croce'go nazwany *poeta vate* i *un ultimo e schietto omerida*, wielbiony przez Papini'ego — podczas wojny światowej urósł na bojowego wieszcza odradzającej się Italji. Faszyści dostrzegli w nim herolda potęgi Romy Cezarów i wieszcza zrywającej się do nowej chwały Romy „trzeciej i czwartej". Odkryto w jego ideach „przedfaszystowskie błyski": kult rzymskości, tężyzny i bohaterstwa, kult obywatelskiej ofiarności i zdrowego pędu do życia i użycia. Co więcej, poczytano mu za zasługę także i te opinje, które dawniej piętnowano jako oportunizm i odstępstwo starzejącego się profesora-senatora — a więc kompromis z królową i królem, odezwanie się z szacunkiem o (coprawda bliżej nie nazwanym) Bogu, przyjaźń dla Crispi'ego. Mussolini, w maju b. r., odwiedził, w hołdzie dla poety, jego dom rodzinny w Val di Castello

Łaskawsze czasy przychodzą na Pascolego. Już rzadziej wypomina mu się „dekadentyzm", „arkadyjskie upodobania", „sztuczną naiwność", „kobiecość", czy „infantylizm", coraz częściej zaś podnosi się z pochwałą te poematy, w których dawniej zwykło się

było doszukiwać nieszczerego naśladownictwa *Ód barbarzyńskich* Carducci'ego, to znaczy poematy „heroiczne" późniejszego okresu.

Wraca również — i słusznie — popularność Jana Vergi. Wódz weryzmu włoskiego, autor niewątpliwego arcydzieła: *I Malavoglia*, nietylko jako artysta zdobywa wznowione uznanie Włoch faszystowskich. Obecny minister korporacyj, Józef Bottai, na podstawie nieznanych i niewydanych materjałów przedstawia nam Vergę jako polityka-prefaszystę: zwolennika ekspansji kolonjalnej i Crispi'ego w 1894 r., antyfaszystę po klęsce pod Adua, interwentystę w r. 1911 i w latach 1914—15, wroga lekkomyślnej emigracji włoskiej, entuzjastę wyprawy d'Annunzia na Fiume.

Artykuł G. C. Napoletano, ogłaszający słynne *Le avventure di Pinocchio* (1883) Collodi'ego za rodzaj *Anti-Cuore*, za godne dziecka Włoch odrodzonych, niemal faszystowskie arcydzieło, — znany mi jest z wyjątków, zamieszczonych w *Tribuna* z 20 grudnia 1928.

Carducci: poza dawnemi artykułami w *La Critica*, Croce podczas wojny i po wojnie głosił często narodowe znaczenie poety: *Pagine sulla guerra* (2-gie wyd., Bari 1928, s. 55—59), *Poesia e non poesia* (Bari 1923, 319—326), *La Critica* z 20 marca 1927 (s. 128—132) i z 20 lipca 1928 (s. 288—289). — G. Papini, *L'Uomo Carducci* (Bologna, 3-cie wyd. 1919).

Carducci a faszyzm: Fr. Ciarlantini, *Carducci* (Roma Augustea 1929, w serji „I Prefascisti"); Anna Evangelisti, „Il maestro di Benito Mussolini: Valfredo Carducci" (brat poety; *Rassegna Italiana*, czerwiec 1929, s. 517—524).

Dyskusja o Pascolim trwa. Dla scharakteryzowania zmiany poglądów wystarczy wymienić naczelny artykuł z II-go tomu *Studi pascoliani* (Bologna, Zanichelli, 1929), w którym Luigi Pietrobono próbuje wykazać, że poeta ani nie był dekadentem, ani zniechęconym do życia sentymentalistą, ale „człowiekiem silnym i entuzjastą wszystkich cnót heroicznych".

Poglądy na „aktualność" Vergi jako artysty nie są jednolite (por. np. L. Tonelli, *Alla ricerca della personalità*, Milano 1923, s. 166 n.). — Artykuł Józefa Bottai na temat „Verga — politico" pojawił się w *Studi Verghiani* (Palermo 1929), a fragment zamieściła uprzednio *L'Italia letteraria* z 13 października 1929.

13. D'Annunzio

Artysta o tak rozległej skali zainteresowań i namiętności, chciwy nowości i zmian, poszukiwacz nieznanych wzruszeń i wrażeń — D'Annunzio przeszedł przez liczne fazy i nie na każdej

stronicy zapisał zdania, któreby służyć mogły za pokarm duchowy Włoch faszystowskich. Atoli w przedwojennej już twórczości poety odnajdują faszyści iskry, od których miał zapłonąć bunt młodych przeciwko „starczej polityce“ „demo-liberalnego“ okresu. Pożądanie wiecznej młodości i nieustannego przełamywania form już zesztywniałych *(o rinnovarsi o morire!)*; nurzanie się z pasją w odmętach codziennego życia i walka z przeciwnościami; pogarda dla miernoty i banalnych nawyczek; kult silnego człowieka czy „nadczłowieka“; lekceważenie humanitarnych i pacyfistycznych deklamacyj; estetyczne i wprost zmysłowe rozkochanie się w walce, w wojnie; żyłka awanturnicza; podziw dla kondotjerów Odrodzenia — oto niektóre zaledwie z tendencyj d'Annunzia, które znajdują oddźwięk u sprawców październikowego przewrotu we Włoszech. Do tego przyłączają się nacjonalistyczne i irredentystyczne porywy z okresu patetycznych *Laudi del cielo del mare della terra e degli eroi*, dramatu *Più che l'amore*, lotniczej powieści *Forse che sì forse che no* i *Canzoni della gesta d'Oltremare*, natchnionych wojną libijską i nienawiścią do Austrji. A potem, w maju 1915 r., mowa w Quarto pod Genuą i na Kapitolu rzymskim, zaciągnięcie się w szeregi armji, lot nad Wiedniem, rany odniesione na froncie. Wreszcie wyprawa na Fiume.

I można nie sympatyzować z prywatnem życiem i aktorskiemi gestami poety-lotnika, można ze zdziwieniem odczytywać barokowe paragrafy słynnego „Statuto della Regenza del Carnaro“ — niemniej niepodobna przymykać oczu na fakt, że d'Annunzio zaciężył nad dziejami Włoch wojennych i powojennych. Jeżeli nie w prawniczych konsekwencjach nowego ustroju i nie w zarządzeniach bieżącej polityki, to w „dionizyjskim“, a raczej powiedzmy „dannunziańskim“, gorączkowym nastroju rewolucji faszystowskiej, w jej retorycznym patosie i w jej obrzędowych tradycjach *(eia! eia! alalà)* dzisiejszy Principe di Monte Nevoso pozostawił ślad oczywisty, trwały.

Przeważna część uczestników dannunziańskiej „Marcia di Ronchi“ wzięła udział w „Marcia su Roma“ Mussoliniego. Żołnierze dyktatora Fiume — *arditi* — przywdziali czarne koszule dyktatora Rzymu. Mussolini nie zaparł się wdzięczności dla jednego z pośrednich twórców faszyzmu. Na jego wniosek, w marcu 1924 r., król włoski nadał poecie tytuł księcia i na jego życzenia wychodzi pomnikowe, „narodowe“ wydanie *Opere tutte* D'Annunzia.

Coprawda są nieprzebłagani adherenci poety, którzy mówią o krzywdzie mu wyrządzonej i nie przestają opłakiwać nieobecności mistrza u steru rządów w Rzymie.

Sam d'Annunzio zachowuje wymowne milczenie w swej pustelni, Il Vittoriale, nad jeziorem Garda.

D'Annunzio „prorokiem“ faszyzmu: Guido Puccio, *Da „Le Vergini delle Rocce“ all' Italia di Mussolini: Sbocchi impensati del superuomo dannunziano* (Roma,

Tipografia Agostiniana, 1928; postaci: Claudio Cantelmo z *Le Vergini delle Rocce* i Corrado Brando z *Più che l'amore* jako typy zrealizowane w osobie Mussoliniego); Ettore Cozzani, *G. D'A* (Piacenza 1928 z cyklu: „Artefici della Vittoria").

D'Annunzio w latach 1915—1920: F. Pasini, *G. D'A.* (Roma Stock 1925, s. 403—484; s. 453—455: „D'Annunzio e Mussolini"); M. Boulenger, *Chez G. d'Annunzio* (Paris, la Renaissance du livre 1921); J. Dornis, *Essai sur G. D'A.* (Paris Perrin 1925, s. 197 n.; na str. 140 cytuje postać Ruggero Flamma z *La Gloria*, w której dopatruje się „proroctwa" dzisiejszego *Duce*); P. H. Michel, „La pensée politique de Gabriele d'Annunzio et l'affaire de Fiume" (*Revue d'histoire de la guerre mondiale*, lipiec 1922, s. 119—143).

Polski przekład książki belgijskiego autora: Leona Kosznickiego (L. Kochnitzky), *Pod skrzydłami d'Annunzia* (Warszawa, Bibl. groszowa 1930; przekład włoski p. t. *La quinta stagione o i centauri di Fiume*, Bologna 1922).

Francesco Flora w swej (krytycznej dla jej bohatera) książce: *D'Annunzio* (Napoli R. Ricciardi 1926, s. 169 n.) posuwa się tak daleko, że D'A. nazywa „prawdziwym dyktatorem nietylko literatury włoskiej, ale wręcz życia włoskiego", „wodzem, stojącym u samego szczytu hierarchji dzisiejszego ustroju Włoch", człowiekiem, który „dzisiejszym Włochom narzucił swe własne tendencje polityczne, tak że miarodajne sfery Italji w formach swych i formułach są w trzech czwartych przejęte duchem dannunzjańskim".

Książka Nina Daniele (dziennikarza i jednego z najbliższych przyjaciół d'Annunzia) p. t. *D'Annunzio politico*, odrzucona przez firmę Treves w Medjolanie, ukazała się w 1928 r. w São Paulo, w Brazylji. Znam ją tylko z obszerniejszej recenzji G. Rispoliego, zamieszczonej w *Bibliografia fascista* (z listopada 1928, s. 47 n). Jest przepojona żalem, że z dzieła d'Annunzia główną korzyść wyciągnęli tylko faszyści, a nie sam poeta.

Oziębienie stosunku d'Annunzia do faszyzmu tłumaczy na swój sposób Domenico Russo, *Mussolini et le fascisme* (Paris Plon 1913, s. 70—71).

Il Vittoriale d'Annunzia: A. G. Domenighini, *Il Vittoriale degli Italiani a Gardone del Garda* (Milano Sonzogno 1928); Henry Bordeaux, *La claire Italie* (Paris Plon 1929 s. 339—366). „Wydanie narodowe" *Tutte le Opere* d'Annunzia, rozpoczęte w 1927 r., u Mondadori'ego w Weronie. W 1927 r. wyszedł *Programma* tej edycji, który kosztuje — sam tylko program — lir pięćdziesiąt. Innem wielkiem przedsięwzięciem ku czci d'Annunzia jest *Guida bibliografica: D'Annunzio*, sporządzona przez Roberta Forcella

(Roma, „Leonardo“ tom I 1926, tom II 1928). Rzecz, zakrojona na niebywałe rozmiary, obejmuje na ogłoszonych dotychczas 700 stronicach zaledwie lata 1863—1885.

14. Futuryzm — F. T. Marinetti

Kierunek ten, znany u nas przeważnie ze strony jego dziwactw i hałaśliwej reklamy, zaważył dość wydatnie nietyle na życiu artystycznem, jak na życiu politycznem Włoch XX stulecia. Ta niezbyt liczna gromada awanturniczej młodzieży przyczyniła się do oczyszczenia mocno zatęchłej — akademizmem, retoryką i rutyną — atmosfery intelektualistów włoskich. W studencki sposób, ale skutecznie, wstrząsnęła przesadną adoracją przeszłości, a zgiełkliwemi bójkami i demonstracjami utorowała drogę śmielszej inicjatywie i ryzykowniejszym postanowieniom. Futuryzm, apoteozujący wojnę, odegrał rolę znaczącą w przygotowaniu opinji publicznej do zbrojnej interwencji w 1915 r. Towarzysze Marinettiego, z samym mistrzem na czele, walczyli na frontach przeciwko Austrji i Niemcom, ruszyli z D'Annunziem pod Fiume, wspierali Mussoliniego przy obronie pierwszych faszystowskich okopów, uczestniczyli w Marszu na Rzym.

Marinetti w r. 1919 towarzysz Mussoliniego w więzieniu, jest dzisiaj członkiem *Accademia d'Italia* i, aczkolwiek w poglądach swoich nie zupełnie zgadza się z programem oficjalnego ustroju, zachował niezmienioną przyjaźń i podziw dla *Duce*.

Związek faszyzmu z futuryzmem nie ulega wątpliwości i nikt go dzisiaj nie zaprzecza.

Mamy przedewszystkiem trzy rzeczy Marinetti'ego, oparte na dokumentach i cytatach: *Futurismo e fascismo* (Foligno, Fr. Campitelli, 1924), „Futurismo e fascismo“ w zbiorowym tomie *La Civiltà fascista* (Torino 1928, s. 167—184), wreszcie: *Marinetti e il futurismo* w cyklu: „I Prefascisti“ (Roma „Augustea“ 1929). Pozatem zbiorowa publikacja futurystów p. t. *Arte fascista* (Torino, Ediz. Sind. Art. 1928), gdzie się dowodzi, że: „l'arte futurista è la sola arte ricca d'elementi e valori fascisti“. Wiele materjału dostarcza rzymski *L'Impero*, redagowany przez futurystów (M. Carli i E. Settimelli).

Z licznych ocen futuryzmu dwie ważne: Fr. Flora, *Dal romanticismo al futurismo* (Milano, Mondadori, 2-gie wyd. 1925) i F. Bellonzi, *F. T. Marinetti* (Pisa, Mariotti-Pacini 1929, teza uniwersytecka).

Nieobojętny wpływ futuryzmu na politykę Włoch akcentują np. Maurycy Mann w odczycie: *Włochy* (1928); G. Prezzolini, *La Cultura italiana* (2-gie wyd. 1930 s. 265—273); C. Pellizzi, *Le Lettere italiane del nostro secolo* (1930 s 221 n.); B. Croce: „veramente, per chi abbia senso delle

connessioni storiche, l'origine ideale del fascismo si ritrova nel futurismo..." (*La Critica* z 20 maja 1924, s. 191; warto przeczytać całą tę „Postilla" Crocego p. t. „Fatti politici e interpretazioni storiche"); por. także jego *Storia d'Italia* s. 249, gdzie futuryzm nazwany jest koncepcją życiową i rodzajem filozofji, i *Pagine sulla guerra* (s. 271 n.).

Przypominam wreszcie, że Attilio Vallecchi, przed wojną wydawca pism futurystycznych, z dumą podnosi ich znaczenie jako „poprzedników faszyzmu" (*Leonardo* z 20 marca 1926 s. 68).

III. INTELEKTUALIŚCI WŁOSCY WOBEC FASZYZMU

1. Intelektualiści wobec wojny 1914—1918

Intelektualiści włoscy popadli w rozterkę i rozbili się na dwa conajmniej obozy pod wpływem i wrażeniem katastrofy sierpniowej 1914 r. Interwentyści i neutraliści — a nie należy ich rozumieć wyłącznie jako frankofilów i frankofobów, wrogów i przyjaciół Austrji i Niemiec — ustawili się naprzeciw siebie w dwa, niezbyt coprawda zwarte szeregi. Ich argumenty miały rozmaitą genezę: grały w nich rolę motywy wewnętrzno-polityczne, gospodarcze, czysto intelektualne (niedorzeczna teorja o „*Kultur* teutońskiej"), a także wyznaniowe (niechęć katolików włoskich do laicyzmu francuskiego). Szczerze, a czasem nieszczerze, dwa te obozy złączyły się w jeden narodowy obóz po wybuchu wojny na froncie tyrolskim. Zmienne koleje operacyj bojowych — Caporetto np. — nie pozostawały bez wpływu na chwiejne naogół nastroje intelektualnych kierowników narodu. Studjum tych nastrojów pożytecznie wyjaśnia niejeden fakt powojennych powikłań Królestwa. Mniejwięcej, ale tylko mniejwięcej, podział na interwentystów i neutralistów przetrwał Vittorio Veneto i odbił się na podziale włoskiego społeczeństwa w okresie walk faszystów i nacjonalistów z liberałami, socjal-demokratami i partją ludowo-katolicką.

Trzeba wystrzegać się uproszczonych sądów i złośliwych ocen tych Włochów, którzy podczas wojny światowej bronili się przed demagogicznemi frazesami urzędowych propagandzistów.

Croce'go np. obrzucono obelgami za jego jakoby antynarodowe i skrajnie germanofilskie stanowisko. Kto przeczyta zbiór artykułów i uwag filozofa, pisanych podczas lat 1914—1918 i zebranych w spory tom p. t. *Pagine sulla guerra*, przekona się, jak znakomicie umiał on godzić szczerą miłość dla ojczyzny z uporczywą obroną ponad-narodowych pozycyj ogólno-ludzkiej czy europejskiej kultury. Znajdą się akcenty mało życzliwe Francuzom (np. ostra krytyka Barrès'a), ale odszukać także łatwo zdecydowane słowa potępienia dla zwyrodniałych przejaskrawień heglizmu i bismarckizmu pruskiego.

Zmarły w 1928 r. profesor filologji romańskiej w Rzymie, jeden z najciekawszych przedstawicieli włoskiego życia uniwersyteckiego, Cesare De Lollis, należał do gorących zwolenników neutralności i stanął na czele czasopisma, poświęconego polemice z interwentystami, *Italia Nostra*. Młodzież uniwersytetu rzymskiego demonstrowała przeciwko niemu i w kwietniu 1915 r. sprowokowała gwałtowne tumulty. A przecież ten o zdradę stanu pomawiany uczony, mimo lat zgórą pięćdziesięciu, natychmiast po wypowiedzeniu wojny Austrji zgłosił się do szeregów i z 81 pułkiem piechoty odjechał na front, do okopów bojowych.

Niepospolity erudyt i wyjątkowy znawca kilku literatur zachodniej Europy, Arturo Farinelli, chociaż wygnaniec z uniwersytetu austrjackiego w Innsbrucku i przez uczniów nazwany „il maestro degl' irredenti", nie uszedł przed brutalnemi atakami kilku hiper-patrjotów, którzy obwołali go „pokornym sługą Austrji". Dlaczego? Oto miał odwagę nazwać wojnę „krwawą rzezią, niegodną chrześcijanina i niegodną prawdziwego człowieka" i w uczonych wywodach ostrzegał naród własny przed zejściem na drogę pysznych i pyszałkowatych Niemców, gloryfikujących własną t. zw. „rasę" jako „wybraną z pomiędzy innych do rządzenia światem".

Psychoza wojenna mija. Śmierć De Lollis'a wywołała mnóstwo serdecznych nekrologów jego uczniów, wśród których niejeden nosi czarną koszulę, a przecież z najgłębszą czcią i wdzięcznością wspomina pamięć sceptycznego wobec faszyzmu profesora. Farinelli, z woli Mussolini'ego, zasiada dziś w faszystowskiej *Accademia d'Italia*.

Nastroje wojenne, scharakteryzowane na podstawie wielu dokumentów, omawiają liczne już tomy ze serji: *Collezione italiana di diari, memorie, studi, documenti per servire alla storia della guerra del mondo* — redagowane przez generała Angelo Gatti, a wydawane przez firmę Mondadori w Mediolanie.

Okres wstępny, neutralności Włoch od sierpnia 1914 do 24 maja 1915 r., ilustrują, ze znanych mi książek, dwie publikacje francuskie: G. Maugain, *L'Opinion italienne et l'intervention de l'Italie dans la guerre actuelle* (Paris, Champion, 1916) i H. Charriaut-Amici Grossi, *L'Italie en guerre* (Paris, Flammarion, 1916), — i dwie niemieckie: A. Mayer, *Das geistige Italien gegen den Krieg* (München, Müller, 1916) i V. Klemperer (w r. 1914—15 lektor języka niemieckiego na uniwersytecie neapolitańskim), „Die letzten Friedensmonate in Italien" (*Süddeutsche Monatshefte*, czerwiec 1915; przeciwko niektórym twierdzeniom tego artykułu protestuje Croce, *Pagine sulla guerra*, s. 28). Cenny artykuł: G. Volpe, „Partiti e gruppi politici italiani alla vigilia della guerra" (*Nuovi studi di diritto economia e politica*, 1929, s. 98 n.).

Literatura wojenna i o wojnie: por. np. antologję, wydaną przez J. Prezzoliniego, *Tutta la guerra* (Firenze, Bemporad, 2-gie wyd. 1921), syntetyczny artykuł: A. Tosti, „Bibliografia della guerra" (*Bibliografia fascista* z października i listopada 1928 r.) i rozdział: „Gli effetti della guerra" u Prezzolini'ego, *La Cultura italiana* (1930, s 467 n.).

Croce: *Pagine sulla guerra* (zbiór artykułów ogłoszonych przeważnie w *La Critica*; Bari, 2-gie wyd. 1928; częściowy przekład niemiecki p. t. *Randbemerkungen eines Philosophen zum Weltkriege*, Zürich 1922). Croce o swoim stosunku do „germańskości" w *La Critica* z 20 listopada 1925 (s. 375), do sprawy Oberdana: *ib.* 20 marca 1929, s. 115—116, do patrjotyzmu i nacjonalizmu: *ib.* 20 marca 1928, s. 137.

De Lollis: Croce, *Pagine sulla guerra* (s. 40). Pięćdziesięcioletni profesor na wojnie: C. Castellazzi, „De Lollis combattante" (*La Cultura* z 1 grudnia 1928 r., s. 485 n.). Wspomnienie o nim ucznia-faszysty, Fryderyka Gentile, w *Leonardo* z 20 lipca 1928 r., s. 200 n. Na niedawno umieszczonej ku jego czci tablicy pamiątkowej, skomponowanej przez Croce'go, znajduje się m. i. napis: „a 52 anni volontario nella nostra guerra fra umili gregari, decorato di medaglia al valore" (*La Cultura* z czerwca 1930, s. 465).

Farinelli wspomina o doznanych przykrościach w tomie *Umanità* (Milano, Corbaccio, 1925, s. 117—121). Tom ten obejmuje m. i. jego „wojenne" wynurzenia. Powojenne refleksje zamieścił F. w tomie: *Franche parole alla mia nazione* (Torino, Bocca, 1919).

G. Maugain, w wspomnianej rozprawie, wymienia następujących wybitnych intelektualistów włoskich jako uczestników propagandy za udziałem Włoch we wojnie: G. A. Borgese, G. Salvemini, L. Einaudi, G. Ferrero, U. Ojetti, P. Silva, G. Natali, G. Caprin itd., nie mówiąc już o d'Annunziu i Mussolinim. Wśród neutralistów zwraca uwagę na takich, jak Croce, De Lollis, Domenico Gnoli (teść profesora Vosslera z Monachjum), Fr. d'Ovidio

2. Intelektualiści wobec faszyzmu

Przynależność do faszyzmu nie jest tajemnicą, owszem faszyzm tępi bezlitośnie tajne stowarzyszenia i sekty. Nic łatwiejszego, jak wyszukać nazwiska intelektualistów włoskich, zapisanych do Partji, opatrzonych w oficjalne *tessere* i noszących rózgi liktorskie na trójkolorowem tle w butonierce. Nazwiska żarliwszych adherentów stronnictwa zdobią często stronice czasopism faszystowskich. Nazwiska ich widnieją pod słynnym *Manifesto degl' intellettuali fascisti,*

uchwalonym na kongresie w Bolonji i opublikowanym dnia 21 kwietnia 1925, w święto Natale di Roma. Nazwiska antyfaszystów również nie są tajne. Podpisy ich przyniosła *Protesta* czy *Replica* przeciwko codopiero wspomnianemu Manifestowi, w lecie 1925.

Nie byłoby celowem zestawianie tych nazwisk, te mniej ich mechaniczne zliczanie. Po jednej i po drugiej stronie znajduje się tylko pewien odsetek ogółu intelektualistów włoskich, którzy tu, jak gdzieindziej, przeważnie stronią od czynnej polityki i całkowicie oddają się tylko zawodowym zajęciom. Zapalczywsi, młodzi faszyści nie umieją się pogodzić z t. zw. neutralnością znacznej części elity intelektualnej; przypominając przemówienie Franciszka De Sanctis, *La Scienza e la Vita* (z 16 listopada 1872 r.), nie chcą znać teoretyków, oderwanych od życia, samolubnie zasklepionych w własnej bibljotece czy w własnem laboratorjum. Dla tych bezkompromisowych polityków istnieje tylko wóz albo przewóz, miejsca na lewicy lub po prawicy, ludzie gorący lub zimni, faszyści i antyfaszyści — dla letnich, neutralnych, pośrednich, wahających się, nie powinno być miejsca w faszystowskich Włoszech, nie powinno być miejsca conajmniej na płatnych przez rząd posadach. Tak mówią młodzi i najmłodsi. Starsi patrzą na sprawę spokojniej. Słyszałem od kilku czołowych działaczy, że rozumieją stan psychiczny ludzi po czterdziestce, ktorzy wyrośli w liberalnych ideałach, w czci religijnej dla haseł 1789 r., i dzisiaj, rozumowo nawet pogodzeni z nowym ustrojem, bohaterskie muszą z sobą staczać walki, aby uczuciowo także zapalić się entuzjazmem dla *„leggi fascistissime"*. Toteż organizatorzy i kodyfikatorzy faszyzmu liczą przedewszystkiem na młodzież, dorastającą w atmosferze rewolucyjnego przewrotu.

Wśród intelektualistów, zjednanych dla faszyzmu, są — rzecz prosta — typy rozmaite: niewątpliwi wyznawcy całej doktryny, i inni, zapatrzeni tylko w *Duce*, dla których Mussolini jest prorokiem, faszyzm natomiast niewygodnym dodatkiem, złem koniecznem. Obok ofiarnych współpracowników przebudowy Włoch powojennych, — sprytni karjerowicze, służalczy adulatorzy.

Wydaje się pewnem że liczba intelektualistów, nawróconych na faszyzm, wzrasta stale i to w przyśpieszonem tempie. Pierwsze miesiące po Marszu na Rzym nie wywołały jeszcze wyraźnego rozłamu wśród tych, którzy roszczą sobie tytuły do twórczości umysłowej; jeszcze faszyzm nie zaprowadził we Włoszech wyłączności Czarnych Koszul, a w parlamencie zasiadali także przedstawiciele innych stronnictw. Rok 1924 przyniósł przesilenie czerwcowe i secesję opozycji na t. zw. Awentyn; pozory skłaniały do wróżenia dyktaturze dość rychłej likwidacji: stąd wzrost krytyki ustroju. Jednakże, dzięki Mussoliniemu, pełnia władzy znalazła się znowu w rękach uczestników Marszu na Rzym. I odtąd, w miarę ogłaszania nowych ustaw faszystowskich, opozycja przycicha, szeregi partyjne wzrastają, a zgłoszenia pod znaki faszystowskie przybierają wprost tłumne rozmiary.

Dzieje się coraz częściej tak, że senator, odżegnujący się od dyktatury, głosuje jednak w myśl jej życzenia. Charakterystyczny obrazek w książce Piotra De Nolhac, *Souvenirs d'un vieux romain* (Paris Plon 1930 s. 179 n.): na wiosnę 1927, francuski humanista zagadnął w Wenecji podeszłego wiekiem historyka, Pompeo Molmenti, o jego stosunek do faszyzmu, i usłyszał taką mniejwięcej odpowiedź:. „Nie mogę w moim wieku śpiewać *Giovinezza;* faszyści zresztą, przeważnie zbyt młodzi, nie są ludźmi na serjo.. Należę więc do opozycji „nieubłaganej"... Co innego *Duce.* To zbawiciel Włoch, który przedkłada nam projekty ustaw solidnych i pożytecznych... Cóż więc mamy robić, my „nieubłagani" opozycjoniści. Głosujemy zawsze za wnioskami Mussoliniego"...

U wielu publicystów ton artykułów, zrazu niechętny faszyzmowi, zmienia się stopniowo, na oziębłe-neutralny, a potem na życzliwie-neutralny, wreszcie niekiedy na życzliwy bez zastrzeżeń.

Widoczne to np. w ewolucji poglądów Józefa Prezzoliniego. Założyciel florenckiej *La Voce,* po wojnie w redagowanych przez siebie *Quaderni* zamieszczał także tomiki publicystów wrogich Czarnym Koszulom (np. Salveminiego), a w swoim (pesymizmem politycznym przepojonym) *Codice della vita italiana* (1921, s 33) z przekąsem wspomniał „bomby rzucane przez socjalistów i faszystów". Po październiku 1922 zaczął podziwiać Mussoliniego, czego dowodem mała książeczka *Benito Mussolini* (Roma A. F. Formiggini 1924, trzecie całkiem niezmienione wydanie 1927). Nie oznacza to jednak przejścia Prezzoliniego do obozu faszyzmu. W rok później w temże samem wydawnictwie ogłasza gorący profil zdecydowanego wroga dyktatury: *Giovanni Amendola* (Roma 1925) i po francusku *Le fascisme* (Paris Bossard 1925), napisany z „neutralnego" punktu widzenia, ale z dość wyraźną orjentacją życzliwego obserwatora przemian włoskich. Przebywając w Paryżu (jako funkcjonarjusz Instytutu Współpracy Umysłowej, dzisiaj w Ameryce przy Columbia University) przez faszystów zwalczany, godzi się z utrwalającym się w ojczyźnie stanem rzeczy i przyznaje mu poważne zasługi również w dziedzinie organizacji kultury duchowej. Szczegóły charakterystyczne przynosi porównanie pierwszego wydania *La Coltura Italiana* (1923, i nieco przerobionego przekładu francuskiego: *La Culture italienne,* Alcan 1925) z wydaniem drugiem rozszerzonem: *La Cultura italiana* (Milano „Corbaccio" 1930); sam spis rzeczy już mówi wiele, np. nazwisko Mussoliniego w pierwszem wydaniu raz jeden wymienione, w drugiem wydaniu jest już cytowane kilkanaście razy.

Nic w tem dziwnego. Im dłużej trwa ustrój, tem silniej zmusza nawet przeciwników do liczenia się z faktem jego istnienia i z jego konsekwencjami.

O *Manifeście* i o *Antymanifeście* pisze obszerniej Wł. Jabłonowski, *Amica Italia* (1926 s. 109 n.). „Antymanifest" przedrukowany w *La Critica* z 20 września 1925 s. 310—312.

Dziś o nim mniej słychać, a Gentile, w mowie senackiej z kwietnia 1930, zaznaczył, że „dokument ten należy już do prehistorji... przeważna część jego firmantów już nie uznaje położonego na nim niegdyś podpisu"... (*Civiltà Moderna*, z 15. IV. 1930 s. 384).

Rzecz De Sanctis'a: „Gli intellettuali e la politica" przedrukowana w *Leonardo* z 20. III. 1926. Dyskutuje tę kwestję Luigi Russo w tymże *Leonardo* z 20. I. 1928 w artykule p. t. „La Scienza e la Vita".

Prezzolini: Jego *Faszyzm* ukazał się w przekładzie angielskim w 1926 i w tymże samym roku po polsku (nakład F. Hoesicka). Faszyści zaliczają go, mimo wszystko, do swoich wrogów (por. np. *Educazione fascista* 1927 s. 548 i *Bibliografia fascista* z lutego 1927 s. 10—11; w tejże *Bibl. fasc.* z września 1926 obszerny przekład z warszawskiej *Myśli Narodowej*, która w zeszycie z 4 sierpnia t. r., poddała „filofaszyzm" Prezzoliniego stanowczym zastrzeżeniom).

Inny pisarz, którego stopniowe zbliżanie się do faszyzmu posłużyć może za charakterystyczny objaw przemiany pojęć we Włoszech, to Mario Missiroli (o jego fazie liberalnej: A. Tilgher, *Voci del tempo*, Roma 1923, s. 137 n.).

3. Antyfaszyści na emigracji

Najsurowiej, bez osłonek i przyćmionych aluzyj, atakują faszyzm t. zw. *antifascisti fuorusciti*. Przebywają w Szwajcarji, w Anglji, przedewszystkiem we Francji, gdzie wychodzi przeważna ilość emigracyjnych broszur i dzienników (m. i. *Corriere degli Italiani*), oraz biuletyn tak zwanej „Concentration antifasciste italienne", *Italia*, redagowany przez Filipa Turatiego. Ci, którzy przywodzą opozycyjnej emigracji i których książki znajdują cudzoziemskich nakładców, noszą często nazwiska znane już przed wojną w intelektualnych sferach Włoch i zagranicy. Filippo Turati uzyskał doktorat praw w Bolonji i rozpoczął działalność jako obrońca sądowy. Don Luigi Sturzo, organizator i sekretarz rozbitego już Partito popolare, zaprzątał niejednokrotnie uwagę międzynarodowych kół katolickich. Francesco Nitti, oprócz pamfletów i dzieł politycznych, ogłosił sporą liczbę ekonomicznych rozpraw i ma za sobą bogatą karjerę uniwersytecką. Hrabia Carlo Sforza, minister spraw zagranicznych w dwu gabinetach Nittiego, pisze książki dyplomatycznej treści, w języku francuskim (*L'enigme chinois*, 1928) i angielskim (*Makers of Modern Europe*, 1930).

Arturo Labriola, ekonomista, b. minister w gabinecie Giolittiego, wystąpił z publikacjami o „Marxie" i „kapitalizmie", a zaatakował faszyzm nietylko w dziennikarskich polemikach, ale także w obszernem dziele, które broni zasad XVIII wieku, po-

średnio więc potępia antagonistów tych zasad, faszystów: *Voltaire e la filosofia della liberazione* (Napoli, Ricciardi, 1925).

Gaetano Salvemini wyszedł z socjalizmu, zwalczał z furją korupcyjną taktykę Giolittiego (*Ministro della mala vita*, broszura ogłoszona w *Quaderni de „la Voce"*), aż znalazł własny teren pracy w tygodniku *Unità*, założonym przez siebie z okazji wojny libijskiej (1911) i wypełnianym niemal w całości artykułami własnego pióra. Interwentysta w 1915 r., zajął wobec postulatów Słowian austro-węgierskich stanowisko przychylne i w wyrzeczeniu się przez Włochy Dalmacji widział zadatek przyszłej ich hegemonji w południowo-wschodniej Europie. Ów program „rezygnacji" — „il rinunciatarismo" jak go nazywano — ściągnął na jego autora gromy nacjonalistów i irredentystów włoskich. Potem przyszły inne zatargi, a wreszcie emigracja. Salvemini, dzisiaj głośny jako nieubłagany krytyk Mussoliniego, ma znaczne zasługi naukowe. Uczeń Villariego, profesor historji w Messynie, Pizie, wreszcie we Florencji, rozpoczął od studjów z zakresu dziejów średniowiecznej Florencji, a przeszedł potem do badań nad Risorgimentem (Mazzini), nad polityką Crispiego i początkami Trójprzymierza. Ma we Włoszech przyjaciół i wrogów. Mussolini zacytował jego opinje w swej książce o Pakcie Laterańskim.

Paru antyfaszystów, należących do obozu intelektualistów, zmarło na wygnaniu. Piero Gobetti w lutym i Giovanni Amendola w kwietniu 1926; b. minister i jeden z przywódców masonerji włoskiej, Eugenio Chiesa w czerwcu 1930 r.

Gobetti zakończył życie, mając lat dwadzieścia sześć, ale już w tak krótkim przebiegu swej literackiej twórczości zaznaczył się jako ciekawy, samodzielny umysł. Stworzona przez niego firma wydawnicza (— kontynuowana przez parę jeszcze lat jako „Edizioni del Baretti" —) i założone przez niego czasopismo: *Rivoluzione Liberale* ogłaszały głosy niechętne przewrotowi z października 1922 r. Sam młodociany wydawca, nieskrystalizowany jeszcze w pomysłach i poglądach, wypowiedział niejedną myśl, która spowodowała szeroką dyskusję. Dotyczy to zwłaszcza jego oceny Risorgimenta i odrzucenia przez Włochy idej protestantyzmu XVI wieku.

Amendola, Neapolitańczyk, za młodu zajmował się problemami filozoficznemi i z tego zakresu pozostało po nim kilka rozpraw (Maine de Biran, Kant i t. d.). Rzuca jednak docenturę w Pizie i oddaje się od 1912 r. politycznej publicystyce (w *Resto del Carlino* i *Corriere della sera*). Kombatant w wojnie światowej, zrywa z nacjonalistami z powodu ugodowej polityki w stosunku do Jugosławji. Podsekretarz stanu w trzecim gabinecie Nittiego (1920), minister kolonij w ostatnim przed faszyzmem gabinecie Facty — Amendola ostatnie lata przed śmiercią wypełnia zaciętą walką z triumfującym ustrojem.

Turati: Al. Levi, *Turati* (A. F. Formiggini, „Medaglie" 1924). — Don Sturzo: M. Ferrara, *Sturzo* (ib.

1926); M. Vaussard, *L'Intelligence catholique dans l'Italie du XX-e siècle* (Paris, J. Gabalda 1921, s. 133—167). Jego książki (m. i. *Pensiero antifascista*) wychodziły u Gobettiego w Turynie, po francusku ukazał się tom: *L'Italie et le fascisme* (Paris, Alcan 1927). — Jedne czy dwie rzeczy Nittiego pojawiły się także po polsku. — Ostatni znany mi artykuł Sforzy w *L'Esprit international* z lipca 1930 („Italie et Yougoslavie" s. 364—374). — Ostra recenzja wspomnianej książki Labrioli w *Educazione fascista* z stycznia 1926 (s. 46—49; recenzję napisał Ugo Spirito).

Salvemini: G. Prezzolini, *Amici* (1922, s. 117—132); M. Vinciguerra, *Un quarto di secolo* (Torino, Gobetti 1924 s. 46—51). O historycznych pracach Salveminiego: Croce, *Storia della storiografia italiana* (Bari 1921, cz. II, s. 238 n., 241 n., 251), oraz w *La Critica* z 20 lipca 1929, s. 242. — Próbka niechęci faszystów do S. w *Rassegna italiana* z lutego i marca 1926 („La disonestà di G. Salvemini"). — Mussolini cytuje S. w *Gli Accordi del Laterano* (Roma, Littorio 1929, s. 161—164). — Ostatnia publikacja antyfaszystowska Salveminiego: *La terreur fasciste* (Paris, Gallimard 1930).

Gobetti: o nim kilka zdań u P Arcari w *La Vie des peuples* 1924, s. 363 n. — *Opera critica* Gobettiego, wydawane w Turynie od 1927 r. przez „Edizioni del Baretti"; do faszyzmu odnosi się przedewszystkiem książka: *Dal bolscevismo al fascismo* (Torino 1923).

Amendola: G. Prezzolini, *Giovanni Amendola* (A. F. Formiggini 1925). Jego antyfaszystowskie polemiki zebrane w dwu tomach: *Una battaglia liberale* (Torino, Gobetti 1924) i *La Democrazia* (Milano, „Corbaccio" 1924).

4. Niefaszyści w kraju

Przypominam nazwiska paru tylko intelektualistów, którzy zdala od areny czynnej polityki, w teoretycznych wywodach dają wyraz sceptycyzmowi wobec doktrynalnych założeń i praktycznych skutków dyktatury faszystowskiej.

Luigi Salvatorelli, b. profesor historji chrześcijaństwa na katedrze w Neapolu, potem redaktor turyńskiej *Stampa*, w książkach religjoznawczych zwracał nietyle uwagę na dogmatyczną i mistyczną treść badanych zagadnień, ile na ich społeczne i prawno-państwowe konsekwencje. Temperament zatem nawskróś polityczny. Znając racjonalistyczne upodobania, a z drugiej strony poglądy Salvatorelliego na rolę kapitalizmu i proletarjatu w procesie rekonstrukcji powojennego świata — rozumie się bez trudności jego kampanję przeciw nacjonalizmowi i faszyzmowi (*il nazionalfascismo*, jak się wyraża). Z nieufnością patrzy on na ruch, w którym rozeznaje

przerost czynników irracjonalnych, romantycznych, awanturniczych, — ruch zapłodniony, jego zdaniem, przez te same impulsy, jakie pchały do czynu Garibaldiego i dyktowały radykalne tezy Nietzschego czy Jerzego Sorela

Adriano Tilgher, teoretyk problemów prawniczych i estetycznych, krytyk teatralny, ale przedewszystkiem krytyk współczesnej kultury i oryginalny interpretator powojennego kryzysu intelektualnych podstaw Europy, należy do. nie tak licznych, włoskich publicystów, których zna się i tłumaczy także zagranicą. Jego konstrukcje myślowe, ujęte zawsze w jasne formuły, rażą nadmierną tendencją do. uproszczenia złożonych nieraz zagadnień; są jednakże ze wszech miar inteligentnemi i pożytecznemi próbami orjentacji w otaczającej nas współczesności. Współpracownik znienawidzonego przez faszystów *Il Mondo* Nittiego, od tych czasów aż po dziś dzień piętnowany jest przez nich jako wróg zaprzysiężony nowego ustroju. Jakoż istotnie, niepodobna uważać go za zwolennika faszyzmu. W zjadliwym, brutalnym nawet pamflecie obrzucił Tilgher Gentilego paradoksalnie sprecyzowanemi oskarżeniami: faszystowską prawowierność filozofa nazwał poprostu służalczą adoracją koncepcji „państwa żandarmsko-lokajskiego" *(lo stato sbirro-bidello)* i gloryfikacją „terorystycznej pałki" *(filosofia del manganello)*. W zapatrywaniach na istotę faszyzmu godzi się z Salvatorellim; i dla niego także u źródła Marszu na Rzym czają się irracjonalne mity i legendy odziedziczone po romantyzmie Risorgimenta.

Guglielmo Ferrero, zaznaczmy to odrazu, jest o wiele więcej autorytetem dla zagranicy, niż prorokiem we własnej ojczyźnie. Croce i Gentile podważyli we Włoszech powagę jego naukowej metody, tak że żaden uniwersytet włoski nie zaofiarował mu upragnionej przez niego katedry. Włoscy krytycy historyczne książki Ferrera nazywają belletrystyką, a na odwrót jego powieściowej trylogji (*Le due verità* 1926, *La rivolta del figlio* 1927, *Sudore e sangue* 1930) zarzucają przyciężką fabułę, przygniecioną erudycyjnym balastem historyka. Zagranicą tedy szuka Ferrero pełniejszego zadośćuczynienia swoich naukowo-publicystycznych ambicyj; doczekał się tam istotnie przekładów swoich książek na przeróżne języki świata, zabłysł na łamach *Revue des deux mondes* i paryskiej *Illustration*, otrzymał zaproszenie na katedrę od uniwersytetu genewskiego.

Dzisiejszy Ferrero różny jest od wczorajszego entuzjasty amerykańskiego tempa, anglosaskiego komercjalizmu i niemieckiej ultraorganizacji. Dawne marzenia o przerobieniu „bankrutującej rasy łacińskiej" według wzorów protestanckiej i germańskiej Północy (*Fra i due mondi*, 1913) ustąpiły miejsca gorzkim refleksjom pod obuchem wojny. Ferrero odwrócił się od „kwantytatywnej" cywilizacji plutokratycznych ośrodków i zatęsknił za „kwalitatywną" cywilizacją dawnej Europy (*La vecchia Europa e la nuova*, 1918).

Posypały się wówczas obserwacje publicystyczne, zebrane w tomy: *La tragedia della pace* (1923), *Da Fiume a Roma* (1923), *Discours aux sourds* (Paris 1924, wyd. włoskie 1925), *Entre le passé et l'avenir* (Paris 1926), *Unité du monde* (1926 i 1927) — książki, w których autor opłakiwał złowieszcze skutki Wielkiej Rewolucji, rozstrój ustrojów demokratycznych, a przedewszystkiem zawalenie się wszelkich moralnych autorytetów. Ferrero przechyla się mimo wszystko do parlamentaryzmu, opartego na głosowaniu powszechnem, a wybiera to „mniejsze zło" pod wpływem wyraźnej niechęci do taktyki przemocy i gwałtu, do Napoleona — i jego naśladowców. Od faszyzmu oddzielają go przedewszystkiem skłonności demokratyczne, a poczęści także gorący frankofilizm. Odrzuca pozatem ideały nacjonalistyczne: Crispiego krytykował za imprezę afrykańską, kampanję libijską ocenił sceptycznie i uważał za błąd wyprawę d'Annunzia do Fiume.

Podpis Ferrera figuruje na antyfaszystowskim „Manifeście" Crocego. Faszyści ze swej strony darzą go nieukrywaną antypatją.

Giuseppe Rensi, profesor filozofji w Genui, niestrudzony krytyk neoidealizmu Crocego i Gentilego, przez pewien czas zbliżał się do faszyzmu, współpracował w *Gerarchia*, zamieścił niejedną życzliwą radę dla obozu Mussoliniego w książce: *Teoria e pratica della reazione politica* (1922). Przebieg dalszych wypadków nie zadowolił go i dzisiaj odnosi się krytycznie do faszyzmu, czemu dał dowód w przedmowie do *La Democrazia diretta* (trzecie wydanie w 1926) i w tomiku: *Autorità e libertà* (1926).

Po czerwcu 1924 r. odszedł od faszyzmu Giuseppe Lombardo-Radice, znany i zagranicą pedagog, obecnie profesor Istituto Superiore di Magistero w Rzymie. On to, w charakterze generalnego dyrektora szkół elementarnych, wspólnie z Gentilem opracował faszystowską reformę szkolnictwa w 1923 r.

Salvatorelli: Ostatnie jego prace naukowe dotyczą św. Franciszka z Assyżu (1926) i św. Benedykta (1929). Rzeczy antyfaszystowskie: *Nazionalfascismo* (1923) i *Irrealtà nazionalista* (1925). Charakterystyczny także, dla francuskiego syndykalisty nieprzychylny, artykuł: „Georges Sorel" w *Pégaso* z stycznia 1930. — Życzliwa sylwetka historyka i polityka: Adriano Tilgher, *Ricognizioni* (Roma 1924, s. 32—41). Ostra krytyka z punktu widzenia faszystowskiego: F. D'Amato, *Il Diritto della guerra* (Roma C. De Alberti 1925, s. 119—139).

Tilgher: jego pamflet przeciwko Gentilemu: *Lo Spaccio del bestione trionfante: Stroncatura di G. Gentile* (Torino P. Gobetti 1925; o faszyzmie s. 32 n., 40 n. i t. d.). Wypowiedzenia się o faszyzmie: *Voci del tempo* (Roma s. 210 n.: „La religione dell' azione"); *Relativisti contemporanei* (Roma 1922, s. 66 n.); *Ricognizioni* (Roma 1924, s. 39 n., 129 n.); *Storia e Antistoria* (Rieti 1928, s. 32,

34, 37, 51—52); *Homo faber* (Roma 1929, s. 109 n.: „il concetto di lavoro nel fascismo"). Gentile zastrzegł się przeciwko zarzutom Tilgher'a: *Che cosa è il fascismo* (1925, s. 50 n.). — Ostre sądy o Tilgherze: G. Vico, *Bibl. fasc.*, listopad 1926, s. 5; A. Omodeo, *Leonardo* z 20. XII. 1928, s. 356; U. Fracchia, *L'It. let.* z 10. VIII. 1930.

Ferrero: Croce o jego aspiracjach do katedry i znaczeniu naukowem wypowiadał się często i zawsze krytycznie: n. p. *Pagine sparse* (1919, II. s. 314 n.); *Storia della storiografia italiana* (1921, II. s. 245—250); *Conversazioni critiche* (1924, I. s. 180—189); *Pagine sulla guerra* (1928, s. 43 n., 62 n. i 68 n.). Podobnie Gentile: np. *Guerra e fede* (1927, s. 249 n.), oraz Fr. Ciarlantini w tomiku o *Carduccim* (Roma 1929, s. 43 n.). Łagodniej oceniał go Renato Serra, *Scritti inediti* (1923, s. 133 n.).

Obszerne i nader życzliwa charakterystyka poglądów Ferrera na powojenne zagadnienia Europy, m. i. także na faszyzm: M. Vaussard, *Sur la nouvelle Italie* (Paris 1928, s. 210—246: „L'insoluble problème de la paix mondiale selon M. G. Ferrero").

Ferrero o Napoleonie: *Tragedia della pace* s. 57 n.; o dyktaturach: „La vague dictatoriale" (*Discours aux sourds*, s. 147 n.).

Rensi opowiada dokładnie o swoim stosunku do faszyzmu w autobiografji: *Philosophie der Gegenwart in Selbstdarstellungen* (Leipzig, Meiner, 1927, tom VI, s. 8—10).

Lombardo-Radice: o swojem wystąpieniu z faszyzmu w książce: *Accanto ai maestri* (Torino, Paravia, 1925, s. XV i 433 n.). — Por. opinję o nim faszystów w *Educazione fascista* ze stycznia 1926, s. 56—58.

5. Benedetto Croce

Z lekturą dzieł Crocego łączą się dla mnie młodzieńcze wspomnienia momentu, kiedy przebudziłem się po raz pierwszy z ciasnych i jednostronnych zainteresowań filologicznych, po raz pierwszy — ze szkodą dla mej filologicznej produktywności — dostrzegłem ogrom wielu innych, porywających problemów. I wówczas to zapragnąłem napisać o jego filozofji rzecz większą, którą wykończyłem na miesiąc przed sierpniem 1914 r. Rękopis spoczął na zawsze w szufladzie, i stało się dobrze nietylko dla czytelników, ale także i dla mnie. Dzisiaj już inaczej patrzę na przeważną ilość entuzjazmujących mnie wówczas zagadnień, a chociaż od owych lat prenumeruję stale *La Critica* Crocego i kupuję każdą jego nową publikację, ciągle jeszcze nie czuję się na siłach napisania tej oddawna zapowiedzianej rzeczy.

Croce przestał być, od szeregu już lat, wyłącznym dyktatorem intelektualnej kultury włoskiej. Już przed wojną zaczęto się buntować przeciwko jego systemowi i estetycznym wyrokom, a rok 1915 — wstąpienie Włoch do wojny wbrew opinji Crocego — zadecydował o stanowczem zmniejszeniu się jego wpływów na młodzież. Niemniej i dzisiaj, w latach triumfu faszyzmu, pozostał Croce potentatem erudycji i twórczego sądu. Niema żadnej niemal książki z zakresu teorji nauk humanistycznych, w którejby na początku nie wspomniano jego nazwiska. Właśnie fakt, że tak zacięcie zwalcza się jego ideje, że tyle miejsca poświęca się krytyce każdego wystąpienia Crocego — fakt ten świadczy, że, mimo retorycznych pozorów, nikt go nie lekceważy i każdy nadal uważa za pierwszorzędną wielkość i światową chlubę kultury włoskiej. Płodność Crocego ma w sobie rysy zupełnie wyjątkowe, bo idzie w parze z olśniewającą erudycją, opartą zawsze i bez wyjątku na bezpośrednich źródłach.

Croce jest antyfaszystą i zwalcza nowy kierunek konsekwentnie, zarówno w polemice niczem nie osłoniętej, jak i pod osłoną, niedwuznacznych zresztą, aluzyj. Dziwiono się, że rozstał się ze swym przyjacielem, Gentilem, i nie poparł kierunku, który — mówiono — sam poniekąd przygotował. Łączy go z faszyzmem to i owo, np. stanowcza niechęć do protestantyzmu i do masonerji, ale z drugiej strony dzieli go od dyktatury wiele niezachwianie wyznawanych zapatrywań. Jako heglista — przynajmniej zwolennik pewnych elementów dialektyki Hegla — przyjął Croce zjawienie się faszyzmu spokojnie, nawet z pewną sympatją; własny jego system kazał mu godzić się z rzeczywistością, fakty dokonane uważać za konieczne ogniwa historji. Zaprotestował wówczas, gdy faszyzm nie ograniczył dyktatury do jakiegoś, chociażby długiego ale przejściowego okresu, ale rozpoczął wznosić budowę trwałą i do pracy nad nią zawezwał tylko członków Partji faszystowskiej. Croce dostrzegł w tem stan anormalny, gwałtowne zahamowanie koła historji. Dla niego t. zw. liberalizm nie oznacza partji, ale „system metapolityczny", specyficzne nastawienie psychiki, poddającej się zmienności, a więc z zasady tolerancyjnej. Teza, antyteza, synteza: dla osiągnięcia syntezy nie należy, zdaniem Crocego, powstrzymywać wyłaniania się nowych kierunków myśli, bo między niemi mogą być mylne i szkodliwe, ale mogą znaleźć się także pożyteczne, żywotne, zbawcze dla ludzkości.

Stosunek Crocego do faszyzmu wymagałby obszernego wywodu. Niema nań tutaj miejsca. W Senacie Croce głosuje zawsze przeciwko wnioskom Rządu; głosował także przeciwko ustawie antymasońskiej z 1925 r., chociaż sam oddawna zwalcza masonerję

O stosunku tym mogą poinformować artykuły („Postille") w *La Critica*. Przytaczam najcharakterystyczniejsze: 1923, s. 126 n., 374 n.; 1924, s. 189 n.; 1925, s. 125 n., 190 n., 252 n., 310 n., 376 n.; 1930, s. 52 n., 297 n.

Pozatem wchodzą przedewszystkiem w rachubę: *Elementi di politica* (Bari 1925) i *Aspetti morali della vita politica* (1928).

Storia d'Italia dal 1871 al 1915 (Bari, Laterza, 1928), tłumaczona na język niemiecki (Berlin, Lambert Schneider, 1929) i francuski (Paris, Payot, 1930) — niezupełnie zadowalnia czytelników, nawykłych do spokojnego toku rozumowania Crocego. W dziele tem namiętność polityczna czai się u źródła wielu sądów politycznych (krytyka Crispiego a obrona jego następców; charakterystyka przedwojennych prądów intelektualnych i t. d.). Pozatem efekt propagandowy książki wydaje mi się o tyle nieosiągnięty, że krytyczniejszy czytelnik, naczytawszy się tylu pochlebnych sądów o kierownikach Włoch przedwojennych, nie umie sobie wytłumaczyć, dlaczego dobre te jakoby rządy doprowadziły wreszcie do katastrofy lat 1919—1921. Najwidoczniej nie wszystko było w porządku.

Z pośród ciekawych recenzyj tej książki wymieniam: Guido Rispoli, *Bibliografia fascista* z lutego 1928, s. 13 n.; L. Salvatorelli, *La Cultura* z 1 kwietnia 1928, s. 211; A. Tilgher, *Storia e antistoria* (Rieti 1928, s. 36—52); *Sprawy obce*, lipiec 1930, s. 894—897.

Z pomiędzy sądów orzekających, że Croce, w myśl swego systemu, powinien iść razem z faszyzmem: G. Gentile, *Guerra e fede* (Roma 1927, s. 230: „Croce sam z sobą jest w sprzeczności i przez swe polityczne niekonsekwencje sprawił ciężki zawód swoim przyjaciołom i podziwiającej go młodzieży..."); G. Gentile, *Che cosa è il fascismo* (Firenze 1925, s. 153—161; autor wylicza szereg zbieżności między poglądami Crocego a faszyzmem i konkluduje: „mimo wszystko uważam Crocego za faszystę bez czarnej koszuli"); G. Volpe, *Guerra dopoguerra fascismo* (Venezia 1928, s. 379: przypomina, że „był czas, gdy Croce spoglądał na faszyzm okiem życzliwem i ufnem, widząc w nim jakby fizjologiczne odnowienie organizmu narodowego, i obiecywał sobie wiele po Marszu na Rzym").

Polemiką z Crocem przepełnione są różne czasopisma faszystowskie. Zwrócę tylko uwagę na książkę uczni Gentilego: U. Spirito, A. Volpicelli, L. Volpicelli (Roma 1929; Arnaldo Volpicelli na str. 145—161 polemizuje z teorją polityczną Crocego).

Mussolini, jak wiadomo, na V Kongresie Partji faszystowskiej oświadczył, że „nigdy nie czytał ani stronicy z książek Crocego". Polemika Mussoliniego z Crocem, w sprawie Paktu Laterańskiego, przytoczona w *Gli Accordi del Laterano* (Roma, Littorio, 1929, s. 123 n.). Ostatnio wpadła mi w rękę książka znanego biografa Lenina: Valeriu Marcu,

Männer und Mächte der Gegenwart (Berlin, G. Kiepenheuer, 1930). Na str. 153 n. apoteoza Crocego: „Ein Kopf ist mehr als dreihundert Kehlköpfe oder Benedetto Croce im Senat".

6. Masoni

Walka z towarzystwami tajnemi, przedewszystkiem z masonerją, rozpoczęła się już na szereg lat przed wojną. Przodowali oczywiście katolicy, z motywów religijnych, w obronie interesów Watykanu i wychowania młodzieży w duchu religijnym. Z przyczyn natury teoretycznej atakowali: „la mentalità massonica": Croce i Gentile. Kampanję podjęli potem nacjonaliści: ich *Idea Nazionale,* w lipcu 1913, rozpisała ankietę na temat masonerji i jej stosunku do państwowych zadań Królestwa włoskiego. Ankieta wydała nadspodziewane owoce. Zgłosił się spory zastęp pierwszorzędnych działaczy i myślicieli — ludzi stojących często zdala od katolicyzmu — którzy oświadczyli, że wpływ masonerji na rządy we Włoszech uważają za zgubny i demoralizujący charaktery.

Narazie jednak Związek był górą. Wszakże od 1876 r. niemal wszyscy premjerzy włoscy — Depretis, Crispi, Zanardelli, Rudini — jawnie przyznawali się do sekty, a inni — Cairoli, Giolitti, Bonomi — conajmniej z nią sympatyzowali. Syndykiem miasta Rzym był wielki mistrz masonerji włoskiej, Ernesto Nathan.

Po wojnie wszczęła się na nowo otwarta dyskusja na temat tej, bardzo drażliwej sprawy. Historycy cytowali dokumenty na dowód, że przeceniano dawniej rolę masonerji w walkach wyzwoleńczych Risorgimenta (dzieło Aleksandra Luzio, *La Massoneria e il Risorgimento italiano,* Bologna, Zanichelli, 1925). Faszyzm postanowił rozprawić się z nią stanowczo. Komisja parlamentarna, specjalnie do tej sprawy wybrana, uchwaliła, pod przewodnictwem Gentilego, wniosek ustawy zakazującej istnienia tajnych stowarzyszeń. Ustawą z dnia 12 stycznia 1925 r. masonerja znikła z powierzchni Włoch — oficjalnie. Czy znikła rzeczywiście? Wszyscy wiedzą, że istnieją po dziś dzień masoni włoscy, którym nie pozostaje nic innego, jak kryć się ze swemi przekonaniami. Ci intelektualiści-masoni nie należą, rzecz prosta, do przyjaciół faszyzmu. Nazwisk ich nie znamy.

Croce przeciw masonerji: *Cultura e vita morale* (2-gie wyd. 1926, s. 142 n.: „la mentalità massonica"); *Pagine sparse* (Napoli 1919, II, s. 291—293); *Pagine sulla guerra* (Bari 1928, s. 261—262); *La Critica* 1925, s. 315—316. — Gentile: *Che cosa è il fascismo* (1925, s. 17).

Kampanję z masonerją przedstawia dokładnie: Gioacchino Volpe, *Guerra dopoguerra fascismo* (1928, s. 333—350: „Lo Stato e le sette segrete"; por. tegoż autora: *L'Italia in cammino,* 1928, s. 39 n.). — Maurice Vaussard,

Sur la nouvelle Italie (Paris 1928, s. 46—92: „Heur et malheur de la maçonnerie italienne").

7. Żydzi

Pierwsze lata faszyzmu przyniosły objawy wzmożonego nieco antysemityzmu, który we Włoszech był zawsze słaby. Wpłynęło na to kilka faktów, przedewszystkiem znaczny odsetek Żydów w kołach, niechętnych lub wrogich rewolucji Czarnych Koszul: w masonerji, w partji socjalistycznej (Treves, Modigliani, Musatti i t. d.) i w plutokracji, spoglądającej zrazu na przewrót niechętnie z wyżyny założonych przez siebie mediolańskich banków. W antysemickie tony uderzał np. Giovanni Preziosi w rzymskiej *Vita Italiana*.

Stosunki ułożyły się z czasem w tym kierunku, że faszyzm patrzy wprawdzie z nieufnością na zagraniczne organizacje żydowskie, które naogół wszystkie krytycznie odnoszą się do włoskiego antydemokratycznego ustroju, — ale we Włoszech samych Rząd Mussoliniego antysemityzmu nie popiera. Pamiętać zresztą należy, że w łonie partji faszystowskiej nie brak Włochów żydowskiego pochodzenia, i to na wybitnych placówkach, np. Margherita Sarfatti, biografka Dyktatora (*Dux* 1926), redaktorka naczelnego miesięcznika Partji, *Gerarchia*; profesor ekonomji politycznej Gino Arias; Aldo Finzi, b. podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i t. d.

Nadspodziewanie znaczny odsetek Żydów wśród intelektualistów włoskich, w dyplomacji, w Senacie i na uniwersytetach włoskich wykazuje L. Livi w objektywnie napisanej książce: *Gli Ebrei alla luce della statistica* (Firenze, Vallecchi 1921).

Faszyzm a Żydzi: R. Michels, *Sozialismus und Fascismus* (München 1925, s. 288—291; J. W. Mannhardt, *Der Fascismus* (München 1925, s. 178—179; autor jest zdania, że mimo wszystko „duch" faszyzmu przeciwstawia się stanowczo „duchowi" kultury semickiej).

8. Protestanci

Faszyzm, akcentując katolicką tradycję Włochów, nie obalił wprawdzie zasady tolerancji wobec innych wyznań, ale chętnie przeciwstawia rzymsko-katolickie Włochy protestanckiej Europie i protestanckim Stanom Zjednoczonym. Nie zawsze z uczuciowych pobudek istotnej wiary, raczej z motywów politycznych, ujemnie oceniają protestancki indywidualizm i racjonalizm faszystowscy publicyści: Antonio Bruers, Curzio Suckert-Malaparte, współpracownicy miesięcznika *Antieuropa* i t. p. Już przed wojną zresztą,

od katolicyzmu dalecy, krytykowali pogląd na świat protestantów i protestantyzujących modernistów: Croce i Gentile.

Oficjalny faszyzm wystąpił z represjami wobec oskarżonego o modernizm i antyfaszyzm profesora Ernesta Buonaiuti'ego, przeciwdziałał rozwojowi amerykańskiej Y. M. C. A. i propagandzie różnych sekt w kołach młodzieży, i kilkakrotnie dał wyraz sceptycyzmowi co do faszystowskiego nastroju protestanckich ośrodków. Protestanckie organy, o ile mi są znane, np. *Bilychnis* i *Conscientia*, zachowują stale poprawnie-neutralne stanowisko, chociaż wyczuć można, że — rzecz zresztą zrozumiała — z obawą patrzą na ustrój, który pierwszy po r. 1870 zerwał z antyklerykalizmem i zawarł ugodę z Watykanem.

Zdecydowanie antyfaszystowski front zajęli natomiast współpracownicy zlikwidowanej już turyńskiej *Rivoluzione liberale*, działacze grupujący się wokół (zmarłego w 1926 r.), Piotra Gobettiego. Z tych to kół rzucono hasło rewizji poglądów na okres Renesansu i Kontrreformacji, podtrzymując zarazem tezę, że opór wobec protestanckiego przewrotu umysłowego kosztował Włochy parę wieków zacofania kulturalnego i politycznej niewoli.

Por. np. A. Bruers, *Italia e cattolicismo* (Firenze 1929); C. Malaparte, *L'Europa vivente* (1923). Nie wiem, czy wyszedł (zapowiedziany na okładkach *Antieuropy*) pamflet: *Mussolini contro Lutero* G. A. Fanelliego.

Croce ocenił protestantyzm jako przeżytek myślowy, który niepotrzebnie utrudnia walkę rozgrywającą się między nowożytną bezwyznaniową myślą a starym, ale jeszcze krzepkim („un vecchio ancora robusto") katolicyzmem (*Conversazioni critiche*, Bari 1924, I. s. 343); przypomniał to z naciskiem Gentile, *Guerra e fede* (1927, s. 225 n.). Ostatnie wypowiedzenia się Crocego w sprawie protestantyzmu: *Storia della età barocca in Italia* (1929, s. 3 n.); *La Critica* z 20. IX. 1928, s. 348 n.; *Elementi di politica* (1925, s. 29); *Aspetti morali della vita politica* (1928 s. 17: o kalwinizmie).

O wzmożonym nieco po wojnie ruchu protestanckim we Włoszech referuje Marta Moretti w zbiorowym tomie *La Vera Unità religiosa* (Milano, „Vita e Pensiero" 1928, s. 325—349; wykaz protestanckich centrów propagandowych, kościołów, czasopism i t. p.). Dodać należy publikacje niedawno założonej spółki wydawniczej *Doxa* w Rzymie.

O próbie zmiany poglądów na rolę protestantyzmu we Włoszech znaleźć można informacje w licznych wydawnictwach dotyczących Renesansu i Reformacji (ostatnio dwutomowe dzieło Guida Ruggiero, Bari 1930), oraz w artykułach zamieszczonych w *Civiltà moderna* z 1929 i 1930 (C. Morandi, I. Sciaky).

Dyskusję na temat domniemanego szkodliwego wpływu bankructwa protestantyzmu we Włoszech na ich polityczne dzieje wszczął — oprócz turyńskiej *Revoluzione liberale* — antyfaszystowski *Il Mondo* w czerwcu i lipcu 1926 r. Pisali tam na ten temat m. i. A. Tilgher i E. Buonaiuti. O tej dyskusji informuje F. Battaglia w *La Cultura* z lipca 1926 r. (s. 463 n.), grudnia 1926 (s. 74 n.) i października 1928, s. 385 n. Tam też przytoczona dość bogata literatura tego przedmiotu.

O poglądach Gobetti'go na protestantyzm: A. Omodeo, *Tradizioni morali e disciplina storica* (Bari 1929, s. 137—147).

9. Katolicy

Pakt Laterański, a potem audjencja generalnego sekretarza Partji faszystowskiej, Augusta Turatiego, w Watykanie zadecydowały o stanowisku intelektualistów-katolików wobec Rządu Mussoliniego. Przedtem stanowisko to ulegało wahaniom. Znaną jest opozycja członków katolickiego *Partito Popolare* i trwająca po dziś dzień walka z faszyzmem twórcy tego stronnictwa, Don Luigi Sturzo.

Niepodobna zaprzeczyć, że faszyzm — z pobudek politycznych — sprzyja katolicyzmowi i daje tego dowody na różnych polach. Wprowadzenie nauczania religji do szkół niższego a teraz także do szkół średniego stopnia, zrównanie (pod kontrolą „egzaminów państwowych") Katolickiego Uniwersytetu w Medjolanie pod względem uprawnień z uniwersytetami państwowemi; likwidacja masonerji; uroczystości państwowe ku czci św. Franciszka z Assyżu w 1926 i 1927 r.; ogłoszenie św. Katarzyny Sieneńskiej niemal za patronkę Włoch faszystowskich — to tylko kilka, na chybił trafił wybranych przejawów filokatolicyzmu Włoch Mussoliniego. Toteż od samego początku nie brakło wśród katolickich intelektualistów żarliwych wyznawców faszyzmu. Przypomnę jedno tylko nazwisko: znanego także i w Polsce prelegenta, Piotra Misciatelli'ego, który od 1926 dzierży utworzoną w Sienie: „Cattedra Cateriniana". Znamienne jest pozatem stanowisko katolickich neo-scholastyków, skupionych około Uniwersytetu Santo Cuore w Medjolanie: wzięli oni demonstracyjny udział w VII Narodowym Kongresie Filozofji, w Rzymie w maju 1929 r. i przemawiali z życzliwą pojednawczością w polemice z oficjalnym kierunkiem filozoficznym faszyzmu, z neoidealistami z pod znaku Gentilego.

Ale, rzecz prosta, mimo Paktu Laterańskiego tarcie między faszyzmem a poglądem na świat katolickim były, są i będą. Już nie mówię o Gentilem i jego uczniach, którzy tolerują w szkole katolicyzm, ale wierzącymi katolikami nigdy nie byli: między nimi a przedstawicielami katolickich pojęć o szkole i państwie — całkowitej zgody oczekiwać nie sposób. Z oficjalnym faszyzmem także

nie zabraknie katolikom tematu do dyskusji, aby tylko przypomnieć głośny ustęp z mowy Mussoliniego w Izbie deputowanych (z 13 maja 1929) o „Rzymie, który naukę Chrystusa przerobił na katolicyzm i uratował w ten sposób tę religję od nikłego losu przeróżnych innych sekt Wschodu, a może nawet od całkow tego zaniku".

Mniejsze znaczenie mają antychrześcijańskie teorje radykalnego skrzydła fasystów, np. neopoganizm głoszony przez literatów w rodzaju takich, jak Giulio Cesare Evola.

Uwagi o stosunku katolickich pisarzy do faszyzmu: Maurice Vaussard, *Sur la nouvelle Italie* (Paris 1928, s. 144 n).

Rocznica franciszkańska: „Messaggio" Mussoliniego w tej sprawie przytoczone w *Rassegna Italiana* ze stycznia 1926, s. 40 n. W duchu faszystowsko-dannunziańskim wydał syndyk miasta Assyżu, Arnaldo Fortini: *Nuova vita di San Francesco d'Assisi* (Milano, „Alpes" 1926), gdzie usiłuje obalić „legendę o demokratyzmie Świętego" (s. 189 n.). — Tak samo rozumuje inny krytyk faszystowski, Francesco Ercole, *Educazione fascista* V 3, marzec 1927, s. 129 n.

Św. Katarzyna Sieneńska: por. P. Misciatelli, „La romanità di Caterina da Siena" (*Rassegna italiana* z maja 1926, s. 307 n.), oraz zbiorowy I-szy tom *Letture Cateriniane* (Siena 1928). Pozatem: artykuł „Caterina, Santa degli Italiani" w *Corriere della Sera* z 9 grudnia 1928 i notatka o działalności t. zw. „Corporazione dei Caterinati" (w Medjolanie) w *L'Italia letteraria* z 24 listopada 1929 r.

Kongres filozofów w Rzymie w 1929 r.: o dyskusji neoidealistów i neoscholastyków czytam sprawozdanie w *Civiltà moderna* z 15 czerwca 1929, s. 104—109 (nie znam oficjalnego sprawozdania, które wyszło w 1930 r. i zrecenzowane jest w *Leonardo* z lutego 1930, s. 97 n.). — Croce z oburzeniem scharakteryzował dyskusję tego zjazdu w *La Critica* z 20 marca 1930, s. 142.

Gentile czyni zastrzeżenia w sprawie ustosunkowania się Kościoła do prerogatyw państwa włoskiego w *Fascismo e cultura* (1928, s. 146—205). Oficjalne oświadczenia o nauczaniu religji w szkołach ministra Wychowania Publicznego, Balbino Giuliano, przyniosły dzienniki z 11. X. 1929 i 15. III. 1930.

Z pośród bogatej literatury o stosunku faszyzmu do Kościoła katolickiego zwracam uwagę na następujące książki: *a)* ze strony faszystowskiej znamienne są np.: A. Bruers, *Italia e cattolicismo* (Firenze, Vallecchi, 1929; m. i. wysuwa kwestję prymatu Włoch w świecie przy po-

mocy katolicyzmu) i M. Missiroli, *Date a Cesare* (Roma 1929, ostra krytyka intelektualnego poziomu kleru); — *b)* ze strony katolickiej odpowiedział Mussoliniemu anonimowy autor w broszurze: *Date a Dio* („Osservatore Romano" 1930); inne katolickie zastrzeżenia wobec neoidealizmu Gentilego i faszystowskiej teorji państwa np u Mariano Cordovani, *Cattolicismo e idealismo* (Milano 1928, s. 216 n., 223, 245 i t. d.).

Wspomniany ustęp Mussoliniego o „początkach chrześcijaństwa" w *Gli Accordi del Laterano* (Roma 1929, s. 5 n. i 113 n.).

G. C. Evola: w książce *Imperialismo pagano* (Todi-Roma, „Atanor" 1928) wezwanie do faszyzmu, aby „raz na zawsze skończył z chrystjanizmem, zawadą na drodze do imperjalistycznego rozwoju Italji". Wypada zaznaczyć, że miarodajni faszystowscy krytycy z całą surowością odrzucili tezę Evoli, np. G. Rispoli w *Bibliografia fascista* z października 1928 r. (s. 39—40) i L. Volpicelli w *Educazione fascista* z września 1928 r. (s. 561).

10. Uniwersytety

We Włoszech toczy się od paru lat ożywiona wymiana myśli na temat reorganizacji i udoskonalenia Szkół najwyższych. Reforma Gentilego z 1923 r. tylko w części rozwiązała najpilniejsze zagadnienia chwili; dalszym posunięciom stoi na przeszkodzie z jednej strony zakorzeniony regjonalizm, niechętny redukcji nadmiernie licznych, historycznych wszechnic, a z drugiej brak środków finansowych, któreby umożliwiły bardzo potrzebne meljoracje laboratorjów, klinik, instytutów badawczych. Bądź co bądź w zakresie technicznych udoskonaleń postęp uderza w oczy, a jakość profesorów włoskich, w rozmaitych dziodzinach, nie ustępuje jakości sił naukowych zagranicą.

Są jednak jeszcze inne strony uniwersyteckiego problemu. Antyfaszystowski Manifest z 1925 r. zawierał podpisy pewnej liczby uniwersyteckich docentów; ten i ów kongres naukowy dał pochop do opozycyjnych przemówień. Stąd, drogą generalizacji, nieufność do uniwersytetów wogóle i coraz głośniej podnoszony postulat „faszystyzacji" szkół najwyższych w tym samym kierunku i na tych samych podstawach, jak dokonano faszystowskiej przebudowy szkoły średniej. Postulat ten wysuwa nietylko młodzież uniwersytecka, w imponującym procencie pozyskana dla Czarnych Koszul, nietylko zapalczywy, radykalny odłam faszystowskich publicystów, ale także niektórzy działacze zajmujący w hierarchji partyjnej wybitne stanowisko. Francesco Ciarlantini na łamach swego czasopisma *Augustea* raz po raz nawołuje do „zaprowadzenia dyscypliny" na uniwersyteckich katedrach. Roberto Forges Da-

vanzati atakuje „demo-masoński" duch uniwersytetów i posuwa się tak daleko, że nazywa uniwersytety „ośrodkami antyfaszyzmu, a więc antywłoskich tendencyj". W Izbie deputowanych i w Senacie powtarzają się interpelacje co do „dalszego przebywania na płatnych posadach państwowych znacznego zastępu ukrytych wrogów ustroju". Czynniki miarodajne nie są jednakże skore do wykonywania teroru wobec przedstawicieli nauki włoskiej, a b. minister Oświaty, Gentile, usiłuje działać pojednawczo zarówno w artykułach fachowych, jak i w swych przemowach w Senacie.

Niechęć faszystów do uniwersytetów, nawet z politycznego punktu widzenia, tylko częściowe znajduje uzasadnienie. Przecież bez trudu wymienić można dziesiątki profesorów całkowicie oddanych ideologji Mussoliniego. Kilka tylko przykładów.

- Wśród filozofów wybija się na czoło spory zastęp członków Partji faszystowskiej. Croce nigdy nie ubiegał się o katedrę, więc tu w rachubę nie wchodzi. Giuseppe Rensi (Genua), dawniej nawet bliski Czarnym Koszulom, rozstał się z niemi w całkiem znośnej formie. Podeszły wiekiem Bernardino Varisco z radością powitał uczestników Marszu na stolicę włoską. Gentile i jego liczni uczniowie, dziś na katedrach filozofji, entuzjazmują się dla nowej koncepcji państwa. Kongres filozofów w Rzymie w 1929 r. odbył się w nastroju jak najprzychylniejszym dla Rządu.

Kilku pierwszorzędnych historyków nietylko uzyskało *tessere* partyjne, ale niestrudzenie pracuje dla dobra faszystowskiej doktryny. Takim historykiem-faszystą jest Gioacchino Volpe, o którym nieco obszerniej wypadnie nam jeszcze pomówić; Pietro Fedele, b. minister Oświaty w gabinecie Mussoliniego; Arrigo Solmi, deputowany do Izby faszystowskiej; Francesco Ercole, odnajdujący faszystowskie przebłyski w teorji politycznej Dantego i Macchiavella. Z historji literatury wystarczy wymienić chociażby parę nazwisk, takich jak Giulio Bertoni, Vittorio Cian, Michele Scherillo, Giulio Natali. Nawet *Giornale storico della letteratura italiana* przybrał od 1923 dyskretne barwy faszystowskie!

W Bolonji i w Perugji istnieją „faszystowskie fakultety", a dwaj ostatni rektorzy stołecznego uniwersytetu w Rzymie, Giorgio Del Vecchio i Federico Millosevich, przy najrozmaitszych sposobnościach zaznaczyli swą wiarę w genjusz Mussoliniego.

Problem uniwersytecki we Włoszech: poruszony w szeregu artykułów w specjalnym zeszycie (nieistniejącego już) czasopisma *Levana* (lipiec—październik 1927).

Ataki na uniwersytety: np. Fr. Ciarlantani w *Augustea* z 15 czerwca 1929; G. Mancini, tamże 15 października 1929; Roberto Forges Davanzati, *Fascismo e cultura* (Firenze, R. Bemporad, 1926, s. 8, 16). Przypomina się często fakt, że Francesco de Sanctis w 1860 r., z motywów politycznych, pozbawił katedr kilkunastu profesorów

uniwersytetu neapolitańskiego (L. Russo, *Francesco de Sanctis e la cultura napoletana*, Venezia 1928, s. 14).

Gentile o haśle: „fascistizzare l'università" w *Politica sociale* z września 1929 (cytowane w *L'Italia letteraria* z 29 września 1929) i w *Civiltà moderna* z 15 kwietnia 1930 (s. 382 n.; mowa w Senacie).

Vittorio Cian: por. m. i. *L'Ora della Romagna* (Bologna, Zanichelli, 1928; faszystowska pochwała ojczyzny Mussoliniego); *I precursori del fascismo* (w zbiorowym tomie: *La Civiltà fascista* 1928, s. 119 n.); *Epurazione del personale insegnante* (1926, z żądaniem usunięcia profesorów-niefaszystów, por. *Bibl. fasc.* z 30 listopada 1926, s. 5). O politycznych aluzjach redagowanego przez Cian'a *Giorn. stor. let. ital.* — pisze z oburzeniem Croce, *La Critica* z 20 lipca 1923, s. 251—252.

M. Scherillo: hołd dla Mussoliniego w przedmowie do czwartego wydania dzieła: P. Villari, *Macchiavelli*, Milano 1927, s. XII n. — G. Natali: dedykacja tomu *Cultura e poesia in Italia nell' età napoleonica* (Torino, Sten, 1930).

G. Del Vecchio: o jego ćwiczeniach na temat faszyzmu, prowadzonych w rzymskim Instytucie filozofji prawa, rozpisuje się M. Missiroli w *L'Italia letteraria* z 22 i 29 grudnia 1929 r. — Przemowa rektorska prof. Millosevich'a w *Educazione fascista* z listopada 1928, s. 659—671.

11. Historjograf faszyzmu: Gioacchino Volpe

Zaczął naukową działalność od prac medjewistycznych, charakteryzując ustrój komun toskańskich i ich związki z papiestwem. Przeszedł później do zagadnień polityczno-kulturalnych w ważnej książce o „ruchach religijnych i sektach heretyckich w średniowiecznem społeczeństwie włoskiem". Ukoronował ten dział swoich badań dwiema syntetycznemi monografjami: *Medio Evo Italiano* (1923) i obrazem dziejów ogólno-europejskich: *Il Medioevo* (1927).

Zainteresowania Volpe'go nie ograniczają się do średniowiecza. W rozprawach, zebranych pod tytułem: *Momenti di storia italiana* (1925), dotknął Renesansu włoskiego, stanu Europy i basenu śródziemnomorskiego w XVII i XVIII wieku, rozwoju gospodarczego Włoch w XVIII stuleciu, Risorgimenta, problemów związanych z Watykanem i dynastję Sabaudzką. Kwestje metodyczne zajęły pilnie jego uwagę: omówił je w zasadniczych artykułach, oraz w pouczających przedmowach do ogłoszonych przez siebie tomów. Śmiałe ujęcie zadań historjografa, dążność do ogólno-kulturalnej syntezy z położeniem jednak akcentu na elementy polityczno-wojskowe, zjednały mu doskonałą opinję w kraju i zagranicą. Croce

dawniej, zanim orjentacje polityczne rozdzieliły dwu historyków, wyrażał się o nim z gorącem uznaniem

Wojnę przepędził Volpe przy boku Dowództwa VIII-ej Armji, na froncie. Z tego też okresu pochodzą jego rozważania militarne, rozrzucone w drobniejszych przyczynkach, a ostatnio w monografji o Caporetto: *Ottobre 1917 — Dall' Isonzo al Piave* (1930). Z przekonań nacjonalista, od 1920 r. faszysta, w duchu tych teoryj rozważa zagadnienia historyczno-polityczne, zarówno przebrzmiałe, jak i aktualne. Taki charakter noszą jego studja, złączone w dwa obszerne tomy: *Fra storia e politica* (Roma 1924) i *Guerra dopoguerra fascismo* (Venezia 1928). Krytyczny stosunek Volpe'go do Francji nie przeszkadza mu spokojnie, bez zaborczych tendencyj omawiać zdarzenia związane z Korsyką: świadczy o tem redagowany przez niego *Archivio storico della Corsica* i jego książeczka: *Corsica* (Milano, „Tyrrhenia" 1927).

Generalny sekretarz faszystowskiej Akademji Włoskiej, może być Volpe snadnie nazwany czołowym historjografem faszyzmu. Zasłużył na to zarówno książką — (pomyślaną może jako odpowiedź na *Storia d'Italia* Crocego) — *L'Italia in cammino: l'ultimo cinquantennio* (Milano, Treves 1928), oraz zwięzłym *Sviluppo storico del fascismo* (Palermo, Sandron 1928).

Medjewista historykiem faszyzmu? Nic w tem dziwnego, skoro syndykalistyczno-faszystowskie Włochy na serjo zapaliły się do badania, a nawet częściowego naśladowania Włoch okresu Dantego.

Krótkie sylwetki Volpe'go jako historyka: L. Volpicelli, *Bibliografia fascista* z grudnia 1928, s. 1 n. i *La Fiera letteraria* z 17 marca 1929 r. — Croce charakteryzuje dzieła Volpe'go w *Storia della storiografia italiana* (Bari 1921, II. s. 238 n., 242 n., 250 n.), jego metodologję w *La Critica* z 20 stycznia 1923, s. 46—48. Mniej przychylnie ocenia Croce Volpe'go w artykule: „Intorno alle condizioni presenti della storiografia in Italia" (*La Critica* z 20 lipca 1929, s. 243—248).

Volpe o dyktaturze hiszpańskiej w *Nuova Antologia* z 1 maja 1930.

Powrót do wieków średnich: por. m. i. krótkie artykuły: Fermi, „Un ricorsco storico" w *Gerarchia* ze stycznia 1928, s. 60 n. i Al. Luchini, *L'Italia letteraria* z 30 marca 1930. — Średniowiecze zalecał faszystom zmarły w 1927 r. ex-futurysta Volt (hr. Vincenzo Fani); pisał o tem także Mario Tinti.

12. Filozof faszyzmu: Giovanni Gentile

Młodszy o lat dziewięć od Crocego (ur. w 1875 r.), przed wojną gorący jego przyjaciel, a dzisiaj poróżniony z nim na punkcie faszyzmu — Gentile zdumiewa pracowitością, ruchliwością, talen-

tem organizacyjnym. Dziesiątki napisanych przez niego tomów obejmują tematy z zakresu systematyki i historji filozofji, pedagogiki i polityki. Obszerne wstępy jego pióra poprzedzają (przygotowane przez niego do druku) dzieła autorów takich, jak G. Bruno, V. Cuoco, G. Galilei, G. Leopardi, N. Tommaseo, Fr. de Sanctis, B. Spaventa, V. Gioberti, C. Cavour i t. p. Redaguje od 1920 r. organ fachowy: *Giornale critico della filosofia italiana*, prócz tego dwie serje naukowych publikacyj: *Studi filosofici* i *Studi e documenti di storia del Risorgimento*. Stoi na czele olbrzymiego aparatu *Encyklopedji* Treccani'ego i łączy obowiązki profesora uniwersytetu rzymskiego z godnością senatora i prezesa Faszystowskiego Instytutu Kultury.

Zawołany pedagog, wychował cały zastęp uczniów, którzy zajmują już wybitne stanowiska naukowe we Włoszech (G. Bontadini, M. Cardini, A. Carlini, E. Codignola, F. d'Amato, C. Dentice di Acadia, G. de Ruggiero, C. Licitra, A. Omodeo, G. Saitta, C. Sgroi, U. Spirito i t. d.).

Od t. zw. neo-liberalizmu (i interwentyzmu w latach 1914—1915) przeszedł bez wahania do faszyzmu. Minister Oświaty w pierwszym gabinecie Mussoliniego, przeprowadził w 1923 r. (przy pomocy prof. Józefa Lombardo-Radice) gruntowną reformę włoskiego szkolnictwa. Stał na czele t. zw. *Commissione dei Quindici*, która w 1924 i 1925 r. opracowała wnioski w sprawie tajnych stowarzyszeń i masonerji. Kierował pracami innej, równie ważnej *Commissione dei Diciotto*, która w 1925 przygotowała zmianę ustawodawstwa i konstytucji Włoch faszystowskich.

Entuzjasta Czarnych Koszul i adorator Mussoliniego, wytęża Gentile siły, aby z pomocą nowego ustroju oprzeć kulturę Włoch na dobrze zorganizowanych rozsądnych podstawach. Niestrudzenie pracuje nad rewizją poglądów na ubiegłe okresy kultury włoskiej, przedewszystkiem na Risorgimento, i wydobywa z tych dawnych epok i dawnych pisarzy — np. z Giobertiego — pożyteczne podniety dla naszych czasów. Jest doprawdy najczynniejszym i najofiarniejszym z pośród intelektualistów-faszystów.

Rozumie Gentile dobrze, że ruchu faszystowskiego niepodobna spętać abstrakcyjnemi formułami filozoficznego systemu Wie o tem, niemniej wierzy, że własna jego filozofja — t. zw. *idealismo attuale* — zgadza się dokładnie z założeniami faszyzmu.

Gentile działa i walczy z przeciwnościami. Przeciwności ma sporo. Atakują go niefaszyści, ale i faszyści nie szczędzą mu krytyki. W Izbie deputowanych i w Senacie toczą się dyskusje na temat codziennej jakoby propagandy filozoficznego systemu Gentilego w szkołach, a jego reforma uniwersytetów ciągle jeszcze powoduje wiele złej krwi i wiele zarzutów.

Gentile ma istotnie niespożyte siły. Odpiera szturmy i pracuje dalej. Ślady jego wpływów znać w każdej niemal dziedzinie kultury włoskiej ery Mussoliniego.

Nie tu miejsce, aby przytaczać znaczną już ilość prac o działalności Gentilego. Mały i tani tomik jego ucznia, prof. Ferdynanda d'Amato, *Gentile* (Milano, Athena 1927) zawiera bibljografję dzieł filozofa i dzieł o nim. Prace uczniów Gentilego omawia rozprawa C. Licitry, „La Scuola del Gentile" w tomie: *La storiografia idealistica* (Roma, C. de Alberti 1925, s. 145 n.).

Croce o Gentilem-faszyście: *La Critica* 1924, s. 317 n; 1925, s. 59 n., 160 n.; 1928, s. 306; 1929, s. 71; 1930, s. 317 n. — Gentile o Crocem anty-faszyście: *Guerra e fede* (1927, s. 230), *Che cosa è il fascismo* (1925, s. 130, 154 n.) i w różnych artykułach w *Educazione fascista.*

Gentile jako działacz faszystowski: dokumenty w następujących jego książkach: *Il fascismo al governo della scuola* (Palermo, Sandron 1924), *Che cosa è il fascismo* (Firenze, Vallecchi 1925), *Fascismo e cultura* (Milano, Treves 1928), *Origini e dottrina del fascismo* (Roma, „Littorio" 1929).

Gentile a Risorgimento: C. Licitra, *La Storiografia idealistica* (1925 s. 55—116: „La filosofia italiana attraverso gli studi di G. Gentile") i Balbino Guliano w przedmowie do: Ruggero Rinaldi, *Gioberti e il problema religioso del Risorgimento* (Firenze Vallecchi 1929 s. VII n.).

Gentile o potrzebie podstaw filozoficznych dla organizacji państwa: „La filosofia e lo stato", *Civiltà moderna* z 15. VI. 1929 (s. 3—14).

Ataki niefaszystów na Gentilego: oprócz Croceego wchodzi tu w rachubę A. Tilgher ze swoim pamfletem: *Lo Spaccio del Bestione trionfante* (1926); dawniej prowadził przeciwko niemu systematyczną kampanję A. F. Formiggini w wydawanym przez siebie miesięczniku *L'Italia che scrive.* — Atakują Gentilego także niektórzy faszyści: o „una inconsiderata avversione di qualche fascista per l'idealismo gentiliano" wzmianka w *Educazione fascista* z grudnia 1928 s. 725. — W tej właśnie sprawie przemawiał minister Giuliano w Izbie deputowanych dnia 2 kwietnia 1930 r.

Reforma szkolnictwa: ostatnią mowę Gentilego, poświęconą organizacji szkolnictwa, wygłoszoną w Senacie 12 kwietnia 1930 r., przynosi w całości *Civiltà moderna* z kwietnia 1930, s. 375—388.

13. Literatura — Muzyka — Sztuki plastyczne

Można pytać o przynależność partyjną literatów i artystów. Można badać, czy otrzymali faszystowską *tessera* i czy piszą na

łamach organów faszyzmu. Ktoś inny zainteresuje się wydawcami i stosownie do ich sympatyj politycznych oceni sympatje polityczne autorów przez nich wydawanych; wiadomo zaś, że, obok firm bezbarwnych i eklektycznych, powstają we Włoszech coraz częściej firmy wydawnicze niewątpliwie faszystowskie, np. „Libreria del Littorio" w Rzymie, „Libreria d'Italia" i „Alpes" w Medjolanie, „La Nuova Italia" w Wenecji i t. p. Znajdą się inne kryterja. Jeżeli któryś z działaczy faszystowskich napisze przedmowę do jakiejś literackiej książki (np. Mussolini do poezyj Józefa Ungaretti'ego), lub jeżeli któryś z literatów napisze książkę o jednym z faszystowskich działaczy (np. Antoni Beltramelli o *Duce* p. t. *L'Uomo nuovo*) — to fakty te mają swą wymowę. Manifest antyfaszystowski podpisało kilku literatów (m. i. Robert Bracco, Sem Benelli), inni — jest ich więcej — nie ukrywają swego podziwu dla Rewolucji Czarnych Koszul, np. Luigi Pirandello, Fausto Maria Martini, Salvatore Gotta, (zmarły w 1930 r.) Antonio Beltramelli, Curzio Suckert-Malaparte, Margherita Sarfatti, Ardengo Soffici (autor przedwojennego *Lemmonio Boreo*, uważanego niemal za przepowiednię faszyzmu), Maddalena Santoro, Vincenzo Morello, Lorenzo Viani, Umberto Saba, G. B. Angioletti, Corrado Alvaro, Emilio Cecchi, Orio Vergani — (aby zacytować, chaotycznie, kilkanaście nazwisk, które mi właśnie na myśl przychodzą) — a dalej wszyscy futuryści z Marinettim na czele, literaci wywieszający hasła antyurbanistyczne i antykosmopolityczne, t. zw. *strapaesani* Wreszcie, na upartego, możnaby zbierać okolicznościowe ody, panegiryki, feljetonowe pochlebstwa — cały ten nieuchronny przejaw oportunizmu czy też szczerego entuzjazmu, który towarzyszy zwycięskim przewrotom politycznym,

To wszystko nie jest bez znaczenia, tak samo jak mają uczuciowo-patrjotyczną wartość utwory muzyczne ku czci Czarnych Koszul — marsze, kantaty, hymny — i jak wywołują oklask dzisiejszych Włochów niezliczone portrety i biusty Mussoliniego, potężne rozmiarami obrazy, wyobrażające wkroczenie faszystów do Rzymu, defilady Milicji Ochotniczej czy inne zdarzenia z najnowszej historji Włoch

Mimo wszystko nie o to przedewszystkiem chodzi. Chodzi o odpowiedź na pytanie, czy faszyzm wywołał jakieś n o w e p r ą d y w l i t e r a t u r z e i s z t u c e, czy znać już jakieś przebłyski artystycznej twórczości, któreby można bezpośrednio związać z erą Mussoliniego. Odpowiedzi na to pytanie nie można sformułować w kilku słowach, i dlatego nie kuszę się o nią na tem miejscu. Zaznaczę tylko, że o ile optymizm cechuje polityczną, wojskową i gospodarczą działalność Włoch faszystowskich, o tyle — w odniesieniu do literatury i sztuki — słychać nazbyt często opinje raczej pesymistyczne, uzasadnione tem, że wojna i rewolucja nie zdołały dotychczas wzmóc artystycznej twórczości w jakimś wydatniejszym i oryginalniejszym stopniu.

Pesymistycznie wypadł sąd o stanie literatury włoskiej zarówno w wywodach nie-faszysty Papiniego, jak faszysty Pellizziego. Dopiero ostatnio w tony pełne otuchy i wiary uderzył Gioacchino Volpe w czerwcowej przemowie na uroczystem posiedzeniu *Accademia d'Italia* i znalazł oddźwięk u przedstawicieli młodszej generacji literatów.

Pewne dane do obchodzących nas tu kwestyj zawierają np. następujące książki: Camillo Pellizzi, *Le Lettere italiane del nostro secolo* (Milano, Libreria d'Italia, 1929); B. Crémieux, *Littérature italienne* (Paris, Kra, 1928); M. Vaussard, *Sur la nouvelle Italie* (Paris, Libr. Valois, 1928).

Muzyka: G. Rossi, „Musica fascista" (*Bibliografia fascista,* kwiecień 1927); Vito Reali, „Il Duce e il fascismo per la musica" (*ib.*, kwiecień 1928, s. 7—11).

Sztuki plastyczne: Margherita G. Sarfatti, „L'Arte e il fascismo" (*La Civiltà fascista,* Turyn 1928, s. 218—219), a o medjolańskiem zrzeszeniu plastyków „Novecento" artykuł tejże Sarfatti w *Italien* z grudnia 1927, s. 19—26.

Pirandello o Mussolinim: por. *Comoedia* z listopada 1927, s. 8 i Wł. Jabłonowski, *Amica Italia* (1926, s. 116—117). Próbowano t. zw. filozofję Pirandella, jego niemal nihilistyczny relatywizm, związać czy to z filozofją Gentilego czy też z „psychicznem nastawieniem" faszyzmu (por. np. A. Tilgher, *Relativisti contemporanei* 1922, s. 66—67). Są to dowolne i paradoksalne zestawienia, jak to słusznie wykazują m. i. U. Spirito, *L'Idealismo attuale e i suoi critici* (Firenze 1930, s. 111—112) i Margherita G. Sarfatti w zbiorowym tomie: *La Civiltà fascista* (Torino 1928, s. 217).

O faszystowskich młodych literatach liczne wiadomości w radykalnych czasopismach Partji: *L'Assalto, Tevere, Selvaggio, Italiano* i t. p.

Sąd Papiniego o literaturze powojennej włoskiej w artykule „Su questa letteratura" w *Pégaso* ze stycznia 1929 (s. 29—43); sąd Pellizziego w *Lettere* i t. d. (s. 418—419); sąd Volpego w *Nuova Antologia* (z 16 czerwca 1930 (s. 495—496): „Kto patrzy uważnie, widzi w obecnej literaturze siły ukryte, pęd ku górze, niektóre dobre i wiele obiecujące dzieła W ubiegłem stuleciu zaznaczyliśmy się ubóstwem w zakresie powieści, bujnie kwitnącej u Francuzów, Słowian, Anglosasów. Ale dzisiaj u nich oznaki znużenia, u nas zaś oznaki uzdolnień, których się nam dotąd odmawiało. I tak samo postęp w krytyce literackiej, postęp w architekturze, postęp w sztukach zdobniczych..." Por. komentarz w *L'Italia letteraria* z 22. VI. 1930.

IV. FASZYZM A KULTURA INTELEKTUALNA

1. Antyintelektualizm

Od pierwszych miesięcy nastania ery faszystowskiej, bez przerwy i konsekwentnie walczą „intelektualiści" faszystowscy przeciwko „intelektualizmowi", pojętemu jako wybujały, jednostronny kult mózgowych konstrukcyj, jako prymat intelektu ponad innemi władzami psychiki ludzkiej Nie są to tylko opinje futurystycznego obozu albo radykalnego skrzydła Czarnych Koszul, i nie są to tylko nieposkromione w wynurzeniach filipiki zapaleńców takich, jak np. Ardengo Soffici (*Battaglia fra due vittorie*, Firenze, „La Voce", 1924) albo Curzio Malaparte. W przemowach Mussoliniego, Augusta Turatiego, Roberta Forges Davanzatiego przewijają się stanowcze zastrzeżenia przeciwko uroszczeniom różnych profesorów, filozofów, teoretyków, którzy sięgają po rząd dusz w społeczeństwie i, zarozumiali, mniemają, iż pomysłami własnych mózgów zmienią dowolnie bieg zdarzeń i na mocy logicznych dedukcyj narzucą narodom najmędrsze ustroje i najświetniejsze programy gospodarcze. Faszyzm jako przejaw woli i faszyzm jako czyn, budujący teorję stopniowo, na podstawie doświadczenia — to są zasadnicze motywy płomiennych orędzi Dyktatora włoskiego.

Co więcej, tak pojęty „antyintelektualizm" znajduje zdecydowanych obrońców wśród „oficjalnych filozofów" faszyzmu, neo-idealistów z pod znaku Gentilego. I oni także witają w faszyzmie pogromcę racjonalizmu, formalizmu, pychy profesorskiej i schorzeń intelektu. Giovanni Gentile kilkakrotnie oświetlił tę tezę, m. i. w ważnym ustępie przemowy na bolońskim Kongresie Kultury faszystowskiej, 30 marca 1925 r. (por. *Che cosa è il fascismo*, 1925, s. 98) i w artykule, przeznaczonym dla londyńskiego *Spectator*, podanym po włosku w *Educazione fascista* z listopada 1928 (s. 641 n.).

2. Państwo wobec kultury intelektualnej

Walka z jednostronnym intelektualizmem nie oznacza bynajmniej pogardy dla twórczości intelektu ludzkiego. Wprost przeciwnie. Czołowi działacze faszyzmu nie gardzą erudycją, książką, laboratorjami. Mussolini publikuje przemowy zaopatrzone w aparat dokumentów, dat i tytułów; na każdym kroku zdradza rozległe oczytanie; poucza z katedr uniwersyteckich, np. w Perugji, gdzie w październiku 1926 r. wygłosił obszerny wykład na temat: *Roma antica sul mare*. W jego otoczeniu przebywają pracownicy, którym bez zastrzeżeń wypada nadać tytuł „intelektualistów", aby tylko wymienić Szefa Biura Prasowego Prezydenta Ministrów, deputowanego Lando Ferrettiego, autora ciekawych rozpraw historyczno-literackich, ostatnio tomu: *Esempi e idee per l'Italiano nuovo* (Roma, Littorio, 1930).

Dbałość faszyzmu o kulturę duchową wyraża się przedewszystkiem w zakresie udoskonalania szkół i laboratorjów; w powoływa-

niu do życia nowych organizacyj naukowych (*Consiglio Nazionale delle Ricerche, Istituto Nazionale Fascista di Cultura*); w utworzeniu *Accademia d' Italia* (która coprawda, jak dotąd, obraca się ciągle w formach dawnej „akademickiej" rutyny); w subwencjach i nagrodach (— i co do tego słychać głosy poważnej krytyki! —); w inicjatywie wydawniczej; w żywym kontakcie z nauką i sztuką zagranicy. Nieuchronny (w niezamożnym naogół narodzie) etatyzm w dziedzinie organizowania pomocy dla literatów i uczonych przybrałby niepożądane rozmiary, gdyby Rząd nie szukał innych środków na drodze pobudzania ofiarności prywatnej. Mecenat włoski, w porównaniu z bogatemi krajami słaby, zaczyna pomału nabierać coraz większego rozmachu: za przykład mogą posłużyć nagrody literacko-naukowe, ufundowane w roku bieżącym przez turyńską *Stampa* (50.000 lirów) i mediolański *Corriere della Sera* (cztery nagrody rocznie, każda po 50.000 lirów).

3. Tradycjonalizm

Przywódcy dzisiejszego Ustroju włoskiego stwierdzają z całą otwartością, że rewolucja przez nich rozpoczęta trwa jeszcze i znajduje się nadal w stadjum dynamicznego rozwoju i twórczego rozpędu. Nie nadszedł więc jeszcze moment ustalania formuł i schematów, podsumowywania wyników i obliczania zebranego plonu; moment ten, zdaniem miarodajnych faszystów, nietylko jest daleki, ale wogóle nie jest przez nich ani pożądany ani przewidziany, gdyż oznaczałby koniec młodzieńczej energji, nadciąganie jesieni, kto wie oznaczałby może — kryzys i upadek. Niemniej faszyzm oparł się już we Włoszech na tak silnych podstawach, że porzucił oddawna „futurystyczne" i antyhistoryczne nastawienie, wgłębia się w studjum historji i w historji tej szuka nietyle ulegalizowania dokonanego przewrotu — o co w gruncie rzeczy nie dba — ale szuka przedewszystkiem argumentów dla udowodnienia tezy, że jest on objawem rdzennie włoskim, nieuchronną konsekwencją zdrowych dążności nietyle całego włoskiego społeczeństwa, jak najlepszych i najmądrzejszych przedstawicieli włoskiego narodu. Tradycjonalizm faszyzmu łączy go z pracownikami na polu badań historycznych.

Roi się w dzisiejszych Włoszech od emblematów dawnej Romy, która — na rozkaz Mussoliniego — wyłania się z pod gruzów w nowoodkrytych budowlach, w samej stolicy, w Ostji, w Pompei, nad jeziorem Nemi. Juljusz Cezar, zredukowany do drugorzędnej roli w dziełach niefaszysty Ferrera, powraca w całym blasku największego wodza zarówno w dramacie Corradiniego, jak w przemowach Mussoliniego. To co o nim zwięźle powiedział Premjer włoski w *Gli Accordi del Laterano* (Roma 1929, s. 6) zgadza się z przesadną nieco interpretacją Cezara rzymskiego w książce Jana Papiniego: *Gli operai della vigna* (Firenze 1929, s. 15 n.: „Cristo

Romano"). Święto „Natale di Roma"; kongresy naukowych badaczy kultury rzymskiej („Congressi degli Studi Romani"); perjodyczne przedstawienia dramatu klasycznego w Pompei, Taorminie i Syrakuzach; tegoroczne uroczystości ku czci Wergiljusza — oto kilka szczegółów znamiennych dla tendencyj faszystowskiego ustroju. Faszyzm popiera opinję faszysty, profesora Arrigo Solmi, który wykrywa organiczny związek między dawną Romą a Zjednoczonem Królestwem, wysuwa tezę o *L' Unità fondamentale della storia italiana* (Bologna, Zanichelli 1927).

Władze faszystowskie biorą oficjalny udział w jubileuszach czołowych twórców dawnej kultury włoskiej. W faszystowskim duchu święcono po wojnie rocznice św. Franciszka z Assyżu, Parini'ego, Foscola, Manzoni'ego, Mameli'ego — a zwłaszcza Machiavella, o którym napisano tysiące artykułów jako o mistrzu faszystowskiej miłości ojczyzny. Risorgimento dostarcza dzisiejszym władcom Włoch wielu podniet i pouczeń. Gioberti — dzięki egzegezie Gentilego — staje się pisarzem niemal aktualnym, nauczycielem i przewodnikiem współczesnej generacji.

W szkole faszystowskiej włada duch tradycjonalizmu rzymskiego, włoskiego, katolickiego.

4. Nacjonalizm — Ksenofobja

W przedsięwzięciach kulturalnych kieruje się faszyzm zamiłowaniem swojskości, rdzennie narodowej spuścizny. Niechętnie patrzy na kosmopolityczne miasta, woli wieś i rzuca hasło: *ruralizzare l'Italia — sfollare le città*. Jeżeli krząta się koło zespolenia Włochów w jedną kulturalną całość i dla szkół elementarnych przepisuje jednolity *Il Libro di Stato*, opracowaną przez doskonałych pisarzy, wspólną dla wszystkich dzieci czytankę faszystowską — to z drugiej strony nie tępi regjonalnych różnic, nie usuwa dialektów i popiera badania nad folklorem, czego dowodem Pierwszy Narodowy Kongres Kultury Ludowej, odbyty pod protektoratem Rządu w maju 1929 r. we Florencji. Podobne cele przyświecają promotorom kierunku nazwanego *lo Strapaese*.

Nacjonalistyczny nastrój wyraża się w dyskusjach toczonych na temat „europejskiej" czy „ogólno-ludzkiej" kultury. Obok prób kompromisowego ujęcia tak zwanego „l'europeismo" (G. B. Angioletti i t. d.), wybijają się na wierzch bardziej radykalne poglądy. Ardengo Soffici, a zwłaszcza Curzio Malaparte — *L'Europa vivente*, 1923 (trafniejszy tytuł przekładu francuskiego: *I'Italie contre l'Europe*) i *Italia barbara* (2-gie wyd. 1928) — z całą stanowczością wyznaczają Włochom misję „antyeuropejską": „My, Włosi, reprezentujemy w Europie żywą opozycję przeciwko triumfującemu duchowi narodów Północy: bronimy bardzo starej, naszej własnej cywilizacji, która wspiera się na wartościach duchowych i zwalcza nowe, heretyckie, fałszywe prądy, czerpiące swą moc

z wartości fizycznych, materjalnych, mechanicznych" (*Italia barbara* s. 36). W identycznym sensie, za „la romanità latina temperata dal cattolicesimo" oświadczają się współpracownicy od dwu lat istniejącego w Rzymie miesięcznika, zatytułowanego wymownie: *Antieuropa*.

W obecnej fazie ksenofobja faszyzmu przejawia się w wybitnej, tradycyjnej zresztą — od Dantego poprzez Machiavella i Alfieriego, do Carducciego — g a l l o f o b j i. Chociaż d'Annunzio, Marinetti, Soffici część dzieł swoich napisali po francusku, ich dzisiejsi wyznawcy zwalczają właśnie francuski język i francuską modę. Mussolini podczas wojny, a zresztą i dzisiaj, składa dowody podziwu dla kultury Francji, ale faszyści z niechęcią patrzą na Paryż. Pod adresem G. A. Borgese'go padło wezwanie, aby zaprzestał systematycznego referatu z publikacyj francuskich, a Lionello Venturi wywołał oburzenie pochwałami francuskiego malarstwa.

Gallofobja jest może przelotnym tylko kaprysem, echem politycznej sytuacji, niemniej charakteryzuje nacjonalistyczne napięcie kultury Włoch faszystowskich.

5. D y k t a t u r a i n t e l e k t u a l n a?

Dyktatura polityczna, dyscyplina partyjna, ścisłe przepisy cenzury prasowej, nacisk opinji faszystowskiej — wszystko to nie może pozostać bez śladów również w dziedzinie nauki, literatury i sztuki. Twarde wymogi życia codziennego z jednej strony, a z drugiej strony skupienie w rękach Rządu wszystkich niemal środków pomocy materjalnej, działają we Włoszech ze szczególną siłą, bo we Włoszech, jak w innych państwach mało bogatych, prywatne przedsięwzięcia wydawnicze i fundusze towarzystw naukowych obracają się w ciasnych naogół granicach. Organizacja syndykatów i korporacyj wciąga w swoją sieć także literatów, artystów i uczonych; tworzą się mało dotychczas znane formy kolaboracji duchowej, a nie bez znaczenia jest fakt, że u szczytu syndykatów i stowarzyszeń literacko-naukowych stoją przeważnie literaci-faszyści i uczeni-faszyści. Bez zgody i subwencyj Rządu, we Włoszech, tak jak i w wielu innych państwach, żaden kosztowniejszy zamiar naukowy — budowa laboratorjów czy ekspedycja zagraniczna — nie może dojść do skutku. Do Mussoliniego apeluje chemik i fizyk, geolog i geograf, apeluje Pirandello czy Bragaglia w sprawie stałego teatru.

W kraju, który przeszedł codopiero rewolucję ustrojową, który zresztą — jak głoszą faszyści — pozostaje jeszcze ciągle w okresie rozwijającej się nadal rewolucji, prymat polityki, prymat życia czynnego występuje w całej wyrazistości. Zrozumiałe są nawoływania, aby nauka i sztuka nie traciły kontaktu ze zjawiskami bieżącej chwili, nie spuszczały z oka potrzeb narodowych. G i o a c c h i n o V o l p e, w sprawozdaniu o pierwszym roku działalności

Accademia d'Italia, podniósł z zadowoleniem, że w faszystowskich Włoszech: „filozofja zstąpiła z wyżyn Olimpu i nie waha się wejrzeć w życie zwykłych ludzi, związać się solidarnie z różnemi przejawami intelektualnej twórczości. Nauki polityczne i ekonomiczne stają się coraz bardziej konkretnemi i liczą się coraz skrupulatniej z rzeczywistością historji i współczesnego momentu..." Podobne postulaty postawił sztuce Benedetto Migliore (*Bilanci e sbilanci del dopoguerra letterario,* Roma „Optima" 1929 s. 132—140): „...Literatura może przeniknąć życie narodu i może dać temu życiu wyraz artystyczny; może z jednej strony utrzymać właściwy sobie charakter swobodnego i niezależnego uzewnętrzniania uczuć, myśli, wyobraźni, a z drugiej dążyć do zrozumienia zbiorowej psychiki narodu. A nawet, jeżeli w tych usiłowaniach przejawi się sens polityczny, to dzisiaj nie powinniśmy się tem martwić i nad tem boleć. Nasza epoka jest epoką nawskróś polityczną... tak że również i literatura jest jednym z czynników politycznych, czynnikiem ważnym, który powinien nam, Włochom, i zagranicy uświadomić, kim Włosi są jako ludzie chwili obecnej i jako naród wyposażony w historyczną tradycję..."

Głosów takich łatwo przytoczyć dziesiątki. Są one, powtarzam, zrozumiałe, ale kryją w sobie niebezpieczne zarodki doktryny która — jednostronnie interpretowana przez polityków — mogłaby doprowadzić do dyktatury intelektualnej we Włoszech. Byłaby ona jednoznaczna z uwięzieniem twórczej myśli włoskiej, z grubym materjalizmem, który dla celów bogactwa i potęgi militarnej wprzęga w swoje jarzmo artystów i uczonych, wydaje im wojskowe rozkazy, koszaruje myśli i uczucia, tępi indywidualną inicjatywę w imię t. zw. racji stanu, opacznie i szkodliwie przejaskrawionego patrjotyzmu. Niebezpieczeństwo we Włoszech tem groźniejsze, że Rząd ma do dyspozycji cały aparat państwowych i napół-państwowych instytucyj kulturalnych, szkół wszelkiego stopnia, organizacyj młodzieży, uniwersytetów ludowych, odgałęzień tak zwanej *Opera Nazionale Dopolavoro.*

Na szczęście ci, którzy stoją u szczytu hierarchji intelektualnej, odrzucają sekciarskie zapędy podporządkowania wszystkiego polityce.

Giovanni Gentile w przemowie, wygłoszonej w Senacie dnia 16 marca 1926 r., oświadczył podniesionym głosem: „Podzielam zapatrywanie, że dyktatura intelektualna jest nonsensem: w dziedzinie badań naukowych i twórczości ducha powinna panować wolność i autonomja..." (*Fascismo e cultura,* s. 130—131). Benito Mussolini, w mowie z 10 października 1928 r., taką samą postawił zasadę w odniesieniu do literatury i sztuki, proklamując „dobre prawo poezji, prozy, teatru, dzieł sztuki do domagania się od krytyków, aby wydawali sądy objektywne, bez zwracania uwagi na *tessere* partyjne literatów i artystów..."

W tem tkwi zadanie najtrudniejsze: w uzgodnieniu postulatów polityki państwa i narodu z postulatami wolności, której do życia i rozwoju potrzebują sztuki piękne, literatura i nauka. Od rozwiązania tego problemu zawisła przyszłość kultury intelektualnej we Włoszech. I tylko pod tym warunkiem urzeczywistni się zapowiedź Mussoliniego, który — przy inauguracji Kongresu Filozofów w Rzymie, w maju 1929 r. — przestrzegł przed apokaliptycznemi proroctwami upadku naszej kultury i dał wyraz mocnej wierze, że „zbliża się moment ponownego rozkwitu wartości duchowych: po dzisiejszym okresie twardego borykania się z zagadnieniami materjalnego bytu... nadejdzie czas, gdy znowu zabłyśnie wielka filozofja, wielka poezja, wielka sztuka..."

TREŚĆ

TOMU XXXIV (1930)

PRZEGLĄDU WSPÓŁCZESNEGO

NR 99 (LIPIEC)

WŁADYSŁAW LEOPOLD JAWORSKI *Reforma rolna a hipoteka i kataster* 3
WACŁAW BOROWY . . . . . *Kochanowski — żywy* 15
ZYGMUNT ŁEMPICKI . . . . . *Polska i polskość w nauczaniu polskiego* 42
MIECZYSŁAWA BIEGAŃSKA . . . *Kilka uwag o kłamstwie* . . . 67
MICHAŁ JANIK . . . . . *Towiańczycy na Syberji* . . . 93
KAZIMIERZ JARECKI . . . . . *„Tartuffe" a pobożność Molière'a* 109
JAN LACHS . . . . . *Lekarze-przyjaciele Jana Kochanowskiego (II)* 113
STEFAN P. MIERZWA . . . . . *Fundacja Kościuszkowska jako symbol łączności Ameryki i Polski* 132

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY:

Kroniki: Kronika zagraniczna *(Henryk Dembiński)*, 147; Kronika polityczna *(Konstanty Grzybowski)*, 151. — Nowe wydawnictwa: Z literatury podróżniczej *(Tadeusz Kowalski)*, 154; Roczniki Gdańskie *(Stanisław Srokowski)*, 159; O kresach wschodnich *(Stanisław Srokowski)*, 161; Z publikacyj bibljofilskich *(T. Sz.)*, 163. — Uwagi: Od Redakcji 164.

NR 100—101 (SIERPIEŃ—WRZESIEŃ)

STANISŁAW WĘDKIEWICZ . . . *Od Redakcji* . . . . . I—IV
CARLO E. BASILE . . . . . *Faszyzm* 1
ROBERTO FORGES-DAVANZATI . *Faszyzm jako czyn, wiara, idea* 13
ALFREDO ROCCO . . . . . *Prawodawstwo faszystowskie* . 20
GIUSEPPE BOTTAI . . . . . *Państwo-korporacja w służbie państwa-narodu* 41
CORRADO GINI . . . . . *Problem demograficzny we Włoszech współczesnych* . . . 50
VIRGINIO GAYDA . . . . . *Polityka zagraniczna Włoch faszystowskich* 66
EMILIO DE BONO . . . . . *Polityka kolonjalna Włoch* . . 82
GIOVANNI MAVER . . . . . *Włosko-polskie stosunki kulturalne* 89

ITALO BALBO . . . . . *Rola Włoch w lotnictwie światowem* 103
ERMANNO AMICUCCI . . . . . *Prasa w ustroju faszystowskim* 108
ALESSANDRO MOLINARI . . . . *Ze statystyki Włoch faszystowskich* 134
ARALDO DI CROLLALANZA . . . *Budowa dróg publicznych w faszystowskich Włoszech* . . . 151
MARIO BARATELLI . . . . . *Osiem lat finansów faszyzmu* . 162
MARIO FERRAGUTI . . . . . *Kampanja zbożowa* 178
ARRIGO SERPIERI . . . . . *Program meljoracyjny Włoch faszystowskich* 183
ARNALDO MUSSOLINI . . . . . *Lasy w faszystowskich Włoszech* 192
KS. FRANCESCO BONCOMPAGNI-LUDOVISI . . . . . *Rzym: jego przeobrażenia, jego rozwój* 202
GIOVANNI GENTILE . . . . . *Instytucje kulturalne Włoch faszystowskich* 219
RENATO RICCI . . . . . *Organizacja narodowa „Balilla"* 238
ALDO VALORI . . . . . *Reforma wojskowa* 245
ALESSANDRO MELCHIORI . . . *Milicja faszystowska* 268
PIERO PARINI . . . . . *Organizacje faszystowskie zagranicą* 274
MACIEJ STARZEWSKI . . . . . *Organizacja społeczeństwa na podstawie ekonomicznej w państwie faszystowskiem* . . . 280
ROMAN POLLAK . . . . . *Kultura polska we Włoszech* . . 285
JALU KUREK . . . . . *Futuryzm a faszyzm* 298
STANISŁAW WĘDKIEWICZ . . . *Faszyzm a kultura intelektualna Włoch powojennych* 308

OD REDAKCJI

W miarę naszych sił i środków, staramy się stale o utrzymanie kontaktu z kulturą i polityką zagranicy. Świadczą o tem artykuły i sprawozdania zarówno polskich współpracowników miesięcznika, jak i tych kilkudziesięciu cudzoziemskich pisarzy, którzy — na naszą prośbę a niekiedy z własnej inicjatywy — pośpieszyli z informacjami dla *Przeglądu Współczesnego*.

Od dłuższego czasu redakcja pracuje nad zrealizowaniem innej jeszcze formy zaznajamiania czytelników z tem, co się dzieje zagranicą i o czem zagranica myśli. Raz lub dwa razy do roku pragniemy ogłaszać monograficzne zeszyty, poświęcone charakterystyce czyto całokształtu życia państwowego któregoś z narodów, czyteż pewnej tylko szczegółowej kwestji, o ile jest ona naprawdę ważną i aktualną dla obcego społeczeństwa a pośrednio także i dla Polski. Kilka takich zeszytów znajduje się w przygotowaniu, dzisiaj zaś przedkładamy czytelnikom pierwszy z tych monograficznych tomów — tom o włoskim faszyzmie.

Przygotowania do »faszystowskiego« numeru rozpocząłem w Rzymie zgórą półtora roku temu. Spotkałem się z zachętą Ambasadora Rzeczypospolitej przy Kwirynale, p. Stefana hr. Przeździeckiego, i Radcy naszej Ambasady, p. Tadeusza Romera, dyplomatów, którzy — chcę to wyraźnie zaznaczyć — rozumieją w pełni znaczenie intelektualnych stosunków Polski z Włochami, a naukowych pracowników, przybywających z Polski, otaczają wyjątkową doprawdy życzliwością.

Za drugim moim pobytem w Rzymie, w styczniu i lutym b. r., prowadziłem przygotowania dalej. Skromny mój zrazu program rozrósł się wspaniale, gdy czynną pomoc przyrzekł mi Szef Biura Prasowego Prezydenta Ministrów, Benita Mussoliniego, poseł do Parlamentu, p. Lando Ferretti. W ten sposób *Przegląd Współczesny* zdobył możność ogłoszenia »faszystowskiego zeszytu« w rozmiarach nadspodziewanie rozległych. Na zaproszenie redakcji odpowiedzieli życzliwie wszyscy bez wyjątku

zaproszeni do współpracy autorzy. Dzięki ich uprzejmości, podwójny zeszyt *Przeglądu* przynosi dwadzieścia dwa artykuły włoskiego pióra, omawiające wszechstronnie politykę faszyzmu włoskiego we wszystkich niemal najważniejszych dziedzinach twórczości państwowej. Artykuły te, obszerne i poparte bogatą statystyką, wyszły z pod pióra wybitnych działaczy Partji Faszystowskiej, ministrów i podsekretarzy stanu, senatorów i deputowanych, profesorów uniwersytetów i redaktorów pierwszorzędnych dzienników rzymskich, medjolańskich i turyńskich.

Szef Rządu Włoch faszystowskich, Benito Mussolini, nadesłał redakcji fotografję z własnoręcznym podpisem; fotografję tę reprodukujemy w ozdobniejszej edycji niniejszego zeszytu.

Nadesłane nam artykuły, przeważnie specjalnie dla nas napisane,[1] podajemy — rzecz prosta — w wiernym i dosłownym przekładzie, bez żadnych zmian i komentarzy. Autorzy — wszyscy faszyści — wypowiadają się w nich z całą otwartością o Ustroju, który uważają za zbawienny dla własnej ojczyzny. Artykuły mają cel informacyjny; nie są przeznaczone do propagandy. Wszakże sam Wódz Włoch dzisiejszych powiedział z naciskiem, że nie uważa faszyzmu za »towar eksportu zagranicznego« — *una merce di esportazione.*

Dwadzieścia artykułów przełożyła z wielką ofiarnością pani Julja Dickstein-Wieleżyńska, dwa (profesorów Gini'ego i Maver'a) tłumaczył p. Dr Mieczysław Brahmer, który pozatem przez kilka miesięcy swego pobytu w Rzymie zajmował się gorliwie sprawami związanemi z przygotowaniem »włoskiego numeru«.

Wszystkim, którzy przyczynili się do realizacji pierwszego z »monograficznych zeszytów« *Przeglądu* — p. L. Ferretti'emu, autorom artykułów, tłumaczce — wyraża redakcja serdeczną podziękę.

Stanisław Wędkiewicz

---

[1] Trzy artykuły — księcia Boncompagni-Ludovisi, prof. Gini i A. Mussoliniego — w oryginale włoskim ukazały się w specjalnym numerze rzymskiej *Rassegna Italiana politica e letteraria* z czerwca b. r. Redakcja tego miesięcznika zgodziła się uprzejmie na przekład polski wymienionych artykułów.

WŁOSCY WSPÓŁPRACOWNICY SETNEGO i SETNEGO PIERWSZEGO NUMERU «PRZEGLĄDU WSPÓŁCZESNEGO»

Ermanno Amicucci, poseł do Parlamentu; naczelny redaktor turyńskiej *Gazzetta del Popolo*; generalny sekretarz Narodowego Syndykatu Dziennikarzy Faszystów; wiceprezes Instytutu Samopomocy Dziennikarzy Włoskich; wnioskodawca faszystowskiej ustawy prasowej.

Italo Balbo, Minister Żeglugi Powietrznej; *quadrumviro* Marszu na Rzym; poseł do Parlamentu; autor książek z zakresu aeronautyki.

Baron Mario Baratelli, redaktor rzymskiej *Tribuna*; współpracownik czasopism ekonomicznych i finansowych; członek zarządu Instytutu Samopomocy Dziennikarzy Włoskich; sędzia Urzędu Pracy; autor artykułów o stanie ekonomicznym Polski, którą poznał z autopsji.

Carlo Emanuele Basile, członek Dyrekcji Partji Faszystowskiej; poseł do Parlamentu; prezes Federacji Kombatantów; sekretarz *Fascio* w Novara.

Książę Francesco Boncompagni-Ludovisi, Principe di Piombino; Senator; Gubernator Miasta Rzymu; b. prezes *Banco di Roma*.

Giuseppe Bottai, Minister Korporacyj; poseł do Parlamentu; jeden z założycieli *Fasci* w marcu 1919 r.; dowódca kolumny Abruzzów i Marche podczas Marszu na Rzym; współtwórca *Carta del Lavoro*; redaktor *Critica fascista*; w lipcu 1930 zaproszony przez uniwersytet w Pizie na katedrę ekonomji korporacyjnej; autor szeregu dzieł z zakresu ustawodawstwa korporacyjnego i organizacji syndykalistycznej.

Emilio De Bono, generał Korpusu; Minister Kolonij; Senator; jeden z *quadrumviri* Marszu na Rzym; b. Szef Bezpieczeństwa; b. Generał Milicji Ochotniczej; b. gubernator Trypolitanji; autor rozpraw wojskowych.

Araldo Di Crollalanza, Minister Robót Publicznych; poseł do Parlamentu.

Mario Ferraguti, Generalny Sekretarz Stałego Komitetu Zbożowego przy Prezydjum Rady Ministrów; b. redaktor *Popolo d'Italia*.

Roberto Forges-Davanzati, Członek Wielkiej Rady Faszystowskiej; Prezes Towarzystwa Autorów i Wydawców (*Società degli Autori ed Editori*); założyciel i redaktor *Idea Nazionale*, a po jej zlaniu się z *Tribuna* naczelny redaktor tego dziennika.

Virginio Gayda, naczelny redaktor *Giornale d'Italia*; podczas wojny korespondent turyńskiej *Stampa* w Petersburgu; spełniał misje dyplomatyczne w Rosji, Szwecji i Anglji; jest autorem licznych publikacyj w języku włoskim, angielskim, rosyjskim i szwedzkim.

Giovanni Gentile, profesor filozofji na uniwersytecie rzymskim; Senator; b. Minister Oświaty; Prezes Faszystowskiego Instytutu Kultury; naczelny redaktor *Enciclopedia Italiana*; autor dzieł filozoficznych, historycznych i pedagogicznych, które zjednały mu sławę światową.

Corrado Gini, profesor statystyki na uniwersytecie rzymskim; prezes Centralnego Instytutu Statystycznego w Rzymie; autor dzieł z zakresu statystyki i demografji, znanych chlubnie we Włoszech i zagranicą

Giovanni Maver, profesor języka i piśmiennictwa polskiego na uniwersytecie rzymskim; autor szeregu prac z zakresu slawistyki i romanistyki w języku włoskim, francuskim, niemieckim, polskim i serbo-chorwackim.

Alessandro Melchiori, poseł do Parlamentu; wicesekretarz generalny Partji Faszystowskiej; Konsul Generalny Milicji Faszystowskiej.

Alessandro Molinari, dyrektor Centralnego Instytutu Statystycznego w Rzymie.

Arnaldo Mussolini, naczelny redaktor *Popolo d'Italia*; Prezes Instytutu Samopomocy Dziennikarzy Włoskich; Prezes Narodowego Komitetu Leśnego.

Piero Parini, Dyrektor Sekcji Szkół włoskich zagranicą w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Renato Ricci, poseł do Parlamentu; wicesekretarz generalny Partji Faszystowskiej; jeden z twórców Organizacji Narodowej „Balilla"; b. uczestnik wyprawy d'Annunzia na Fiume; lotnik i propagator żeglugi powietrznej.

Alfredo Rocco, Minister Sprawiedliwości i Wyznań Religijnych; poseł do Parlamentu; profesor uniwersytetu rzymskiego; założyciel miesięcznika *Politica*; b. redaktor *Idea Nazionale*; twórca prawodawstwa faszystowskiego; autor dzieł z zakresu prawa i polityki.

Arrigo Serpieri, Podsekretarz Stanu dla spraw Meljoracji Integralnej w Ministerstwie Rolnictwa; Poseł do Parlamentu; Profesor Instytutu Leśnego we Florencji.

Aldo Valori, redaktor *Corriere della Sera*; b. redaktor *Resto del Carlino*; autor książek dla młodzieży i studjów z zakresu historji i teorji wojskowości.